

Carlos Fuentes

Lata z Laurą Díaz

(Przełożyła: Elżbieta Komarnicka)

*Tę książkę o moich przodkach
dedykuję moim potomkom*

*Dzieciom:
Cecyli
Carlosowi
Nataszy*

I. Detroit: 1999

Znałem tę historię. Nie znałem prawdy. Nawet moja obecność tutaj była – w pewnym sensie – oparta na kłamstwie. Przyjechałem do Detroit, żeby zrobić dla telewizji pierwszą część filmu dokumentalnego o meksykańskich muralistach w Stanach Zjednoczonych. W rzeczywistości bardziej interesowało mnie zarejestrowanie upadku wielkiego miasta, bądź co bądź pierwszej stolicy przemysłu samochodowego, miejsca gdzie Henry Ford zapoczątkował seryjną produkcję maszyny, która rządzi naszym życiem bardziej niż jakikolwiek rząd.

Jako przykład potęgi miasta podaje się, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku zaprosiło ono meksykańskiego artystę Diega Riverę do ozdobienia malowidłami murów Detroit Institut of Art, a teraz, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, moim oficjalnym zadaniem było nakręcenie serii filmów telewizyjnych na temat tego i innych murali stworzonych w Stanach przez Meksykanów. Na początek miał iść Rivera w Detroit, potem Orozco w Dartmouth i Kalifornii, następnie Siqueiros, którego tajemnicze dzieło polecono mi odkryć w Los Angeles. Na koniec miałem przedstawić historię zniszczonych murali Rivery – tego z Rockefeller Center, skazanego na zagładę za to, że Diego umieścił na nim twarze Lenina i Marksa – jak też wielkich paneli dla New School, które również zostały unicestwione.

Tak miała wyglądać zlecona mi praca. Nalegałem, żeby zacząć od Detroit, z jednego względu. Chciałem sfotografować ruiny wielkiego ośrodka przemysłowego jako epitafium godne naszego straszliwego dwudziestego wieku. Nie kierował mną moralistyczny duch przestrogi, jakiś apokaliptyczny pociąg do nędzy lub deformacji, czy nawet zwyczajny humanizm. Zajmuję się fotografią, ale nie jestem ani wspaniałym Sebastianem Salgado, ani porażającą Diane Arbus. Gdybym był malarzem, wołałbym albo bezproblemową jasność widzenia Ingres'a, albo wewnętrzne tortury Bacona. Próbowałem malować; nie wyszło; nie poddałem się; powiedziałem sobie, że aparat fotograficzny to pędzel naszych czasów, i oto tu jestem, zaangażowany do konkretnej pracy, ale w zamyśle, a może tylko w przeczuciu tego zamyśłu, nastawiony na coś zupełnie innego.

Wstałem wcześnie, żeby zrobić to, co miałem do zrobienia, zanim ekipa telewizyjna zjawi się przed malowidłem Rivery. Był luty, godzina szósta rano. Spodziewałem się ciemności. Byłem na nią przygotowany. Ale męczyło mnie, że trwa tak długo.

– Jeśli chce pan pójść na zakupy albo do kina, hotel ma limuzynę, która może pana odwieźć i przywieźć – powiedziano mi w recepcji.

– Centrum handlowe jest o dwie przecznice stąd – odparłem zdziwiony, a jednocześnie poirytowany.

– My nie bierzemy odpowiedzialności. – Recepcjonista uśmiechnął się sztucznie.

Gdyby biedak wiedział, że wybieram się daleko, o wiele dalej niż do centrum handlowego! Miałem dojść, sam o tym nie wiedząc, aż do centrum piekła rozpaczy. Idąc szybkim krokiem, zostawiłem za sobą grupę drapaczy chmur, skupionych jak konstelacja luster – nowe średniowieczne miasto, zabezpieczone przed najazdem barbarzyńców – i wystarczyło mi przebyć dziesięć czy dwanaście przecznic, żeby zagubić się w ciemnej, nieprzyjaznej okolicy z wypalonymi łąkami ugorów pokrytych strupami piętrzących się śmieci.

Szedłem po omacku w nieustającej ciemności, gdyż patrzyłem wyłącznie przez obiektyw, jak współczesny Polifem z prawym okiem przyklejonym do lejki, z lewym zamkniętym,

ślepy, lewą ręką macając jak pies policyjny, na chybił trafił, czasem potykałem się o coś, czasem wpadałem w coś śmierdzącego, czego nie było widać – zagłębiałem się w noc, która nie tylko nie ustępowała, ale rodziła się na nowo. W Detroit noc rodziła się z nocy.

Wypuszczony z rąk aparat opadł mi na piersi, poczułem głucho uderzenie przesłoną – odczucia były dwa, jedno moje, drugie lejki – i skorygowałem swoje wrażenia. To, co mnie otaczało, to nie była noc przedłużająca się na zimowy świt ani, jak podpowiadała mi wyobraźnia, nowo rodząca się ciemność, niespokojna towarzyszka dnia.

Był to jednostajny mrok, zalewająca miasto nieoczekiwana mgła, jego towarzyszka, jego wierne odbicie. Wystarczyło mi obrócić się dookoła i popatrzeć na szary, płaski zapuszczony teren: tu i ówdzie kałuże, ścieżki wydeptane przez niesione strachem stopy, nagie drzewa, jeszcze czarniejsze niż ten krajobraz po bitwie. Z daleka, niby widma, straszyły zrujnowane domy z ubiegłego wieku, miały zapadnięte dachy, zburzone kominy, ślepe okna, odsłonięte ganki, oberwane drzwi. Czasem jakieś suche drzewo pochylało się czule i bezwstydnie nad brudnym okienkiem poddasza. Bujany fotel kołysał się samotnie i swoim skrzypieniem przypominał przeszłość nie umiejscowioną w czasie, zaledwie przeczuwaną...

Pola samotności, góry smutku – podpowiedziała mi moja szkolna pamięć, kiedy ręce chwyciły na powrót aparat, a przez głowę przelatywały obrazy fotografowanych miast, klik-klak, klik-klak, Meksyk DF, Caracas kara boża, Buenos Aires, tak, gdyby nie ta rzeka, Rio, gdyby nie to morze, przerażająca Lima, Bogota bez czci i wiary, Santiago bez wyjścia. Rejestrowałem przyszłość naszych latynoamerykańskich miast poprzez teraźniejszość tego przemysłowego molocha, najbardziej uprzemysłowionego ze wszystkich, królestwa samochodów, kolebki seryjnej produkcji i minimalnej płacy. Detroit, Michigan. Fotografowałem wszystko – zardzewiałe karoserie porzucone pośród jeszcze bardziej zardzewiałych ogrodzeń, strome uliczki wysypane potłuczonym szkłem, migotliwe światełka w oknach sklepików sprzedających... co?

Co takiego sprzedawano na jedynych oświetlonych uliczkach w tej ogromnej czarnej dziurze? Wszedłem, prawie oślepiiony, do jakiejś budki, żeby kupić coś do picia.

Mężczyzna i kobieta, tak szarzy jak dzień za oknem, spojrzeli na mnie z mieszaniną ironii, rezygnacji i fałszywej gościnności; zapytali, czego chcę, dodając zaraz, że mają wszystko.

Z przyzwyczajenia, a może dlatego, że byłem trochę oszołomiony, poprosiłem po hiszpańsku: *una coca*. Roześmieli się głupio. – Na rozgrzewkę mamy tylko piwo i wino – powiedział mężczyzna. – Narkotyków nie.

– Za to mamy losy na loterię – dodała kobieta.

Wróciłem do hotelu, kierując się samym niemalże instynktem, zdjąłem buty powalane odpadkami całego tego minionego świata, zamierzałem wziąć drugi już w tym dniu prysznic, spojrzałem na zegarek. Ekipa czekała na mnie w holu i od mojej punktualności zależał nie tylko mój prestiż, ale i moja nad nimi władza. Wkładając kurtkę, spojrzałem na krajobraz za oknem. W Detroit miasto chrześcijańskie żyło pospołu z miastem islamskim. Tylko szczyty wieżowców i meczetów były oświetlone. Cała reszta świata nadal tonęła w ciemności.

Dotarliśmy z całą ekipą do Instytutu Sztuki. Po drodze przecięliśmy to samo nie kończące się pustkowie – całe kwartały zamienione w ugór, tylko gdzieś tam jakaś ruina wiktoriańskiego pałacu, a na końcu tej miejskiej pustyni (a raczej w samym jej centrum) pretensjonalna budowla z początku wieku, ale jakże czysta, jak świetnie zachowana, jaka przestrzenna i dostępna poprzez szerokie kamienne schody i wysokie okna ze szkła i żelaza. Przypominała trzymającą się prosto, obwieszoną klejnotami staruszkę, która przeżyła wszystkich swoich bliskich, Rachela bez łez, szczęśliwe memento na padole nieszczęść. The Detroit Institute of Art.

Na ogromnym wewnętrznym dziedzińcu, przykrytym wysokim szklanym dachem, odbywała się wystawa kwiatów. Tego ranka kłębił się tam tłum ludzi. „Skąd ich przywieziono?” – zapytałem jakiegoś członka ekipy, który odpowiedział mi wzruszeniem

ramion, nawet nie spoglądając na nieprzeliczone mnóstwo tulipanów, chryzantem, lilii i gladioli eksponowanych wzdłuż czterech ścian dziedzińca; przeszliśmy przezeń pospieszonym krokiem, który ekipa narzuciła sobie i narzucała również mnie. Praca w telewizji i w filmie ma to do siebie, że chce się skończyć jak najprędzej, kiedy tylko wybije godzina fajrantu. Na nieszczęście ci, którzy z tego żyją, nie mają innego pomysłu na życie i wciąż kręcą te swoje filmy, i tak dzień za dniem... Przyjechaliśmy do pracy.

Naszym celem był Rivera, Diego. Diego María z Guanajuato – Diego Maria Concepción Juan Nepomuceno Estanislao de la Rivera y Barrientos Acosta y Rodríguez, 1886-1957.

Wybaczcze mi ten śmiech. To jest zdrowy śmiech, niepowstrzymany atak śmiechu na znak uznania, a być może nostalgii. Za czym? Myślę, że za straconą niewinnością, za wiarą w industrializację. Postęp, szczęście i historia bratają się ze sobą dzięki rozwojowi przemysłu. Rivera wszystkim tym bogom składa hołd w miejscu idealnym – w Detroit. Tak jak ci anonimowi architekci, malarze i rzeźbiarze, którzy w średniowieczu budowali i ozdabiali wielkie katedry na chwałę Boga jedynego, niezmiennego i niepodważalnego, jak dawni pielgrzymi ciągnący do Canterbury czy do Composteli – Rivera przybył do Detroit pełen wiary. Śmiałem się również dlatego, że ten mural był jak kolorowa pocztówka z planu czarno-białego filmu Chaplina *Dzisiejsze czasy* – te same maszyny lśniące jak lusterka, te same koła zębate nieskazitelne i doskonałe, niezawodne urządzenia, które dla marksisty Rivery stanowiły równie wiarygodny znak postępu, natomiast dla Chaplina były zachłannymi gardzielami, połykającymi robotników, by wydalic ich na koniec jak zwykle gównu.

Tutaj nie. To był kicz przemysłowy, obraz niezwykle bogatego miasta, które Rivera poznał w latach trzydziestych, kiedy Detroit zapewniało pracę i godne życie półmilionowej rzeszy robotników.

Jak ich widział meksykański malarz?

Było coś dziwnego w tym muralu ukazującym mrówczą aktywność, gdzie przestrzeń zapełniały postacie ludzi służących szlifierkom, za którymi strużyny ciągnęły się w nieskończoność jak wnętrzości prehistorycznej bestii, co z trudem powraca we współczesne ramy. Ja również z trudem uświadamiałem sobie powód własnego zdziwienia. Ogarniało mnie nasilające się, podniecające uczucie twórczego odkrycia, tak rzadkie w telewizyjnej pracy. Oto stoję przed murałem Diega Rivery w Detroit, gdyż zależy od mojej publiczności, tak jak być może Rivera zależał od swoich mecenasów. Ale on śmiał się im w nos, zatykał czerwone sztandary i sadzał sowieckich przywódców na ich kapitalistycznych bastionach. Natomiast ja nie byłem godny ani cenzury, ani skandalu: od publiczności zależał mój sukces albo moja porażka, nic więcej. Klik. Idiotyczne pudło zamknięte. Już nie ma mecenasów, a ludzi guzik to wszystko obchodzi. Czy ktoś pamięta pierwszy serial telewizyjny, jaki widział w życiu, albo – co na jedno wychodzi – ostatni?

Ale uczucie, że coś jest nie tak, nurtowało mnie nadal i nie pozwalało spokojnie filmować. Zastanawiałem się. Udawałem, że szukam lepszego kąta, lepszego światła. Ekipa techniczna ma dużo cierpliwości. Uszanowała moje starania. Aż wpadłem na trop. Patrzyłem, nie widząc. Wszyscy amerykańscy biali robotnicy zostali namalowani przez Rivere plecami do widza. Artysta malował same pracujące plecy, chyba że jacyś spawacze używali gogli do ochrony przed sypiącymi się iskrami. Twarze Amerykanów były anonimowe. Zamaskowane. Rivera widział ich tak, jak oni widzą Meksykanów. Odwróconych plecami, anonimowych. Bez twarzy. Tutaj Rivera nie śmiał się, nie był Chaplinem, był tylko Meksykaninem, który odważył się im powiedzieć: wy nie macie twarzy. Był marksistą, który im mówił: wasza praca nie ma nazwy ani twarzy robotnika, wasza praca nie należy do was.

Kto natomiast patrzył widzom w oczy?

Murzyni. Oni mieli twarze. Mieli je w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku, kiedy Rivera malował mural, kiedy Fridę zabrano do szpitala Henry'ego Forda, kiedy wybuchł ten wielki skandal, bo Diego wprowadził do obrazu Świętą Rodzinę dla prowokacji, chociaż

Frida była w ciąży i poroniła, i zamiast urodzić dziecko, urodziła szmacianą lalkę, a na chrzciny lalki przyszły małpy, papugi, gołębie, kot i jeleń... Czy Rivera kpił sobie z jankesów, czy się ich bał i dlatego nie malował ich en face?

Artysta nigdy nie wie tego, o czym wie widz. My pamiętamy, co było potem, i Murzyni z muralu Rivery, w których twarze jednak odważył się spojrzeć, którzy jednak odważyli się spojrzeć na nas, mieli ręce nie tylko po to, żeby produkować samochody dla Forda. W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku Rivera bezwiednie, pod wpływem intuicji, namalował Murzynów, którzy trzydziestego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku – ta data jest wyryta w sercu miasta – podpalili Detroit, splądrowali miasto, ostrzelali je, obrócili wniwecz, i zanieśli do kostnicy czterdzieści trzy trupy. Czy ci, którzy jako jedyni patrzyli na nas z obrazu, to czterdziestu trzech przyszłych nieboszczyków, namalowanych przez Diega w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku, a zmarłych w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, w dziesięć lat po śmierci malarza, trzydzieści pięć lat po ich namalowaniu?

Dzieło tylko pozornie daje się obejrzyć jednym rzutem oka. W rzeczywistości jego sekrety wymagają długiego i cierpliwego patrzenia, uwagi, która nie skupia się tylko na zamalowanej przestrzeni, ale przenosi się poza nią, rozszerzając granice obrazu. Zdarzyło mi się coś dziwnego. Musiałem wyjść spojrzeniem poza mural, żeby nagle powrócić – jak kamera filmowa, która z planu ogólnego niby strzała kieruje się w gwałtownym zbliżeniu na szczegół – do twarzy pracujących kobiet, gdyż z całą pewnością były to postacie kobiece, mimo że przez roboczy ubiór i krótkie włosy upodobnione do mężczyzn. Jedną z nich była Frida. Ale jej towarzyszka – nie Frida, tylko ta druga kobieta: orli profil, odpowiedni do wysokiej sylwetki, melancholijne spojrzenie, głębokie cienie pod oczami, usta wąskie, ale zmysłowe przez sam brak wypukłości, jakby nieostra linia warg oznaczała ich oczywistą wyższość nad innymi, nie potrzebujące szminek, wstrzemięźliwe, a przez to wiecznie żadne opowiadania tajemnic, jedzenia, miłości...

Spojrzałem w jej niemal złote oczy Metyski, trochę europejskie, trochę meksykańskie, tak jak one patrzyły na mnie tylekroć z przedawnionego paszportu schowanego w jakiejś szufladzie, równie zapomnianej jak ów dokument. Tak samo przyglądałem się im na zdjęciach porozwieszanych na ścianach, pochowanych albo porozrzucanych po całym domu mojego ojca, zamordowanego w młodym wieku w październiku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Te oczy, których moje już umarłe wspomnienia nie przechowały, ale które moja wciąż żywa pamięć pielęgnuje w duszy, oglądałem trzydzieści lat później, teraz, kiedy sam będę miał trzydzieści cztery lata, a nasz dwudziesty wiek dobiega kresu; patrzyłem w nie z drżeniem, z nieomal bałwochwalczym zapamiętaniem tak długo, że koledzy z mojej ekipy zatrzymali się, podeszli do mnie i zapytali, co mi się stało.

Co mi się stało? Co sobie przypomniałem? Patrzyłem na twarz tej pięknej, dziwnej kobiety, przebranej za robotnika, i najróżniejsze wspomnienia, okruchy pamięci – czy jakkolwiek nazywałyby się te uprzywilejowane momenty w życiu – kłębiły się w mojej głowie jak rozszalały ocean, którego fale są zawsze jednakowe, a nigdy te same: właśnie zobaczyłem twarz Laury Díaz; twarz odkryta pośród bogactwa szczegółów obrazu może należeć tylko do jednej kobiety i tą kobietą jest Laura Díaz.

Operator Terry Hopkins, mój stary, choć młody wiekiem przyjaciel, rzucił ostatni snop światła nasączonego odcieniem błękitu na malowidło, jakby na pożegnanie (Terry jest poetą), i to światło zlało się w jedno z szarówką tamtego lutowego dnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Oszalałeś? – powiedział. – Chcesz wracać do hotelu na piechotę?

Nie wiem, jak na niego spojrzałem, ale nie dodał już ani słowa. Rozstałem się z ekipą. Zabrali ciężki (i kosztowny) sprzęt telewizyjny. Odjechali mikrobusem.

Zostałem sam na sam z Detroit, miastem rzuconym na kolana. Szedłem niespiesznym krokiem.

Wolny, z furią jak przy młodzięcej masturbacji, zacząłem kierować obiektyw aparatu we wszystkie strony: na czarne prostytutki i patrole młodych czarnych policjantów, na czarne dzieci w szmacianych dziurawych czapkach i podszytych wiatrem kurteczkach, na starców skulonych przy śmietniku, jedynym zacisznym miejscu na ulicy, na opuszczone domy – czułem się tak, jakbym je wszystkie prześwietlał na wylot – gdzie gnieździli się bezdomni nędzarze, narkomani, którzy po kątach wstrzykiwali sobie razem z brudem trochę przyjemności, fotografowałem ich wszystkich bezczelnie, bez pośpiechu, prowokacyjnie, tak jakbym miał przed sobą galerię ślepców, jakbym tylko ja jeden wśród nich był niewidzialny. Owładnęła mną nagła fala miłości, czułości, tęsknoty za kobietą, której nigdy nie widziałem, ale która napełniała moje życie treścią wspomnień, tych zależnych i tych niezależnych od naszej woli, tych, które są naszą szansą i naszym nieszczęściem, bo pamięć jest jednocześnie wygnaniem z domu i powrotem w rodzinne strony, strachem przed spotkaniem z wrogiem i tęsknotą do pierwotnej jaskini.

Jakiś człowiek z płonąca pochodnią biegł z wrzaskiem przez korytarze opuszczonego domu i podpałał wszystko, co tylko dało się podpalić; poczułem uderzenie w kark i upadłem, patrząc na samotny wieżowiec ustawiony do góry nogami pod zakatarzonym niebem; dotknąłem gorącej krwi lata, które było jeszcze daleko; napiłem się łez, które nie rozjaśniają czerni skóry; wsłuchałem się w odgłosy poranka, nie znajdując w nim upragnionej ciszy; widziałem dzieci bawiące się wśród ruin, widziałem leżące miasto, bez żenady poddające się dotykaniu; poczułem ból w całym ciele na widok tego koszmaru z cegieł i dymu, tego miejskiego holokaustu, przepowiedni dla miast nie nadających się do mieszkania; dom dla nikogo w mieście niczym.

Padając, zdążyłem zadać sobie pytanie, czy można przeżyć życie zmarłej kobiety dokładnie tak, jak ona je przeżyła, odkryć sekrety jej pamięci, odtworzyć jej wspomnienia.

Widziałem ją, będę ją pamiętał.

To Laura Díaz.

II. Catemaco: 1905

Czasami wspomnienia można dotknąć. Najsłynniejsza legenda rodzinna opiewa odwagę babki Cosimy Kelsen, która gdzieś tak w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym jechała z Veracruz do miasta Meksyk, żeby kupić do domu meble i różne dekoracyjne przedmioty, i w powrotnej drodze dyliżans, którym podróżowała, został zatrzymany przez bandytów. Bandyci w tym czasie używali malowniczych strojów – okrągły kapelusz z szerokim rondem, zamszowy kabacik, spodnie rozszerzane u dołu, krótkie buty z dźwięczącymi ostrogami. Wszystko zapinane na guziki ze starego srebra.

Cosima Kelsen wołała przywoływać na pamięć te szczegóły niż opowiadać, co się wydarzyło. Z czasem cała historia – mimo że znana i wciąż obecna – stawała się coraz bardziej wyjątkowa i nieprawdopodobna, gdyż powtarzana przez wiele osób i przekazywana z rąk do rąk (to wyrażenie jest na miejscu, bo właśnie rąk, a raczej palców rzecz cała dotyczyła), zaczęła przybierać coraz doskonalszą formę.

Dyliżans został zatrzymany w Cofre de Perote, takim dziwnym punkcie, gdzie podróżny, zamiast z przejrzystego górskiego powietrza wstępować w chmury, schodzi do jeziora mgły. Banda rozbójników, niewidoczna w mgielnych oparach, pojawiła się wśród rżenia koni i huku wystrzałów. „Sakiewka albo życie!” – tak zazwyczaj wołali bandyci, ale ci okazali się bardziej oryginalni i krzyknęli: „Życie albo życie!”, jakby z wielką bystrością wyczuli wyniosłą godność i nieugiętą dumę, jaką młoda doña Cosima okazała im od pierwszej chwili.

Nie raczyła na nich spojrzeć.

Herszt bandy, dawny kapitan rozgromionych wojsk cesarza Maksymiliana, wystarczająco długo obracał się na dworze w Chapultepec, żeby dostrzegać różnice społeczne. Chociaż w regionie Veracruz słynny był ze swoich podbojów miłosnych – nosił przezwisko Uwodziciela z Papantli – sławę przyniosła mu również nieomyślność, z jaką potrafił odróżnić damę od latawicy. Dawny oficer kawalerii, wykonujący bandycki proceder po cesarskiej klęsce zakończonej rozstrzelaniem Maksymiliana, Miramona i Mejii (do diaska, aż trzy M! – wykrzykiwał niekiedy przesądny meksykański kondotier), szacunek do wysoko urodzonych dam miał już we krwi i kiedy zobaczył błyszczące jak diamenty oczy młodej mężatki doñi Cosimy, a zaraz potem jej prawą rękę spoczywającą ostentacyjnie na oknie powozu, wiedział dokładnie, jak ma się do niej odezwać.

– Pani, proszę, abyś oddała mi swoje pierścienie.

Na rękę, którą Cosima wyzywająco wysunęła na zewnątrz powozu, lśniły złota obrączka, oślepiający pierścień z szafirem i drugi z perłami.

– Są to moje pierścionki zaręczynowe i ślubne. Musiałby mi je pan odrąbać.

To właśnie bez chwili wahania, jakby oboje znali honorowy protokół, zrobił okrutny bandyta: jednym uderzeniem maczety odrąbał cztery wystające poza okienko palce prawej ręki młodej wtedy babce, Cosimie Kelsen. Ona nawet nie jęknęła. Dziki cesarski oficer zdjął czerwoną chustkę, którą zbójcekim zwyczajem zawiązaną miał na głowie, i podał Cosimie, żeby owinęła sobie rękę. Sam wrzucił cztery palce do kapelusza i stał niby butny żebrak z palcami pięknej Niemki jak z otrzymaną jałmużną. Kiedy znowu włożył kapelusz, krew popłynęła mu strużką po twarzy. On, skąpany w tej krwi, wyglądał tak samo naturalnie jak kto inny skąpany w jeziorze.

– Dziękuję – powiedziała młoda i piękna Cosima, spoglądając na niego jeden jedyny raz.

– Czym jeszcze mogę służyć?

Za całą odpowiedź Uwodziciel z Papantli śmignął batem najbliższy zaprzęg i dyliżans potoczył się w dół zbocza ku gorącej ziemi Veracruz, która czekała na nich za oparami górskiej mgły.

– Żeby mi nikt nie tknął tej damy – powiedział herszt do swojej bandy i wszyscy zrozumieli, że im na rozboju mijało życie, natomiast ich szef zakochał się w jednej chwili, i to być może już na zawsze.

– Ale jeśli zakochał się w mojej babce, dlaczego jej nie oddał pierścionków? – zapytała Laura Díaz, kiedy zaczęła racjonalnie myśleć.

– Bo nie miał po niej innej pamiątki – odpowiadała ciotka Hilda, najstarsza z trzech córek Cosimy Kelsen.

– A co w takim razie zrobił z tymi palcami?

– O tym się nie mówi, moje dziecko – odpowiadała jej energicznie nieco poirytowana młoda doña Virginia, druga z trójki, rzucając książkę, kolejną z dwudziestu, które czytała w ciągu miesiąca, z czego była bardzo dumna.

– Uważaj na Cyganów – powiedziała jej kucharka z hacjendy z akcentem właściwym dla mieszkańców wybrzeża – oni ucinają dzieciom palce i robią z nich kotlety.

Laura Díaz patrzyła na swoje ręce – rączki – wyciągała je i poruszała zabawnie palcami, jakby grała na pianinie. Potem szybko chowała dłonie pod szkolnym fartuszkem w niebieską kratkę i z rosnącym przerażeniem obserwowała palce pozostałych członków rodziny, jakby żaden z nich nie robił nic innego, tylko nieustannie ćwiczył owe palce, które Uwodziciel z Papantli obciął świeżo przybyłej do Meksyku babce, pięknej wówczas i młodej doñi Cosimie Kelsen. Ciotka Hilda grała w stanie pewnego rodzaju udawanej gorączki na pianinie marki Steinway, właśnie dostarczoną z Nowego Orleanu po długiej podróży, która wydawała się krótka, gdyż jak zauważyli inni pasażerowie i opowiadali to później panie Kelsen, mewy nie odstępowały statku, a może pianina, od Luizjany aż do Veracruz.

– Mutti lepiej by zrobiła, gdyby pojechała do Nouvelle Orleans kupić wyprawę *de nozze* – chwaliła i krytykowała jednym tchem ciotka Virginia, dla której mieszanie języków było czymś tak naturalnym jak mieszanie lektur i podawanie w wątpliwość, zresztą w nienaganny sposób, niektórych decyzji ojca. Tak czy inaczej, Nowy Orlean był najbliższym Veracruz ośrodkiem cywilizowanego handlu i tam młody liberał Benito Juárez, wygnany za dyktatury kulawego Santa Anny, pracował w fabryce, zwijając hawańskie cygara; ciekawe, czy jest tam jakaś tablica pamiątkowa mówiąca o tym, że Juárez rozgromił Francuzów i kazał rozstrzelać – on, taki brzydki, taki indiański – tego pięknego Habsburga Maksymiliana.

– Habsburgowie rządili w Meksyku dłużej niż ktokolwiek inny, nie zapominaj o tym. Meksyk jest bardziej austriacki, niż się wydaje – mówiła czytana, obdarzona talentem pisarskim Virginia swojej siostrze Letycji, matce Laury Díaz; te imperialne wiadomości zupełnie nie przystawały do tego, co Letycję naprawdę interesowało: dom, córka, kuchnia, codzienne domowe sprawy...

Natomiast melancholijny nastrój, jaki sprawne palce Hi Idy nadawały preludium Chopina (a były to jej ulubione utwory), powiększał aurę smutku – rzeczywistego, zapamiętanego czy przeżywanego – w tym wielkim, ale bezpretensjonalnym domu położonym w dolinie nad tropikalnym jeziorem.

– Byłybyśmy inne, gdybyśmy wychowywały się w Niemczech? – pytała tęsknie Hilda.

– Tak – odpowiadała szybko Virginia. – A gdybyśmy się urodziły w Chinach, byłybyśmy jeszcze bardziej odmienne. *Assez de chinoiseries, ma chère*. Nie komplikujmy sobie życia.

– Nie tęsknisz za tym? – zwracała się wtedy Hilda do swej młodszej siostry Letycji.

– Dlaczego? Przecież ja nigdy tam nie byłam.

– Tylko ty byłaś – przerywała jej z wyrzutem Virginia, chociaż patrzyła przy tym na Letycję, matkę Laury.

– W domu jest tyle do zrobienia – kończyła rozmowę Letycja.

Jak wszystkie wiejskie rezydencje, które zostawiła Hiszpania w Nowym Świecie, tak i ta zbudowana była wokół centralnego patio, do którego przylegały cztery parterowe, pobielane wapnem ściany z drzwiami prowadzącymi do jadalni, salonu i sypialni. Stąd też padało światło do pomieszczeń mieszkalnych; wszystkie zewnętrzne ściany były ślepe ze względu na ewentualne niebezpieczeństwo i nieustanną obronę moralności.

– Żyjemy tak, jakby mieli na nas napaść Indianie, angielscy piraci albo zbuntowani Murzyni – komentowała z rozbawieniem młoda ciotka Virginia. *Aux armes!*

– Jeśli chodzi o obronę moralności, dom spełniał swe zadanie. Sezonowi robotnicy przywożeni do zbioru kawy byli ciekawscy, nachalni, czasem zdolni do pyskowania i zbytnej poufałości. Virginia wymyślała im hiszpańskimi przekleństwami z dodatkiem cytatów z łaciny, więc unikali jej, jakby ta dziewczyna o czarnych oczach, białej cerze i wąskich ustach była jeszcze jedną z czarownic, które – jak mówiono – mieszkały po drugiej stronie jeziora.

Aby wejść do części zamieszkałej przez rodzinę właściciela hacjendy, trzeba było przekroczyć wielką bramę jako zaproszony gość. Natomiast kuchnia położona na tyłach domu miała wyjście na obory dla bydła, na stajnie, na piwnice z winem i na pola; były tam młyny, spichlerze, wodociąg i dziedziniec, na którym uszlachetniano kawę – stały też kadzie i maszyny do oddzielania miąższu, fermentacji, mycia i suszenia. Na hacjendzie, nazwanej przez jej założyciela Felipe Kelsena „La Peregrina”, na cześć żony, odważnej, ale okaleczonej Cosimy, było niewiele zwierząt: pięć koni wierzchowych, czternaście mułów i pięćdziesiąt sztuk bydła. Nic z tego nie interesowało małej Laury, ona nigdy nie zaglądała w te miejsca wytężonej pracy, którymi jej dziadek zarządzał systematycznie, bez skarg, ale podkreślając przy każdej okazji, że siła robocza na plantacjach kawy jest bardzo droga, jeśli się weźmie pod uwagę, jak delikatny jest to produkt i jak niepewny jego zbył. Dlatego też don Felipe czuł się w obowiązku dopatrzeć wszystkiego, obcinać gałęzie na drzewkach, zapewniać im cień konieczny dla wzrostu, przycinać krzewy kawowe, oddzielać pędy, oczyszczać teren i pilnować odpowiedniego suszenia kawy na słońcu.

Kawa to nie cukier, to nie trzcina cukrowa, która rośnie gdziekolwiek, kawa wymaga systematycznej pracy – często powtarzał gospodarz don Felipe, niestrudzony nadzorca młynów, wozów, obór i słynnych palarni kawy, dzieląc dzień na skrupulatne dogłądanie majątku i nie mniej skrupulatne rachunki.

Mała Laura nie miała serca do takich rzeczy. Lubiła patrzeć na pobliskie wzgórza porośnięte krzewami kawy, na rozciągające się za nimi tropikalne lasy i jezioro, do których dostęp wydawał się niemożliwy. Mała Laura wdrapywała się na poddasze i z okienka próbowała wypatrzeć w dali płynne srebro tafli jeziora, jak mówiła jej odczytana ciotka Virginia, i nie zadawała sobie pytania, dlaczego to, co w pejzażu było najpiękniejsze, było jednocześnie najdalsze, najbardziej odległe od ręki, którą dziewczynka wyciągała jakby z zamiarem dotknięcia, wkładając w to pragnienie całą swoją duszę. Wszystkie swoje dziecięce marzenia realizowała w świecie wyobraźni. Jezioro. Wiersz.

Z salonu dochodziły melancholijne tony preludium i Laura poczuła smutek, ale pocieszało ją, że dzieli ów stan z najstarszą z ciotek, tak piękną i tak samotną, ale posiadającą dziesięć muzycznych palców.

Robotnicy, na polecenie dziadka, właściciela plantacji don Felipe Kelsena, wysmarowali ściany domu rękoma unurzany w mieszaninie wapna, kamieni i wydzieliny z agawy, co nadało im gładkość nagich kobiecych pleców. To właśnie powiedział don Felipe swojej zawsze trzymającej się prosto, choć bardzo już chorej żonie, w przeddzień jej śmierci:

„Zawsze kiedy dotknę ścian tego domu, będę myślał, że dotykam palcami twoich nagich pleców, twoich pięknych i delikatnych nagich pleców, wiesz o tym?”

Kiedy następnego dnia babka wydała ostatnie tchnienie, mążnek osiągnął wreszcie to, przed czym doña Cosima wzbraniała się całe życie: włożył zmarłej czarne rękawiczki z wypchanymi watą czterema palcami u prawej ręki.

Powiedział, że wysyła ją do wieczności caluteńką, taką, jaka była w wieku dwudziestu dwu lat, kiedy sprowadził ją sobie z Niemiec w charakterze narzeczonej, identyczną jak na dagerotypie, z włosami rozdzielonymi równiutkim przedziałkiem na równiutkie połowy i uczesanymi w dwa wielkie koła zakrywające uszy, jakby dla podkreślenia doskonałej formy kolczyków z macicy perłowej, które zwisały z niewidocznych płatków usznych.

– Uszy to najbrzydsza rzecz u kobiety – gderła Virginia.

– Ty tylko byś wymyślała defekty – odpowiadała jej Hilda.

– Ja słucham twoich wierszy, Virginio, i twojego grania, Hildo, moimi okropnymi uszami – śmiała się mama Laury Díaz. – Co za szczęście, że Mutti Cosima nie miała na sobie kolczyków w Perote!

Cosima przyjechała z Niemiec, mając dwadzieścia dwa lata; niezwykle czarne włosy podkreślały biel jej cery. Na portrecie opierała o pierś wachlarz trzymany w pięciu palcach prawej ręki.

Dlatego Hilda grała na pianinie z pasją i ze wstydem, tak jakby chciała skompensować kalectwo matki, a jednocześnie jakby ją chciała obrazić, mówiąc: widzisz, ja mogę, a ty nie. W muzyce najstarszej córki Kelsenów, jedynej, która pojechała kiedyś do Niemiec z matką i tam, w Kolonii, poszła z nią na recital sławnego pianisty i kompozytora Franciszka Liszta, brzmiał ukryty żal. W ten ton uderzało wielu imigrantów europejskich. Meksyk był krajem Indian i pastuchów, o przyrodzie tak bogatej i szczodrej, że podstawowe potrzeby dawało się zaspokajać bez pracy. Napływ imigrantów niemieckich miał zmienić ten stan rzeczy i wprowadzić do pejzażu Meksyku nowy element – przyrodę uprzemysłowioną na wzór europejski. Ale ci, ściągnięci tutaj po to, by uprawiać ziemię, nie wytrzymywali izolacji i ciężkich warunków i przenosili się do miast. Natomiast Felipe Kelsen był wierny swojemu zobowiązaniu, miał zamiar pracować ciężko na roli i unikać dwóch pokus: powrotu do Niemiec i podróży do stolicy Meksyku, która tak drogo kosztowała jego żonę Cosimę. Po wyjściu z koncertu Hilda powiedziała do matki:

– Mutti, dlaczego nie zostaniemy tutaj? Meksyk jest taki okropny!

Wtedy don Felipe zabronił nie tylko jakichkolwiek podróży do Vaterlandu; zabronił również używania języka niemieckiego w domu i, zaciśniętą pięścią, groźniejszą jeszcze, bo nieruchomą (w nic w końcu nie uderzył), powiedział, że teraz wszyscy oni są Meksykanami, będą się asymilować, żadnych więcej podróży nad Ren i mówić się będzie wyłącznie po hiszpańsku. Philip będzie się teraz nazywał Felipe, a Cosima, no cóż, nie ma rady – Cosima. Tylko Virginia z figlarną czułością pozwalała sobie mówić do matki Mutti i coraz to wtrącać niemieckie cytaty. Don Felipe wzruszał ramionami: ot, taka już z niej dziwaczka...

– Są na świecie zezowaci, są albinosi, jest Virginia – mówiła sama o sobie, umyślnie zezując. *Gesundheit!*

Nie mówić po niemiecku i zajmować się wyłącznie domem, albo jak to się nowocześnie mówiło – gospodarstwem domowym. Córki stały się tak gospodarne być może dlatego, żeby zrekompensować nieprzydatność matki, która siadywała w bujanym fotelu (kolejna nowość przywieziona z Luizjany), chłodziła się wachlarzem trzymany w lewej ręce i patrzyła w dal, w stronę Camino Real i zamglonego Perote, gdzie w tak wczesnej młodości straciła cztery palce i – jak niektórzy twierdzą – serce.

– Kiedy jakaś kobieta pozna Uwodziciela z Papantli, już nigdy go nie zapomni – mówiło się w okolicach Veracruz.

Don Felipe nieraz wypominał swojej narzeczonej tę podróż po zakupy do Meksyku. „Widzisz, gdybyś pojechała do Nowego Orleanu, nie spotkałoby cię to nieszczęście”.

Cosima od pierwszego dnia zrozumiała, że wołą jej męża było zakorzenie się na stałe w Meksyku. Ona była ostatnim ustępstwem w stosunku do starej ojczyzny. Uprzedzając to męzowskie życzenie, postanowiła już zawsze być stąd, nigdy stamtąd. I dlatego została bez

czterech palców. „Wolę kupić wyprawę w meksykańskiej stolicy. Jesteśmy Meksykanami czyż nie?”

Jakie straszne były te palce! Laura nie mogła otrząsnąć się z koszmarnych snów, w których samotna ręka sunęła po podłodze, chodziła po ścianach i spadała na poduszkę obok twarzy dziewczynki. Ta budziła się z krzykiem, a widząc na poduszce pająka, nie odważyła się go zabić jednym uderzeniem ręki, gdyż byłoby to tak, jakby babce, zatopionej w myślach w swoim bujanym fotelu, obcięto palce po raz drugi.

– Mamo, chcę, żeby moje łóżko było przykryte białą zasłoną.

– W domu jest bardzo czysto. Tu się nie przecisnie nawet kurz.

– Do mnie przeciskają się bardzo brzydkie sny.

Letycja śmiała się i przykucała, żeby czule uściskać swoją małą córeczkę, która była oczkiem w głowie wszystkich członków rodziny, z wyjątkiem pięknej babki Cosimy chorej na melancholię.

Na przekór łądakom, którzy pomawiali jego żonę o platoniczną miłość, Felipe szczyił się trzema córkami, wszystkie były piękne, inteligentne i pracowite. „Sześć palców wystarczy kobiecie, żeby kochać mężczyznę” – powiedział którejś nocy chętnie i ordynarnie w barze i natychmiast tego pożałował, jak nie żałował niczego ani przedtem, ani potem. Pracował fizycznie, był zmęczony i trochę pijany. Miał własną plantację kawy. Szukał odprężenia. Nigdy w życiu nie powtórzył wypowiedzianych wtedy słów. W duszy pragnął, by wszyscy, którzy słyszeli tę jego prostacką odżywkę, szybko poumierali albo na zawsze wyjechali, co na jedno wychodzi.

– Wyjechać to tak, jakby trochę umrzeć – powtarzał często Felipe, wspominając powiedzenie swojej matki Francuzki z czasów, kiedy to jeszcze Felipe był Philipem i miał ojca Heine Kelsena i matkę Letycję Lassalle, a Europa, na której odcisnął swój ślad Bonaparte, wciąż rozczłonkowywała się i łączyła, kiedy rozwijał się przemysł i podupadały warsztaty, bo wszyscy wychodzili do pracy poza swój dom i swoje pola, do fabryk, nie tak jak dotąd, gdy dom i praca były jednością; kiedy mówiono o wolności, a panowali tyrani; kiedy naród otwierał serce i umierał podziurawiony przez karabin maszynowy despoty; kiedy nikt nie wiedział, czy stąpa po świeżo zaoranej ziemi, czy po dawnych popiołach, jak napisał Alfred de Musset, cudowny poeta-romantyczny, którym zaczytywali się zakochani i który poruszał wszystkich: chłopcy pod jego wpływem wpadali w egzaltację, dziewczyny w stan zadurzenia. Chłopcy egzaltowani, dziewczyny omdlewające; młody Philip Kelsen – błękitne oczy i grecki profil, pociągła twarz, elegancka bródka i peleryna, cylinder i laska z rączką z kości słoniowej – chciał wiedzieć, na jakim świecie żyje, i wydawało mu się, że wszystko zrozumiał, na wielkiej manifestacji w Düsseldorfie, gdzie zobaczył siebie, bacznie się sobie przyjrzał, zapalał podziwem, a nawet miłością do własnej osoby, widząc w niej zmaczone odbicie wspaniałej postaci młodego socjalistycznego trybuna Ferdynanda de Lassalle.

Dwudziestoczteroletni Philip Kelsen poczuł, że został mu dany znak, kiedy zobaczył i usłyszał tego człowieka, prawie swojego równolatka, choć już nauczyciela, który nosił nazwisko jego matki, tak jak ta nosiła imię matki Napoleona – Letycja. Te szczęśliwe znaki pociągały młodego Niemca ku przemówieniom Lassalle’a i ku tekstom Musseta: „Od najwyższych sfer inteligencji aż do najbardziej nieprzeniknionych tajemnic materii i formy ta dusza i to ciało są twymi braćmi”.

Lassalle, bracie mój – mówił w myślach Philip do swego bohatera, zapominając z tej radości, trochę świadomie, trochę nieświadomie, o podstawowych faktach z własnego życia: Heine Kelsen, jego ojciec, zawdzięczał swoją pozycję handlowym i bankowym stosunkom – wiernopoddańczym, ale nie pozbawionym szacunku – ze starym Johannem Budenbrookiem, który zbił fortunę na skupowaniu pszenicy i sprzedawaniu jej po wysokich cenach wojskom pruskim w wojnie przeciw Napoleonowi. Heine Kelsen reprezentował w Düsseldorfie interesy starego Johanna, mieszkającego w Lubece, ale jego majątek – pieniądze i dobra passa

– podwoił się, kiedy wziął za żonę Letycję Lassalle, wychowanicę francuskiego finansisty Nucingena, który zatroszczył się o dożywotnią rentę dla swojej podopiecznej w kwocie stu funtów rocznie tytułem posagu.

O tym wszystkim zapomniał Philip Kelsen, kiedy w wieku dwudziestu czterech lat po raz pierwszy usłyszał Ferdynanda de Lassalle.

Lassalle mówił z pasją romantyka i rozsądkiem polityka do nadreńskich robotników, przypominając im, że w nowej Europie, uprzemysłowionej i dynastycznej, wielki Napoleon został zastąpiony przez małego Napoleona, którego małość polegała na tym, że zjednoczył rząd i burżuazję przeciwko robotnikom: „Pierwszy Napoleon – wykrzykiwał Lassalle na mitingu – był rewolucjonistą, jego bratanek jest kretynem i reprezentuje tylko dogorywającą reakcję!”

Jakże podziwiał młody Kelsen tego równie młodego zapaleńca Lassalle’a, którego sama policja w Düsseldorfie określała jako osobnika „o nadzwyczajnych właściwościach intelektualnych, niewyczerpanej energii, wielkiej determinacji, poglądach barbarzyńsko lewicowych, szerokim gronie przyjaciół, ogromnym zmysłem praktycznym i znacznych zasobach finansowych”! Z tych wszystkich względów jest niebezpieczny – orzekła policja; z tych wszystkich względów jest godny podziwu – utwierdził się w przekonaniu jego młody naśladowca Kelsen, bo Lassalle chodził elegancko ubrany (a Marks, jego rywal, świecił tłustymi plamami na kamizelce), bo Lassalle chodził na przyjęcia do tej samej klasy społecznej, którą zwalczał (a Marks nie wysadził nosa poza najpodlejsze kafejki w Londynie), bo Lassalle wierzył w naród niemiecki (a Marks był kosmopolitą, wrogiem nacjonalizmu), bo Lassalle uwielbiał mocne wrażenia (a Marks był nudnym ojcem rodziny z klasy średniej, który nie mógł sobie pozwolić nawet na kupno pierścionka dla swojej arystokratycznej małżonki pani von Westphalen).

Philip Kelsen do końca życia będzie walczył z tą lassaliańską żarliwością swej socjalistycznej młodości; całą młodość stracił przez tę świetlaną iluzję, która – tak jak u europejskiego poety zaorana ziemia – była może tylko kurhanem popiołów. Socjalista Lassalle sprzymierzył się w końcu z feudalistą Bismarckiem, pruskim ultranacjonalistycznym i ultrareakcyjnym junkrem, żeby wspólnie zapanować nad kapitalistami, chciwymi apatrydami: taki był cel tego niewygodnego przymierza. Krytyka władzy przekształciła się we władzę nad krytyką i Philip Kelsen opuścił Niemcy tego samego dnia, w którym jego splamiony bohater, wytworny socjalista Ferdynand Lassalle, stał się bohaterem zboczonym krwią, gdyż dwudziestego ósmego sierpnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku w lasku pod Genewą zginął w pojedynku tak absurdalnym i romantycznym jak on sam: zakochał się namiętnie w Helenie (von Doniger, poinformowały kroniki), wyzwał na pojedynek narzeczonego pięknej Heleny (Yanko von Racowitza, dodała prasa), a ten z doskonałą precyzją przedziurawił mu kulą brzuch, bez najmniejszego respektu dla historii, socjalizmu, ruchu robotniczego czy Żelaznego Kanclerza.

Dwudziestopięcioletni Philip Kelsen wyjechał jak najdalej od wrocławskiego cmentarza, na którym został pochowany trzydziestodzieciuletni Lassalle. Znalazł się w Veracruz, u wybrzeży Ameryki, obmywanych przez Atlantycką, dogorywając po długiej podróży z portu w Hamburgu, i pojechał dalej, w głąb lądu, do Catemaco, ziemi gorącej, urodzajnej, szczodrej, życiodajnej – jak określało się ją w przemówieniach – gdzie człowiek mógł się zjednoczyć z przyrodą i prosperować poza skorumpowaną i pozbawioną złudzeń Europą.

Po Ferdynandzie de Lassalle Philip zachował jedynie rzewne wspomnienie, nacjonalizm i pociąg do mocnych wrażeń, który znad Renu przygnał go nad Zatokę Meksykańską. Tylko że tu te atrybuty nie miały już być niemieckie, lecz meksykańskie. Stary Heine w Düsseldorfie pochwalił decyzję zbuntowanego syna, wyposażył go w marki i w Hamburgu wsadził na statek wyruszający do Nowego Świata. Philip Kelsen zatrzymał się na trzy lata w Nowym Orleanie, gdzie pracował bez satysfakcji w fabryce tytoniu; kiedy już mu dojadł amerykański

razizm, tłący się tak silnie na pogorzeliśku południowej Konfederacji, wyjechał do Veracruz i zwiedził całe wybrzeże od Tuxpan w zielonym rejonie Huasteca aż po Tuxtlas, gdzie niebo przesłaniały tysiące przelatujących ptaków.

– Żołądek pełny, to i serce rade – powiedziała mu pierwsza kobieta, Mulatka, z którą poszedł do łóżka w Tuxpan; traktowała ona równie zmysłowo miłość i jedzenie, podtykając pod zachłanne usta młodego niemieckiego zalotnika to dwa wiśniowe sutki, to góry kanapek, tortilli i *tamales* z bażanta... Nawykły do łatwego życia Philip Kelsen w Santiago Tuxtla znowu znalazł sobie Mulatkę, i dobrą kuchnię, ona nazywała się Santiaga, tak jak jej miasto, a wszystkie dania, które podawała swojemu namiętmemu i niepodobnemu do innych niemieckiemu młodzieniaszkowi, kiedy wracał z pracy, były typowe dla karaibskiej kuchni: juka, sosy czosnkowe, *mogo-mogo* z bananów i dyni. Ale bardziej niż jakiegokolwiek delicje gastronomiczne czy erotyczne zauroczyło Philipa Kelsena piękne Catemaco o krok od Tuxtlas, z jeziorem, które równie dobrze mogłoby leżeć w Niemczech albo w Szwajcarii. Było ono gładkie jak lustro, otoczone górami i gęstą roślinnością, ożywione szmerem niewidzialnych kaskad, trzepotem ptasich skrzydeł i wrzaskiem ogoniastych małp makaków.

Stojąc w dolinie nad jeziorem w kolorze ręki, Philip Kelsen, w akcie całkowitego pojednania młodości z przyszłością, romantycznego ducha z bankierską genealogią, idealizmu z pragmatyzmem i zmysłowości z ascetyzmem, powiedział:

– Tu zostaję. To jest moja ojczyzna.

Do małej Laury dopiero zaczęły docierać zasłyszane opowieści z życia jej pięknego, zdyscyplinowanego i wyprostowanego jak struna niemieckiego dziadka, który mówił tylko po hiszpańsku, chociaż kto wie, czy nadal nie myślał po niemiecku i jaki był język jego snów; dla dziewczynki wszystko zdarzyło się niedawno, dopiero co, a upływ czasu wyznaczany był głównie przez dzień urodzin, kiedy to skoro świt, jeszcze w nocnej koszulce, wychodziła na patio i żeby nikt nie zapomniał złożyć jej życzeń, śpiewała w rytm wdzięcznych podskoków:

*Dwunastego maja
Święta Panna wstała
i swe białe szatki
na się przydziela...*

Wszyscy w domu znali ten rytuał i w dni poprzedzające święto udawali, że o nim nie pamiętają. Jeśli Laura wiedziała, że oni wiedzą, nie dawała tego po sobie poznać. Domownicy starali się wyglądać na zaskoczonych i tak było o wiele piękniej, zwłaszcza tamtego dwunastego maja w piątym roku nowego wieku, kiedy Laura skończyła siedem lat i dostała od dziadka wyjątkowy prezent, chińską lalkę, która miała głowę, ręce i nogi z porcelany, a na szmacianym tułowiu strój mandaryna z czerwonego jedwabiu z czarnymi lamówkami, haftowany w złote smoki. Egzotyczny strój wcale nie speszył małej Laury: obdarowana dziewczynka natychmiast wpadła w zachwyt, a zachwyt zmienił się w miłość od pierwszego wejrzenia do tych malutkich nóżek w białych jedwabnych pończoszках i trzewiczkach z czarnego aksamitu, do tej uśmiechniętej twarzyczki z płaskim nosem, skośnymi oczami i brwiami narysowanymi wysoko, pod grzywką z jedwabnych frędzli. Jednak najbardziej wzruszające były maciupieńkie rączki; mała Laura, dla której był to najpiękniejszy prezent w życiu, ujęła rączkę lalki i podała ją ciotce Hildzie pianistce, ciotce Virginii pisarce, Mutti Letycji kucharce, dziadkowi Felipe farmerowi i babce Cosimie inwalidce, która odruchowo schowała prawą dłoń pod szalem i niezdarnie wyciągnęła do wnuczki lewą rękę.

– Masz już dla niej imię? – zapytała doña Cosima.

– Li Po – odpowiedziała, podśpiewując, Laurta. – Nazwiemy ją Li Po.

Babka spojrzała na nią pytająco; Laura odpowiedziała wzruszeniem ramion, które oznaczało „a bo tak”, wszyscy ją ucałowali i dziewczynka wróciła do łóżka, ułożyła Li Po na

poduszkach i obiecała jej, że nigdy na nią nie krzyknie, choćby sama miała być ukarana, i że choćby jej było ciężko, Li Po zawsze będzie miała swój tron z poduszek, żeby królować w sypialni Laury Díaz.

– Odpocznij, Li Po, śpij i bądź szczęśliwa. Ja zawsze będę o ciebie dbała.

Kiedy Laura zostawiała Li Po w sypialni i wychodziła z domu, dziecięcy instynkt podpowiadał jej w ogrodzie zabawę w powrót do świata natury, tak bujnego, „szczodrego”, ale przede wszystkim tak niewielkiego, bliskiego i dostępnego dla oczu i rąk dziewczynki, która dorastała pośród pulsującej selwy, rozedrganego jeziora i odradzających się wciąż na nowo pól kawowych: tak mówiła swoim dźwięcznym, wysokim głosem ciotka Virginia.

– I na życiodajnej ziemi – dodawała, żeby wszystko zostało powiedziane. – *Most fertile*.

Ale dom chwycił Laurę swymi palcami i trzymał jak w sieci w miniaturowym świecie tropikalnego lasu; ciotka Hilda grała na pianinie (jestem przygnębiona, a jednocześnie podniecona, wstydzę się, ale mam ukrytą przyjemność w tym, że mogę używać moich dziesięciu palców, żeby uwolnić się od siebie samej, wyjść poza siebie, czuć i powiedzieć wszystkim, że muzyka, której słuchają, nie jest moja, że to nie ja, tylko Chopin, ja jestem wykonawczynią, tą, która pozwala owym cudownym dźwiękom przechodzić przez moje ręce, moje palce, wiedząc, że przed domem, w swoim bujanym fotelu, słucha mnie matka, która nie pozwoliła mi zostać w Niemczech i studiować, i stać się wybitną pianistką, prawdziwą artystką, i że słucha mnie ojciec, który zamknął nas w tym miasteczku bez przyszłości; oboje ich obwiniam o utratę mojego własnego przeznaczenia, przeznaczenia Hildy Kelsen, którą mogłam być, a którą już nigdy nie będę, choćbym nie wiem jak się starała, choćby jakiś pomysły zbieg okoliczności, niezależny ode mnie, od mojego rozkazu: „wypełnij się, losie, ponieważ cię stworzyłam”, przyniósł mi szczęście, to nie będzie moje szczęście, to będzie przypadek, dar ślepego fatum: gram te niezwykle smutne preludia Chopina i nie znajduję pocieszenia, uzbrajam się tylko w cierpliwość i czuję potajemną radość w dręczeniu ojca i matki...), ciotka Virginia pisała wiersze (ogarnia mnie zniechęcenie, nie chcę się zniechęcać, chcę uciec któregoś dnia i boję się, że moje zamiłowanie do książek i pisanie jest tylko tym, tylko ucieczką, a nie powołaniem, które mogę tak samo spełniać tu jak i w Niemczech, albo, jak powiedziałam im któregoś dnia – w Chinach, kto wie, czy nie skończę jak lalka mojej małej siostrzenicy, śliczna, ale niema, już na zawsze usadowiona wygodnie na poduszce), Mutti Letycja pomagała kucharce przygotowywać *tamales* (jak to cudownie przyrządzać delikatne nadzienie z mięsa wieprzowego i *chile chipotle*, najpierw zagotować je, potem dusić, a na końcu owijać każdą kulkę z czułością, jak dziecko, w koszulkę z bananowego liścia, łączyć ze sobą smaki i aromaty mięsa i ostrych przypraw, owoców i mąki, co za rozkosz dla podniebienia, przypominają mi się pocałunki Fernanda, mojego męża, ale o tym nie powinnam myśleć, tak zostało postanowione, tak jest najlepiej dla wszystkich, dobrze, że mała dorasta tutaj ze mną, na wsi, każdy ma swoje obowiązki, nie trzeba przyjemności wyczerpywać do cna w młodych latach, trzeba zachować ją na przyszłość, traktować jako rekompensatę, a niejako przywilej, to, co darowane, nuży się szybko, jak kaprys, człowiek myśli, że ma prawo do wszystkiego, a okazuje się, że nie ma do niczego; wolę poczekać cierpliwie, jestem młoda i życie przede mną, życie przede mną...), dziadek Felipe nakładał okulary i przeglądał rachunki (nie mogę się skarżyć, wszystko wyszło dobrze, hacjenda się rozwija, dziewczęta rosną, Hilda ma swoją muzykę, Virginia swoje książki, najbardziej mogłaby narzekać Letycja, oddzielona od męża za obopólną zgodą, nie ma w tym żadnej presji ani tyranii z mojej strony, po prostu oni chcą czekać na przyszłość, a nie myślą o tym, że być może już ją ostatecznie stracili, bo życie trzeba brać na gorąco, tak jak ptaki trzeba chwycać w locie, bo inaczej odlecą na zawsze, ja też rzuciłem się w tę socjalistyczną przygodę, ale wszystko się skończyło i wtedy rzuciłem się przez morze, na ten kontynent bez dna, który wydaje się nie mieć końca, podczas gdy my, Europejczycy, skonsumowaliśmy całą naszą historię, teraz ją trawimy, czasami się nam ona odbija, ba – czasem ją wydalamy,

jesteśmy zasranymi pożeraczami historii, a tutaj trzeba przede wszystkim stworzyć historię, bez błędów popełnionych przez Europę, bez europejskich marzeń i rozczarowań, zaczynając od zera, jaka ulga, jaka władza, wyjść z niczego, być kowalem własnego losu, wtedy można pogodzić się z upadkiem, nieszczęściem, omyłką, bo są one częścią naszego własnego przeznaczenia, a nie jakiegoś historycznego przodka, Napoleona, Bismarcka, Ferdynanda Lassalle'a, Karola Marksa... wszyscy oni mieli mniej wolności na swoich tronach i trybunach niż ja tutaj, kiedy sobie siedzę i podliczam dochody z plantacji kawy, do diabła z tym), a milcząca babka Cosima bujała się wolno na swoim *rocking-chair* przywiezionym z Luizjany zamiast ze stolicy Meksyku (chciałam, żeby Felipe wiedział, że ja też jestem stąd, tylko tyle; kiedy tu przyjechałam i poznałam go, zrozumiałam, że jestem jego ostatnim ustępstwem na rzecz niemieckiej przeszłości; dlaczego wybrał mnie, do tej pory nie wiem; dlaczego mnie tak kocha, przypuszczam, że nie dlatego, żeby zrekompensować mi moją nieszczęsną przygodę w Perote; nigdy nie dał mi odczuć litości, wprost przeciwnie, kochał mnie z prawdziwą męską namiętnością, nasze córki zostały poczęte w bezwstydnej żądzy, przy wulgarnych wyznaniach, o które nikt, kto nas zna, nie śmiałyby nas posądzić. On traktuje mnie jak dziwkę i to mi się podoba, ja mu mówię, że wyobrażam sobie, jak się kocham z bandytą, który mnie okaleczył, i jemu się to podoba, jesteśmy współnikami w miłości zapamiętałej, bez wstydu i niedomówień, znanej tylko nam dwojgu, i dlatego też tak wielkim smutkiem przejmuje nas zbliżająca się do mnie śmierć, która mi mówi, mówi nam obojgu: teraz jedno z was zostanie samo, więc jak się będziecie dalej kochać? Ja tego nie wiem, bo nie mam pojęcia, co się stanie potem, ale on zostanie i może mnie wspominać, wyobrażać sobie, wierzyć, że nie umarłam, tylko uciekłam z tym Uwodzicielem z Papantli, którego nigdy później nie spotkałam. Co bym wtedy zrobiła? zabiłabym go czy poszła za nim? nie, zawsze będę myślała tylko to, co mówię ludziom: postąpiłam tak dlatego, że chciałam uratować pozostałych pasażerów; ale jak mam zapomnieć to zwierzęce spojrzenie, tę samczą postawę, ten tygrysi chód, to niespełnione pożądanie i jego, i moje, nigdy, nigdy, nigdy...

Jej ciotka Hilda grała na pianinie; ciotka Virginia pisała jeszcze gęsim piórem swoje wiersze; jej matka, Letycja, gotowała, nie tylko dlatego, że to lubiła, umiała w genialny sposób, tak jak potrafią tylko w tym nadmorskim regionie, łączyć ryż, fasolę, banany i wieprzowinę, dzieliła gotowane, doprawione cytryną mięso na cienkie włókna do potrawy nazywanej „stare szmaty”, przyrządzała ośmiornicę we własnym sosie, a na deser podawała bezy, budyń, jogurty i „niebiański boczek”, najśłodszą słodycz na świecie, przeniesioną z Barcelony do Hawany, a z Kuby do Veracruz, jakby umyślnie, by osłodzić gorzki los tych ziem nękanymi rewolucjami, podbojami i tyranią.

– O nie, nie chcę nic wiedzieć o przeszłości Meksyku, Ameryka ma tylko przyszłość – perorował z przekonaniem dziadek, kiedy poruszano te odwieczne tematy. Dlatego chodził coraz rzadziej na towarzyskie spotkania, na prośzone obiady, a do baru już nigdy nie wstępował, odkąd, podpiwszy sobie, zachował się bez klasy... Z początku nie chodził też do kościoła, po pierwsze był socjalistą, a po drugie protestantem; jednak – jak to mówią: im mniejsze miasteczko, tym większe piekło – w końcu przejął obyczaje prowincji Veracruz, gdzie wierzono w Boga i w cuda, ale nie w kościół i księży. Kelsenowi to odpowiadało, nie z cynizmu, tylko z wygodnictwa. Ale wszyscy mieszkańcy miasteczka musieli zapomnieć o psychicznym komforcie, kiedy nastał nowy proboszcz, młody ciemnowłosy ksiądz, bez krzty tolerancji, don Elzevir Almonte, przysłany tu z bardzo klerykalnej i bogobojnej miejscowości Puebla de los Angeles. Był on jednym z kilkunastu duchownych, którzy z polecenia arcybiskupa Meksyku zostali przysłani z płaskowyzu, aby wdrażać dyscyplinę i dobre obyczaje wśród rozwiązanych (i zarażających rozwiążnością) wiernych z wybrzeża Zatoki Meksykańskiej.

Cosima Reiter, korespondencyjna narzeczona sprowadzona z Niemiec przez rozczarowanego socjalistę Philipa Kelsena na swoją pierwszą plantację kawy w prowincji

Veracruz, urodziła się i wychowała jako protestantka. Philip-Felipe, który był agnostykiem, zdał sobie sprawę, że w Meksyku nie znajdzie niewierzącej żony; tutaj nawet ateści wierzyli w Boga i nawet dziwki były katoliczkami podległymi Stolicy Apostolskiej w Rzymie.

Zamówić sobie narzeczoną ateistkę w Niemczech epoki cesarza Wilhelma zakrawałoby nie tylko na obelgę, ale wręcz na żart rodem z tropików. Philip zasięgnął rady tu i tam, u krewnych i znajomych; jego uwagę przykuł zwłaszcza jeden dagerotyp przedstawiający dziewczynę o bujnych czarnych włosach, uczesanych z równiutkim przedziałkiem, i wachlarzem w prawej dłoni.

Młody lassalczyk nie przewidział, że na jego młodą żonę, która przybyła do Veracruz jako protestancka narzeczoną, konformistyczne nastroje panujące z reguły we wspólnotach religijnych – bez względu na to, jak znaczące bywają od tej reguły wyjątki – będą miały istotny wpływ, i to z wielu względów. Presja społeczna odegrała tu najmniejszą rolę. Zadecydowało raczej nieuniknione odkrycie, że Philip, czy też Felipe, nie żył jak święty w swoich kawalerskich czasach spędzonych w Veracruz; ten młody cudzoziemiec z długimi falistymi włosami, jasną brodą i greckim profilem, bynajmniej nie prowadził żywota zakonnika. Plotki, krążące po małym miasteczku położonym nad jeziorem, dotarły do uszu Cosimy, jak tylko rozpakowała walizki, i dwadzieścia trzy godziny po ślubie cywilnym piękna i wyniosła Niemka powiedziała do swego osłupiałego małżonka:

– A teraz chcę katolickiego ślubu kościelnego.

– Ale przecież obydwójce przystępowaliśmy do protestanckiej confirmacji. Będziemy musieli zaprzecić się naszej wiary.

– Jesteśmy chrześcijanami. Reszty nikt nie musi wiedzieć.

– Ale nie widzę powodu.

– To dlatego, żeby twoja córka Mulatka była moją druhną i niosła mi welon.

I tak Maria de la O znalazła się, niemal od pierwszego dnia, w domu nowożeńców. Cosima zajęła się wyborem pokoju dla panienki, zarządzając, aby służba tak właśnie się do niej zwracała: panienko; wyznaczyła jej miejsce przy stole, traktowała ją jak córkę i nie chciała wiedzieć nic o jej przeszłości. Nikt nie słyszał, nawet sama Maria de la O, która wówczas miała zaledwie osiem lat, jak Cosima Reiter powiedziała do jej prawdziwej matki: Od pani zależy, jaką przyszłość wybierze pani dla swej córki. Proszę wyjechać gdzieś, gdzie będzie pani najlepiej, do Tampico czy Coatzacoalcos, a nie zabraknie pani niczego.

– Tylko miłości mojej córeczki – odpowiedziała Murzynka, pochlipując.

– W to już chyba sama nie wierzysz – natychmiast przeszła na ty szybko ucząca się reguł i obyczajów młoda pani Kelsen, która teraz, jako stara kobieta, przypominała tamte czasy swojemu mężowi, nie wiedząc, że mała Laura słucha ukryta za donicą z paprotkami.

Maria de la O Kelsen, tak przedstawiła Cosima śliczną Mulateczkę i tak zaakceptował ją don Felipe. Pani domu nie musiała prosić męża, aby dochował wierności swoim humanistycznym ideałom z czasów młodości. Przeprowadziła swoją wolę i zaczęła chodzić na mszę najpierw z małą Mulatką i z książeczką do nabożeństwa trzymaną oburącz, a potem również z trzema pozostałymi córkami i z książeczką do nabożeństwa w jednej ręce, dumna ze swego poczwórnego macierzyństwa, nieczuła na plotki, zdumione spojrzenia, przekleństwa, chociaż złośliwi opowiadali, że prawdziwym ojcem był Uwodziciel z Papantli; kłopot w tym, że bandyta był Kreolem, a doña Cosima Niemką, więc w tym przypadku Maria de la O mogła być wyłącznie wynikiem cech recesywnych z jednej lub drugiej strony.

Siedem lat starsza od najstarszej ze swoich sióstr, Hildy, osiem od Virginii i dziesięć od Letycji, Maria de la O była skorą do śmiechu Mulatką o wdzięcznej twarzyczce i wyprostowanej sylwetce. Na początku – mówiła babka – dziewczyna była zgarbiona, przestraszona jak zagonione w kącie zbite zwierzątko, z czarnymi oczami, pełnymi jeszcze czarniejszych wizji, i Cosima Reiter de Kelsen, matka z własnej woli i z rozsądku, w lot nauczyła Marię de la O chodzić prosto, posuwając się nawet do takich sposobów:

– Połóż sobie ten słownik na głowie i podejź do mnie, ale tak, żeby ci nie spadł. Ostrożniutko.

Nauczyła ją posługiwać się sztuccami, dbać o higienę, ubierała w prześliczne, wykrochmalone białe sukienki, żeby drastycznie kontrastowały z jej ciemną skórą. Wiązała jej białą kokardę we włosach, które nie były skręcone jak u matki, ale proste jak u jej ojca, Philipa.

– O, ciebie tobym zabrała ze sobą do Niemiec – mówiła z dumą Cosima. – Tam byś dopiero zwracała uwagę.

Poszła do kościoła i powiedziała do ojca Moralesa:

– Będę miała dziecko, a potem jeszcze co najmniej dwoje. Nie chcę, żeby którekolwiek z moich dzieci wstydziło się swojej siostry. Chcę, żeby dzieci Kelsenów, które przyjdą na świat, spotkały tu trochę inną Kelsen, ale lepszą od nich.

Przeciągnęła dłonią po białej kokardzie Marii de la O.

– Proszę ją ochrzcić, przygotować do pierwszej komunii, obsypać wszelkimi błogosławieństwami i, na miłość boską, proszę się modlić o jej morale. – Zawahała się chwilę i dodała: – Żeby nam nie wyrosła na dziwkę.

Tak się dobrze złożyło, że proboszcz z Veracruz Jesús Morales był człowiekiem dobrodusznym, ale nie służalczym, i wszystko w nim – jego publiczne kazania, prywatne spotkania, intymna spowiedź – umacniało i rozpalało chrześcijańskie postawy i tak bardzo już nawróconej na rzymski katolicyzm Cosimy Reiter von Kelsen.

– Moje panie, nie zrujnujcie mi moich sukcesów na polu wiary i miłosierdzia. Wszystkie po kolei, co za burdel!

Ksiądz Jesús Morales kochał swoją trzódkę. Jego następca ksiądz Elzevir Almonte chciał ją zreformować. Babce Cosimie brakowało palców, a on miał ich w nadmiarze i groził nimi, wytykał, piętnował... Jego kazania wносиły do tropiku rozrzedzoną atmosferę z płaskowyzu, duszną i bezduszną, nie do wytrzymania. Ludzie zaczęli opowiadać, jakie to gromy rzuca z ambony młody ciemnoskóry ksiądz Almonte: trzeba skończyć z lekkimi tunikami, które podkreślają kobiece kształty, zwłaszcza kiedy materia zmoknie na deszczu; dlatego też bielizna ma być skromna, a parasolki obowiązkowe; koniec z grubiaństwem i miejscowymi wulgarnymi odżywkami; chociaż nie jestem radnym miejskim ani sędzią, zarządzam, że kto będzie przeklinał, nie dostanie do bluźnierczych ust świętego Ciała Zbawiciela, to mi wolno zrobić; skończyły się serenady, które są tylko pretekstem do nocnych ekscytacji i zakłócają chrześcijański wypoczynek; zamyka się burdele, zamyka się bary i o godzinie dziewiątej wieczorem zarządza się bezwarunkową ciszę nocną, bez względu na to, czy władze to zalegalizują, czy nie, ale jakżeby mogły nie zalegalizować, ależ tak, oczywiście; od tej pory nie mówi się „uda”, tylko górna część nóg, mówi się: to, na czym siedzę, a nie...

Wszystko to obwieścił nowy ksiądz z wystudiowaną gestykulacją, przesadną i dwuznaczną, jakby chciał w powietrzu nadać rzeźbiarską formę swoim kategorycznym zakazom. Burdele przeniosły się do Santiago Tuxtla, bary do San Andres, harfiarze i gitarzyści wyprowadzili się do Boca del Río, rozpacz jak epidemia zaczęła szerzyć się wśród miejscowych kupców, a na domiar złego ksiądz Almonte wprowadził niezdrową atmosferę do sakramentu spowiedzi.

– Cóрко, czy przeglądasz się nago w lustrze?

Felipe nie wyrzucał Cosimie nowej wiary. Patrzył jej tylko prosto w twarz za każdym razem, kiedy wracała z niedzielnej mszy, i ona, jak nigdy dotąd, zaczęła spuszczać swoją dumną głowę.

– Czy dotykasz się nieskromnie, kiedy nikt nie widzi, moja cóрко?

Laura przyjrzała się sobie nago w lustrze i zobaczyła tylko to, co zawsze, a już myślała, że ksiądz wyczarował na jej ciele coś nadzwyczajnego, jakiś kwiat w pępku albo włochatego pająka pomiędzy nogami, takiego, jakie miały jej ciotki, kiedy się kąpały na ustronnym

brzegu rzeki, co przestały robić natychmiast, jak tylko ksiądz Almonte zaczął siać podejrzenia na prawo i lewo.

– Chciałabyś zobaczyć, co twój ojciec ma między nogami, moje dziecko?

Laura chciała sprawdzić, czy coś się stanie, więc zaczęła przed lustrem przedrzeźniać dziwne gesty i jeszcze dziwniejsze słowa księdza. Jednocześnie zmieniała głos tak, by był jeszcze bardziej przesłodzony:

– Kobieta jest świątynią zbudowaną na kloace.

– Oglądałaś twojego ojca bez ubrania?

Swojego ojca, Fernanda Diaza, Laura nie oglądała prawie nigdy – ani ubranego, ani bez ubrania. Był buchalterem w jakimś banku, mieszkał w Veracruz z szesnastoletnim synem z poprzedniego małżeństwa i kiedy jego pierwsza żona, Elisa Obregón, zmarła przy porodzie, Fernando zakochał się w młodziutkiej Letycji Kelsen, zaledwie poznał ją na zabawie w Tlacotalpan, i ona też zakochała się w tym dziwnym osobniku rodem z portowego miasta, zawsze ubranym w surdut, kamizelkę i krawat ze szpilką; dla upału robił jedynie to ustępstwo, że nakładał słomkowy kapelusz, nazywany przez Anglików *straw boater* – zapisała ciotka Virginia, znajdując wspólny język z anglofilskim pretendencem do ręki jej siostry. Dziadkowie Kelsenowie, skojarzeni drogą korespondencyjną, nie opierali się tej *love match*, jak uparcie nazywał ich miłość pan Díaz, człowiek wychowywany w kręgu angielskich lektur i wpływów, które Felipe Kelsen, w ramach konsekwentnego zrywania z wpływami niemieckimi, uznał nawet za korzystne. Decyzję o mieszkaniu oddzielnie zaakceptowała sama Letycja i kiedy na świat przyszła mała Laura, dziadek Felipe był niezmiernie rad, że córka z wnuczką mieszkają pod jego opieką na wsi, a nie gdzieś daleko, w hałaśliwym portowym mieście, być może tak pełnym grzechu – powiedział do Cosimy – jak podają złe języki. Ona spojrzała na niego ironicznie. Ach, te małe miasteczka...

Swojej nowej rodzinie (Letycji i małej Laurze, która urodziła się dokładnie po dziewięciu miesiącach) Fernando Díaz powiedział:

– W tej chwili nie mogę dać wam tego, na co zasługujecie. W domu don Felipe będzie wam dobrze. Ja w Catemaco przez całe życie byłbym buchalterem. W Veracruz mogę awansować i wtedy was zabiorę. Nie chcę jałmużny od twojego ojca ani litości od twoich siostr. Nie jestem pasożytem.

Początkowo sytuacja młodej pary w domu Kelsenów w Catemaco była rzeczywiście przykra i krępująca, wszyscy więc odetchnęli, kiedy Fernando Díaz podjął taką decyzję.

– Dlaczego twój syn Santiago nigdy nas nie odwiedza? – pytały niezamężne siostry.

– Studiuje – odpowiadał krótko Fernando.

Laura Díaz płonęła z ciekawości, żeby wiedzieć więcej: jak się poznali rodzice, jak się pobrali, kim był ten tajemniczy przyrodni brat, który w przeciwieństwie do niej miał prawo mieszkać razem z jej ojcem w portowym mieście. Kiedy wszyscy będą razem? To dlatego jej matka z takim poświęceniem zajmowała się gospodarstwem, jakby miała na głowie dwa domy, jeden ojcowski, a drugi nieobecnego męża, jakby gotowała dla tych, którzy mieszkali tutaj, i tych tam... To prawda. Smutek matki i córki ogarniał z wolna cały dom i trzy niezamężne siostry. Hilda grała na pianinie, Virginia pisała i czytała, Maria de la O robiła na drutach szale na czas zimna, kiedy zaczną wiać północne wiatry...

– Nie wyjdziemy za mąż, Letycjo, dopóki nie połączysz się z mężem, jakżeby inaczej – mówiły, niemal jednym głosem, Hilda i Virginia.

– On robi to dla ciebie i dla małej. To nie potrwa długo, jestem pewna – dodawała Maria de la O.

– To niech się pospieszy, bo wszystkie trzy do śmierci zostaniemy starymi pannami – śmiała się samotna Virginia. – Niech o tym pamięta. *Mein Herr!*

Ale prawdziwa samotność doskwierała babce Cosimie.

– Już zrobiłam w życiu wszystko, co miałam zrobić, Felipe, uszanuj teraz moje milczenie.

- A co z twoimi wspomnieniami?
- Żadne nie należy do mnie. Wszystkie je dzielę z tobą. Wszystkie.
- Nie martw się. Wiem o tym.

– W takim razie dobrze ich strzeż i nie proś mnie więcej o słowa. Wszystko ci już powiedziałam.

Doña Cosima oświadczyła to w tysiąc dziewięćset piątym roku, kiedy wydarzyła się tamta sprawa.

Ludzie marginesu – uliczni śpiewacy, awanturnicy, sprośni dowcipnisie – też mogli być bardzo hojni (kiedy odwiedzał ich wielebny), o czym wiedział ksiądz Morales, a czego się nie domyślał ksiądz Almonte. Biedota, robotnicy najmowani do zasiewów i zbiorów, do reperowania sieci, rybacy, przewoźnicy rzeczni, murarze – to oni i ich żony, a nie okoliczni bogacze i nuworysze dawali najwięcej ofiar na kościół.

Don Felipe i inni plantatorzy kawy ofiarowywali pieniądze albo worki żywności, natomiast ci najbiedniejsi przynosili w tajemnicy klejnoty, starą biżuterię dziedziczoną w rodzinach przez wieki, w podziękę Panu Bogu za pomyślność własną i cudze nieszczęście, co jednakowo uważane było za cudowne zrządzenie losu. Naszyjniki z onyxu, srebrne grzebienie, złote bransolety, całe garście szmaragdów – cenne przedmioty wyciągnięte kto wie z jakiego worka, z jakiej kryjówki, piwnicy czy groty, z jakiej dziury w ziemi przykrytej materacem, z jakiej tajemnej kopalni.

Te skarby ksiądz Morales przechowywał skrupulatnie dla swoich wiernych, od których pochodziły, i sprzedawał w Veracruz pojedyncze klejnoty tylko wtedy, jeśli wiedział, że właśnie ta rodzina, która ofiarowała je dla Czarnego Chrystusa z Otatitlán, potrzebuje pieniędzy.

Nad zatoką, we wszystkich nadbrzeżnych wioskach, na święta kościelne budowano podłogę z desek, żeby lepiej było słycać stukot obcasów przy stepowaniu. Wszędzie rozbrzmiewały dźwięki harfy, mandoliny, skrzypiec i gitary. Wszyscy pamiętają, jak właśnie w roku tysiąc dziewięćset piątym, na święto Dzieciątka Jezus z Zongolica, ksiądz Elzevir Almonte nie pojawił się wśród wiernych. Zakrystian poszedł po niego do kościoła, ale nie znalazł ani skarbu, ani proboszcza. Kufer z kosztownościami był pusty, a ksiądz z Puebli zniknął.

– Nie bez racji grzmiał: „Puebla kolebka świętych; Veracruz rozsądnik złodziei”.

Tylko tyle powiedział, ironicznie a dosadnie, don Felipe Kelsen. Lud był mniej powściągliwy i w epitetach nie schodził niżej skurwysyna i bandyty. Cztery córki Kelsenów nie przejęły się tym zbytnio – życie wróci do normy bez księdza złodzieja, bary i burdele zaczną funkcjonować, o północy będą rozlegały się serenady, ci, którzy wyjechali, powrócą... Natomiast od tego dnia milcząca babka Cosima Reiter zaczęła nikać w oczach, tak jakby zdała sobie sprawę, że strwoniła życie, wyznając wiarę, która na to nie zasługiwała, i kochając człowieka uczciwego zamiast (uparcie szeptały złe języki) romantycznego bandyty.

– Laura, dziecko moje – powiedziała pewnego dnia chora już babka, jakby nie chciała tego sekretu zabrać ze sobą do grobu – gdybyś wiedziała, jaki to piękny mężczyzna, jaki szyk, jaka odwaga...

Nie powiedziała jej: dziecko, zawsze ulegaj pokusie, nie bój się, nie wahaj, nic się nie zdarza dwa razy, a mówiąc o szyku i odwadze, nic nie wspomniała o zmysłach, bo była to przyzwoita dama i przykładna babka, ale Laura Díaz zachowała na zawsze w sercu te właśnie słowa, tę lekcję, którą od babki otrzymała. Nie pozwól, żeby ci to uciekło, dziecino, nie pozwól...

– Nic się nie powtarza...

Mała Laura spojrzała w lustro nie po to, żeby zobaczyć w nim pokusy, o których mówił zniechęcony ksiądz Almonte (który ją, nie wiadomo dlaczego, wyłącznie śmieszył), chciała odkryć w nim odmłodzone odbicie chorej babuni, albo przynajmniej jakieś odziedziczone po

niej cechy. Za duży nos, pomyślała rozczarowana, na dodatek zbyt miękkie rysy, błyszczące oczy, w których nie było nic pociągającego, chyba tylko naiwność siedmioletniej dziewczynki. Więcej wyrazu miała chińska lalka Li Po niż jej właścicielka, mała pucołowata wierzcipięta, której nie w głowie były pocałunki i gorące uściski...

W dniu pogrzebu matki cztery Kelsenówny – trzy niezamężne i jedna mężatka – stały na cmentarzu ubrane na czarno na tę okoliczność... Nagle Letycja, matka Laury, zobaczyła nad otwartym grobem niezwyklego ptaka, który wyglądał niemal tak, jakby wyrwał się z własnej mogiły, i wykrzyknęła: „Patrzcie! Biały kruk!”

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, ale Laura, jakby spełniając polecenie zmarłej babki, pobiegła pędem za białym ptakiem: domyśliła się, że kruk albinos wzywa ją: chodź za mną, dziecko, leć ze mną, chcę ci coś pokazać...

Był to dzień, w którym dziewczynka zdała sobie sprawę, gdzie jest i skąd pochodzi, tak jakby babka, umierając, podarowała jej mądrość i skrzydła, żeby mogła wrócić do sel wy, tego tropikalnego lasu, już wiedziała, ale dokazywała jak gdyby nigdy nic, podskakiwała jak zawsze, a jej bliscy, widząc, jak się oddala, wzdychali: to jeszcze dziecko, co dzieci mogą wiedzieć o śmierci, nie znała babki Cosimy w jej najlepszych latach, nie robi tego na złość...

Biegając za białym krukiem, przekroczyła granicę znanego jej świata i od tego dnia zaczęła dostrzegać i kochać wszystko, co widziała i czego dotykała, tak jakby ten dzień śmierci nadszedł po to, żeby mogła poznać coś niepowtarzalnego i przeznaczonego tylko dla niej, tylko dla dziewczynki w tym wieku, jaki właśnie osiągnęła Laura Díaz, urodzona dwunastego maja tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to Święta Panna wstała i swe białe szatki na się przyodziła...

Zobaczyła i od tamtej pory zawsze miała rozpoznawać i kochać drzewa figowe, indiańskie tulipany, chińskie lilie, których każdy pęd zakwita trzy razy w ciągu roku; rozpoznała to, co kiedyś znała, ale co wypadło jej z pamięci – lilie czerwone, palisander, okrągłą kopułę drzewa mangowego; rozpoznała też to, czego nigdy nie widziała, ale miała wrażenie, że to pamięta, a nie odkrywa: idealną symetrię araukarii, która w odpowiedzi na najmniejszy pączek wyrastający na którejkolwiek z gałęzi, wypuszcza natychmiast jego wierną kopię; *trueno* o małych żółtych kwiatkach, cudowne drzewo odporne zarówno na huragany, jak i na suszę.

Już miała krzyknąć z przerażenia, ale przewyciężyła strach, który przerodził się w zdumienie. Przed nią stała gigantyczna kobieca postać. Mała Laura zadrżała, zamknęła oczy, wyciągnęła rękę, postać była z kamienia, ogromna, wypiętrzała się wśród selwy, bardziej w nią wrośnięta niż drzewo chlebowe albo korzenie agresywnego wawrzynu, który niszczy wszystko, kanały nawadniające, rośliny uprawne, całe tereny.

Wielka kamienna figura pokryta szlamem wpatrzona była w wieczność, ciało jej zdobiły węże i ślimaki, głowę mimetyczna korona zielonej puszczy. Przystrojona była w naszyjniki i pierścienie, bransolety na ramionach, kolczyki w uszach, w nosie...

Mała Laura zaczęła biec z powrotem bez tchu, z początku chciała natychmiast opowiedzieć o swoim odkryciu, to była pani selwy, która ofiarowała w darze swoje klejnoty biednym, ta kamienna statua, zagubiona w leśnym gąszczu, strzegła niebiańskich skarbów zrabowanych przez antypatycznego księdza Almonte – co za wstyd! co za wstyd! – a ona, Laura Díaz, już znała sekret selwy, ale poznawszy go, wiedziała, że nie może nikomu o tym opowiedzieć, nie teraz, nie im.

Przestała biec. Wróciła powoli do domu drogą wśród wzgórz o pofałdowanych łagodnych zboczach porośniętych kawą. Na podwórzu domu dziadek Felipe mówił swoim zarządcom, że nie ma innego wyjścia niż obciąć gałęzie wawrzynu, jego korzenie nas osaczają, jakby były żywe, już zaczynają nadzierać kanały nawadniające, rozsadzają cały dom, a na drzewie rosnącym tuż obok hacjendy zbierają się wielkie chmary drozdów, tak nie może być, poza tym nadchodzi pora, kiedy plantacje kawy pokrywają się pajęczynami.

– Trzeba będzie wyciąć parę drzew.

Ciotka Virginia, która w naturalny sposób zajęła fotel matki, mimo że nie była najstarsza, westchnęła.

– A ja tylko słucham – powiedziała do sióstr. – Nie zdają sobie sprawy, że żaden człowiek nie dożyje wieku drzewa...

Laura nie chciała rozmawiać z nikim prócz dziadka. Pociągnęła go za połę czarnego surduta. Dziadku, w puszczy jest taka wielka pani, musisz ją zobaczyć. Dziecko, o czym ty mówisz? Ja cię zaprowadzę, dziadku, bo inaczej nikt mi nie uwierzy, chodź, jak pójdziesz ze mną, nie będę się jej bała, tylko ją uściskam.

Wyobraziła sobie: uściskam ją i ona ożyje, tak się dzieje w bajkach, które opowiadała mi babunia, wystarczy uściskać posąg, żeby dać mu życie.

Zganiła się: jak krótko wytrzymała w postanowieniu, że nikomu nie zdradzi sekretu o wielkiej pani z puszczy.

Dziadek wziął ją za rękę i uśmiechnął się, nie powinien był uśmiechać się w tak smutnym dniu, ale ta śliczna dziewczynka z długimi prostymi włosami i coraz bardziej wyrazistymi rysami już nie pucołowatej twarzyczki, ta Laura, którą dziadek tego dnia zobaczył, zanim ona sama mogła zobaczyć się oczami swej wyobraźni w jakimkolwiek lustrze, zanim mogła nawet wyśnić, jak będzie wyglądała, kiedy dorośnie, z bardzo długimi nogami i rękoma, z wydatnym nosem i ustami węższymi, niż mają dziewczynki w jej wieku (takimi, jakie ma jej ciotka pisarka, Virginia), to dziecko było odrodzonym życiem, powrotem Cosimy, życiem kontynuowanym przez kogoś innego, a on jest jak strażnik, wykonawca testamentu duszy, która potrzebowała pamięci o miłości dwojga ludzi, Cosimy i Felipe, żeby trwać dalej i znaleźć nowy impuls w życiu dziecka, tej dziewczynki – pomyślał stary człowiek ze wzruszeniem: miał sześćdziesiąt sześć lat, a Cosima pięćdziesiąt w chwili śmierci! A mała Laura odkryła polanę w lesie.

– Tam jest kamienny posąg, dziadku. Don Felipe zaczął się śmiać.

– To ceiba, dziecko. Uważaj na nią. To bardzo piękne drzewo, ale bardzo niebezpieczne. Wyobraź sobie, że jest naszpikowana gwoźdźmi, tylko że to nie są gwoździe, ale spiczaste kolce, które ceiba wytwarza dla własnej obrony, rozumiesz? Z ciała ceiby wychodzą szpady, drzewo się uzbroiło, żeby nikt się do niego nie zbliżał, żeby nikt nie mógł go uściskać – powiedział dziadek z uśmiechem. To bardzo złe drzewo!

Potem nadeszły niedobre wieści, w Cananea zastrajkowali górnicy, następny strajk wybuchł w fabryce tekstylnej w Rio Blanco, tu niedaleko, w stanie Veracruz, wojska federalne zdusiły strajki, a trupy robotników wieziono z Orizaba do morza w odkrytych furgonach, żeby wszyscy mogli się przyjrzeć i wyciągnąć wnioski.

– Czy myślisz, że don Porfirio przegra?

– Gdzie tam. To świadczy, że ma taką samą energię jak zawsze, chociaż już dobiega osiemdziesiątki.

– Proszę pana, trzeba będzie wyciąć parę *chalacahuites*.

– Jaka szkoda wycinać drzewa, które dają cień kawie!

– Tak, ale wtedy, kiedy kawa ma dobrą cenę. Teraz ceny bardzo spadły. Lepiej ścinać drzewa i sprzedawać je na drewno.

– Widać Bóg tak chce. Drzewa odrosną.

III. Veracruz: 1910

Przychodził późno. Przychodził wcześniej. Zawsze za późno albo za wcześniej. Zjawiał się niespodziewanie na kolacji. Czasami nie pojawiał się wcale.

Letycja, jak tylko jej mąż Fernando Díaz zabrał ją do Veracruz, całkiem po prostu, bez poczucia, że coś komuś narzuca, wprowadziła ten sam rozkład dnia i organizowała życie podobne do tego, jakie wiodła wcześniej na plantacji kawy w Catemaco. Choćby to portowe miasto było Bóg wie jak hałaśliwe i grubiańskie, słońce wstawało o jednakowej porze nad jeziorem i nad brzegiem morza. Śniadanie o szóstej, obiad o pierwszej, podwieczorek o siódmej i w szczególnych przypadkach kolacja o dziewiątej.

W Veracruz Letycja Kelsen mogła dostać najróżniejsze ryby i wszelkie dary morza, które przyrządzała wyśmienicie: ośmiornica we własnym sosie z białym ryżem, grzanki ze smażonymi bananami i fasolą, oczywiście wcześniej przyrządzoną, *huachinango*, biała ryba z zatoki, pływająca w garnku razem z cebulą, papryką i oliwkami, rozdrobnione mięso z kolendra albo w gęstych ciemnych sosach brudzących obrusy; były tu przy zakonne cukiernie i kawiarnie dla stałych bywalców, spokojne, przyjazne ludziom, którzy znają upalną bezsenność w czasie sjest i księżycowych nocy.

O każdej porze można było zejść do słynnej „Café de la Parroquia”, gdzie kelnerzy w białych fartuchach, z muszkami pod brodą, biegali niby rój os wśród brzęczącego szmeru sali, serwowali bułeczki i jajka po ranczersku, i wlewali do szklanek kawę i mleko z akrobatycznej wysokości, ze zdumiewającą synchronizacją, przywodząc na myśl źle opłacanych prestidigitatorów w nie kończącym się karnawale. Nad wszystkim górowała wielka srebrna maszyna do parzenia kawy, zakupiona w Niemczech, która zajmowała centralne miejsce w głębi kawiarni, skrząc się niczym jaskrawo upierzony ptak, przystrojona w krany, klucze, pianę, kłęby pary i znaki fabryczne. Lebrecht und Justus Krüger, Lübeck, 1887.

Z Europy dochodziły tutaj również ilustrowane pisma i powieści, na które ojciec Laury, Fernando Díaz, oczekiwał każdego miesiąca z niecierpliwością, i wydawało się, że statek pocztowy z Southampton i Le Havre wchodzi do portu tylko po to, żeby sprawić radość temu publicznemu rachmistrzowi, który zawsze stał tam w starannie włożonym słomkowym kapeluszu chroniącym go przed słońcem ciężkim jak wilgotne prześcieradło. Laska z rączką z kości słoniowej. Garnitur z kamizelką, który tak zwracał uwagę w Catemaco, kiedy Fernando przyjeżdżał w konkury do Letycji. Za rękę trzymał Laurę, swoją dwunastoletnią córkę.

– Pisma, tato, najpierw pisma.

– Nie. Najpierw książki dla twojego brata. Idź mu powiedz, że już są.

– Lepiej zaniosę mu je do pokoju.

– Jak chcesz.

– Czy to dobrze, że dwunastoletnia dziewczynka wchodzi do sypialni prawie dwudziestoletniego chłopca? – mówiła przyciszonym głosem Letycja, jak tylko Laura wybiegła, wciąż jeszcze w dziecięcych podskokach.

– Najważniejsze, żeby się kochali i mieli do siebie zaufanie – odpowiadał jej spokojnie mąż, Fernando Díaz.

Letycja wzruszała ramionami, czerwieniła się na wspomnienie cynicznego moralizatorstwa zbiegłego księdza Elzevira Almonte, ale natychmiast spoglądała z dumą na salon swojego nowego mieszkania, które zajmowało piętro nad Bankiem Republiki, gdzie jej mąż, od miesiąca zaledwie, pełnił funkcję dyrektora.

Dotrzymał słowa. Ogromnym wysiłkiem, tak jak obiecał, awansował z kasjera na rachmistrza, a potem na dyrektora banku, poświęcając – mówił Letycji – jedenaście lat małżeńskiego pożycia, kontakty z córeczką i porządek w domu, jeśli w ogóle można użyć słowa: dom w przypadku mieszkania dwóch samotnych mężczyzn – Fernanda i Santiago, jego syna z pierwszego małżeństwa ze zmarłą Elisą Obregón – gdzie chociażby mieli najlepszą obsługę, zawsze można było znaleźć a to zapalone, a to zgaszone cygareto, otwartą książkę na łóżku, skarpetkę pod łóżkiem, pościel nie sprzątniętą przez długie godziny.

Teraz Santiago leżał w łóżku w swoim nowym i wygodnym, prawie wytwornym domu. Falbanki na przodzie jego długiej nocnej koszuli przypominały gołębie gniazdo. Ściągnął rozłożone nogi, kiedy jego przyrodnia siostra Laura weszła do pokoju ze stosem książek na rękach splecionych w formie niestabilnej kołyski. Książki chyliły się jak wieża w Pizie i gdyby Santiago nie pospieszył w porę z pomocą, Anatole France i Paul Bourget znaleźliby się na ziemi.

Od pierwszej chwili „przypadli sobie do gustu”, jak to się wówczas mówiło, i chociaż ich spotkanie było nieuchronne, zarówno Letycja, jak jej mąż Fernando mieli pewne obawy, których początkowo nie chcieli przed sobą ujawniać. Matka bała się, że dziewczynka w wieku dojrzewania będzie narażona na nieodpowiednie wpływy i kontakty wynikające właśnie z bliskości o dziewięć lat starszego od niej chłopca. To jej brat, tak, ale jednak nieznamy, jakaś nowość. A czyż nie było już wystarczającą nowością to przejście od tak dawna oczekiwane, a tyle razy odkładane, od patriarchy don Felipe Kelsena i życia wiejskiego przy okaleczonej babce i czterech pracowitych siostrach do nowych warunków, ta separacja od matki, która przestała spać z nią w jednej sypialni i poszła do łóżka ojca, nie pozwalając córce (a było to pierwszym naiwnym pragnieniem dziewczynki) spać razem ze swoim przyrodnim bratem? Czyż można założyć kraty na fale jeziora? W tropiku kobiety dojrzewają bardzo wcześnie, Fernando. Ja wyszłam za ciebie, jak miałam siedemnaście lat.

Nie mówiłam całej prawdy, na twarzy moich rodzonych siostr i siostry przyrodniej widziałam samotność, wszystkie trzy czekało staropanieństwo, gdyż marzyły o innym życiu, Virginia chciała być pisarką, Hilda pianistką koncertową, i wiedziały, że nigdy tego nie osiągną, ale też, że nigdy, przenigdy nie zrezygnują ze swych marzeń, i ten niemy i bolesny upór sprawiał, że jedna pisała wiersze, a druga grała na pianinie dla rzesz niewidzialnych czytelników i słuchaczy, a właściwie dla dwóch osób, do których ich sonety i sonaty kierowane były jak wyrzut: ich rodziców Felipe i Cosimy. Natomiast Maria de la O nigdy nie wyszłaby za mąż ze zwykłej wdzięczności. Cosima uratowała ją od nieszczęsnego losu. Maria de la O na zawsze miała pozostać z ludźmi, którzy dali jej oparcie. Letycja bardzo wcześnie poznała regułę, że najlepiej zachować milczenie w rodzinie, gdzie zachodzi nierówny podział na fortunę ojca Felipe i niefortunny los matki Cosimy i siostr, postanowiła więc wyjść za mąż jak najprędzej, bez żadnych niemal warunków, żeby tylko uciec od życia wśród marzeń ulotnych, niewyraźnych, szarych, bezkształtnych, które czyniły z trzech kobiet z Catemaco aktorki pantomimy we mgle. Wyszła za Fernanda i uniknęła staropanieństwa. Urodziła córkę i uniknęła bezdzietności. Została przy rodzinie i uniknęła – to była jej wymówka – niewdzięczności. Jej mąż Fernando zrozumiał to, gdyż on sam potrzebował czasu, żeby móc awansować i zapewnić Letycji i Laurze lepsze życie, a swemu synowi Santiago warunki, jakich wymaga chłopiec chowany bez matki, tak więc ta szczególna umowa pomiędzy Fernandem a Letycją wydawała się im obojgu nie tylko rozsądna, ale także możliwa do zniesienia.

Ten związek umocniła sytuacja, w której don Felipe Kelsen był zmuszony zwrócić się do swego zięcia o pomoc, a był to czas ostatnich lat prezydenta Porfiria Diaza, kiedy tłumione krwawo strajki, zaczątki rewolucji na północy kraju, działania anarchosyndykalistów tu, w samym Veracruz, przedwczesne deklaracje don Porfiria w rozmowie z amerykańskim dziennikarzem Creelmanem („Meksyk dojrzał do demokracji”) i kampania przeciwko

reelekcji prowadzona przez Maderę i braci Flores Magón zasiały niepokój na rynkach, Veracruz przegrała konkurencję z przemysłem cukrowniczym Kuby odbudowanym po okrutnej wojnie pomiędzy Hiszpanią i Stanami Zjednoczonymi i Niemieckie Towarzystwo Górnicze w meksykańskiej stolicy tym razem odmówiło tradycyjnej pomocy niemieckim przedsiębiorcom działającym w Meksyku. Wojna w Europie wisiała na włosku. Na Bałkanach wrzało. Francja i Anglia zawiązały Entente Cordiale, a Niemcy, Włochy i Austro-Węgry Trójprzymierze: pozostało tylko budować okopy i czekać na iskrę, która podpali Europę. Kapitał rezerwowano, żeby finansować wojnę i podnosić ceny, a nie po to, żeby udzielać kredytów plantacjom niemiecko-meksykańskim...

– Mam dwieście tysięcy krzaków kawy, które dają mi tysiąc pięćset kwintali ziarna – dodał don Felipe. – Potrzebuję tylko kredytu, potrzebuję gotówki...

Jego zięć Fernando Díaz powiedział, żeby się nie martwił. Właśnie awansował na dyrektora Banku Republiki w Veracruz i sam osobiście zajmie się przyznaniem kredytu dla don Felipe i pięknej hacjendy „La Peregrina”, nazwanej tak na cześć uroczej niemieckiej narzeczonej, doñi Cosimy. Bank odbierze swoją należność, sprzedając zbiory przedsiębiorstwom handlowym w mieście, weźmie prowizję od sprzedaży, a zysk będzie przekazywał na rzecz plantacji Kelsena. Letycja, razem z córeczką Laurą mogły w końcu zamieszkać razem z *pater familias* Fernandem Diazem i jego synem Santiago pod dachem Dyrekcji Banku Republiki w Veracruz.

Jakże inne było życie Laury w domu otoczonym ulicami, a nie polami, jak dziwnie było mieszkać na drugim piętrze nad samym bankiem, widzieć, jak pod oknami cały dzień przechodzą obcy ludzie, lizać pręty balkonu, bo smakowały jak sól, i patrzeć na morze w porcie Veracruz, ołowiane, ciężkie, senne, połyskliwe, odpoczywające po niedawnej burzy, a już gotowe do następnej, czuć gorące morskie opary zamiast rześkiego chłodu jeziora... Gigantyczna postać ozdobiona klejnotami, strażniczka selwy, którą widziała, nie była snem, to nie była ceiba, dziadek Felipe musiał uważać ją za prawdziwą kretynkę...

– Grube ściany, szmer bieżącej wody, przewiew i dużo gorącej kawy to najlepsza obrona przed upałem – wyrokowała coraz bardziej pewna siebie Letycja, teraz, kiedy była panią domu, wyzwolona w końcu spod kurateli ojca i połączona z mężem, w którym znalazła wszystko to, co urzekło ją wtedy, gdy się poznali na święcie Matki Boskiej Gromnicznej w Tlacotalpan.

Był to człowiek wrażliwy. Odpowiedzialny i operatywny. Ambitny. Czytał po angielsku i francusku, chociaż bardziej ulegał wpływom angielskim niż francuskim. Ale miał świadomość jakiegoś dziwnego defektu, który mu nie pozwalał zrozumieć tajemnic życia, zawilości, które są najistotniejszym elementem ludzkiej duszy, bez przesądzenia, co jest dobre, a co złe. Czytał wiele powieści, żeby ten brak nadrobić. A jednak i tak dla Fernanda życie było takie, jakie było: praca jako podstawa, awans jako obowiązek, przyjemności w ramach rozsądku, a osobowość, własna czy cudza, pozostawała tajemnicą, którą należało uszanować.

Grzebanie w duszy innych ludzi było dla tego dojrzałego, czterdziestopięcioletniego mężczyzny czczym gadulstwem, wścibstwem godnym starych przekupek. Letycja kochała go, ponieważ teraz, kiedy miała dwadzieścia osiem lat, choć wyszła za mąż w wieku lat siedemnastu, dzieliła z mężem wszystkie opinie i tak jak on była zupełnie bezradna wobec nieodgadnionej natury reszty ludzi. Chociaż kiedy pierwszy i jedyny raz użyła tego słowa „reszta”, Fernando podniósł oczy znad powieści Thomasa Hardy’ego i powiedział: nigdy nie mów reszta, bo to brzmi tak, jakby byli zbędni, niepotrzebni.

– Radzę ci, żebyś zawsze ludzi jakoś nazywała.

– Nawet nieznanomych?

– Wymyślaj nazwy. Twarz albo ubiór powiedzą ci, kto jest kim.

– „Zezowaty”, „czupiradło”, „śmieciarz”, czy tak? – śmiała się Letycja, a mąż wtórował jej swoim charakterystycznym, bezgłośnym śmiechem.

Uwodziciel. Ten przydomek był znany Laurze od dzieciństwa, gdyż dotyczył bandyty, który obciął palce babuni Cosimie, i chciała go przypisać (tak tylko w sekrecie, myślała) swojemu pięknemu przyrodniemu bratu, który teraz, o dwunastej w południe, był ubrany na biało – wysoki sztywny kołnierzyk, jedwabny krawat, lniane spodnie i marynarka, wysokie czarne buty ze skomplikowanym wiązaniem na rzemyki. Jego niezwykle regularne rysy zwracały uwagę symetrią, która Laurze przypominała gałęzie araukarii w tropikalnym lesie. Wszystko w nim było doskonale regularne i gdyby tak od chwili wstania z łóżka towarzyszył mu cień, byłby jego dokładnym odbiciem bez najmniejszego odchylenia, zawsze obecnym, zawsze obok Santiago.

Jakby dla zburzenia tej idealnej symetrii swojej twarzy używał delikatnych okularów w niemal niewidocznej srebrnej oprawce, które pogłębiały jego spojrzenie, skupione zresztą także i bez okularów. Dlatego mógł bawić się nimi, chować je na chwilę do kieszeni marynarki, udawać, że z nich strzela, potem rzucać je wysoko w górę i zręcznie łapać, zanim znowu wsunął je do kieszeni. Laura Díaz nigdy nie знаła nikogo podobnego.

– Skończyłem szkołę średnią. Teraz ojciec dał mi urlop.

– Co to znaczy?

– Rok wolności, zanim zadecyduję, co naprawdę chciałbym robić. Jak to Lew. Więc widzisz.

– Bardzo rzadko cię widzę, Santiago. Wciąż gdzieś uciekasz.

Chłopak śmiał się, brał do ręki laskę i burzył nią siostrzyczcze włosy, a ona była wściekła, że sobie na to pozwala.

– Już mam dwanaście lat. No, prawie.

– Szkoda, że nie piętnaście, bobym cię porwał – śmiał się Santiago.

Don Fernando z okna gabinetu obserwował swojego eleganckiego, smukłego syna, przechodzącego ulicą, i ogarniał go lęk, że żona może mieć do niego żal, nie tyle o te dwanaście lat rozłąki i czekania, nawet nie o to, że Fernando mieszkał z synem, a nie z nią i córką... W końcu one są do siebie bardzo przywiązane, a ta separacja była uzgodniona i rozumiana jako podwaliny pewnych stałych wartości, które, w odpowiednim momencie, miały być gwarancją stabilności wspólnego życia.

W głębi duszy Fernando był przekonany, że ta próba, której się poddali (a bardziej niż próba czy poświęcenie – antycypacja, świadome zamierzenie, szczęście odłożone na później), nie tylko nie była czymś wyjątkowym w czasach, w jakich przyszło im żyć, kiedy to narzeczeństwa ciągnęły się w nieskończoność, ale że takie doświadczenie będzie czymś w rodzaju retrospektywnej aureoli dla ich małżeństwa.

Bał się czego innego. Bał się o Santiago.

Jego syn był dowodem na to, że największy choćby wysiłek rodzica skierowany na wychowanie dziecka nie wystarczy, aby ukształtować je według własnej normy. Fernando zadawał sobie pytania: Gdybym dał mu całkowitą wolność, może lepiej byśmy się rozumieli? Czy proponując mu własne wartości, sprawiłem, że jest inny?

Odpowiedź na te pytania rozbijała się o próg tajemnicy, której Fernando Díaz nie potrafił zgłębić: o cudzą osobowość. Kim był jego syn, czego chciał, co robił, co myślał? Tego ojciec nie wiedział. Kiedy Santiago poprosił go o rok wolnego po skończeniu szkoły średniej, zanim zacznie studia na uniwersytecie, Fernando przystał na to z radością. W uporządkowanym umyśle księgowego i dyrektora banku wszystko wydawało się zgadzać: kiedy Santiago kończy szkołę, przybywa druga żona z drugim dzieckiem. To, że syna przez ten „wolny” rok nie będzie w domu (pomyślał z pewnym wstydem Fernando), pozwoli nowej rodzinie dotrzeć się bez problemów.

– Gdzie chcesz spędzić ten rok?

– Tu, w Veracruz, tato. Popatrz, jakie to śmieszne, że najmniej znam moje własne miasto, ten port. Co o tym sądzisz?

A był takim dobrym uczniem, pożerał książki, świetnie pisał od wczesnej młodości. W czasopiśmie młodzieżowych publikował poezje, recenzje literackie, artykuły o sztuce... Poeta Salvador Díaz Mirón, u którego pobierał lekcje, wróżył mu wielką przyszłość. Skąd brałem pewność, że to wszystko jest zapowiedzią ciągłości, może powolnej, ale jednak ciągłości? – zadawał sobie pytanie Fernando Díaz. A więc nie miała to być prawidłowość, tylko bunt, tylko fatalny wyjątek? Fernando wyobrażał sobie, że jego syn, prosząc go o rok odpoczynku po skończeniu gimnazjum, uda się w podróż – coś w rodzaju *grand tour* jak w angielskich powieściach (zebrał już nawet na to odpowiednią sumę) – i zaspokoiwszy ciekawość młodości, będzie kontynuował studia, karierę literacką, założy rodzinę.

– Zostanę w domu, tato, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, synu, to twój dom. Nie musisz o to pytać. Nie miał się czego obawiać. Prywatne życie Fernanda Diaza było bez skazy. Jeśli chodzi o przeszłość, wszyscy wiedzieli, że pierwsza żona Fernanda, Elisa Obregón, pochodząca z rodziny emigrantów kanaryjskich, zmarła, wydając na świat Santiago, i że swoje pierwsze siedem lat życia ten poeta ze świeżo uzyskanym dyplomem spędził niemal całkowicie pod opieką jezuickiego księdza w Orizabie, a w tym czasie jego ojciec, don Fernando, ożenił się po raz drugi, ale nową rodzinę pozostawił w Catemaco, natomiast sprowadził swego syna Santiago i zamieszkał z nim w Veracruz.

Zapytany o powody takiego postępowania na jakimś miejscowym spotkaniu, ten prawy, uczciwy człowiek o ścisłym umyśle, lecz niewielkiej wyobraźni, powiedział, że czasem obowiązek trzeba przedłożyć nad satysfakcję, która w ostatecznym rozrachunku będzie podwójna.

Te powody, które zdawały się przekonywać obecnych na spotkaniu gości, wywołały złośliwy komentarz poety Salvadora Diaza Mirona, który również się tam znajdował:

– Nie sądziłem, don Fernando, że jest pan bardziej barokowy niż sam Góngora we własnej osobie.

Ale tak jak don Fernando nie potrafił przeniknąć cudzej tajemnicy, tak również nikt nie potrafił – być może dlatego, że nie istniała – przeniknąć jego własnej. Z wyjątkiem jego idealnej drugiej żony Letycji, która po prostu była taka sama jak on. A jednak ich układ na początku małżeństwa rzeczywiście był barokowy. W ciągu jedenastu lat Letycja raz w miesiącu przyjeżdżała do Veracruz w towarzystwie swojej przyrodniej siostry Marii de la O w odwiedziny do Fernanda, który wynajmował pokój w hotelu Diligencias, żeby mogli zostać sami, a Maria de la O zniknęła dyskretnie i tylko babka bez palców, doña Cosima Kelsen, wiedziała, gdzie wtedy chodziła. Ze swej strony Fernando raz na trzy miesiące przyjeżdżał do Catemaco, witał się z niemieckim teściem i bawił z małą Laurą.

W mieście ojciec i syn zajmowali dwa połączone ze sobą pokoje w pensjonacie: Santiago sypialnię, żeby mógł uczyć się i pisać, Fernando salonik, gdzie wpadał między godzinami pracy. Każdy z nich miał swoją miednicę i lustro dla osobistej higieny. Murzynka o włosach pierzastych jak chmury zajmowała się nocnikami. Łaźnia publiczna znajdowała się o dwie przecznice dalej. Jedli w pensjonacie.

Teraz wszystko się zmieniło. Rezydencja dyrektora nad bankiem miała wszelkie wygody, wielki salon z widokiem na port, wiklinową leżankę idealną na upały, lakierowane drewniane stoły z marmurowymi blatami, fotele bujane, bibeloty, lampy już elektryczne, ale ze starymi kandelabrami, i komody – gdzie w gablotkach stały najróżniejsze figurki z drezdeńskiej porcelany, dworzanie w zalotnych pozach i rozmarzone pasterki. Na ścianie wisiały dwa pouczające obrazy. Na pierwszym łobuziak drażni kijem śpiącego psa, na drugim pies gryzie chłopca w łydkę, gdyż ten nie zdążył wskoczyć na murek, i teraz płacze...

– *Let sleeping dogs lie...* – mówił niezmiennie pan Díaz, kiedy z ukosa rzucał okiem na to rodzajowe malarstwo.

W jadalni stał stół na dwanaście osób i również nie brakowało gablotek. Tutaj pełne one były zastaw stołowych z ręcznie malowanymi scenami z wojen napoleońskich, czasem obrzeżonymi wypukłą obwódka w formie girland.

Wewnętrzny przedpokój, *pantry*, jak nazywał go Fernando, łączył jadalnię z kuchnią pachnącą ziołami, sosami i tropikalnymi owocami, które, przecięte na pół, ociekały sokiem. Kuchnia z rozżarzoną węglą, gdzie ogień pod patelniami i rynkami glinianymi wymagał nieustannej pracy rąk, które by go podsycaly za pomocą plecionych wachlarzy. Dla doñi Letycji nie było większej radości niż doglądanie paleniska z cegieł i *żelaza* oraz silne wachlowanie tłącego się żaru, kiedy ten, rozdmuchany, sprawiał, że wszystko zaczynało bulgotać: rosół, ryż, zupy, kiedy Indianki z gór Zongolica klepały tortille, a Murzynek Zampayita podlewał donice z kwiatami w holach i nucił coś jakby hymn na cześć siebie samego:

*Kiedy tańczy Murzynek Zampaya,
wszystkim czkawka od razu ustaje,
bo ten taniec, ten taniec, ten taniec
taką siłę ma...*

Czasem mała Laura, z głową na matczynych kolanach, słuchała zachwycona po raz niewiadomo której historii o tym, jak rodzice spotkali się na święcie Matki Boskiej Gromnicznej w Tlacotalpan, miasteczku małym jak zabawka, gdzie drugiego lutego każdego roku wszyscy, nawet starcy, tańczą przy dźwiękach klarnetu i gitary na estradach z desek nad rzeką Papaloapan, którą płynie Matka Boska przekazywana z łodzi do łodzi, a miejscowi robią zakłady, czy Najświętsza Panienka ma te same włosy co w zeszłym roku, ofiarowane Jej przez Dulce Marię Estévez, czy też te, które oddała Jej niedawno z dużym samozaparciem María Elena Muñoz, gdyż Matka Boska potrzebowała co roku nowych, świeżych loków, i każda przyzwoita panienka poczytywała sobie za wielki zaszczyt móc poświęcić jej swoje włosy.

Mężczyźni jadący szeregiem na koniach zdejmują kapelusze na widok Matki Boskiej, ale trzydziestodwuletni wdowiec z Veracruz, don Fernando Díaz, nie odrywa oczu od wysokiej, smukłej, subtelnej siedemnastoletniej panienki Letycji Kelsen (zapytał, więc mu powiedziano), ubranej w białą sukienkę, sztywną jak pergamin, bosej, nie dlatego, żeby nie miała butów, ale dlatego (jak powiedziała, kiedy Fernando podał jej ramię, żeby nie ześlizgnęła się po błotnistym zboczu), że w Tlacotalpan największą przyjemnością jest bieganie boso po trawiastych uliczkach. Czy pan zna jakieś inne miasteczko, gdzie ulice są porośnięte trawą? Nie – roześmiał się Fernando i sam, na oczach zdziwionych i rozbawionych gapiów, zdjął buty ze skomplikowanym zapięciem na guziki i rzemyki, a także skarpetki w białe i czerwone paski, co doprowadziło pannę Letycję do ataku śmiechu.

– Skarpetki jak u pajaca!

On zaczerwienił się i był zły na siebie, że zachował się w sposób tak odbiegający od jego normalnego, wyważonego postępowania. Ona pokochała go od razu za to tylko, że zdjął buty i że zrobił się taki czerwony jak jego skarpetki.

– No i co, i co? – dopytywała się Laura, która znała na pamięć tę historię.

– A to, że tego miasteczka nie da się opisać, trzeba je zobaczyć – wtrącał się wtedy ojciec.

– Jakie jest? Jakie?

– Jak dla lalek – ciągnęła dalej doña Letycja. – Wszystkie domy są niziutkie, podobne do siebie, ale każdy w innym kolorze.

– Niebieskim, różowym, zielonym, czerwonym, pomarańczowym, białym, żółtym, liliowym... – wyliczała dziewczynka.

– Najpiękniejsze ściany na świecie – podsumowywał ojciec, zapalając hawańskie cygaro.

– Miasteczko dla lalek...

Teraz, kiedy mieli wielkie mieszkanie w porcie, przyjeżdżały do nich z wizytą siostry Kelsen i don Fernando podśmiewał się z nich:

– Czyż nie miałyście wyjść za mąż, jak tylko Letycja, Laura i ja zamieszkamy razem?

– A kto będzie się opiekował Marią de la O?

– Zawsze znajdziecie jakiś pretekst – odpowiadał, śmiejąc się, don Fernando.

– To najświętsza prawda – przyznawała mu rację Maria de la O. – Ja będę się opiekować ojcem, a Hilda i Virginia mogą opuścić dom i wyjść za mąż, kiedy zechcą.

– Ja nie potrzebuję męża! – wykrzykiwała ze śmiechem Virginia pisarka... – *Je suis la belle ténébreuse...* nie potrzebuję, żeby mnie podziwiano.

Te śmiechy i to dowcipkowanie przerywała wtedy pianistka Hilda, kończąc dyskusję słowami, których nikt nie rozumiał:

„Wszystko jest ukryte, wszystko na nas czyha”.

Fernando patrzył na Letycję, Letycja na Laurę, a dziewczynka przedrzeźniała ciotkę o najbielszej ze wszystkich twarzy, i poruszała palcami, jakby grała na pianinie, aż ciotka Virginia dawała jej porządnego kuksańca i mała Laura wstrzymywała złość i łzy.

Odwiedziny ciotek były okazją do zapraszania gości z miejscowego towarzystwa. Raz zdarzyło się, że w domu była już grupa osób, kiedy weszła spóźniona María de la O i jakaś dama powiedziała:

– O, czarna służąca, dobrze, że przyszłaś. Powachluj mnie trochę. No, nie leń się, tak mi gorąco...

Śmiechy zamarły, Maria de la O nie poruszyła się. Laura wstała, wzięła ciotkę za ramię i podprowadziła do fotela.

– Usiądź tu, cioteczko, ja z przyjemnością powachluję najpierw tamtą panią, a potem ciebie, kochanie.

Laura Díaz myśli, że wszystko w jej życiu zmieniło się tamtej nocy, kiedy obudził ją chrapliwy jęk, dobiegający z sypialni brata, położonej obok jej pokoju. Przestraszyła się, ale nie pobiegła na palcach przez korytarz do drzwi Santiago, tylko czekała. Kiedy znowu usłyszała stłumione bolesne jęki, otworzyła drzwi bez pukania i zobaczyła na pełnej cierpienia twarzy Santiago, w jego oczach, niespodziewany, niezapomniany wyraz wdzięczności za jej obecność, chociaż zaprzeczyły temu jego słowa: Lauro, nie rób hałasu, wracaj do siebie, jeszcze kogoś obudzisz...

Koszulę miał rozdartą od barku i prawą ręką ścisnął mocno lewe przedramię. Czy mogła mu w czymś pomóc?

– Nie. Tak. Idź spać i nikomu o tym nie mów. Przysięgnij mi. Ja sam sobie dam radę.

Laura zrobiła znak krzyża. Pierwszy raz w życiu, chociaż to nie zostało powiedziane, ktoś jej potrzebował, to nie ona prosiła o coś, to ją proszono, choć słowo brzmiało „nie”, znaczyło „tak, Lauro, pomóż mi...”

Od tej nocy każdej soboty wychodzili razem na bulwar, trzymając się za ręce; Laura czuła, że jego ręka jest sztywna, napięta, to trwało aż do zagojenia rany na ramieniu. Był to ich wspólny sekret i Santiago wiedział, że może na nią liczyć, a ona czuła się inna, dumna z tego, że on o tym wie. I tylko wtedy, w tych rozmowach z bratem, Laura czuła, że należy do Veracruz, że morze i niebo łączą się tutaj w jedną wibrującą redę, że wiatry z morza i z nieba razem wieją tak silnie, żeby dotrzeć za miasto, zakołysać rozświetloną i opustoszałą równiną, a potem zgubić się w lesie. Jemu na pewno mogła opowiedzieć historie z Catemaco. On na pewno uwierzyłby, że kamienna kobieta z głębi puszczy to posąg, a nie drzewo.

– Oczywiście. Ta figura reprezentuje kulturę Zapotal. Twój dziadek tego nie wie?

Laura kręciła głową i ciemne, pachnące mydłem loki falowały, nie, dziadek przecież nie wie wszystkiego.

– Ma rację tata, kiedy mówi: „Santiago wyczerpał całą inteligencję przeznaczoną dla rodziny, i zostawił nam nędzne resztki”.

Santiago śmiał się i tłumaczył ze swego śmiechu, mówiąc, że Laura wie więcej od niego o drzewach, ptakach, o całej przyrodzie. On o tym nie ma pojęcia, pragnąłby tylko pewnego dnia zniknąć i stać się selwą, zmienić się w jedno z tych drzew, które dziewczynka знаła tak dobrze: palisander, araukaria, *trueno* o symetrycznych kwiatach, wawrzyn.

– Nie, to niedobre drzewo.

– Ale jest piękne.

– Wszystko niszczy, wszystko zagłusza...

– A ceiba?

– Nie, ceiba też nie. Jej gałęzie obsiadają drozdy i wszystko jest zapaskudzone.

Santiago, pokładając się ze śmiechu, wymieniał: liliowe kosańce, tulipany, a ona: tak, te tak, te tak, Santiago, i śmiała się już nie jak dziewczynka – pomyślała zaskoczona, śmiejąc się jak kobieta, już nie ta mała Laura z ciemnymi lokami o zapachu mydła. Przy Santiago poczuła, że do tej pory była jak jej chińska lalka Li Po. Teraz wszystko się zmieni.

– Nie, ceiby nie można objąć. Z jej pnia wyrastają sztylety. Spojrzała na zranione ramię brata, ale nie powiedziała ani słowa.

Odtąd czekał na nią w każdą sobotę przed domem, w którym razem mieszkali, tak jakby przychodził skądinąd, i przynosił jej podarunki, bukietki kwiatów, muszlę, żeby posłuchała szumu oceanu, rozgwiazdę, pocztówkę, papierową łódkę, a Letycja, która rozwieszała bieliznę na tarasie (robiła to osobiście, tak jak w Catemaco, lubiła dotykać świeżo upranej bielizny), spoglądała za nimi z niepokojem, nie wiedząc, że jej mąż Fernando zachowuje się tak samo, stojąc na balkonie salonu.

Dziewczynka na tych spacerach otrzymywała o wiele więcej niż tylko muszle, rozgwiazdy i kwiaty. Jej przyrodni brat rozmawiał z nią tak, jakby była starsza, jakby miała nie te swoje niezdecydowane dwanaście lat, ale dwadzieścia, jak on, albo więcej. Czy potrzebował kogoś, żeby się przed nim otworzyć, czy też rzeczywiście traktował ją serio?

A ponadto czy wierzył, że ona rozumie to wszystko, o czym jej opowiadał? Dziewczynce wystarczyło do szczęścia, że chodzą razem na spacer, że on tyle jej daje, nie chodziło o te drobne prezenty, ale o to, co dawał jej z siebie, co jej mówił, co jego towarzystwo wnosiło w jej życie.

Pewnego popołudnia, kiedy nie zjawiał się na spotkanie (ona stała oparta o ścianę domu, w którym na parterze znajdowały się biura banku), poczuła się tak bezbronna wśród pograżonego w słońcu miasta, że chciała co prędzej pobiec do swego pokoju, ale wydało jej się to dezercją, tchórzostwem (nie znała dobrze tych słów, ale od tej pory znała to uczucie), i pomyślała, że najchętniej zagubiłaby się w selwie, gdzie mogłaby się ukryć i dorastać w samotności, w wyznaczonym jej czasie, bez tego chłopca tak pięknego i inteligentnego, który zbyt szybko wprowadzał ją w wiek jeszcze jej nienależny...

Ruszyła przed siebie i natknęła się na Santiago, opartego o inną ścianę za rogiem. Śmieli się. Pocałowali się. To było nieporozumienie. Wybaczyli sobie.

– Myślałam o tym, że nad jeziorem to ja pokazywałabym ci różne rzeczy.

– Bez ciebie, Lauro, zabłądziłbym w lesie. Ja jestem stąd, z miasta, z portu. Przyroda mnie przeraża.

Spojrzała na niego pytająco.

– Ona będzie trwała dłużej niż ty. Niż ja.

Podeszli do doków, gdzie on zatrzymał się z tak skupionym wyrazem twarzy, że ogarnął ją strach, tak jak wtedy, kiedy powiedział, że czasami ma ochotę wejść do tej selwy, którą ona tak lubi, zaszyć się tam na zawsze i nigdy nie oglądać ludzkiej twarzy.

- Czego się po mnie spodziewają, Lauro?
- Wszyscy mówią, że jesteś diabelnie inteligentny, że bardzo ładnie piszesz i opowiadasz. Nasz ojciec zawsze twierdzi, że daleko zajdziesz.
- Nasz stary to dobry człowiek. Ale wyraża tylko pobożne życzenia. Któregoś dnia pokażę ci, co piszę.
- To cudownie!
- Nic genialnego. Jest to poprawne. Piszę o tym, na czym się znam.
- Czy nie wystarczy to, co mówisz, Santiago?
- Nie, to nie to. Wiesz, jedyna rzecz, której naprawdę nienawidzę, to przeciętność. Nasz ojciec jest właśnie taki, przepraszam, że ci to mówię, jest dobrą owcą w zawodowym stadzie. Ale nie można być częścią stada artystów, być w sztuce, w literaturze jednym z wielu... To by mnie zabiło, wolę być nikiem niż takim sobie...
- Nie jesteś taki sobie, Santiago, nie mów takich rzeczy, jesteś najlepszy, przysięgam ci...
- A ty jesteś najładniejsza, ja ci to mówię.
- Och, Santiago, nie staraj się być zawsze najlepszy wśród pierwszych. Czy to źle być najlepszym wśród drugich?

On uszczypnął ją w policzek i znowu się roześmieli, ale do domu wracali w milczeniu, a rodzice nie odważyli się powiedzieć im ani słowa, bo wiesz, Fernando, to byłoby złe doszukiwać się grzechu tam, gdzie go nie ma, tak jak to robił ksiądz Elzevir w Catemaco, który niszczył ludzi niezaskuszonym poczuciem winy, bo wiesz, Letycjo, przyznaję, że nie znam mojego syna, że jest dla mnie zagadką, ale ty znasz Laurę, i masz do niej zaufanie, prawda?

Również w następną sobotę przyprowadził ją na to samo miejsce w porcie i powiedział: popatrz na te szyny, aż tutaj dotarły furgony załadowane trupami robotników zamordowanych w Rio Blanco na rozkaz don Porfiria, za to, że ogłosili strajk i walecznie się bronili, tu ich przywieziono i wrzucono do morza, dyktator utrzymuje się już tylko za cenę krwi, zbuntowanych Indian yaquis zepchnął w kajdanach ze statku do morza, w stanie Sonora górników z Cananea kazał rozstrzelać, w miejscowości Valle Nacional utrzymuje setki górników w niewolniczych warunkach, tutaj, w cytadeli Ulúa, siedzą uwięzieni liberałowie, zwolennicy Madery i braci Flores Magón, ci anarchosyndykaliści to hiszpańscy kuzyni mojej matki z Wysp Kanaryjskich, rewolucjoniści. Lauro, rewolucjoniści to ludzie, którzy chcą dla Meksykanów bardzo prostych rzeczy: demokracji, wyborów, ziemi, wykształcenia, pracy, są przeciw reelekcji. Don Porfirio jest już trzydzieści lat u władzy.

Przepraszam cię, nawet dwunastoletniej dziewczynce nie oszczędzam swoich przemówień.

Rewolucjoniści. To słowo dźwięczało w głowie Laury Díaz tego wieczoru i następnego, i później, nigdy dotąd go nie słyszała i kiedy przyjechała z matką z wizytą do Catemaco i zapytała dziadka, kto to jest rewolucjonista, wzrok starego Felipe Kelsena, dawnego socjalisty, zachmurzył się na chwilę.

- Jest to iluzja, której się trzeba pozbyć, zanim się skończy trzydziestkę.
- Och, a Santiago ma dopiero dwadzieścia.
- Racja, Powiedz twojemu bratu, żeby się pospieszył.

Don Felipe na patio swojego wiejskiego domu grał w szachy z Anglikiem w brudnych białych rękawiczkach i pytanie wnuczki sprawiło, że stracił gońca i musiał zrobić rosządę. Stary Niemiec nie powiedział ani słowa więcej. Anglik natomiast zaczął drążyć temat.

- Znowu rewolucja? Po co? Przecież już jest dosyć trupów.
- Więc jest pan, sir Richard, również przeciwko wojnom, bo wtedy tych trupów byłoby znacznie więcej – don Felipe starał się zwrócić uwagę Laury na Anglika w rękawiczkach, a jemu z kolei odwrócić uwagę od gry.

– A do tego pan jest Niemcem, a ja Anglikiem, obydwaj wiemy, co to znaczy... Bratni wrogowie!

Don Felipe zaczął protestować, że on już nie jest Niemcem, tylko Meksykaninem, przez co pozwolił sobie okrzyknąć króla i Anglik wykrzyknął: szach mat, ale dopiero w cztery lata później don Felipe i don Ricardo przestali się do siebie odzywać i pozbawieni stałego towarzystwa do partyjki szachów, pomarli z nudy i smutku; kiedy zabrzmiały działa w bitwie pod Ypres i okopy spłynęły krwią młodych Anglików i Niemców, dziadek Felipe zdradził swoim córkom i wnuczce pewien sekret.

– To niesamowite. Używał tych białych rękawiczek, bo sam obciął sobie opuszki palców, żeby zmasać winę. Anglicy w Indiach obcinali opuszki palców tkaczom bawełny, którzy byli konkurencją dla fabryk przędzy w Manchesterze. Nie ma ludzi bardziej okrutnych niż Anglicy.

– Perfidny Albion – rzuciła, żeby coś dodać, ciotka Virginia. – *Perfidious Albion*.

– A Niemcy, dziadku?

– No cóż, dziecko. Nie ma większych dzikusów niż Europejczycy. Zobaczysz. Wszyscy.

– *Über alles* – nuciła Virginia zabronione słowa.

Nie zobaczyła niczego. Wszystko, co miała zobaczyć, to trup jej brata Santiago Diaza, rozstrzelanego po wyroku wydanym w trybie doraźnym w listopadzie tysiąc dziewięćset dziesiątego roku za konspirowanie przeciwko rządowi federalnemu i kontakty ze spiskowcami z Veracruz, liberałami, syndykalistami i zwolennikami Madery – tak samo jak rodzeństwo Carmen i Aguiles Serdán, rozstrzelani również w listopadzie w Puebli.

Fernando Díaz, czuwający przy podziurawionych kulami zwłokach syna w salonie swojego mieszkania nad bankiem, nie przypuszczał, że spokój tego młodzieńca ubranego na biało, z przestrzelonymi piersiami, ale z twarzą nienaruszoną, mimo że bledszą niż zazwyczaj, jeszcze raz zostanie zakłócony przez interwencję policji.

– To miejsce publiczne.

– To mój dom. To dom mojego zmarłego syna. Wymagam szacunku.

– Przy buntownikach czuwa się na cmentarzach. Zabierać się stąd, wszyscy.

– Kto mi pomoże?

Fernando, Letycja, czarna Zampayita, indiańskie służące, Laura z kwiatem włożonym za dekolt, gdzie dopiero co zaczęły zaznaczać się piersi, wszyscy dźwigali trumnę, ale to Laura powiedziała: tato, mamó, on kochał nabrzeże, kochał morze, kochał Veracruz, to jest jego grób, proszę, dziewczynka uczepliła się spódnicy matki, spojrzała błagalnie w oczy ojca i służących i spełnili jej prośbę, tak jakby się bali, że po pogrzebie chłopiec może któregoś dnia zostać wyciągnięty i jeszcze raz rozstrzelany.

Jakże wolno znikająca jasna postać tego jasnego brata w morskiej mogile, przywiązana do wyściełanej trumny, której wieko zostało otwarte, żeby wszyscy mogli zobaczyć, jak pomału pogrąża się w spokojnej toni, i twarz Santiago obroniona ostatnią wolą skazańca: – tylko nie w twarz, proszę – w miarę jak ginęła pośród nocy w otwartej trumnie, stawała się coraz piękniejsza, coraz bardziej smutna, przeniknięta tęsknotą i bólem, a jego głowa, pełna nie napisanych wierszy, za chwilę miała być uwieńczona algami i pożarta przez rekiny.

Już tylko zostało mu morze, więc gubił się w morzu jak w lustrze, które nie zniekształcało go, tylko powoli, w tajemniczy sposób, oddalało od lustra powietrza, w które wpisany był jego czas spędzony na ziemi. Santiago zostawiał za sobą linię horyzontu, obietnicę młodości. Zawieszony na falach, prosił wszystkich, którzy go kochali: pozwólcie mi odejść, stać się morzem, nie mogłem stać się tropikalnym lasem, jak powiedziałem ci to któregoś dnia, Lauro, tobie tylko raz skłamałem, siostrzyczko, miałem dużo do powiedzenia, dużo do opowiadania, nie miałem zamiaru milczeć z obawy przed przeciętnością, bo poznałem ciebie, Lauro, i każdej nocy kładłem się spać i śniłem – komu to powiem, jeśli nie Laurze? We śnie postanowiłem pisać dla ciebie, moja śliczna dziewczynko, chociażbym ci o tym nie mówił,

choćbyśmy się mieli nigdy nie zobaczyć, wszystko byłoby dla ciebie, i ty mimo wszystko wiedziałabyś o tym, przyjmowałabyś moje słowa, wiedząc, że należą do ciebie, ty byłabyś moją jedyną czytelniczką, z tobą żadne moje słowo nie byłoby stracone, teraz, kiedy pogrążam się w wieczności morza, oddaję tę odrobinę powietrza, tych kilka pęcherzyków, które zostały mi w płucach, tobie, miła, i żegnam cię w niewyobrażalnym bólu, bo nie wiem, z kim będę od tej pory rozmawiał, nie wiem...

Laura przypomniała sobie, że jej brat chciał na zawsze zagubić się w selwie, stać się selwą. Więc ona chciałaby stać się morzem razem z nim, ale w głowie miała tylko jedną myśl, chciała opisać mu jezioro, nad którym dorastała: jakie to dziwne, Santiago, że mieszkając nad jeziorem, nigdy go tak naprawdę nie widziałam, to fakt, że to bardzo duże jezioro, prawie jak małe morze, ale pamiętam tylko małe wycinki, tu kąpały się ciotki, zanim nastał ksiądz Elzevir, tu cumowały rybackie łódki, tu leżały wiosła, ale żeby widzieć to jezioro tak, jak ty umiałeś widzieć morze, to nie, będę musiała wyobrazić sobie miejsce, gdzie dorastałam, braciszku, ty to sprawisz, że wyobrażę sobie jezioro i całą resztę, w tej chwili dociera do mnie, że od tej pory nie będę już czekała na bieg wydarzeń ani nie pozwolę im minąć, nie zwróciwszy na nie uwagi; ty sprawisz, że wyobrażę sobie twoje życie, którego nie zdążyłeś przeżyć, ale przysięgam ci, że będziesz żył obok mnie, w mojej głowie, moich opowieściach, fantazjach, nie pozwolę uciec ci z mego życia, Santiago, ty jesteś dla mnie czymś najważniejszym, nic równie ważnego nigdy mi się nie zdarzyło, będę ci wierna, bo na zawsze zostaniesz w mojej wyobraźni, będę żyła w twoim imieniu, zrobię to, czego ty nie zrobiłeś, nie wiem jak, mój śliczny, młody, umarły Santiago, mówię szczerze, że nie wiem jak, ale przysięgam ci, że to zrobię...

To była jej ostatnia myśl, zanim odwróciła się od niknących pod wodą zwłok i wróciła do domu na ulicy obok tamtej bramy, gotowa pomimo swoich myśli znowu stać się małą dziewczynką, wrócić do dzieciństwa, stracić przedwczesną dojrzałość, którą na chwilę podarował jej Santiago. Zapytała, czy może zachować jego podziurawione kulami okulary, i wyobraziła go sobie, jak je zdejmuje i, czekając na salwę, wkłada do kieszeni koszuli.

Następnego dnia Murzynek zamiatał korytarze jakby nigdy nic i jak zawsze podśpiewywał:

*W tańcu się ona
pozwoli wziąć w ramiona
i na coś więcej pozwoli może też...*

IV. San Cayetano: 1915

– Myślisz, że dobrze znałaś Santiago? Myślisz, że twój brat oddał ci wszystko, że tylko tobie? Jak mało wiesz o tak skomplikowanym mężczyźnie! Tobie oddał tylko cząstkę. Tę, która mu została z duszy dziecka. Resztę podzielił pomiędzy rodzinę, poezję, politykę. A miłość, namiętna miłość? Komu ją dał?

Doña Letycja w milczeniu podkładała brzeg balowej sukni, chcąc ją skończyć na czas.

– Nie ruszaj się, dziewczyno.

– Ale ja jestem bardzo zdenerwowana, mamó.

– Nie ma powodu, bal w długiej sukni to nic takiego nadzwyczajnego.

– Dla mnie tak! To pierwszy raz, Mutti.

– Jeszcze się przyzwyczaisz.

– Szkoda. – Laura uśmiechnęła się.

– Stój spokojnie. Daj mi skończyć. Co za dziewczyna!

Kiedy Laura włożyła na siebie suknię w bladożółtym kolorze, zaraz pobiegła do lustra, ale nie widziała w nim modnego balowego stroju, który jej matka – biegła w szyciu jak i we wszystkich innych domowych czynnościach – skopiowała z ostatniego numeru magazynu „La Vie Parisienne”, dostarczanego regularnie mimo opóźnień spowodowanych wojną w Europie i odległością dzielącą Xalape od portu. Paryż zarzucił już skomplikowane i niewygodne ubiory rodem z dziewiętnastowiecznego Wersalu: te różne krynoliny, fiszby, gorsety. Teraz modna suknia – jak to określał anglofil don Fernando – musiała być *streamlined*, to znaczy opływowa jak rzeka, o uproszczonych liniach, przylegająca do rzeczywistych kształtów kobiecego ciała, subtelnie ujawniająca ramiona, biust i talię i nagle bombiasta od bioder w dół. W paryskim modelu sukni Laury materiał był zebrany w wytwornych draperiach, poczynając od bioder, a na łydkach kończąc, tak jakby jakaś królowa uniosła w tańcu tren swego płaszcza i zanim zdążyła zarzucić go sobie na ramię, tren z rozpędu sam owinął się wokół kobiecych nóg.

Laura przyglądała się sobie, a nie swojej sukni. W wieku siedemnastu lat uwypukliły się, wprawdzie nie wykształcone jeszcze do końca, cechy, których zapowiedź można było dostrzec już u dwunastolatki; twarz miała wyrazistą, czoło zbyt szerokie, orli nos zbyt duży, usta zbyt wąskie, no, przynajmniej oczy, tak, oczy jej się podobały, miały czysty kasztanowy kolor, prawie złoty, czasami, kiedy dzień się budził albo szykował do odejścia, naprawdę złoty. Wyglądały, jakby śniły na jawie.

– Ten nos, mamó...

– Masz szczęście, przyjrzyj się włoskim aktorkom filmowym. Wszystkie mają wielkie nosy... to znaczy mają wydatny profil. Chyba nie chciałabyś mieć perkatego nosa na rozpląszczonej twarzy, bez wyrazu...

– A czoło, mamó...

– Jak ci się nie podoba, zapuść grzywkę, to je schowasz.

– A usta...

– Popraw je kredką, tak jak ci się spodoba. Ale popatrz tylko, kochanie, jakie piękne oczy dał ci Pan Bóg...

– To prawda, mamó.

– Co za skromność! – rzekła z uśmiechem Letycja.

Laura aż bała się myśleć, co się może zdarzyć. A jeżeli szminka rozmaże mi się przy całowaniu i będę wyglądała jak idiotka, a kiedy ktoś zechce pocałować mnie jeszcze raz, to czy mam wciągnąć usta jak staruszka, złapać się za brzuch, jakbym za chwilę miała wymiotować, i wybiec do łazienki, żeby sobie poprawić makijaż? Życie dorastającej panienki jest bardzo skomplikowane.

– O nic się nie martw. Wyglądasz prześlicznie. Zrobisz furorę. Nie zapytała Letycji, dlaczego nie będzie jej towarzyszyła.

Tylko ona jedna nie będzie miała przyzwoitki. Czy to nie zrobi złego wrażenia? Letycja wzdychała i wzdychała, ale przypomniała sobie, że taki sam nawyk miała jej własna matka, Cosima, nie ruszająca się z bujanego fotela w rodzinnym domu w Catemaco, i postanowiła, że czas z tym skończyć. Już się dosyć nawzdychała. A jak powiedziałby don Fernando, jedno nieszczęście ściąga drugie...

Trzy niezamężne ciotki opiekowały się w Catemaco dziadkiem Felipe Kelsenem, któremu różne dolegliwości nakładały się jedna na drugą powoli, ale nieustannie, i kiedy wreszcie wymusiły na nim wizytę u lekarza w Veracruz, ten jasno ocenił sytuację.

– Co powiedział doktor, ojczy? – zapytały trzy siostry jednocześnie, co już weszło im w zwyczaj, choć one same nie zdawały sobie z tego sprawy.

– Mam kamicę żółciową, arytmie serca, prostatę wielkości melona, zrosty w żołądku i początek rozedmy płuc.

Córki spojrzały na niego ze współczuciem, zdumieniem i strachem; on się tylko roześmiał.

– Nie martwcie się. Doktor Miquis mówi, że żadna z tych chorób oddzielnie mnie nie zabije. Ale jeśli któregoś dnia wszystkie się połączą, szlag mnie trafi natychmiast.

Letycja nie opiekowała się swoim chorym ojcem, bo była potrzebna mężowi. Kiedy rozstrzelano Santiago, dyrektor naczelny banku wezwał Fernanda Diaza do stolicy.

– To nie jest kopanie leżącego, don Fernando, ale pan rozumie, że bank żyje ze swoich dobrych stosunków z rządem. Ja wiem, że nikt nie ponosi winy za to, co robią jego dzieci, ale tak już jest, że to są nasze dzieci – sam mam ośmioro, więc wiem, co mówię – i jesteśmy, jeśli nie winni, to jednak odpowiedzialni, tym bardziej kiedy mieszkają z nami pod jednym dachem...

– Do czego pan zmierza, panie dyrektorze? To dla mnie przykra rozmowa.

– Dobrze, no więc pana następcą w Veracruz ma już nominację.

Fernando Díaz nie raczył tego skomentować. Spojrzał twardo na dyrektora naczelnego.

– Ale proszę się nie martwić. Przeniesiemy pana do naszej filii w Xalapie. Jak pan widzi, nie jest to kara, chcemy tylko zachować ostrożność, nie zapominając o pańskich zasługach, drogi przyjacielu. To samo stanowisko, tylko w innym mieście.

– Gdzie nikt nie będzie kojarzył mnie z moim synem.

– Nie, syn zawsze będzie synem...

– W porządku, panie dyrektorze. Sądzę, że to taktowne rozwiązanie. Ja i moja rodzina jesteśmy panu bardzo wdzięczni.

Wszyscy z ciężkim sercem porzucali dom nad kolumnadą, z oknami wychodzącymi na morze. Letycja – bo oddalała się od Catemaco, ojca i sióstr. Laura – bo lubiła ciepły tropikalny klimat, w którym się urodziła i wyrosła. Fernando – bo ukarano go w sposób tchórzliwy. A wszyscy troje – bo wyjazd z Veracruz oddalał ich od Santiago, od związanych z nim wspomnień, od jego morskiej mogiły.

Laura spędziła dużo czasu w sypialni brata, uczyła się jej na pamięć, przypominała sobie tę noc, kiedy usłyszała jęki i odkryła, że jest ranny. Gdyby opowiedziała o tym rodzicom, może by uratowała Santiago? Dlaczego prośba brata – nie mów o tym nikomu – znaczyła dla niej więcej? Teraz, żegnając się z tym pokojem, próbowała sobie wyobrazić wszystko, co Santiago mógł tu napisać, wszystko, czego nie napisał, grubą księgę z pustymi kartkami

czekającymi na rękę, na pióro, na atrament, na pismo jednego tylko niezastąpionego człowieka...

Posłuchaj, Lauro, człowiek, kiedy pisze, jest sam, zupełnie sam, ale używa czegoś, co należy do wszystkich – języka. Ten język pożyczamy od świata i jemu go potem zwracamy. Język jest jak świat: będzie trwał, gdy nas nie będzie. Rozumiesz?

Don Fernando wszedł po cichu do pokoju i podszedł do Laury. Położył dziewczynce dłoń na ramieniu i powiedział, że on też tęskni za Santiago i myśli, jak mogłoby wyglądać życie jego syna. Zawsze powtarzał, że czeka go wielka przyszłość, że jest bardziej inteligentny niż cała reszta razem wzięta, a teraz ten pokój, gdzie miał spędzić najbliższy rok, gdzie miał pisać swoje wiersze, pozostanie pusty... Fernando objął Laurę, a ona nie chciała spojrzeć mu w oczy; zmarłych oplakuje się tylko raz, a potem próbuje się robić to, czego oni nie zdążyli. Nie można by było kochać, pisać, walczyć, myśleć, pracować, gdyby oczy i umysł były zalane łzami; przeciagająca się żałoba to zdrada wobec życia zmarłego.

Xalapa była inna niż Veracruz. W Veracruz, mieście nadmorskim, nocami wznagało się jeszcze skumulowane w ciągu dnia ciepło. Xalapa, położona w górach, dni miała ciepłe, a noce zimne. Burze, szalejące w Veracruz przy huku piorunów, tutaj przybierały postać drobnego, uporczywego deszczu, który sprawiał, że wszystko dookoła było zielone, ale, co najważniejsze, wypełniał po brzegi zalew El Dique, położony w środku miasta, melancholijny, a zarazem dający poczucie bezpieczeństwa. Nad kanałem unosiła się lekka mgielka miejskich oparów i łączyła się z grubą warstwą mgły nadciągającej z gór; Laura Díaz pamięta swój pierwszy dzień w Xalapie i pierwsze wrażenia: zimne powietrze – deszcz, deszcz – ptaki – kobiety ubrane na czarno – piękne ogrody – żelazne ławki – białe posągi zielone od wilgoci – czerwone dachy – wąskie i strome uliczki – zapachy targu i piekarni, mokrych podwórek i drzew owocowych, woń gajów pomarańczowych i fetor masarni.

Weszła do swego nowego mieszkania. Wszystko pachniało lakierem. Był to dom parterowy, co już niedługo miało okazać się błogosławieństwem dla całej rodziny. Laura nagle pomyślała, że w tym mieście wiecznej mgły będzie kierować się węchem, to on będzie wyznacznikiem jej spokoju lub obaw: wilgotność parków, obfitość kwiatów, zapach warsztatów rymarskich i szewskich, wyprawianej skóry i gęstego dziegciu, bawełny w belach, perkalu i sznurka z agawy, aptek, farbiarni i zakładów fryzjerskich. Miła woń parzonej kawy i czekolady z pianką. Udawała ślepa, dotykała ścian i czuła ich ciepło, otwierała oczy i widziała wymyte deszczem dachy, błyszczące, niebezpiecznie nachylone, jakby pragnęły, aby słońce je wysuszyło, a deszcz spłynął czym prędzej przez rynsztoki, ulice, ogrody – z nieba do zalewu, w tym smutnym mieście, gdzie wszystko jest w ruchu i przyroda odradza się bez chwili wytchnienia.

Dom powielał hiszpański model budowli rozpowszechniony w całej Ameryce Łacińskiej. Ślepe mury, nieprzystępne od strony ulicy, brama bez żadnych ozdób, dwuspadowy dach z okapem zamiast gzymsu. Był to typowy dom z kwadratowym patio pełnym wielkich donic z geranium, z którego wchodziło się do poszczególnych pokoi i sypialni. Doña Letycja zabrała ze sobą to, co uważała za swoją własność, wiklinowe meble, które były przystosowane do tropiku, a tu nie chroniły przed wilgocią, i dwa obrazki przedstawiające historyjkę o śpiącym psie i łobuziaku, które zawiesiła w jadalni.

Kuchnia spodobała się Letycji; było to jej wyłączne królestwo jako pani domu i po krótkim czasie przystosowała swoje dawniejsze zwyczaje do tutejszych gustów i zaczęła robić *tamales* w bananowych liściach i bułeczki z białej mąki, a do białego ryżu z Veracruz teraz dodawała *chileatole*, tak jak jest to przyjęte w Xalapie, smaczną potrawę z mąki, kukurydzy, kurczaka i sera *de panela* w postaci małych kulek, prawie na jeden kęs.

– Uwaga – ostrzegwał don Fernando – od tutejszego jedzenia się tyje, bo ludzie bronią się przed zimnem i jedzą tłusto.

– Nie martw się, nasza rodzina nie ma tendencji do tycia – odpowiadała Letycja i zabierała się do gotowania moloty – małych, delikatnych tortilli nadziewanych fasolą i mielonym mięsem, a mąż wodził za nią czułym i zawsze pełnym podziwu wzrokiem. Chleb piekło się w domu: okupacja francuska wprowadziła bagietki jako modne pieczywo, ale w Meksyku, gdzie zdrobnienia są formą czułości, jaką okazuje się przedmiotom i osobom, przyjęły się małe bułeczki i paluszki, bagietki wielkości dłoni. Nie znikły jednak tradycyjne meksykańskie słodkie wypieki: *cemita*, *banderillas*, *conchas*, ani pyszna pozostałość kuchni hiszpańskiej, *churros*, długie racuszki posypane cukrem pudrem i maczane w czekoladzie.

Letycja nie rezygnowała również z ośmiornicy i krabów, popularnych w kuchni wybrzeża, ale przestała za nimi tęsknić, gdyż bez większego wysiłku przystosowywała się w naturalny sposób do wszelkich życiowych zmian, zwłaszcza kiedy życie zapewniało jej – tak jak w tym nowym domu – piękną kuchnię, z wielkim piecem i okrągłym żarownikiem.

Dom był parterowy, tylko w głębi, przy tylnym wejściu, gdzie znajdowała się brama wjazdowa, wchodziło się na poddasze, które Laura chciała zająć dla siebie w podświadomym hołdzie składanym swemu bratu, gdyż w jakimś zakątku swej dziewczęcej główki wierzyła, że ona spełni własne życie, życie Laury Díaz, w imieniu Santiago; to znaczy, że Santiago, od czasu swej śmierci, będzie dalej żył życiem, które Laura ucieleśni w jego imieniu. W każdym razie do spełnienia tej obietnicy danej bratu potrzebowała własnej przestrzeni, miejsca położonego wysoko i z dala od ludzi, takiego, gdzie on na pewno by pisał, a ona, składając hołd zmarłemu, znalazłaby własne powołanie.

– Kim chcesz być, jak dorośniesz? – pytała ją Elizabeth García, koleżanka z ławki w szkole u panien Ramos.

Ona nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jak jej miała wyjawić swoją tajemnicę, której nikt by nie zrozumiał: chcę spełnić życie mojego brata Santiago zamknięta na poddaszu.

– Nie – odparła matka. – Przykro mi, ale na górze mieszka Armonia Aznar.

– A kto to jest? Dlaczego ma prawo mieszkać na poddaszu?

– Nie wiem. Zapytaj ojca. Zdaje się, że zawsze tu mieszkała, a my możemy zająć dom pod warunkiem, że nie będzie się jej przeszkadzać, to znaczy, że nie będzie się na nią zwracać uwagi.

– Czy to wariatka?

– Co ty wygadujesz, Lauro?

– Nie – podkreślił z naciskiem don Fernando – pani Aznar mieszka tutaj, bo jest w pewnym sensie właścicielką tego domu. Ona jest Hiszpanką, a raczej córką hiszpańskich anarchosyndykalistów, przecież wiesz, że kiedy Juárez rozgromił Maksymiliana, wielu z nich przyjechało tutaj. Sądziło, że właśnie tu wolność ma przyszłość. Potem, kiedy do władzy doszedł don Porfirio, rozczarowali się. Część wróciła do Barcelony, gdzie przy pokojowej zamianie Sagasty na Canovasa było więcej wolności niż tu za rządów Porfiria. Inni zrezygnowali ze swych ideałów i stali się kupcami, rolnikami i bankierami.

– Ale co to ma wspólnego z tym, że ta pani mieszka na poddaszu?

– To jest jej dom.

– Nasz dom?

– My nie mamy własnego domu, córeczko. Mieszkamy tam, gdzie bank nam pozwoli. Kiedy instytucja chciała wykupić ten dom, doña Armonia nie chciała go sprzedać, bo ona nie wierzy we własność prywatną. Zrozum to, jeśli potrafisz, i zrozum, jak chcesz. Bank zaproponował jej, że może zostać na poddaszu, a ona za to pozwoli korzystać z tego domu.

– Ale jak ona żyje, co je...?

– Bank daje jej wszystko, czego potrzebuje; ona mówi też, że pieniądze przesyłają jej towarzysze z Barcelony.

– Czy to wariatka?

– Nie, tylko jest uparta i bierze swoje wyobrażenia za rzeczywistość.

Laura nabrała niechęci do doñi Aznar, gdyż ta, sama o tym nie wiedząc, stała się rywalką Santiago – zabrała zmarłemu miejsce przeznaczone tylko dla niego w nowym domu.

Armonia Aznar – której nikt nigdy nie widywał – przestała absorbować uwagę Laury, kiedy dziewczynka została zapisana do prywatnej szkoły panien Ramos, dwóch wykształconych, lecz zubożałych młodych kobiet, które założyły najlepszą, a do tego pierwszą koedukacyjną szkołę w Xalapie. Chociaż nie były bliźniaczkami, ubierały się, czesały, mówiły i poruszały w identyczny sposób, toteż wszyscy uważali, że są jednakowe.

– Dlaczego ludzie tak sądzą, przecież kiedy im się lepiej przyjrzeć, widać, że są całkiem różne? – zapytała koleżankę z ławki, Elizabeth Gardę.

– Bo one chcą, żebyśmy je tak widzieli – odpowiedziała promienna blondynka zawsze ubrana na biało, która w oczach Laury mogła być albo bardzo głupia, albo bardzo dyskretna, jako że trudno było zgadnąć, czy udawała głupią, bo była małomówna, czy też udawała inteligentną, żeby ukryć głupotę. – Pomyśl tylko, obie wiedzą więcej niż każda z osobna, ale kiedy są razem, ta, która zna się na muzyce, zna też matematykę, a ta, która deklamuje wiersze, wie, jak funkcjonuje serce, bo, widzisz, Lauro, ci poeci wciąż gadają: serce tu, serce tam, a to okazuje się zwykły mięsień niezbyt godny zaufania.

Laura postanowiła nauczyć się odróżniać panny Ramos, widząc, że rzeczywiście jedna jest taka, a druga siaka, ale kiedy przychodziło do określenia różnic, sama zaczynała się plątać, brakowało jej słów i wątpiła: a jeżeli naprawdę są jedną osobą, jeśli naprawdę wiedzą wszystko, tak jak Encyklopedia Brytyjska, którą tata ma w swojej bibliotece?

– A co będzie, jeżeli one podają się za panny, a są tylko jedną panną? – Elizabeth z perwersyjnym uśmiechem wróciła do tego tematu następnego dnia. Laura odpowiedziała, że to taka sama tajemnica jak z Trójcą Świętą. Po prostu w to się wierzy bez dociekania. Panny Ramos też były jedną, która była dwiema, które były jedną, i koniec kropka.

Laurze trudno było zrezygnować z tej wiary i zastanawiała się, czy Santiago zaakceptowałby fikcję nauczycielek, przybierających to podwójną, to pojedynczą postać, albo czy zdobyłby się na odwagę i w nocy poszedł do domu panien Ramos, żeby zaskoczyć je w koszulach nocnych i upewnić się: są dwie; bo w szkole one bardzo uważały i nigdy nie pokazywały się razem. To był powód – nie wiadomo, czy dokładnie przemyślany, czy też przypadkowy – całego misterium. Santiago na pewno też nie bałby się wejść na skrzypiące schody prowadzące na poddasze w głębi po wozowni, albo, jak to zaczynało się mówić, garażu. Ale w Xalapie w tak późnych latach nikt jeszcze nie widział pojazdu bez koni, „automobilu”, zresztą kolonialne drogi nie pozwoliłyby na ruch zmotoryzowanych wehikułów. Pociąg i koń, w opinii pisarki doñi Virginii, wystarczą, żeby poruszać się po ziemi, ale na morze najlepszy jest okręt wojenny, jak mówiły słowa piosenki, tej śpiewanej przez buntowników...

– A dyliżans, taki, w jakim babce obcięto palce?

Przez Xalape ciągnęły pociągi i oddziały konne rewolucji, ale przejeżdżały tędy niemal bezwiednie. Metą dla wszystkich stron konfliktu był port i urząd celny w Veracruz; tam kontrolowano wpływy pieniężne, ubierano i karmiono żołnierzy, a poza tym każdy chciał poczuć się symbolicznym władcą konkurencyjnej stolicy kraju, gdzie ustanawiano rządy buntowników albo władze konstytucyjne w opozycji do rządów w mieście Meksyk – ja tak, ty nie. Veracruz w kwietniu tysiąc dziewięćset czternastego roku było okupowane przez piechotę amerykańską, co miało stanowić presję na podłego dyktatora Victoriana Huertę, zabójcę demokracji Madery, za którego oddał życie młody Santiago.

– Ci jankesi są doprawdy tępi – mówił anglofil don Fernando. – Zamiast zaszkodzić Huercie robią z niego bojownika o niepodległość narodową w walce przeciw Amerykanom. Kto odważy się walczyć przeciwko dyktatorowi latynoamerykańskiemu – choćby był nie wiadomo jak znienawidzony – kiedy atakują go Stany Zjednoczone? Huerta posłużył się tą okupacją, żeby powiększyć liczbę zwolenników, mówiąc biedakom, że będą walczyć z

jankesami, a w rzeczywistości wysłał ich na północ przeciwko Villi i na południe przeciwko Zapacie.

Młodzi uczniowie gimnazjum w Xalapie stworzyli formację wojskową i z karabinami, ubrani we francuskie kepi i granatowe mundury ze złotymi guzikami, pomaszerowali na Veracruz walczyć z Amerykanami. Nie zdążyli na czas; Huerta został pobity i Amerykanie odступili, Villa i Zapata pokłócili się z Carranza, naczelnym wodzem rewolucji, i zajęli stolicę, Carranza schronił się w Veracruz do czasu, kiedy Obregón, w kwietniu tysiąc dziewięćset piętnastego roku, rozgromił Villę pod Celayą i odbił miasto Meksyk.

To wszystko docierało do Xalapy czasem jako plotki, czasem jako oficjalne informacje, niekiedy – z braku papieru na gazety – w formie rewolucyjnych piosenek *corridos* czy ballad, i tylko raz wjechała do miasta na koniach jakaś grupa buntowników z wrzaskiem i hukem karabinowych wystrzałów. Letycja zamknęła okna, popchnęła Laurę na podłogę i przykryła ją materacem z łóżka. Już w tysiąc dziewięćset piętnastym roku spokój powoli wracał do Meksyku i życie w tej małej stolicy toczyło się tak jak dawniej.

W tym samym roku aż tutaj dotarła wieść o wielkim głodzie w mieście Meksyk, kiedy kraj, wstrząsany konwulsjami i skupiony na własnych sprawach, zapomniał o luksusowej i egoistycznej stolicy, przestał jej dostarczać mięso i ryby, kukurydzę i fasolę, tropikalne owoce i ziarno zbóż wymagających umiarkowanego klimatu, skazując jej mieszkańców wyłącznie na chude mleko od krów z Milpa Alta i warzywa uprawiane w rejonie od Xochimilco do Ixtapalapa. W okolicy było jak zawsze mnóstwo kwiatów, ale czyż można się żywić goździkami lub anturium?

Krążyła plotka: handlarze wykupują resztki produktów. Do Meksyku wszedł straszny generał Alvaro Obregón i pierwsze, co zrobił, to wygonił sklepikarzy na ulice i za karę kazał im je zamiatać. Opróżnił ich magazyny i przywrócił sieć połączeń dla zaopatrzenia w żywność wygłodzonej stolicy.

To były plotki. Mimo wszystko doña Letycja spała ze sztyletem pod poduszką.

Z czasów rewolucji pozostały zdjęcia w gazetach i czasopiśmie, którymi zaczytywał się don Fernando: Porfirio Díaz, starzec o kwadratowej twarzy, indiańskich kościach policzkowych, białych wąsach i pokrytej medalami piersi, żegna się z „krajem” – jak to dyktator zwykł określać – na niemieckim parowcu „Ipiranga”, odpływającym z Veracruz; Madero, mały, łysy człowieczek z czarnymi wąsami i brodą, o rozmarzonych oczach, zadziwionych własnym zwycięstwem nad tyranem; w tych oczach wyczytać można było zapowiedź rychłej śmierci z rąk generała Huerty, kata w czarnych okularach, z głową podobną do trupiej czaszki, bez warg, jak u żmii; Carranza, stary człowiek z białą brodą, w niebieskich okularach, pretendujący do roli ojca narodu; Obregón, młody porywający generał o błękitnych oczach i dumnych wąsach, który stracił rękę w bitwie pod Celayą; Zapata, człowiek milczący i tajemniczy, tak jakby był duchem, któremu tylko na krótko pozwolono wcielić się w ziemską istotę: Laura przyglądała się zafascynowana wielkim, płonącym oczom tego mężczyzny, nazywanego przez prasę Attylą Południa, tak jak mianem Centaura Północy określano Pancho Villę, który na wszystkich zdjęciach, jakie ona kiedykolwiek oglądała, pokazywał w uśmiechu białe równe zęby i małe oczy cwane Chińczyka.

Teraz, patrząc na siebie w lustrze, taką postawną i wyprostowaną, przypominała sobie tę chwilę, gdy leżała pod materacem, a na ulicy dudniła strzelanina, „wyglądasz doprawdy prześlicznie” – mówiła matka, szykując ją na pierwszy w życiu bal.

– Jesteś pewna, że powinnam iść, mamó?

– Laura, na Boga, co ci przychodzi do głowy?

– Myślę o ojcu.

– Nie martw się o niego. Wiesz, że ja przy nim będę.

Zaczęło się od lekkiego bólu w kolanie, na który don Fernando nie zwrócił najmniejszej uwagi. Kiedy ból objął nogę aż do pasa, Letycja posmarowała mu ją maścią Sloane, ale mąż

wkrótce zaczął się skarżyć, że trudno mu chodzić i drętwieją mu ramiona. W końcu któregoś ranka, wstając z łóżka, upadł na podłogę i lekarze bez wahania orzekli, że to paraliż, który zaatakuje nogi, przeniesie się na ręce i na tym się nie skończy.

– Czy to uleczalne? Lekarze pokręcili głowami.

– Jak długo to może trwać?

– Nawet całe życie, don Fernando.

– A mózg?

– W porządku. Będzie pan tylko potrzebował pomocy przy poruszaniu się, i to wszystko.

Toteż cała rodzina dziękowała Bogu, że dom jest parterowy, a Maria de la O zaoferowała się przyjechać do Xalapy i być pielęgniarką swojego szwagra, oporządzać go i odwozić na wózku do banku.

– Twój dziadek w Catemaco jest pod dobrą opieką Hi Idy i Virginii, przemyślałyśmy to i uzgodniłyśmy, że ja przyjadę pomóc twojej mamie.

– Jak to mówi ojciec po angielsku? Kiedy pada deszcz, zaczyna grzmieć, czy jakoś tak. Chcę powiedzieć, że wszystko nam się wali na głowę, cioteczko.

– I jeszcze coś, Lauro. Nie broń mnie, kiedy ktoś mnie źle traktuje. Możesz mieć nieprzyjemności. Najważniejsze teraz to zająć się twoim ojcem, żeby moja siostra Letycja mogła prowadzić dom.

– Dlaczego to robisz?

– Ja twojemu ojcu zawdzięczam tyle samo co twojej babce, która wzięła mnie do waszego domu. Kiedyś ci to opowiem.

Nowe nieszczęście, które spadło na dom jeszcze pograżony w żałobie po Santiago, nie złamało Letycji. Stała się tylko jeszcze chudsza i była jeszcze bardziej zapracowana, jednak jej włosy zaczęły siwieć, a piękna twarz o nadreńskich rysach powoli pokryła się siecią drobniutkich zmarszczek podobnych do pajęczyny na chorych kawowych krzewach.

– Musisz iść na ten bal. Nawet się nie zastanawiaj. Ani twojemu ojcu, ani mnie nic się nie stanie.

– Przysięgnij, że jak się poczuje źle, to kogoś po mnie przyślesz.

– Lauro, na Boga, przecież San Cayetano jest tylko o czterdzieści minut stąd. Zresztą nie idziesz tam sama jak palec. Elizabeth i jej matka będą ci towarzyszyć, wierz mi, nikt nie będzie mógł nic złego o tobie powiedzieć... gdyby coś się stało, wyślę lando z Zampayitą.

Elizabeth wyglądała prześlicznie, ta jasna blondynka już w wieku szesnastu lat miała zgrabną figurę, ale była niższa i pełniejsza od Laury, bardziej też od niej wydekoltowana. Suknia w nieco staroświeckim, ale chyba też nigdy nie przemijającym stylu – z różowej tafty, pełna koronek i falbanek – ledwo się na niej dopinała.

– Dziewczynki, tylko nie odsłaniajcie biustu – powiedziała matka Elizabeth, niejaka Lucía Dupont, która całe życie nie mogła się zdecydować, czy jej nazwisko jest tak pospolite jak we Francji, czy tak arystokratyczne jak w Stanach, chociaż kiedy wyszła za męża za zwykłego Garcie, tylko męskim urokiem małżonka, a nie stanowczą decyzją córki można tłumaczyć, że ta nazywała się tylko Garda, a nie Garcia-Dupont, z tym wytwornym angloamerykańskim łącznikiem.

– Laura nie ma problemu, bo jest płaska, mamó, aleja...

– Elizabeth, dziecko moje, co też ty mówisz...

– Trudno. Tak mnie stworzył Pan Bóg z twoją pomocą.

– Dobrze, zapomnijmy o piersiach – poddała się matka Elizabeth, porzucając wstydlivość.

– Pamiętajcie, że są ważniejsze sprawy. Szukajcie najznakomitszych koneksji. Pytajcie dyskretnie o takie rodziny jak Olivier, Trigós, Sartorius, Fernández Landero, Esteva, Pasquel, Bouchez, Luengas.

– Caraza – wtrąciła się Elizabeth.

– Tylko się nie narzucaj – zgromiła ją matka. – Uważajcie na osoby z towarzystwa. Jeśli o nich zapomnicie, one zapomną o was.

Popatrzyła na dziewczęta z politowaniem.

– Biedaczki. Uważajcie na to, co robią inni. I naśladujcie! Naśladujcie!

Elizabeth zawołała z afektacją rozpieszczonej dziewczynki:

– Dosyć, mamó! Tak mi mącisz w głowie, że zaraz zemdleję!

San Cayetano była to posiadłość plantatorów kawy, ale wszyscy nazywali „San Cayetano” centralnie położoną rezydencją. Tu nie kultywowano tradycji hiszpańskich i pośród bukowego lasu, niedaleko spienionej kaskady i wąskiego hałaśliwego strumyka, zbudowano w latach siedemdziesiątych *petit château*. Neoklasyczna fasada opierała się na kolumnach oplecionych winoroślą.

Główny budynek hacjendy był piętrowym domem z wielkim figowcem i cicho szemrzącą fontanną u wejścia, piętnaście stopni prowadziło w górę skarpy, do rzeźbionych drzwi na parterze, gdzie – jak uprzedziła Laurę Letycja – znajdowały się sypialnie. Szerokimi, eleganckimi schodami z kamienia wchodziło się na piętro, do części reprezentacyjnej; były tam salony, jadalnie, ale najważniejszym miejscem był wielki taras, który zajmował połowę powierzchni całego domu, osłonięty dachem, ale otwarty od frontu i po bokach otoczony tylko balustradą, która zmieniała taras w wielki balkon, gdzie w nocy buszował wiatr, a w słoneczne popołudnia panowała senna atmosfera sjesty.

Na tej przepięknej galerii młodzi, oparci o balustradę, mogli odpoczywać, rozmawiać czy odstawić kieliszek, kiedy chcieli zatańczyć tutaj, na tarasie. To miejsce Laura przez całe życie nieraz przywoływała na pamięć jako czarowne wspomnienie młodości i szczęścia, które dawała świadomość, że jest się młodym.

Tutaj czekała na gości doña Genowefa Deschamps de La Trinidad, legendarna właścicielka hacjendy i patronka życia towarzyskiego całej prowincji. Laura spodziewała się zastać kobietę wysoką i władczą, nawet wyniosłą, a zobaczyła dość niską, lecz zgrabną damę, z dołeczkami na różowych policzkach, o szelmowskim uśmiechu i życzliwych oczach, szarych jak jej strój odznaczający się elegancką monotonią. Widać było, że doña Genowefa też znała „La Vie Parisienne”, bo miała na sobie suknię jeszcze modniejszą niż Laura, pozbawioną wszelkich sztucznych wypukłości, podkreślającą połyskliwą szarością jedwabiu naturalne kobiece kształty. Nagie ramiona pani Deschamps okrywał delikatny szal z gazy również w szarym kolorze, a wszystko to współgrało z kolorem uważnie patrzących oczu i przydawało jeszcze większego blasku przejrzystym jak woda klejnotom.

Jednak Laura, mimo że gospodyni zrobiła na niej bardzo miłe wrażenie, zauważyła, że pani Deschamps za każdym razem, zanim powitała serdecznie kolejnego gościa, przyglądała mu się z dziwnym chłodem, jakby go szacowała okiem niemal sędziowskim. Wzrok tej bogatej damy o godnej pozazdrosczenia pozycji był pieczęcią aprobaty lub dezaprobaty. Już będzie wiadomo, kto na taki bal w przyszłym roku otrzyma placet, a kto zostanie skreślony. Ta ostrość spojrzenia – cenzura lub akceptacja – trwała tylko parę sekund między jedną prezentacją a drugą, po czym promienny uśmiech znów rozjaśniał twarz pani domu.

– Powiedz swoim rodzicom, że bardzo mi przykro, iż nie mogą być tu dzisiaj z nami – powiedziała doña Genowefa, dotykając lekko włosów Laury, jakby chciała poprawić jakiś niesforny kosmyk. – Donoś mi, proszę, o stanie zdrowia don Fernanda.

Laura skłoniła się lekko, tak jak uczyły ją panny Ramos, i oddaliła się, by obejrzeć wreszcie to słynne w całej Xalapie miejsce, o którym tyle się mówiło w towarzystwie. Ona też była nim urzeczona, o tak, te plafony malowane na bladezielony kolor, girlandy na ścianach, kolorowe witraże w oknach, a na zewnątrz to, co najważniejsze na balu: taras otoczony balustradą ozdobioną kamiennymi wazonami, orkiestra złożona z muzyków ubranych w smokingi i goście, głównie młodzież, chłopcy we frakach, a dziewczęta w najróżniejszych toaletach. Patrząc na nie, Laura pomyślała, że męski strój – czarny garnitur,

biały krawat i koszula z gorsem z białej piki – nic o właścicielu nie mówi i zawsze jest elegancki, natomiast każda kobieta ma obowiązek niebezpiecznie ujawnić swoje osobiste, tradycyjne czy ekscentryczne, ale zawsze arbitralne podejście do elegancji.

Przed rozpoczęciem tańców każda panna otrzymała z rąk kamerdynera karnecik z inicjałami pani domu – DLT – w którym miała zapisywać nazwiska młodzieńców zamawiających kolejne tańce. Laura i Elizabeth już niektórych z nich widziały na balach znacznie mniej uroczystych w kasynie w Xalapie, ale oni wtedy nie zwracali na nie uwagi, były dorastającymi dziewczynkami, bez wdzięku, płaskimi jak deska. Teraz, w pełni kobiecego uroku, dobrze ubrane, wykazujące więcej pewności siebie, niż jej rzeczywiście miały, Laura i Elizabeth ledwie przywitały się z koleżankami ze szkoły i ich rodzinami, już były otoczone przez młodzieńców usztywnionych przez swoje fraki.

Młody człowiek o oczach w kolorze karmelu podszedł do Elizabeth i poprosił ją o pierwszy taniec.

– Dziękuję, ale już jestem zajęta.

Chłopiec uklonił się bardzo grzecznie, a Laura kopnęła przyjaciółkę w kostkę.

– Kłamczucha, dopiero co przyszliśmy.

– Albo mnie poprosi do tańca Eduardo Caraza, albo w ogóle nie będę tańczyć.

– A co takiego ma ten twój Eduardo Caraza?

– Wszystko. Pieniądze. *Good looks*. Spójrz. Właśnie idzie. Mówiłam ci.

Ten Eduardo nie wydał się Laurze ani lepszy, ani gorszy od innych, ale trzeba go było zaakceptować, a nawet podziwiać. W towarzystwie było więcej ludzi czystej białej rasy niż mieszaińców; czarnych, takich jak Maria de la O, nie było w ogóle, czasem tylko dały się zauważyć jakieś indiańskie rysy, które choć wyróżniały się, były do przyjęcia. Laurze spodobał się czarnowłosy, bardzo szczupły chłopiec w typie malajskich piratów z powieści Emilia Salgariego, które odziedziczyła po Santiago wraz z całą jego biblioteką. Miał ciemną, idealnie gładką skórę, bez jednej plamki, dokładnie ogoloną, a ruchy powolne, lekkie i eleganckie. Przypominał powieściowego hinduskiego księcia Sandokana. To on pierwszy poprosił ją do tańca. Doña Genowefa tak ułożyła program, że na początek szły walce, potem tańce nowoczesne, a na końcu wracało się do epoki sprzed walca i tańczyło polki, lansjery oraz madryckie *chotis*.

Hinduski książę nie odezwał się ani jednym słowem. Może się boi, że jego akcent albo głupota zburzą złudne wrażenie zagubionego malajskiego dżentelmena – pomyślała Laura. Za to następny partner do walca, pochodzący z bogatej rodziny z Cordoby, gadał jak najęty, zanudzał ją drobiazgowymi informacjami o hodowli kur i zapładnianiu kur przez koguty, i to bez żadnych dwuznacznych aluzji czy chęci popisania się dowcipem, ot, po prostu z czystej głupoty. A trzeci, wielki rudzielec, którego już widywała na kortach tenisowych, gdzie prezentował swoje drugie, szczupłe i owłosione nogi, bez żenady dobierał się do niej w tańcu, gniótł jej piersi, wciskał się w nią podbrzuszem, gryzł w płatek ucha.

– Kto zaprosił tego chama? – zapytała Laura przyjaciółkę.

– Zazwyczaj zachowuje się lepiej niż dzisiaj. Myślę, że go podnieciłaś. Albo *tepache* uderzyło mu do głowy. Jak chcesz, możesz się poskarżyć doñi Genowefie.

Laura pokręciła przecząco głową i zapytała:

– A ty, Elizabeth?

– Spójrz tylko, czyż nie jest cudny?

Obok przemknął w walcu Eduardo Caraza ze wzrokiem wbitym w sufit.

– Widzisz, nawet nie patrzy na swoją partnerkę.

– Chce, żeby to jego podziwiano.

– To na jedno wychodzi.

– Świetnie tańczy.

– Co mam zrobić, Lauro, co mam zrobić? – wyjąkała Elizabeth bliska płaczu. – Nigdy nie zwróci na mnie uwagi.

Jak tylko skończył się taniec, zjawiła się doña Genowefa i poprosiła Elizabeth, by wstała i razem z nią podeszła do Eduarda Carazy, który właśnie głośno wycierał nos.

– Dziecko – szepnęła gospodyni blondynce z zapłakanymi oczami – nigdy nie pokazuj publicznie, że jesteś zakochana. Wszystkim okazujesz wyższość i odstręczasz ich od siebie. Eduardo, teraz będą tańce nowoczesne. Elizabeth chce, żebyś ją nauczył tańczyć *cake-walk* lepiej, niż to robi Irene Castle.

Zostawiła ich trzymających się za ręce i wróciła na swoje miejsce, niby generał po obowiązkowym przeglądzie wojsk, lustrując wszystkich gości od stóp do głów: paznokcie, krawat, buty. Ile by dali członkowie tej prowincjonalnej socjety, żeby zobaczyć zeszyt dońi Genowefy, gdzie każda młoda osoba była oceniana jak w szkole i uzyskiwała (albo i nie) aprobatę na rok następny. A jednak – wzdychała ta idealna pani domu – zawsze będą ludzie, których nie można nie zaprosić, choćby pili bez umiaru, mieli zaniedbane paznokcie, nie umieli dobrać butów do fraka albo zawiązać krawata, albo byli po prostu chamami, jak ten tenisista.

„Można być arbitrem towarzyskim, ale władza i pieniądze zawsze będą na pierwszym miejscu, przed elegancją i dobrymi manierami”.

Kolacje w San Cayetano miały swoją renomę i nigdy nie sprawiały zawodu. Kamerdyner w białej peruce i osiemnastowiecznym stroju ogłosił po francusku: *Madame est servie*.

Laurze chciało się śmiać na widok tego ciemnego służącego, najwyraźniej pochodzącego z Veracruz, który z tak wspaniałym akcentem powiedział po francusku to jedyne zdanie, jakiego nauczyła go doña Genowefa, chociaż matka Elizabeth, prowadząc swoje dwie podopieczne do jadalni, wyraziła własny pogląd na tę sprawę:

– W zeszłym roku miała Murzynka w białej peruce. Wszyscy myśleli, że pochodzi z Haiti. Ale przebrać Indianina za Ludwika XV...

Szeregi europejskich twarzy, które przemieszczały się teraz w stronę jadalni, usprawiedliwiały doñę Genowefę. Były to dzieci, wnuki i prawnuki imigrantów hiszpańskich, francuskich, włoskich, szkockich czy niemieckich, tak jak Laura Díaz Kelsen czyjej brat Santiago, z mieszaniną krwi nadreńskiej lub kanaryjskiej, którzy przyплыli do portu w Veracruz i zostali tu, by się dorobić – w Veracruz, w Xalapie, w Cordobie i Orizabie – na kawie albo cukrze, na hodowli bydła, w wolnych zawodach, w bankach, na imporcie, a nawet na polityce.

– Spójrz na to zdjęcie don Porfiria w gabinecie. Jedyne Indianin to on. Wszyscy pozostali to biali, o jasnych oczach, ubrani w angielskie garnitury. Popatrz, jakie oczy ma Limantour, minister skarbu: jak woda; spójrz na łysinę gubernatora miasta Meksyk, wygląda jak rzymski senator, albo na brodę ministra sprawiedliwości Justina Fernandez, czyż nie przypomina gockiego patrycjusza? A ten faworyt Casusus ma wzrok katalońskiego bandyty. A sam dyktator? Podobno używał ryżowego pudru, żeby mieć bielszą cerę. I pomyśleć, że walczył po stronie liberałów, bohater wojny o Reformę – perorował mężczyzna około sześćdziesiątki o dostojnym wyglądem, importer win i eksporter cukru.

– A pan chce, żebyśmy wrócili do czasów Azteków? – odpowiedziała mu jedna z dam, do których importer-eksporter niefortunnie skierował swe wywody.

– Proszę sobie żartować z Porfiria Díaza, jedyne go poważnego człowieka w historii Meksyku – wtrącił inny mężczyzna w porywie nostalgii: – Jeszcze będziemy za nim tęsknić. Zobacz pan.

– Na razie nie zanosz się na to – odpowiedział kupiec. – Dzięki wojnie eksportujemy i zarabiamy jak nigdy dotąd...

– Ale dzięki rewolucji zostaniemy w samych gaciach, za przeproszeniem dam – usłyszał w odpowiedzi.

– Ach, ci żuawi byli naprawdę przystojni – dobiegła jeszcze do Laury opinia pani, obrażonej na Azteków, i reszta dyskusji już do niej nie dotarła. Goście zaczęli oblegać stoły uginające się od galantyn, pasztetów, kaczek, szynek, plastrów rostbefu...

Czyjaś bardzo blada, żółtawa ręka podała Laurze talerz już napełniony jedzeniem. Zauważyła złoty pierścień z inicjałami OX i nakrochmalony mankiet koszuli od fraka, spinki z czarnego onyksu, oceniła gatunek materiału. Coś nie pozwalało Laurze podnieść oczu i popatrzeć w twarz tego osobnika.

– Myślisz, że dobrze znałaś Santiago? – zapytał czyjś głos dyszkantem, choć słycać było, że to głos z natury niski, że te ledwie dosłyszalne słowa wyszły z gardła o strunach głosowych barytona. Dlaczego Laura nie chciała spojrzeć w tę twarz? On sam podniósł jej brodę i powiedział: – Taras ma trzy strony, po prawej możemy być sami.

Wziął ją pod ramię, a ona, oburącz trzymając talerz, szła obok smukłego mężczyzny, dobrze ubranego, roztaczającego leciutką woń angielskiej lawendy, który prowadził ją spokojnym krokiem do najodleglejszego zakątka tarasu, obok podwyższenia dla muzyków, gdzie leżały pokrowce instrumentów. Mimo że pomagał jej wymijać wszelkie przeszkody, niezdarnie upuściła talerz, który roztrzaskał się o marmurową posadzkę, rozpryskując dookoła galantynę i rostbef...

– Pójdę po następny – powiedział zaskakująco niskim głosem nieoczekiwany zalotnik.

– Nie, nie trzeba. Już nie jestem głodna.

– Jak chcesz.

W tym kącie było dość ciemno. Patrząc pod światło, Laura spostrzegła najpierw doskonale zarysowany profil, prosty nos bez żadnego garbka, lekko cofniętą górną wargę i wydatną szczękę, taką, jaką mieli habsburscy monarchowie z podręcznika historii powszechnej.

Młody człowiek nie puszczał ramienia Laury, która stała zdumiona, a nawet przestraszona, kiedy powiedział jej bez żadnego wstępu:

– Jestem Orlando Ximénez. Ty mnie nie znasz, ale ja ciebie tak. I to dobrze znam. Santiago mówił o tobie z wielkim uczuciem. Myślę, że byłaś jego ulubionym dziewczątkiem.

Orlando zaśmiał się cicho, odrzucając głowę do tyłu, i Laura w świetle księżyca zobaczyła jasne kręcone włosy i twarz dziwną, żółtawą, o zachodnich rysach, ale oczach zdecydowanie orientalnych, tak samo jak skóra, która kolorem przypominała chińskich robotników pracujących w porcie Veracruz.

– Pan mówi tak, jakbyśmy się znali.

– Ty, proszę, mów mi ty, bo poczuję się obrażony. A może chcesz, żebym sobie poszedł i pozwolił ci zjeść kolację w spokoju?

– Nie rozumiem, co pan... Orlando... o czym ty mówisz... Orlando wziął dłoń Laury i ucałował pachnące mydłem palce.

– Mówię o Santiago.

– Znałeś go? Ja nigdy nie poznałam żadnego jego przyjaciela.

– *Et pour cause* – roześmiał się Orlando tym bezgłośnym śmiechem, który wprawiał Laurę w zdenerwowanie. – Myślisz, że twój brat oddał się cały tobie, tylko tobie?

– Nie, dlaczego miałabym tak myśleć – wyjąkała dziewczyna.

– Oczywiście, że tak myślisz, nikt, kto go poznał, nie myśli inaczej. On robił wszystko, żeby przekonać każdego z nas, że jesteśmy właśnie tacy, jedyni, niezastąpieni. *C'était son charme*. Miał taki dar, to tak, jakby mówił: jestem tylko twój.

– Tak, on był bardzo dobry...

– Lauro, Lauro, „dobry” to nie jest odpowiednie słowo! Gdyby ktoś powiedział mu, że jest „dobry”, Santiago by go nie spoliczkował, ale by nim gardził, to była jego broń o wiele bardziej okrutna...

– On nie był okrutny, mylisz się, chcesz mi dokuczyć... Laura odwróciła się, żeby odejść. Orlando przytrzymał ją za rękę gestem stanowczym i delikatnym, w którym niespodziewanie wyczuła pieśczość.

– Nie odchodź.

– Męczysz mnie.

– Bo to nie po twojej myśli. Poskarżysz się na mnie?

– Nie, ale chcę już iść.

– W porządku, mam nadzieję, że przynajmniej zasiałem w tobie niepokój.

– Ja kochałam mojego brata. Ty nie.

– Lauro, ja kochałam twojego brata o wiele bardziej niż ty. Chociaż muszę przyznać, że ci zazdroszczę. Ty poznałaś anielską stronę Santiago. A ja... no cóż, muszę przyznać, że ci zazdroszczę. Ileż to razy mi mówił... on... „Jaka szkoda, że Laura jest jeszcze dzieckiem! Oby szybko dorosła. Wyznam ci, że pożądam jej jak wariat”. Jak wariat. Do mnie nigdy tak nie powiedział. Dla mnie był o wiele bardziej surowy... Chcesz, żebym tak o nim mówił, zamiast „okrutny”? Santiago Surowy zamiast Santiago Okrutny, albo lepiej, *pourquois pas*, Santiago Obojnak, człowiek, który pragnął być kochany przez wszystkich, mężczyzn i kobiety, chłopców i dziewczynki, biednych i bogatych. A wiesz, dlaczego chciał być kochany? Żeby nie odwzajemniać miłości. Co to była za pasja, Lauro, jaka zachłanność na życie! Nienasycony Apostoł Santiago. Tak, jakby wiedział, że umrze młodo. A wiedział z całą pewnością. Dlatego czerpał garściami to, co dawało mu życie. I mimo wszystko selekcjonował. Nie myśl, że był, jak się tutaj mówi, przyprawą, która jest dobra do wszystkich sosów. *Il savait choisir*. Dlatego wybrał ciebie i mnie, Lauro.

Laura nie wiedziała, co odpowiedzieć, ten młody mężczyzna był tak bezwstydnym, zuchwałym i pięknym, jednak w miarę jak go słuchała, jej uczucie dla Santiago stawało się coraz bardziej złożone.

Z początku ten człowiek wydawał jej się odpychający (jaszczurka, fircyk, dandys, Orlando znowu się uśmiechnął, jakby odgadywał myśli Laury, szukanie etykietek, jakimi często go obdarzano...), a w końcu, wbrew własnej woli, poczuła, że ją pociąga. Kiedy go słuchała, kiedy mówił jej o Santiago o wiele więcej, niż sama o nim wiedziała, jej początkowa niechęć do Orlanda ustępowała miejsca przemożnej chęci dowiedzenia się czegoś więcej o zmarłym bracie. Te dwa uczucia walczyły w niej teraz, i Orlando, który zaraz to rozszyfrował, przestał mówić i poprosił ją do tańca.

– Posłuchaj, wrócili do Straussa. Nie cierpię tych nowoczesnych tańców.

Podał jej rękę i objął w pasie, swoimi orientalnymi żrenicami zajrzał głęboko w jej mieniące się, pełne blasku oczy i patrzył na nią tak, jak nikt nigdy dotąd, a ona, tańcząc z nim walca, poczuła, że drży, że obydwójce pod swymi balowymi strojami są nadzy, tak nadzy, jak mógł to sobie wyobrazić ksiądz Elzevir, i że nic już ich nie dzieli: są nadzy i trzymają się w ramionach.

Laura obudziła się z transu, kiedy oderwała wzrok od oczu Orlanda i zobaczyła, że wszyscy dookoła patrzą na nich, odsuwają się, w końcu zatrzymują się i obserwują taniec Laury Díaz z Orlandem Ximenezem. Wszystko to przerwała gromada dzieciaków, które nie mogły zasnąć i, w nocnych koszulach, wpadły z wielkim rwetesem, niosąc ogromne kapelusze pełne pomarańczy skradzionych w ogrodzie.

– No proszę, proszę. Byłaś sensacją balu – powiedziała Elizabeth García swojej szkolnej koleżance, kiedy wracały do Xalapy.

– Ten chłopiec ma bardzo złą opinię – dodała pospiesznie matka Elizabeth.

– Wielka szkoda, że mnie nie poprosił do tańca – mruknęła Elizabeth. – Nawet nie zwrócił uwagi na mnie.

– Ale ty przecież chciałaś tańczyć z Eduardem Carazą, tak o tym marzyłaś – powiedziała zdumiona Laura.

– W ogóle się do mnie nie odezwał. Jest źle wychowany. Tańczy i nie mówi ani słowa.
– Następnym razem się odezwie, córeczko.

– Nie, mam, zawiodłam się już na całe życie. – I dziewczyna w różowej sukience rzuciła się z płaczem w ramiona matki, która, zamiast ją pocieszać, wołała zmienić temat, ostrzegając Laurę.

– Przykro mi, ale czuję się w obowiązku powiedzieć o wszystkim twojej matce.

– Niech się pani nie fatyguje. Już tego chłopca nigdy więcej nie zobaczę.

– To lepiej dla ciebie. Złe towarzystwo...

Czarny Zampayita otworzył bramę i obie panie Garcia-Dupont, matka i córka, wyciągnęły chusteczki – suchą matka, a skąpaną we łzach córka – żeby pożegnać się z Laurą.

– Jaki tu ziąb, panienko! – poskarżył się służący. – Kiedy wrócimy do Veracruz?

Zrobił parę tanecznych kroków, ale Laura nie patrzyła na niego. Wzrok utkwiała w poddasze zajęte przez Katalonkę, Armonię Aznar.

Musieli bardzo wcześnie wyjechać landem do Catemaco: dziadek umiera, zawiadomiła ich ciotka Mulatka. Laura patrzyła z nostalgią na ukochany tropikalny pejzaż, który na nowo roztaczał się przed jej pełnymi czułości oczami, i myślała o czekającym ją smutnym pożegnaniu z dziadkiem Felipe.

Leżał w sypialni, tej, którą zajmował od lat, najpierw jako kawaler, potem ze swoją umiłowaną żoną Cosimą Reiter, a teraz znowu sam, doglądany przez trzy córki, które traktowały go, wiedział o tym dobrze, jako pretekst, żeby nie wychodzić za mąż, z obowiązku wobec owdowiałego ojca...

– Ciekawe, czy teraz się wydacie, moje panny – powiedział złośliwie Felipe Kelsen ze swego łoża boleści.

Wejście do domu w Catemaco wydawało się Laurze jakieś inne, tak jakby podczas jej nieobecności wszystko zmalowało, ale też jednocześnie wydłużyło się i zwężyło. Powrót do przeszłości to jak wejście do pustego, nie kończącego się korytarza, gdzie nie ma już ani rzeczy, ani osób, które zazwyczaj się tam znajdowały i które znowu pragnęlibyśmy zobaczyć. Osoby i rzeczy z przeszłości, tak jakby igrając zarówno z naszą pamięcią jak i naszą wyobraźnią, prowokują nas, byśmy umiejscawiali je w czasie teraźniejszym, nie zapominając, że miały przeszłość i że będą miały przyszłość, chociaż ta akurat jest tylko wspomnieniem znowu w czasie teraźniejszym. Ale kiedy ma się być obecnym przy śmierci – który czas w życiu uznać za ważny? Dlatego Laurze zabrało tyle czasu dotarcie do sypialni dziadka, jakby czynność ta wymagała przebrnięcia przez cały żywot starca, od jego niemieckiego dzieciństwa, o którym nic nie wiedziała, poprzez młodzieńcze fascynacje poezją Musseta i teoriami Lassalle'a, rozczarowania polityczne i emigrację do Meksyku, założenie plantacji i kawowe bogactwo w Catemaco, miłość do poznanej listownie narzeczonej Cosimy, potworne zdarzenie na drodze z Papantli, narodziny trzech córek, uznanie nieślubnego dziecka, ślub Letycji i Fernanda, narodziny Laury, upływ czasu, który w młodości jest powolny i niecierpliw, a na starość pędzi niepowstrzymanie z szybkością jednocześnie i śmieszną, i tragiczną. Dlatego Laurze zabrało tyle czasu dojście do sypialni dziadka. Żeby dotrzeć do łoża umierającego, trzeba było dotknąć przeżytych przez niego dni, wszystkich razem i każdego z nich z osobna, przypomnieć je sobie, wyobrazić, być może uzupełnić tym, co nigdy się nie zdarzyło, nawet tym, czego wyobrazić sobie nie sposób, przez samą obecność w nich ukochanej istoty, która reprezentuje wszystko to, co było, czego nie było, co się mogło zdarzyć i co nigdy nie mogło się zdarzyć.

Teraz, w tym szczególnym dniu, Laura Díaz siedziała obok dziadka, trzymała w dłoniach jego żyłastą rękę, pokrytą starczymi plamami, i gładząc skórę, która z wiekiem stała się przezroczysta, znowu miała wrażenie, że żyje dla innych; jej egzystencja nie miała innego celu niż uzupełniać niedokończone przeznaczenia. Jak mogła tak myśleć, gładząc rękę

człowieka, który umierał w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, żył pełnią życia i dobiegł kresu swych dni?

Santiago nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań. Czy to samo można powiedzieć o dziadku, mimo jego wieku? Czy było chociaż jedno życie całkowicie skończone, jedno życie bez niespełnionych obietnic, niewykrytych możliwości? Więcej., to nie przeszłość umiera w każdym z nas. Umiera przyszłość.

Laura popatrzyła głęboko w jasne, przymglone oczy dziadka, żywe jeszcze, choć już naznaczone śmiercią. Zadała mu to samo pytanie co sobie. Felipe Kelsen uśmiechnął się z trudem.

– Nie pamiętasz, co ci mówiłem, moje dziecko? Wszystkie moje ataki dopadły mnie jednocześnie i tak się to skończyło... ale zanim odejdę, chcę ci przyznać rację. To prawda, że w głębi lasu stoi posąg kobiety obwieszony klejnotami. Celowo wprowadziłem cię w błąd. Nie chciałem, żebyś wpadła w sidła zabobonów i czarów. Zaprowadziłem cię do ceiby, żebyś nauczyła się kierować w życiu rozsądkiem, a nie fantazją i porywami, które mnie w młodości tak drogo kosztowały. A teraz uważaj. Ceiba pokryta była kolcami, ostrymi jak sztylety, pamiętasz?

– Oczywiście, dziadku...

Nagle starzec, jakby zdając sobie sprawę, że nie ma już czasu na zbędne słowa, wyszeptał:

– Jestem młodym socjalistą. Mieszkam w Darmstadt i tutaj umrę. Potrzebuję bliskości mojej rzeki, moich ulic i moich placów. Potrzebuję złotego zapachu chemicznych fabryk. Muszę w coś wierzyć. To jest moje życie i nie zamieniłbym go na inne.

– Na inne... – Usta wypełniły mu się musztardową pianą i pozostały już tak otwarte na zawsze.

Kiedy bal się skończył, Orlando przybliżył wargi – mięsiste jak u dziewczyny – do ucha Laury.

– Rozejdźmy się teraz. Zwracamy ogólną uwagę. Czekam na ciebie na poddaszu twojego domu.

Wobec tej zdumiewającej propozycji Laura stanęła jak wryta pośród ogólnego rozgwaru i ciekawskich spojrzeń.

– Ale tam mieszka ta pani Aznar.

– Już nie. Ona chciała wrócić do Barcelony, żeby tam umrzeć. Oplaciłem jej bilet. Poddasze należy teraz do mnie.

– Ale moi rodzice...

– Nikt nic nie wie. Tylko ty. Tam na ciebie czekam. Przyjdź, kiedy zechcesz.

I oderwał usta od ucha Laury.

– Chcę ci dać to samo, co dawałem Santiago. Nie zawieź mnie. On to lubił.

Kiedy Laura wróciła z pogrzebu dziadka, słowa Orlanda przez wiele dni dudniły w jej głowie wciąż od nowa: myślisz, że dobrze znałaś Santiago, że twój brat cały oddał się tobie? Jak mało wiesz o tak skomplikowanym człowieku, tobie oddał tylko część, a miłość, namiętna miłość, komu ją dał?

Bez przerwy spoglądała na poddasze. Nic się nie zmieniło. Tylko ona. Nie rozumiała, na czym polegała ta zmiana. Być może była to tylko zapowiedź zmiany, która miała się spełnić, gdyby ona potajemnie weszła po schodach na poddasze, ostrożnie, żeby nikt jej nie widział, ani ojciec, ani matka, ani ciotka Maria de la O, ani Murzyn Zampayita, ani służące Indianki. Nie musiałyby pukać do drzwi, bo Orlando zostawiłby je niedomknięte. Orlando na nią czeka. Orlando jest piękny, dziwny, dwuznaczny w świetle księżyca. Ale może w świetle dnia jest brzydki, przeciętny, fałszywy. Całe ciało Laury krzychało z tęsknoty za bliskością Orlanda, ze względu na niego, na nią, na to niespodziewane, romantyczne spotkanie na balu w hacjendzie, ale także ze względu na Santiago, bo miłość do Orlanda była pośrednią, ale dozwoloną formą

miłości do brata. Czy insynuacje Orlanda miały w sobie coś z prawdy? A gdyby to było kłamstwo, czy mogłaby kochać Orlanda dla niego samego, bez udziału w tym ducha Santiago? Albo czy mogłaby znienawidzić zarówno Orlanda, jak i Santiago? Znienawidzić Santiago przez Orlanda? Zmroziło ją podejrzenie, że wszystko to może być wielką farsą zaaranżowaną przez młodego kusiciela. Laura nie potrzebowała przewrotnych napomnień księdza Elzevira Almonte, żeby odrzucić wszelki pociąg do łatwej miłości. Wystarczyło jej, że w wieku siedmiu lat przyjrzała się sobie nago w lustrze i nie widząc żadnej z tych okropności, zapowiadanych przez księdza, nie uległa pokusom, które – dzięki niezawodnej intuicji – wydały jej się bezużyteczne, jeśli nie mogły być dzielone z ukochaną osobą.

Jej miłość do wszystkich członków rodziny, włączając w to Santiago, była czysta, pełna radości i ciepła. Teraz, pierwszy raz w życiu, czuła innego rodzaju podniecenie. Czy ten mężczyzna był realny, czy to wszystko było kłamstwem? Czekają ją wielkie przeżycie czy też ryzyko, że jej pierwszy mężczyzna w życiu będzie człowiekiem bezwartościowym, nieodpowiednim dla niej, widmem w zastępstwie brata, że ten piękny, pociągający, uwodzicielski, demoniczny, usidlający ją obłudnik będzie mógł tak wygodnie, tuż obok, spotykać się z nią w jej własnym domu, pod dachem jej rodziców...?

Być może ten problem pomógł jej rozwiązać, zupełnie nieświadomie, Zampayita, kiedy po balu odwoził Laurę, Elizabeth i panią Dupont-García do Xalapy.

– Czy szanowne panie widziały to drzewo figowe przed wejściem do tej klatki? – zapytał Murzyn.

– Jakiej klatki? – powiedziała z oburzeniem pani Dupont-García. – To najbardziej elegancka hacjenda w okolicy, tępaku. A to był bal roku.

– Prawdziwe tańce to są na ulicy, za przeproszeniem szanownej pani.

– Gadaj zdrów – westchnęła dama.

– Nie przeziębilesz się na dworze, Zampayita? – zapytała z troską Laura.

– Nie, panienko. Patrzyłem na to drzewo figowe. Przypomniałem sobie historię świętego Filipa od Jezusa. Był to chłopiec zarozumiały i źle wychowany, jak niektórzy, co to ich dzisiaj w nocy widziałem. Przed jego domem stało uschnięte drzewo figowe. Jego niania powtarzała: Jak Filipek zostanie świętym, to drzewko zakwitnie.

– Jak możesz tak mówić o świętych! – chciała już to ukrócić zgorszona dama. – Święty Filip od Jezusa pojechał na Daleki Wschód nawracać Japończyków, którzy go nikczemnie ukrzyżowali. Teraz jest świętym, nie wiesz o tym?

– To mówiła jego niania, z szacunkiem dla jaśnie pani. W tym dniu, kiedy zabili Filipka, drzewko figowe zakwitło.

– To tutaj jest uschnięte. – Elizabeth roześmiała się szelmowsko.

– Siła Santiago polegała na tym, że nigdy nikogo nie potrzebował – tłumaczył jej Orlando na tarasie w San Cayetano. – Dlatego miał nas wszystkich u swoich stóp.

Po miesiącu znaleziono podobno zwłoki pani Armonii Aznar na poddaszu. Mówią, że odkryto je, kiedy urzędnik bankowy poszedł do niej z miesięcznym czekiem, zanim jeszcze Zampayita postawił jej pod drzwiami jak co dzień kosz z prowiantem. Nie żyła dopiero od dwóch dni. Jeszcze nie było przykrego zapachu.

– Wszystko jest ukryte, wszystko na nas czyha – Laura wypowiedziała tajemnicze zdanie, które zwykła powtarzać ciotka Virginia. Skierowała je do chińskiej lalki Li Po ułożonej wygodnie na poduszkach łożka i ona sama, Laura Díaz, postanowiła uratować wspomnienie swojego pierwszego balu: oczami wyobraźni widziała siebie, była smukła i przezroczysta, tak przezroczysta, że suknia balowa była jej ciałem, a pod suknią nie było nic, i wirowała, unosiła się w walcu z płynną elegancją tak długo, aż, uszczęśliwioną, otulił welon snu.

V. Xalapa: 1920

„Pomyliłeś się, Orlando. Tutaj nie. Poszukaj innego sposobu, żebyśmy się mogli spotykać. Miej więcej wyobraźni. Nie wolno ci oszukiwać mojej rodziny i doprowadzać do tego, że sama sobą będę gardziła”.

Laura znów żyła w kręgu najbliższych jej osób, przygnębiona z powodu śmierci dziadka i choroby ojca. Kuszenie Orlando i śmierć pani Aznar wyrzuciła nie tyle z pamięci, co ze wspomnień; nigdy nie wracała myślą do tych spraw, nie rozmawiała o nich z innymi ani sama ze sobą. Niemniej istniały w jej świadomości, ale zawsze pod kluczem, wśród zdarzeń, których nie wyciąga się z kufra przeszłości. Przy tylu problemach i nieszczęściach, jakie spadły na ich dom, byłoby to dla niej nie do zniesienia, tak samo jak rozpamiętywanie niezdrowych insynuacji, którymi Orlando skalał pamięć Santiago, a ową pamięć Laura za wszelką cenę chciała zachować czystą i jasną. Najbardziej miała za złe owemu „fircykowi”, że naraził na szwank tę część życia Santiago, która tak głęboko zapadła jej w duszę.

Czy Santiago żyje też w duszy swego ojca? – zadawała sobie pytanie ta dwudziestodwuletnia dziewczyna, spoglądając na zniedołężniałą postać Fernanda Díaza.

Kto to mógł wiedzieć. Paraliż tego księgowego i zarazem dyrektora banku postępował w złowieszczym tempie: szybko i nieustępliwie. Niemoc w nogach wkrótce objęła całe ciało, a w końcu odebrała mu mowę. Całe serce Laury wypełniło jedno tylko, niezwykle intensywne uczucie: litość dla ojca. Unieruchomiony na wózku, był karmiony jak dziecko, ze ślimakiem, przez anielsko dobrą ciotkę Marię de la O i patrzył na świat nieodgadnionym wzrokiem, po którym nie można było poznać, czy coś słyszy, czy myśli, czy zdolny jest do jakichkolwiek innych odruchów oprócz rozpaczliwego mrugania powiekami i równie rozpaczliwego powstrzymywania się od mrugania, gdy otwarłszy szeroko oczy, czujne i badawcze, patrzył przed siebie tak długo, że przekraczałoby to możliwości normalnego człowieka – jakby bał się, że któregoś dnia, kiedy je zamknie, już nigdy ich nie otworzy. Jego spojrzenie stało się szklane, łzawe. Potrafił natomiast w sposób niezwykle wyrazisty poruszać brwiami; z pozycji normalnej wyprowadzał je do linii tak pełnej ekspresji, że Laurę ogarniał strach. Te dwa łuki, jedyne co pozostało z jego osobowości, nie wyrażały zwykłego zdumienia, tylko unosiły się jeszcze wyżej, jakby pytały o coś czy chciały coś przekazać.

Czarna ciotka doglądała inwalidy, a Letycja zajmowała się domem. Ale to Letycja, trzymając męża za rękę, nauczyła się powoli czytać z jego wzroku i porozumiewać się z nim.

- Chce, żebyś mu wpięła spinkę do krawata, Mario de la O.
- Chce, żebyśmy go wyprowadziły na spacer do Los Berros.
- Ma ochotę na ryż z fasolą.

Czy jej matka mówiła prawdę, czy też stwarzała pozory porozumienia, a tym samym życia? Maria de la O starała się wyręczać Letycję we wszystkich przykrych zajęciach przy chorym. Myła sparaliżowanego owsianym mydłem i ręcznikiem zmoczonym ciepłą wodą, ubierała go każdego ranka tak, jakby pan domu wychodził do biura, w garnitur, kamizelkę, sztywny kołnierzyk, krawat, czarne skarpetki i wysokie buty, a wieczorem rozbierała i przy pomocy czarnego służącego o godzinie dziewiątej kładła do łóżka.

Laura nie umiała pomóc ojcu inaczej, jak tylko trzymając go za rękę i czytając mu francuskie i angielskie powieści, które tak lubił; przy okazji sama uczyła się tych języków, co miało być rodzajem hołdu dla niedołężnego ojca. Fizyczna degradacja Fernanda Díaza wkrótce znalazła odbicie w rysach jego twarzy. Postarzał się, ale nadal panował nad swymi

uczuciami, gdyż Laura raz tylko widziała, jak płacze, ale było to wtedy, kiedy czytała mu o wzruszającej śmierci chłopca Little Father Time, który popełnił samobójstwo, kiedy usłyszał, jak rodzice mówili o tym, że nie są w stanie wyżywić tylu osób; był to fragment książki *Juda nieznan* Thomasa Hardy'ego. A jednak ów płacz ucieszył Laurę. Ojciec ją rozumiał. Ojciec słuchał i czuł – pod grubą skorupą choroby.

– Wyjdź gdzieś, dziecko, prowadź tryb życia odpowiedni dla twego wieku. Nic nie zasmuciłoby ojca bardziej niż świadomość, że się dla niego poświęcasz.

Dlaczego matka użyła tej formy gramatycznej, trybu przypuszczającego, który według panien Ramos potrzebował innego czasownika, żeby nabrać znaczenia: trybu oznajmującego wyrażającego hipotezę – mówiła pierwsza panna Ramos; pragnienie – uzupełniała druga, tak jak wtedy, kiedy się mówi: „gdybym ja była tobą...”, mówiły obie jednocześnie, choć w różnych miejscach. Spędzać dzień po dniu przy inwalidzie, nie myśląc o tym, co ma nadejść, było jedynym ratunkiem, który mógł być wspólnym udziałem ojca i córki. Jeśli Fernando ją rozumiał, Laura będzie mu opowiadała, czym się zajmuje przez cały dzień, jak toczy się życie w Xalapie, co nowego się dzieje...

I wtedy Laura zdała sobie sprawę, że nie działo się nic nowego. Jej szkolne koleżanki po zdobyciu dyplomu powychodziły za mąż, mieszkają daleko, w stolicy, dokąd wywieźli je mężowie, bo rewolucja scentralizowała władzę bardziej niż dyktatura, bo prawo agrarne i ustawy o robotnikach zagrażały prowincjonalnym bogaczom, bo wielu zdecydowało się utracić majątek, porzucić ziemię i zakłady przemysłowe w głębi kraju, zniszczone walkami, i zacząć życie od nowa w stolicy, z dala od prowincjonalnej i wiejskiej beznadziei; wszystko to rozłączyło Laurę z przyjaciółkami.

Gdzieś daleko zostały również emocje, które wywoływało w niej wspomnienie dandysa Orlanda i katalońskiej anarchistki; przybladło nawet gorące uwielbienie dla Santiago; ich miejsce zajęło zwykłe przemijanie godzin, z których tworzą się dni, z których tworzą się lata. Miejscowe zwyczaje nie ulegały zmianom, tak jakby zewnętrzny świat nie miał dostępu do sfery tradycji, wewnętrznej równowagi, własnych satysfakcji, a nawet mądrości miasta, które cudem, a także siłą woli nie ucierpiało fizycznie w narodowej zawierusze tamtych lat. Rewolucja w Veracruz była przede wszystkim strachem bogatych przed utratą tego, co posiadali, i pragnieniem biednych, by zdobyć to, co było niezbędne do życia. Don Fernando, jeszcze w Veracruz, wspominał przelotnie o wpływach anarchosyndykal i stycznych idei, które docierały do Meksyku poprzez ten morski port, a potem obecność nigdy nie widzianej Armonii Aznar w ich własnym domu potwierdziła tamte sądy, których Laura nie rozumiała zbyt dobrze. Po ukończeniu szkoły, kiedy powyjeżdżały przyjaciółki, bo one powychodziły za mąż, a Laura nie, bo one zamieszkały w stolicy, a Laura została tutaj, siłą rzeczy zaprzyjaźniła się z dziewczętami młodszymi od siebie, żeby w tej normalności, której pragnęła dla niej matka, zapomnieć o rodzinnych kłopotach. Te dziewczęta były o wiele bardziej infantylne nie tyle ze względu na różnicę wieku, ile na doświadczenia, które miała Laura – siostra Santiago, obiekt kusicielskich umizgów Orlanda, córka ojca zmożonego chorobą i matki usidłonej w swoim poczuciu obowiązku...

Być może Laura, chcąc ukoić swoją zranioną wrażliwość, nie zastanawiała się głębiej nad tym swoim-nieswoim życiem. Było pod ręką, wygodne, nie miało specjalnego znaczenia, zresztą ona też nie miała zamiaru myśleć o rzeczach niemożliwych, czy choćby po prostu innych niż szara rzeczywistość Xalapy. Nic nie zakłócało codziennych spacerów po ulubionym parku Los Berros, gdzie rosły wysokie topole o srebrzystych liściach, stały żelazne ławki, fontanny z zieloną wodą miały barierki mokre od wodorostów, dziewczynki skakały przez sznurek, panienki spacerowały w jednym kierunku, a kawalerowie w przeciwnym, kokietując się nawzajem, przyglądając się sobie bezwstydnie albo omijając spojrzeniem, ale zawsze w oczekiwaniu na okazję, żeby się zobaczyć choćby przez parę sekund, wprowadzić tyle razy, na ile starczało podniecenia albo cierpliwości.

– Uważajcie na panów z laseczką na ramieniu w parku Juareza – ostrzegają matki swoje córki. – Mają złe intencje.

Ten park był innym ulubionym miejscem spotkań. Wzdłuż alejek rosły topole, drzewa laurowe, araukarie i *Jacarandas*, tworząc nad głową cieniste sklepienia, pod którymi tak miło było jeździć na wrotkach, oglądać stoiska na kiermaszach, a w pogodne dni patrzeć na Pico de Orizaba, najwyższy wulkan Meksyku, zwany inaczej Citlaltepetl albo górą gwiazdy. Citlaltepetl miał tę magiczną właściwość, że zmieniał swe położenie w zależności od światła dnia albo pory roku: przejrzysty świt go przybliżał, południowy upał oddalał, wieczorna mżawka go przesłaniała, a kiedy w zależności od pogody wyłaniał się po raz drugi w ciągu dnia, zmierzch przydawał mu szczególnie uroczystej oprawy, natomiast w nocy wszyscy wiedzieli, że jest niewidzialną wprawdzie, ale też niewzruszoną gwiazdą na firmamencie, duchem opiekuńczym prowincji Veracruz.

Wciąż padały deszcze, a wtedy Laura i jej nowe, nieodpowiednie dla niej przyjaciółki (już nie pamięta, jak się nazywały) uciekały z parku, szukając schronienia; kluczyły pod okapami dachów i przeskakiwały strumyczki, które krzyżowały się na środku jezdni. Jak pięknie bębniły te ciepłe ulewy o dach i szeleściły w deszczu liście! To, co małe, postanawia żyć. Wieczorem, kiedy przestawało padać, świeżo wymyte deszczem ulice napełniały się zapachem tulipanów i żonkili. Młodzi wychodzili na spacer. Od siódmej do ósmej była „godzina balkonowa”, kiedy narzeczeni składali wizyty narzeczonemu przy balkonach specjalnie otwartych na oścież i – rzecz normalna w Xalapie, ale dziwna w jakimkolwiek innym miejscu na świecie – mężowie zalecali się do własnych żon, jakby w tej „balkonowej godzinie” chcieli odnowić śluby i ożywić uczucia.

W tych latach, kiedy rewolucja meksykańska i wojna europejska niemal jednocześnie osiągnęły punkt kulminacyjny i zaczęły zbliżać się do końca, wielką nowością stało się kino. Działania zbrojne zaczęły tracić na sile: bitwy, które rozegrały się po wielkim zwycięstwie Obregona nad Villa w Celayi, były zaledwie potyczkami; potężna Dywizja Północna Villi rozpadła się na bandy włóczęgów i wszystkie frakcje polityczne zaczęły szukać poparcia, stanowisk, korzyści i ideałów – w takim właśnie porządku – kiedy zwyciężył Venustiano Carranza, wódz konstytucjonalistów, i w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku weszła w życie nowa Carta Magna – jak nazywały ją gazety – która była przedmiotem badań, dyskusji i stałych obaw miejscowych dżentelmenów, zbierających się każdego wieczoru w kasynie.

– Jeśli reforma rolna będzie wprowadzona w życie tak, jak tu jest napisane, jesteśmy zrujnowani – powiedział ojciec młodego tancerza z Cordoby, który rozmawiał tylko o kurach i kogutach.

– Nie zrobią tego. Kraj musi jeść. Tylko wielkie gospodarstwa rolne coś produkują – stwierdził ojciec młodego tenisisty, rudego grubianina.

– A prawa robotników? – wtrącił się zgrzybiały małżonek pani, której brakowało obecności pięknych żuawów francuskich. – Co panowie powiedzą o robotniczych przywilejach wsadzonych do Konstytucji jak ostrza banderilli w grzbiet byka?

– To pasuje, proszę pana, jak Chrystus do pistoletów.

– Czerwone Bataliony, Dom Robotników Świata. Zapewniam łaskawych panów, że Carranza i Obregón są komunistami i zrobią tu to samo, co Lenin i Trocki w Rosji.

– To wszystko jest nierealne, sami zobaczycie.

– Milion ofiar, moi panowie, i po co to było?

– Zapewniam pana, że większość nie zginęła na polu bitwy, tylko w knajpianych burdach.

Wybuchł ogólny śmiech, ale kiedy w Salonie Victorii zaczęto wyświetlać filmy, nakręcone przez braci Abitia na polach rewolucyjnych bitew, kulturalna publiczność zaprotestowała. Nikt nie będzie chodził do kina, żeby oglądać obdartusów ze strzelbami. Prawdziwe kino to kino włoskie, tylko włoskie. Diwy i wampy włoskiego srebrnego ekranu miały monopol na piękno i emocje; doborowa publiczność będzie przeżywać cierpienia i

radości w filmowych dramatach z Piną Menichelli, Italią Almirante Manzini i Giovanna Terribili González; były to wspaniałe kobiety o błyszczących, mocno podkrążonych oczach, intrygujących brwiach, elektryzujących włosach, zachłannych ustach i tragicznych gestach. Kiedy dotarły tu pierwsze filmy amerykańskie, cała widownia protestowała. Dlaczego siostrzyczki Gish szlochają, ukrywając twarze w dłoniach, dlaczego Mary Pickford chodzi ubrana jak żebraczka? Nędzę mamy na ulicach, niedostatek uczuć – w domu.

Dom w życiu Laury i całej prowincjonalnej społeczności był w dalszym ciągu niezastąpionym ośrodkiem życia towarzyskiego. „Przyjmowano” z rzadka wprawdzie, ale regularnie, niemal w ustalonej kolejności. W prywatnych domach grano w loterię i w „siedem i pół”, tworząc wielkie kręgi wokół stołów. Tu pielęgnowano tradycje kulinarne. Tu dziewczęta od najmłodszych lat uczono tańczyć: „to trzeba o, tak, unieść nieco spódniczkę”, i ćwiczone kroczyki po salonach, przygotowując je w ten sposób na wielkie bale w kasynie, na chrzciny, na święta Bożego Narodzenia, kiedy urządzano szopki ze żłóbkiem i postaciami Trzech Króli, a po pasterce otwierano „statek francuski”, który stał na środku salonu pełen słodczy. Potem, w karnawale, urządzano bale maskowe, a na koniec roku w szkole u panien Ramos organizowano żywe obrazy, w których ksiądz Hidalgo proklamował niepodległość albo Indianin Juan Diego rozmawiał z Matką Boską z Gwadelupy. Ale najważniejszy był bal w kasynie organizowany zawsze dziewiętnastego sierpnia. Zbierała się na nim cała śmietanka towarzyska Xalapy.

Laura wolałaby zostać w domu, nie tylko dlatego, żeby być z rodzicami, ale dlatego również, że kiedy po śmierci katalońskiej anarchistki poddasze zostało zamurowane, zaczęła przywiązywać szczególne znaczenie do każdego zakątka swojego domu, jakby wiedziała, że radość z mieszkania i dojrzwania w tym miejscu nie będzie trwała wiecznie. Hacjenda dziadków w Catemaco, mieszkanie nad bankiem tak blisko wybrzeża w Veracruz, a teraz parterowy dom na ulicy Lerdo w Xalapie... ile razy będzie zmieniać miejsce pobytu w ciągu swojego życia? Tego nie mogła przewidzieć. Mogła tylko wspominać dawniejsze mieszkania, utrzymywać w pamięci to obecne i tworzyć kolejne schronienia, których jej niepewne życie – już nigdy tak bezpieczne i przewidywalne jak w dzieciństwie spędzonym nad jeziorem – będzie potrzebowało, żeby znaleźć oparcie w przyszłości. Tej przyszłości, której Laura nie mogła sobie wyobrazić, choćby powtarzała bez przerwy: „Bez względu na to, co się stanie, będzie inaczej niż teraz”. Nie chciała wyobrażać sobie najgorszych przypadków, które przyniosłyby zmianę. Tym najgorszym byłaby śmierć ojca. Chciałaby dodać, że najsmutniejsze, co mogłoby się zdarzyć, to tkwić w jakimś małym miasteczku, w zapomnieniu, tak jak ciotki Hilda i Virginia w rodzinnym domu, pozbawione pretekstu, dla którego tam osiadły i nie wyszły za mąż – tym pretekstem była opieka nad ojcem, Felipe Kelsenem. Dziadek umarł. Hilda grała na pianinie na darmo, dla nikogo; Virginia gromadziła zeszyty z wierszami, których nikt nigdy nie miał przeczytać; to już lepsze było aktywne życie dla innych, takie jakie prowadziła ciotka Maria de la O, poświęcając się nieustannie dla Fernanda Díaza.

– Co ja bym zrobiła bez ciebie, Mario de la O? – mówiła z całą powagą, bez wzdychania, niestrudzona Mutti Letycja.

Laura, tak jak kiedyś starała się zapamiętać na zawsze sypialnię Santiago w Veracruz, teraz z zamkniętymi oczami rejestrowała w pamięci patia, korytarze, podłogę z marsylskiej cegły, palmy, paprocie, mahoniowe szafy, lustro, łóżko z wysokimi ramami, dzban z filtrowaną wodą, toaletkę, miednicę i dzban do mycia, garderobę oraz królestwo matki: kuchnię pachnącą miętą i pietruszką.

– Żebyś się tylko nie zamknęła w sobie jak twoja babka Cosima Kelsen – mówiła jej Letycja, która już nie potrafiła zapanować nad smutkiem widocznym w jej spojrzeniu. – Wyjdź gdzieś z koleżankami. Zabaw się. Masz dopiero dwadzieścia dwa lata.

– Mam już dwadzieścia dwa lata, to chciałaś powiedzieć, Mutti. W moim wieku od pięciu lat byłaś zamężna i już miałaś mnie i... nie, Mutti, nawet nie pytaj, nie podoba mi się żaden chłopak.

– Powiedz mi, dlaczego przestali przychodzić. Czy to z powodu tego wszystkiego, co się wydarzyło?

– Nie, Mutti, ja sama pozrywałam znajomości.

Młodsze od niej dziewczęta, z którymi Laura przestawała, jakby w reakcji na zapowiedź niezrozumiałych zmian, jak listki wibrujące na drzewach późnym latem, postanowiły – nie wiedząc dobrze, czego chcą – przedłużyć dzieciństwo, nie stroniąc jednak od kokieteryjnych ustępstw na rzecz dorosłości, której żadna nie pragnęła. Same siebie nazywały podfruwajkami i nadal dokazywały w sposób nieodpowiedni dla osiemnastoletnich panien. Skakały w parku przez sznurek, żeby dostać rumieńców przed wyjściem na uwodzicielski spacer; odsypiały drugie sjesty, a potem grały w tenisa w Los Berros; kpiły sobie niewinnie ze swoich narzeczonych przebranych w karnawałowe stroje.

– Jesteś cyrkowcem?

– Nie obrażaj mnie. Nie widzisz, że jestem księciem?

Jeździły na wrotkach po parku Juareza, żeby stracić kilogramy zyskane przez objadanie się „diabełkami”, czyli ciastkami oblanymi nugatem z czekoladą w środku, które były przysmakiem wszystkich łakomczuchów tego miasta pachnącego cukiernią. Zgłaszały się do udziału w żywych obrazach na koniec roku w szkole panien Ramos, kiedy to wyjątkowo można było stwierdzić, że nauczycielki są dwiema różnymi osobami, gdyż kiedy jedna kierowała pokazem, druga stała za kulisami.

– Wiesz, Lauro, straszna rzecz mi się wydarzyła. Grałam rolę Maryi Dziewicy, kiedy zachciało mi się do ubikacji. Musiałam robić jakieś potworne miny, bo panna Ramos zasunęła kurtynę. Wysikałam się, wróciłam na scenę i znowu byłam Dziewicą.

– A w moim domu już mają dość tych moich komedii i przebieranek. Rodzice zakontraktowali tylko jednego widza, żeby mnie podziwiał, jak ci się to podoba, Lauro?

– Będiesz teraz zadzierać nosa, Margarito.

– Aleja postanowiłam zostać aktorką.

Wybiegały rozbawione na balkon, żeby oglądać kadetów z gimnazjum, którzy we francuskich kepi, z karabinami, w mundurach ze złotymi guzikami i w bardzo obcisłych spodniach maszerowali pod oknem.

Bank poinformował ich, że we wrześniu, po balu w kasynie, mają opuścić dom. Don Fernando będzie otrzymywał swoją rentę, ale przyjeżdża nowy dyrektor i oczywiście zajmie ich mieszkanie. Będzie też uroczystość odsłonięcia tablicy honorowej na poddaszu, na cześć doñi Armonii Aznar. Meksykańskie związki zawodowe postanowiły uczcić pamięć bohaterkiej towarzyszk, która w czasie Rewolucji asygnowała pieniądze, służyła jako kurier dla Czerwonych Batalionów i dla Domu Robotników Świata i nawet przechowywała prześladowanych członków związku, tu, w domu dyrektora banku.

– Wiedziałaś o tym, Mutti?

– Nie, Lauro. A ty, siostrzyczko?

– Skądże!

– Czasem lepiej nie wiedzieć wszystkiego, prawda?

Żadna z nich trzech nie odważyła się pomyśleć, że człowiek tak szanowany jak don Fernando mógłby świadomie tolerować konspirację pod własnym dachem, zwłaszcza po rozstrzelaniu Santiago dwudziestego pierwszego listopada tysiąc dziewięćset dziesiątego roku. Zastanawiając się nad tym, Laura doszła do wniosku, że Orlando Ximénez znał prawdę, że to on był pośrednikiem pomiędzy poddaszem i anarchosyndykalistami doñi Armonii. Odrzuciła tę myśl; Orlando, taki dandys, taki lekkoduch... A może właśnie dlatego był osobą najbardziej odpowiednią? Laura roześmiała się na głos; skończyła właśnie czytać ojcu *Scarlet*

*Pimpernel*¹ Baronowej d'Orczy i wyobraziła sobie biednego Orlanda jako meksykańskiego Pimpernela, dandysa nocą i anarchistę w dzień... ratującego syndykalistów przed rozstrzelaniem.

Żadna powieść nie przygotowała jednak Laury do kolejnego epizodu jej życia. Letycja i Maria de la O zaczęły szukać jakiegoś domu do wynajęcia, wygodnego, ale na miarę renty Fernanda. Średnia siostra oświadczyła, że w takiej sytuacji Hilda i Virginia powinny sprzedać plantację kawy w Catemaco i za te pieniądze kupić dom w Xalapie, żeby móc mieszkać razem i oszczędzić na kosztach utrzymania.

– A dlaczego miałybyśmy nie wrócić do Catemaco? Przecież tam żyliśmy... i byliśmy szczęśliwe – powiedziała Letycja, ale nie westchnęła, jak to miała zwyczaj czynić jej zamknięta w sobie matka.

To pytanie stało się bezprzedmiotowe, kiedy w ich domu w Xalapie pojawiły się dwie niezamężne siostry Hilda i Virginia, które przywiozły ze sobą mnóstwo tobołków, paczki książek, kufrы, manekiny, klatki z papugami, a nawet pianino Steinwaya.

Ludzie zbiegli się oglądać przybycie tak dziwaczного bagażu dwóch panien, który wypełniał po brzegi wóz ciągnięty przez muły, one same zaś, w zakurzonych sukniach, wyglądały jak uciekinierki z pola bitwy przegranej wiele lat temu – w swoich wielkich słomkowych kapeluszach przytrzymanych na głowie związanymi pod brodą woalami z gazy, chroniącymi ich twarze przed muchami, słońcem i pyłem przydrożnym.

Ich relacja była krótka. Chłopi w Veracruz chwycili za broń i po prostu zajęli hacjendę Kelsenów i wszystkie inne posiadłości w okolicy; przepędzili właścicieli i ogłosili powstanie spółdzielni rolniczych.

– Nie było żadnej możliwości, żeby was uprzedzić – powiedziała ciotka Virginia. – No to nas macie.

Nie wiedziały, że ten dom w Xalapie ma być we wrześniu, po balu w kasynie, opuszczony. Siostry na głowie, sparaliżowany mąż i Laura bez widoków na zamążpójście – tego było już za wiele. Letycja w końcu się załamała i wybuchnęła płaczem. Wywłaszczone siostry spoglądały na siebie zbite z tropu. Letycja przeproszała je, wycierając łzy fartuchem, i zaprosiła obie do domu, a wieczorem ciotka Maria de la O weszła do sypialni Laury, usiadła przy niej i pogłaskała dziewczynę po głowie.

– Nie załamuj się, dziecko. Popatrz tylko na mnie. Pomyśl sobie czasem, jakie ja musiałam mieć ciężkie życie, zwłaszcza wtedy, kiedy mieszkałam z moją matką. Ale wiesz co? przyjdzie na świat to zawsze radość, mimo że poczęto cię w smutku i w nędzy, i myślę tu o smutku i nędzy bardziej wewnątrz niż wokół człowieka; przychodzisz na świat i twoje pochodzenie się zaciera, narodziny są zawsze świętem, a ja całe życie świętuję mój przemarsz przez świat i guzik mnie obchodzi, skąd jestem, co się działo na początku, jak i gdzie urodziła mnie matka, jak zachował się ojciec... Wiesz? twoja babka Cosima odkupiła wszystko, ale nawet bez niej, bez tego, co jej zawdzięczam i za co ją tak kocham, ja cieszę się, że świat istnieje, wiem, że urodziłam się, żeby słać życie na złe i dobre, moje dziecko, i będę to robić, do stu tysięcy diabłów! Wybacz, że mówię do ciebie jak jakaś pierwsza lepsza z Alvarado, ale właśnie tam się wychowałam...

Maria de la O odsunęła na chwilę głowę Laury, żeby spojrzeć na siostrzenicę z promiennym uśmiechem, tak jakby chciała jej na zawsze przekazać swoją radość życia i emanujące z oczu ciepło.

– I coś jeszcze, kochanie, żeby obraz był kompletny. Twój dziadek przyjechał po mnie i zabrał do waszego domu, co mnie uratowało, powtarzam to do znudzenia. Ale twoja babka nie zainteresowała się później moją matką, jakby jej wystarczyło, że zbawiła mnie, a ją to sobie mógł zabrać diabeł Mandinga. To twój ojciec Fernando się nią zajął. Nie wiem, co by

¹ Scarlet Pimpernel – przydomek głównego bohatera powieści, który przewodzi grupie ratującej niewinne ofiary w czasach terroru w rewolucji francuskiej (przyp. tłum.).

się stało z mamą, gdyby Fernando jej nie odszukał, nie pomógł, nie dał pieniędzy, żeby mogła się zestarzeć z godnością. Daruj mi szorstkość, ale nie ma nic bardziej melancholijnego niż stara dziwka. Chcę powiedzieć tylko jedno. Najważniejsze jest to, że żyjesz, i to, gdzie żyjesz. Uratujemy nasz dom i jego mieszkańców, Lauro, przysięga ci to Maria de la O, ciotka, którą ty potrafisz szanować tak jak nikt. Nie zapomnę ci tego!

Tyła i poruszanie się sprawiało jej pewną trudność. Kiedy wyprowadzała na wózku sparaliżowanego szwagra, ludzie odwracali wzrok, żeby nie widać w nim było litości dla tej pary – inwalidy i Mulatki o popielatej skórze, z grubymi kostkami u nóg, którzy uparli się, żeby odbywać przechadzkę wśród ludzi młodych i zdrowych i psuć im zabawę. Wola Marii de la O była silniejsza od jakiegokolwiek przeszkody i następnego dnia po przyjeździe Hildy i Virginii siostry postanowiły nie tylko znaleźć dom dla całej rodziny, ale przekształcić go w pensjonat, każda miałyby swój udział w jego utrzymaniu i wspólnie zajmowałyby się Fernandem.

– A ty, Lauro, niczym się nie przejmuj – powiedziała ciotka Hilda.

– Niczego ci nie zabraknie – dodała ciotka Virginia.

(...nie przejmuję się, cioteczki, Mutti, nie przejmuję się, wiem, że niczego mi nie zabraknie, jestem oczkiem w głowie całej rodziny, nie mam dwudziestu dwóch lat, w dalszym ciągu mam siedem, jestem bezbronna, ale bezpieczna, tak jak przed pierwszą śmiercią, pierwszym bólem, pierwszą namiętnością, pierwszą wściekłością, wszystko to już przeszłam, już to mam, już przewyciężyłam i teraz daję się zwyciężać temu, co już było, już umiem żyć z bólem, z namiętnością, ze wściekłością i śmiercią, myślę, że z tym wszystkim już umiem żyć, nie umiem tylko żyć z moją małością, a robię się coraz mniejsza nie przez innych, tylko przez siebie samą, nie przez głupie koleżanki czy opiekuńcze ciotki albo przez Mutti, która nie dopuszcza do siebie żadnych silniejszych uczuć, żeby zachować rozsądek i utrzymywać dom, bo wie, że bez niej dom zawaliłby się jak te zamki z piasku budowane na plaży w Mocambo, i jeżeli ona się tym nie zajmie, to kto? i kiedy powtarzam w myślach: Laura Díaz, patrzę na własne życie z tak daleka, jakby istniała jakaś druga Laura, która patrzy na tę pierwszą, tak jestem oddzielona od otaczającego mnie świata, tak obojętna wobec osób spoza rodziny, czy to zdrowa postawa? Tak przejęta losem moich bliskich, w obu wcieleniach czuję się wyizolowana, a jednocześnie czuję się winna, że jestem ciężarem, tak jak ten chłopiec z angielskiej powieści Thomasa Hardy'ego, jestem przez wszystkich kochana, ale teraz im zawadzam, choć tego nie mówią, jestem przerośniętym dzieckiem, które wkrótce skończy dwadzieścia trzy lata i nie przynosi chleba do domu, gdzie mu ten chleb dają, duże dziecko, które czuje się usprawiedliwione, bo czyta książki swemu sparaliżowanemu ojcu, bo wszystkich kocha i jest kochane przez wszystkich, będę żyła z miłości, którą daję, i z miłości, którą otrzymuję, to nie wystarczy, nie wystarczy kochać matkę, płakać po bracie, współczuć ojcu, nie wystarczy przyjąć własny ból i własną czułość jako prawa, które zwalniają mnie od innej odpowiedzialności, teraz chcę przekroczyć granice tej miłości, unieść się ponad nią i uwolnić ich od mojej osoby, przestać być im ciężarem, poproszę ich, by się o mnie nie martwili, ale ja nie przestanę martwić się o nich, ojciec Fernando, Mutti Letycjo, cioteczki Hildo, Virginio i Mario de la O, Santiago, mój ukochany, nie proszę was o zrozumienie ani o pomoc, zrobię to, co powinnam zrobić, żeby być z wami, nie będąc wśród was, ale dla was istnieć...)

Juan Francisco López Greene, mężczyzna wysokiego wzrostu, ponad metr osiemdziesiąt, był ciemnym brunetem o cechach zarówno indiańskich, jak i murzyńskich, miał grube wargi, ale prosty profil, mocno skręcone włosy, ale cerę gładką i miłą w dotyku jak cukrowa polewa, ciemną jak cygańska noc. Jego oczy były jak dwie zielone wyspy na żółtym morzu. Szerokie, wysoko uniesione ramiona nieco skracały optycznie silną szyję, tym bardziej że ręce były

długie, a dłonie duże, typowo robotnicze. Tułów krótki, nogi drugie, a stopy wielkie jak górnicze saboty.

Był silny, niezręczny, delikatny, był inny.

Przyszedł na bal do kasyna w towarzystwie Xaviera Icazy, młodego adwokata z partii pracy, arystokraty, obecnie w służbie klasie robotniczej, który nie wahał się przyprowadzić na bal człowieka tak odbiegającego od przekroju społecznego towarzyskiej śmietanki Xalapy.

Icaza, człowiek błyskotliwy i niekonwencjonalny, pisał awangardowe wiersze i satyryczne opowiadania; jego książki miały kubistyczne winiety: drapacze chmur i samoloty; jego poezja sprawiała wrażenie wyraźnie zamierzonego nowoczesnego pośpiechu, natomiast powieści przenosiły tradycję Quevedo i Łazika z Tormesu do współczesnego miasta Meksyk, miasta, które zapełniało się coraz bardziej – tłumaczył Icaza grupie gości zaproszonych na doroczny bal w kasynie – imigrantami ze wsi i wciąż rosło i rosło. Zrobił oko do właścicieli lokalnych firm: teraz trzeba kupować tanio w dzielnicach Hipódromo, Ñapóles, Chapultepec Heights, Park La Lama, nawet w Desierto de los Leones, zobaczycie, panowie, jak skoczą ceny nieruchomości, nie bądźcie nieudacznikami – śmiał się wesoło, błyskając zębami – inwestujcie teraz.

Nazywano go futurystą, ekscentrykiem, dadaistą, były to określenia, których nikt nie słyszał w prowincji Veracruz, a które Icaza wprowadzał z niemal zuchwałą pewnością siebie we wszystkich miastach prowincji, gdzie docierał wyboistymi drogami swoją żółtą isotta-fraschini z podnoszonym dachem. Jakby chcąc szybko i na trwałe zapisać się w lokalnej pamięci, poprosił o rękę panny Any Guido, a jako że rodzice tejże nie byli zdecydowani, Xavier Icaza wjechał swoim potężnym włoskim samochodem po frontowych schodach wiodących do katedry pełnej ludzi zgromadzonych na niedzielnej mszy; zaledwie pojazd prowadzony szaleńczo przez tego młodego i śmiałego adwokata, który przy wyciu motoru dociskał cały gaz do dechy, żeby pokonać stromiznę, zatrzymał się niebezpiecznie u szczytu schodów, gdzie zaczynało się atrium, Icaza zaczął wołać na cały głos, że przyjechał ożenić się z Aną i że nic nie może mu przeszkodzić.

– Ja nie sprzedaję złudzeń – klarował młody adwokat Icaza swoim starym znajomym na balu w kasynie. – Chodzi o obopólne korzyści. Rewolucja wyzwoliła w kraju wszystkie uspięne do tej pory siły, obudzili się nasi kupcy i przemysłowcy, bezsilni w kraju, który był na usługach cudzoziemców, urzędnicy stopowani w swej karierze przez starą biurokrację Porfiria Diaza, nie mówiąc już o chłopach bez ziemi i robotnikach, którzy pragnęli się organizować i mieć znaczący głos w sprawach publicznych. Posłuchajcie, panowie, kto pierwszy zbuntował się przeciwko dyktaturze w fabrykach Rio Blanco i kopalniach Cananea, kto, jak nie robotnicy?

– Madero nie poszedł z nimi na ustępstwa – powiedział ojciec młodego hodowcy kur z Cordoby.

– Bo Madero nic nie rozumiał – dowodził Icaza. – Natomiast ten łajdak Victoriano Huerta, zabójca Madery, oczywiście zwrócił się o poparcie do klasy robotniczej i pozwolił na takie obchody Pierwszego Maja, jakich nigdy nie widziano. Zatwierdził ośmiogodzinny dzień pracy i sześciodniowy tydzień roboczy, ale kiedy związki zaczęły się domagać demokracji, o, co to, to nie. Zaareztował i deportował liderów. Jednym z nich jest mój przyjaciel Juan Francisco López Greene, którego z przyjemnością państwu przedstawiam. To, że nazywa się Greene, nie znaczy, że jest Anglikiem; w Tabasco wszyscy nazywają się Greene, bo pochodzą od angielskich piratów, ale z matek Indianek i Murzynek, prawda, przyjacielu?

Juan Francisco uśmiechnął się i przytaknął.

– Lauro, ty jesteś inteligentną dziewczyną, zajmij się nim – powiedział Icaza z wdziękiem i stanowczością, i zostawił ich samych.

Laura podejrzewała, że ten świeżo przybyły mężczyzna, tak odbiegający od prowincjonalnych szablonów, który pojawił się na balu w hacjendzie San Cayetano niby ów

„Chrystus z pistoletami”, wspomniany kiedyś przez ziemianina z Cordoby, będzie tak samo niezdarny jak jego górnicze trzewiki, grube, kwadratowe, podkute ćwiekami. Pomyślała, że jego mowa będzie jak deszcz kamieni przetykany ciszą. Dlatego tak się zdziwiła, kiedy usłyszała głos pogodny, spokojny i nawet słodki, wymawiający z przekonaniem każde słowo, i zrozumiała, dlaczego Juan Francisco López Greene mógł sobie pozwolić na tyle delikatności.

– Czy Xavier Icaza ma rację? – pospieszyła z pytaniem, szukając pretekstu, żeby zacząć rozmowę.

Juan Francisco powiedział z naciskiem:

– Tak. Ja już wiem, że próbują nas wykorzystać.

– Wykorzystać kogo? – zapytała Laura z nieudawanym zainteresowaniem.

– Robotników.

– Jesteś robotnikiem? – znowu rzuciła szybkie pytanie, od razu przechodząc na ty, przekonana, że on się nie obrazi; chciała go sprowokować, żeby mówił do niej tak samo, nie pani czy panienko; niepewnie szukała wspólnego terenu z nieznanym, obwąchiwała go, czuła się trochę jak zwierzę, trochę jak barbarzyńca, tak jak nigdy nie czuła się przy Orlandzie, który zmuszał ją do myśli perwersyjnych, wyrafinowanych i tak subtelnych, że rozwiewały się jak silne trujące perfumy, ulotne, ale jadowite.

Nie udało się.

– To jest ryzyko, panienko. Trzeba się z tym pogodzić. (Mów mi ty, błagała go w duchu Laura, nie mów: panienko, chcę wreszcie poczuć się inna, chcę, żeby mężczyzna mówił mi i robił ze mną takie rzeczy, o których nie mam pojęcia, których się nie spodziewam albo o które nie mogę prosić, o to nie mogę go poprosić, to musi wyjść od niego, i od tego zwykłego „ty” czy „pani” będzie zależało wszystko, co nastąpi potem...)

– Jakie ryzyko, panie Greene? – Laura przeszła znowu do oficjalnego „pan”.

– Że będą nami manipulowali, Lauro.

Dodał jeszcze, nie widząc (a może tylko udając, że nie widzi) rumieńca na twarzy dziewczyny, że „oni” również mogliby być wykorzystani przez „nas”. Laura w jednej chwili przyjęła za naturalną tę dziwną liczbę mnogą, obejmującą bezpretensjonalnie, bez fałszywej skromności, całą społeczność – robotników, bojowników, towarzyszy mężczyzny, który z nią rozmawiał.

– Icaza nie ma złudzeń. Ja tak. – Uśmiechnął się po raz pierwszy, z odrobiną złośliwości, ale głównie z dużą dozą autoironii, pomyślała Laura. – Ja tak.

Powiedział, że jeszcze się łudzi, bo twórcy Konstytucji poszli na ustępstwa w stosunku do chłopów i robotników meksykańskich, choć wcale nie musieli tego robić, Carranza to stary ziemianin, któremu trzęsie się koźia bródka, kiedy musi rozmawiać z robotnikami i Indianami, Obregón jest inteligentnym Kreolem, ale oportunistą, i wszystko mu jedno, czy siada do stołu z Bogiem, czy z diabłem; potrafi przekonać diabła, że w rzeczywistości jest Bogiem, a Boga, żeby się nie przejmował, że mógłby być diabłem, i nie ma czego tak bardzo zazdrościć Lucyferowi; ale w każdym przypadku to generał Alvaro Obregón jest sędzią, to on orzeka: ty jesteś diabłem... Konstytucja przyznała prawa robotnikom i dała chłopom ziemię, bo bez „nas” – i tak w kółko, pomyślała Laura Díaz – „oni” nie wygraliby rewolucji ani nie utrzymaliby się przy władzy...

Poprosił ją do tańca i kiedy podeptał jej stopy, roześmiała się z grymasem bólu i poprosiła robotniczego przywódcę, żeby lepiej poćwiczyli na tarasie, i on też się roześmiał i powiedział, że tak, że ani Bóg, ani diabeł nie stworzyli go do salonowych tańców... Ale jeżeli ją interesuje „nasza” działalność, to może jej opowiedzieć na tarasie, jak organizowano walkę robotniczą w czasie rewolucji, ludzie uważają, że rewolucja to tylko kreolskie elity wspomagane chłopską guerilla, zapominają, że wszystko zaczęło się w fabrykach, a także w kopalniach; w Rio Blanco i w Cananea; robotnicy zorganizowali Czerwone Bataliony, które

stanęły do walki przeciwko dyktaturze Huerty, i utworzyli Dom Robotników Świata w Pałacu Azulejos w mieście Meksyk, w dawnym Klubie Jeździeckim należącym do arystokracji; o tym, jak „nas” otoczyła policja Huerty, jak „nas” wtrącała do więzień, chciała podpalić pałac, jak zmusiła „nas” do ucieczki i jak wpadliśmy w otwarte ramiona generała Obregona...

– Uwaga – powiedział Icaza, dołączając do Laury i Juana Francisco – Obregón to lis. Potrzebna mu pomoc robotników, żeby dać popalić zbuntowanym chłopom, Zapacie i Villi. Mówi o „Meksyku proletariackim”, żeby poszczuć go przeciwko Meksykowi chłopów i Indian, bo według kreolskich szefów rewolucji jest to wciąż Meksyk reakcyjny, zacofany, religijny, obwieszony szkaplerzykami i otumaniony dymem kadzideł zbyt wielu kościołów. Uważaj na ten fałsz, Juan Francisco, bardzo uważaj...

– Ale bo to jest prawda – rzekł z pewnym zacierzeniem Juan Francisco. – Chłopi noszą przy kapeluszach wizerunki Matki Boskiej, idą do kościoła na kolanach, nie są nowocześni, są katoliccy i prostacy, mecenasie.

– Słuchaj, Juan Francisco, przestań do mnie mówić „mecnasie”, bo ci dokopię. Nie chcesz chyba, żeby na kilometr jechało od ciebie prowincją. A kiedy poznasz panienkę z towarzystwa, która ci się podoba, to mów jej po imieniu, baranie. Nie zachowuj się jak ten chłop, reakcyjny, zacofany i nienowoczesny – powiedział, śmiejąc się, Xavier Icaza.

Ale Juan Francisco, bez najmniejszego poczucia humoru, dalej dowodził, że chłopci są reakcyjni i że robotnicy w miastach to prawdziwi rewolucjoniści, piętnaście tysięcy robotników walczących w Czerwonych Batalionach, sto pięćdziesiąt tysięcy członków Domu Robotników Świata, kiedy widziano coś takiego w Meksyku?

– Szukasz sprzeczności, Juan Francisco? – uciął te wywody Icaza. – Pomyśl o batalionach Indian Yaquis, które przyłączyły się do Obregona, żeby rozgromić zwolennika reformy rolnej Pancho Ville w Celayi. I powoli się przyzwyczajaj, przyjacielu. Rewolucje są pełne sprzeczności, a jeżeli jeszcze zachodzą w kraju tak pełnym sprzeczności jak Meksyk, można oszaleć – Icaza jęknął – tak samo jak patrząc w oczy Laury Díaz. Jednym słowem, panie López Greene – kiedy rewolucja doszła do władzy za Carranzy i Obregona, czy jej przywódcy zgodzili się na samorząd w fabrykach i na wyrzucenie zagranicznych kapitalistów, jak to obiecali Czerwonym Batalionom?

Nie – zaprotestował Juan Francisco – on wiedział, że „my” będziemy egzystować, to przyciskając rząd do muru, to wycofując się, ale że „my” nie ustąpimy w najważniejszych sprawach, „my” zorganizowaliśmy największe strajki w całej historii Meksyku, wytrzymaliśmy wszelkie naciski rządu rewolucyjnego, który chciał nas przekształcić w marionetki oficjalnego ruchu robotniczego, uzyskaliśmy podwyżkę płac, zawsze negocjujemy, doprowadziliśmy do szału Carranzę, który nie wiedział, jak nas podejść, powsadzał nas do pudła, nazwał zdrajcami, pozbawiliśmy prądu miasto Meksyk, schwytano lidera elektryków Ernesta Velasco i przykładając mu rewolwer do skroni, kazano powiedzieć, jak włącza się elektryczność w całej stolicy, złamano nas raz i drugi, ale „my” nigdy się nie poddajemy, zawsze podejmujemy walkę na nowo i na nowo wracamy do negocjacji, wygrywamy, przegrywamy, znowu trochę wygrywamy i dużo tracimy, nic nie szkodzi, nic nie szkodzi, nie wolno się poddawać, my potrafimy zapalać i gasić światło, oni nie, oni nas potrzebują...

– Armonia Aznar była przykładem bojowniczką – powiedział Juan Francisco López Greene, odsłaniając tablicę pamiątkową na cześć Katalonki na ścianie domu, gdzie mieszkała Laura z rodziną. – Tak, jak wszyscy anarchosyndykaliści znalazła się w Veracruz, przyjechała z anarchistą hiszpańskim Amedeo Ferrésem i razem z nim, za czasów prezydentury Porfiria Diaza, organizowała potajemnie przedsiębiorców i drukarzy. Później, w czasie rewolucji, Armonia Aznar walczyła bohatersko w Domu Robotników Świata i, co najtrudniejsze, walczyła bez rozgłosu tu, w Xalapie, jako tajna kurierka, przewożąc dokumenty z portu Veracruz do stolicy i ze stolicy do portu...

Juan Francisco przerwał na chwilę swoje przemówienie i odszukał, wśród setki zgromadzonych na uroczystości, oczy Laury Díaz.

– Było to możliwe dzięki rewolucyjnej szlachetności don Fernanda Diaza, dyrektora banku, który pozwolił Armonii Aznar schronić się tutaj i potajemnie wykonywać swoją pracę. Don Fernando jest chory i ja ośmielię się złożyć podziękowanie jemu oraz jego żonie i córce w imieniu klasy robotniczej. Ten człowiek, tak dyskretny i odważny, robił to – jak nam powiedział – przez pamięć na swojego syna Santiago Diaza, rozstrzelanego przez zbirów dyktatury. Cześć im wszystkim!

Tego wieczoru Laura spojrzała głęboko w nieruchome oczy swojego sparaliżowanego ojca. Potem powtórzyła powoli to, co powiedział podczas uroczystości Juan Francisco López Greene, i Fernando Díaz zamrugał powiekami. Laura wzięła przenośną tablicę, za pomocą której rodzina porozumiewała się z chorym, i napisała tylko DZIĘKUJĘ ZA SANTIAGO. Wtedy Fernando Díaz, swoim zwyczajem, otworzył niezmiernie szeroko oczy i robił ogromne wysiłki, żeby nie mrugać. Wszystkie kobiety w domu znały te dwie formy wyrazu – częste mruganie i powstrzymywanie się od mrugania otwieraniem oczu tak szeroko, że niemal wychodziły z orbit – chociaż nie znały znaczenia żadnej z nich. Teraz Fernando zrobił ogromny wysiłek, żeby podnieść do góry ręce i zacisnąć pięści, ale opadły mu one bezwładnie na kolana. Tylko brwi wygięły się w dwa ostrołuki.

– Tu, na ulicy Bocanegra, poszukamy sobie domu, gdzie będziemy mieszkać i wynajmować pokoje dla gości – powiedziała parę dni później Mutti Letycja.

– Ja każdego wieczoru będę czytała twemu ojcu – zapewniła Virginia, ciotka pisarka, z zaciśniętymi ustami i gorączką w oczach. – Nie przejmuj się, Lauro.

Laura poszła pożegnać się ze swoim niemym ojcem, czytała mu przez pół godziny ustępy z *Judy nieznanego* i dzięki tej powieści Hardy’ego mogła wyobrazić sobie ojca na marach, z twarzą piękniejszą, odmłodzoną przez śmierć. Trzeba było czekać na tę śmierć z ufnością, nawet z radością, zatarłaby ona ślady czasu na twarzy don Fernanda i Laura zabrałaby ze sobą na zawsze obraz człowieka czulego, ale w razie potrzeby umiejącego się zdobyć na stanowczość.

– Nie pozwól przeminąć okazji – doradziła jej tego samego wieczoru ciotka pianistka, Hilda Kelsen. – Spójrz na moje ręce. Ty wiesz, kim mogłabym być, prawda, Lauro? Nie chcę, żebyś kiedykolwiek musiała powiedzieć to samo o sobie.

Laura Díaz i Juan Francisco López Greene pobrali się w urzędzie stanu cywilnego w Xalapie dwunastego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego roku, w dzień urodzin Laury, która śpiewała dwunastego maja: Święta Panna wstała i swe białe szatki na się przyodziała, i Murzyn Zampayita zamiatał i wyśpiewywał to jest moja samba – bimba – bimba – bamba, moja czarna dziewczyna w tańcu się zapomina, i Laura Díaz wyjechała wraz z mężem pociągiem „Interoceánico” do miasta Meksyk i w połowie drogi wybuchnęła płaczem, bo zapomniała swojej chińskiej lalki Li Po na poduszkach w Xalapie, a na stacji w Tehuacán zawiadomiono Juana Francisco, że w Tlaxcalantongo został zamordowany prezydent Venustiano Carranza.

VI. México D.F.: 1922

W Meksyku nie ma pór roku. Jest pora sucha od listopada do marca i pora deszczowa od kwietnia do października. Nie ma na czym zawiesić czasu, chyba że na wodzie i słońcu, które są w Meksyku wyznacznikiem wszystkiego. Ale to wystarczy. W pamięci Laury Díaz utkwił na zawsze pewien deszczowy wieczór i wystąpienie jej męża, Juana Francisco Lópeza Greene'a. Przemawiając do tłumów pod gołym niebem na Zócalo, głównym placu stolicy, nie musiał krzyczeć. Jego głos – tak cichy w życiu prywatnym – był głęboki i donośny, cała jego postać była jak symbol walki, mokre włosy spadały mu na kark, na czoło i uszy, deszcz spływał po brwiach na oczy, a z oczu do ust, plastikowa peleryna okrywała to wielkie ciało, do którego ona, w pierwsze noce po ślubie, zbliżała się z lękiem, szacunkiem, niedowierzaniem i wdzięcznością. W wieku dwudziestu dwu lat Laura Díaz wybrała.

Przypominała sobie chłopców z balów na prowincji i nie mogła odróżnić jednego od drugiego, tego od tamtego. Byli jak spod sztancy, sympatyczni, dobrze wychowani...

– Lauro, on jest bardzo brzydki.

– Ale niepodobny do żadnego innego, Elizabeth.

– Ma ciemną skórę.

– Nie ciemniejszą niż moja ciotka Maria de la O.

– Ale z nią nie idziesz do ślubu. I pomyśleć, że tyłu było białych chłopaków w Veracruz.

– Ale ten jest bardziej egzotyczny albo bardziej niebezpieczny, nie wiem.

– I dlatego go wybrałaś? To szaleństwo! Ty sama jesteś bardzo niebezpieczna, Lauro! Zazdroszczę ci i współczuję.

Zaraz po ślubie wyjechali z Xalapy i zaledwie znaleźli się na wyżynie, Laura zaczęła tęsknić do piękna i spokoju prowincjonalnej stolicy, do cudownych wieczorów, które przy każdym zmierzchu ofiarowywały nowe życie jej i każdej rzeczy. Przypominała sobie dom, i wszystkie nieszczęścia wydawały się rozplýwać w harmonii, która emanowała ze wspomnień z lat spędzonych wspólnie z rodzicami, z Santiago i samotnymi ciotkami, z nieżyjącymi już dziadkami. Powiedziała sobie w myślach „harmonia” i poczuła się zmieszana na wspomnienie Armonii Aznar, bohaterkiej katalońskiej anarchistki, do której nawiązywał w swoim przemówieniu Juan Francisco tego ulewnego popołudnia, kiedy to bronił ośmiodziesięciodniowego dnia pracy, minimalnych płac, płatnych urlopów macierzyńskich, płatnych wakacji, wszystkich tych praw obiecywanych przez Rewolucję, przemawiał głosem poważnym i dobitnym do całego placu, do tłumu zebranego tu, pierwszego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, w strugach wieczornego deszczu, żeby bronić i doprowadzić do realizacji artykułu 123 Konstytucji, po raz pierwszy w historii ludzkości prawo do pracy i ochrona robotnika zyskiwały rangę konstytucyjną, dlatego rewolucja meksykańska była prawdziwą rewolucją, a nie koszarowym zamachem stanu, nie rebelią, nie buntem, jak to się działo w pozostałych krajach Ameryki Łacińskiej, w Meksyku wszystko było inne, wyjątkowe, wszystko budowało się od nowa, od korzeni, w imieniu narodu, dla dobra narodu – mówił Juan Francisco do dwóch tysięcy osób stojących na deszczu, mówił do samego deszczu, do spieszącej nadchodzącej nocy, do nowego rządu, do następców Venustiana Carranzy zamordowanego, jak powszechnie uważano, przez triumwirat zawiązany w spisku z Agua Prieta przez Callesa, Obregona i De la Huertę. Do nich wszystkich przemawiał López Greene w imieniu Rewolucji, ale mówił również do Laury Díaz, swojej młodej żony, świeżo sprowadzonej z prowincji, wysokiej, przystojnej

dziewczyny, oryginalnej przez swoje wyraziste orle rysy, pięknej przez samą odmienność; mówi i do mnie, do mnie, ja jestem częścią jego słów, muszę być częścią jego przemówienia...

Teraz padało na centralną dolinę i Laura przypominała sobie podróż pociągiem z Xalapy do stacji Buenavista w mieście Meksyk. Zamieniam piasek na kamienie, selwę na pustynię, araukarie na kaktusy. Pociąg wspinał się na wyżynę poprzez tereny pełne mgieł i wypalanej ziemi, potem przemierzał skalistą równinę, gdzie w kamieniołomach pracowali kamieniarze podobni do kamieni; tu i ówdzie jakaś topola o srebrzystych liściach. Ten krajobraz wywołał u Laury duszności i zachciało jej się pić.

– Przespałaś się, maleńka.

– Przestraszyłam się tego krajobrazu, Juan Francisco.

– Ale straciłaś widok lasów sosnowych w wyższych partiach.

– Ach, to dlatego tak pięknie pachnie.

– Nie myśl tylko, że tu wszędzie jest taka goła równina. Widzisz, ja pochodzę z Tabasco, tęsknię do tropiku tak samo jak ty, ale już nie mógłbym żyć bez tej wyżyny, bez miasta...

Kiedy zapytała, dlaczego, Juan Francisco odparł już innym tonem, w jego głosie zabrzmiała jakaś fałszywa nuta, zaczął mówić z pewną wyższością o mieście Meksyk, które jest samym centrum kraju, jak niektórzy mówią – jego sercem, to miasto azteckie, miasto kolonialne, miasto nowoczesne, jedno na drugim...

– Jak tort – powiedziała Laura ze śmiechem.

Juan Francisco nie roześmiał się. Laura ciągnęła dalej:

– Jak taki kosz z prowiantem, który przynoszono twojej heroinie, pannie Aznar, kochanie ty moje.

Juan Francisco spoważniał jeszcze bardziej.

– Przepraszam. Żartowałam.

– Laura, nigdy nie byłaś ciekawa zobaczyć Armonii Aznar?

– Byłam jeszcze dzieckiem.

– Miałaś już dwadzieścia lat.

– Być może przetrwało we mnie wrażenie z dzieciństwa. Czasem nawet dorosły boi się bajek o duchach, które mu opowiadano, jak był mały.

– Przestań, Lauro. Już nie jesteś panienką z dobrego domu. Jesteś u boku mężczyzny, który prowadzi trudną walkę.

– Wiem, Juan Francisco. Szanuję to.

– Potrzebuję twojej pomocy. Twojego rozsądku, nie fantazji.

– Spróbuję cię nie rozczarować, kochany. Bardzo cię szanuję, wiesz o tym.

– Zaczynaj od pytania samej siebie, dlaczego nigdy nie zbuntowałaś się przeciwko rodzinie i nie weszłaś na poddasze, żeby zobaczyć Armonię Aznar.

– Bo się jej bałam, Juan Francisco, mówię ci, że byłam bardzo dziecinna.

– Straciłaś okazję, żeby poznać wielką osobowość.

– Wybacz mi, kochany.

– To ty mi wybacz. – Juan Francisco objął ją i pocałował w zaciśniętą nerwowo piąstkę. – Odtąd ja będę cię uczył rzeczywistości. Zbyt długo żyłaś wśród dziecinnych fantazji.

Orlando to nie były fantazje – chciała mu powiedzieć, ale wiedziała, że nigdy nie odważy się wspomnieć mężowi o tamtym jasnowłosym, niepokojącym chłopaku – Orlando, ten kusiciel, wyznaczył mi randkę na tamtym poddaszu, dlatego nigdy tam nie poszłam, odkąd właśnie w tym miejscu wyznaczył mi randkę, zresztą panna Aznar chciała, by uszanowano jej wolę, prosiła o to...

– Ona sama życzyła sobie, żeby jej nie przeszkadzano. Kim ja byłam, żeby ją nachodzić?

– Innymi słowy, nie miałaś odwagi.

– Tak, jest wiele rzeczy, których nie mam odwagi zrobić. – Laura uśmiechnęła się z fałszywie skruszoną minką. – Z tobą się odważę. Ty mnie tego nauczysz, prawda?

On uśmiechnął się i pocałował ją gorąco, z tą namiętnością, którą rozpałał ją od nocy poślubnej spędzonej w pociągu „Interoceánico”; był wysoki i mocno zbudowany, miał temperament i umiał kochać, bez tej tajemniczości, która otaczała jej inną, o mało co nie spełnioną miłość, Orlanda Ximeneza, ale też bez atmosfery występku, jaką wnosił tamten kędzierzawy blondyn z balu w San Cayetano. Przy Orlandzie Juan Francisco był uosobieniem prostoty, istotą otwartą, niemal prymitywną w swoich nieskrywanych zmysłowych pragnieniach. Również dlatego Laura kochała go coraz bardziej i bardziej, tak jakby, będąc mężem, potwierdził pierwsze wrażenie, jakie na niej, młodej dziewczynie, wywarł w kasynie w Xalapie. Juan Francisco kochanek był tak samo wspaniały jak Juan Francisco mówca, polityk, przywódca robotniczy.

(– Nie wiem nic więcej, nie znam nic innego, nie mogę porównywać, ale mogę odczuwać przyjemność i ją odczuwam, naprawdę, w łóżku doznaję tyle rozkoszy z tym olbrzymem, tym macho nie posiadającym subtelności i perfum Orlanda, Juan Francisco, mój, tylko mój...)

– Musisz się odczyścić mówić do mnie „kochanie” przy ludziach.

– Tak, kochanie. Przepraszam. A dlaczego?

– Otaczają nas towarzysze. Absorbują nas walka. Nie wypada.

– Twoi towarzysze się nie kochają?

– Dostyc, Lauro. To niepoważne.

– Wybacz mi. Przy tobie kocham wszystko. Nawet syndykalizm – roześmiała się po swojemu, pieszcząc długie i owłosione ucho swojego macho, tak mu nawet powiedziała: ty jesteś moim macho, a ja jestem twoją zoneczką, mój macho to moje kochanie, ale nie mogę mówić kochanie... – Ty zawsze mówisz do mnie „dziewczyno”, nigdy mi nie powiedziałeś „kochanie” i ja to szanuję, wiem, że to ci łatwiej przychodzi, tak jak mnie...

– Kochanie...

Pocałował ją, ale w niej pozostał niesmak winy, tak jakby oboje w sekrecie powiedzieli sobie coś niesłychanie ważnego, niepowtarzalnego, z czego któregoś dnia mogli się cieszyć albo czego mogli też bardzo żałować. Wszystkiemu winne było odkrycie, że w gruncie rzeczy wcale się nie znają. Wszystko było niespodzianką. Dla obojga. Każde z nich oczekiwało, że powoli, powoli to drugie mu się odsłoni. Czy taka myśl mogła być pocieszeniem? W tym momencie przyszło jej do głowy, że bezpośrednią przyczyną tego niesmaku jest przypuszczenie, iż mąż ma jej za złe brak odwagi, przecież nie weszła na poddasze i nie zapukała do drzwi Armonii Aznar. Pojawienie się Juana Francisco i jego działalność obalały jej racje i zmieniały je w pretekst. Sama panna Aznar prosiła o poszanowanie jej decyzji. To był argument Laury. Ten argument krył w sobie tajemnicę, tą tajemnicą był Orlando, a o tym się nie mówiło. Laura pozostała więc z poczuciem winy, mglistej, nieokreślonej, przed którym sama nie umiała się bronić, i nagle zdała sobie sprawę, że nie chcąc dopuścić, by stanęło ono pomiędzy nimi, oddaliło ich od siebie, uczyniła zeń powód do identyfikacji z mężem, do solidarności z jego walką; sama nie umiała tego nazwać i w końcu wszystko złożyła na karb braku doświadczenia.

– Nie mów do mnie „kochanie” przy ludziach.

– W porządku... kochanie – rzekła, wybuchając śmiechem, po czym młoda mężatka rzuciła poduszką w męża, którego szorstkie włosy sterczały w nieładzie, był rozespany, nagi, smagły, władczy, śmiał się_ teraz, pokazując silne zęby, szerokie jak indiański fryz; jak ziarna kukurydzy, pomyślała Laura, żeby nie idealizować za bardzo męża, „wiesz, masz zęby jak kaczan kukurydzy”, Juan Francisco był nowością w jej życiu, początkiem innej historii, odległej od rodziny, od Veracruz, od wspomnień.

– Uważaj, żebyś nie wybrała go tylko dlatego, że różni się od innych – ostrzegła ją ciotka Maria de la O.

– Ty, cioteczko, najbardziej się różnisz od innych, a czy ja kogo Kocham bardziej od Ciebie?

Objęły się i ucałowały serdecznie, ciotka i siostrzenica, a teraz, gdy Juan Francisco w miłosnym zbliżeniu pochylał nad nią swą ciemną twarz, Laura czuła nieodparty pociąg do tej ciemnej skóry, do inności. Miłość była podobna do objadania się bez pamięci kostkami cukru albo do upajania się tym cynamonowym zapachem, z którym przychodzą na świat wszyscy mieszkańcy tropiku, tak jakby ich poczęto w dzikim sadzie, wśród mango, papai i wanilii. O papai, mango i wanilii myślała właśnie, Kochając się w łóżku z mężem, i nie mogła nic na to poradzić, rozumiała, że myślenie o takich rzeczach odwraca jej uwagę od tego, co robią, ale jednocześnie przedłuża akt, a jednak bała się, że Juan Francisco zauważy jej roztargnienie, że uzna to za obojętność, że namiętność złączonych ciał weźmie za chęć dokonywania niekorzystnych dla niego porównań, choć przecież przekonał się, że Laura była dziewicą, że był tym pierwszym. Czy mogła podejrzewać, że jego niepokój wzbudzi nie to, czy był pierwszy w łóżku, ale to, czy był ktoś inny, ktoś jeszcze, jakiś drugi, trzeci, kto wie, czy nie czwarty, w kolejności do kobiecych uczuć?

– Nigdy mi nie opowiadasz o swoich narzeczonych.

– Ty nigdy mi nie opowiadasz o swoich.

Spojrzenie, mina, wzruszenie ramion Juana Francisco oznaczało: „my, mężczyźni, jesteśmy inni”. Czemu tego nie powiedział wprost, otwarcie?

– My, mężczyźni, jesteśmy inni.

Dlaczego nie trzeba było tego tłumaczyć? Bo społeczeństwo było takie i nikt nie miał zamiaru go zmieniać...? Słuchając w strugach deszczu jego głębokiego, potężnego głosu na gigantycznym placu w sercu miasta, Laura poprzez niego, z nim i dla niego chłonęła słowa i argumenty, którym chciała nadać znaczenie, żeby go zrozumieć, żeby wejść w jego umysł, tak jak on wchodził w jej ciało, żeby zostać jego towarzyszką, jego sprzymierzeńcem. Czy ta Rewolucja nie chciała zmienić sposobu, w jaki mężczyźni meksykańscy traktowali kobiety, czy nie miały nastąpić nowe czasy dla kobiet, tak samo ważne jak nowe czasy dla robotników, których bronił Juan Francisco?

Nie należała do żadnego mężczyzny. Wybrała tego. Do tego chciała należeć bez reszty. Czy Juan Francisco da się obłąskawić, czy zawładnie nią całą, tak właśnie, jak ona chciała być przez niego kochana? Czy nie obawiał się, on, który nigdy nie mówił jej o swoich dziewczynach, który nigdy nie powie jej „kochanie”, ani przy ludziach, ani na osobności, czy się nie bał, że ona też go przeniknie, że zawładnie nim, wydrze mu jego tajemnicę? Czy istniał jakiś człowiek za tym przywódcą, któremu ona towarzyszyła od mitingu do mitingu, za jego chętnym przyzwoleniem, bo nigdy nie powiedział jej: zostań w domu, to męska sprawa, będziesz się nudzić. Przeciwnie, on świętował obecność Laury, jej oddanie dla sprawy, uwagę, z jaką słuchała słów swojego męża, lidera, jego przemówienia, bo to było tylko jedno przemówienie w obronie robotników, ich prawa do strajków, ich osmiogodzinnego dnia pracy. Było to tylko jedno przemówienie, bo istniała też tylko jedna pamięć, pamięć o strajku tkaczy w Rio Blanco, górników w Cananea, o walce liberałów i anarchosyndykalistów; przywoływanie faktów bez cenzury, rzeka przyczyn i skutków doskonale ze sobą powiązanych, przerywana tylko wezwaniami do buntu, które mogły zapalić nawet wodę, pokłady miedzi i srebra w kopalniach.

Laura przestała zadawać sobie pytania. Dziewięć miesięcy po ślubie wszystko zostało przerwane przez narodziny pierwszego syna. Kiedy Santiago López Díaz przyszedł na świat, jego ojciec był tak szczęśliwy z posiadania syna, że Laura pomyślała: a co by było, gdyby urodziła się dziewczynka? Fakt, że urodził się chłopczyk i że Juan Francisco tak się z tego cieszył, pozwolił Laurze łatwo wybrać imię dziecku.

– Nazwiemy go Santiago, po moim bracie.

– Twój brat zginął za rewolucję. To będzie dobry znak dla dziecka.

– Ja chcę, żeby żył, Juan Francisco, nie chcę, żeby umierał ani za rewolucję, ani za nic innego.

Był to jeden z tych momentów, kiedy oboje zachowali dla siebie to, co mogli byli powiedzieć. Przeznaczenie człowiecze to coś więcej niż indywidualny los, Lauro, jesteście czymś więcej niż tylko jednostką, jesteście narodem, klasą robotniczą. Nie możesz być tak małoskowna i zamknąć swojego brata w twoim małym sercu, tak jak zwiędły kwiat wkłada się pomiędzy kartki książki. To nowa istota, Juan Francisco, czyż nie możesz go zaakceptować właśnie takim, jako wyjątek na ziemi, coś, co nie istniało nigdy przedtem ani nie będzie istniało potem? Ja tak właśnie patrzę na naszego syna, tak go całuję, kołyszę go, daję mu piersi, śpiewam mu: witaj syneczku, jesteś jedyny, jesteś niezastąpiony, dam ci całą moją miłość, bo ty to ty, odrzucę pokusę, by widzieć w tobie zmarłego Santiago, który narodził się na nowo, drugiego Santiago, który będzie wypełniał przerwane przeznaczenie mojego uwielbianego brata...

– Kiedy mówię Santiago do naszego syna, myślę o bohaterstwie twojego brata.

– A ja nie, Juan Francisco. Oby nasz Santiago nie był tym, o czym myślisz. Bohaterstwo niesie z sobą dużo bólu.

– Dobrze. Rozumiem cię. Sądziłem, że chciałabyś widzieć w tym drugim Santiago jakby wskrzeszenie tamtego pierwszego.

– Wybacz, ale jestem innego zdania.

Nic nie odpowiedział. Wstał, podszedł do okna i patrzył na krople czerwcowego deszczu.

Jak mogła odmówić mężowi prawa do nadania imienia Danton drugiemu synowi, który urodził się jedenaście miesięcy po pierwszym, kiedy generał Alvaro Obregón od dwóch lat był u władzy i do kraju powoli wracał spokój? Laurze podobał się ten prezydent, tak błyskotliwy albo przynajmniej tak inteligentny, że na wszystko miał odpowiedź, który stracił rękę w bitwie pod Celayą, gdzie rozgromił Pancho Villę i jego oddziały lekkiej kawalerii, i który potrafił śmiać się z samego siebie.

– Pole bitwy to była jatka. Jak miałem znaleźć swoją urwaną rękę wśród tylu trupów? I wtedy, panowie, wpadłem na genialny pomysł. Rzuciłem w powietrze złotą monetę i moja ręka wyskoczyła, żeby ją złapać. Żaden rewolucyjny generał nie oprze się kanonadzie pięćdziesięciu tysięcy peset!

– Ma tylko jedną rękę, ale za to twardą – usłyszała z ust jednego z przywódców robotniczych, którzy przychodzili do nich do domu, żeby dyskutować z Juanem Francisco o polityce.

Ona raczej wolała chodzić po ulicach miasta, którego nie znała, odkrywać ciche zakątki, z dala od zgiełku autobusów z wymalowanymi nazwami przystanków – ROMA MÉRIDA CHAPULTEPEC I OKOLICE, PENSIL BUENOS AIRES PENITENCIARIA SALTO DEL AGUA, COYOACÁN, CALZADA DE LA PIEDAD, NIÑO PERDIDO – i żółtych tramwaj, które jechały jeszcze dalej – CHURUBUSCO, XOCHIMILCO, MILPA ALTA – a także samochodów, zwłaszcza taksówek z napisem „wolny”, które swoją „wolność” ogłaszały na kartkach zatkniętych za wycieraczki, i tzw. *fotingos*, samochodów Forda, które na Paseo de la Reforma poruszały się jak na torze wyścigowym.

Laura była miłośniczką parków, sama o sobie tak mówiła z uśmiechem. Najpierw z jednym dzieckiem, a potem z dwojgiem w wózku jeździła z Alei Sonora, gdzie mieszkali, do Lasku Chapultepec, gdzie pachniało eukaliptusami, sosnami, trawą i zielonym jeziorem.

Kiedy urodził się Danton, ciotka Maria de la O zaoferowała Laurze swoją pomoc i Juan Francisco nie miał nic przeciwko obecności w domu ciotki Mulatki, coraz tęższej, z tak grubymi jak ramiona kostkami u bardzo grubych i trzęsących się nóg. Front ich piętrowego domu ozdobiony był na parterze meandrami z cegły, a na piętrze żółtawymi stiukami. Wchodziło się przez garaż, który Juan Francisco zainaugurował pierwszego dnia po urodzeniu Dantona, wjeżdżając tam sportowym fordem kabrioletem, подарowanym mu przez

Regionalną Konfederację Robotników Meksyku, CROM, najpotężniejsze zrzeszenie pracowników za czasów nowej władzy. Lider tej robotniczej centrali, Luis Napoleon Morones, przekazując auto Juanowi Francisco, powiedział, że to w dowód uznania jego zasług w ruchu syndykalistycznym w czasie Rewolucji.

– Bez klasy robotniczej – oświadczył Morones, człowiek niezwykle tuszy, masywny, o grubych ustach, grubym nosie, grubym karku i podbródka i powiekach jak wałki mięsa – bez Domu Robotników Świata i Czerwonych Batalionów nie moglibyśmy zwyciężyć. To robotnicy zrobili Rewolucję. Chłopi, tacy jak Villa i Zapata, byli koniecznym balastem, reakcyjnym i klerykalnym przeżytkiem czarnej kolonialnej przeszłości Meksyku.

– Mówił ci to, co chciałeś usłyszeć – powiedziała Laura bez ogródek mężowi, który zapytał ją o zdanie.

– Ale to prawda. Klasa robotnicza jest awangardą rewolucji.

A więc stał tu ford model T, może mniej imponujący niż wystawna isotta-fraschini, którą Xavier zabrał do Xalapy, ale niezwykle wygodny dla pięcioosobowej rodziny na wycieczki do piramid w Tenayuca albo do pływających ogrodów w Xochimilco. W głębi garażu honorowe miejsce zajmowały bojłery na gorącą wodę, które podgrzewało się, rozpalając drewniane szczapki i gazety. Przez garaż wchodziło się do niewielkiego przedpokoju z mozaikami na podłodze i do salonu, którego okna wychodziły na ulicę, urządzonego wygodnie i bezpretensjonalnie, gdyż Laura otworzyła konto w Palacio de Hierro i Juan Francisco dał jej wolną rękę w wyborze kanapy i foteli pokrytych niebieskim aksamitem, i lamp w stylu art-déco tak reklamowanych w ilustrowanych pismach.

– Nie przejmuj się, kochanie. Teraz są nowe sposoby płatności: na raty, nie trzeba wszystkiego wpłacać za jednym zamachem.

Przez oszklone drzwi wchodziło się do jadalni, gdzie na drewnianym podeście stał kwadratowy stół i osiem ciężkich mahoniowych krzeseł, lustro zatrzymywało przedwieczne światło, a oddzielne drzwi prowadziły do kuchni z węglowymi piecami i pojemnikami na lód, gdzie przyjmowano codzienne wizyty sprzedawców drewna i węgla i kupowano z ciężarówek i lód, i mleko.

Salon był bardzo ładny. Okna znajdowały się kilka metrów nad poziomem ulicy i miały mały balkonik, z którego można było podziwiać Lasek Chapultepec.

Na górze, dokąd wchodziło się po schodach zbyt ostentacyjnych jak na tak niewielki dom, znajdowały się cztery sypialnie i tylko jedna łazienka z wanną, ubikacją i – czego Maria de la O nigdy w życiu nie widziała – francuskim bidetem, który Juan Francisco chciał wyrzucić, ale Laura ubłagała męża, żeby go zatrzymać jako rzecz tak oryginalną i zabawną.

– Wyobrażasz sobie moich przyjaciół ze związku na czymś takim?

– Nie, wyobrażam sobie tylko brzuszysko Moronesa. Nic im nie mów. Niech sobie łamią głowy.

Przyjaciele Juana Francisco czasem wymykali się z łazienki z niewyraźną miną, a czasem nawet z zamoczonymi spodniami. Juan Francisco przechodził nad tym do porządku dziennego ze swoją wrodzoną, dostojną powagą, która nie akceptowała żartów i gasiła je w zarodku błyskawicą spojżenia zimnego i porywczego zarazem.

Kiedy oni zbierali się w jadalni, Laura siedziała z książką w salonie. Czytanie, od czasu gdy czytała na głos przy łóżku sparaliżowanego ojca z nadzieją, że ojciec ją zrozumie, podobną do tej, jaką ma rozbitek rzucający butelkę w morze, przekształciło się po ślubie w ciche i miłe przyzwyczajenie. Zaczęła się pojawiać świeża literatura dotycząca niedalekiej przeszłości i Laura, przeczytawszy *Gniew* doktora Mariano Azueli, przyznała rację tym, którzy pisali o oddziałach chłopskich jako hordach, owszem, barbarzyńców, ale przynajmniej krewkich, podczas gdy miejscy politycy – adwokaci i intelektualiści – byli przedstawieni w powieści też jako barbarzyńcy, ale perfidni, oportunistyczni i zdradzieccy. Zdała sobie sprawę, że Rewolucja przeszła przez Veracruz jak westchnienie, natomiast na północy i w

części centralnej wrzało do tej pory. Dzięki tym lekturom odkryła młodego, zaledwie dwudziestotrzyletniego poetę z Tabasco. Nazywał się Carlos Pellicer i kiedy Laura przeczytała jego pierwszą książkę *Kolory morza*, nie wiedziała, czy klękać i dziękować, czy się modlić, czy płakać, bo teraz tropik jej dzieciństwa znalazł się w zasięgu ręki, na kartach książki, a jako że Pellicer pochodził z Tabasco, tak jak Juan Francisco, lektura tych wierszy jeszcze bardziej zbliżała ją do męża.

*Tropiku, dlaczego dałeś mi dłonie
pełne kolorów!*

Laura wiedziała, że Juan Francisco lubił, jak ona, zostawiwszy dzieci pod opieką ciotki, znajdowała się w pobliżu, dlatego że mogła dać im coś do jedzenia, kiedy zebrania się przedłużały, ale głównie dlatego, że słuchała jego słów skierowanych do towarzyszy. Z trudem dopasowywała słyszane głosy do twarzy, gdyż ci mężczyźni po wyjściu z zebrania byli milczący, mało kontaktowi, jakby przed chwilą wynurzyli się z jakiejś ciemnej, nawet niewidzialnej przestrzeni. Niektórzy mieli na sobie marynarki i krawaty, ale byli i tacy, którzy nosili koszule bez kołnierzyka i wełniane czapki, a czasem pojawił się ktoś w niebieskim dresie albo koszuli w kratkę z zawiniętymi do łokcia rękawami.

Tamtego wieczoru padało i mężczyźni przychodzili zmoknięci, paru było w płaszczach, ale większość nie miała żadnej osłony przed deszczem. W Meksyku prawie nikt nie nosił parasola. A ulewa przyszła o czasie i była potężna, lunęło jak z cebra około godziny drugiej po południu i padało raz mocniej, raz słabiej do świtu następnego dnia. Potem wróciło poranne słońce. Mężczyźni wnieśli ze sobą zapach przemoczonych ubrań, zabłoconych butów, wilgotnych skarpetek.

Laura widziała ich, jak wchodzili i wychodzili w milczeniu. Ci, którzy mieli czapki, zdejmowali je na jej widok, ale natychmiast wkładali znowu. Ci, którzy nosili kapelusze, zostawiali je przy wejściu. Inni nie wiedzieli, co robić z rękoma w jej obecności. Natomiast w jadalni mówili dużo i Laura, nie widziana przez nich, ale uważnie przysłuchująca się rozmowom, miała wrażenie, że słucha głosów osób, które przez długi czas przebywały w ukryciu, na całe wieki pozbawione zdolności mówienia. Oni walczyli przeciwko dyktaturze Porfiria Diaza – tak w skrócie można ująć to, o czym rozmawiali – ci najstarsi w grupie anarchosyndykalistycznej Luz, potem przy Domu Robotników Świata, założonym przez profesora anarchistę Moncaleana, a zamkniętym przez Carranzę, kiedy Rewolucja zwyciężyła i stary niewdzięcznik zapomniał, ile jest winien robotnikom i ich Czerwonym Batalionom. Ale Obregón (czy to on kazał zabić Carranzę?) zaoferował robotnikom nową partię, Partię Pracy, i nową centralę związkową CROM, żeby mogli kontynuować swoją walkę o sprawiedliwość.

– Znowu chcą nam mydlić oczy? Pomyślcie tylko, towarzysze, rządy, wszystkie co do jednego, bez przerwy nas oszukiwały. Madero, jak to mówią, apostoł Rewolucji, wysłał na nas swoich „kozaków”.

– A czego ty się spodziewałeś, Dionisio? On nie był rewolucjonistą. Był tylko demokratą. Ale jemu, tak czy owak, wiele zawdzięczamy. Madero wierzył, że w Meksyku można zaprowadzić demokrację bez rewolucji, bez istotnych zmian. Ta naiwność kosztowała go życie. Dopadli go wojskowi, latyfundiści, wszyscy ci, których nie śmiał tknąć, bo same ustawy demokratyczne miały wszystko załatwić. Akurat.

– Ale Huerta, zabójca Madery, ten się z nami liczył. Czy widziałeś kiedyś taką manifestację jak ta na pierwszego maja tysiąc dziewięćset trzynastego roku? Ośmiogodzinny dzień pracy, sześciodniowy tydzień roboczy, wszystko zaakceptował generał Huerta.

– Czyste mydlenie oczu. Dopiero zaczynamy mówić o demokracji, Huerta kazał podpalić naszą siedzibę, były aresztowania i deportacje, nie zapominaj o tym. To jest nauczka.

Dyktatura może dać nam gwarancje pracy, ale nie da wolności politycznych. Jak mieliśmy nie przyjąć generała Obregona jako wybawiciela, kiedy zajął miasto Meksyk w tysiąc dziewięćset piętnastym roku i zaczął mówić o rewolucji proletariatu, o obaleniu kapitalistów, o...

– Palomo, ty tam byłeś, pamiętasz, jak Obregón przyjechał na nasz mityng i uściskał nas wszystkich po kolei, wtedy miał jeszcze obie ręce, i każdemu z nas powiedział: masz rację, kumie, powiedział nam to, co chcieliśmy usłyszeć...

– Czyste mydlenie oczu, José Miguel. Obregón chciał nas tylko wykorzystać jako sojuszników przeciwko chłopom, przeciwko Villi i Zapacie. I to osiągnął, przekonał nas, że chłopci są reakcyjni, klerykami, że noszą Matkę Boską na kapeluszach, czyja wiem, że to przeżytki...

– Czyste mydlenie oczu, Panfilo. Carranza był posiadaczem ziemskim i nienawidził chłopów. Mieli rację Zapata i Villa, że zaczęli rozdawać ziemię, nie pytając o zgodę tego starego szpicbródki.

– Ale teraz zwyciężył Obregón, on zawsze nas bronił, choćby po to, żeby zdobyć oparcie przeciwko Zapacie i Villi. Zauważcie, towarzysze. Obregón pokonał wszystkich...

– Wszystkich pozabijał, chciałeś powiedzieć.

– No cóż, taka jest polityka.

– Czy taka musi być? To ją zmienimy, Dionisio.

– Wygrał Obregón, taka jest rzeczywistość. Wygrał i zostanie. W Meksyku panuje spokój.

– Opowiedz to zbuntowanym generałom. Wszyscy chcą się dopchać do rządu, władza nie jest jeszcze całkiem podzielona, Palomo, jeszcze czeka nas parę niespodzianek, może i my z kolei skorzystamy.

– Czyste mydlenie oczu, tyle skorzystamy. Guzik! Obiecanki cacanki...

– Towarzysze – zakończył dyskusję Juan Francisco. – Nas interesują sprawy bardzo konkretne, strajk, płace, dzień pracy, a potem dalsze cele do osiągnięcia, takie jak płatne urlopy, urlopy macierzyńskie, ubezpieczenia społeczne. To jest dla nas ważne i musimy to wywalczyć. Nie zapominajcie o tym, towarzysze. Inaczej pogubicie się na wertepach polityki.

Laura przestała szyc, zamknęła oczy i spróbowała wyobrazić sobie męża, jak obok, w jadalni, na stojąco, zamyka dyskusję, mówiąc prawdę, ale prawdę inteligentną, prawdę możliwą do przyjęcia: trzeba współpracować z Obregonem, z CROM-em i z jego liderem na szczeblu państwowym, Luisem Napoleonem Moronesem. Zaczęło padać i Laura natężyła słuch. Towarzysze Juana Francisco korzystali z miedzianych spluwaczek, które były przedmiotem nieodzownym w porządnym domu, w miejscach publicznych, a zwłaszcza w salonach, gdzie zbierali się mężczyźni.

– Dlaczego my, kobiety, nie spluwamy?

Wychodzili jeden za drugim z jadalni i kłaniali się Laurze bez słowa, a ona na próżno próbowała przypisać wysłuchane opinie do twarzy, które się przed nią przesuwały: jeden z zapadniętymi oczami (Panfilo?), drugi z nosem wąskim jak wejście do nieba (José Miguel?), ten o promiennym spojrzeniu (Dionisio?), tamten poruszający się jak krótkowidz (Palomo?), całość i szczegół, skrywana ułomność, powstrzymywany płacz za kimś ukochanym, słona ślina, przebyty katar, odejście w cień chwil zapamiętanych, bo nigdy się nie zdarzyły, młodość pragnąca być czymś więcej niż jednym mgnieniem, dziedziczne obciążenie w przekrwionych oczach, uczucia niedocenione, garstka zmarłych, pokolenia zastraszone, bezradna rozpacz, życie na wysokich obrotach bez potrzeby radości, łańcuszek obietnic, okrucy na koszuli, nitka białego włosa na klapie marynarki, resztki porannej jajecznicy na ustach, przemożna chęć powrotu do tego, co się porzuciło, zwlekanie, by tego powrotu uniknąć – to wszystko zobaczyła Laura, kiedy towarzysze jej męża zdążyli ku wyjściu.

Nikt się nie uśmiechał i to ją zaniepokoiło. Czyżby Juan Francisco nie miał racji? Czy to ona niczego nie zrozumiała? Chciała połączyć ze słowami twarze ludzi wychodzących z ich

domu bez słowa, poczuła się niespokojna, poczuła wyrzuty sumienia, że szuka przyczyn tam, gdzie być może były tylko sny i pragnienia.

Prezydent Obregón podobał jej się. Przebiegły, inteligentny, nie był już tak przystojny jak na zdjęciach z pól bitewnych, kiedy to młody, szczupły, jasnowłosy walczył jeszcze obiema rękami; teraz posiwiał i przytył, jakby brakowało mu ruchu albo jakby szarfa prezydencka nie potrafiła zastąpić utraconej ręki. Jednak Laura, kiedy tak rankiem, jeszcze przed nadejściem deszczu, spacerowała z dziećmi w wózku po parku, czuła, że dzieje się coś nowego; pierwszym ministrem rządu rewolucyjnego został egzaltowany, błyskotliwy filozof, który oddał mury budynków publicznych artystom, żeby robili z nimi, co tylko zechcą, mogli atakować kler, burżuazję, Przenajświętszą Trójkę albo jeszcze gorzej – własny rząd, który im płacił za pracę. To jest wolność! – wykrzykiwała Laura, korzystając z obecności ciotki, by powierzyć jej dzieci i wstąpić do budynku szkoły, gdzie malował Orozco, i do Pałacu Narodowego, gdzie malował Rivera.

Orozco miał tylko jedną rękę, tak samo jak Obregón, był krótkowidzem i ponurakiem. Laura podziwiała go, bo kiedy malował, stawał się innym człowiekiem, malował sprawnie jedną ręką i patrzył w słońce bez zmrużenia powiek: malował tym wszystkim, czego mu brakowało. Wzrok malarza był jasny, inny Orozco wstępował w jego ciało i prowadził go, oświecał, rzucał wyzwanie Laurze Díaz: wyobraź sobie, jak rączy i pełen żaru musi być geniusz, który zawładnął ciałem mistrza i przekazuje niewidzialny ogień temu artyście, okaleczonemu, ślepemu, o zaciśniętych ustach i gorzko zmarszczonych brwiach.

Natomiast kiedy Laura usiadła w swojej nowej bluzce z dekoltem haftowanym koralikami i krótkiej spódniczce w Pałacu Narodowym, żeby popatrzeć, jak maluje Diego Rivera, artysta zdekoncentrował się i spojrzał na nią tak uważnie, że się zaczerwieniła.

– Masz twarz chłopca albo madonny. Sam nie wiem. Tobie zostawiam wybór. Kim jesteś? – zapytał ją Rivera, przerwawszy na chwilę pracę.

– Jestem dziewczyną – odparła z uśmiechem Laura. – 1 mam dwóch synów.

– A ja mam dwie córki. Pożeńmy tę czwórkę i jak już się uwolnimy od bachorów, ja będę cię malował ani jako kobietę, ani jako mężczyznę, tylko jako hermafrodytę. Wiesz, jakie to wygodne? Możesz kochać siebie samego, siebie samą.

Był całkowitym przeciwieństwem Orozca. Przypominał ogromną żabę, był gruby, wysoki, z wyłupiastymi, sennymi oczyma, a kiedy ona zjawiała się któregoś dnia cała ubrana na czarno, z czarną przepaską na głowie na znak żałoby po ojcu, Fernandzie Diazie, który zmarł w Xalapie, asystent malarza poprosił ją, żeby wyszła: mistrz boi się czarów i nie może malować ze splecionymi palcami, żeby odganiać złe uroki...

– Aha, bo jestem w żałobie. Jak bardzo musi pan być przesądny, czerwony mistrzu, jeżeli boi się pan kobiety w czerni.

Nie zdążyła do Xalapy na pogrzeb. Jej matka Letycja, Mutti, przysłała telegram. Masz swoje obowiązki, Lauro, męża i dwoje dzieci. Nie przyjeżdżaj. Dlaczego nie dodała nic więcej: twój ojciec myślał o tobie przed śmiercią, wymówił twoje imię, odzyskał głos tylko na chwilę, żeby powiedzieć Laura, czy Bóg na koniec wrócił mu tę zdolność, czy mógł coś powiedzieć?

– To był uczciwy człowiek, Lauro – powiedział Juan Francisco. – Wiesz, jak nam pomógł.

– Zrobił to dla Santiago – odpowiedziała Laura; w jednej ręce trzymała telegram, a drugą odsunęła kotarę i patrzyła za okno, tak jakby jej wzrok poprzez niemal czarną zasłonę deszczu o szóstej po południu mógł dotrzeć aż do cmentarza w Xalapie. Wierzchołki dwóch wulkanów, władców doliny, unosiły się ponad burzą w swoich białych koronach.

Ciotka Maria de la O powiedziała jej po powrocie, że Pan Bóg wie, co czyni, Fernando Díaz chciał umrzeć, żeby nie być ciężarem, ona to czuła, bo obydwójce porozumiewali się doskonale za pomocą spojrzeń, jakże mogłoby być inaczej, przecież ten człowiek uratował matkę Marii de la O, pomagał jej i zapewnił godną starość.

– Czy twoja matka żyje?

Maria de la O, zmieszana, kręciła przecząco głową, mówiła: nie wiem, nie wiem, ale któregoś ranka, kiedy ciotka wywiozła dzieci w wózku na spacer, Laura, ścieląc łóżka, znalazła pod poduszką stary dagerotyp z wizerunkiem smukłej i szykownej Murzynki: miała duży dekol, gorące usta, wyzywające spojrzenie, talię osy i piersi jak twarde melony. Schowała go czym prędzej na odgłos kroków Marii de la O, która po krótkiej przechadzce wracała zmęczona, kołysząc się na spuchniętych nogach:

– Uf, to miasto leży tak wysoko, Lauro.

Wysokość i duszne powietrze. Deszcz i rześkie powietrze. To jak bicie serca Meksyku, słońce i deszcz, deszcz i słońce, skurcz i rozkurcz, dzień po dniu. I tak dobrze, że padało w nocy, a rankiem się przejaśniało. Pod koniec tygodnia odwiedzał ich Xavier Icaza i uczył jeździć fordem, który Juan Francisco dostał w prezencie od CROM-u.

Laura okazała się bardziej pojęta od męża, niezgrabnego olbrzyma, który niemal nie mieścił się na siedzeniu i nie wiedział, co zrobić z kolanami. Ona odkryła w sobie instynktowny talent do prowadzenia i teraz mogła wozić dzieci na wycieczki nad kanały Xochimilco, oglądać z nimi piramidy w Tenayuca i przechadzać się wśród chłopskich gospodarstw w Milpa Alta, wdychać ten niepowtarzalny zapach wymion, słomy i mokrych grzbietów i pić ciepłe mleko prosto od krowy.

Pewnego dnia wyszła z Pałacu Narodowego, gdzie Rivera pozwolił jej przebywać, jak tylko przestała nosić żałobę, i uciekając przed ulewnym deszczem, wsiadła do samochodu zaparkowanego na ulicy La Moneda. Jechała świeżo przemianowaną Aleją Madery, która przedtem nazywała się Plateros, podziwiając wielkie kolonialne domy zbudowane z bloków czerwonej lawy wulkanicznej i matowego marmuru, a potem przez Alamedę aż do Paseo de la Reforma, gdzie znowu widać było wpływy francuskie w pięknych rezydencjach, wysokich mansardach i regularnych ogrodach.

Zakorzeniało się w niej poczucie wygody, jej życie jako mężatki było wygodne, dawało jej zadowolenie, miała dwóch ślicznych synków i nieprzeciętnego męża, czasem trudnego, bo był to mężczyzna szczery, z silnym charakterem, nieustępliwy, ale zawsze skory do miłości, troskliwy, zaangażowany bez reszty w swojej pracy, ale nie przysparzający jej problemów. Skręcając z placyku Niza w lewo na Aleję Insurgentes, by dojechać do domu na Aleję Sonora, poczuła się niewygodnie w tym wygodnym życiu. Wszystko toczyło się zbyt spokojnie, zbyt poprawnie, coś musiało się zdarzyć...

– Wierzysz w przeczucia, cioteczko?

– E tam, wierzę w uczucia i twoje ciotki uświadamiają mi to w każdym liście; Hilda, Virginia i twoja matka, wszystkie razem, tak zajęte na co dzień swoimi gośćmi, kiedy usiądą do pisania, stają się innymi kobietami. Myślę, moje dziecko, że nie zdają sobie sprawy z tego, co do mnie piszą, i to nawet mnie obraża, piszą do mnie, jakbym to nie była ja, jakby mówiły do siebie, ja jestem tylko pretekstem, Hilda już nie może grać na pianinie przez ten jej artretyzm i opowiada mi, jak ta muzyka chodzi jej po głowie, masz, przeczytaj, na szczęście – albo na nieszczęście, bo ja wiem – Bóg pozwolił mi zapamiętać nokturny Chopina nuta po nucie, z największą dokładnością, ale nie pozwala mi słuchać muzyki inaczej jak tylko we własnej głowie, czy słyszałaś o tej nowości nazywanej Vitro tã? Chopin skrzypi na tych płytach, czy jak to się tam nazywa, ale w mojej głowie jego muzyka jest krystalicznie czysta i smutna, tak jakby czystość dźwięku zależała od melancholii duszy, czy ty to słyszysz, siostró, czy mnie słyszysz? Gdybym wiedziała, że ktoś słyszy w swojej głowie Chopina z taką czystością, z jaką ja go słyszę, byłabym szczęśliwa, Mario de la O, podzieliłabym się tym, co kocham najbardziej, ja sama z tym nie mogę być w pełni szczęśliwa, chciałabym dzielić swoją radość, jaką mi daje muzyka, z kimś innym, z innymi ludźmi, ale już nie mogę, moje życie nie było takie, jakiego pragnęłam, chociaż, być może, takie sobie niechcący wyobraziłam, czy mnie słuchasz, siostró? jako pokorną modlitwę, bezsilne błaganie, tak jak

Chopin podobno wyobraził sobie swój ostatni nokturn w kościele, gdzie schronił się przed burzą, czy rozumiesz moje błaganie, siostrze? A Virginia nic nie mówi, ale nie chce umierać, dopóki czegoś nie opublikuje, Lauro, czy twój mąż nie mógłby poprosić ministra Vasconcelosa, żeby opublikował wiersze twojej ciotki Virginii? Czy widziałaś, jakie śliczne książki w zielonych okładkach wydał na uniwersytecie? Jak sądzisz? Bo chociaż Virginia nigdy mi o tym nie mówi z najzwyczajszej dumy, czuje to samo, co Hilda, tylko że poetce brakuje słów, bo jak pisze Hilda, moja muzyka to moje słowa, i jak jej odpowiada Virginia, moje słowa to moje milczenie... Tylko twoja matka, Letycja, nigdy się na nic nie skarży, ale też z niczego się nie cieszy.

Czuła się niespełniona. Chciała poprosić męża, żeby pozwolił jej pracować razem z nim, obok niego, służyć mu pomocą, przynajmniej pół dnia pracowałiby razem, ramię w ramię, przy organizowaniu robotników, on powiedział: dobrze, ale przedtem pójdz ze mną kilka razy, zobaczysz, czy ci się spodoba.

Towarzyszyła mu tylko przez czterdzieści osiem godzin. Stara część miasta była ludzkim kłębowiskiem, szewcy łąający stare obuwie, kowale, straganiarze, stolarze, garncarze, porewolucyjni inwalidzi, stare samotne żołnierki sprzedające na rogach *tamales* i musujące napoje, mamroczące pieśni rewolucyjne i nazwy przegranych bitew, tu dawna siedziba wicekrólów żyła proletariackim rytmem, pałace zamieniły się w wielorodzinne kamienice, bramy obrosły kioskami, w których sprzedawano słodczyce, losy na loterię, pasy do broni i różne różności, stare gospody stały się przytułkami, gdzie nocowali próżniacy i złoczyńcy, bezdomni żebracy, zagubieni starcy, panował tam odrażający smród ludzkiego zbiorowiska, przytłumiony zapachem ulic pełnych prostytutek opartych o bramy otwarte na znak zaproszenia albo prowokacji, ten kurewski zapach był identyczny z zapachem zakładów pogrzebowych, nabrzmiałych gardenii i podobnie nabrzmiałego napletka, sklepy alkoholowe cuchnęły wymiocinami i moczem ulicznych psów, których całe armie biegały samopas, pokryte parchami szperały w śmietniskach coraz bardziej rozległych, coraz bardziej szarych i ropiejących jak wielkie, przeżarte rakiem płuca, które lada dzień mogły zatamować oddech miastu. Nieczystości wylewały się z tych niewielu kanałów, które pozostały po indiańskim mieście, mieście zamordowanym. Mówiono, że kanały zostaną zdrenowane i zalane asfaltem.

– Od czego chcesz zacząć, Lauro?

– Ty sam zdecyduj.

– Mam zdecydować? Od własnego domu. Prowadź dobrze dom, dziewczyno, bo tu bardziej się przydasz niż w tamtych dzielnicach, organizując i zbawiając ludzi, którzy w dodatku nawet ci za to nie podziękują. Zostaw mnie tę pracę. To nie jest zajęcie dla ciebie.

Miał rację. Ale tej nocy, po powrocie do domu, Laura Díaz poczuła się podniecona, sama dobrze nie rozumiała dlaczego, tak jakby zejście do miasta, swojego i obcego zarazem, obudziło w niej pasję, z jaką w dzieciństwie kochała i odkrywała selwę z jej kamiennymi gigantami w odzieniu z lian i klejnotów, z jej drzewami i bogami ukrytymi wśród wawrzynów, pasję, którą w Veracruz dzieliła z Santiago i która rosła z biegiem lat na przekór śmierci, pasję, która w Xalapie kazała jej odrzucić wytęsknione pieścizny Orlanda i bez reszty poświęcić się opiece nad chorym ojcem. A teraz Juan Francisco, miasto Meksyk, dom, dzieci i prośba – pozwól mi kochać z pasją ciebie i to, co robisz, Juan Francisco – odrzucona przez męża, tak jak się odpędza uprzykrzoną muchę.

– Być może ma rację. Nie zrozumiał mnie. Ale w takim razie musi dać mi coś więcej niż to, co się we mnie kołacze. Chcę tego wszystkiego, co mam, nie oddam tego za nic. Ale chcę czegoś jeszcze. Czego?

Żądał zbyt wiele posłuszeństwa od jej roznamiętnionej duszy.

– Gdzie jest samochód, Juan Francisco?

– Zwróciłem go. Nie patrz tak na mnie. Poprosili mnie o to towarzysze. Nie chcą, żebym przyjmował cokolwiek od oficjalnego związku. Nazywają to korupcją.

VII. Aleja Sonora: 1928

O czym myślał on? O czym myślała ona?

On był nieprzenikniony jak krąg zatoczony nożem. Ona mogła się domyślać, o czym myślał, gdyż wiedziała, o czym sama myśli. O czym myślała ona, kiedy on z częstotliwością, która jemu przynosiła ujmę, a dla niej była coraz bardziej irytująca, wyrzucał jej, że nie weszła na poddasze domu w Xalapie, żeby poznać katalońską anarchistkę; ona w końcu miała tego dość, poddała się, przestała dyskutować i w kwadratowym kajeciku do zapisywania domowych wydatków zaczęła notować przypadki, kiedy on, bez żadnej prowokacji z jej strony, obwinił ją za owo niedopatrzenie. To już nie był wyrzut, był to nerwowy nawyk, coś w rodzaju mimowolnego tiku w czyichś nieruchomych oczach pozbawionych własnego światła. O czym myślała ona, kiedy znowu słuchała przemówienia, tego samego od dziewięciu lat, tak świeżego, tak porywającego na początku, a potem coraz trudniejszego do zrozumienia, coraz trudniejszego do słuchania; było zbyt zrjonalizowane, ona na próżno oczekiwała marzeń w tym przemówieniu, nie samego przemówienia, ale marzeń, zwłaszcza kiedy ich synkowie Santiago i Danton zaczęli mówić i zdała sobie sprawę, że będąc matką, może im opowiadać tylko o marzeniach, o snach. W przemówieniach ich ojca nie było nic ze snów. Były to przemówienia bezsenne. Słowa Juana Francisco nie spały. Czuwały.

– Mamo, boję się, popatrz przez okno. Nie ma już słońca. Gdzie to słońce poszło? Czy ono umarło?

– Juan Francisco, nie mów do mnie tak, jakbym była salą wypełnioną tłumem. Jestem tylko jedną osobą. Laurą. Twoją żoną.

– Już mnie nie podziwiasz jak kiedyś. Kiedyś mnie podziwiałaś.

Chciała go kochać, chciała. Co się z nią stało? Co takiego się działo, czego ona nie wiedziała i nie rozumiała?

– Kto tam zrozumie kobiety – długie włosy, krótki rozum.

Nie miała zamiaru tracić czasu, żeby mu tłumaczyć, jak rozwijały się dzieci za każdym razem, kiedy opowiadały bajkę albo zadawały pytanie, słowa rodzą się z wyobraźni i z przyjemności, nie są przeznaczone dla sal wypełnionych tłumem ani dla placów pełnych sztandarów, są przeznaczone dla ciebie i dla mnie, do kogo mówisz, Juan Francisco? Ona widziała go zawsze na trybunie, a ta trybuna to piedestał, na którym ona sama go postawiła, kiedy się pobrali, nikt go tam jej nie postawił, ani Rewolucja, ani klasa robotnicza, ani związki zawodowe, ani rząd, tylko ona, to ona była westalką świątyni pod wezwaniem Juana Francisco Lopeza Greene'a i to ona prosiła swego męża, aby był godny kultu, jakim otaczała go własna żona. Ale świątynia to miejsce, gdzie ceremoniał się powtarza. A to, co się powtarza, nuży, jeśli nie jest podbudowane wiarą.

Laura nie straciła wiary w męża. Była tylko uczciwa w stosunku do siebie samej i zdawała sobie sprawę, że w codziennym życiu irytują się nawzajem, ale które małżeństwo nie irytuje się po jakimś czasie, to chyba normalne w osiem lat po ślubie. Na początku nie znali się i wszystko było niespodzianką. Teraz, kiedy chciała wzbudzić w sobie zadziwienie i świeżość uczuć z tamtych lat, okazywało się, że zadziwienie kolejny raz staje się rutyną, a świeżość uczuć nostalgią. Czy to była jej wina? Od początku podziwiała osobę publiczną. Potem próbowała poznać ją bliżej, ale za tą osobą publiczną stała następna osoba publiczna, a za tą następną następną, aż zdała sobie sprawę, że ta postać, ten porywający mówca, przywódca mas, jest postacią realną, nie było tu żadnego oszukaństwa, nie potrzeba było szukać żadnej

innej osobowości, należało pogodzić się z faktem, że żyje się z mężczyzną, który swoją żonę i dzieci traktuje jak wdzięczną publiczność. Tylko że ta postać z trybuny też spała w małżeńskim łóżku i pewnego dnia dotyk męskich stóp pod kołdrą sprawił, że bezwiednie cofnęła swoje, łokcie męża zaczęły wywoływać w niej odrazę, przypatrywała się zmarszczkom w zgięciu łokcia i wyobrażała sobie jego samego jako jeden wielki łokieć pokryty skórą od stóp do głowy.

– Wybacz mi. Jestem zmęczona. Dzisiaj nie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Chcesz, to weźmiemy służącą. Myślałam, że razem z ciotką dajecie sobie radę z prowadzeniem domu.

– I tak jest, Juan Francisco. Nie potrzebujemy służących. Masz mnie i Marię de la O. Ty nie powinieneś mieć służby. Ty służysz klasie robotniczej.

– Jak dobrze, że to rozumiesz, Lauro.

– Wiesz co, cioteczko – zbierała się na odwagę i mówiła do Marii de la O – czasem tęsknię za życiem w Veracruz, było ciekawsze.

Ciotka nie przytakiwała, tylko patrzyła uważnie na Laurę, a wtedy ta śmiała się, żeby nie przydawać wagi całej sprawie.

– Zostań z dziećmi. Pójdę na targ.

Nie był to dla niej ciężar; lubiła chodzić na targ Parian w Kolonii Roma, wrywało ją to z domowej rutyny, która tak naprawdę nie była rutyną, kochała przecież ciotkę, uwielbiała dzieci, z przyjemnością patrzyła, jak rosną... targ był dżunglą w miniaturze, znajdowała tu wszystko, co tak lubiła, kwiaty i owoce w nieprzebranej meksykańskiej obfitości, lilie i mieczyki, gipsówka i niezapominajki, mango, papaja i wanilia, owoce, o których myślała podczas miłosnych uniesień, *mamey*, pigwa, *tejocote*, ananas, *lima* i cytryna, *guanábana*, pomarańcza, *zapote prieto* i *zapote chico*: smaki, kształty, atmosfera targów napawały ją radością i tęsknotą za dzieciństwem i młodością.

– Ależ ja mam dopiero trzydzieści lat.

Wracała zamyślona z targu do domu i zadawała sobie pytania: czy jest coś więcej? czy to wszystko? kto ci mówił, że ma być coś więcej, że jest coś innego oprócz małżeństwa i dzieci? Odpowiadała sobie samej z lekkim wzruszeniem ramion i przyspieszała kroku, nie myśląc o ciężkich koszykach. Jeśli nie mieli już samochodu, to dlatego, że Juan Francisco był uczciwy i zwrócił prezent związkom. Pamiętała, że nie zwrócił go z własnej woli. Poprosili go o to towarzysze. Nie przyjmuj prezentów od CROM-u. Nie daj się skorumpować. Nie był to dobrowolny gest. Poproszono go o to.

– Juan Francisco, czy zwróciłbyś samochód, gdyby cię o to nie poprosili twoi towarzysze?

– Ja służę klasie robotniczej, to wszystko.

– Dlaczego tak się uzależniłeś od niesprawiedliwości, kochanie?

– Wiesz przecież, że nie lubię...

– Biedny Juan Francisco, co ty byś robił w sprawiedliwym świecie...

– Nie mów do mnie: biedny, czasem cię nie rozumiem. Pośpiesz się ze śniadaniem, dziś mam ważne zebranie.

– Nie ma dnia bez ważnego zebrania. Ani miesiąca. Ani roku. W każdej minucie odbywa się jakieś ważne zebranie.

Co on myślał o niej? Czy Laura była dla niego tylko przyzwyczajeniem, seksualnym rytuałem, niemym posłuszeństwem, spodziewaną wdzięcznością?

– Chciałam powiedzieć, że to dobrze, że masz kogo bronić. To jest twoja siła. Zostawiasz ją na zewnątrz. Lubię, kiedy wracasz taki zmęczony...

– Nie można cię zrozumieć.

– Ależ skąd, lubię, kiedy śpisz na mojej piersi, a ja wracam ci siły. Twoja praca cię osłabia, chociaż w to nie wierzysz...

– Jesteś niezłą kapryśnicą, czasem mnie bawisz, ale niekiedy...

– Irytuje cię... A to dobre!

Wychodził bez słowa. Co o niej myślał? Czy przypominała mu jeszcze tę dziewczynę, którą poznał w kasynie w Xalapie? Obiecał, że ją wychowa, nauczy być kobietą w mieście i w świecie. Czy pamiętał jeszcze młodą matkę, która chciała towarzyszyć mu w pracy, utożsamić się z nim, udowodnić, że w małżeństwie mogą dzielić ze sobą problemy, które niesie praca i świat?

Ta myśl nie dawała Laurze spokoju; mąż ją odepchnął, nie spełnił obietnicy, że będą zawsze razem, w łóżku, przy wychowywaniu dzieci, ale także w pracy, tej części ludzkiej egzystencji, która pożera codzienne życie – jak dzieci cząstki pomarańczy – i przemienia wszystko inne, łóżko, rodzicielstwo, małżeństwo i marzenia, w policzone minuty i w końcu w bezużyteczny balast.

– Nieme posłuszeństwo oddanych dusz.

Laura winiła siebie samą. Wracała myślą do dziewczynki z Catemaco, podlotka z Veracruz, młodej pani z Xalapay i w każdej z nich odkrywała obiecujące zadatki, i tak do dnia ślubu sprzed ośmiu lat. Od tego czasu zaczęła stawać się coraz mniejsza, zamiast rosnąć, zmieniała się w karlicę, tak jakby on wart był czegoś lepszego, jakby zrobił mi łaskę, on mnie o nic nie prosił, niczego mi nie narzucał, sama sobie to wyprosiłam i narzuciłam, żeby być godną jego; teraz wiem, że chciałam być godną mitu, nie znałam go, imponowała mi jego postać, sposób mówienia, panowania nad tą dziką bestią, jaką jest tłum, zaimponowało mi jego przemówienie wygłoszone w naszym domu w Xalapie na cześć Katalonki, wtedy się w nim zakochałam, żeby od tej miłości wznieść się ku poznaniu ukochanej istoty, miłość jako trampolina do wiedzy, do jej labiryntów, Boże mój, od ośmiu lat staram się przeniknąć tajemnicę, która nie jest tajemnicza, mój mąż jest tym, kim się wydaje, jest tylko swoją powierzchownością, jest tym, czym jest, nie ma nic do odkrycia, pytam się publiczności, do której przemawia lider López Greene, człowiek wiarygodny, to, co mówi, jest oczywiste, nie ma żadnego podtekstu w jego słowach, każde jego słowo to prawda i tylko prawda, wierzą w niego, nie ma człowieka bardziej autentycznego, nie ma nic poza tym, co widzą, i poza tym, co on mówi.

Z przyzwyczajenia wymagał od niej tego, co dawniej dawało mu satysfakcję. Laura stopniowo przestała odczuwać zadowolenie z tego, co dawniej zadowalało ich oboje.

– Kiedy cię poznałam, myślałam, że na ciebie nie zasługuję. Co ty na to? Dlaczego nie odpowiadasz?

– Ja myślałem, że mogę cię zmienić.

– W takim razie uważasz, że to, co nabyłeś w Xalapie, nie ma większej wartości?

– Nie rozumiesz mnie. Wszyscy się rozwijamy, wszyscy możemy się zmienić na lepsze albo na gorsze.

– Więc chciałeś mnie zmienić?

– Na lepsze.

– Posłuchaj, wyjaśnijmy jedną rzecz. Czy nie jestem dobrą żoną i matką? Kiedy chciałam pracować u twego boku, czyż to nie ty temu przeszkodziłeś, organizując mi tamten spacer po piekle? Czego jeszcze chciałeś?

– Chciałem mieć kogoś, komu bym mógł zaufać – powiedział Juan Francisco i podniósł się z łóżka, ale natychmiast spojrzał na Laurę błyszczącymi oczyma i z twarzą ściągniętą bólem rzucił się w ramiona żony.

– Kochanie, kochanie moje...

Tego roku prezydentem został Plutarco Elias Calles, następny przedstawiciel stanu Sonora z triumwiratu z Agua Prieta. Rewolucja głosiła hasło ŻĄDAMY UCZCIWYCH WYBORÓW; PRECZ Z REELEKCJĄ, gdyż Porfirio Díaz przez trzy dekady odnawiał swoją nieustającą prezydenturę za pomocą wyborczych manipulacji. Teraz prezydent Obregón postanowił zetrzeć z czoła znak „eks” i wrócić na fotel ze znakiem orła i węża. Wielu

uważało, że to zdrada wobec jednej z zasad Rewolucji. Władza przeforsowała swoje racje. Poprawką do Konstytucji wprowadzono reelekcję. Wszyscy byli przekonani, że ci z Sonory będą się zmieniać, aż pomrą ze starości, tak jak don Porfirio, chyba że nowy Madero, nowa Rewolucja...

– Morones chce, żebyśmy my, związkowcy, poparli ponowny wybór generała Obregona. Chcę to z wami omówić – powiedział Juan Francisco do działaczy robotniczych, zebranych jak zawsze, jak każdego miesiąca każdego roku w ich domu, i Laura w pokoju obok jak zwykle przerwała swoją lekturę.

– Morones to oportunistą. Nie myśli tak jak my. Nienawidzi anarchosyndykalistów. Sprzyja korporacjonistom, którzy tylko nabijają kabzę rządowi. Jeśli go poprzemy, skończy z naszą niezależnością. Zrobi z nas posłuszne baranki albo nas zaprowadzi do rzeźni, co na jedno wychodzi.

– Masz rację, Palomo, bo kim mamy być, Juan Francisco, niezależnymi, walczącymi związkami czy korporacyjnym sektorem oficjalnego ruchu związkowego? Wy mi powiedzcie – odezwał się inny z tych anonimowych głosów, które Laura bezskutecznie starała się dopasować do twarzy ludzi przechodzących przez salon na początku i na końcu zebrania.

– Do diabła, Juan Francisco, za przeproszeniem pani w salonie, jesteśmy spadkobiercami anarchistycznej grupy Luz, Czerwonej Trybuny, Domu Robotników Świata, Czerwonych Batalionów Rewolucji. Czy skończymy jako lokaje rządu, który posługuje się nami, żeby pokazać, jaki to on jest rewolucyjny?

A ja mówię, że taki on rewolucyjny rząd jak z kurzej dupy trąba.

– Co nas bardziej interesuje? – Laura usłyszała głos męża. – Czy osiągnąć nasz cel, lepsze życie dla robotników, czy też spalać się w walce przeciwko rządowi, zużywać proch na pukawki i pozwolić, żeby inni wprowadzali w życie to, co Rewolucja obiecała pracownikom? Czy mamy stracić tę szansę?

– Stracimy ostatnią koszulę.

– Czy ktoś tu wierzy w duszę?

– Rewolucja sama przez się staje się wiarygodna i rodzi własne prawa, towarzysze – podsumował Juan Francisco. – Obregón ma poparcie tych, którzy zrobili tę Rewolucję. Teraz nawet ludzie Zapaty i Villi są za nim. Potrafił pozyskać wszystkie siły. Czy my mamy być wyjątkiem?

– Ja powiem, że tak, Juan Francisco. Ruch robotniczy narodził się po to, żeby być wyjątkiem. Do licha, nie odbieraj nam przyjemności zatruwania życia rządowi, mnie się widzi...

Przez całe swoje życie młodej mężatki słuchała tej samej dyskusji: to tak, jakby co niedzielę chodziło się do kościoła, żeby posłuchać tego samego kazania. Zwyczaj – pomyślała kiedyś Laura – musi mieć sens, powinien przekształcić się w rytuał. Przebiegła myślą rytualne momenty w jej własnym życiu, narodziny, dzieciństwo, dojrzewanie, małżeństwo, śmierć. Miała trzydzieści lat i już poznała je wszystkie. Było to osobiste poznanie, wiedza o własnej rodzinie. Przekształciło się ono w poznanie zespołowe, tak jakby cały kraj nie mógł wyzwolić się od władzy swej narzeczonej – śmierci, tego lipcowego dnia, kiedy Juan Francisco wrócił nieoczekiwanie do domu o szóstej po południu, cały roztrzęsiony, i powiedział:

– Zamordowano prezydenta elekta Obregona na bankiecie.

– Kto?

– Jakiś katolik.

– Zabili go?

– Kogo, Obregona? Przecież powiedziałem.

– Nie, tego, który go zabił.

– Nie, jest aresztowany. Nazywa się Toral. To fanatyk.

Ze wszystkich przypadków, jakie wydarzyły się w życiu Laury do tej pory, żaden nie zatrwożył jej tak bardzo jak ciche stukanie do drzwi domu, które dało się słyszeć pewnego popołudnia. Maria de la O poszła z dziećmi na spacer do parku; Juan Francisco wracał z pracy coraz później. Tradycyjne dyskusje w jadalni ustąpiły miejsca konieczności działania, Obregón nie żył, dotąd władza była podzielona pomiędzy niego i Callesa, teraz został tylko jeden silny człowiek, czy to Calles zamordował Obregóna? Czy Meksyk był nie kończącym się łańcuchem ofiar, z których jedna rodziła drugą, a każda następna miała być z całą pewnością powtórzeniem poprzedniej, bo trzeba śmierci, by zdobyć władzę, i śmierci, by się tej władzy wyzbyć?

– Widzisz, Juan Francisco, Morones i CROM cieszą się ze śmierci Obregóna. Morones chciał kandydować na prezydenta...

– Ten grubas potrzebuje podwójnego stołka...

– Nie żartuj sobie, Palomo. Ponowny wybór był pogwałceniem świętej zasady...

– Cicho, Panfilo. Nie używaj religijnego słownictwa, bo po mojemu to...

– Prosiłem, żebyś nie żartował. Niepodważalnej zasady, jeśli tak wolisz, Rewolucji. Calles pogrzebał prezydenckie aspiracje Moronesa, żeby wyświadczyć przysługę swemu krajanowi Obregonowi. Kto wygrywa na tej zbrodni? Zawsze zadawaj sobie to podstawowe pytanie. Kto wygrywa?

– Calles i Morones. A kto jest kozłem ofiarnym? Katolicy.

– Ty zawsze byłeś antyklerykałem, Palomo. Zarzucasz chłopom ich katolicyzm.

– Dlatego też ci mówię, że nie ma lepszego sposobu na umocnienie Kościoła niż jego prześladowanie. Tego właśnie się teraz boję.

– To dlaczego Calles zaczął te prześladowania? „El Turco” nie jest przecież żadnym pętakiem.

– Żeby zadowolić tego macho Moronesa, José Miguel. Jakoś musi pokazać, że jest „rewolucjonistą”.

– Ja już nic nie rozumiem.

– Zrozum jedno. W Meksyku nawet paralitycy są ekwilibrystami.

– A ty nie zapominaj o jednym. Polityka to sztuka połykania żab z kamienną twarzą.

Twarz jej była blada jak księżyc i dlatego tak wyraźnie odznaczały się na niej czarne, gęste, zrosnięte brwi, przecinające zmarszczkę na czole i ocieniające bardziej jeszcze sińce pod oczami, które ze swej strony zdawały się być cieniem oczu, ogromnych, tak czarnych, jakim podobno jest grzech, chociaż u tej kobiety pływały one po jeziorze przeczuć. Była ubrana na czarno, długa spódnica, buty na niskim obcasie, bluzka zapięta na guziki pod samą szyję; szal, też czarny, owijał ją, ale że był źle zarzucony, przesuwiał się po jej nerwowo drgających plecach, opadał aż do pasa, co wprawiało ją w stan zakłopotania, jakby to miało jej nadawać wygląd kobiety lekkich obyczajów, więc naciągała go wciąż od nowa na ramiona, nigdy na włosy, uczesane z równiutkim przedziałkiem, a na karku związane w kok z wymykającymi się pasmami długich, niesfornych kosmyków, tak jakby ich część potajemnie buntowała się przeciwko dyscyplinie uczesania. Te nie upięte kosmyki, trochę jaśniejsze niż reszta ciasno związanych włosów tej bladej, nerwowej kobiety, zdawały się coś zapowiadać, jakby były nadajnikami niemilej nowiny.

– Przepraszam, powiedziano mi, że tu potrzeba służącej.

– Nie, panienko, tu nikogo nie uciskamy. – Laura uśmiechnęła się z tą swoją coraz bardziej niepohamowaną ironią; czyżby ironia miała być jej jedyną możliwą obroną przeciwko rutynie, bez wzlotów, ale i bez upadków, tyle tylko że jednostajnej i bezbarwnej, za to dłużącej się jak horyzont jej lat?

– Wiem, że pani potrzebuje pomocy...

– Przecież powiedziałam przed chwilą...

Nie dodała nic więcej, bo blada kobieta z podkrążonymi oczami wpadła bez pytania do garażu Laury, błagalnym wyrazem oczu i złożonymi rękoma poprosiła o milczenie i przytuliła się do niej z całej siły, zamykając oczy, jakby w oczekiwaniu na koniec świata, a z chodnika dobiegł tupot nóg uzbrojonych żołnierzy, biegnących w ciężkich buciorach, od których pękały chodnikowe płyty; żołnierze pobrzękujący żelastwem biegli po ulicach z żelaza w mieście bez duszy. Kobieta w ramionach Laury drżała.

– Proszę pani, proszę... Laura spojrzała jej w oczy.

– Jak się nazywasz?

– Carmela.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego cały oddział żołnierzy miałby polować na ulicach na służącą o imieniu Carmela.

– Proszę pani, ja...

– Nic nie mów, Carmela. Chodź. W głębi patio mamy nieużywaną służbówkę. Doprowadzimy ją do porządku. Jest tam pełno starych gazet. Połóż je przy bojlerze. Umiesz gotować?

– Umiem tylko piec opłatki, proszę pani.

– Ja cię nauczę. Skąd jesteś?

– Z Guadalajary.

– Mów, że twoi rodzice pochodzą z Veracruz.

– Oni nie żyją.

– No to w takim razie mów, że pochodzili z Veracruz. Potrzebuję pretekstu, żeby cię ochronić. Musimy o czymś mówić. Ty staraj się do mnie dostosowywać.

– Bóg to pani wynagrodzi.

Juan Francisco okazał się wyjątkowo przychylny obecności Carmeli. Laura nie musiała mu nic tłumaczyć. Sam obwinił się, że o tym nie pomyślał, że zwraca za mało uwagi na potrzeby domu, na zmęczenie Laury, na jej zainteresowanie książkami i malarstwem. Dzieci rosły i zadaniem matki był nadzór nad ich wykształceniem. Maria de la O była już stara i zmęczona.

– Może pojedziecie odpocząć do Xalapy? Carmela się tutaj mną zajmie.

Laura Díaz spoglądała na poddasze swojego dawnego domu w Xalapie, widoczne z tarasu pensjonatu, gdzie mieszkały i pracowały jej matka, Letycja, i ciotki Hilda i Virginia. Podeszły wiek już nie zagrażał siostrom Kelsen, oszukały go, teraz one zostawiały czas poza sobą.

Kochała je, Laura zdała sobie z tego sprawę w wąskim saloniku, gdzie Letycja ustawiła, już nie w tak elegancki sposób, swoje osobiste meble, wiklinowy komplet z posagu, marmurową konsolę i powiesiła obrazki z psem i łobuziakiem. Hilda miała obwisły różowy podbródek z rzadka porośnięty białymi włosami, ale jej oczy były jak zwykle bardzo niebieskie, pomimo grubych szkielek, które od czasu do czasu ześlizgiwały się z prostego nosa.

– Ślepnę, Lauro. To błogosławieństwo, bo nie będę widziała swoich rąk, popatrz na moje ręce, wyglądają jak węzły, które wiązali marynarze w porcie, wyglądają jak korzenie uschniętego drzewa. Jak ja mogę nimi grać na pianinie? Całe szczęście, że twoja ciotka Virginia czyta mi na głos.

Ona, Virginia, wciąż miała czarne oczy szeroko otwarte, jakby przestraszone, a jej dłonie leżały na okładce z kozłej skóry w taki sposób, jakby to była skóra ukochanej istoty. Bębniła po niej palcami w rytm mrugania powiekami bardzo czarnych, uważnie patrzących oczu. Czy czekała na coś nieuchronnego, czy na przybycie kogoś nieoczekiwanego, lecz opatrnościowego? Boga, listonosza, kochanka, wydawcy? Wszystkie te ewentualności pojawiały się jednocześnie w zbyt czujnym spojrzeniu ciotki Virginii.

– Nigdy nie rozmawiałaś z ministrem Vasconcelosem o wydaniu moich wierszy?

– Ciociu Virginio, Vasconcelos już nie jest ministrem. Jest w opozycji do rządu Callesa. Zresztą ja nigdy go nie znałam.

– Nie wiem nic o polityce. Dlaczego nie rządzą nami poeci?

– Bo nie potrafią połknąć żaby z kamienną twarzą.

– Co? Co ty mówisz? Rozum straciłaś czy co? *Nett affe!*

Chociaż trzy siostry wspólnie podjęły decyzję o prowadzeniu pensjonatu, w rzeczywistości pracowała tylko Letycja. Ta słabowita, nerwowa, wysoka, wyprostowana jak struna kobieta z włosami przetykanymi siwizną, małowówna, za to rzetelna jak mało kto, przygotowywała jedzenie, sprzątała pokoje, podlewała kwiaty, wszystko przy wydatnej pomocy czarnego służącego, który rozweselał cały dom swoimi tańcami i piosenkami niewiadomego pochodzenia:

o la la bimbambu

o la la bimbambam

moja czarnulka tańczy tu

moja czarnulka tańczy tam

Laura zdziwiła się, widząc siwe postronki na głowie Murzyna. Była przekonana, że Zampayita utrzymywał potajemne kontakty z sektą tańczących czarownic i z niewidzialnymi chórami nie milknących głosów. To z nim wrzucaliśmy ciało mojego brata Santiago do morza, łączy nas wspólne świadectwo... Laura spoglądała więc na poddasze, myślała o Armonii Aznar tu w Xalapie i – nie wiadomo dlaczego – o Carmeli bez nazwiska w służbówce w Meksyku.

Letycja przyjmowała w domu głównie swoich starych znajomych z Veracruz przejeżdżających przez Xalape, ale teraz, w czasie pobytu Laury z dziećmi i Marii de la O, przy dożywotnich pensjonariuszkach bez grosza przy duszy, czyli ciotkach Hildzie i Virginii, zostawały tylko dwa wolne miejsca dla gości i Laura ze zdumieniem poznała w jednym z nich przedwcześnie postarzałego tenisistę, tego krzepkiego blondyna o mocnych, długich i owłosionych nogach, który w tańcu przystawiał się do dziewcząt na balu w San Cayetano.

Pozdrowił Laurę z miną skruszoną i pokorną, co zaskoczyło ją w równym stopniu jak sama jego obecność. Jest domokrądcą, powiedział jej, sprzedaje opony do samochodów w rejonie Cordoba-Orizaba-Xalapa-Veracruz. Dobrze przynajmniej, że nie wysłano go do tego piekła, jakim jest port Coatzacoalcos. Ma do swojej dyspozycji samochód – twarz pojaśniała mu jak wtedy, kiedy tańczył z pasją *cake-walk* w tysiąc dziewięćset piętnastym roku – chociaż nie należy do niego, tylko do firmy.

Światła pogasły.

Drugi gość to starszy człowiek – powiedziała jej Letycja – nie wychodzi ze swego pokoju, tam zanoszę mu jedzenie.

Pewnego popołudnia Letycję coś zatrzymało przy drzwiach wejściowych i jedzenie na tacy dla gościa stygło w kuchni. Laura wzięła tacę i spokojnie zaniosiła ją do pokoju gościa, którego nikt nigdy nie widział.

Siedział na brzegu łóżka, trzymając w rękach coś, co schował, jak tylko usłyszał kroki Laury; ona poznała jednak dźwięk niepodobny do żadnego innego: grzechotanie koralików różańca. Stawiając tacę obok gościa, Laura poczuła, jak ciarki przebiegają jej po plecach, zimny dreszcz niespodziewanego odkrycia przebił się poprzez ciężkie zasłony zapomnienia, czasu i, tu akurat, pogardy.

– Książd tutaj?

– Ty jesteś Laura, prawda? Proszę cię, nie mów o tym nikomu. Nie narażaj własnej matki.

Pamięć Laury musiała cofnąć się w przeszłość gigantycznym skokiem, żeby umiejscowić w czasie wiejskiego księdza o ciemnej skórze, młodego i nietolerancyjnego, który pewnego dnia zniknął z wotywnym kuferkim.

– Ojciec Elzevir.

Ksiądz ujął dłonie Laury w swoje ręce.

– Pamiętasz mnie? Byłaś przecież małą dziewczynką.

Nie potrzebowała go pytać, co robi w tej kryjówce. „Proszę cię, nie mów o tym nikomu. Nie narażaj własnej matki”. Powiedziała mu, że nie musi jej nic mówić. On opowiedział jej, że nie zaszedł daleko ze swoim łupem. Był tchórzem. Przyznaje to. Kiedy policja wpadła na jego trop, pomyślał, że lepiej zdać się na litość Kościoła, bo żandarmeria Porfiria Diaza nie znała tego uczucia.

– Poprosiłem o przebaczenie i przebaczone mi. Wypowiadałem się i dostałem rozgrzeszenie. Żałowałem za grzechy i stałem się znowu członkiem Kościoła. Ale czułem, że wszystko to było zbyt łatwe. Szczere i głębokie, ale łatwe. Musiałem zapłacić za zło, które uczyniłem, za moją pokusę. Za oszustwo. Pan Bóg zesłał na mnie tę karę, te prześladowania religijne Callesa, jako łaskę.

Popatrzył na Laurę wzrokiem pokonanego Indianina.

– Teraz jeszcze bardziej czuję ciężar swojej winy. Dręczą mnie koszmary. Jestem pewien, że to za moje świętokradztwo Pan Bóg zesłał prześladowania na Kościół. Wierzę, że przez swój indywidualny czyn jestem odpowiedzialny za zbiorowe zło. Głęboko w to wierzę.

– Ojcze, nie musi się ksiądz przede mną spowiadać.

– Och, nie, właśnie że muszę. – Elzevir ścisnął mocno dłonie Laury, które w dalszym ciągu trzymał w swoich rękach. – Właśnie że muszę. Ty byłaś wtedy małą dziewczynką, kogo, jak nie małą dziewczynkę, mam prosić o przebaczenie za zbrukanie duszy? Czy ty mi przebaczasz?

– Tak, ojcze, ja nigdy księdza nie oskarżałam, ale moja matka...

– Twoja matka i ciotki zrozumiały mnie. One mi wybaczyły. Dlatego jestem tutaj. Gdyby nie one, już by mnie rozstrzelano...

– Chciałam powiedzieć, że mnie ksiądz nie wyrządził żadnej krzywdy. Ksiądz daruje, ale zupełnie o księdzu zapomniałam...

– To właśnie była krzywda, widzisz? Zapomnienie to krzywda. Ja posiałem grzech w mojej parafii, a jeśli moja parafia o tym zapomniała, to znaczy, że ten grzech wrósł tak głęboko, że nawet został zapomniany i wybaczony...

– Moja matka księdzu przebaczyła – przerwała mu Laura, trochę zbita z tropu argumentami księdza.

– Nie, ona przyjęła mnie pod swój dach, utrzymuje mnie, karmi, żebym poznał, co to miłosierdzie, którego poskapiłem swoim wiernym. Twoja matka jest dla mnie żywym wyrzutem sumienia i za to jej jestem wdzięczny. Nie chcę, żeby ktokolwiek mi wybaczał.

– Ojcze, moi synowie nie byli u pierwszej komunii. Widzi ksiądz, mój mąż jest... gdyby wiedział, że o to księdza proszę... byłby oburzony. Czy nie zechciałby ksiądz...?

– Powiedz mi tak naprawdę, dlaczego mnie o to prosisz.

– Chcę wziąć udział w uroczystym rytuale, codzienność mnie zabija. – Laura wyszła, tłumiąc jęk ni to wściekłości, ni to żalu.

Poczuła prawdziwą satysfakcję, uczestnicząc w tej ceremonii, jednej z tych, jakich brakowało w jej małżeńskim życiu, zdawała sobie przy tym sprawę, że postępuje wbrew oczywistej woli swojego męża. Juan Francisco nie chodził na msze ani nie mówił o religii. Laura i dzieci też nie. Tylko Maria de la O przechowywała kilka starych świętych obrazków zatkniętych za ramę lustra, co Juan Francisco, nie komentując tego głośno, uważał za dziwactwo starej dewotki.

– Nie mam nic przeciwko temu, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego? – zapytała Letycja.

- Świat staje się zbyt płaski bez rytuałów, które wytyczają czas.
- Tak bardzo się boisz, żeby te lata nie były stracone?
- Tak, Mutti. Mój czas nie ma godzin. Taka musi być śmierć. Letycja, jej trzy siostry i Laura przyproceedziły do pokoju księdza ośmioletniego Santiago i siedmioletniego Dantona.
- To jest ciało moje, to jest krew moja – zaintonował Elzevir i włożył po kawałku chleba do ust chłopców, których bawiło to, że przyproceedzono ich do ciemnego pokoju i kazano słuchać jakichś słów po łacinie i jeść chleb. Woleliby biegać po parkach Xalapy, po Los Berros i parku Juareza, jak zawsze pod opieką Marii de la O; wzięli w posiadanie to spokojne miasto, potraktowali tę bezpieczną przestrzeń jak swoją, jak własne terytorium, które dawało im wolność nie do pomyślenia w stolicy, z jej ulicami pełnymi powozów i z publiczną szkołą pełną prowokatorów i łobuzów, przed którymi Santiago musiał bronić swojego młodszego brata.
- Mamo, dlaczego ciągle patrzysz na dach tamtego domu?
- Ach nic, Santiago. Tam mieszkałam z twoimi dziadkami, kiedy byłam młoda.
- Chciałbym mieć w domu takie poddasze. Byłbym panem zamku i broniłbym cię przed złymi ludźmi, mamo.
- Santiago, przed wyjazdem do Xalapy przyjąłm służącą; wy już byliście z cicią tutaj. Po powrocie macie okazywać Carmeli dużo szacunku.
- Carmela. Oczywiście, mamo.
- Laurze przysłała do głowy pewna myśl. Poprosiła Marię de la O, żeby jeszcze parę dni została z dziećmi w Xalapie, a ona wróci sama do Meksyku i doprowadzi dom do porządku. Musi tam być niezły bałagan, Juan Francisco sam w domu, tak zajęty tą swoją polityką. Jak już wszystko będzie grało, zawiadomię was.
- Lauro?
- Tak, Mutti.
- Popatrz, co zapomniałaś zabrać po ślubie.
- Była to chińska lalka Li Po. To prawda. Nigdy o niej nawet nie pomyślała.
- Ach, mamo, tak mi przykro, że o niej zapomniałam. Pokryła prawdziwy żal wymuszonym uśmiechem.
- To chyba dlatego, że sama stałam się Li Po dla swojego męża...
- Chcesz ją zabrać?
- Nie, Mutti. Lepiej niech zostanie tu, na swoim miejscu, i czeka aż do mojego powrotu.
- Myślisz, że tu wrócisz, córeczko?

Ani Carmeli, ani Juana Francisco nie było w domu przy Alei Sonora, kiedy Laura około dwunastej w południe przyjechała ze stacji Buenavista; pociąg miał duże opóźnienie, normalne w komunikacji kolejowej.

Dom wydał jej się jakiś inny. Cisza. Bezruch. To oczywiste, dzieci i ciotka wprowadzali gwar, wesołość do tego domu. Spod drzwi garażu wyciągnęła gazety. Zastanawiała się, jak spędzi ten dzień w pojedynkę. Może pójść do kina Royal? Ciekawe, co tam grają.

Otworzyła „El Universal” i zobaczyła zdjęcie en face „Carmeli”. Gloria Soriano, zakonnica karmelitanka, aresztowana za udział w zabójstwie prezydenta elekta Alvara Obregona. Została schwytana w jednym z domów niedaleko Lasku Chapultepec. Przy próbie ucieczki została postrzelona w plecy przez policję. Zakonnica zmarła na miejscu.

Cały dzień przesiadziła Laura w jadalni, gdzie odbywały się polityczne zebrania, na stole miała rozłożoną gazetę i wpatrywała się w zdjęcie bardzo bladej kobiety o bardzo czarnych, głęboko podkrążonych oczach. Zapadł zmierzch i choć nie mogła już widzieć fotografii, nie zapalała światła. Znała tę twarz na pamięć. Była to twarz jej moralnego odkupienia. Jeśli Juan Francisco przez te wszystkie lata obwinał ją, że nie odwiedziła na poddaszu katalońskiej anarchistki, jak mógłby zarzucać jej teraz, że udzieliła schronienia prześladowanej

zakonnicy? Oczywiście, że nie będzie jej robił wyrzutów, w końcu poczują się zbratani w swoim walczącym człowieczeństwie – pomyślała Laura, powtarzając w myśli słowo „walczącym”.

Juan Francisco wrócił o jedenastej wieczorem. Dom pogrążony był w ciemnościach. Ciemny, wielki mężczyzna rzucił kapelusz na sofę, westchnął i zapalił światło. Wyraźnie przestraszył się, kiedy zobaczył Laurę siedzącą przy stole nad rozłożoną gazetą.

– Ach, już wróciłaś. Laura skinęła głową.

– Już widziałaś artykuł o zakonnicy Soriano? – zapytał.

– Nie. Już widziałam artykuł o anarchistce Aznar.

– Nie rozumiem.

– Kiedy przyjechałeś do Xalapy, żeby odsłonić tablicę na poddaszu, wychwalałeś mojego ojca, że dał schronienie Armonii Aznar. Wtedy cię poznałam i zakochałam się w tobie.

– Oczywiście, to była bohaterka klasy robotniczej.

– A nie masz zamiaru pochwalić mnie, że dałam schronienie bohaterce prześladowań religijnych?

– To zakonnica, która zabija prezydentów.

– A nie anarchistka, która zabija carów i książąt?

– Nie, Armonia walczyła dla robotników, twoja „Carmela” dla księży.

– Ach, to jest moja Carmela, nie twoja.

– Nie, nie moja.

– To nie człowiek, Juan Francisco, to ktoś z innej planety...

– Z innej przebrzmiałej epoki, i tyle.

– Niegodna twojej ochrony...

– To kryminalistka. Zresztą gdyby siedziała tu spokojnie, jak jej mówiłem, nie zginęłaby przy próbie ucieczki.

– Nie wiedziałam, że policja w czasach rewolucji zabija tak jak w czasach dyktatury, strzałem w plecy.

– Miałaby proces, mówiłem jej to, tak jak ten morderca Toral i jej współniczka matka Conchita, widzisz, też kobieta.

– Komu się tym chciałeś przysłużyć, Juan Francisco? Bo dla mnie jesteś już stracony na zawsze.

Nie chciała słuchać wyjaśnień, zresztą Juan Francisco nie miał odwagi tłumaczyć się przed nią. Laura spakowała walizkę, wyszła na ulicę, zatrzymała „taxi” i podała adres swojej przyjaciółki z czasów młodości Elizabeth García-Dupont.

Juan Francisco wyszedł za nią, otworzył gwałtownie drzwi do taksówki, próbował siłą wyciągnąć ją na zewnątrz, uderzył ją w twarz, taksówkarz wysiadł i pchnął go z całej siły, przewrócił na ziemię i odjechał na pełnym gazie.

Laura zamieszkała z Elizabeth w jej nowoczesnym mieszkaniu w dzielnicy Hipódromo. Przyjaciółka z lat szkolnych przyjęła ją z radością, były uściski, miłe słówka, czułości, pocałunki, wszystko tak, jak się Laura spodziewała. Potem, obie w nocnych koszulach, zwierzały się sobie, opowiadając o przeżyciach ostatnich lat. Elizabeth niedawno rozeszła się z mężem, Eduardem Caraza, słynnym Lalo, za którym nie widziała świata w San Cayetano i potem, kiedy się pobrali i przyjechali do stolicy, gdzie zamieszkali, bo Caraza był przyjacielem ministra finansów, Alberta Paniego, tego, który dokonywał cudów, aby ratować finanse kraju, kiedy po okresie inflacji w czasach rewolucji każde ugrupowanie drukowało własne pieniądze, słynne „bilimbiki”. Eduardo Caraza sam siebie nazywał darem niebios dla kobiet, uważał, że żadna mu się nie oprze, i dawał Elizabeth do zrozumienia, że żeniąc się z nią, zrobił jej wielką łaskę.

– Pokutuję za to, że tak za tobą latałam.

– Możesz się uważać za dobrze obsłużoną, mój skarbie. Masz mnie, ale ja potrzebuję wielu kobiet. Lepiej będzie, jak sobie to wyjaśnimy.

– No więc mam ciebie, aleja także potrzebuję wielu.

– Elizabeth, mówisz jak dziwka.

– A ty, w tym przypadku, jak męska dziwka, mój kochany Lalo.

– Przepraszam, nie chciałem cię obrazić. Żartowałem.

– Nigdy nie słyszałam, żebyś mówił bardziej poważnie. Obraziłeś mnie i chyba byłabym całkiem tępą, mój kochany, żebym po wysłuchaniu twojej filozofii życiowej chciała znosić więcej upokorzeń. Bo ty masz prawo do wszystkiego, a ja do niczego. Ja jestem dziwka, ale ty jesteś macho. Ja jestem ulicznica, ale ty, choćbyś nie wiem co robił, jesteś, jak to się mówi, džentelmen, czyż nie tak? *Bye – bye*.

Na szczęście nie mieli dzieci. Czyżby ów Lalo tak się forsował na swoich bibkach, że wracał do domu o szóstej nad ranem bardziej wypluty niż guma do żucia?

– Jeśli chodzi o Juana Francisco, to zawsze mnie szanował. Nawet dziś w nocy, kiedy chciał mnie uderzyć.

– Chciał? Popatrz tylko na ten siniak pod okiem.

– No dobrze, uderzył mnie. Ale on nie jest taki.

– Lauro, kochanie, widzę, że jak tak dalej pójdzie, wszystko mu wybaczysz i za tydzień już z powrotem będziesz w klatce. Lepiej się zabawmy. Zapraszam cię do Teatru Lirycznego na *Upadek* z grubym Robertem Soto. To satyra na lidera Moronesa i podobno można się dobrze pośmiać. Kpią tam sobie ze wszystkich. Chodźmy, zanim to zdejmą z afisza.

Wzięły łożę, żeby czuć się bezpieczniej. Roberto Soto przypominał do złudzenia Luisa Napoleona Moronesa, wszystko miał podwójne, podgardle, brzuch, usta, policzki, powieki. Scena przedstawiała letni dom lidera związkowego w Tlalpam. On sam wystąpił w stroju ministranta, śpiewając: „Kiedy byłem ministrantem”. Otaczało go osiem albo dziewięć półnagich dziewcząt z opaską z bananów na biodrach, co pierwsza wprowadziła w modę Josephine Baker w Folies-Bergère w Paryżu, i z gwiazdkami przyklejonymi do sutków. Ściągały grubasowi komżę i śpiewały: „Niech żyje proletariat”, podczas gdy wysoki ciemny mężczyzna w dresie nalewał Soto-Moronesowi szampana.

– Dziękuję, braciszku López Greene, ty służysz mi najlepiej ze wszystkich. Tylko zmień sobie nazwisko na López Red, żeby lepiej pasowało, rozumiesz? My wszyscy to stara czerwona gwardia, prawda, dziewczynki, może nie...?

„Mutti, przypilnuj mi dzieci przez jakiś czas. Niech cioteczka zostanie z tobą. Będę wam przysyłać pieniądze. Muszę sobie ułożyć na nowo życie, moja Mutti najdroższa. Potem ci wszystko opowiem. Powierzam ci Li Po, Miałaś rację”.

VIII. Paseo de la Reforma: 1930

„Są Meksykanie, którzy wyglądają dobrze tylko w trumnie”.

To dowcipne powiedzenie Orlanda Ximeneza było przyjęte z entuzjazmem przez wszystkich gości na koktajlu wydanym przez Carmen Cortina z okazji odsłonięcia portretu jej kuzynki, aktorki Andrei Negrete, namalowanego przez młodego malarza z Guadalajary, Tizoca Ambriza, który ni stąd, ni zowąd został wziętym portrecistą śmietanki towarzyskiej, rozrywany przez wszystkich tych, którzy nie chcieli przekazać potomności swojego wizerunku – monstrialnego i komunistycznego – pędzla Rivery, Orozca czy Siqueirosa, nazywanych pogardliwie pacykarzami.

W każdym razie Carmen Cortina drwiła sobie z konwenansów i zapraszała na swoje koktajle całą, jak to nazywała, „stołeczną faunę”. Kiedy Elizabeth pierwszy raz zaprowadziła Laurę na jedno z takich przyjęć, musiała przyjaciółce identyfikować zaproszonych gości, chociaż nie różnili się oni od tych, którzy przyszli nie zaproszeni. Pani domu tolerowała ich, gdyż stanowili żywy hołd dla jej przywódczych zdolności, bo każdy, kto coś sobą reprezentował, chciał się pokazać na jakimś *soirée* Carmen Cortiny. Ona sama, próżna i prawie ślepa, nie rozróżniała dobrze, kto jest kim, i mówiono o niej, że posługiwanie się zmysłami węchu i dotyku wzniosła do poziomu wielkiej sztuki, gdyż wystarczało jej przybliżyć krótkowzroczne oczy do najbliższego policzka, żeby powiedzieć: „mała, przepięknie wyglądasz!”, albo dotknąć delikatnego kaszmiru i wykrzyknąć: „Aro, co za zaszczyt!”

Aro to był Aro, a Orlando był arogancki, *watch out* – powiedziała Carmen do fetowanej Andrei, kobiety o cerze jak z masy perłowej i zawsze sennych oczach, niewidocznych brwiach i doskonałych proporcjach twarzy, podkreślonych uczesaniem z przedziałkiem pośrodku głowy, odważnie demonstrującym dwa siwe kosmyki na skroniach, kontrastujące z jej wiecznie młodą, ponętą figurą. Z tego powodu nazwano ją dość bezceremonialnie „Łaciata”, głównie dlatego, że świetnie potrafi bóść – mówił niepoprawny Orlando. Wygląda na to, że Andrea lada dzień stanie się kobietą, jak to się mówi, przy kości, orzekł Orlando, *but not yet*; jest jak dojrzały owoc, świeżo zerwany z gałęzi, rzucający wyzwanie światu.

– To zjedz mnie. – Andrea roześmiała się.

– To obierz mnie – powiedział bardzo poważnie Orlando.

– Zbereznik! – Carmen wybuchnęła głośnym śmiechem.

Obraz Tizoca Ambriza był przysłonięty czymś w rodzaju kotary i oczekiwał na odpowiednią chwilę, a o tym, czy kulminacyjny moment wieczoru już nadszedł, decydowała Carmen i tylko Carmen, miał to być moment poprzedzający największą wrzawę, kiedy cała „fauna” będzie już w komplecie. Carmen przebiegała myślą listę gości, kto jest, a kogo nie ma.

– Jesteś statystyczką *high life’u* – powiedział jej Orlando do ucha, ale na cały głos.

– Ciszej, przecież nie jestem głucha – jęknęła Carmen.

– Za to jesteś apetyczna. – Orlando uszczypnął ją w tyłek.

– Zbereznik. Co to jest „statystyczką”?

– Statystyka to taka nowa nauka, ale z tych pomniejszych. Taki modny sposób opowiadania kłamstw.

– Co? Co? Musisz mi o tym opowiedzieć.

– Sam się dowiedz, Vargas.

– To ten Pedro Vargas? To wielka sensacja. Słyszałeś go w radiu? Śpiewa w programie „W”.

– Carmen, kochanie, nie mów mi o programie „W”. Właśnie otwarto Pałac Sztuk Pięknych.

– Co? To mauzoleum, którego nie dokończył don Porfirio?

– Mamy orkiestrę symfoniczną. Dyryguje Carlos Chávez.

– Jaki Chávez?

– Bardzo przystojny.

– Ach, idź do diabła, jesteś niemożliwy.

– Znam cię, robisz w głowie przegląd gości.

– *I'm the hostess. It's my duty.*

– Założę się, że czytam ci w myślach.

– Orlando, wystarczy popatrzeć.

– A co widzisz, ty moja boska ślepoto?

– *The mixture, darling*, zwykłą mieszaninę. Skończyły się klasy społeczne, czy uważasz, że to mało? Popatrz, jeszcze dwadzieścia lat temu, kiedy byłam dziewczynką...

– Carmen, widziałem cię, jak kokietowałaś, bez powodzenia, na balu w stulecie Rewolucji tysiąc dziewięćset dziesiątego roku...

– To była moja ciotka. *Anyway*, rzuć okiem, co widzisz?

– Widzę wierzbę. Widzę nimfę. Widzę aureolę. Widzę melancholię. Widzę chorobę. Widzę egoizm. Widzę próżność. Widzę chaos jednostkowy i zbiorowy. Widzę piękne pozy. Widzę brzydkie rzeczy.

– Szelma. Jesteś niewyżytym poetą. Chcę nazwisk. *Names, names, names.*

– *What's in a name?*

– Co, o co chodzi?

– O Romea i Julię, na przykład.

– Jak to? Kto ich zaprosił?

Laura opierała się namowom swojej przyjaciółki Elizabeth. „Zachowujesz się jak wdowa, którą nie jesteś, Lauro, w samą porę uwolniłaś się od Lopeza Greene'a tak jak ja od Carazy” – mówiła jej, kiedy szły Aleją Madery, szukając „okazji”; były to wyprawy organizowane przez Elizabeth w pogoni za tańszymi strojami czy biżuterią, które po rewolucji wróciły do sklepów na ulicach Gante, Bolívar i 16 de Septiembre; zaczynały się one śniadaniem w Sanborn's, w środku był obiad w Prendes, a na końcu seans w kinie Iris na ulicy Donceles, które to kino lubiła Laura, gdyż tam dawano filmy amerykańskie z Metro Go Id wy n Mayer z najlepszymi aktorami: Clarkiem Gable'em, Greta Garbo, Williamem Powellem, natomiast Elizabeth wolała kino Palacio na Alei 5 de Mayo, gdzie puszczano same filmy meksykańskie, wtedy zaśmiewała się z Chata Ortina, płakała nad Sarą García, podziwiała satyryczny talent Fernanda Solera.

– Pamiętasz, jak poszliśmy do Teatru Lirycznego na sztukę z grubym Soto? Wtedy zmieniło się twoje życie.

– Śmierć małżeństwa zabija wszystko, Elizabeth.

– Wiesz, dlaczego tak się stało? Bo byłaś bardziej inteligentna niż twój mąż. Tak samo jak ja.

– Nie, ja wierzę, że on mnie kochał.

– Ale cię nie rozumiał. Uciekał od niego tego dnia, kiedy zrozumiałaś, że jesteś inteligentniejsza. Nie powiesz mi, że nie.

– Nie, tylko w którymś momencie poczułam, że Juan Francisco nie sprostał swoim ideałom. Może mam po prostu mocniejszy kręgosłup moralny niż on, chociaż trochę głupio jest mi myśleć w tych kategoriach.

– Pamiętasz farsę z grubym Soto? W Meksyku, żeby cię uważano za inteligentnego, musisz być cwaniakiem. Ja ci radzę, moja droga, bądź kobietą wyzwoloną i zmysłową, a jeśli ci to odpowiada – cwaniaczka. Dobrze, kończ swój *ice-cream soda*, wysącz słomki i idziemy po zakupy, a potem do kina.

Laura powiedziała, że czuje się zażenowana, iż Elizabeth „funduje” jej tyle rzeczy, jak to zaczynało się mówić w stołecznej gwarze, pełnej neologizmów przebranych za archaizmy i archaizmów przebranych za neologizmy. Ale głównie dominowała pewna lingwistyczna sublimacja niedawnych walk zbrojnych. Na przykład „odpalić” znaczyło podarować, „zdobyć jak Carranza” – ukraść, „nacierać” – umizgać się, „przypuszczać szturm” – starać się o cokolwiek, „pójść do Wilsona” znaczyło przejść pod łukiem triumfalnym amerykańskiego prezydenta, który wydał rozkaz desantu *marines* w Veracruz i karnej ekspedycji generała Pershinga przeciwko Pancho Villi. Fatum określano słowami z piosenki o Valentynie: jeśli mają zabić mnie jutro, niech to zrobią, ale już; miłosną determinację – refrenem z *Adelity*: gdyby Adelita odeszła do innego, goniłbym za nią przez góry, morza, las. Różnica pomiędzy miastem a wsią była taka jak porównanie straszliwego, nieokrzesanego chama Cuatezona Beristaina – który kazał nazywać się generałem, chociaż jedyne walki w życiu stoczył był z własną teściową – z melancholijnym wyrefinowaniem i omal niematerialnym wdziękiem Marii Conesy, Białej Koteczki, która jednak gdy śpiewała: „Ajajaj, mój kochany kapitanie”, podobno myślała o złowieszczym kapitanie, swoim kochanku, prowodyrze zgrai zbirów znanych pod nazwą „banda z szarego automobila”, a „ustrzelić” znaczyło upatrzeć coś. Natomiast „maderować” oznaczało to, co właśnie one teraz robiły: przechadzać się po głównej arterii handlowej w centrum miasta, dawnej ulicy Plateros, przemienionej na Aleją Madery w hołdzie Apostołowi Rewolucji i Demokracji.

– Czytałam bardzo zabawną książkę Julia Torriego pod tytułem *O rozstrzeliwaniu*. Skazany skarży się tam, że główną uciążliwością bycia rozstrzeliwanym jest wstawanie o świcie – powiedziała Laura, oglądając wystawy.

– Nie przejmuj się. Mój mąż, ten biedak Caraza, mówił, że w czasie rewolucji zginęło milion ludzi, ale nie na polach bitwy, tylko w czasie pijackich bójek. Lauro – Elizabeth zatrzymała się przed Izbą Deputowanych na ulicy Donceles – lubisz przychodzić do kina Iris, bo twój mąż jest deputowanym, prawda?

Kupiły bilety na film *Wolne dusze* z Clarkiem Gable ‘em i Normą Shearer i Elizabeth powiedziała, że podniecają zapach jabłeczniaka i miodowych konfitur przy wejściu do kin.

– Świeże jabłka i gęsty miód – westchnęła młoda dama o coraz jaśniejszych i coraz bardziej kręconych włosach, wychodząc z kina. – Widzisz? Norma Shearer zostawia wszystko, pozycję, arystokratycznego narzeczonego (jaki dystyngowany jest ten Anglik Leslie Howard!) dla takiego gangstera jak uwodzicielski Clark Gable! Boski grubianin! Szalenie mi się podoba!

– A ja wolę blondyna, Lesliego Howarda, który zresztą jest Węgrem, a nie Anglikiem.

– To niemożliwe, Węgrzy to Cyganie i noszą kolczyki w uszach. Gdzie to wyczytałaś?

– W „Photoplay”.

– Więc wolisz tego blondyna, Anglika czy koniokrada, jak mu tam, ale wyszłaś za bardzo ciemnego Juana Francisco. Kochana, mnie nie oszukasz. Lubisz kino Iris, bo znajduje się obok Izby Deputowanych. Trochę szczęścia, i możesz go spotkać. Chciałam powiedzieć: możecie się spotkać. Aleja to mówię tylko ot, tak sobie.

Laura potrzęsnęła gwałtownie głową, ale niczego nie tłumaczyła Elizabeth. Czasem czuła, że jej życie jest jak przesilenie dnia z nocą, tylko że ich małżeństwo przeszło od razu z wiosny do zimy, bez okresów przejściowych, bez czasu kwitnienia i zbiorów. Kochała Juana Francisco, ale mężczyzna jest godny podziwu tylko wtedy, kiedy podziwia kobietę, która go kocha. W końcu to właśnie tego brakowało Laurze. Być może Elizabeth miała rację, może potrzeba jej było zjeść chleba z innego pieca, napić się wody z innej rzeki. Choćby nie

spotkała idealnej miłości, mogła znaleźć romantyczny związek, nawet „platoniczny”, pojęcie, którego Elizabeth nie знаła, ale stosowała w praktyce na przyjęciach, na które bez przerwy biegła.

– Patrz na mnie, ale nie dotykaj. Jeśli mnie dotkniesz, zarazisz się.

Nie oddawała się nikomu: jej przyjaciółka Laura wyobrażała sobie, że wielka namiętność może zrodzić się z samych dobrych chęci. Dlatego mieszały razem bez problemów i bez mężczyzn, unikając całych rzesz donżuanów, wyzwolonych ze swoich domów w rewolucyjnej zawierusze i szukających kochanek, kiedy w rzeczywistości brakowało im matek.

Wernisaż portretu Andrei Negrete pędzla Tizoca Ambriza stał się w końcu pretekstem, żeby Laura porzuciła swój status wdowy bez zimnego trupa, jak mówiła nie bez makabrycznej nutki Elizabeth, i wzięła udział w „artystycznym” wydarzeniu. Już dosyć roztrząsania przeszłości, wyobrażania sobie miłości nierealnej, opowiadania historii z Veracruz, tęsknoty za dziećmi, wstydu powstrzymującego od wyjazdu do Xalapy, bo czuła się winna, bo to ona porzuciła dom, tak samo jak porzuciła dzieci, i nie wiedziała, jak usprawiedliwić swoje postępowanie, nie chciała podważać autorytetu ojca w oczach synów, nie chciała się przyznać wobec Mutti i ciotek, że się pomyliła, że byłoby lepiej, gdyby znalazła sobie chłopca ze swojej sfery na tańcach w San Cayetano czy w kasynie, ale przede wszystkim nie chciała mówić źle o mężu, chciała, żeby wszyscy w dalszym ciągu wierzyli, że zaufała mężczyźnie walecznemu i odważnemu w każdej sytuacji, liderowi, który uosabiał to wszystko, co wydarzyło się w Meksyku w tym stuleciu, nie chciała powiedzieć rodzinie: pomyliłam się, mój mąż jest skorumpowany albo jest miernotą, mój mąż jest człowiekiem ambitnym niegodnym swoich ambicji, twój ojciec, Santiago, nie może żyć, kiedy nie podziwia się jego zasług, twój ojciec, Dantonie, jest załamany, ma poczucie krzywdy, bo ludzie nie przyznają należnego mu miejsca, mój mąż, Elizabeth, nie potrafi pogodzić się z tym, że jego zasługi utraciły sens. Jego medale odsłoniły całą swoją miedź.

– Twój ojciec niczego nie dokonał, poza tym, że doniósł na prześladowaną kobietę.

Jak powiedzieć to Santiago, który skończy dziesięć lat, i Dantonowi, który skończy dziewięć? Jak wytłumaczyć Mutti i ciotkom? Jak wyjaśnić, że prestiż budowany w ciągu długich lat walki ulotnił się w krótkiej chwili tylko dlatego, że jedną rzecz zrobiło się źle? Lepiej – mówiła sobie Laura w swojej dobrowolnej samotności – żeby Juan Francisco myślał, że tylko ona go osądza i oskarża. Nieważne, że będzie myślał, iż tylko ona jedna, nikt inny, ani świat, ani dzieci, ani jakieś staruszki prowadzące pensjonat w Xalapie, które nie miały dla niego znaczenia. Duma męża pozostanie nietknięta. A cierpienie żony pozostanie jej własnym cierpieniem.

Nie umiała tego wszystkiego powiedzieć Elizabeth, kiedy ta ją wypytywała, tak jak nie mogła się wytłumaczyć przed swoją rodziną w Veracruz, z którą korespondowała jak gdyby nigdy nic; listy przychodziły na Aleję Sonora. Laura odbierała je co tydzień od nowej służącej Juana Francisco. Chodziła do swojego dawnego domu w południe, kiedy nie było męża. Laura wiedziała, że jeśli Maria de la O cokolwiek podejrzewa, nikomu o tym nie powie. Dyskrecja była jej cechą wrodzoną.

Zaproszenie na odsłonięcie portretu Andrei Negrete okazało się pokusą nie do odparcia, zwłaszcza że dzień wcześniej Elizabeth przeprowadziła rozmowę o wydatkach ze swoją współmieszkanką.

– Nie przejmuj się, Lauro. Za kapelusz i stroje zapłacisz mi, kiedy będziesz mogła.

– Spóźnia się miesięczna pensja od Juana Francisco.

– I tak nie starczy! – zauważyła, śmiejąc się pobłaźliwie, różowa blondynka. – Masz garderobę jak Marlana.

– Lubię ładne rzeczy. Może dlatego, że nie mam w tej chwili żadnej rekompensaty za tyle... tęsknoty, tak bym to ujęła.

– Nie martw się. Na pewno ci się odmieni.

Naprawdę nie wydawała dużo. Czytała. Chodziła sama na koncerty i do muzeów, a do kina i na obiady z Elizabeth. Sytuacja, która rozdzieliła ją z mężem, była dla niej bolesna. Kryła w sobie donos i śmierć. Śmierć. Ale perfumy Chanel, kapelusik firmy Schiaparelli, kostium od Balenciagi... Moda w tak krótkim czasie tak bardzo się zmieniła – jakżeby Laura mogła pokazać się w młodzieżowej spódniczce tancerki charlestona i uczesaniu na Clare Bow, kiedy teraz trzeba się było ubierać jak głośne gwiazdy Hollywood. Nosiło się dłuższe spódnice, górę zdobiły pikowane klapy, na głowie trwała ondulacja, odważniejsze kobiety wkładały na wieczór obcisłe jedwabne suknie, jak ta platynowa blondynka Jean Harlow, i do tego nieodzowny modny kapelusz. Kobieta zdejmowała kapelusz tylko do spania albo do gry w tenisa. Nawet na basenie konieczny był gumowy czepek, żeby chronić uczesanie prosto od Marcela.

– No chodź. Rozerwiesz się.

Zanim Laura Díaz zdążyła przywitać się z gospodynią, zanim doceniła *penthouse* w surowym stylu Bauhaus z dekoracjami Panięgo, zanim zachwyciła się fetowaną Andream Negrete, dwie dłonie zasłoniły jej oczy, usłyszała przy uchu kokieteryjne „zgadnij, kto”, i kątem oka dostrzegła ciężki złoty sygnet z inicjałami OX.

Przez moment nie chciała go widzieć. Za dłońmi Orlanda Ximeneza stał młodzieniec, którego też nie chciała widzieć w momencie, kiedy spotkali się pierwszy raz w jadalni hacjendy San Cayetano. Znowu poczuła zapach angielskiej lawendy, znowu usłyszała niski męski głos, specjalnie podwyższony, gdyż w podobny sposób – przynajmniej tak sądzono – mówili Anglicy, wyobraziła sobie delikatne światło tropikalnego tarasu, odgadła ostry profil, prosty nos, gęste, jasne, kręcone włosy...

Otworzyła oczy i poznała lekko cofniętą górną wargę i wydatną szczękę, trochę jak u habsburskich królów. Ale teraz nie było już kręconych włosów, tylko postępująca łysina, dojrzała twarz i ta cera, zdecydowanie żółtawa, jak u chińskich robotników pracujących w porcie Veracruz.

Orlando zauważył smutne zdziwienie w oczach Laury i powiedział:

– Orlando Ximénez. Ty mnie nie znasz, ale ja ciebie tak. Santiago mówił o tobie z wielką czułością. Myślę, że byłaś jego... co ci wtedy powiedziałem...?

– Jego ulubionym dziewczęciem.

– Już nie?

– Dwoje dzieci.

– Mąż?

– Już go nie ma.

– Umarł?

– Można to tak nazwać.

– A ty i ja wciąż żyjemy. Uff! Popatrz, jaki jest ten świat. Orlando rozejrzał się wokół, jakby znowu szukał tarasu w San Cayetano i kącika, gdzie byliby sami, gdzie znowu mogliby rozmawiać tylko we dwoje. Słodko-gorzka fala żalu za straconą okazją wezbrała w sercu Laury. Ale Carmen Cortina nie pozwalała na frywolne sam na sam ani na jakieś żenujące sceny na swoich przyjęciach; tak jakby wyczuła, że zanoszą się tu na szczególną sytuację, a raczej na izolację, przerwała im rozmowę, przedstawiła ich oboje staremu arystokracie Nalgonowi del Rosal, który używał monokla i miał zwyczaj zdejmować szkiełko i – patrzcie, państwo – zjadać je jak opłatek, bo było fałszywe, zrobione z żelatyny; za nim kroczył gruby, rumiany Hiszpan Onomástico Galán, tradycyjnie ubrany na przyjęcia w nocną koszulę, szlafmycę w paski z czerwonym chwaścikiem i ze świecą w ręku, na wszelki wypadek, gdyby w tym niezorganizowanym i rewolucyjnym kraju, któremu mieli wyłączyć światło, brakowało tylko dobrej dyktatury z ludzką twarzą, jak ta w Hiszpanii Primo de Rivery; dalej szła para, on przebrany za marynarza, w krótkich majtkach, w niebieskiej czapce z napisem CAŁUJ

MNIE, a ona udająca Mary Pickford, w peruce z mnóstwem jasnych loków i wielkim kokiem na głowie, białych krótkich skarpetkach, lakierkach, hajdawerach i w różowej ekstrawaganckiej spódnicy, a za nimi krytyk sztuki w nieskazitelnie białym garniturze z pogardliwym grymasem na twarzy, powtarzający bez przerwy:

– Ludzie są potworni!

Krytyk trzymał za rękę swoją siostrę, kobietę wysoką, piękną jak figurka z porcelany, która powtarzała jak echo za bratem: potworni, wszyscy jesteśmy potworni, a stary malarz cierpiący na przykry zapach z ust, przypadłość niewidoczną, acz uciążliwą, reklamował się jako mistrz modnego artysty Tizoca, jednak te pedagogiczne zasługi przypisywał sobie również inny malarz, o smutnej i szpetnej fizjonomii, słynny ze swych biało-czarnych obrazów o tematyce pogrzebowej i ze swego ucznia i kochanka czarnego jak smoła, nazywanego przez malarza, miasto i całą resztę „Xango”, chociaż ten krzepki Murzyn, chcąc dopiec swojemu macho – tak się tylko mówi, twierdziła Carmen Cortina – miał żonę Włoszkę, którą przedstawiał jako pierwowzór Giocondy.

Cały ten cyrk był obserwowany z daleka z kliniczną odrazą przez parę Anglików – ona, przedstawiona przez Carmen jako Felicity Smith, była tak wysoka, że aby spojrzeć na to, co się dzieje, musiała spuszczać wzrok z wyrazem pogardy, a że była z natury uprzejma, wołała patrzeć w dal, natomiast jej towarzysza, niskiego i eleganckiego brodacza, Carmen przedstawiła jako Jamesa Saxona, ale dodała po cichu, że jest to nieślubny syn króla Anglii Jerzego V, ukrywający się na hacjendzie w Huasteca w prowincji San Luis Potosí, którą tenże bastard przekształcił w tropikalne szaleństwo – skomentowała jego towarzysza Felicity, godna króla ekscentrycznych literatów Williama Beckforda:

– Mieszkanie w domu Jamesa oznacza wieczne wyrąbywanie sobie przejścia między orchideami, kaktusami i łądygami bambusów.

– Problem polega na tym – powiedziała szeptem Carmen do Orlanda i Laury – że tutaj wszyscy są zakochani we wszystkich, Felicity w Jamesie, który jest homoseksualistą i ma ochotę na krytyka wyzywającego od potworów, a ten z kolei szaleje za czarnym Xango, który jest fałszywą ciotą, bo wprawdzie dogadza smutnemu malarzowi, ale w rzeczywistości gustuje w neapolitanie, chociaż ona, ta niby Mona Lisa – postanowiła nawrócić na heteroseksualizm smutnego malarza i teraz stanowią *ménage-à-trois*, co im daje nie tylko przyjemność, ale także oszczędności finansowe, a to, mój kochany, jest ważne w czasach kryzysu, kiedy nikt, absolutnie nikt nie kupuje obrazów i rząd jest jedynym mecenasem „pacykarzy”, *quelle horreur!* Tylko że w tej Włoszce kocha się Mary Pickford, a Włoszka potajemnie śpi z marynarzem, który też jest z innej orientacji, ale Włoszka chce sprawdzić, czy on rzeczywiście jest takim macho, co jest prawdą, choć nasz marynarz wie, że uchodząc za męską dziwkę, wzbudza uczucia macierzyńskie w kobietach, które wtedy wykorzystuje przez zaskoczenie; chodzi o to, że ta Gioconda zdaje sobie sprawę, że jej mąż to Lotario, a nie Czarodziej, i chce ustawić się w roli Nardy – czy wy za mną nadążacie, moi złoci, chyba czytacie niedzielne historyjki obrazkowe w „El Universal”? – i wypróbować wraz z Xango przywracanie do normalności smutnego malarza, żeby zintegrować ten trójkąt, o którym wam mówiłam, a który, jak tak dalej pójdzie, przekształci się w czworokąt albo i pięciokąt, jeśli włączymy w to Mary Pickford. Pomieszenie z poplątaniem, i jaki to problem dla takiej *hostess*, bądź co bądź z porządnego domu, jak ja.

– Carmen – rzucił zrezygnowany Orlando – zostaw ich wszystkich w spokoju. Pomyśl, że gdyby Dostojewski chodził na psychoterapię, być może nie napisałby *Idioty*.

– Panie Orlando – odparowała z godnością Carmen – ja zapraszam tylko ludzi o wysokim stopniu inteligencji, a nie jakichś idiotów. Jeszcze by tego brakowało.

Ten wywód przyprawił o zadyszkę Carmen Cortinę, która musiała ponadto przedstawić zubożałą arystokratkę Pimpinelę de Ovando i Głorię Iturbe, posądzaną o szpiegostwo na rzecz kanclerza niemieckiego Franza von Papena, ach, czego to nie opowiadano, i to wszystko,

moje dzieci, zrobiło się takie międzynarodowe, że o grzechach Malinche² nikt już nawet nie wspomni!

Do kaskady słów Carmen Cortiny dołączały się inne i tworzyły się słowne katarakty z udziałem wszystkich gości z wyjątkiem twórcy trupich płócien w kolorystyce czarno-białej (wyeliminowałem z moich obrazów wszystko, co zbyt ciche), który czynił wiarygodnym słynne zdanie Orlanda: „Są Meksykanie, którzy wyglądają dobrze tylko w trumnie”. Te słowa wypowiedziane zostały szeptem na chwilę przed pojawieniem się ministra edukacji publicznej aktualnego rządu, co gospodyni wykorzystwała, aby wreszcie odsłonić obraz. Odsłoniła go wspólnie ze swoim protegowanym, malarzem z Guadalajary, i atmosfera podniecenia i skandalu sięgnęła szczytu, kiedy wszyscy ujrzeli wierny portret aktorki, gwiazdy filmu *Amapola, nie będziesz już samotna*, w całej swej olśniewającej nagości; leżała na błękitnej sofie, która podkreślała biel ciała i brak włosów łonowych, i choć tego ją pozbawiono, a całą resztę wystawiono na pokaz, wszystko zostało potraktowane przez malarza z pełną subtelnością wyrazem absolutnego uduchowienia, jakby ta nagość była habitem zakonnicy gotowej na biczowanie, które miałyby stanowić wyższą formę stosunku płciowego, skłonnej poświęcić przyjemność w imię czegoś więcej niż czystość. Orlando podsumował to w następujący sposób: „Popatrz, Lauro, mógłby to być tytuł powieści z ubiegłego wieku – *Zakonnica, Mężatka, Dziewica, Męczennica*”.

– To jest portret mojej duszy – powiedziała Andrea Negrete do ministra edukacji.

– Nieco owłosiona ta pani dusza – odpowiedział jej minister, który swoim sokolim wzrokiem wypatrzył, że malarz nie ogolił wżgórka łonowego Andrei, tylko pomalował jej włoski na biało, były siwe, tak jak te na skroniach gwiazdy.

Na te słowa atmosfera w salonie skoczyła do góry jak przysłowiowa spiętrzona fala, której wody za chwilę miały się uciszyć. Głosy zniżyły się do szeptów – dało się w nich słyszeć zdumienie, złośliwą ironię albo podziw, nie sposób było dociec, co goście myślą o sztuce Tizoca czy też o odwadze Andrei; minister pożegnał się z nieustępliwym wyrazem twarzy i powiedział po cichu do Carmen:

– Mówiła mi pani, że to ma być wydarzenie kulturalne.

– To tak jak *Maja Goi*, panie ministrze. Któregoś dnia ją panu przedstawię, to księżniczka Alba, moja przyjaciółka...

– Księżniczka rozpustnica – rzucił sucho minister z gabinetu Ortiza Rubia.

– Ach, kto by nie chciał zobaczyć członków wszystkich członków wszystkich gabinetów – odezwał się marynarzyk z czapką CAŁUJ MNIE.

– Do widzenia. – Minister skinął głową.

Marynarz w krótkich majtkach nadmuchał balon z napisem BLOW JOB i podrzucił go do sufitu.

– No i po balu! – zawołał wesoło. – Gdzie się przenosimy?

– Do „Ledy”! – krzyknęła Mary Pickford.

– A może do „Las Veladoras” – zasugerował malarz z przykrym zapachem z ust.

– Wolalbym „Los Agachados” – westchnął krytyk ubrany na biało.

– Potworne, potworne – zanuciła jego siostra.

– Do „Rio Rosa” – zachęcała Włoszka.

– Albo do „Salonu Meksykańskiego” – wyraził swoją opinię Anglik z nieprawego łoża.

– Meksyku piękny i kochany. – Mówiąc to, gigantyczna Angielka ziewnęła.

– Do „Afrykanki” – mruknął redaktor kromki towarzyskiej.

– Przyniosę ci highball – powiedział Orlando.

² Malinche – córka wodza Majów. Kochanka i tłumaczka Cortesa. Dzięki jej radom Cortesowi łatwiej było pokonać Azteków (przyp. tłum.).

– Mamy takie samo imię. – Do Laury zwróciła się bardzo piękna kobieta, która siedziała na sofie i próbowała uregulować światło lampki umieszczonej na małym stoliku. – W pewnym wieku kobieta jest *zależna* od światła – dodała, śmiejąc się.

– Jest pani bardzo młoda – powiedziała z prowincjonalną uprzejmością Laura.

– Musimy być w jednym wieku, tak po trzydziestce, prawda?

Laura Díaz skinęła głową i przyjęła wyrażone gestem zaproszenie: kobieta z grzywą popielatych włosów jedną ręką poprawiała leżącą obok niej poduszkę, a drugą ponownie ujęła szklankę z whisky.

– Laura Riviére.

– Laura Díaz.

– Wiem, Orlando mi powiedział.

– Znacie się?

– To interesujący mężczyzna. Ale stracił włosy. Mówię mu, żeby sobie całkiem ogolił głowę. Wtedy byłby nie tylko interesujący, ale i niebezpieczny.

– Czy mogę pani coś wyznać? Zawsze się go bałam.

– Proszę cię, mów mi po imieniu. Ja też. A wiesz, dlaczego? Chcesz, to ci opowiem. Nigdy nie było pierwszego razu.

– Nie.

– To nie było pytanie, moja droga. To było stwierdzenie. Nigdy nie miałam odwagi z nim zacząć.

– Ja też.

– No to się odważ. Nigdy nie widziałam, żeby patrzył na kogoś tak jak na ciebie. Zresztą zapewniam cię, że bardziej niebezpieczne jest zamykanie drzwi niż ich otwieranie. – Laura Riviére gładziła się po szyi ozdobionej bursztynami. – Wiesz? Odkąd jestem w separacji z mężem, prowadzę sklep z antykami. Wpadnij tam któregoś dnia.

– Mieszkam u Elizabeth.

– Nie na zawsze, prawda?

– Nie.

– Co będziesz robić?

– Nie wiem. I na tym właśnie polega problem.

– Radzę ci, żebyś nie upierała się przy tym, co nie jest realne. Lepiej ustaw sprawy zawczasu po twojej myśli. Odważ się. O, idzie twoja przyjaciółka Elizabeth.

Laura Díaz rozejrzała się dookoła, nie było już prawie nikogo, nawet Carmen Cortina zmieniła lokal z całą swoją świtą, gdzie poszli? Słuchać *marichis* w „Tenampa”? Zamówić *show* dziwek w „La Bandida”? Pić pod jakimś daszkiem rum w lampkach cementarnych? Tańczyć z orkiestrą Luisa Arcaraza w nowym hotelu Reforma? Słuchać Juana Arvizu, Tenora o Jedwabistym Głosie, w starym hotelu Regis?

Laura Riviere poprawiła sobie fryzurę tak, że włosy zakryły jej połowę twarzy, a Elizabeth García-Dupont, eks-małżonka Carazy, powiedziała do Laury Díaz, eks-małżonki Lopeza Greene’a: naprawdę, bardzo mi przykro, moja śliczna, ale na dzisiejszą noc w domu mam pewne plany, rozumiesz mnie, przyszła kryśka na Matyska, ha, ha, tylko raz i więcej nic, ale nie zapomniałam o tobie, wynajęłam ci pokój w hotelu Regis, masz tu klucze, śpij spokojnie i zadzwoń do mnie jutro...

Nie zdziwiła się na widok nagiego Orlanda Ximeneza przepasanego ręcznikiem, kiedy otworzyła drzwi do hotelowego pokoju. Zdziwiło ją to, że od razu uznała za oczywiste, iż może jej się podobać jakiś inny mężczyzna – nie to, że ona może się podobać innemu mężczyźnie, tego mogła się spodziewać, jej lustreczko nie tylko zwracało zwyczajnie odbity wizerunek, ono go zatrzymywało, posługując się jakimś widmem piękna, widmem gadającym, które popychało ją, tak jak w tym momencie, żeby wyjść poza siebie, przejść – jak Alicja – na drugą stronę lustra, by odkryć, że w każdym lustrze jest następne lustro i każde

odbicie Laury Díaz zawiera w sobie inny wizerunek, cierpliwie czekający, aż ona wyciągnie rękę, dotknie go i poczuje, jak ucieka on ku następnemu przeznaczeniu...

Spojrzała na nagiego Orlanda w łóżku i miała ochotę go zapytać: „Ile przeznaczeń mamy do spełnienia?”

Czekał na nią i ona wyobraziła sobie na jego miejscu wielu mężczyzn, mężczyźni tak samo reagują na kobiety, ale kobietom zabroniono publicznych wypowiedzi na ten temat, więc tylko w najgłębszym sekrecie mogą wyznać: pociąga mnie więcej niż jeden mężczyzna, pociąga mnie wielu mężczyzn, dlatego że jestem kobietą, a nie dlatego, że jestem kurwą.

Zaczęła zdejmować pierścionki, chciała mieć ręce wolne, zwinne i zachłanne, by dotknąć nimi ciała Orlanda; on, leżąc na łóżku, próbował ją rozszyfrować, rękę ze złotym pierścieniem i inicjałami OX miał zwiniętą w pięść w geście wyzwania, tak, wyrzucał jej te lata stracone dla miłości, niespełnioną randkę, tym razem tak, teraz tak, i ona też mówiła mu tak, zrzucając pierścionki, zwłaszcza ślubną obrączkę od Juana Francisco, i ten z diamentem odziedziczony po babce Cosimie Kelsen, która została bez palców, romantycznie obciętych maczetą Uwodziciela z Papantli. Laura, podchodząc do Orlanda, rzucała pierścionki na dywan, tak jak Czerwony Kapturek rozrzucał okruszki po drodze, by nie zgubić się w lesie, ale ptaki, wszystkie bez wyjątku ptaki drapieżne, wszystkie te piękne rozbójniki miały wyjadać okruszki, zacierać ślady, wmawiać zgubionej dziewczynce, że „nie ma powrotu, jesteś w jaskini wilka...”

IX. Pociąg „Interoceánico”: 1932

Laura Díaz wracała do Xalapy tym samym pociągiem, który po ślubie wiozł ją do stolicy Meksyku. Tym razem nie była to noc, tylko dzień. I jechała sama. Ostatnim towarzystwem, jakie miała przed przybyciem na dworzec Colonia, była sfera psów, które szły za nią i nie odstępowały na krok, budząc w niej strach, głównie dlatego, że pierwszy raz zetknęła się z takim zjawiskiem. Nie zdawała sobie sprawy z dwóch rzeczy. Miasto wyschło. Jeziora i kanały, konające odnogi azteckiej laguny – Texcoco, La Viga, La Verónica – zaczęły zapełniać się, jeden po drugim, najpierw zwałami śmieci, potem ziemią, w końcu pokrył je asfalt; miasto na wodzie umarło na zawsze, czego wyobraźnia Laury nie była w stanie zrozumieć, jej śniła się jeszcze czasami piramida otoczona wodą.

Natomiast psy, które ją odprowadzały, to była niekontrolowana krzyżówka zagubionych, zdezorientowanych zwierząt, budzących jednocześnie i strach, i litość, były wśród nich wytworne psy collie, szybkoconogie duńskie dogi albo zdegenerowane owczarki alzackie, wszystkie skłębione w jedną olbrzymią sferę, bez obroży, bez celu, bez pana, bez rasy. Wszystkie rodziny posiadające rasowe psy wyjechały z Meksyku podczas Rewolucji i zostawiły je na pastwę losu, żeby uciekły albo – dochowując wierności – zdechły z głodu. W wielu bogatych domach Kolonii Roma i przy Paseo de la Reforma znaleziono psie trupy przywiązane do słupków, zamknięte w budach, pozostawione bez jedzenia i możliwości ucieczki. Zarówno psy, jak ich właściciele założyli, że aby przeżyć, muszą być nielojalni.

„Wychowywały się w gromadzie, bez żadnej tresury, żaden z nich nie wie, że istnieje pedigri, Lauro, i jeżeli ich właściciele powrócą – a już zaczynają wracać, głównie z Paryża, niektórzy z Nowego Jorku, cała masa z Hawany – już ich nie będą mogli odzyskać...”

To powiedział jej Orlando. W pociągu próbowała wymazać z pamięci obraz bezdomnych psów, ale nakładał się on na wszystkie sceny z jej życia z Orlandem w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy, od chwili kiedy po raz pierwszy poszli z sobą do łóżka w hotelu Regis i zostali tam na stałe. Orlando płacił za pokój i za obsługę i razem prowadzili życie towarzyskie, które Orlando nazywał obserwacjami do przyszłej książki, chociaż Laura czasami zastanawiała się, czy jej kochanek rzeczywiście znajdował przyjemność w tej atmosferze łatwego i frywolnego życia, które ogarnęło miasto, wreszcie spokojne po dwudziestu latach rewolucyjnych wstrząsów, czy też bywanie Orlanda we wszystkich stołecznych środowiskach stanowiło część jakiegoś tajnego planu, jak wtedy, kiedy pełnił funkcję łącznika z katalońską anarchistką Armoniá Aznar.

Nigdy go nie zapytała. Nie odważyłaby się. To była różnica pomiędzy nim a Juanem Francisco, który opowiadał o wszystkim, co mu się wydarzyło, nawet zbyt barwnie i zbyt szczegółowo, Orlando natomiast nigdy nie komentował swoich przeżyć. Laura pogodziła się z tym, że może znać tylko teraźniejszość, a nigdy nie pozna przeszłości. Ani jego stosunków ze starą anarchistką z poddasza w Xalapie, ani z jej bratem rozstrzelanym w Veracruz. Jak łatwo przyszyłoby mu chwalić się tym pierwszym czy też czerpać korzyści z drugiego! Bohaterska aureola przypadała wszystkim, którym zdarzyło się kontaktować i z Armoniá Aznar, i z Santiago Diazem. Dlaczego Orlando nie spożytkował tej okazji?

Przyglądała mu się, jak spał wyczerpany, bezbronny wobec czuwającej kobiety, i wyobrażała sobie najróżniejsze rzeczy. Przede wszystkim był przyzwoity, on nazwałby to rezerwą, dystansem, choć często ostrze złośliwej satyry kierował przeciwko samemu sobie, a zjadliwe epigramy przeciwko społeczeństwu. Ona bez wahania nazwałaby to właśnie tak,

przyzwoitością u mężczyzny skrajnie nieprzyzwoitego w swoim erotyzmie; być może jednak była to walka o sprawę i stąd ta konieczna dyskrecja, tylko o jaką sprawę? anarchię, syndykalizm, nieprzedłużanie kadencji, rewolucję czy raczej Rewolucję pisaną od dużej litery, ten wstrząs, który wszystko w Meksyku przewrócił do góry nogami, wielki mural, wewnątrz którego żyli, taki, jakie malował Diego Rivera: kawalkady i zbrodnie, kłótnie i bitwy, bezprzykładne bohaterstwo i tyleż samo podłości, ucieczki i zbliżenia, uściski i ciosy zza węgła...? Przypomniała sobie, jak świeżo po ślubie odkryła nową sztukę malarstwa ściennego i poszła do Pałacu zobaczyć Diega Riverę przy pracy.

– Wyprosił mnie, Orlando, bo byłam ubrana na czarno po śmierci ojca.

– Nie tęsknisz za Xalapa?

– Mam ciebie, to dlaczego mam tęsknić?

– Do synów. Do matki.

– I do starych ciotek. – Laura uśmiechnęła się, bo Orlando mówił nadzwyczaj poważnie. – I pomyśleć, że Diego Rivera jest przesądny.

– Tak, do starych ciotek, Lauro...

Czy jest tajemniczym bohaterem? Czy dyskretnym przyjacielem? Czyżby był do tego sentymentalnym chłopcem? Wszystko, co Laura mogła sobie wyobrazić na temat „prawdziwego” Orlanda każdego ranka, burzył „prawdziwy” Orlando każdej nocy. Niczym wampir zmieniający się z czystego, pełnego miłości anioła świtu w napastliwego diabła o cynicznym spojrzeniu i kąśliwym języku po każdym zachodzie słońca. To prawda, ją zawsze dobrze traktował. Laura do tej pory czuła na twarzy uderzenie pięści męża, Juana Francisco, kiedy tamtej nocy wyciągnął ją z taksówki. Nigdy mu tego nie zapomni. Nigdy mu nie przebaczy. Mężczyzna nie wie, co znaczy dla kobiety uderzenie w twarz, to bezkarna napaść, wyzywanie się na słabszym, tchórzostwo, zbezczeszczenie piękna, które każda bez wyjątku kobieta zachowuje i odzwierciedla na swej twarzy... Orlando nigdy nie uczynił z niej obiektu swoich złośliwości czy okrutnych żartów; chociaż, owszem, zmuszał ją do asystowania przy wieczornych negacjach swojej dziennej osobowości, kiedy to wypierał się Orlanda taktownego, sentymentalnego, zmysłowego, traktującego kobiece ciało tak, jakby chodziło o jego własne, Orlanda, który mógł być namiętym kochankiem, a jednocześnie szanować kobietę zjednoczoną z nim w miłosnym akcie...

– Przygotuj się – powiedział, nie patrząc na nią, przyciskał jej ramię z determinacją pierwszych chrześcijan wchodzących do cyrku z lwami. – *Brace yourself, my dear*. To Rzymski Cyrk, ale zamiast ryku lwów usłyszysz porykiwanie krów, beczenie baranów. A i owszem, odróżnisz wycie wilków. *Avanti, popolo romano...* Zbliża się nasza gospodyni. Spójrz na nią. Przypatrz się jej. To Carmen Cortina. Wystarczą trzy słowa, żeby ją zdefiniować. Pije. Pali. Starzeje się.

– *Darlings!* Jak to miło was znowu zobaczyć... i do tego jeszcze razem! To cud, prawdziwy cud...

– Carmen. Przestań pić. Przestań palić. Starzejesz się.

– Orlando! – Pani domu wybuchnęła śmiechem. – Co ja bym bez ciebie zrobiła? Mówisz mi te same prawdy, które powtarzała mi moja matka, niech Bóg ma ją w swojej opiece...

Na zewnątrz szalała burza i atmosfera w środku była nerwowa.

– Myśl sobie, co chcesz, i nie spodziewaj się, że będę mówił źle o moich przyjaciółach – powiedział ponury malarz ubranemu na biało krytykowi, który powtarzał swoje sakramenckie: „wszyscy jesteśmy potworni”...

– Nie, nie to chciałem powiedzieć. Tylko że moich przyjaciół nie da się bronić. Jeśli są godni mojej przyjaźni, nie mogą być jednocześnie godni mojej obrony. Nikt nie zasługuje na aż tak wiele.

– Same potwory.

– Nie o to chodzi – wtrącił się młody profesor filozofii o zasłużonej sławie niewybrednego uwodziciela. – Najważniejsze to mieć złą opinię. To w dzisiejszym Meksyku publiczna cnota. Czy nazywasz się Plutarco Elias Calles, czy Andrea Negrete – powiedział Ambrosio O’Higgins, gdyż takie nazwisko nosił ten wysoki blondyn, nadęty specjalista od Husserla, którego osobista fenomenologia polegała na wiecznie niezadowolonej minie i spojrzeniu, które, choćby i było trochę sensne, zawsze zdradzało jego prawdziwe intencje.

– No, tobie w tym nikt nie dorówna – powiedziała przywrócona światu wymieniona z nazwiska Andrea Negrete, która po klapie swojego ostatniego filmu *Życie jest doliną łez* z podtytułem *Kobieta cierpi bardziej niż mężczyzna* wstąpiła do zakonu w swojej rodzinnej prowincji Durango, prowadzonego przez ciotkę aktorki i złożonego wyłącznie z jej dwunastu kuzynek.

Ani moja ciotka przeorysza, ani moje kuzynki zakonnice nie zdały sobie sprawy, że razem ze mną było nas trzynaście przy stole w refektarzu. To prawdziwe święte bez cienia złej myśli. Tylko ja umierałam ze strachu. Bałam się, że wykwintne *mole* stanie w gardle. Bo co prawda, to prawda, najlepsza restauracja w całym Meksyku to klasztor mojej ciotki, siostry Marii Auxiliadory, przysięgam wam na wszystko...

Całowała palce złożone na krzyż i Laura zamknęła oczy, żeby wyobrazić sobie znowu romantyczne cięcie maczetą Uwodziciela z Papantli, obcięte palce prababki Cosimy spływające krwią spod kapelusza bandyty...

– No, tobie w tym nikt nie dorówna – mówiła aktorka do filozofa.

– Owszem. Ty – odpowiedział jej młody człowiek o irlandzkim nazwisku, z paralitycznie uniesioną brwią.

– To może się razem jakoś dogadamy. – Andrea posłała mu uśmiech.

– Do tego musiałbym trochę poswiecić. – O’Higgins wyciągnął fajkę. – Trochę tu, trochę tam. Mówię: oswiecić, nie ocipieć.

– Wiesz co, mały, jesteś taki dobry, że moralność nie jest ci już do niczego potrzebna.

Andrea odwróciła się na pięcie i natychmiast natknęła się na marynarza w krótkich majtkach i infantylną gwiazdkę z głową w lokach. Wymieniły wyrafinowane impertynencje.

– Któregoś dnia wyciągnę swój sztylecik i zrobię z ciebie sitko...

– Wiesz, jaki jest twój problem, złotko? Masz tylko jedną dupę, a chcesz srać do dwudziestu nocników...

– Widziałeś, Orlando? Popatrz na tego pięknego chłopca. Orlando podszedł i oboje przyglądali się młodemu mężczyźnie o wyjątkowej urodzie.

– Czy wiesz, że odkąd przyszliśmy, on nie przestaje przeglądać się w lustrze?

– Wszyscy przeglądamy się w lustrze, Lauro. Najgorsze, że czasami nie widzimy własnego odbicia. Popatrz na Andreeę Negrete. Już od dwudziestu minut pozuje sama, tak jakby cały świat ją podziwiał, ale nikt nie zwraca na nią uwagi.

– Z wyjątkiem ciebie, bo ty wszystko zauważysz. – Laura pogłaskała kochanka po brodzie.

– Andrea, spójrz na tego ładnego chłopca, który cały czas spogląda w lustro i z nikim nie rozmawia... – Orlando zrobił nagły zwrot – stań za nim z tyłu.

– Za Adonisem?

– Znasz go?

– Z nikim nie rozmawia. Bez przerwy patrzy w lustro.

– Stań za nim, proszę.

– O co chodzi?

– Ukaż mu się. Bądź jego odbiciem. On tego szuka. Bądź jego duchem. Załóż się, że jeszcze tej nocy się z nim prześpisz.

– Kusisz mnie, mój kochany...

Laura Riviére weszła w towarzystwie wysokiego, ciemnego mężczyzny „w sile wieku”, jak go określił Orlando w rozmowie z Laurą Díaz; to milioner i wpływowy polityk Artemio Cruz, jest kochankiem Laury – Carmen Cortina zbliżyła się do nich, żeby poplotkować – nikt nie może zrozumieć, dlaczego nie zostawi swojej żony, to taka prowincjonalna snobka ze wsi – przepraszam, Lauro, to nie jest aluzja do ciebie – skoro posiada, podkreślam, posiada jedną z najbardziej dystygowanych kobiet z towarzystwa. *C'est fou, la vie!* – zdołała jeszcze wykrzyknąć rozdrażniona Ślepa Carmen, jak nazywał ją Orlando, kiedy nuda przyćmiewała mu dowcip.

– Lauro, kochanie – Elizabeth podeszła do towarzyszek dawnych wieczorków tańczących – zobacz, kto przyszedł. Widzisz, jak sobie szepczą do ucha? – Cóż takiego może mówić Artemio Cruz Laurze Riviére, żeby z tego robić taką tajemnicę? Aha, i jedna rada, kochanie, jeżeli chcesz zdobyć mężczyznę, nic nie mów: oddychaj, tylko oddychaj, odrobinę zmysłowo... Mówię ci to, bo czasem dobiega mnie twój zbytnio podniesiony głos.

– Ależ, Elizabeth, ja już mam swojego mężczyznę...

– Z tym nigdy nie wiadomo, *you never know...* Ale nie mam zamiaru dawać ci lekcji oddychania, chcę tylko powiedzieć, żebyś w dalszym ciągu przysyłała mi wszystkie swoje rachunki, za fryzjera, za stroje, nie krępuj się, złotko, ten cymbał Caraza zostawił mi dość szmalu, uwielbiam wydawać i nie chcę, żeby ktoś mówił, że moja przyjaciółka jest utrzymanka Orlanda Ximeneza...

Laura z kwaśnym uśmiechem zapytała Elizabeth:

– Dlaczego mnie obrażasz?

– Ja obrażam? Moją najlepszą przyjaciółką? Boże drogi!

– W każdym razie wprawiasz mnie w zakłopotanie.

– Nie bierz tego w ten sposób.

– Obiecałam, że ci zwrócę. Znasz moją sytuację.

– Poczekajmy do następnej rewolucji, moja droga. Może wtedy twojemu mężowi pójdzie lepiej. Deputowany z Tabasco? Nie rozśmieszaj mnie. Teraz przyszły czasy klerożerców i opojów – amatorów *tepache*, a nie panów płacących alimenty.

Laura odwróciła się plecami i pociągnęła Orlanda za rękę, żeby jak najprędzej wyjść. Orlando z uśmiechem pogładził jej dłoń.

– Chcesz jechać windą z tym strasznym Artemiem Cruzem? Mówią, że to rekin, a ciebie, kochanie, tylko ja będę chrupał.

– Spójrz na niego. Co za arogant! Zostawił Laurę samą.

– Mówię ci, że to rekin. Rekiny muszą być w ciągłym ruchu. Gdyby się zatrzymały choć na chwilę, poszłyby na dno i zginęły.

Dwie Laury instynktownie odnalazły drogę do siebie.

– Dwie Laury mają smutne twarze....Co w smutku gości, że tyle w nim godności – powiedział Orlando ściszym głosem i poszedł po kieliszki dla wszystkich.

– Dlaczego tolerujemy życie towarzyskie? – zapytała bez wstępu kobieta o jasnych włosach.

– Myślę, że ze strachu – odparła Laura Díaz.

– Boimy się rozmawiać, boimy się mówić prawdę, boimy się, że nas wyśmieją? Myślałaś o tym? Tu nie ma nikogo, kto by nie przyszedł uzbrojony w dowcip, kpinę, paszkwil. To szpady, służące nam do obrony w turniejach, w których nagrodą jest sława, pieniądze, seks, a przede wszystkim poczucie, że jest się zdolniejszym od innych. Czy właśnie tego chcesz, Lauro Díaz?

Laura zaprzeczyła zdecydowanie.

– Więc ratuj się czym prędzej, bo ja już nie mogę. Jestem stracona. Moje ciało jest spętane rutyną. Ale przysięgam ci, gdybym mogła uciec z własnego ciała... nienawidzę go – jęknęła

Laura Rivière. – Wiesz, do czego to wszystko prowadzi? Do chronicznego moralnego kaca, a w końcu do tego, że znienawidzisz samą siebie.

– Zobaczcie – Orlando podszedł, balansując trzema kieliszkami manhattanu trzymanymi w zagłębieniu złożonych dłoni. – Już się spiknęli Najwspanialsza Aktorka i Najwspanialszy Narcyz. Miałem rację. Sławne kobiety zostały wynalezione przez niewinnych mężczyzn.

– Nie – Laura Rivière wzięła swój kieliszek. – Wypijmy za przewrotnych mężczyzn, którzy skazują nas na teatralność.

– Kochani – przerwała im Carmen Cortina. – Czy już wam przedstawiałam Cherubinę de Landa?

– Nikt nie nazywa się Cherubina de Landa – rzucił Orlando w przestrzeń, w noc, w stronę Carmen i prezentowanej z takim opóźnieniem Cherubiny de Landa, uwieszanej u ramienia uwodzicielskiego filozofa, któremu Orlando mimochodem przygadał kąśliwie: – Nie na darmo nazywają cię Wielkim Śmieciarzem.

– Jeśli chodzi o nazywanie, mój drogi, acz niedouczony Orlando, nikt nie ujął sprawy trafniej niż Platon, mówiąc o nazwiskach: otóż są nazwiska konwencjonalne, nazwiska oddające istotę rzeczy i nazwiska, które współgrają z naturą i z potrzebą, jak na przykład Laura Riviere i Laura Díaz.

O’Higgins złożył ukłon i klepnął po tyłku swoją towarzyszkę, obdarzoną konwencjonalnym, naturalnym i pełnym wdziękiem imieniem Cherubina de Landa.

– *Let’s fuck.*

– Założę się, że naprawdę nazywa się Petra Pérez – powiedziała uprzejma gospodyni i pobiegła powitać dziwną parę, która właśnie wchodziła do salonu w *penthouse* na Paseo de la Reforma, mężczyznę w bardzo podeszłym wieku pod rękę z kobietą drżącą na całym ciele.

Obcasy Laury Díaz stukały jak uderzenia młotka na chodniku ciągnącym się wzdłuż alei. Szła, trzymając pod ramię Orlando. Powiedziała do niego z uśmiechem, że poznali się na hacjendzie w stanie Veracruz, a spotkali ponownie w *penthouse* na Paseo de la Reforma, ale i tam, i tu obowiązywały te same reguły: można było zostać przyjętym albo odrzuconym przez towarzystwo i miłościwie mu panujące donę Genowefę Deschamps w San Cayetano oraz Carmen Cortinę w Meksyku.

– Czy nie możemy od tego uciec, kochany? Już osiemnaście miesięcy w tym tkwimy.

– Dla mnie czas się nie liczy, kiedy jestem z tobą – powiedział już nie tak młody, a do tego łysiejący Orlando Ximénez.

– Dlaczego nigdy nie nosisz kapelusza? Jesteś pod tym względem wyjątkiem.

– Właśnie dlatego, żeby być wyjątkowym.

Spacerowali po zadrzewionej stronie alei. Była zimna grudniowa noc. Ścieżka o nieutwardzonej nawierzchni przeznaczona była dla jeźdźców, którzy galopowali tędy o świcie na koniach.

– W dalszym ciągu nic o tobie nie wiem – odważyła się powiedzieć Laura, ściskając mu mocniej rękę.

– Ja niczego przed tobą nie ukrywam. Nie wiesz tylko tego, czego nie chcesz wiedzieć.

– Orlando, każdej nocy, tak jak dzisiaj, mówimy sobie tylko komunały, zdania przygotowane, przypadkowe, spodziewane...

– No, śmiało. Wyświechtane.

– Wiesz co? Zdałam sobie w końcu sprawę, że w świecie, w który mnie wprowadziłeś, nie ma znaczenia, jak się między nami skończy. Ta noc była dla mnie interesująca. Ludźmi, którym najbardziej na sobie zależało, byli Laura Rivière i Artemio Cruz. I widzisz. On odszedł, noc skończyła się źle. To najważniejsze, co wydarzyło się tej nocy.

– Pozwól, że cię pocieszę. Masz rację. Nie ma znaczenia, jak się między nami skończy. Najlepiej, kiedy nie zdajemy sobie sprawy, że wszystko się skończyło.

– Kochany mój, mam wrażenie, że spadam z chwiejnej drabiny...

Orlando zatrzymał taksówkę i podał adres, którego Laura nie знаła. Taksówkarz spojrzął na nich zdumiony.

– Naprawdę, szefie? Jest pan pewien?

W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku miasto Meksyk wcześniej pustoszało, rodzinne kolacje miały ściśle określone godziny, zbierała się przy nich cała rodzina, a krewni trzymali się razem, tak jakby wojna domowa, ciągnąca się dwadzieścia lat bez przerwy, nauczyła całe rody żyć w strachu, w poszukiwaniu wzajemnej bliskości, w oczekiwaniu najgorszego: bezrobocia, wywłaszczenia, porwania, gwałtu, rozstrzelania, utraty oszczędności, bezwartościowych papierów zamiast pieniędzy, aroganckich i chaotycznych działań rewolucyjnych frakcji. Jedno społeczeństwo zniknęło. Drugie jeszcze się wyraźnie nie wykształciło. Obywatele stali jedną nogą w bruzdzie, a drugą na zgliszczach, jak powiedział Musset o ponapoleońskiej Francji. Najgorsze, że czasami krew zalewała zarówno bruzdę, jak i zgliszczka, zacierając granicę pomiędzy glebą na wieki jałową a tą najlepszą, która, by wydać owoce, musi najpierw umrzeć.

Przyjęcia, jak te u słynnej krótkowzrocznej Carmen Cortiny, były chwilą oddechu dla obytych w świecie elit, które reprezentowały i Ziarno, i Popiół, byli to ci, którzy przeżyli katastrofę rewolucji, ci, którzy żyli dzięki niej, jak i ci, którzy przez nią umarli, ale jeszcze o tym nie wiedzieli. Przyjęcia u Carmen były wyjątkiem, rzadkością. Porządne rodziny składały sobie wizyty o wczesnej godzinie, zawierały pomiędzy sobą małżeństwa o jeszcze wcześniejszej, używały lupy i sita w stosunku do nowego rewolucyjnego społeczeństwa... Jeśli barbarzyński generał z Sonory brał za żonę śliczną panienkę z Sinaloa, to od tego byli wszyscy krewni i znajomi z Culiacán, żeby zaakceptować go albo odrzucić. Rodzina generała Obregona nie miała wielkich pretensji i Jednoręki z Celayi lepiej by zrobił, gdyby został na swoim ranczo w Huatabambo i hodował indyki, a nie upierał się przy ponownej elekcji i śmierci. Natomiast Calles pochodził z rodziny, która chciała wejść do towarzystwa, zaprezentować córki w Country Club w Churubusco, a potem każdej zafundować ślub kościelny – a jakże! – choćby miała to być ceremonia ściśle prywatna. Ale najgłośniejszym i najbardziej podziwianym był przypadek generała Joaquina Amaro. Ów generał, sama kwintesencja rewolucyjnego herszta, niezrównany jeździec, przypominający raczej centaura niż człowieka, Indianin Yaqui, taki z kolczykiem i kolorową apaszką, o hebanowej skórze, grubych, zmysłowych i wyzywających ustach i spojrzeniu błędzącym w zamierzchłej przeszłości swojego plemienia, ożenił się z panną z najwyższych sfer z północy kraju, która w prezencie ślubnym zmusiła generała do nauki francuskiego i życia w mieście.

Hulaków jak zwykle nie brakowało, chociaż nie było pieniędzy na studia za granicą, studiowało się prawo w San Ildefonso, medycynę w Santo Domingo, najbiedniejsi szli do szkół zawodowych, ci z największymi pretensjami na architekturę, a wszystko to działo się w starym centrum miasta, wśród knajp, kabaretów i burdeli. Zwyczajne mrówcze życie toczyło się w ukryciu za dnia i w nocy, i Meksyk wciąż dzielił się na miasto tych w kapeluszach i tych w rzemiennych łapciach, tych w robotniczych kombinezonach i tych w indiańskich szalach: tego mnie nauczył mój mąż Juan Francisco, kiedy pokazał mi dzielnice biedoty i przekonał, że jest to problem tak gigantyczny, że lepiej, żebym została w domu i zajęła się dziećmi.

– Twój mąż nie nauczył cię niczego – powiedział z niespotykaną u niego bezwzględnością Orlando Ximénez, biorąc Laurę za rękę i zmuszając, by wysiadła pośrodku zabudowanego pustkowia, to był ten brutalny szok, ten paradoks, bo mimo istniejących tam ulic i domów była to pustynia w środku miasta, pokryta kurzem ruina, ruina już z samego założenia, piramida z piasku, na której zaczęły się pojawiać, z początku niedostrzegalne, niekompletne sylwetki, jakieś trudne do określenia formy, świat niedopracowany w szczegółach, a oni posuwali się poprzez tę szarą tajemnicę miasta, Orlando prowadził za rękę Laurę, tak jak

Wergiliusz Beatrycze, nie Dantego, inną Laure, nie Petrarcki, zmuszając ją, by patrzyła: patrz, widzisz, wylażą ze swoich jam, wynurzają się ze śmietników, powiedz mi, Lauro, co możesz zrobić dla tej kobiety, nazywają ją Ropuchą, patrz, skacze na kiju wciśniętym między uda, musi tak skakać jak płaz, żeby znaleźć w śmietniku coś do jedzenia, patrz, co możesz dla niej zrobić, co możesz zrobić dla tego mężczyzny, który nie ma nosa, rąk ani nóg i czołga się po ziemi jak wąż? Patrz na nich teraz, bo jest noc, bo zjawiają się, kiedy nie ma światła, oni boją się słońca, za dnia zamykają się ze strachu, żeby ich nikt nie widział, czym oni są, Lauro? Przypatrz im się dobrze, czy to karły, czy dzieci, a może dzieci, które nigdy już nie urosną, dzieci, które umarły, ale stoją sztywno, do połowy zakopane w piasku, powiedz, Lauro, czy tego cię nauczył twój mąż, czy tylko pokazał ci ładniejszą stronę biedoty, robotników w dżinsowych koszulach, wypudrowane kurwy, kataryniarzy i ślusarzy, sprzedawców *tamales* i rymarzy? Czy to jest twoja klasa pracująca? Chcesz się zbuntować przeciwko twojemu mężowi, nienawidzisz go, nie dał ci szansy, żeby coś zrobić dla innych, zlekceważył cię? A więc teraz ja ci daję tę szansę, biorę cię za ramiona, Lauro, każę ci otworzyć oczy i pytam: co możesz poradzić na to wszystko? Dlaczego ty i ja nie spędzamy naszych nocy tutaj, z Ropuchą i Wężem, z dziećmi, które nigdy nie urosną i które boją się oglądać słońce, tylko szukamy towarzystwa Carmen Cortiny, Cherubiny de Landa, Nalgona del Valle i aktorki, która maluje sobie na białe włosy łonowe, dlaczego?

Laura przytuliła się z całej siły do Orlanda i wybuchnęła płaczem, który wstrzymywała w sobie od chwili urodzenia, od momentu, kiedy straciła pierwszą bliską osobę, i zadała sobie pytanie: dlaczego umierają ludzie, których kocham, po co w takim razie przychodzili na świat...

Co można zrobić? Są ich tysiące, miliony, być może Juan Francisco ma rację? Od czego zacząć? Co można zrobić dla tych wszystkich ludzi?

– Ty mi powiedz.

– Wybierz najnędnniejszego z nich. Tylko jednego, Lauro. Wybierz jednego, a uratujesz wszystkich.

Laura Díaz patrzyła, jak miga za oknem pulmana wapienny krajobraz płaskowyżu, wracała do domu, wracała do Veracruz, oddalając się coraz bardziej od piaskowej piramidy, z której wygrzebywali się z niewidzialnych wykrotów jak dżdżownice, karaluchy czy kraby, wyrastali z dziur jak weneryczne wrzody mężczyźni-węże, kobiety-ropuchy i rachityczne dzieci.

Do tej nocy właściwie nie wierzyła w istnienie nędzy. „Żyjemy pod szklanym kloszem, jesteśmy tak skonstruowani, że widzimy tylko to, co chcemy widzieć”. Tak powiedziała Laura do Orlanda. Teraz, w drodze do Xalapy, ona sama poczuła bolesne pragnienie, żeby ktoś ją pocieszył: tak bardzo potrzebowała współczucia, wiedząc, że tego, czego ona chce dla siebie, części należytą jej litości, oczekują właśnie od niej w domu przy ulicy Bocanegra, tej odrobiny współczucia, odrobiny uwagi za cały czas zapomnienia – matka, ciotki, dwoje dzieci – tego, żeby nie powiedzieć im prawdy, żeby obstawać przy pierwotnej wymyślonej wersji, że dla Dan tona i Santiago będzie lepiej wychowywać się w prowincjonalnym miasteczku pod dobrą opieką, dopóki Laura i Juan Francisco nie ułożą swojego życia, swojej kariery zawodowej, w tak trudnym mieście jak Meksyk, w tak niezmiernie trudnym kraju, który wynurzał się z bruzdy, ze zgliszcz, z krwi Rewolucji... Tylko cioteczka Maria de la O wiedziała o wszystkim, ale jeszcze lepiej wiedziała, że dyskrecja jest prawdą, która nie czyni krzywdy.

Siedziały we cztery na starych wiklinowych fotelach z wysokim oparciem, przywiezionych z Veracruz, które rodzina wszędzie ze sobą ciągnęła. Drzwi do sieni otworzył jej czarny Zampayita i w tym momencie Laura przeżyła pierwsze zdumienie: wesóły lekkoduch miał białą głowę i miotła nie służyła mu już do tańca „chwycę moją babę w pasie,

zobaczymy, czy mi da się”; teraz odgrywała rolę laski, na której stary służący oparł swoje nie dokończone „Panienka Laura”, urwane wymownym gestem Laury kładącej palec na ustach. Zampayita chwycił bagaże panienki, a ona pozwoliła mu je dźwigać, żeby go nie urazić, chociaż z trudem dawał sobie radę z walizką.

Laura stała na progu salonu, chciała przyjrzeć się im, zanim ją zauważą, patrzyła zza wytartych firanek, cztery siostry siedziały w milczeniu, ciotka Hilda nerwowo poruszała artretycznymi palcami, jakby grała na głuchym pianinie, ciotka Virginia szeptała bezgłośnie jakiś wiersz, którego nie miała siły przenieść na papier, cioteczka Maria de la O patrzyła w zamyśleniu na swoje grube kostki i tylko Letycja, Mutti, robiła na drutach gruby szlafrok, który leżał jej na kolanach i w czasie robótki chronił przed grudniowym zimnem Xalapy, kiedy chłód ciągnący od góry Perote łączy się z chłodem znad kanałów, źródeł i strumyków, zbiegających się w urodzajnej podzwrotnikowej strefie między górami a morzem.

Letycja podniosła wzrok, żeby ocenić swoje dzieło, i wtedy napotkała spojrzenie Laury, krzyknęła: Laura, dziecko moje, wstawała z trudem, a Laura już biegła, żeby ją uściskać, nie wstawaj, Mutti, nie męcz się, proszę, nie wstawajcie, bo gdyby wstały, to co? Czy ciotka Hilda zadławiłaby się dusznością, która podchodziła jej do gardła i jeszcze bardziej zwięzła niedowidzące oczy za grubymi jak ścianki akwarium szklami okularów? Czy ciotce Virginii osypałaby się z twarzy mączka ryżowa, którą tak była pokryta, że już nie wyglądała jak upudrowana zmarszczka, tylko jak pomarszczony puder? Czy cioteczka Maria de la O przewróciłaby się na świeżo umyte kafle podłogi nie przykrytej dywanem, bo nie utrzymałyby jej opuchnięte kostki?

Ale Letycja podniosła się, wyprostowana jak strzała, równoległa do ścian domu, jej domu, że to jej dom, mówiło Laurze całe zachowanie matki, to mój dom, ja utrzymuję go w czystości, w porządku, przy życiu, jest skromny, ale wystarczający. Niczego w nim nie brakuje.

– Jesteś nam potrzebna, córeczko. Jesteś potrzebna twoim synom.

Laura objęła ją, ucałowała, nic nie powiedziała. Nie chciała przypominać matce, że one, matka i córka, mieszkały dwanaście lat same w Catemaco, z dala od ojca Fernanda i brata Santiago, i że tamte powody z przeszłości mogły odbić się na jej obecnej decyzji. A jednak wczorajsza terażniejszość nie była dzisiejszą przeszłością. Przez myśl przemknęły Laurze przyjęcia u Carmen Cortiny, myśli biegły szybko, jak bezdomne psy wokół stacji kolejowej; być może psy w tajemnicy podziwiały prędkość lokomotywy; być może goście Carmen Cortiny byli tylko inną sforą bezdomnych zwierząt.

– Chłopcy są w szkole. Niedługo przyjdą.

– Jak im idzie nauka?

– Chodzą do panien Ramos, oczywiście.

Chciała wykrzyknąć: „Mój Boże, to one jeszcze żyją”, ale to też byłoby nie na miejscu, *faux pas*, jak powiedziałyby Carmen Cortina, której świat zdawał się teraz rozpląwać w coraz mniej widzialnej, nierealnej oddali. Laura uśmiechnęła się w myślach. W ciągu półtora roku jej romansu z Orlandem Ximenezem to był jej świat codzienny, a raczej conocny, ich wspólny świat.

Laura i Orlando. Jakże inaczej brzmiały te dwa imiona obok siebie tutaj, w domu w Xalapie, w stanie Veracruz, gdzie ożywała pamięć pierwszego Santiago. Zdziwiła się na tę myśl, gdyż jej brat został zastrzelony w wieku dwudziestu jeden lat, a do pokoju wchodził właśnie z tornistrem na ramieniu inny Santiago, dwunastoletni kawaler, o poważnej jak z portretu twarzy, oznajmiając bez żadnego wstępu:

– Danton został za karę w szkole. Musi zapisać dwadzieścia stron bez jednego kleksa.

Panny Ramos były wciąż takie same. Santiago nie widział swojej matki przez cztery lata, a jednak od razu wiedział, że to ona. Nie podbiegł, żeby ją uściskać. Począł, aż podejdzie i

schyli się nad nim, żeby go pocałować. Na jego twarzy nie było żadnej reakcji. Laura rzuciła błagalne spojrzenie ku pozostałym kobietom.

– To cały Santiago – powiedziała Mutti Letycja. – Nie znam dziecka bardziej poważnego niż on.

– Mogę odejść? Mam dużo lekcji.

Pocałował Laurę w rękę – kto go tego nauczył, panny Ramos, czy też ta uprzejmość, ten dystans były u niego wrodzone? – i wybiegł, podskakując. Laurę ucieszyło to jego dziecinne zachowanie; jej syn wbiegał i wybiegał w podskokach, chociaż wyrażał się jak sędzia.

Kolacja była rozwlekła i nużąca. Danton przekazał przez służącą, że będzie spał u kolegi, a Laura nie chciała pozować na aktywną i wyemancypowaną mieszkankę stolicy ani zakłócać drzemki, która wytrącała z grona przytomnych coraz to inną ciotkę, ani urazić, za nic na świecie, godnej podziwu, nerwowej krzątającej matki, gdyż Letycja gotowała, biegła, usługiwała, a Murzyn Zampayita podśpiewywał na podwórzu i z braku rozmowy jakaś szczególnie woń, woń taniego pensjonatu, zaczęła zajmować całą przestrzeń; był to martwy zapach wielu samotnych nocy, wielu pospiesznych wizyt, wielu zakamarków, gdzie pomimo wysiłków matki i miotły Zampayity nawarstwiały się kurz, czas, zapomnienie.

Tym razem nie było gości, chociaż zawsze w ciągu tygodnia znalazł się jeden albo i dwóch i dzięki pieniądzom przysyłanym przez Laurę na utrzymanie dzieci można było jakoś skromnie egzystować; córka słuchała matki z coraz większą zgryzotą, jakże chciałyby znaleźć się z nią sam na sam, ze swoją matką, Letycją, ale też z każdą z pozostałych kobiet z tego domu bez mężczyzn i potrząsnąć nimi tak, by opadła z nich apatia wiecznej drzemki. Ale już sama myśl o tym była dla nich obraźliwa, a do tego był to fałsz ze strony Laury, która przez dwa lata żyła na łasce Elizabeth, dzieląc miesięczną pensję od Juana Francisco, deputowanego z ramienia CROM-u, na spłatę długu wobec przyjaciółki, wydatki osobiste i jakieś sumki dla dzieci przygarniętych w Xalapie. W tym czasie ona kładła się spać o trzeciej nad ranem, wstawiała o dwunastej w południe, nigdy nie słyszała, kiedy budził się Orlando i wychodził na swoje tajemnicze zajęcia; czytając w łóżku, oszukiwała samą siebie: wmawiała sobie, że nie traci czasu, że się rozwija, że czyta to, czego nie zdążyła przeczytać we wczesnej młodości, że odkryła Cariosa Pellicera, przeczytała Nerudę, Lorke, sięgnęła do Que veda, Garcilasa de la Vega... chodziła z Orlandem na koncerty do Bellas Artes, gdzie Carlos Chávez dyrygował orkiestrą grającą utwory zupełnie jej nieznanne, gdyż w jej pamięci unosiła się jak woń perfum muzyka Chopina grana przez ciotkę Hildę w Catemaco, a teraz w jednej ogromnej muzycznej mszy mieszały się Bach, Beethoven i Berlioz, Ponce, Revueltas i Villalobos; nie, nie traciła czasu na przyjęciach u Carmen Cortiny, czytając książki albo słuchając koncertów, jednocześnie zastanawiała się głęboko, wnikliwie – tak sobie tłumaczyła – nad swoim miejscem w świecie, próbowała zrozumieć zmiany, jakie nastąpiły w jej życiu, wyznaczyć trwałe cele na przyszłość, pewniejsze niż to łatwe rozwiązanie (tak myślała teraz, leżąc na swoim łóżku jeszcze z czasów szkolnych, znowu przytulona do Li Po), jakim było małżeństwo z Juanem Francisco, a nawet to bardzo przyjemne cygańskie życie z Orlandem: chciała dla swoich synów Dantona i Santiago czegoś lepszego, chciała, żeby mieli matkę bardziej dojrzałą, bardziej pewną siebie...

Wróciła do domu, to było najlepsze, co mogła zrobić – wrócić do korzeni, i teraz popijała musującą lemoniadę w „La Jalapeña”, lokalu prowadzonym przez Antonia C. Baeza, który zapewniał swoich klientów: „Nasz zakład nie słodzi napojów sacharyną”, oglądała wystawy w magazynach Braci Ollivier, nadal reklamujące gorsety „Opera”, i w księgami La Moderna don Raula Basañeza przerzucała ilustrowane europejskie pisma, na które jej ojciec, Fernando Díaz, tak wyczekiwał każdego miesiąca na nabrzeżu w Veracruz. Weszła do domu towarowego Wagner i Li even naprzeciwko parku Juareza i kupiła ciotce Hildzie partytury Maurycego Ravela, kompozytora, którego ciotka, być może, jeszcze nie знаła, a którego ona i Orlando słyszeli na koncercie pod batutą Cariosa Chaveza w Bellas Artes.

One zachowywały się, jakby nic się nie stało. To była ich siła. Wciąż przebywały na plantacji kawy Felipe Kelsena, urodzonego w Darmstadtzie w Nadrenii. Ich ręce poruszały się na stole tak, jakby sztucce były ze srebra, a nie z cyny, talerze z porcelany, a nie z fajansu, obrus z lnu, a nie z grubej bawełny; było jednak coś konkretnego, z czego nie zrezygnowały. Każda z kobiet miała własną lnianą serwetkę wy krochmaloną, starannie zwiniętą w rulon i objętą srebrną obrączką z wypukłymi inicjałami każdej z nich – V, H, MO i L – wygrawerowanymi w artystyczne zawijasy. Była to pierwsza rzecz, jaką brały do ręki, kiedy siadały na swoim miejscu przy stole. To była ich duma, ich koło ratunkowe, ich pieczęć rodowa. To była kasta Kelsenów, ważniejsza niż małżeństwo, niż utwierdzone staropanieństwo, niż śmierć. Srebrna obrączka oznaczała osobowość, tradycję, pamięć, siłę wszystkich tych kobiet razem i każdej z osobna.

Srebrna obrączka na zwiniętej w rulon serwetce, bielutkiej, szeleszczącej krochmalem; przy stole zachowywały się tak, jakby nic się nie stało.

Laura zaczęła szukać sposobności, by zostać z każdą z nich sam na sam, mając wrażenie, że na nie poluje jak na nerwowe i bojaźliwe ptaki z dwóch minionych epok, z czasu, który należał do niej, i z czasu, który należał do każdej z nich... Virginia i Hilda były do siebie bardziej podobne, niż sądziły. Z ciotki pianistki, po kolejnej skardze na ojca Felipe Kelsena, że nie pozwolił jej studiować muzyki w Niemczech, Laura wydobyla skargę skrywaną znacznie głębiej: ach, Lauro, nikt mnie nie chciał, jestem beznadziejną starą panną, a wiesz, dlaczego? Bo zawsze sądziłam, że wszyscy mężczyźni będą mnie pragnąć, jeżeli nie zostawię im żadnej nadziei. Na święcie Matki Boskiej Gromnicznej w Tlacotalpan – tam poznali się twoi rodzice, pamiętasz? – pretendenci do mojej ręki nie dawali mi spokoju, a ja, z czystej pychy, obrałam sobie za punkt honoru przekonać ich, że jestem niedostępna.

– Tak mi przykro, Ricardo. W przyszłą sobotę wyjeżdżam do Niemiec studiować grę na pianinie.

– Jesteś bardzo miły, Heriberto, ale ja już mam narzeczonego w Niemczech. Piszemy do siebie codziennie. Wkrótce tu przyjedzie albo ja wrócę tam, do niego...

– Nie, Alberto, nie dlatego, że mi się nie podobasz, ale nie dorównujesz mi poziomem. Możesz mnie pocałować, jeśli chcesz, ale będzie to pocałunek pożegnalny.

Kiedy następnego roku zjawiała się w święto Matki Boskiej Gromnicznej bez narzeczonego, Ricardo nie szczędził jej docinków, Heriberto prowadził się z miejscową narzeczoną, a Alberto już był żonaty... Oczy ciotki Hildy w kolorze ultramaryny napełniały się łzami, które spływały jej spod grubych okularów, mokrych jak spowita mgłą szosa do Perote, i ciotka kończyła jak zwykle radą: nie zapominaj o starych ludziach, kochanie, młodym brakuje miłosierdzia, nie myśl o innych...

Ciotka Virginia zmuszała samą siebie do przechadzek po podwórzu – już nie mogła wychodzić na ulicę, miała obawy, zupełnie zrozumiałe u starszych osób, że upadnie, złamie nogę i nie podniesie się aż do Sądu Ostatecznego. Godzinami pudrowała się i dopiero kiedy czuła się idealnie zadbana, wychodziła na swój spacer wokół podwórka, recytując bezgłośnie własne, a może cudze wiersze, czego nie sposób było sprawdzić.

– Mogę ci potowarzyszyć, ciciu Virginio?

– Nie, nie możesz.

– Dlaczego?

– Bo to robisz z litości. Nie życzę sobie.

– Nie. Ze zwykłej czułości.

– Przestań, nie przyzwyczajaj mnie do współczujących gestów. Strasznie się boję, że zostanę ostatnia w tym domu i będę umierała samotnie. Jeśli zadzwonię do ciebie do Meksyku, przyjedziesz, żeby mi zaoszczędzić śmierci w samotności?

– Tak, obiecuję.

– Gadanie. Tego dnia będziesz miała coś niezwykle ważnego do załatwienia, będziesz gdzieś daleko wywijać fokstrota i guzik cię zainteresuje, czy żyję, czy nie.

– Ciociu Virginio, przysięgam.

– Nie przysięgaj nadaremno, grzesznico. Po co rodziłaś dzieci, jeśli się nimi nie opiekujesz? Nie obiecywałaś, że będziesz je wychowywać?

– Życie jest trudne, ciociu. Czasami...

– Daj spokój, to, co naprawdę trudne, to kochać ludzi, swoich bliskich, rozumiesz? Nie opuszczać ich, nie zmuszać nikogo, żeby przed śmiercią zebrał o odrobinę miłości, *sacrebleu!*

Zatrzymała się i spojrzała na Laurę oczami błyszczącymi jak czarne diamenty, błyszczącymi tym bardziej, że wokół pełno było kurzu.

– Nie kiwnęłaś palcem, żeby minister Vasconcelos opublikował moje wiersze. To tak spełniasz swoje obietnice, niewdzięcznico. Umrę i nikt oprócz mnie nie będzie znał mojej poezji...

Z groźną miną odwróciła się do siostrzenicy plecami.

Laura zwierzyła się z rozmowy z ciotką Virginia Marii de la O, która powiedziała jej tylko: trochę współczucia, kochanie, współczucia dla starych ludzi cierpiących na brak miłości i szacunku...

– Ty jedna tylko wiesz, jak było naprawdę, cioteczko. Powiedz mi, co powinnam zrobić?

– Muszę się zastanowić. Nie chcę strzelić jakiegoś głupstwa. Popatrzyła na swoje spuchnięte kostki i nagle dostała ataku śmiechu.

W nocy Laurę dręczył ból i strach, nie mogła usnąć i spacerowała samotnie po podwórzu, tak jak ciotka Virginia za dnia, boso, żeby nie robić hałasu i nie przerywać wydawanych przez sen szlochów i krzyków, które dobiegały z pokojów zajmowanych przez cztery siostry...

Która odejdzie pierwsza? Która ostatnia? Laura przysięgała sobie w duchu, że gdziekolwiek będzie, zajmie się ostatnią z sióstr, że tę, która przeżyje pozostałe, weźmie do siebie albo przyjedzie tutaj, żeby jej towarzyszyć, nie pozwoli, żeby miała rację ciotka Virginia, mówiąc: „Strasznie się boję, że zostanę ostatnia w tym domu i będę umierała samotnie”.

Nocne podwórko, gdzie spotykały się senne koszmary czterech starych kobiet.

Laura z trudem włączała swoją matkę w ten upiorny chór. Zawstydziała się własnej myśli, że gdyby któraś z nich miała zostać sama, oby była to Mutti albo Maria de la O. Ciotki Hilda i Virginia stały się maniaczkami i obie – ich siostrzenica nie miała co do tego wątpliwości – były dziewicami. Maria de la O nie.

– Matka zmuszała mnie, żebym spała z jej klientami, już jak miałam jedenaście lat...

Laura nie poczuła ani przerażenia, ani litości, kiedy cioteczka jej to wyznała; wiedziała, że ciepła i wielkoduszna Mulatka mówi o tym po to, żeby ona zdawała sobie sprawę, ile ta nieślubna córka Felipe Kelsena zawdzięcza zwykłej ludzkiej prawości babki Cosimy Reiter – w czym, mimo różnicy wieku, rasy i klasy społecznej, była do niej podobna – a także szlachetności ojca Laury, Fernanda Diaza.

Siostrzenica chciała objąć i ucałować ciotkę, kiedy ta powiedziała jej o tym wiele lat temu w domu przy Alei Sonora, ale Maria de la O powstrzymała ją gestem wyciągniętej ręki, nie chciała litości, i Laura zdołała tylko pocałować tę dłoń, która ją odpychała.

Pozostawała jeszcze Letycja, i Laura, teraz po powrocie do domu, pragnęła z całej duszy, aby to ona umarła ostatnia, gdyż to Mutti nigdy nie wydała z siebie słowa skargi, nie załamywała się, to ona utrzymywała w porządku cały dom i prowadziła pensjonat; Laura wyobrażała sobie, że gdyby jej zabrakło, pozostałe trzy byłyby zupełnie bezradne, snułyby się po domu jak pokutujące dusze, a na kuchni węglowej rosłyby stopy brudnych naczyń, chwasty zarastałyby podwórko, spiżarnie ziałyby głodową pustką, koty rozgościłyby się w całym domu, a zielone muchy pokryłyby brzęczącą maską uśpione twarze Virginii, Hildy i Marii de la O.

– Tak, wszystkich czeka przyszłość bez miłości – powiedziała nieoczekiwanie Letycja pewnego popołudnia, kiedy Laura pomagała jej zmywać naczynia po obiedzie, a po krótkiej chwili dodała, że cieszy się z jej powrotu do domu.

– Mutti, tak bardzo tęskniłam za moim dzieciństwem, zwłaszcza za domem, popatrz, jak to zostają w człowieku – choć jednocześnie z czasem się zacierają – wspomnienia sypialni, garderoby, dzbanka i miednicy do mycia rąk, tych okropnych obrazków z łobuziakiem i psem, które trzymasz nie wiem po co...

Nic mi tak nie przypomina twojego ojca jak one, nie wiem, dlaczego, przecież on nie miał w sobie nic...

– Z obrazka, czy z łobuziaka? – Laura się uśmiechnęła.

– To nieważne. Są rzeczy, które mi się z nim kojarzą. Za każdym razem, kiedy siadam do stołu, widzę go na honorowym miejscu, z tymi obrazkami nad głową...

– Bardzo się kochaliście?

– Bardzo się kochamy, Lauro.

Wzięła córkę za rękę i zapytała, czy wierzy, że przeszłość skazuje nas na śmierć.

– Któregoś dnia zrozumiesz, jak ważna jest przeszłość, żeby móc dalej żyć i żeby ludzie, którzy się kochali, mogli nadal się kochać.

Chociaż Laurze udało się odzyskać bliski kontakt z przeszłością, nie potrafiła nawiązać prawdziwego kontaktu z własnymi dziećmi. Santiago, uprzedzająco grzeczny i nad wiek poważny, był małym dżentelmenem w każdym calu. Danton natomiast, małe diablątko, matki nie traktował ani poważnie, ani niepoważnie: ot, jeszcze jedna ciotka w tym gineceum bez sułtana. Laura nie umiała z nimi rozmawiać ani niczym ich przyciągnąć do siebie i czuła, że to wina jej, a nie synów, jej emocjonalnej pustki, którą sama będzie musiała w sobie zapełnić.

To raczej jej młodszy, jedenastoletni syn zachowywał się w domu tak, jakby był sułtanem, udzielnym księciem, który nie musi niczego udowadniać, żeby móc kapryścić i wymagać, i robił to za przyzwoleniem czterech kobiet, które trochę się go bały, w przeciwieństwie do jego brata, na którego patrzyły z prawdziwą czułością. Danton zdawał się chlubić tą niemal lękliwą powściągliwością, z jaką traktowały go ciotki i babka, chociaż Maria de la O któregoś razu mruknęła pod nosem: ten smarkacz zasługuje na parę klapsów, a babka Letycja – kiedy nie uprzedził, że nie wróci na noc – nawet mu je wymierzyła, na co chłopak oznajmił, że tej obrazę nigdy jej nie zapomni.

– Ja cię nie obraziłam, nicponiu, ja ci po prostu złałam tyłek. Obrazę zachowam sobie dla ważniejszych osób, smarkaczu.

Laura po raz pierwszy zobaczyła, że matka straciła panowanie nad sobą, i w tym momencie uświadomiła sobie cały niedostatek własnego autorytetu i tego wszystkiego, czego brak zaczął odciskać piętno na jej życiu, tak jakby to ona zasłużyła na lanie od swojej matki, gdyż to nie ona wymierzała karę swojemu zbuntowanemu synowi.

Santiago przyglądał się temu wszystkiemu z powagą i czasem wydawało się, że patrząc na swojego młodszego brata, powstrzymuje westchnienie pełne rezygnacji, ale też i dezaprobaty.

Laura próbowała wciągnąć ich obu do jakiejś zabawy, zabierać na wspólne spacer. Napotykała nieprzejeźdny opór każdego z nich. Nie obraziła się, to nie ją odrzucali, odrzucali siebie nawzajem, jak przeciwnicy z dwóch stron barykady. Laura przypominała sobie stare rodzinne sprzeczki pomiędzy zwolennikami aliantów i zwolennikami Niemiec w czasie wojny, ale jedno z drugim nie miało nic wspólnego, tu była wojna charakterów, osobowości. Do kogo był podobny starszy Santiago, a do kogo młodszy Danton (powinni się nazywać odwrotnie, Danton starszy i Santiago młodszy; czy Santiago drugi będzie taki jak jego wuj rozstrzelany za młodu, po ukończeniu dwudziestego roku życia? Czy Danton będzie tak ambitny jak jego ojciec Juan Francisco, ale silniejszy? Bo Juan Francisco jest ambitny, ale słaby, wystarczało mu tak niewiele).

Nie umiała z nimi rozmawiać, nie umiała ich do siebie przyciągnąć i czuła, że to wina jej, a nie synów, jej emocjonalnej pustki, którą sama będzie musiała w sobie zapełnić.

– Obiecuję ci, Mutti – powiedziała Laura na pożegnanie – że tak ureguluję własne życie, aby chłopcy mogli do nas wrócić.

Położyła nacisk na liczbie mnogiej i Letycja uniosła brew z udawanym zdziwieniem, miała za złe córce to fałszywe „nas”, mówiąc jej bez słów: „Różnica pomiędzy wami a twoim ojcem i mną jest taka, że my znosiliśmy rozłąkę, bo łączyła nas wielka miłość...” Ale Laurę ogarnęło dojmujące, niechciane przeczucie, kiedy powtórzyła: „Do nas. Do mnie i do Juana Francisco”.

Kiedy wsiadała do pociągu, którym miała wrócić do Meksyku, wiedziała, że to było kłamstwo, że będzie próbowała zorganizować życie sobie i dzieciom bez Juana Francisco, że powrót do męża byłby rozwiązaniem łatwym i najgorszym dla przyszłości synów.

Opuściła szybko w oknie przedziału i zobaczyła ich siedzących w samochodzie. Była to ta sama isotta-fraschini, którą Xavier Icaza w geście eleganckim, choć niepotrzebnym ofiarował Laurze i Juanowi Francisco na prezent ślubny, a która została w spadku, też niepotrzebnym, czterem siostrzycy Kelsen. One już nie wychodziły z domu i pozwalały, żeby Murzyn Zampayita poafiszował się w nim od czasu do czasu albo zabrał nim dzieci na wycieczkę. Zobaczyła cztery siostry Kelsen, które zdobyły się na najwyższy wysiłek i przyjechały razem z dziećmi, by ją pożegnać. Danton nie patrzył na nią, przez nos i usta wydawał dziwaczne dźwięki, udając, że prowadzi samochód. Laura nigdy nie zapomni, jak popatrzył na nią Santiago. Dziecko było blade jak trup.

Pociąg ruszył i Laura poczuła nagle ukłucie żalu. Nie za czterema kobietami z domu w Xalapie. Li Po! Zapomniała o Li Po! Gdzie była teraz chińska laleczka, dlaczego nigdy jej nie szukała, nie pomyślała o niej? Chciała krzyknąć, pytać, pociąg się oddalał, powiewały chusteczki.

Wyobrażasz sobie przywódcę robotników, który ma w garażu luksusowy europejski samochód? To nie do przyjęcia, Lauro. Oddaj go mamie i ciotkom.

X. Detroit: 1932

Po powrocie z Xalapy czekała na nią w hotelu Regis wiadomość od Orlanda. Oczekiwała jej.

LAURO UKOCHANA, NIE JESTEM ANI TYM, ZA KOGO SIĘ PODAJĘ, ANI TYM, NA KOGO WYGLĄDAM, I WOLĘ ZACHOWAĆ MÓJ SEKRET ZNALAZŁAŚ SIĘ ZBYT BLISKO TAJEMNICY TWOJEGO ORLANDA A BEZ TAJEMNICY NASZA MIŁOŚĆ STRACI CAŁY UROK. ZAWSZE BĘDĘ CIĘ KOCHAŁ...

W recepcji poinformowano ją, że nie ma pośpiechu z opuszczeniem pokoju, bo pani Cortina opłaciła wszystko do przyszłego tygodnia.

Tak, pani Carmen Cortina. To ona płaci za pokój, który zajmuje pani i jej przyjaciel, pan Ximénez. W końcu od trzech lat płaci ona panu Ximenezowi.

Czyj przyjaciel – chciała zapytać jak idiotka – przyjaciel w jakim sensie? Przyjaciel Laury, przyjaciel Carmen? Czyj kochanek? Może obu?

Teraz, w Detroit, przypominała sobie to straszne uczucie braku oparcia, które przytłoczyło ją w tamtej chwili, naglącą potrzebę współczucia, „mój głód litości”, i swoją natychmiastową decyzję – tak karkołomną, jak bezdenne była rozpacz, która ją wywołała – żeby zjawić się w domu Diega Rivery na Coyoacán i powiedzieć mu:

– Oto jestem, pamiętasz mnie? Potrzebuję pracy, potrzebuję dachu nad głową, proszę, przyjmij mnie, mistrzu.

– Ach, dziewczyna w żałobie.

– Tak, dlatego znowu ubrałam się na czarno. Pamiętasz mnie?

– W dalszym ciągu sądzę, że to okropne, i nadal mi to przeszkadza. Powiedz Fridzie, żeby ci pożyczyła coś bardziej kolorowego, i wtedy porozmawiamy. W każdym razie uważam, że się bardzo zmieniłaś i że jesteś bardzo ładna.

– Ja też tak myślę – usłyszała za swoimi plecami melodyjny głos, i do pracowni weszła Frida Kahlo, pobrzękując koralami, medalionami i pierścionkami, zwłaszcza pierścionków miała dużo, po jednym na każdym palcu, a na niektórych po dwa. Laura Díaz przypomniła sobie wypadek babki Cosimy Kelsen i, widząc tę niepospolitą kobietę o czarnych zrosniętych brwiach, z tasiemkami w czarnych splecionych włosach, w szerokiej chłopskiej spódnicy, pomyślała, że Uwodziciel z Papantli ukradł pierścionki babce Cosimie tylko po to, żeby je podarować swojej kochance Fridzie, gdyż widok żony Rivery nasunął Laurze myśl, że to ona jest boginią przemian, odkrytą przez Laurę i dziadka Felipe Kelsena w gąszczu veracruzanskiej dżungli, postacią należącą do kultury Zapotal, której dziadek Kelsen chciał odebrać boskość, zmienić ją w zwykłe drzewo ceiby, żeby mała Laura nie zwracała sobie głowy fantazjami.,, cudowna postać kobieca ze wzrokiem utkwionym w wieczność, opleciona girlandami ślimaków i węży, z koroną w kolorze dżungli na głowie, ozdobiona sznurami koralu i pierścieniami, i bransoletami na ramionach, kolczykami w nosie, w uszach... Ceiba, wbrew temu, co mówił dziadek, była bardziej niebezpieczna niż ta kobieta. Ceiba była naszpikowana kolcami. Nie można jej było dotknąć. Nie można jej było objąć.

Czy Frida Kahlo to było imię chwilowo używane przez indiańską boginię, która od czasu do czasu przybierała ludzką postać i ukazywała się to tu, to tam, żeby kochać się z powstańcami, z bandytami i artystami?

– Niech pracuje ze mną – powiedziała władcym tonem Frida; schodziła po schodach do pracowni, uważnie obserwując rozbiegany wzrok Rivery i głęboko osadzone oczy Laury, która w tym momencie, czując na sobie spojrzenie Fridy, przyjrzała się sobie samej, patrzyła na Laurę Díaz przyglądającą się Laurze Díaz, zobaczyła siebie całkiem odmienioną, nowy charakter kształtował się w starej fizjonomii, która także miała zostać odmieniona, a nawet zapomniana przez nią samą, widziała rzeźbione rysy twarzy, szczupłej i silnej, z wysoko umieszczonym długim, wydatnym nosem, strzeżonym z obu stron przez dwoje oczu coraz bardziej melancholijnych, pod nimi głębokie cienie jak jeziora niepewności, zatrzymane tuż nad bladymi policzkami, ożywionymi karminem wąskich warg, teraz surowych, jakby cała sylwetka Laury stała się bardziej gotycka, bardziej posągowa przez sam kontrast z postacią Fridy, żony Diega Rivery, podobnej do rośliny, która choć nie wyda owocu, kwitnie i pleni się bujnie.

– Niech pracuje przy mnie... w Detroit będę kogoś potrzebowała, ty będziesz malował, a ja, przecież wiesz...

Zrobiła nieuważny krok i straciła równowagę; Laura podbiegła z pomocą, chwyciła ją w ramiona: nic się pani nie stało? Kiedy niechcący dotknęła jej uda, poczuła, że dotyka wątlej, wyschniętej nogi, i to odkrycie zostało potwierdzone i złagodzone spojrzeniem pełnym tęsknoty, wyzywającym, lecz jednocześnie bezradnym wobec cierpienia, które obie kobiety, nie wiedząc dlaczego, wymieniły między sobą. Rivera roześmiał się.

– Nie martw się. Nie miałem zamiaru nawet jej dotknąć, maleńka. Cała jest twoja. Wyobraź sobie, ta dziewczyna też jest Niemką, jak ty. Jedna Walkiria już mi wystarczy, przysięgam.

Laura spodobała się Fridzie od razu, ta zaprosiła ją do swojej sypialni i pierwsze, co zrobiła, to wyciągnęła lustro w emaliowanej ramie pomalowanej na kolor indy go.

– Widzisz, dziewczyno, jaka jesteś śliczna, wykorzystaj to, wiesz, że jesteś niepospolita, rzadko się spotyka takie wysokie, piękne kobiety o profilu jakby wyrąbanym maczetą, z wydatnym nosem, o głęboko osadzonych, podkrążonych oczach. Czy ten Orlando naprawdę myśli, że może zdjąć żałobę z twojego spojrzenia?

– Skąd pani wie?

– Przekrój ten nugat. Nasze miasto to wioska. Wszyscy wszystko wiedzą.

Poprawiła poduszki na łóżku z malowanymi narożnymi słupkami i kiedy Laura pomagała jej pakować rzeczy, od razu powiedziała:

– Jutro rano jedziemy do Gringolandii. Diego będzie malował mural w Instytucie Sztuki w Detroit. Na zamówienie Henry'ego Forda, wyobraź sobie. Chyba wiesz, na co się naraża. Tutejsi komuniści atakują go za to, że przyjmuje pieniądze od kapitalistów. Tamtejsi kapitaliści za to, że jest komunistą. A ja twierdzę, że artysta jest ponad tymi wszystkimi pieprzonymi idiotyzmami. Liczy się tylko dzieło. Jemu nic nie zaszkodzi, ono zostaje i przemawia do ludu, kiedy politycy i krytycy wychodzą sobie na piwo. Masz własne ubranie? Nie chcę, żebyś mnie naśladowała. Już wiesz, że stroję się jak kukielka, bo taką mam fantazję, ale też dlatego, żeby ukryć chorą nogę i utykający chód. Kto kulawy, do zabawy, powtarzam sobie, kiedy szlag mnie trafia – powiedziała Frida, gładząc ciemny meszek nad górną wargą.

Laura wróciła z niewielką walizką – czy Fridzie będą się podobały jej modele od Balenciagi i Schiaparellego, kupione razem z Elizabeth i dzięki szczodrości Elizabeth, czy powinna wrócić do mniej wyszukanego stylu? Intuicja natychmiast podpowiedziała jej, że kobieta tak wystylizowana i efektowna właśnie przez to samo szuka u innych prostoty. To jest

jej sposób, by inni zaakceptowali prostotę w tak niezwykłym zjawisku, jakim była ona sama, Frida Khalo.

Frida ucałowała na pożegnanie swoje bezwłose psy rasy *ixcuintle* i wszyscy wsiedli do pociągu jadącego do Detroit.

Druga podróż przez pustynne tereny północnego Meksyku, przecinane rzędami agaw, przypomniała Riverze wiersz młodego poety Salvadora Novo *Pięćset agaw robi szwedzką gimnastykę*, ale Frida powiedziała, że to typ spod ciemnej gwiazdy, żeby się go wystrzegać, że ma kąśliwy język, taka wredna ciota, nie jak te miłe i wrażliwe znajome pedały z jej otoczenia.

Rivera roześmiał się.

– Jeśli jest zły, to im gorszy, tym lepszy.

– Uważaj na niego. To jeden z tych Meksykanów, którzy sprzedaliby własną matkę, byleby tylko kogoś ośmieszyć. Wiesz, co mi powiedział któregoś dnia na wystawie niejakiego Tizoca? „Żegnaj, Pawłowa”. „Żegnaj, Jebiec” – odpaliłam, i poszedł jak niepyszny.

– Ależ ty jesteś pamiętliwa, małeńka. Jeśli będziesz mówiła źle o Novo, dajesz mu prawo mówić źle o nas.

– A bo tego nie robi? O tobie nie mówi inaczej niż rogacz, a mnie nazywa Frida Kulas.

– Nieważne, Frido. To złośliwość, plotka, anegdota. Pozostaje pisarz Novo. Pozostaje malarz Rivera. Pozostaje życie. Anegdota przemija.

– W porządku, Diego. Podaj mi ukulele. Zaśpiewamy pieśń Misteków. To najbardziej lubię śpiewać, kiedy przejeżdżam przez Meksyk.

Jakże daleko ziemia, która mnie zrodziła.

Jaka wielka tęsknota serce moje ściska...

Mieli przesiadkę na granicy, potem w St. Louis Missouri, a stamtąd już prosto jechali do Detroit. Frida śpiewała i grała na ukulele, opowiadała nieprzyzwoite dowcipy, a kiedy zapadał zmrok i Diego zasypiał, patrzyła na bezkresną amerykańską równinę uciekającą za oknem i mówiła o stukocie lokomotywy, o jej sercu z żelaza, którego bicie podniecało ją, bo było w nim tyle życia, a jednocześnie tyle destrukcyjnej siły, jak to w każdej maszynie.

– Kiedy byłam podlotkiem, przebierałam się za chłopaka i razem z kumplami urządzałam zadymy na lekcjach filozofii. Naszą paczkę nazywaliśmy Kaszkieciarze. To były dobre czasy, uwolniłam się od konwenansów własnej klasy i w grupie chłopców, którzy tak samo jak ja kochali Meksyk, łaziliśmy bez przerwy po parkach, po różnych dzielnicach, uczyliśmy się go, jakby to była książka, od knajpy do knajpy, od straganu do straganu, poznawaliśmy to miasto małe i piękne, niebieskie i różowe, jego urocze dzikie parki z cichymi kochankami, szerokie aleje i ciemne zaułki pełne niespodzianek...

Kiedy mijali równiny stanu Kansas i rozległe tereny Missisipi, opowiedziała Laurze całe swoje życie, pociągało ją mroczne miasto, odkrywała jego smaki i zapachy, ale głównie szukała towarzystwa, przyjaźni, sposobu, żeby posłać samotność do diabła, być częścią ferajny, ustrzec się przed kanalami, Lauro, bo w Meksyku wystarczy się wychylić, żeby cały pułk karłów skrócił cię o głowę.

– To zawiść i samotność – powtarzała ta kobieta o słodkich oczach pod agresywnymi brwiami, wpinając we włosy róże na kształt korony, i oglądała w kolejowym lusterku swoje kunsztowne uczesanie ozdobione kwiatami i zachód słońca nad wielką rzeką płynącą wśród łąk, „matką rzek”. Pachniało węglem, szlamem, nawozem, urodzajną ziemią.

– Z bandą Kaszkieciarzy robiliśmy niezłe numery, na przykład kradliśmy tramwaje i zmuszaliśmy policję, żeby ganiała za nami jak w filmach Bustera Keatona, które najbardziej lubię. Kto by mógł przypuszczać, że jeden z tramwajów zemści się kiedyś na mnie za to, że porywałam mu pisklęta, bo my, Kaszkieciarze, kradliśmy tramwaje opuszczone, porzucone

gdzieś na bocznicę. Nikomu niczego nie odbieraliśmy, a zyskiwaliśmy tyle swobody, że mogliśmy w nocy przejechać pół miasta według naszego widzimisię, jeździliśmy, gdzie chcieliśmy, tyle że siłą rzeczy tkwiliśmy w sieci szyn, od szyn nigdy się nie uwolnisz, to jest cały sekret, trzeba przyjąć, że szyny istnieją, ale wykorzystać je, żeby uciec, zdobyć wolność...

Wielka rzeka, szeroka jak morze, dająca początek wszystkim wodom na ziemi straconej przez Indian, niosąca wodę, w której możesz się kąpać, która cię przyjmie z radością, obejmie, utuli, ochłodzi, ona rządzi się przestrzenią dokładnie tak, jak sobie to obmyślił Pan Bóg; woda to boska materia przyjazna człowiekowi, w przeciwieństwie do materii stałej, która go odrzuca, rani, przeszywa.

Było to we wrześniu tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku, siedem lat temu. Na autobus, którym jechałam z Coyoacán od moich rodziców, wpadł tramwaj i strzaskał mi kręgosłup, szyję, zebra, miednicę, naruszył cały system centralny mojego organizmu. Przemieścił mi lewy bark – jak dobrze to kryje ta bluzka z bufiastymi rękawami, prawda? No więc jedna noga już nigdy mi nie wydobrzeje. Poręcz tramwaju przeszyła mi plecy i wyszła pochwą. Uderzenie było tak straszliwe, że zdarło ze mnie całe ubranie, możesz to sobie wyobrazić? Ubranie po prostu się ulotniło, a ja leżałam rozdarta, przebita i zakrwawiona. Ale wtedy, Lauro, stało się coś najbardziej zadziwiającego. Spadł na mnie złoty deszcz. Moje leżące, nagie i poszarpane ciało pokryło się złotym proszkiem.

Zapaliła papierosa marki Alas i wypuściła kłęb dymu.

– Jakiś rzemieślnik miał przy sobie w autobusie paczki ze sproszkowanym złotem, kiedy to wszystko pieprznęło. Leżałam połamana, ale zasypana złotem. Jak ci się to podoba?

Laurze wydawało się, iż podróż do Detroit w towarzystwie Fridy i Diega wypełnia jej egzystencję do tego stopnia, że już nie ma czasu na nic innego – ani na myślenie o Xalapie, o matce, dzieciach i ciotkach, ani o mężu, kochanku, kochance swojego kochanka, Carmen, „przyjaciółce” Elizabeth, wszystko to zostało tak daleko jak smutna i biedna granica w Laredo, a wcześniej pustynia i wyżyna, gdzie najważniejszą sprawą, powtarzała Frida, była umiejętność „obrony przed kanałiami”.

Patrząc na śpiącą Fridę, Laura zadawała sobie pytanie, czy Frida broniła się sama, czy potrzebowała do tego Diega, człowieka niewzruszonego jak skała, twórcy swojej własnej prawdy, ale też swojego własnego kłamstwa. Chciała sobie wyobrazić, co o takim człowieku powiedzieliby mężczyźni jej życia, ci wyznawcy ładu i zasad moralnych: dziadek Felipe i ojciec Fernando, ten mały karierowicz – mąż Juan Francisco, niespełniona nadzieja – brat Santiago, niewyartykułowane jeszcze nadzieje – synowie Danton i drugi Santiago, ta wieczna tajemnica – Orlando, i żeby to koło zamknąć i zacząć na nowo – co powiedziałyby ów niemoralny człowiek, jakim był również dziadek Felipe, który potrafił porzucić swoją nieślubną córkę, Mulatkę: co stałoby się z tą ciepłą, uwielbianą cioteczką Marią de la O, gdyby nie uratowała jej silna wola babki Cosimy i równie uparte miłosierdzie ojca Fernanda?

Rivera, siedząc przy oknie w wagonie restauracyjnym, opowiadał niestworzone rzeczy o swoim pochodzeniu – czasami był synem zakonniczy i zakochanej w niej ropuchy, czasami kapitana wojsk konserwatywnych i szalonej cesarzowej Carloty, wspominał porywające czasy spędzone w Paryżu obok Picassa, Modiglianiego i Rosjanina liii Erenburga, który opublikował powieść o paryskim życiu Rivery zatytułowaną *Przygody Meksykanina Julia Jurenity*, gdzie opowiada o jego azteckich kulinarnych upodobaniach do ludzkiego mięsa, najchętniej pochodzenia tlaxcalteckiego – ci najwięksi zdrajcy zasługiwali na to, żeby ich obsmażać na świńskim smalcu – kłamstwa, przez cały czas kłamstwa, przed sobą na stole w salonie wagonu restauracyjnego miał rozłożone wielkie arkusze i szkicował zamaszystą linią szczegóły muralu w Detroit, apologii współczesnego przemysłu. Dla Laury był on ekscytującą nowością, mężczyzną twórczym, pełnym fantazji, a jednocześnie zdyscyplinowanym, pracowitym jak murarz i rozmarzonym jak poeta, tak zabawnym jak

klown pod cyrkowym namiotem i w końcu tak okrutnym jak artysta, który musi być apodyktycznym władcą całego swojego czasu, bez żadnych względów dla innych, dla ich potrzeb, smutków, ich wołania o pomoc... Diego Rivera malował, i drzwi do świata i do ludzi zamykały się, ażeby w klatce sztuki mogły swobodnie unosić się formy, kolory, wspomnienia, hołdy dla dzieła, które choćby przypisywało sobie najróżniejsze cele społeczne czy polityczne, zawsze będzie częścią historii sztuki, a nie historii polityki, i będzie przydawać albo ujmować realności tradycji i za jej pośrednictwem tej rzeczywistości, którą zwykli śmiertelnicy uważają za autonomiczną i ulotną. Artysta wie lepiej: jego sztuka nie odwzorowuje rzeczywistości. Tworzy ją. I żeby sprostać temu zadaniu, nie liczy się ani szlachetność, ani troskliwość, ani stosunki z innymi ludźmi, jeśli miałyby to przerwać lub osłabić dzieło. Natomiast podłość, pogarda, najjaskrawszy egoizm są cnotą artysty, jeśli dzięki nim może się spełnić.

Czego szukał ten mężczyzna w kobiecie tak kruchej jak Frida Kahlo? Na czym polegała jej siła? Czy brała ją od Rivery, by w ten sposób zrównoważyć swoją słabość, czy najważniejsza była suma dwóch sił, która dawała jej fizycznej kruchości własne, niezależne i bolesne miejsce. A sam Diego czy był tak silny, jak wskazywałyby na to jego zewnętrznosc krzepkiego olbrzyma, czy tak słaby jak jego nagie ciało, różowe, nieowłosione, rozdęte, z małym jak u dziecka członkiem, który Laura zobaczyła kiedyś przypadkiem, otwierając zniecka drzwi do przedziału? Czy to nie okaleczona Frida dawała siłę jemu, temu jurnemu mężczyźnie, człowiekowi sukcesu?

To Frida, pierwsza z nich dwojga, zauważyła brak dobrego światła, ale powiedziała to tak, jakby powtarzała wypowiedzianą przez niego opinię, wiedząc, że będzie jej wdzięczny za to kłamstwo i że za chwilę zmieni je w odkrywczą własną prawdę Diega Rivery.

– Brakuje światła, brakuje cienia w tej Gringolandii. Jak świetnie to przewidziałeś, mój maleńki... – mówiła ze swadą, podczas gdy on wycofywał się, próbując zapomnieć, bo twój maleńki, Frido, twoje lustro nocy, zna tylko dwa światła na świecie, światło o zmierzchu w Paryżu, gdzie stałem się malarzem, i światło meksykańskiego płaskowyzu, gdzie stałem się mężczyzną, i to dlatego moje oczy są dwiema zielonymi szpadami w twoim ciele i zmieniają się w fale światła w twoich dłoniach, Frido...

Dlatego oboje przybyli ze stacji do hotelu z nastawieniem, że będą protestować, stwarzać problemy, nie zgadzać się, by cokolwiek przeszło niezauważone czy ugrzecznione. Detroit dało im tę przyjemność, już na samym początku dostarczyło im pożywki, stworzyło warunki – jemu do skandalu, jej do zabawy. Czekali na swoją kolej, by zakwaterować się w hotelowej recepcji. Para staruszków przed nimi została przez recepcjonistę odesłana z kwitkiem.

– Bardzo nam przykro. Tutaj nie przyjmujemy Żydów. Staruszkowie odeszli zmieszani, coś mruzcili pod nosem, nie mogli znaleźć nikogo, kto by im pomógł znieść walizki. Frida poprosiła o formularze do wypełnienia i napisała wielkimi literami PAN DIEGO RIVERA Z MAŁŻONKĄ, a niżej ich adres na Coyoacán, narodowość meksykańska, i jeszcze większymi literami: wyznanie ŻYDOWSKIE. Recepcjonista zdębiał. Nie wiedział, co powiedzieć. Frida wyręczyła go.

– Co się panu stało?

– My... my nie wiedzieliśmy.

– Czego państwo nie wiedzieli?

– Przepraszam panią, nie wiedzieliśmy, że wyznanie państwa...

– To więcej niż wyznanie. To rasa.

– Ale my...

– Nie przyjmujecie Żydów?

Obróciła się na pięcie, nie słuchając odpowiedzi recepcjonisty. Do Laury, powstrzymującej się od śmiechu, dobiegły komentarze białej klienteli: kobiet w słomkowych letnich kapeluszach z szerokimi rondami, mężczyzn w tych dziwacznych jankeskich

garniturach z białej popeliny w granatowe prążki, w kapeluszach panama. Czy to Cyganie? A ta kobieta za kogo się przebrała?

– Chodźmy, Diego, Laura, zabieramy się stąd.

– Pani Rivera – powiedział drżącym, błagalnym głosem dyrektor wyciągnięty z biura pachnącego gumą do żucia, z gazetą otwartą na ogłoszeniach w ręku. – Przepraszamy, nie wiedzieliśmy, to nieważne, państwo są gośćmi pana Forda, proszę przyjąć nasze przeprosiny...

– Proszę pójść i powiedziec tej parze starszuchów, że przyjmujecie ich, mimo że są Żydami. O, tamtym w drzwiach. *Step on in it, shit!* – rozkazała Frida, a potem, już w apartamencie, zanosila się od śmiechu, grając na ukulele *yes, we have no bananas today*. – Nie tylko nas przyjęli, ale przyjęli tę parę... i do tego mniej nam policzyli za pokój.

Diego nie tracił ani chwili. Następnego dnia w Instytucie Sztuki już odmierzał przestrzeń, przygotowywał farby, wydawał polecenia asystentom, rozwijał szkice i przyjmował dziennikarzy.

– Będę malował nową rasę wieku stali.

– Naród bez pamięci jest jak syrena. Byłaby chętna, ale nie majak.

– Dorobię aureolę człowieczeństwa odczłowieczonej industrializacji.

– Przywróć pamięć Stanom Zjednoczonym Amnezji.

– Chrystus wypędził kupców ze świątyni. Ja tym kupcom dam świątynię, której potrzebują. Zobaczymy, czy się poprawią.

– Panie Rivera, znajduje się pan w stolicy automobilu, czy to prawda, że nie potrafi pan prowadzić samochodu?

– Nie, ale umiem rozbijać jajka. Gdyby pan wiedział, jakie potrafię robić omlety!

Nie przestawał mówić, żartować, wydawać instrukcji, malował, mówiąc, i mówił, malując, tak jakby świat form i kolorów potrzebował zewnętrznej ochrony, odciążenia uwagi poprzez rozgwar, ruch i słowa, żeby móc rodzic się powoli w jego sennych, wypukłych oczach. A jednak wracał do hotelu kompletnie wyczerpany.

– Nie rozumiem tych amerykańskich twarzy. Badam je. Chcę je polubić. Daję słowo, że patrzę na nie z sympatią i błagam: proszę, powiedzcie mi cokolwiek. To tak jakbym patrzył na bułki w piekarni. Wszystkie jednakowe. Nie mają koloru. Nie wiem, co robić. Maszyny wychodzą mi przepięknie, a ludzie okropnie. Co mam zrobić?

– Jak powstają nasze twarze, jak wykształca się ciało? – wciąż pytała Frida Laure, kiedy Diego wychodził bardzo wcześnie, żeby uciec przed narastającym upałem kontynentalnego lata.

– „Jakże daleko ziemia, która mnie zrodziła...” – śpiewała Frida. – Czy wiesz, dlaczego jest tak gorąco?

– Bo jesteśmy daleko od obydwu oceanów. Nie dociera tu morska bryza. Ulgę przynoszą tylko wiatry od bieguna północnego. Ładna mi ulga!

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Mój ojciec pracował w banku, ale dużo czytał. Każdego miesiąca przychodziły do niego pisma. Chodziliśmy na nabrzeże w Veracruz i odbieraliśmy czasopisma i książki z Europy.

– To może wiesz także, dlaczego tak mi gorąco, bez względu na temperaturę?

– Bo będziesz miała dziecko.

– A po czym to poznałaś?

– Po sposobie chodzenia – powiedziała Laura.

– Przecież kuleję.

– Ale teraz dotykasz stopami ziemi. Przedtem chodziłaś na palcach, niepewnie, jakbyś za chwilę miała pofrunąć. Teraz stąpasz tak, jakbyś za każdym krokiem zapuszczała korzenie.

Frida objęła ją i podziękowała za to, że z nią jest. Laura spodobała się jej od pierwszego momentu; powiedziała tej młodej kobiecie, że patrząc na nią, przebywając z nią, wie, że czuje się ona mało warta i bezużyteczna.

– Nigdy nie widziałam, żeby jakaś kobieta przestępująca mój próg tak rozpaczliwie potrzebowała pracy jak ty. Myślę, że sama nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

– Nie, nie zdawałam, czułam tylko, że muszę za wszelką cenę wymyślić sobie świat, i przypuszczałam, że to oznacza pracę.

– Albo dziecko, bo to też jest twórcze. – Frida spojrzała badawczo na Laurę.

– Mam dwoje.

– Gdzie są?

Czemu Laura Díaz miała wrażenie, że Frida Kahlo w rozmowach z nią, tak intymnie kobiecych, bez fałszu i zahamowań, bez odrobiny złośliwości, z jednej strony obwinia ją o nieodpowiedzialne macierzyństwo, nie dlatego, że jej postępowanie było niekonwencjonalne, ale dlatego, że nie buntowała się wystarczająco skutecznie przeciwko swoim mężczyznom – mężowi, kochankowi – którzy rozdzielali ją z dziećmi? Z całą szczerością powiedziała Laurze, że ona zdradza Riverę, bo on zaczął zdradzać ją pierwszy; zawarli taką umowę: Diego będzie ją zdradzał z kobietami, a ona jego tak samo, bo Diego dostałby szalu, gdyby poszła do łóżka z mężczyzną, natomiast mogła dzielić z nim upodobania do tej samej płci. Ale to nie jest najważniejsze – wyznała którejś nocy Laurze ta ułomna kobieta. Niewierność czasem nie ma nic wspólnego z seksem. Jest to nawiązanie intymnego kontaktu z inną osobą, ale ta intymność może być sekretem, a sekret wymaga kłamstw, żeby ochronić intymność, i ten sekret niekiedy nazywa się seksem.

– Nieważne, z kim śpiesz, tylko komu ufasz i kogo oszukujesz. Mnie się wydaje, że ty nikomu nie ufasz, Lauro, i wszystkich oszukujesz...

– Czy ty mnie pragniesz?

– Już ci powiedziałam, że mi się podobasz. Ale w obecnej sytuacji potrzebuję ciebie głównie jako towarzyszkę i pielęgniarkę. Jeśli teraz skomplikujemy sobie życie sentymentalne, mogę z piątku na sobotę zostać sama i gdybym zaniemogła, nawet nie miałby mnie kto odwiedzić do szpitala. Moja ty piastunko. To z jednej strony,..

Śmiała się głośno, jak zwykle, ale Laura nalegała:

– A ten drugi powód? Powiedziałaś przecież „z jednej strony...”, no więc z drugiej strony – co?

– Nie powiem ci. Jutro mogę żądać od ciebie tego samego, o co cię dziś obwiniam. Mówmy o rzeczach praktycznych.

Był lipiec. Dziecko miało przyjść na świat w grudniu. Gdyby Diego skończył pracę w październiku, mieliby czas wrócić razem do Meksyku, żeby dziecko mogło się tam bezpiecznie urodzić. Ale jeżeli Diego się opóźni? Jak będę rodziła tutaj, w tym zimnie, bez przyjaciół, bez nikogo, kto mógłby mi pomóc, oprócz ciebie? A gdybym wyjechała wcześniej do Meksyku, to czy naprawdę mogłabym stracić dziecko w podróży, w tym kolejowym zgiełku, jak mnie ostrzegają moi doktorko wie?

Laura spoglądała na tę kobietę tak straszliwie doświadczoną, jakby skurczoną, pomniejszoną, w powodzi szerokich ludowych strojów, które ukrywały nie tylko jej fizyczne defekty, ale także jej strach, jej niewyczuwalne drżenie i ten drugi lęk, lęk przeszywający do głębi, który nie tylko podwajał i nasilał fizyczny strach kobiety kalekiej, ale zastępował go innym, niewypowiedzianym, dotyczącym także nie narodzonej istoty. Między matką a dzieckiem, które dojrzewało w jej brzuchu, istniał już rodzaj wspólnoty. Nikt nie miał dostępu do tego tajemnego kręgu.

Frida nagle wybuchała śmiechem, prosiła Laurę, żeby pomogła jej zapleść włosy, włożyć spódnice i bluzkę, skrzyżować szal na piersi, uczesać meszek nad wargą. Laura brała ją za rękę i szły na podbój „Gringolandii”, jak nazywali Amerykę, na kolację i przyjęcia wydawane

na cześć „najsłynniejszego na świecie malarza wraz z małżonką”, na tańce z milionerami wielkiego przemysłu, prowokowanymi do pytań na temat jej potknięć, które wynikały z kalectwa, ale Frida tłumaczyła im, że są to kroki ludowych tańców regionu Oaxaca, indiańskich tańców tak zdumiewających jak reakcja antysemita Henry’ego Forda, kiedy w trakcie kolacji Frida zapytała go na głos: „Panie Ford, czy to prawda, że pan jest Żydem?” Skandalizowała wykwiłtne towarzystwo Michigan swoją udawaną nieznajomością wulgaryzmów języka angielskiego, kiedy wstając od stołu po bankiecie, mówiła z uprzejmym uśmiechem: *shit on you* albo grając w karty z damami z towarzystwa, rzucała: *I enjoy fucking, don't you?* Chodziła w towarzystwie Laury do rozgrzanych kin, które i tak były lodówkami w mieście rozpalonym do stu stopni Fahrenheita, na Chaplina w *Światach wielkiego miasta*, na filmy z Flipem i Flapem, te rozmazane na twarzy torty, zdemolowane domy, wyścigi z policją, talerz spaghetti na dekolcie leciwej matrony – to wszystko bawiło ją tak, że umierała ze śmiechu, chwytając Laurę za rękę i płakała ze śmiechu, śmiała się i płakała, krzyczała ze śmiechu, płakała, krzyczała...

Szpitalny wózek toczył się w świetle lamp, które wyglądały jak oczy bez powiek, a lekarze wypytywali Laurę, jak Frida ostatnio się czuła. Ma duszności, na skórze występują jej plamy, ma mdłości i bóle macicy, żelazna sztaba przeszła jej pochwę, miała wypadek w tramwaju. Co dziś jadła? Dwie filiżanki śmietany, warzywa, wszystko zwymiotowała, to ta kobieta, którą rozdziewiczył tramwaj, dadzą państwo wiarę, jej mąż maluje stalowe maszyny, piękne, błyszczące, ale ją zgwałciła maszyna stara i zardzewiała, nieprzyzwoita, jak jedzie, to gwizdże i gwizdże, krzyknęła w kinie, zrobiła się sina, dostała krwotoku, zabrali ją z kałuży krwi, wszędzie skrzepnięte grudki, to ze śmiechu, dadzą państwo wiarę? Dawali Flipa i Flapa.

Dwunastoletnia dziewczynka leży w łóżku z mokrymi od płaczu włosami, skurczona, chuda, milcząca.

– Chcę zobaczyć moje dziecko.

– To tylko płód, Frido.

– To nic.

– Lekarze nie pozwalają.

– Powiedz, że to ze względów artystycznych.

– Frido, urodziło się zniekształcone. Uszkodzenie nastąpiło w brzuchu. Jest zdeformowane.

– No to ja mu nadam formę.

Usypiała. Budziła się. Nie mogła znieść upału. Wstawała. Chciała uciekać. Kładli ją z powrotem. Prosiła, by dali jej dziecko. Diego odwiedzał ją, czuły, wyrozumiały, a jednocześnie nieobecny, pragnący jak najszybciej wrócić do pracy; wzrok skupiony na dalekiej ścianie, a nie na bliskiej kobiecie.

Pewnej nocy Laura usłyszała zapomniany szmer, który przeniósł ją w czasy dzieciństwa, kiedy mieszkała w dżungli Catemaco. Spała w szpitalnym pokoju razem z Fridą i ten szmer ją obudził. Zobaczyła Fridę na łóżku, zupełnie nagą, pokiereszowane ciało, jedna noga cieńsza od drugiej, pochwa krwawiąca nieprzerwanie strumieniem czerwonych goździków, plecy poskręcane śrubami jak zabite deskami okno, i włosy coraz dłuższe, wydłużające się wyraźnie z każdą sekundą, wytryskujące z czaszki jak meduzy, czołgające się po poduszce jak pająki, spadające z materaca jak żmije, zapuszczające korzenie wokół nóg łóżka, Frida wyciągnęła rękę i wskazała na zranioną pochwę, poprosiła Laurę, by jej dotknęła, żeby się nie bała, my kobiety jesteśmy w środku różowe, wydobądź mi ze sromu kolory, rozsmaruj mi je na palcach, przynieś papier i pędzle, Lauro, nie patrz tak na mnie, jak naga kobieta widzi inną nagą kobietę. Bo ty też jesteś naga, Lauro, mimo że o tym nie wiesz, ja to wiem, widzę twoją głowę przybraną wstążkami, a między twymi udami sto zasupłanych pępów, ja śnię twoje sny, Lauro Díaz, widzę, że śnią ci się ślimaki, powolne ślimaki, które przemierzają twoje lata z bezsilną, zaślinioną opieszalnością, nie zdając sobie sprawy, że są w ogrodzie, który

jednocześnie jest cmentarzem, i że rośliny w tym ogrodzie płaczą i krzyczą, i chcą mleka, chcą piersi, są głodne roślinki dziewczynki, są głuche ślimaki chłopaki, a matki nie zwracają na nie uwagi, tylko ja je widzę, słyszę i rozumiem, tylko ja widzę rzeczywiste kolory świata, kolory chłopaków ślimaków, dziewczynek roślinek, kolory matki dżungli, te błękity, zielenie, żółcie, fiolety, amaranty... ziemia jest ogrodem, jest grobem, i to, co widzisz, jest prawdą, ten szpitalny pokój jest jedyną szczodłą oazą w cementowej pustyni zwanej Detroit, ta szpitalna sala zapełnia się żółtymi papugami i szarymi kotami, i białymi orłami, i czarnymi małpami, wszyscy przynoszą mi prezenty z wyjątkiem ciebie, Lauro, co ty mi dasz w prezencie?

Diego poprosił Laurę, żeby przyniosła jej bloki, ołówki i akwarele. Wystarczyło mu jedno spojrzenie i parę rzuconych słów.

- Małeńki mój, nie jesteś tak brzydki, jak mówią, jeśli się dobrze przyjrzeć...
- Moja mała Frido, kocham cię coraz bardziej.
- Kto ci powiedział, że jesteś brzydki, kochanie?
- Popatrz, wycinek ze stołecznej gazety. Nazywają mnie opasłym Huichilobosem³.
- A mnie?
- Podstarzałą Coatlicue⁴.

Roześmiała się, wzięła Laurę za rękę, wszyscy troje śmiali się serdecznie.

- A jak nazwiemy Laurę?
- Chrzczę cię imieniem Obsydianowego Motyla – powiedział Diego. – Taka jest moja wola.

U boku Laury, która podsuwała jej ołówki, pędzle, farby, papier, Frida zaczęła malować, nie przerywając rozmowy ani na chwilę, podobnie jak robił to Diego, jakby żadne z nich nie potrafiło malować bez opiekuńczego cienia słowa, tworzywa obcego im, a jednocześnie nieodzownego. Frida, mówiąc do Laury, mówiła do siebie, ale mówiła do Laury, poprosiła ją o lustro, chciała się przejrzeć i Laura, patrząc na tę kobietę skurczoną, zwiniętą w kłębek, z brudnymi włosami, nastroszonymi brwiami i nie przyciętym zarostem nad górną wargą, nie mogła nic zrobić, i Frida powiedziała jej, żeby to przemyślała, że co innego jest być ciałem, a co innego być piękną, że jej na razie wystarcza świadomość, że jest ciałem, że przeżyła, piękność przyjdzie później, najważniejsze, żeby nadać formę temu ciału, któremu w każdej chwili coraz bardziej zagrażało, że znajdzie się w stanie rozkładu jak ten płód, który mogła tylko z siebie wyrzucić w spazmach śmiechu: malowała coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo, i równie szybko wyrzucała z siebie słowa, Laura nigdy ich nie zapomni: brzydota jest ciało bez formy, proszę, pomóż mi pozbierać to wszystko, co się rozpadło, Lauro, muszę nadać temu własną formę, pomóż mi uchwycić w locie chmurę, słońce, narysowany kredą kontur mojej sukni, czerwoną wstążkę, która łączy mnie z płodem, zakrwawione prześcieradło, które jest mi togą, kryształ zastygłych łez spływających po policzkach, proszę, pomóż mi zebrać te wszystkie luźne elementy i nadać im własną formę, chcesz? Nie ma znaczenia temat, ból, miłość, śmierć, narodziny, rewolucja, władza, dusza, pycha, sen, pamięć, wola, nieważne, co będzie impulsem dla ciała, byleby nadać mu formę, bo wtedy znika brzydota, piękność należy do tego, kto ją rozumie, nie do tego, kto ją posiada, piękność nie jest niczym innym jak tylko prawdą o nas samych, o każdym z nas, o Diegu, kiedy maluje, ja swoją prawdę wymyślam teraz, na tym szpitalnym łóżku, ty musisz odkryć swoją, Lauro, z tego wszystkiego, co ci powiedziałam, rozumiesz, że ja za ciebie tego nie robię, sama musisz ją znaleźć i zrozumieć, twoją prawdę, możesz na mnie patrzeć bez zażenowania, Lauro Díaz, możesz mi powiedzieć, że wyglądam strasznie, że nie masz odwagi podać mi lustro, że w twoich oczach dziś nie jestem piękna, że w tym dniu, w tym miejscu nie jestem ładna, a ja nie odpowiem ci na to słowami, poproszę cię tylko o farby i papier i przemienię potworność mojego rozdartego ciała i wylanej krwi w moją własną prawdę i

³ Huichilobos – aztecki bóg wojny (przyp. tłum.).

⁴ Coatlicue – aztecka bogini ziemi i śmierci (przyp. tłum.).

piękno, bo czy ty wiesz, moja przyjaciółko od serca, czy wiesz, że stajemy się piękni, kiedy poznajemy siebie samych, bo wtedy poznajemy nasze pragnienia, a kobieta, która pragnie, zawsze jest piękna... Szpitalny pokój początkowo pełen był bloków rysunkowych, potem luźnych kart papieru, potem arkuszy blachy, kiedy Diego przyniósł parę obrazów z kościelnego ołtarza w Guanajuato i przypomniał Fridzie, jak ludzie na prowincji, w małych wioskach malowali na blasze i na kawałkach znalezionych desek, które pod dotknięciem ich chłopskich rąk zmieniały się w wota dziękczynne składane w hołdzie Świętemu Dzieciątku z Atocha, Najświętszej Paniencie Nieustającej Pomocy, Jezusowi z Chalmy – za zrządzone cuda, za cuda dnia codziennego, za uratowanie dziecka od śmierci w chorobie, ojca od zasypania węglem w kopalni, matki od utonięcia w rzece, Fridy, przeszytej stalowym prętem, od śmierci w wypadku, babki Cosimy od rozniesienia na szablach w drodze do Perote, cioteczki Marii de la O od porzucenia w murzyńskim burdelu, dziadka Felipe od śmierci w okopach nad Marną, brata Santiago od rozstrzelania o świcie w Veracruz, jeszcze raz Fridy od wykrwawienia się przy poronieniu, a Laury od czego? Od czego uratował ją cud i za co powinna dziękować?

– Przeczytaj ten wiersz Fridzie – Rivera podał Laurze cieniutką książeczkę. – To najlepsza poezja meksykańska od czasów Sor Juany. Przeczytaj tę strofę:

*Pelen siebie, osaczony w swojej wiernej skórze
przez nieuchwytnego boga, który mnie dławi,*

a potem

*inteligencja, samotność w płomieniach,
która wszystko wchłania, niczego nie tworzy!*

a w końcu

z Nim, ze mną, we troje...

– Widzicie, jak Gorostiza wszystko rozumie? Zawsze troje, wieczna trójca. Ojciec, matka i dziecko. Kobieta, mężczyzna i kochanka. Odmieniaj to, jak chcesz, w końcu zawsze wyjdzie ci tercet. Bo kwartet jest niemoralny, pięciokąt niemożliwy do ogarnięcia, duet niemożliwy do wytrzymania, a człowiek solo skazany jest na samotność i śmierć.

– Ale dlaczego kwartet ma być niemoralny, co? – zdziwiła się Frida. – Laura wyszła za mąż i ma dwóch synów.

– Mój mąż odszedł. – Laura uśmiechnęła się nieśmiało. – Prawdę mówiąc, toja sama go zostawiłam.

– I zawsze któreś z dzieci kocha się najbardziej, choćby się ich miało z tuzin – dodała Frida.

– Trójkąt, zawsze trójkąt – mruzczał malarz, wychodząc z pokoju.

– Coś szykuje, stary cap. – Frida zmarszczyła gęste brwi. – Podaj mi te płyty, Lauro.

Kiedy w szpitalu zaczęto się skarżyć na coraz większy bałagan w pokoju, porozrzucane wszędzie kartki papieru, intensywny zapach farb, Diego wystąpił jak Bóg w klasycznej tragedii, Jupiter gromowładny, i powiedział po angielsku: ta kobieta jest artystką, czyż ci idioci tego nie widzą? Wściekał się na nich, ale to do niej mówił z miłością i dumą: ta kobieta, która jest moją żoną, wkłada całą prawdę, całe cierpienie i okrucieństwo tego świata w swoje malarstwo, do którego zmusił ją ból, wy, otoczeni rutynowym szpitalnym cierpieniem, nigdy nie widzieliście tyle agonicznej poezji i dlatego nie rozumiecie jej sztuki...

– Mój maleńki – powiedziała do niego Frida.

Kiedy już mogła chodzić, wrócili do hotelu i Laura uporządkowała namalowane obrazy. Któregoś dnia poszły wreszcie obie zobaczyć Diega przy pracy w Instytucie. Mural był prawie skończony, ale Frida zorientowała się, na czym polegał problem, z którym malarz miał trudności, i w jaki sposób go rozwiązał. Błyszczące, żarłoczne maszyny splatały się ze sobą jak wielkie stalowe węże i ogłaszały swoją wyższość nad szarym światem pracujących przy nich ludzi. Frida na próżno szukała twarzy amerykańskich robotników, kiedy wreszcie to do niej dotarło. Diego odwrócił ich wszystkich plecami, bo ich nie rozumiał, bo dla niego byli tylko bułowątą masą bez osobowości, twarzami z mąki. Wprowadził natomiast ciemne twarze Murzynów i Meksykanów, to oni stawali twarzą w twarz wobec oglądającego. Wobec świata.

Przynosiły ze sobą w koszyku dużo dobrego jedzenia i przyglądały się jego pracy w milczeniu, podczas gdy on dawał upust potokowi słów. Frida pochłaniała łyżkami kajmakowy krem z Celayi, który przywiozła, aby do woli objadać się tym przysmakiem, zwłaszcza teraz, kiedy musiała nabrać sił. Laura nosiła kostiumy o prostym kroju, natomiast Frida, coraz bardziej wystrojona, zadawała szyku zielonymi, amarantowymi, żółtymi szalami, kolorowymi wstążkami wplecionymi we włosy i naszyjnikami z jadeitu.

Rivera pozostawił na swoim muralu ku czci industrializacji trzy białe miejsca. Coraz częściej spoglądał na dwie kobiety siedzące przy rusztowaniach i przypatrujące się jego pracy, na Fridę opychającą się słodyczami i podzwaniającą naszyjnikami, na Laurę zakładającą ostrożnie nogę na nogę pod obstrzałem spojrzeń asystentów Rivery. Któregoś dnia weszły i zobaczyły siebie zamienione w mężczyzn, w dwóch robotników: krótkowłose, w długich roboczych spodniach i flanelowych koszulach, z dłońmi w rękawiczkach zaciśniętymi na żelaznych narzędziach, Frida i Laura zajmowały całą przestrzeń w dolnym rogu muralu, Laura ze swoimi wyraźnymi regularnymi rysami, orlim nosem, podkrążonymi oczami, włosami jeszcze krótszymi niż jej obecna fryzura na pazia, z grzywką i trwałą ondulacją, Frida też z krótkimi włosami i baczkami jak u mężczyzny, gęste brwi, owszem, ale jej najbardziej męski atrybut – zarost nad górną wargą – został przez malarza pominięty, co wywołało rozbawione zdumienie modelki: „Ja sobie maluję swoje wąsy, a ty co?”

Na ścianie zostały jeszcze białe miejsca w środku malowidła oraz w całej jego górnej części i Frida spoglądała zaniepokojona na tę pustą przestrzeń, aż któregoś wieczoru chwyciła Laurę za rękę, powiedziała: idziemy, wsiadły do taksówki, przyjechały do hotelu, Frida wyrwała z zeszytu kartkę i zaczęła malować raz za razem, niestrudzenie, słońce i księżyc, księżyc i słońce, położone to daleko od siebie, to tuż obok.

Laura spoglądała przez wysokie okna hotelu, szukała gwiazdy i satelity, sprowadzonych przez Fridę do jednakowej rangi, zrodzonych z Wenus gwiazdy dziennej i nocnej, pierwszej gwiazdy dnia i ostatniej gwiazdy nocy, księżycy i słońca równych rangą, ale przeciwległych w czasie, oglądanych oczami świata, ale nie oczami kosmosu. Lauro, czym Diego wypełni te białe miejsca na fresku?

– Jestem pełna obaw. Jeszcze nigdy nie miał przede mną takich tajemnic.

Dowiedziały się wszystkiego dopiero w dniu odsłonięcia muralu. Przy maszynach pracowali biali mężczyźni odwróceniem plecami do świata i ciemni mężczyźni obróceniem twarzami do świata, z boku przypatrywały im się dwie kobiety ubrane po męsku, a nad tą apoteozą pracy i maszyn unosiła się święta robotnicza rodzina, Najświętsza Paniienka ubrana była w skromną perkalikową sukienkę w białe groszki jak pierwsza lepsza sprzedawczyni ze sklepu w Detroit, trzymała na rękach nagie dziecko, też w aureoli, i na próżno szukała spojrzeniem wzroku stolarza, który stał odwrócony tyłem do matki i dziecka. Stolarz trzymał w jednej ręce narzędzia potrzebne mu do pracy: młotek i gwoździe, a w drugiej dwie deski zbite na krzyż. Jego ubranie było wypłowiałe i kontrastowało z połyskliwą czerwienią morza flag, które oddzielały świętą rodzinę od maszyn i robotników.

Kiedy opuszczono zasłonę, rozległ się szmer.

To malowidło na ścianie to kpina, parodia, kpina z kapitalistów, którzy go zamówili, parodia ducha miasta Detroit, szarganie świętości, komunizm. Inna ściana, ściana ludzkich głosów zaczęła wznosić się przed malarzem, asystenci zaczęli dzielić się na dwie grupy, wrzawa przybierała na sile. Edsel Ford, syn magnata, prosił o spokój. Rivera wspiał się na drabinę i ogłosił narodziny nowej sztuki dla społeczeństwa przyszłości, ale musiał zejść, gdyż został oblaný kubłami żółtej i czerwonej farby przez prowokatorów zaangażowanych wcześniej przez niego samego, podczas gdy grupa robotników, też zaproszona zawczasu przez Diega, stanęła przed murałem i ogłosiła, że będzie pełnić przy nim nieustającą straż, żeby go chronić.

Następnego dnia rano Diego, Frida i Laura wyjechali rannym pociągiem do Nowego Jorku, gdzie miał być realizowany projekt muralu w Rockefeller Center. Rivera był w euforii. Czyścił sobie twarz benzyną, szczęśliwy jak niepoprawny łobuz, który znowu wszystkich wywiódł w pole i szykuje nową psotę: atakowany przez kapitalistów jako komunista i przez komunistów jako kapitalista, Rivera czuł się najprawdziwszym Meksykaninem, który wciąż dowcipkuje i stroi sobie żarty, uzbrojony w większą liczbę kolców niż sam jeżozwierz dla obrony przed kanalami stąd i stamtąd, zachwycony tym, że narodowa dyscyplina sportowa polegająca na atakowaniu Diega Rivery, teraz stanie się narodową tradycją wobec nowej amerykańskiej dyscypliny sportowej, polegającej na atakowaniu Diega Rivery, tego grubego Puka, który śmieje się z całego świata, ale nie wyłania się z leśnego gąszczu nocy letniej, lecz z gąszczu desek swojego malarskiego rusztowania na chwilę przedtem, nim upadnie na ziemię i odkryje, że ma ośli łeb, a jednocześnie znajdzie swój romantyczny kącik, swoje schronienie, gdzie utuli go królowa nocy, nie widząc w nim osła, lecz zaczarowanego księcia, żabę zamienioną w księcia wysłanego przez księżyc, aby kochać i chronić swoją Fridę, swoją małą, uwielbianą, potrzaskaną, zbolaną, to wszystko dla ciebie, wiesz o tym, prawda? Kiedy mówię do ciebie: „Frido, pozwól mi pomóc sobie, moje biedactwo”, mówię wtedy: „pomóż mnie, biedactwu, pomóż twojemu Diego”.

Państwo Rivera poprosili Laurę, aby wróciła do Meksyku z letnimi rzeczami, z pudłami pełnymi obrazów i zrobiła porządek w ich mieszkaniu na Coyoacán, jeśli chce, może tam zamieszkać, nie musieli nic więcej dodawać, bo Laura zrozumiała natychmiast, że po poronieniu potrzebowali siebie bardziej niż zwykle, że Frida przez jakiś czas nie będzie pracować i że w Nowym Jorku byłaby im zawadą, mieli tam wielu przyjaciół, Frida będzie z nimi wychodzić na zakupy i do kina, szykował się festiwal filmów o Tarzanie, który koniecznie chciała obejrzeć, uwielbiała filmy o gorylach – King Konga widziała dziewięć razy, przywracały jej dobry humor, przyprawiały o ataki śmiechu.

– Wiesz, że Diego zimą ma kłopoty ze spaniem. Będę teraz musiała spędzać z nim każdą noc, żeby mógł wypocząć i nabrać energii do nowej pracy. Lauro, nie zapomnij tylko przynieść mi jakiejś lalki na łóżko do naszego domu na Coyoacán.

XI. Aleja Sonora: 1934

Pewnego dnia zniknęły ciotki Hilda i Virginia.

Ich siostra Letycja wstała jak zwykle o szóstej rano, żeby przygotować śniadanie – owoce mango, mamey, brzoskwinie, marmoladę z pigwy, jajka po ranczersku, chleb gruboziarnisty i kawę z mlekiem, aby o godzinie siódmej ustawić wszystko w miejscach oznaczonych serwetkami zwiniętymi w ruloniki wewnątrz srebrnych obrączek.

Spojrzała ze smutkiem, który później uznała za przecucie, na miejsca zarezerwowane dla jej sióstr i na srebrne inicjały H, V, MO. Kiedy o siódmej piętnaście żadna z nich nie zjawiała się na śniadaniu, poszła do pokoju Marii de la O i obudziła ją.

– Przepraszam, miałam straszne sny.

– Co ci się śniło?

– Że jakaś fala... nie wiem... – powiedziała niemal zawstydzona. – Przekłęte sny, dlatego tak szybko znikają.

Letycja zapukała do drzwi Hildy i nie usłyszała odpowiedzi. Uchyliła je i zobaczyła łóżko nieskazitelnie zasłane. Otworzyła szafę i stwierdziła, że tylko jeden wieszak jest pusty, ten, na którym zwykle wisała długa nocna koszula z koronkowymi wstawkami na piersiach, którą Letycja setki razy prała i prasowała. Ale w rzędzie pantofli i trzewików, ustawionych równiutko jak wojsko na baczność, nie brakowało ani jednej pary.

Z niepokojem pospieszyła do pokoju Virginii, pewna już, że tam również zostanie nienaruszone łóżko. Tam natomiast czekał zaadresowany do niej list w kopercie opartej o lustro.

SIOSTRZYCZKO: Hilda nie mogła zostać tym, kim chciała, i ja również. Wczoraj przyjrzałyśmy się sobie w lustrze i obie pomyślałyśmy to samo. Lepsza jest śmierć niż choroba i starość. Po co wyczekiwać cierpliwie „po chrześcijańsku?” tej fatalnej chwili, dlaczego nie wykazać odwagi, wychodząc śmierci naprzeciw, czyż musimy dawać jej tę satysfakcję, że to ona zastuka do naszych drzwi? Wysiadując beczynn timer, w Xalapie, obsługane dzięki twojej dobroci i pracowitości, gasłyśmy powoli jak drżące płomyki świec. Obydwie chciałyśmy zrobić coś, co byłoby na miarę tego, czego nigdy nie mogłyśmy dokonać w życiu. Siostra spojrzała na swoje wykoślawione artretyzmem palce i zanuciła nokturn Chopina. Ja popatrzyłam na swoje podkrążone oczy i każdej zmarszczce zadedykowałam jeden wiersz, który nigdy nie został opublikowany. Spojrzałyśmy na siebie i zrozumiałyśmy się bez słów – tyle lat mieszkamy razem (wyobraź sobie, od urodzenia nigdy się nie rozstawałyśmy), że odgadujemy swoje myśli! Wczorajszego wieczoru – pamiętasz? – usiadłyśmy w czwórce w salonie do partyjki tute. Mnie przypadło tasowanie (Hildę wyłączyłyśmy z powodu jej chorych rąk) i nagle poczułam się źle, jak ktoś, kto zaczyna umierać i zdaje sobie z tego sprawę, ale mimo okropnego samopoczucia nie mogłam przestać tasować, tasowałam bez ładu i składu, aż ty i Maria de la O spojrzałyście na mnie zdziwione, a ja tasowałam dalej gorączkowo, jakby od przemieszania kart zależało moje życie, i wtedy ty, Letycjo, wypowiedziałas to fatalne zdanie, przytoczyłaś to śmieszne i straszne porzekadło: „Zmarło się starej przy tasowaniu”.

Wtedy spojrzałam na Hildę, ona na mnie – i już wiedziałyśmy. Ty i Maria de la O byłyście po innej stronie, poza naszym światem.

Popatrzyłyśmy w karty. Ty położyłaś na stole króla treflowego.

Hilda i ja spojrzaliśmy na siebie z głębi serca... nie szukaj nas. Wczoraj wieczorem włożyliśmy białe nocne koszule, zdjęliśmy buty, obudziłyśmy Zampayitę i kazałyśmy się zawieźć isottą nad jezioro, gdzie się urodziłyśmy. Nie oponował. Popatrzył na nas jak na wariatki, kiedy zobaczył, że wychodzimy w nocnych koszulach. Ale on zawsze robił to, co mu kazałyśmy. Tak więc rano, kiedy się obudzisz, nie znajdziesz ani mnie, ani Hildy, ani Zampayity, ani samochodu. Zampayita wysadzi nas tam, gdzie mu powiemy, i obie zagłębimy się w selwie, i będziemy szły bez celu, bez pieniędzy, bez koszyka z chlebem, boso i w nocnych koszulach, włożonych przez czystą pruderię. Jeśli nas kochasz, nie szukaj nas. Uszanuj naszą wolę. Chciałyśmy uczynić z naszej śmierci sztukę. Ostatnią. Jedyłą. Nie odbieraj nam tej przyjemności. Twoje kochające cię siostry

VIRGINIA i HILDA

– Twoje ciotki nigdy się nie odnalazły – powiedziała Letycja do Laury. – Samochód stał porzucony na zakręcie drogi do Acayucan. Zampayitę znaleziono podziurawionego sztyłem w tym samym burdelu – wybac mi, Lauro – gdzie dorastała Maria de la O. Nie patrz tak na mnie. Widzisz, same tajemnice, ale ja nie będę ich wyjaśniać. Wystarczająco dużo problemów mam z tym, co wiem, żeby łamać sobie głowę nad tym, czego nie wiem.

Laura pojechała do Xalapy, jak tylko dowiedziała się o zniknięciu ciotek, starych panien, ale nie miała pojęcia o losie wiernego sługi, który pracował u nich długie lata. To tak, jakby przekłęta dusza matki Marii de la O, tak czarna jak jej skóra, wróciła, żeby zemścić się na wszystkich, którzy żyli uczciwie, bo według słów jej własnej córki przeklinała ich jak wariatka:

– Taka byłem szczęśliwa jako dziwka. Pierdolcie się wszyscy, coście zrobili ze mnie uczciwą kobietę!

Letycja, uprzedzając wypadki, powiedziała Laurze to, co ta wiedziała od początku. Mutti nie zajmowała się plotkami ani dociekaniem. Stawiała czoło problemom, w miarę jak się pojawiały. Nie potrzebowała ich zgłębiać, bo wszystko rozumiała i, tak jak powiedziała Laurze, to, czego nie rozumiała, umiała sobie wyobrazić.

Wróciwszy do swego dawnego domu w stanie Veracruz, Laura miała wrażenie, że patrzy na rozregulowany zegar słoneczny, i sięgając myślą wstecz, rozumiała – gdyż wskazywał na to los ciotek i zachowanie matki – że Letycja wie wszystko o jej życiu, o rozpadzie małżeństwa z Juanem Francisco, o jej buncie przeciwko mężowi i wsparciu, jakiego udzieliła jej Elizabeth, o pustym, zbyt długim, i w końcu nie prowadzącym do niczego związku z Orlandem; a jednak czyż te etapy życia, same w sobie bez żadnego znaczenia, nie były mimo wszystko ważne dla budowania – z oddzielnych przeblysków jasności – nowej, choć jeszcze mętnej i słabej świadomości rzeczy? Zegar słoneczny nie może istnieć bez zegara cienia.

Letycja wykorzystała ucieczkę starych panien, aby zajrzeć Laurze głęboko w oczy i wymusić na niej to, co w końcu zostało wypowiedziane: wychowywanie dwóch chłopców w wieku jedenastu i dwunastu lat to zbyt wielki ciężar dla ciebie i cioteczki, zabiorę ich ze sobą do stolicy, zresztą ciebie i cioteczkę również...

– Nie, my tu zostaniemy, córeczko. Dotrzymujemy sobie towarzystwa. Ty sama musisz odbudować swoje domowe ognisko.

– Tak, Mutti, Juan Francisco czeka na nas wszystkich w naszym mieszkaniu przy Alei Sonora. Ale pamiętaj, jeśli ty i cioteczka zechcecie do nas przyjechać, poszukamy jakiegoś większego domu, to żaden kłopot.

– Musisz się pogodzić z tym, że nie będziemy mieszkać razem – uśmiechnęła się Letycja. – Ja nie mam zamiaru opuszczać stanu Veracruz, zostanę tutaj do końca życia. Stolica mnie przeraża.

Czyż miała jej tłumaczyć, że porzucona przez Orlanda postanowiła wrócić do męża, ale że nie jest to słabość, tylko imperatywny akt silnej woli, na który złożyły się doświadczenia jej

życia z Orlandem? W zasadniczych sprawach zarzucała swojemu mężowi brak szczerości, żeby nie użyć słowa: tchórzostwo, czy nawet zdrada, przez co zawsze będzie czuła do niego odrazę, ale jednocześnie czuła też odrazę do siebie samej, gdyż powody, dla których wychodziła za mąż za lidera robotniczego, teraz nie wydawały jej się wystarczające, chociaż usprawiedliwiała je młodym wiekiem i brakiem doświadczenia.

Tego wieczoru, siedząc obok matki w starym mieście swojej młodości, Laura chciała jej to wszystko powiedzieć, ale sama Letycja uprzedziła ją zdecydowanym oświadczeniem:

– Jeśli chcesz, możesz zostawić tu dzieci, dopóki nie załatwisz spraw z twoim mężem i nie odbudujecie na nowo waszego małżeństwa. Nie muszę ci chyba tego mówić.

Już, już chciały powiedzieć jednocześnie: „wytlumacz mi”, ale obie zdały sobie sprawę, że rozumieją się bez słów, że Letycja wie o rozpadzie małżeństwa Laury, a Laura o powodach, dla których – pomimo wszystko – wróci do Juana Francisco i stworzy nową szansę dla swoich synów i domowego ogniska. Potem przypomniała sobie, że tak, była o krok od wyznania, że straciła ostatnie lata swego życia, straszliwie oszukując samą siebie, że dojmujące rozczarowanie popychało ją do kłamstwa: czuła się usprawiedliwiona w swojej decyzji zerwania z domem i szukania własnej przyjemności i niezależności, co dwa światy – ten wewnętrzny zapiekłej urazy i ten zewnętrzny stołecznych norm towarzyskich – uświęcały jako dopuszczalną wendetę kobiety poniżonej.

Laura teraz już nie wiedziała, czy rozkosz i wolność kiedykolwiek były jej udziałem. Jej oparciem była Elizabeth, dopóki wielkoduszność nie przybrała protekcyjnego tonu, ustępując miejsca irytacji i pogardzie. Oddała się miłości do Orlanda, dopóki namiętność nie okazała się grą i kłamstwem. Poznawała nową klasę, artystów, ludzi ze starych rodów albo z nowymi pieniędzmi, karierowiczów, i to towarzystwo – musiała przyznać – nigdy jej nie okłamało, gdyż na przyjęciach u Carmen Cortiny pozory były istotą rzeczy, a rzeczywistość jej maską.

Pragnienie, by czuć się użyteczną, potrzebną, uwierzyć, że mogłaby robić coś sensownego, zawiodło ją pod dach klanu Kahlo-Rivera, ale cała wdzięczność, jaką czuła dla tych niezwykłych ludzi, którzy przyjęli ją w trudnej dla niej chwili jako przyjaciółkę i towarzyszkę, nie mogła przesłonić faktu, że była obcą w świecie tych dwojga artystów: była częścią wymienną wewnątrz geometrii tak doskonale naoliwionej jak błyszczące stalowe maszyny, które Diego malował w Detroit, ale ta maszyna miała podstawy tak kruche jak chore nogi Fridy Kahlo. Oni wzajemnie sobie wystarczali. Laura będzie ich zawsze kochała, jednak nie miała złudzeń: oni też ją kochali, lecz nie była im potrzebna.

– Czego potrzebuję, mamó? Kto mnie potrzebuje? – zapytała na koniec Laura, kiedy już opowiedziała Letycji to, czego przysięgała sobie nigdy jej nie powiedzieć, a teraz, kiedy wyrzuciła z siebie to wszystko pospiesznie i gorączkowo, trzymając w dłoniach silne, spracowane ręce matki, nie wiedziała, czy naprawdę jej się zwierzyła, czy Letycja kolejny raz odgadła uczucia i myśli córki, mimo że ta nie odezwała się ani słowem.

– Powiedz mi – poprosiła Letycja, i Laura już wiedziała, że tamta wie.

– Więc dzieci powinny tu zostać?

– Tylko dopóki nie spotkasz się z mężem.

– A jeśli się nie porozumiemy, co jest bardzo prawdopodobne?

– Przecież nigdy się nie porozumiecie. Na tym rzecz polega. Najważniejsze jest, żebyś wzięła na siebie jakieś naprawdę ważne zadanie i żebyś zdecydowała, że to ty jego uratujesz, nie czekając, aż ktoś uratuje ciebie. Tak jak to było do tej pory. Przepraszam, że ci to mówię.

– Choćbym wiedziała, że znowu nic z tego nie wyjdzie? Letycja skinęła głową.

– Niektóre rzeczy musimy robić, choćby było wiadomo, że poniesiemy klęskę.

– A co na tym zyskam, Mutti?

– Według mnie szansę, żeby odnaleźć siebie samą, żeby zostawić za sobą nieudane próby. Już ich nie powtórzysz.

– Czy mam iść z otwartymi oczami naprzeciw nieszczęściu, mamo? Czy tego chcesz ode mnie?

– Takie rzeczy powinny mieć swój koniec. Zostawiamy za sobą zbyt wiele spraw otwartych, takich, jak to się mówi, ogonów. Bądź sobą, a nie zabawką w czyichś rękach, choćby zdobyta w ten sposób autentyczność miała cię drogo kosztować.

– Czy to wszystko, co mi się zdarzyło, odkąd rzuciłam Orlanda, nie było autentyczne?

Tym razem Letycja nie odpowiedziała, tylko podała córce chińską lalkę.

– Weź, ostatnim razem zapomniałaś o niej. Tym razem potrzebna jest pani Fridzie.

Laura wzięła Li Po, ucałowała Dantona i Santiago pogrążonych we śnie i wróciła do tego, co już się dokonało przed jej wyjazdem do Xalapy na wieść o zniknięciu ciotek.

Pierwszą noc spędzili, leżąc obok siebie sztywno, jak w trumnie, przeniknięci chłodem, bez wymówek, ale i bez czułości, zgodni co do tego, że muszą sobie wiele wyjaśnić, dojść do jakichś kompromisów. Nie będą się bronili przed zbliżeniem fizycznym, ale też nie będą tych spraw stawiali na pierwszym miejscu, traktowali jako obowiązk. Natomiast leżąc teraz znowu we wspólnym łóżku, próbują wyjść od paru pytań i paru próbnych stwierdzeń: Rozumiesz, Juan Francisco, zanim cię poznałam, wiedziałam, co się o tobie mówiło, sam nigdy się nie chwaliłeś, nie mogę ci tego zarzucić, przeciwnie, kiedy pojawiłeś się w kasynie w Xalapie, ująłeś mnie swoją prostotą, nie wywyższałeś się, żeby mi zaimponować, mnie już i tak imponowałeś – odważny, pociągający mężczyzna z mojej wyobraźni, w której zająłeś miejsce ofiarnego bohaterstwa mego brata Santiago; ty przeżyłeś, żeby kontynuować walkę w imieniu naszej rodziny, to nie twoja wina, że nie stanąłeś na wysokości moich wyobrażeń, wina leży po mojej stronie, obyśmy mogli żyć razem, ty i ja, bez zaślepienia. Ja nigdy nie miałem wrażenia, że mnie kochasz, Lauro, to, co czułaś, to był tylko szacunek, podziw i jakieś mrzonki, ale nie namiętność, namiętność nie trwa długo, a szacunek i podziw tak, jeśli to się straci, co nam zostaje, Lauro? Według mnie, Juan Francisco, życie bez namiętności i podziwu, ale z szacunkiem, z szacunkiem dla tego, co rzeczywiście sobą reprezentujemy, bez iluzji. Czy dla naszych dzieci, które nie są niczemu winne, bo wydaliśmy je na świat, nie pytając ich o zgodę, możemy zawrzeć taką umowę? Nie, jest coś jeszcze, spróbuj uwolnić mnie od strachu, boję się ciebie, bo mnie uderzyłeś, przysięgnij mi, że drugi raz tego nie zrobisz, bez względu na to, jak się między nami ułoży, nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak przerażona jest kobieta, kiedy mężczyzna rzuca się na nią z pięściami. To mój podstawowy warunek, nie przejmuj się, myślałam, że jestem silniejsza, przepraszam.

A potem nastąpiło parę smutnych pieszczot z jego strony, ona w rewanżu odpowiedziała mu odrobiną czułości, ale za chwilę ogarnął ją wstyd i usiadła na łóżku. Nie mogę cię oszukiwać, Juan Francisco, muszę od tego zacząć, chcę ci opowiedzieć wszystko, co się ze mną działo potem, jak wydałeś tę zakonnice Glorię Soriano i uderzyłeś mnie w twarz na ulicy, kiedy od ciebie odeszłam, chcę, żebyś wiedział, z kim spałam, kogo pożałowałam, z kim przeżywałam rozkosz, chcę, żebyś przyjął do wiadomości to wszystko, co robiłam, kiedy mieszkałam daleko od ciebie, żebyś na koniec mógł mi odpowiedzieć na pytanie, na które teraz jeszcze nie masz odpowiedzi: dlaczego osądzałeś mnie, kiedy chciałam cię kochać, a nie potępiłeś mnie, kiedy cię oszukiwałam? Pytam o to teraz, Juan Francisco, zanim ci to wszystko opowiem, zanim historia się powtórzy, czy teraz osądzisz mnie za to, że chcę cię kochać, że chcę do ciebie wrócić? Czy w przyszłości masz zamiar potępić mnie, kiedy znowu cię zdradzę? Odważysz się odpowiedzieć mi na to pytanie? Nie najlepiej się prowadziłam, to fakt, ale posłuchaj uważnie, o co cię pytam: czy będziesz miał tyle siły, żeby nie osądzać mnie, jeśli cię zdradzę – pierwszy raz albo kolejny raz, tego nie wiesz, prawda? Nigdy nie będziesz wiedział, czy to, co ci wyznam, jest prawdą, czy sobie to wymyśliłam, żeby się na tobie zemścić, chociaż mogę podać ci nazwiska i adresy, możesz sprawdzić, czy to, co ci powiem na temat moich romansów, od chwili kiedy cię zostawiłam, jest prawdą czy

kłamstwem, ale to w niczym nie zmienia istoty tego, o co cię pytam – czy już nigdy nie będziesz mnie osądzał? Proszę cię o to jako o zadośćuczynienie w imieniu zakonnicy, którą wydałeś, i sprawy, którą zdradziłeś. Ja ci to przebaczę, ale czy ty mi przebaczysz, czy jesteś do tego zdolny?

.....

Po słowach Laury zapanowało długie milczenie, Juan Francisco wstał, zapiął pidżamę w biało-niebieskie paski, podszedł do kredensu, wziął trochę wody z syfonu, wypił i usiadł na brzegu łóżka. Pokój w porze deszczowej był wyziębiony, a o dach dudnił coraz głośniejszy niespodziewany grad. Przez otwarte okno wpadał świeży, zmysłowy zapach kwiatów palisandru, pokonując kołyszące się zasłony i deszcz tworzący małe kałuże pod oknem. Juan Francisco zaczął mówić, mówił tak wolno, jakby był człowiekiem bez przeszłości – skąd pochodził? kim byli jego rodzice? dlaczego nigdy nie mówił o swoim pochodzeniu?

Ja zawsze wiedziałem, że jestem silny fizycznie i słaby psychicznie. Wiedziałem to od wczesnej młodości. Dlatego kosztowało mnie tyle wysiłku, żeby okazać się silnym wobec świata. Zwłaszcza wobec ciebie. Bo od dziecka znałem swoje wewnętrzne lęki i słabości. Słyszałaś o Demostenesie, który przełamał jąkanie, wynikające z nieśmiałości, spacerując po plaży i przekrzykując fale, aż stał się najsławniejszym publicznym mówcą Grecji? Tak samo było ze mną. Stałem się silny, bo byłem słaby. Tylko że nigdy nie wiesz, na jak długo wygrałaś ze strachem, Lauro. Bo strach jest słaby, i kiedy świat oferuje ci prezenty, żeby go zadowolić – pieniądze, władzę albo zmysły – wszystko razem albo osobno, nieważne – to nie ma silnych, jesteś wdzięczny światu, że się nad tobą lituje, i oddajesz mu prawdziwą siłę, którą zdobyłaś, kiedy nie miałaś nic, w zamian za fałszywą siłę świata, która zaczyna do ciebie przemawiać. Kończy się tak, że ani się obejrzyś, jak zwycięży w tobie słabość. Przy twojej pomocy być może osiągnę równowagę i wprawdzie nie będę już tak silny, jakim byłem, kiedy się poznaliśmy, ale też nie będę tak słaby, jakim byłem, kiedy ode mnie odeszłaś.

Nie miała zamiaru dyskutować z nim, kto kogo porzucił. Jeśli on jest zdecydowany uważać się za porzuconego, ona, z litości, zostawi mu tę rolę i postara się mimo wszystko nie stracić dla niego szacunku. Ale on, za to, będzie musiał usłyszeć o niej całą prawdę, choćby najokrutniejszą, nie z okrucieństwa, tylko żeby obydwójce od tej pory żyli w prawdzie, choćby najgorszej, a głównie dlatego, żeby Danton i Santiago mogli żyć w rodzinie bez kłamstwa. Laura przypominała sobie swoją matkę, Letycję, i zapragnęła być taka sama jak ona, posiadać umiejętność rozumienia wszystkiego bez zbędnych słów.

Kiedy wróciła z Xalapy, zaniósła chińską lalkę Fridzie Kanio. Mieszkanie na Coyoacán było puste. Laura weszła do ogrodu i zapytała głośno: „Jest tam kto...?” A słaby głosik służącej odpowiedział: „Nie, panienko, nie ma nikogo w domu”. Gospodarze w dalszym ciągu przebywali w Nowym Jorku, gdzie Rivera malował murale w Rockefeller Center, Laura położyła więc Li Po na łóżku Fridy i nie chciała zostawiać żadnej kartki, nawet jednego słowa; Frida zrozumie, to był prezent od Laury dla utraconego dziecka. Próbowała wyobrazić sobie czysty profil orientalnej lalki z kości słoniowej w gąszczu tropikalnej roślinności, która wkrótce miała wtargnąć do sypialni: małpy, powiedziała jej Frida, papugi, motyle, bezwłose psy, oceloty i płatanina lian i orchidei.

Sprowadziła z Xalapy synów. Dobrze ułożeni młodzieńcy Santiago i Danton, stosując się do szczegółowych i praktycznych wskazówek babki Letycji, sami wsiedli do pociągu „Interoceánico”, a na dworcu Buenavista czekali na nich Laura i Juan Francisco. Charakter chłopców, który Laura już знаła, był zaskoczeniem dla Juana Francisco, zresztą dla Laury również, gdyż obaj chłopcy w znacznym stopniu rozwinęli swoje indywidualne cechy. Danton, pewny siebie kawalarz, ucałował pospiesznie rodziców w oba policzki i pobiegł kupić sobie jakieś słodczy, mówiąc głośno: po co ta babcia dała nam pieniądze, kiedy w

pociągu nie było ani czekoladek Larin, ani lizaków Mimi, zresztą to skąpiradło mogło nam odpalić trochę więcej grosza, a potem szybko podszedł do kiosku i poprosił o najnowsze komiksy z serii „Pepín” i „Chamaco Chico”, ale zdał sobie sprawę, że nie wystarczy mu pieniędzy, kupił więc tylko ostatni numer „Mózgowców”, i kiedy Juan Francisco sięgnął do kieszeni, żeby zapłacić za pisma, Laura przytrzymała mu rękę, a wtedy Danton odwrócił się do nich plecami i wybiegł na ulicę, zostawiając wszystkich z tyłu.

Santiago natomiast przywitał się z nimi podaniem ręki i wzniosł mur nie do przebycia dla wszelkich prób zbliżenia. Pozwolił, żeby Laura położyła mu rękę na ramieniu, prowadząc go do wyjścia, i nie miał oporów, kiedy Juan Francisco wziął dwie niewielkie walizki, by przenieść je do czarnego buicka, zaparkowanego na ulicy. Obydwaj chłopcy czuli się nieswojo, ale nie dawali po sobie poznać, że to na skutek spotkania z rodzicami, i przesuwali wskazującym palcem pod sztywnymi i ściśniętymi krawatem kołnierzykami świątecznych ubrań, w które wystroiła ich doña Letycja: marynarki obszywane lamówką, zapięte na trzy guziki, spodnie pumpy, podkolanówki w romby; dopasowane sznurowane buty w beżowym kolorze.

W drodze z dworca na Aleję Sonora wszyscy milczeli, Danton pochłonięty czytaniem komiksów, Santiago nieporuszenie oglądający majestatyczne miasto, świeżo odsłonięty pomnik Rewolucji, który porównywano do gigantycznej stacji benzynowej, ulicę Paseo de la Reforma i następujące po sobie ronda, zielone płuca całego miasta, pomnik Konika na skrzyżowaniu ulic Juareza, Bucarellego i Ejido, pomnik Kolumba otoczony wianuszkami nieulekłych zakonników i skrybów, dumnego azteckiego księcia Cuauhtemoca ze wzniesioną dzidą na skrzyżowaniu z Insurgentes – długą aleją wysadzaną drzewami, z wystawnymi prywatnymi pałacami o fasadach i gzymsach w paryskim stylu, z chodnikami dla pieszych i ścieżkami dla jeźdźców, którzy o tej wczesnej porze robili powolne przejażdżki na koniach. Na Paseo de la Reforma wychodziły eleganckie ulice Kolonii Roma z piętrowymi domami z kamienia, z garażami na parterze i salonami na piętrze, gdzie można było zajrzeć przez drzwi balkonowe o białych futrynach, otwierane przez pokojówki z misternie splecionymi warkoczami, wietrzące pokoje i strzepujące serwetki.

Santiago czytał nazwy ulic – Niza, Génova, Amberes, Praga – i tak dotarli do Lasku Chapultepec (Danton nawet tutaj nie podniósł wzroku znad komiksów) i skierowali się do mieszkania przy Alei Sonora. Santiago pamiętał jak piękny sen tę bramę do wielkiego parku pełnego sosen i drzew eukaliptusowych, z kamiennymi lwami po obu stronach, z górującym nad otoczeniem legendarnym zamkiem, gdzie miał swoje łaźnie Moctezuma i skąd bohaterscy chłopcy ze Szkoły Podchorążych rzucili się w przepaść, żeby nie oddać Alcazaru w ręce żołnierzy północnoamerykańskich w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku. Zamek ten był siedzibą wszystkich władców Meksyku, począwszy od Maksymiliana z Habsburgów do Abelarda de los Casinos, aż wreszcie nowy prezydent Lázaro Cárdenas stwierdził, że nie odpowiada mu taki przepych, i jako prawdziwy republikanin przeniósł się do skromnej willi „Los Pinos” u podnóża zamku.

Przy drugim śniadaniu chłopcy z uwagą słuchali, jak będzie wyglądał nowy porządek ich życia, chociaż błysk we wzroku Dantona oznaczał milczącą przestrożę, że na każdy nałożony na niego obowiązek odpowie nieprzewidzianą psotą. Spojrzenie Santiago nie wyrażało ani zdziwienia, ani podziwu; tę pustkę zapełniała – co słusznie odgadywała Laura – tęsknota za Xalapa, za babcią Letycją, za ciotką Marią de la O: czyżby dopiero to, co zostawało za nim, za małym Santiago, mogło obudzić jego tęsknotę? Laura zdziwiła się na tę myśl, obserwowała poważną, delikatną twarz swojego starszego syna, jego kasztanowe włosy, był tak podobny do swego nieżyjącego wuja, tak inny od Dantona o śniadej karnacji, cynamonowej skórze, gęstych ciemnych brwiach i czarnych, przygładzonych brylantyną włosach. Tylko że Santiago oczy miał czarne, a brunet Danton jasnozielone, prawie żółte, jak źrenice kota.

Laura westchnęła; przedmiotem tęsknoty jest zawsze przeszłość, nie ma tęsknoty za przyszłością. A jednak w oczach Santiago było coś, co zapalało się i gasło, jak jedno z tych nowych świetlnych ogłoszeń w Alei Juareza: tęsknię za czymś, co dopiero przyjdzie...

Mieli chodzić do pobliskiego Gimnazjum Gordona przy Alei Mazatlán. Juan Francisco będzie ich odwoził rano buickiem, a wracać będą o piątej po południu pomarańczowym szkolnym autobusem. Wszystkie rzeczy potrzebne do szkoły były już kupione: szwajcarskie ołówki marki Eberhard, pióra bez marki i pochodzenia, przeznaczone do maczania w kałamarzu stojącym na pulpicie, zeszyty w kratkę do arytmetyki, w linie do wypracowań, *Historia narodowa* księżożercy Tei Zabrego, a dla równowagi książka do matematyki brata marianity Anfossiego, podręcznik do angielskiego, gramatyka języka hiszpańskiego i zielone zeszyty historii powszechnej Francuzów Maleta i Isaaca. Tornistry. Kanapki z fasolą, sardynkami i *chile serrano* w dwóch połówkach bułki, obowiązkowa pomarańcza, zakaz kupowania słodyczy, od których tylko psują się zęby...

Laura chciała wypełnić dzień tymi nowymi obowiązkami. Noc czyhała na nią, świt pukał do jej drzwi, a między zmierzchem a świtem nawet nie mogła powiedzieć: noc jest nasza.

Wyrzucała sobie: „Nie mogę skazać tego, co we mnie najlepsze, na zapomnienie i śmierć”. Ale milcząca prośba męża: „O tak mało cię proszę, pozwól mi czuć się potrzebnym” – nie mogła ukoić irytacji, która wzbierała w niej w godzinach samotności, kiedy chłopcy szli do szkoły, a Juan Francisco do syndykatu. „Jakie łatwe byłoby życie bez męża i bez dzieci”. Poszła znowu na Coyoacán po powrocie Fridy i Diega ze Stanów, poprzedzonego ciemnymi chmurami nowego skandalu: Rivera wprowadził do muralu w Rockefeller Center w Nowym Jorku twarze Marksa i Lenina, co skończyło się prośbą Nelsona Rockefellera, by usunął z malowidła portret sowieckiego przywódcy. Diego odmówił, ale zaproponował, że dla równowagi namaluje obok głowy Lenina głowę Lincolna; dwunastu uzbrojonych strażników nakazało mu zaprzestać pracy, po czym wręczono artyście czek na czternaście tysięcy dolarów – „Komunistyczny Malarz Robi Majątek na Kapitalistycznych Dolarach”. Członkowie związków zawodowych próbowali uratować mural, ale rodzina Rockefellerów kazała go zniszczyć łomami i wyrzucić do śmieci. Dobrze się stało – stwierdziła Komunistyczna Partia USA – gdyż dzieło Rivery jest „kontrewolucyjne”, Diego i Frida wrócili do Meksyku, on zgaszony, ona obrzucająca obelgami całą „Gringolandię”. Wrócili, ale dla Laury nie było już konkretnego miejsca. Diego chciał się na Amerykanach zemścić, tworząc inny mural w New School, Frida namalowała bolesny obraz, przedstawiając samą siebie jako pusty strój tehuański, zawieszony wśród bezdusznych drapaczy chmur nad samą granicą pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Meksykiem, cześć, Lauro, co słyhać, wpadaj, kiedy tylko zechcesz, do szybkiego zobaczenia...

Życie bez męża i dzieci. To tylko irytacja podobna do zwinnej i natrętnej muchy, która uparcie siada nam co chwila na czubku nosa, przecież Laura wiedziała już, czym jest życie bez Juana Francisco i dzieci, Santiago i Dantona, i tamta sytuacja nie przyniosła jej nic ani lepszego, ani bardziej wzniosłego niż jej przywrócona pozycja żony i matki – gdyby tylko Juan Francisco nie mieszał w sposób tak ewidentny przekonania, że własna żona go osądza, z obowiązkiem kochania jej. Jej mąż zakotwiczył się na nieruchomości. Nadmierna adoracja, którą postanowił okazywać Laurze, jakby chciał przez to zatrzeć błędy przeszłości, bardzo ją irytowała, gdyż była to wprawdzie forma prośby o wybaczenie, ale obracała się w coś zupełnie przeciwnego. „Nie, to nie jest nienawiść, on mnie męczy, kocha mnie nadmiernie, mężczyźni nie powinni kochać kobiet nadmiernie, jemu brakuje inteligentnego wyczucia, musi się nauczyć, że istnieje różnica pomiędzy potrzebą kobiety, by być kochaną, a podejrzeniem, że nie jest się kochaną zbyt mocno”.

Juan Francisco, jego czułości, uprzejmość, jego pełna poświęcenia ojcowska troska o dzieci, których nie widział przez sześć lat, jego nowy zwyczaj opowiadania Laurze wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu dnia – przy czym nie domagał się w zamian żadnych

wyjaśnień z jej strony – jego powolny, dwuznaczny sposób upraszania o miłość dotykaniem jej stopy pod kołdrą, ukazywaniem się nago w drzwiach łazienki (jak głupiec udawał, że niby to szuka pidżamy), chociaż na brzuchu porobiły mu się fałdy i stracił dawną sylwetkę smukłego bruneta... A wszystko po to, aby ją zmusić do przejścia inicjatywy, przyspieszenia stosunku, mechanicznego spełniania małżeńskich obowiązków...

Znosiła to z rezygnacją, do czasu kiedy jakiś cień, początkowo bezcielesny, wmieszany w tłum ulicy, zaczął przybierać realną postać na przeciwległym chodniku, a w końcu kroczył za nią otwarcie, kiedy szła na targ Parián i wracała z zakupami. Nie chciała brać służącej, wspomnienie zakonnicy Glorii Soriano było zbyt bolesne. Zajęcia domowe wypełniały jej spędzane samotnie godziny.

Najdziwniejsze było to, że odkrywszy, iż śledzi ją jeden z goryli jej męża, nie potraktowała sprawcy zbyt poważnie. I ten fakt zaniepokoił ją bardziej, niż gdyby się tym odkryciem przejęła nadmiernie. I otworzył przed nią uliczkę bez wyjścia, tak wąską, jak szeroka była aleja, przy której mieszkali. Jednak postanowiła, że ona nie będzie go śledzić w tak idiotyczny sposób, jak on ją śledził, ale inwigilować za pomocą broni znacznie mocniejszej – kontroli moralnej.

Lázaro Cárdenas, generał z Michoacán, eks-gubernator swojego stanu, przywódca partii działającej oficjalnie, został wybrany na prezydenta i wszyscy sądzili, że będzie jeszcze jedną kukiełką pociągana bezwstydnie za sznurki przez Najwyższego Wodza Rewolucji generała Plutarca Eliasza Callesa. Sytuacja była do tego stopnia karykaturalna, że za czasów kadencji prezydenta Pascuala Ortiza Rubio jakiś dowcipniś zawiesił na drzwiach jego rezydencji w Chapultepec tabliczkę z napisem: „Tu mieszka prezydent. Ten, kto rządzi, mieszka naprzeciwko”. Następny prezydent, Abelardo Rodríguez, uważany za kolejną marionetkę Najwyższego Wodza, dusił jeden strajk po drugim, pierwszy był strajk telegrafistów, zaraz potem bunt robotników najemnych z Nowej Lombardii i Nowej Italii w Michoacán, rolników pochodzenia włoskiego wychowanych na tradycji walk partii komunistycznej Antonia Gramsciego, a w końcu narodowy ruch robotników rolnych w Chiapas, Veracruz, Puebli i Nuevo León; prezydent Rodríguez zarządził zwolnienie strajkujących i zastąpienie ich wojskowymi; sądy zdominowane przez władzę uznawały strajk za strajkiem za „nieuzasadniony”, wojsko i biała gwardia wymordowali wielu robotników z dzielnic włosko-meksykańskich, a krajowych przywódców strajków walczących o ustalenie minimalnej płacy, wśród których znalazł się młody pisarz José Revueltas, Abelardo zesłał na wyspy Mariás.

Stary CROM Luisa Napoleona Moronesa nie był w stanie bronić robotników i odgrywał coraz mniejszą rolę, rosła natomiast w siłę gwiazda nowego lidera Vicente Lombarda Toledano, który z filozofa tomisty przekształcił się w marksistę. Ten chudzielec o wyglądzie ascety i smutnym spojrzeniu, potargany, z fajką w zębach, utworzył Powszechną Konfederację Robotników i Chłopów Meksyku i tym samym stworzył ludziom pracy możliwości skutecznego działania; robotnicy, którzy walczyli o ziemię, o płace, o układy zbiorowe, zaczęli skupiać się wokół Konfederacji, a jako że w Michoacán nowy prezydent Cárdenas przejął patronat nad walką związkową, wszystko się teraz powinno było zmienić – już nie Calles i Morones, lecz Cárdenas i Lombardo Toledano...

– A co z niezależnością związkową, Juan Francisco? – usłyszała Laura któregoś wieczoru pytanie jedyne z starych towarzyszy, który jeszcze odwiedzał jej męża; był to bardzo już postarzały Panfilo. Biedak nie miał gdzie spluwać, bo Laura pousuwała tamte niedorzeczne miedziane naczynia.

Juan Francisco powtórzył zdanie, które stało się nieomal jego wyznaniem wiary:

– W Meksyku można coś zmienić, tylko działając od środka, nie z zewnątrz...

– Kiedy ty się czegoś nauczysz? – powiedział z westchnieniem Panfilo.

Cárdenas zaczął przejawiać oznaki niezależności, a Calles zniecierpliwienia. Juan Francisco w tym czasie wyglądał na zagubionego, nie wiedział, jaki kierunek ma obrać ruch

robotniczy i jakie miejsce on sam ma w nim zajmować. Laura wyczuła tę jego niepewność i zaczęła wypytywać męża raz po raz z usprawiedliwionym niepokojem: a jeśli nastąpi rozłam między Callesem a prezydentem Cardenasem, po której stronie się opowiesz? A on nie miał innego wyjścia niż popaść w stary zły nawyk z okresu, zanim się jeszcze pogodzili, w polityczną retorykę: Rewolucja jest jednością, nigdy nie będzie rozłamu wśród jej przywódców. Ależ ta Rewolucja już dokonała rozłamu między tobą i wieloma twoimi dawnymi ideałami, Juan Francisco, z czasów, kiedy jeszcze byłeś anarchosyndykalistą (wtedy wspomnienia poddasza w Xalapie, zamkniętej tam Armonii Aznar, jej tajemniczych stosunków z Orlandem i mowy pogrzebowej Juana Francisco wracały jedno za drugim niepowstrzymaną lawiną). A on powtarzał jak dewot swoje credo: trzeba oddziaływać od wewnątrz, na zewnątrz zgniotą cię jak pluskwę, bitwy wygrywa się wewnątrz systemu...

- Trzeba się umieć przystosować, nieprawdaż?
- Przez cały czas. Oczywiście. Polityka jest sztuką kompromisu.
- Kompromisu – powtarzała ona z największą powagą.
- Tak.

Trzeba było uśpić serce, żeby nie przyjmować do wiadomości tego, co się działo; Juan Francisco mógł sobie tłumaczyć, że konieczność polityczna zmuszała go do kompromisu z rządem...

- Z każdym rządem? Z jakimkolwiek rządem?

...ona nie mogła go spytać, czy ma spokojne sumienie. On chciałby uwierzyć, że nie boi się cudzej opinii, bał się Laury Díaz, tego, że znowu będzie przez nią osądzany, aż którejś nocy obydwójgu nerwy odmówiły posłuszeństwa.

- Mam dosyć twoich osądów.
- A ja twojego szpiegowania.
- Nie wiem, o czym mówisz.
- Zamknąłeś moją duszę w piwnicy.
- Nie rozczulaj się tak nad sobą, wzbudzasz litość.
- Nie przemawiaj tak jak święty do grzesznicy. Zwracaj się do mnie!
- To oburzające, żądasz ode mnie czegoś, co nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.
- Przestań wyobrażać sobie, że cię osądzam.

– Twoje opinie mnie zupełnie nie obchodzą, bo czymże ty właściwie jesteś? – A ona chciała mu powiedzieć: czy uważasz, że wróciłam do ciebie tylko po to, by uzyskać przebaczenie za własne grzechy? Ugryzła się w język, co noc zasypiała, to rano rozwiąże, poszła do sypialni dzieci, by popatrzeć, jak śpią, chciała się uspokoić.

Patrzyła, jak śpią.

Wystarczyło, że spojrzała na dwie główki wtulone w poduszki – Santiago okryty aż po szyję, Danton odkryty i rozkopany, jakby nawet we śnie uzewnętrzniały się przeciwstawne cechy ich osobowości – by zadać sobie pytanie, czy ona, Laura Díaz, w tym określonym momencie swojego życia może czegoś nauczyć swoich synów, albo przynajmniej zdobyć się na odwagę, by ich zapytać: co chcecie wiedzieć, co mogę wam powiedzieć?

Teraz, siedząc przy dwóch identycznych łóżkach, mogła im tylko powiedzieć, że wydano ich na świat, choć nikt ich nie pytał o zgodę, i dlatego wolność rodziców w spółdzeniu ich nie była dla nich ratunkiem; że odziedziczyli po rodzicach urazy, potrzeby i niewiedzę, których teraz rodzice – choćby się bardzo starali – nie mogą wykorzenić, nie naruszając wolności dzieci. One na ziemi same będą musiały walczyć z odziedziczonym złem, a ich matka nie będzie mogła wycofać się, zniknąć, zmienić się w ducha swojego własnego dziedzictwa. Jej obowiązkiem jest wytrwać w ich imieniu i nigdy nie zachowywać się demonstracyjnie, pozostać niewidzialną obok nich, nie umniejszać honoru i odpowiedzialności dziecka, które powinno dorastać w swojej własnej wolności, czuć się kowalem własnego losu. Czyż mogła

zrobić coś więcej niż tylko dyskretnie czuwać, wiele znosić i prosić jednocześnie o długie życie i krótkie cierpienie, jak ciotki Virginia i Hilda?

Czasami całą noc spędzała przy ich łóżkach, zdecydowana towarzyszyć synom wszędzie, niby długa linia brzegowa, przy której morze i plaża, choć tak różne, są ze sobą nierozdzielne; choćby ta podróż miała trwać jedną noc, ale z nadzieją, że nie skończy się nigdy; a nad głową chłopców pozostawało w zawieszeniu pytanie: ile czasu, ile życia Bóg i ludzie dadzą moim synom na tej ziemi?

Patrzyła, jak śpią, aż wstawało słońce i światło dotykało dziecięcych główek, i ona sama mogła dotknąć słońca rękoma, pytając, ile takich słońc przeżyje ona i jej dzieci. Na każdą płamę słońca przypadała smuga cienia.

Wtedy Laura Díaz odstępowała od łóżek, gdzie spali jej synowie, podnosiła się półprzytomna, z zawrotami głowy i mówiła w duchu do siebie (choć właściwie do nich), błagając, żeby starali się zrozumieć własną matkę, aby jej nie skazywali najpierw na litość, a potem na zapomnienie, mówiła, że zgadza się zostać matką znienawidzoną i wyzwoloną przez nienawiść swoich dzieci, jeśli to możliwe, tak nieuchronnie znienawidzoną, by nie potrafili jej zapomnieć: chcę być aktywna, pełna pasji i aktywna, ale jeszcze nie wiem jak, nie mogę wrócić do tego, co robiłam, chcę autentycznego zwrotu, zwrotu, który byłby wzlotem, a nie rezygnacją. Jakie łatwe byłoby życie bez dzieci i męża! Znowu? Tym razem tak? Czemu nie? Czy wolność wyczerpuje się za pierwszym razem, czy poprzednie niepowodzenie zamyka nam drzwi do ewentualnego szczęścia poza ścianami własnego domu? Czy już wyczerpałam swoje przeznaczenie? Santiago, Danton, nie opuszczajcie mnie. Pozwólcie mi towarzyszyć sobie wszędzie, cokolwiek się stanie. Nie chcę być uwielbiana. Chcę być oczekiwana. Pomóżcie mi.

XII. Park La Lama: 1938

W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku w Monachium demokracje europejskie ugięły kolana przed Hitlerem i naziści zajęli Austrię i Czechosłowację, w Republice Hiszpańskiej walki toczyły się na wszystkich frontach, Walt Disney zrealizował *Królewnę Śnieżkę i siedmiu krasnoludków*, Siergiej Eisenstein *Aleksandra Newskiego*, a Leni Riefenstahl *Olimpiadę w Berlinie*. W czasie „Kryształowej Nocy” oddziały SS podpalały synagogi, sklepy, mieszkania i szkoły żydowskie w Niemczech, Kongres Stanów Zjednoczonych utworzył Komisję do Badania Działalności Antyamerykańskiej, Antonin Artaud zaproponował swój „teatr okrucieństwa”, Orson Welles przekonał cały świat, że Marsjanie zaatakowali New Jersey, Lázaro Cárdenas znacjonalizował meksykańską ropę naftową, również w Meksyku dwa towarzystwa telekomunikacyjne – szwedzki Ericsson i krajowa Mexicana – zaferowały swoje usługi każde na własną rękę z takim skutkiem (a raczej bez skutku), że abonenci Ericssona nie mogli porozumieć się z abonentami Mexicany i odwrotnie. Całe to zamieszanie skazywało osobę, która posiadała aparat Ericssona i chciała zadzwonić do kogoś, kto miał linię Mexicany, na poszukiwania wśród sąsiadów, przyjaciół, pobliskich biur i kiosków odpowiedniego aparatu i, oczywiście, to samo w drugą stronę.

– W Meksyku nawet telefony są barokowe – mawiał Orlando Ximénez.

Wielkie przestrzenie nowoczesnych miast utrudniają kontakty miłosne; nikomu nie chce się podróżować autobusem całą godzinę, żeby przez półtorej minuty cieszyć się seksem. Telefony służą do wyznaczania spotkań w połowie drogi. W Paryżu poczta pneumatyczna, *petit bleu*, służyła zakochanym do porozumiewania się; te niebieskie kopertki mogły zawierać najczulsze przysięgi miłosne; przyprowadzały one kochanków o żywsze bicie serca niż telegramy. Ale w Meksyku, w roku wyłączenia przemysłu naftowego i obrony Madrytu, kochankowie, jeśli nie byli sąsiadami i jedno z nich miało aparat Ericssona, a drugie Mexicany, zmuszeni byli wymyślać różne dziwne, skomplikowane i – jak by powiedział Orlando – barokowe sposoby kontaktowania się.

A jednak ten pierwszy kontakt pomiędzy nimi, to pierwsze osobiste porozumienie nie mogło być bardziej bezpośrednie. Było to po prostu spotkanie oczu. Ona potem mówiła sobie, że była przygotowana na to, co się wydarzyło, ale kiedy go zobaczyła, zareagowała tak, jakby nigdy podobna myśl nie powstała jej w głowie. Oni nie wymienili spojrzeń, po prostu nie mogli oderwać od siebie wzroku. Ona pomyślała: dlaczego ten mężczyzna tak różni się od innych? A on odpowiedział bez słów, oddzielony od niej tłumem gości zaproszonych na przyjęcie: bo patrzę tylko na ciebie.

– Bo patrzy tylko na mnie.

Zapagnęła wyjść, zaalarmowały ją nie znane dotąd odczucia, przestraszyło ją to zauroczenie, tak nagłe, a tak wszechogarniające, zaniepokoiło wyobrażenie skutków zbliżenia, pomyślała o tym wszystkim, co mogło nastąpić, namiętność, oddanie, ciężar winy, wyrzuty sumienia, mąż, dzieci; to wszystko nie musiało się zdarzyć, ale w momencie przecucia, natychmiastowego, bezwiednego, stanęło jej przed oczami, jakby w salonie zebrały się duchy członków rodziny, żeby ze stoickim spokojem osądzić jej postęпки.

Pomyślała, że wyjdzie. Chciała uciec. On, jakby odgadł jej myśli, podszedł do niej i powiedział:

– Zostań jeszcze chwilę.

Popatrzyli sobie w oczy; był tego samego wzrostu co ona, niższy od jej męża. Jeszcze zanim się do niej odezwał, wiedziała, że traktuje ją z szacunkiem, że użył formy „ty” dlatego tylko, że taki jest hiszpański zwyczaj w kontaktach między ludźmi. Miał hiszpański wygląd i taki sam akcent; nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat, ale włosy miał zupełnie siwe, kontrastujące z młodzieńczą twarzą, bez zmarszczek, poza jedną, pionową, między brwiami. Białe zęby w uśmiechu, prosty profil, spojrzenie uprzejme, ale pełne żaru. Cera bardzo jasna, oczy bardzo czarne. Chciał, by ona widziała go takim, jaką on ją widział.

– Zostań jeszcze chwilę.

– Jak każesz – powiedziała impulsywnie.

– Nie – roześmiał się – ja tylko proponuję.

Od pierwszego momentu przypisała temu mężczyźnie trzy cechy: powściągliwość, dyskrecję i niezależność, przy nienagannyh manierach towarzyskich. Nie przypominał tych Meksykanów z wyższych sfer, którzy przyjeżdżali na hacjendę San Cayetano czy na koktajle do Carmen Cortiny. Był Hiszpanem, pochodził z dobrej rodziny, ale w jego spojrzeniu była melancholia, a w jego ruchach niepokój; to wszystko nie tylko ją zafascynowało, ale także zaintrygowało jakąś tajemnicą, którą chciałaby odgadnąć, i zastanowiła się, czy to przypadkiem nie jest jakaś subtelna pułapka jej hidalgę (tak go nazwała już wtedy): przedstawić się światu w otoczce tajemniczości.

Próbowała rozszyfrować spojrzenie mężczyzny, wzrokiem przenikała czaszkę, sięgając niemal w okolice mózgu. Siwe włosy rozjaśniały czerń jego oczu, tak samo jak w naszej meksykańskiej rasie potrafią one rozjaśniać ciemne twarze Metysów; młody smagły brunet może poprzez biel siwizny zmienić się w starca o pergaminowej cerze, jakby czas miał właściwość odbarwiania skóry.

W oczach hidalga był podziw i pragnienie poddania się losowi. Tej nocy, w łóżku hotelu L'Escargot obok parku La Lama, pieścili się powoli, bez końca: policzki, włosy, skronie, powiedział jej, że jest godzien zazdrości, bo może oglądać jej twarz pod różnym kątem, a przede wszystkim rozjaśnioną światłem tych wspólnie spędzanych chwil. Jak wpływa światło na twarz kobiety? W jakiej mierze twarz kobiety zależy od pory dnia, od światła wschodu słońca, poranka, południa, wieczoru, zmierzchu, nocy? Co mówi o twarzy kobiety światło, które o różnych godzinach pada na nią z boku czy z przodu, zaskakuje od dołu albo jak korona ozłaca ją od góry, atakuje brutalnie, bez ostrzeżenia, w pełni dnia lub delikatnie głaszcze w półmroku? – pytał ją, a ona nie miała na to odpowiedzi i nie chciała jej szukać, czuła się podziwiana i pożądana, bo on w łóżku zadawał jej właśnie te wszystkie pytania, które ona zawsze chciała usłyszeć od mężczyzny, świadomego, że każda kobieta chce, aby takie pytania zadał jej przynajmniej raz przynajmniej jeden mężczyzna w życiu.

Nie myślała o uciekających minutach i godzinach, od tej nocy przeżywała z nim czas bez czasu w miłosnym uniesieniu, zawirowanie czasu, które odrzucało daleko poza świadomość wszystkie inne życiowe problemy. Wszystkie zapomniane sytuacje. Ale rano, po przebudzeniu, poczuła strach, że czas, który tej nocy pożarł całe jej dotychczasowe życie, pożre też i tę ostatnią chwilę. Przytuliła się do mężczyzny, przylgnęła do niego jak bluszcz, wyobraziła sobie życie bez niego, byłby nieobecny, ale nie zapomniany, zobaczyła siebie w takim momencie, możliwym, ale tak bardzo niechcianym, w momencie, kiedy jego nie byłoby już tutaj, ale zostałaby po nim pamięć, odszedłby mężczyzna, ale jego wspomnienie towarzyszyłoby jej na zawsze. Zaakceptowała tę cenę z radością – wydała jej się niska w porównaniu z pełnią przeżycia. Nie mogła powstrzymać się od dręczących pytań: co oznacza ten gest, to spojrzenie, ten głos, gdy nie znamy początku ani końca? Jak tylko go ujrzała, już nie chciała go stracić.

– Dlaczego jesteś tak inny od wszystkich?

– Bo patrzę tylko na ciebie.

Kochała tę ciszę, która następowała po zbliżeniu. Pokochała tę ciszę od pierwszego razu. Była to oczekiwana obietnica podzielenia z kimś samotności. Kochała też miejsce, które wybrali, bo i ono było z góry naznaczone. Hotel kochanków. Położony przy cieniście, chłodnym parku, ukrytym w środku miasta. Tego właśnie pragnęła. Miejsce pełne tajemniczej zmysłowości, które zawsze będzie nieznane, gdyż nikt, z wyjątkiem kochanków, nie dojrzy w nim nic nadzwyczajnego. Pokochała na zawsze zarys ciała swojego mężczyzny, to ciało było szczupłe, lecz silne, proporcjonalne i namiętne, dyskretne i dzikie, tak jakby męskie ciało miało być zwierciadłem wewnętrznej transformacji, terenem wyimaginowanego pojedynku pomiędzy Bogiem stwórcą a Jego nieodłączną bestią. Albo jakby boskość, która w nas mieszka, była zarazem zwierzęciem. Ona nigdy nie spotkała się z tak nagłymi przejściami od pasji do wyciszenia, od spokoju do pożaru uczuć, od umiaru do nieobliczalności. Jedno dla drugiego było jak wilgotna, żyzna ziemia, wciąż odgadywali się nawzajem. Ona powiedziała, że poznałaby go wszędzie.

– Po omacku, w ciemności?

Przytaknęła. Ich ciała znowu się zespoliły, poddając się bez oporu nakazom namiętności. Na dworze świeciło, park otoczył hotel strażą płaczących wierzb i można się było zagubić w labiryncie wysokich żywopłotów i jeszcze wyższych drzew, których szelest wraz z szumem gnących się gałęzi dezorientował i ogłuszał kochanków, tak odległych od tego, co bliskie, tak bliskich tego, co dalekie, i sprowadzał ich na manowce.

– Kiedy ostatni raz spędziłaś noc poza domem?

– Nigdy, odkąd wróciłam.

– Jakoś się wytłumaczysz?

– Sądzę, że tak.

– Jesteś mężatką?

– Tak.

– Co powiesz?

– Że zostałam na noc u Fridy.

– Musisz się tłumaczyć?

– Mam dwoje dzieci.

– Znasz to angielskie powiedzenie: *never complain, never explain*?

– Właśnie nad tym się zastanawiam.

– Masz się tłumaczyć czy nie?

– Będę się czuła źle wobec samej siebie, jeśli nie powiem prawdy. Ale jeśli powiem, skrzywdzę wszystkich.

– A nie sądzisz, że to, co zaszło między nami, jest częścią naszego życia osobistego i nikt nie musi o tym wiedzieć?

– Mówisz za nas oboje, czy ty też się namyślasz, co zrobić: powiedzieć czy przemilczeć?

– Nie, pytam tylko, czy nie wiesz o tym, że zamężna kobieta może zdobyć mężczyznę.

– Na szczęście Frida ma Mexicane, a my Ericssona. Mężowi trudno będzie mnie kontrolować.

Rozśmieszył go ten telefoniczny spisec, ale ona nie chciała go pytać, czy jest żonaty, czy nie, czy ma kogoś. Usłyszała, co powiedział, kobieta zamężna może zdobyć mężczyznę, który nie jest jej mężem, kobieta zamężna może wciąż zdobywać mężczyzn i te słowa wystarczyły, żeby jakieś podniecające zmieszanie, nieodparta pokusa znowu rzuciły ją w silne, choć szczupłe ramiona, pokryte ciemnym zarostem, znów napotkała zgłodniałe usta swojego hiszpańskiego hidalga, kochanka, mężczyzny tylko częściowo należącego do niej, wiedziała o tym od razu, on wiedział, że jest mężatką, ale ona przeczuwała, że on też ma kogoś, tylko że intuicja nie mówiła jej nic więcej na temat tej drugiej, nie mogła jej sobie wyobrazić; co mogło go łączyć z kobietą, która istniała dla niej tylko w przeczuciach?

Laura Díaz stchórzyła. On nie zdradził jej, kim jest i jaka jest ta druga. Ona powiedziała mu, kim i jaki jest Juan Francisco, ale swojemu mężowi wyznałaby wszystko dopiero wtedy, kiedy Jorge powiedziałby jej o tej drugiej. Jej nowy kochanek (uliczką jej pamięci przemknął Orlando) zdawał się stać przed piętrowym domem. Przy wejściu był powściągliwy, dyskretny, o nienagannych manierach. Na piętrze był czuły, otwarty, pewny swej przystani, tak jakby tylko odrzucenie mogło go pozbawić dachu nad głową, cały oddany wyłącznie miłości. Nie mieściło jej się w głowie, że mężczyzna może w tak kompletny sposób łączyć w sobie różne cechy – być jednocześnie namiętym i opanowanym, otwartym i tajemniczym, dyskretnym w ubraniu, nieprzyzwoitym nago. Uwierzyła, że zawsze pragnęła takiego mężczyzny. I oto go miała, wymarzonego czy też wymyślonego w tej chwili, ale uzmysławiającego jej wieczne marzenia.

Patrząc na park z hotelowego pokoju w ten pierwszy wspólny wczesny poranek, Laura Díaz wiedziała, że po raz pierwszy będzie z jakimś mężczyzną spotykać się i poznawać bez zbędnych słów, wyjaśnień czy powierzchownych kalkulacji. Będą się wzajemnie rozumieli. Każda wspólnie spędzona chwila będzie ich do siebie przybliżać.

Jorge Maura znowu zaczął ją całować, jakby jej umysł i ciało nie miały dla niego tajemnic. Nie mogła oderwać się od niego, od jego ciała zespolonego z jej ciałem, chciała powściągnąć i zatrzymać orgazm, chciała, żeby wszyscy kochankowie świata odczuwali taką samą rozkosz jak ona i Jorge, to było jej najgorętszym, najbardziej uniwersalnym pragnieniem. Nigdy żaden mężczyzna, wchodząc w nią, nie patrzył jej w oczy, tylko przyrywał powieki albo odwracał twarz; już przez sam fakt, że za każdym razem, szczytując w tym samym momencie, patrzyli sobie w oczy spojrzeniem roznamiętnionym, lecz świadomym, nazywali siebie mężczyzną i kobietą, kobieta i mężczyzna kochają się zwróceniu ku sobie, to jedyne zwierzęta, które parzą się twarzami do siebie, widzą się, patrz w moje otwarte oczy, nic nie podnieca mnie bardziej, niż kiedy patrzę na ciebie, a ty patrzysz na mnie, orgazm staje się częścią spojrzenia, spojrzenie duszą orgazmu, jakakolwiek inna pozycja, jakakolwiek inna odpowiedź zostaje w sferze pokusa, odparta pokusa staje się obietnicą następnej, tej najprawdziwszej, najcudowniejszej rozkoszy kochanków.

Szczytować, patrząc sobie w oczy, twarzą w twarz.

– Będziemy tego życzyć wszystkim kochankom świata, Jorge.

– Wszystkim, Lauro, miłości moja.

Teraz chodził wśród bałaganu swojego hotelowego pokoju jak kot. Nigdy nie widziała tylu porzucanych papierów, tylu pootwieranych teczek, takiego nieporządku u człowieka tak czystego i tak dobrze zorganizowanego pod każdym innym względem. Miała wrażenie, że Jorge Maura nie lubi tych papierów, że dźwiga je w walizkach jak nieświeży, nieprzyjemny, a nawet trujący towar. Nie zamykał teczek, jakby je chciał przewietrzyć albo czekał, że papiery gdzieś odfruną lub przeczyta je jakaś wścibska pokojówka.

– Niczego by nie zrozumiała – powiedział z gorzkim uśmiechem.

– Ale czego?

– Niczego. Niech się tylko to wszystko dobrze skończy. Laura znowu stała się taka jak przedtem, a jaka nigdy nie była w jego obecności: przygnębiona, nieśmiała, nieuważna, nienaturalna, silna. Znowu była taka, bo bała się, że wszystko może zburzyć siła pożądania, gdyż pożądanie zdolne jest zniszczyć samą rozkosz, zwiększając wymagania, zacierając granice pomiędzy kobietą i mężczyzną, zmuszając kochanków, by stali się zbyt świadomi swego szczęścia. Dlatego postanowiła wprowadzić między nich element codziennego życia, żeby odgonić ten niszczący cień, który od pierwszej nocy towarzyszył złowieszczo ich szczęściu i budził w nich skrywany strach. Ale nie musiała tego robić, Maura sam ją uprzedził. Czy rzeczywiście ją uprzedził, czy było do przewidzenia, że któreś z nich przejdzie w końcu od namiętności do rzeczywistości?

Jorge Maura przebywał w Meksyku jako przedstawiciel Republiki Hiszpańskiej, która w marcu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku już była zredukowana do enklaw w Madrycie i Barcelonie, a na południu do nadbrzeżnych regionów Walencji. Rząd meksykański Lazara Cardenasas udzielił pomocy dyplomatycznej republikanom, ale etyka nie była wystarczająco silną bronią wobec przytłaczającej pomocy materialnej udzielanej przez neofaszystowskie reżimy rebeliantom generała Franco czy małodusznej i lękliwej postawy demokratycznych państw europejskich – Anglii i Francji. Berlin i Rzym interweniowały z całą stanowczością po stronie Franco, Paryż i Londyn zostawiły na pastwę losu tę „republikę dziecko”, jak nazwała ją Maria Zambrano. Ten załęczek hiszpańskiej demokracji był deptany przez wszystkich – przez przyjaciół, wrogów, a czasami i zwolenników...

Laura Díaz powiedziała, że chce, by stanowili jedność, że chce dzielić z nim wszystko, wiedzieć o nim wszystko, że jest w nim zakochana, zakochana do szaleństwa.

Jorge Maura wysłuchał bez słowa tego wyznania i Laura nie wiedziała, czy brak komentarza jest dowodem uważnego słuchania, czy też jej hidalgo po prostu przerwał na chwilę swoje zwierzenia i chce mówić dalej. Może po prostu chciał, żeby go wysłuchała, zanim podejmie decyzję.

– Przysięgam, że umrę, jeśli nie dowiem się o tobie wszystkiego – tym razem to ona go uprzedziła.

Był zaprzątnięty myślą o Hiszpanii. Powiedział, że Hiszpania dla Hiszpanów jest tym, czym Meksyk dla Meksykanów – bolesną obsesją. Dla nich Ojczyzna nie jest, jak dla Amerykanów, hymnem optymizmu ani, jak dla Anglików, flegmatycznym żartem, ani też, jak dla Rosjan, sentymentalnym szaleństwem, lub, jak dla Francuzów, racjonalną ironią, czy – jak dla Niemców – agresywnym rozkazem, ale konfliktem dwóch połówek, dwóch przeciwstawnych części, dzieleniem duszy na kawałki, Hiszpania, Meksyk, kraje słońca i cienia.

Spacerowali wśród żywopłotów i drzew parku La Lama, a on opowiadał różne historie bez żadnego komentarza. Podczas tych spacerów powiedział jej przede wszystkim, że zdumiewa go podobieństwo pomiędzy Meksykiem a Kastylią. Dlaczego Hiszpanie wybrali płaskowyż podobny do mesety kastylijskiej, gdy zakładali swoje pierwsze i najważniejsze wicekrólestwo na ziemiach Ameryki?

Widział suchą ziemię, szare góry, ośnieżone szczyty w zimnym, przezroczystym powietrzu, puste drogi, osiołki, kobiety w czerni otulone szalami, bosa nogi, godność żebraków, urodę dzieci, a jednocześnie dostrzegał bogactwo kwiatów i owoców w tych dwóch krajach przymierających głodem. Gdy docierał do takich oaz jak ta, z bujną roślinnością, wydawało mu się, że nie wyjeżdża z kraju albo że należy do obydwóch, i to nie tylko fizycznie, ale też historycznie, bo kiedy ktoś rodzi się Hiszpanem albo Meksykaninem, doświadczenie staje się dlań przeznaczeniem.

Kochał ją i chciał, żeby wiedziała o nim wszystko. Wszystko o wojnie, tak jak on ją przeżył. Był żołnierzem, wypełniał rozkazy. Ale zbuntował się, głównie dlatego, żeby później lepiej wypełniać rozkazy. Ze względu na pochodzenie społeczne od początku chciano go wykorzystać do misji dyplomatycznych. Ukończył uniwersytet niemiecki we Fryburgu, jego profesorem był Ortega y Gasset, jego ojcem premier reformator z przełomu wieków Antonio Maura y Montaner; postawił warunek: musi przedtem poznać, co to wojna, żeby znać prawdę i móc jej bronić w negocjacjach, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale przede wszystkim chciał wiedzieć. Prawda doświadczenia ma największą wagę. Na drugim miejscu prawda konkluzji. Doświadczenie i konkluzja złożą się, być może, na całą prawdę, póki sama konkluzja nie zostanie zanegowana przez inne doświadczenia.

– Nie wiem, mam w sobie i ogromną wiarę, i ogromne wątpliwości. Myślę, że pewnośc zabija myślenie. I cały czas się boję, że system, który pomagamy budować, w końcu zniszczy nas samych. To niełatwe.

Był nad Jaramą w batalii zimowej tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Co zapamiętał z tamtych dni? Przede wszystkim doznania fizyczne. Z ust wydobywała się para. Lodowaty wiatr kłuł w oczy. Gdzie jesteśmy? To na wojnie najbardziej wytrąca cię z równowagi. Nigdy dokładnie nie wiesz, gdzie jesteś. Żołnierz nie ma mapy w głowie. Ja nigdy nie wiedziałem, gdzie się akurat znajdujemy. Dawano nam rozkaz, żebyśmy uderzali z flanki, posuwali się naprzód bez celu, rozproszeni, żeby nie trafiły nas bomby. To najbardziej denerwowało mnie w tej bitwie. I ciągle zimno i głód. I wciąż inni ludzie. Trudno było zapamiętać czyjeś słowa albo twarze, gdyż następnego dnia nie było po nich śladu. Więc postanowiłem skoncentrować się na jakiejś osobie, żeby ta wojna miała dla mnie ludzką twarz. Ale głównie dlatego, by mieć towarzystwo, nie przeżywać tej wojny samotnie. Tak bardzo samotnie.

– Pamiętam, któregoś dnia zobaczyłem śliczną dziewczynę ubraną w niebieski kombinezon. Miała twarz zakonnicy, ale ciskała najgorsze przekleństwa, jakie w życiu słyszałem. Zawsze będę ją pamiętał, bo już nigdy jej nie zobaczę. Miała włosy tak czarne, że wydawały się granatowe jak noc. Gęste brwi łączyły się w jedną linię i nadawały jej twarzy wyraz złości. Mimo naklejonego na nosie plastra widać było wyraźnie jej zdecydowany orli profil. Stek przekleństw, płynący z jej ust, zagłuszał słowa modlitwy, którą odmawiała w myśli. Byłem o tym przekonany, powiedziałem jej to spojrzeniem, zrozumiała i zmieszła się. Rzuciła mi parę grubiaństw, a ja powiedziałem „Amen”. Cerę miała białą jak zakonnica, która nigdy nie ogląda słońca, i lekki wąsik jak kobiety z Galicji. I mimo to, właśnie dlatego, była piękna. Jej słowa stanowiły wyzwanie nie tylko dla faszystów, ale i dla samej śmierci. Franco i Śmierć to była para wielkich skurwysynów. Czasem obraz tej pięknej kobiety w niebieskim kombinezonie, o włosach granatowych jak noc, zaciera się w mojej pamięci. Roześmiał się. Musiałem spotkać kogoś, tak innego od niej jak ty, żeby mi się dzisiaj przypomniała. Chociaż nie, ta dziewczyna była, a może jest, równie wysoka jak ty.

Ale ona szła w kierunku Guadarramy, a ja siedziałem w okopach nad Jaramą. Pamiętam dzieci po obu stronach drogi z pięściami wzniesionymi do góry, mrugały powiekami, patrząc pod słońce, poważne, wszystkie z twarzami naznaczonymi piętnem pamięci (czy wiesz, że sieroty z Guerniki wysłane do rodzin francuskich czy angielskich płaczą i krzyczą za każdym razem, kiedy słyszą przelatujący samolot?). Z tego, co było potem, pamiętam już tylko puste, smutne miejsca, przez które pospiesznie przemykali jacyś ludzie.

Nad żółtą, bystrą rzeką.

W wilgotnej jaskini wśród stalaktytów i labiryntów.

W głodzie i chłodzie.

Zaczęły spadać bomby Luftwaffe.

Wiedzieliśmy, że Niemcy nigdy nie bombardują obiektów wojskowych.

Chcieli je zachować nienaruszone dla Franco.

Sztukasy atakowały miasta i cywilów, co powodowało więcej zniszczeń i paniki niż wysadzenie mostu.

Dlatego najbezpieczniej było stanąć na moście.

Celem była Guernica.

Nauczka.

Wojna przeciwko ludności.

Gdzie jesteśmy?

Kto zwyciężył?

Nieważne. Kto przeżył?

Jorge Maura przytulił się do Laury Díaz. „Lauro, pomyliliśmy się co do historii. Nie chcę przyjąć do wiadomości niczego, co odebrałoby nam wiarę...”

Zaczęły przybywać brygady międzynarodowe. Frankistowski generał Mola otoczył Madryt czterema kolumnami, a w środku działała „piąta kolumna” szpiegów i zdrajców. Napływ ludzi uciekających od Franco umacniał opór. Stolica pełna była uciekinierów. Jednak kiedy śpiewano „Madrycie, walczysz dzielnie” i „ślą nam bomby skurwysyny, a my z bomb robimy miny”, nie była to cała prawda. W mieście znajdowało się wielu zwolenników Franco. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku połowa mieszkańców Madrytu głosowała przeciwko Frontowi Ludowemu. A republikańscy bandyci, którzy jeździli po mieście kradzionymi samochodami i wyprowadzali na tzw. „przechadzki” faszystów, księży czy zakonnice i zabijali ich bez pardonu, nie przysparzali sympatii Republice. Myślę, że napływ uciekinierów był największą obroną Madrytu. I myślę, że jeśli nie miny, to wyzywająca, nieco samobójcza, lecz elegancka atmosfera nadawała ton miastu. Pisarze schronili się w jednym z teatrów i tam Rafael Alberti i Maria Teresa León każdego wieczoru organizowali tańce przy pogaszonych światłach, żeby zagłuszyć strach przed bombami Luftwaffe. Poszedłem tam kiedyś i oprócz Hiszpanów zobaczyłem wielu Latynosów, Pablo Neruda, César Vallejo, Octavio Paz i Siqueiros, meksykański malarz, który sam sobie nadał tytuł „Wielkiego Pułkownika” i zawsze zabierał ze sobą czyścibuta, żeby mu pucował oficerki do połysku. Neruda był powolny i senny jak ocean, Vallejo miał podkrążone oczy śmierci przykryte całunem powiek, oczy Paza były bardziej błękitne niż niebo, a Siqueiros sam jeden wystarczał za całą defiladą wojskową. Wszyscy poprzebierani w teatralne stroje z *Don Juana*, *Las Leandras*, *Zemsty Don Mendo*, *Aleada z Zalamei*, było tam tego do wyboru i do koloru, tańczyli na dachu budynku w Madrycie pod bombami, nieświadomi, że znajdują się w świetle niemieckich sztukasów, i pili szampana. Co to było za szaleństwo, skąd ta radość, jakie to miało być święto, Lauro? Czy to śmieszne, czy naganne, czy wspaniałe, że grupa poetów i malarzy sławi życie pośród śmierci, wysyła do diabła wroga potężnego i zamkniętego w swej twierdzy, który nadchodził z całym swoim bezbrzeżnym faszystowskim i reakcyjnym smutkiem i listą odwiecznych nakazów: czystości rasowej, czystości religijnej, czystości seksualnej? Już wiedzieliśmy, jacy są.

Od samych początków Republiki w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku sprzeciwiali się koedukacji, a gdy wprowadzono laickie nauczanie, wysyłali swoje dzieci do szkoły z krzyżem na piersi, ci hipokryci, obrońcy długich spódnic i spoconych pach, byli konserwatywnymi wrogami arabskiej czystości i żydowskiej oszczędności, kąpanie się było dowodem krwi arabskiej, czerpanie zysków – żydowskim grzechem. Oni wypaczyli naszą mowę, Lauro, uwierzyłybyś mi, gdybyś ich posłuchała, głosili bez odrobiny wstydu, że bronią świętych wartości, walczą o gorącą łaskę bożą, o szlachetny dom ojczysty, o kobiety czyste i godne, o żyzne pszenne łany przeciwko republikańskim eunuchom i żydomasonom, przeciwko marksistowskiej syrenie, która wprowadza do Hiszpanii egzotyczne idee, a pole krzepkiego hiszpańskiego katolicyzmu zasiewa chwastami: bezpaństwowcami, kosmopolitami, renegatami, hołotą zatruwającą krew hiszpańską i chrześcijańską; czerwona kanalia! I dlatego bal maskowy Albertiego na dachu teatru iluminowanego bombami był jak wyzwanie ze strony tej drugiej Hiszpanii, tej, która zawsze ratuje się z opresji dzięki wyobraźni. Tam poznałem dwóch chłopców z brygad międzynarodowych, dwóch Amerykanów. Komunista włoski Palmiro Togliatti i komunista francuski André Marty byli przydzieleni do pracy nad nimi. Od lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku dziesięć tysięcy wolontariuszy przekroczyło Pireneje i na początku listopada było ich w Madrycie około trzech tysięcy. Aktualne hasło brzmiało: *No pasarán*. Nie przejdą faszyci, przejdą członkowie brygad, przyjmowani z otwartymi ramionami. Oni i zagraniczni dziennikarze zapełniali kawiarnie. Ich wszystkich ludzie nazywali „Rusos” i witali okrzykami: „niech żyją”. Był między nimi niemiecki komunista, ale z pochodzenia arystokrata, nie zapomnę jego fantastycznego nazwiska: Arnold Friedrich Wieth von Golsenau. Podeszedł do mnie, tak jakbyśmy się znali, powiedział: witaj, Maura, i wymienił

wszystkie człony mojego nazwiska, jakby chciał podkreślić więź między nami, i zaprosił do swego kręgu, do tej hermetycznej, wyższej kasty komunistów-arystokratów. Dostrzegł moje obiekcje i uśmiechnął się: „Na nas można polegać, Maura. My nie musimy na tym zarobić. Nasza uczciwość jest poza wszelką wątpliwością. Rewolucję powinna robić tylko bogata arystokracja, ludzie bez kompleksów niższości i problemów finansowych. Wtedy nie byłoby korupcji. To korupcja zabija rewolucję i zmusza ludzi do myślenia, że i nowy, i stary system są jednakowo obrzydliwe, gdyż konserwatyści już nie potrafią obudzić nadziei, a lewicowcy ją zdradzili”. „Dzieje się tak dlatego – powiedziałem tonem pojednania, że w rewolucjach zawsze przegrywają arystokraci i robotnicy, a wygrywa burżuazja”. „Tak – zgodził się – oni zawsze mają coś do zyskania”. „A my – przypomniałem mu – zawsze mamy coś do stracenia”. Śmiał się głośno. Nie podzielałem cynizmu Arnolda von Golsenau, który w brygadach znany był pod pseudonimem wojennym „Renn”. W tej wojnie ludzie dzielili się na dwie grupy: grupę gawędziarzy, teoretyków, myślicieli i strategów oraz ogromną grupę zwykłych ludzi, którzy właśnie byli zupełnie niezwykli, Lauro, i codziennie dawali dowody niewyobrażalnej odwagi na pierwszych liniach frontu we wszystkich bitwach, pod Madrytem i nad Jaramą, pod Brunete, Teruelem i Guadalajara, tam gdzie poniósł klęskę Mussolini. Na pierwszej linii frontu nigdy nie było pusto. Republikanie z małych wiosek bili się o to, kto pierwszy zginie. Dzieci podnoszące w górę pięści, bosi mężczyźni, kobiety przyciskające do piersi ostatnią kromkę chleba, członkowie oddziałów policji ze wzniesionymi zardzewiałymi karabinami – wszyscy walczyli: w okopach, na ulicach, w polu; nikt się nie wycofał, nikt nie stchórzył. Dotąd nie widziano czegoś podobnego. Byłem nad Jaramą, kiedy bitwa przybrała na sile, bo włączyły się do niej oddziały afrykańskie pod wodzą generała Orgaza, osłanianych czołgami i samolotami nazistowskiego Legionu Kondor. Rosyjskie czołgi po stronie republikańskiej powstrzymały atak faszystowski i linia frontu pomiędzy dwiema walczącymi siłami przesuwiała się to w jedną, to w drugą stronę, siejąc śmierć, a szpitale zapełniały się rannymi i chorymi na malarię, którą przywlekli Afrykańczycy. Sytuacja do pewnego stopnia była nawet zabawna. Maurowie, wyrzuceni z Hiszpanii przez Królów Katolickich w imię czystości rasy, walczyli teraz u boku rasistów niemieckich przeciwko republikańskiemu narodowi wspomaganemu przez innego totalitarnego despotę, Józefa Stalina. Niemal instynktownie, przez sympatię do liberalizmu i niechęć do ludzi typu Renn i Togliatti, zaprzyjaźniłem się z dwoma Amerykanami z brygad międzynarodowych. Nazywali się Jim i Harry. Harry pochodził z Nowego Jorku, był Żydem i znalazł się tu z dwóch prostych powodów: nienawidził antysemityzmu i wierzył w komunizm. Sprawa Jima była bardziej skomplikowana. Był synem znanego nowojorskiego pisarza i dziennikarza i choć tak młody – miał wtedy dwadzieścia pięć lat – przyjechał do Hiszpanii z akredytacją prasową i protegowany przez dwóch sławnych korespondentów, Vincenta Sheeana i Ernesta Hemingwaya. Sheean i Hemingway rywalizowali ze sobą w walce o zaszczytną śmierć na hiszpańskiej ziemi. „Nie wiem, po co jedziesz do Hiszpanii – mówił Hemingway do Sheeana – jedyny reportaż, jaki z tego powstanie, będzie na temat twojej śmierci, ale i tak nic ci z tego nie przyjdzie, bo to ja go napiszę”. Sheean, mężczyzna i błyskotliwy, i piękny, odpowiadał Hemingwayowi bez namysłu: „Większą sławę zyska historia twojej śmierci, i to ja ją napiszę”. Za nimi snuł się Jim, wysoki, niezgrabny i krótkowzrostny chłopak, a za Jimem mały Żyd Harry w marynarce i krawacie. Sheean i Hemingway odjechali, żeby pisać reportaże z wojny, natomiast Jim i Harry zostali, żeby w tej wojnie walczyć. Mały Żyd kompensował swoją fizyczną słabość energią koguta szkolonego do walki. Wysoki, niezgrabny Jim na samym początku zgubił okulary i mówił ze śmiechem, że lepiej strzelać, nie widząc wrogów, których ma się zabić. Obydwaj mieli to. nowojorskie poczucie humoru nieco sentymentalne, trochę cyniczne, ale głównie autoironiczne. „Chcę zaimponować przyjacielom” – mówił Jim. „Potrzebuję takiego życiorysu, żeby zrekompensować swoje kompleksy towarzyskie” – mówił Harry. „Chcę poznać strach” – mówił Jim. „Chcę zbawić

moją duszę” – mówił Harry. I obydwaj: „Żegnajcie, krawaty”. Z brodami, w espadrylach, w mundurach coraz bardziej wytartych, wyśpiewujący na cały głos piosenki z *Mikado* Gilberta i Sullivana (!), ci dwaj Amerykanie byli prawdziwą duszą naszego towarzystwa. Stracili nie tylko krawaty i okulary. Stracili nawet skarpetki, ale zdobyli sympatię wszystkich Hiszpanów i cudzoziemców z brygad. Kiedy taki krótkowidz jak Jim żąda, by którejś nocy wysłano go na czele plutonu zwiadowczego, to dowodzi bohaterskiego szaleństwa tej wojny. Harry był bardziej rozważny: „Trzeba żyć dziś, żeby móc jutro walczyć dalej”.

Nad Jaramą, pomimo niemieckich samolotów, rosyjskich czołgów i brygad międzynarodowych, to na nas, Hiszpanach, spoczywał ciężar walki. Harry zgadzał się z tym, ale zwracał mi uwagę: mówimy o Hiszpanach komunistach. Miał rację. Na początku trzydziestego siódmego roku Partia Komunistyczna zwiększyła liczbę swych członków z dwudziestu tysięcy do dwustu tysięcy, a latem miała już milion zwolenników. To obronie Madrytu zawdzięczała tyłu członków i taki prestiż. Przez politykę Stalina straciła i jedno, i drugie. Socjalizm nie miał większego wroga od Stalina. Ale w trzydziestym siódmym roku Harry widział tylko zwycięstwo proletariatu i jego komunistycznej awangardy. Całymi dniami dyskutował, przeczytał całą marksistowską literaturę. Przytaczał ją jak Biblię i swoje oracje zawsze kończył zdaniem: *We'll see tomorrow*, to było jego *Dominus vobiscum*. Dla niego sąd nad komunistą tak prawym jak Bucharin i jego egzekucja to był tylko wypadek na drodze ku chwalebnej przyszłości. Harry Jaffe był człowiekiem małej postury, nerwowym, silnym intelektualnie, słabym fizycznie i niezdecydowanym moralnie, ponieważ nie poznał kruchości przekonań politycznych nie poddanych krytyce. Dlatego tak różnił się od olbrzymiego Jima, dla którego teoria nie miała znaczenia.

„Człowiek wie, kiedy ma rację” – mówił. „– W takim razie trzeba walczyć o to, co jest słuszne. To bardzo proste. Tu i teraz Republika ma rację, a faszyci nie. Trzeba więc być z Republiką, i tyle”. Byli jak Don Kichot i Sancho Pansa, którzy mieli swoją La Manche o nazwie Brooklyn i Queens. Chociaż bardziej przypominali parę komików, Mutta i Jeffa, tylko że byli młodzi i poważni. Pamiętam, jak Harry i ja, paląc papierosy, dyskutowaliśmy oparci o barierki na mostach, zgodnie z teorią, że Niemcy nie bombardują szlaków komunikacyjnych, natomiast Jim zawsze szukał akcji, prosił o najniebezpieczniejsze zadania, pchał się na pierwszą linię ognia „szukać zgubionych okularów” – żartował. Był to olbrzym pogodny, niezwykle uprzejmy, operujący wytwornym słownictwem („wulgaryzmy zostawiam ojcu, tyle się ich nasłuchałem, że przestały robić na mnie wrażenie, w Nowym Jorku istnieje publiczny żargon prasy, środowisk przestępczych, świata bezwzględnej rywalizacji, i drugi język – tajemna mowa wrażliwości, cieplej życzliwości i szczęśliwej samotności; po powrocie stąd chcę pisać w tym drugim języku, ale tak naprawdę to uzupełniamy się z moim ojcem, on jest mi wdzięczny za mój język, a ja jemu za jego, *what the fuck!*” – śmiał się niezdamny i odważny olbrzym). Z nim wspinałem się na drzewa, żeby patrzeć na pola Kastyllii. Pośród ran, które wojna zadaje ciału ziemi, udawało nam się dostrzec stado owiec, wiatraki, goździkowe zmiernicy i różane świty, piękne, mocne nogi dziewcząt, bruzdy czekające, aż okopy zasklepią się jak blizny: to jest ziemia Cervantesa i Goi, mówiłem mu, nikt nie może jej zamordować. Nie, jest jeszcze nowa ziemia Homera, odpowiadał mi, ziemia, która rodzi się podobnie jak jutrzienka różanopalca i fatalna, destrukcyjna ludzka wściekłość... Pewnego dnia Jim nie wrócił. Harry i ja czekaliśmy na niego całą noc, początkowo spoglądając na siebie w milczeniu, potem żartując, że tego jankesa mogłaby zabić tylko whisky, ale nie kula. Nigdy nie wrócił. Wszyscy wiedzieliśmy, że zginął, bo na takim froncie jak nad Jaramą każdy, kto nie wracał przez dwa dni, uważany był za zabitego. Szpitale najpóźniej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin udzielały informacji o rannych. Na uzyskanie informacji o zabitych potrzeba było więcej czasu, a na froncie ginęły dziennie setki ludzi. Ale w tym przypadku wszyscy ciągle dopytywali się o Jima, jakby się gdzieś zagubił albo oddalił. Wtedy Harry i ja zdaliśmy sobie sprawę, jak kochali Jima wszyscy żołnierze z brygad i oddziałów

republikańskich. Dał się kochać ze stu tysięcy powodów – mówiliśmy sobie w tym retrospektywnym akcie, który po czyjejś śmierci pozwala nam widzieć i mówić to, czego nigdy nie potrafilibyśmy zobaczyć i powiedzieć za jego życia. Zawsze lepiej czujemy się w czasie przeszłym niż w teraźniejszym, Lauro. Zdołałem przekonać samego siebie, że tylko ja wiedziałem, iż Jim nie żyje, i utrzymywałem go przy życiu po to, by nie przygnębiać Harry'ego i pozostałych towarzyszy, którzy tak bardzo kochali tego amerykańskiego wielkoluda o „wyparzonej języku”. Ale, jak wkrótce zdałem sobie sprawę, wszyscy wiedzieli, że Jim nie żyje, i wszyscy postanowili udawać i mówić, że to nieprawda.

– Nie widziałeś Jima?

– Tak, pożegnał się ze mną o świcie.

– Wyruszył z rozkazami. Wysłano go z misją.

– Może znajdzie się jakiś sposób, żeby mu powiedzieć, że na niego czekamy.

– Powiedział mi, że o tym wie.

– Co ci powiedział?

– Wiem, że wszyscy na mnie czekacie.

– On musi być tego pewny. Tu na niego czekamy. Niech nikt nie mówi, że zginął.

– Popatrz, dziś przyszły pocztą te okulary, na które czekał.

Jorge Maura objął Laurę Díaz. „Pomyliliśmy się co do historii, nie chcę dopuścić do siebie nic, co zniszczyłoby naszą wiarę, co zyskasz przez to, że wszyscy będziemy bohaterami, co zyskujesz, zachowując wiarę...”

Laura Díaz przeszła tego ranka na piechotę przez całą ulicę Insurgentes aż do swego domu w Kolonii Roma. Wspomnienie namiętnego żaru Maury przenikało każdą cząstkę jej ciała. To nieważne, że Hiszpan nie powiedział nic na temat swego prywatnego życia. Powiedział jej wszystko o swoim życiu publicznym: co zyskasz przez to, że wszyscy nasi bliscy będą bohaterami? Co zyskasz ty sama na swoim bohaterstwie? Ale po tym wszystkim, co usłyszała od Jorge Maury, wiedziała, że bohaterstwo nie jest dobrowolnym nastawieniem, ale odpowiedzią na okoliczności wyobrażalne, choć nieprzewidziane. W jej życiu nie było nic bohaterskiego; być może któregoś dnia, dzięki swojemu hiszpańskiemu kochankowi, będzie umiała odpowiedzieć na wezwanie do bohaterstwa.

Juan Francisco... czekał na nią, siedząc na ich małżeńskim łóżu, a może już się jej wcale nie spodziewał, miał niekwestionowane prawo do oskarżeń... (Nasi synowie, Santiago i Danton, sam musiałem się nimi zajmować, nie pytam, gdzie byłeś), ale był przywiązany przez samego siebie do ostatniego słupa własnego honoru obietnicą, że nigdy już nie będzie jej szpiegował. I co mu powie po czterech dniach nieobecności niewytłumaczonej, niewytłumaczalnej, chyba że tylko w jeden sposób, i to tylko przez nich, Laurę Díaz i Jorge Maurę: dla kochanków czas się nie liczy, namiętności nie mierzy się chronometrem...?

– Powiedziałem chłopcom, że twoja mama poczuła się źle i musiała pojechać do Xalapy.

– Dziękuję.

– Tylko tyle?

– A co jeszcze mam ci powiedzieć?

– Kłamstwo najtrudniej jest tolerować, Lauro.

– Sądzisz, że uważam, iż wszystko mi wolno?

– Dlaczego? Dlatego, że kiedyś zadenuncjowałem zakonnicę, że raz cię uderzyłem, a potem wynająłem detektywa, żeby cię śledził?

– Nic z tego nie daje mi prawa do oszukiwania ciebie.

– W takim razie o co chodzi?

– Ty dziś wydajesz się mieć odpowiedź na wszystkie pytania. No to odpowiedz sam sobie.

Juan Francisco odwrócił się do żony plecami i powiedział zranionym głosem, że tylko jedno prawo pozwala jej robić absolutnie wszystko: prawo do własnego życia i do oszukiwania go i poniżania, ale nie rodzaj sportowego meczu, w którym każdy stara się

strzelić gola, aby wyrównać wynik, to byłoby za proste, tak powiedziałyby z bólem ten wielki, ciemny mężczyzna, korpulentny i postarzały, gdyby nie zawiedzione oczekiwanie, rozczarowanie: nie jestem tym, za kogo mnie wzięłaś, kiedy poznaliśmy się na tańcach w kasynie, kiedy towarzyszyła mi sława walecznego rewolucjonisty.

– Nie jestem bohaterem.

Ale byłeś nim kiedyś, chciała jednocześnie stwierdzić i zapytać, prawda, że kiedyś nim byłeś? On zrozumiałby i odpowiedział tak, jakby jej pytanie brzmiało: jak zachować stracone bohaterstwo, kiedy wiek i okoliczności już na to nie pozwalają?

– Nie różnią się zbytnio od innych. Wszyscy walczyliśmy o zwycięstwo Rewolucji i przeciwko niesprawiedliwości, ale także przeciwko fatum, Lauro, nie chcieliśmy dalej żyć w nędzy, w poniżeniu bez praw. Nie jestem wyjątkiem. Przypatrz się wszystkim. Calles był biednym wiejskim nauczycielem, Morones telefonistą, Fidel Velazquez był mleczarzem, a pozostali liderzy to rolnicy, stolarze, elektrycy, kolejarze, jak chcesz, żeby nie wykorzystywali okazji i nie chwyтали szczęścia za ogon? Czy ty wiesz, co to znaczy za młodu cierpieć głód, spać w szóstkę na jednym łóżku w chałupie, gdzie z czeredy rodzeństwa połowa umiera w dzieciństwie, a matki są staruszkami w wieku trzydziestu lat? Czy nie możesz zrozumieć, że mężczyzna urodzony na macie, w klitce wysokości jednego metra, w Pénjamo, chce teraz mieć sufit o dziesięć metrów nad głową w dzielnicy Polanco? Powiedz mi, czy nie miał racji Morones, że sprezentował swojej mamusee wielki dom w kalifornijskim stylu, chociaż stał on tuż obok budynku, gdzie lider utrzymywał swój harem dziwek? Do diabła, żeby być uczciwym rewolucjonistą, tak jak ten Roosevelt w Stanach Zjednoczonych, trzeba najpierw być bogatym... ale kiedy przychodzisz od wideł i gnoju, to się nie zadowolisz, dziewczyno, nie zechcesz nigdy wrócić do świata pełnego robactwa, nawet zapominasz o tych, których zostawiłeś za sobą, urządzasz się w czyścicu, żeby już nigdy nie wrócić do piekła, a cała reszta niech sobie robi, co chce, w tym niebie, które zdradziłeś. Co ty myślisz o mnie, Lauro, ale tak naprawdę, naprawdę...

Nie mieli odpowiedzi, tylko same pytania. Co robiłeś, Juan Francisco? Byłeś bohaterem, ale to cię zmęczyło? Czy twoje bohaterstwo było kłamstwem? Dlaczego nigdy nie opowiadałeś mi o swojej przeszłości? Chciałeś zacząć ze mną wszystko od zera? Sądziłeś, że jeśli zaczniesz się chwalić, to mnie rozgniewasz? Czekając, no i doczekałeś się, że inni to zrobią za ciebie? Chciałeś, żeby oni karmili mnie twoją legendą, żebyś ty nie musiał ani jej podkreślać, ani prostować, ani negocjować? Wystarczało ci, że bym słyszała, co inni mówią o tobie, chciałeś mnie wypróbować, chciałeś, że bym dała wiarę im i uwierzyła w ciebie na podstawie czegoś, co jest silniejsze od poznania, czyli czystej ślepej miłości? Bo tak mnie z początku traktowałeś, jako twoją zoneczkę, cichą i wierną, która dzięrga na drutach w pokoju obok, kiedy ty w jadalni wraz z innymi liderami związkowymi planujesz przyszłość Meksyku, pamiętasz? Powiedz mi, który z twoich mitów przekażę naszym synom: całą prawdę czy pół prawdy, czy tę część, która wydaje mi się w twoim życiu dobra, czy tę, która wydaje mi się zła, jaka część ojca przypadnie Dantonowi, a jaka Santiago?

– Co z twojego życia najbardziej przyda się w życiu twoich synów?

– Wiesz, Lauro, w katechizmie jest napisane, że istnieje grzech pierworodny, i dlatego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

– Ja tylko wierzę w pierworodną tajemnicę. A jaka jest twoja?

– Nie rozśmieszaj mnie, głuptasie. Jeśli to tajemnica, to skąd mam wiedzieć?

Tylko czas, rozwleczony jak dym, odkryje prawdę Juana Francisco Lopeza Greene'a, lidera związkowego ze stanu Tabasco, myślała potem Laura, idąc na piechotę tamtego marcowego poranka z parku La Lama, jeszcze otulona miłością mężczyzny tak zupełnie innego, pożądanego do szaleństwa, to Jorge Maura jest moim prawdziwym mężem, Jorge Maura powinien być prawdziwym ojcem moich synów, była zdecydowana powiedzieć

mężowi po przyjsciu do domu, mam kochanka, to wspianiały mężczyzna, oddam mu wszystko, zostawie dla niego wszystko, ciebie, dzieci...

Powie mu to, zanim chłopcy wróca ze szkoły, zwolniono ich wcześniej, wszyscy szli na Zócalo świętować upaństwowienie ropy naftowej przez prezydenta Cardenasa, odważnego rewolucjonistę, który przeciwstawił się zagranicznym przedsiębiorstwom, odzyskał narodowe bogactwa

ziemię
ropę naftową
i posłał do diabła

towarzystwa angielskie, które ukradły tereny należące do tradycyjnych wspólnot w Tamaulipas towarzystwa holenderskie, które wykorzystywały płatnych morderców jako białą gwardię przeciwko syndykatom amerykańskich dyrektorów, którzy przyjmowali meksykańskich robotników, siedząc tyłem do nich na krzesła Amerykanie, Holendrzy, Anglicy odeszli ze swoimi białymi inżynierami i swoimi niebieskimi planami i zalali szyby naftowe słoń wodą

pierwszy meksykański inżynier, jaki przybył do Poza Rica, nie wiedział, co odpowiedzieć robotnikowi, który podszedł do niego z pytaniem: „Szefie, mam wlać ten kubeł wody do rury?”

i dlatego wszyscy czworo, Juan Francisco, Laura, Danton i Santiago, znajdowali się tego popołudnia w tłumie na Zócalo, pomiędzy ratuszem a katedrą, z oczami utkwionymi w główny balkon Pałacu i w rewolucyjnego prezydenta, Lazara Cardenasa, który dał po nosie zagranicznym wyzyskiwaczom, wiecznym krwiopijcom żyjącym z pracy i bogactw Meksyku. Ropa jest nasza! Morze ludzi na placu wiwatowało na cześć Cardenasa i Meksyku, bogate damy oddały swoją biżuterię, a biedne kobiety swoje kury na spłatę wywłaszczeń, Londyn i Haga zerwały stosunki z Meksykiem, ropa należy do Meksyku, to niech ją sobie pije, ciekawe, kto ją kupi, bojkotowany Cárdenas był zmuszony sprzedawać ropę Hitlerowi i Mussoliniemu w tym samym czasie, kiedy wysyłał karabiny hiszpańskiej republice, i wśród tego tłumu Jorge Maura zobaczył z daleka Laurę Díaz z rodziną, Laura poznała go, Jorge zdjął kapelusz i uklonił się wszystkim, Juan Francisco spojrział z zaciekawieniem na nieznanego mężczyznę, a Laura mówiła bez słów: nie mogłam, kochany mój, nie mogłam, wybacz mi, spotkajmy się, zadzwonię do ciebie, ty masz telefon Mexicana, a ja Ericssona...

XIII. „Café de Paris”: 1939

– Muszę ci opowiedzieć o Raquel Alemán.

Opowiedział jej też o swoich towarzyszach walczących po stronie Republiki, którzy przebywali w Meksyku z innymi niż on misjami. Mieli zwyczaj spotykać się w centrum miasta w „Café de Paris” w Alei 5 de Mayo, gdzie przychodzili meksykańscy intelektualiści tamtych czasów, wśród których prym wodził człowiek wielkiego umysłu i wyjątkowego sarkazmu, poeta Octavio Barreda, mąż jednej z siostr Lupe Marín, żony Diega Rivery przed Fridą. Carmen Barreda siedziała w „Café de Paris” i słuchała z kamienną twarzą złośliwych żartów i ironicznym uwag swojego męża. Nigdy jej one nie bawiły i poeta wydawał się jej za to wdzięczny; był to najlepszy komentarz do kostycznego humoru – *dead-pan humour* – jej męża, bądź co bądź tłumacza *Jałowej ziemi* Eliota na hiszpański.

Od Barredy wszyscy oczekiwali jakiegoś większego dzieła; był on zjadliwym krytykiem, animatorem pism literackich i mężczyzną o dystygowanym wyglądzie – wysoki, szczupły, miał rysy bohatera wojny o niepodległość, jasnośniądcę cerę i bardzo zielone przenikliwe oczy. Siadywał przy stoliku razem z Xavierem Villaurrutia i José Gorostizą, dwoma wspaniałymi poetami. Villaurrutia, poeta płodny dzięki wewnętrznej dyscyplinie, pisał wiersze tak oszczędne w wyrazie, że sprawiały wrażenie, jakby ich było niewiele. W rzeczywistości złożyły się na gruby tom poświęcony Meksykowi, miastu nocy i miłości, dając dowód tak wielkiej wrażliwości autora, jaką nie wykazał się nikt przed nim.

*Wyśnić, wyśnić noc, ulicę, schody
i krzyk posągu za załomem muru.
Biec do krzyku posągu, znaleźć tylko krzyk,
pragnąc dotknąć krzyku, znaleźć tylko echo,
pragnąc związać echo, znaleźć tylko mur
i biec w stronę muru, żeby dotknąć lustra.*

Villaurrutia był drobny, kruchy, jakieś tajemnicze i nienazwane siły o mało go nie zniszczyły. Żył wyłącznie poezją. Natomiast Gorostiza, masywny, skryty milczek, był autorem tylko jednego długiego poematu *Śmierć bez końca*, który wielu uważało za najpiękniejszy poemat meksykański napisany od czasów siedemnastowiecznej poetki Sor Juany Inés de la Cruz. Dotyczył on śmierci i formy, forma – naczynie – ogranicza przestrzeń śmierci – ruchliwej wody, która jest, siłą rzeczy, warunkiem życia, jego nurtu. Pośrodku, pomiędzy formą a nurtem, znajduje się człowiek zatrzymany w swej żywotnej śmiertelności, „pełen siebie, osaczony w swojej wiernej skórze przez nieuchwytnego boga, który mnie dławi”...

Ci meksykańscy twórcy przyciągali się i ostro odpychali nawzajem, a głównym punktem niezgody między nimi wydawał się Jaime Torres Bodet, poeta i pisarz, który długo wahał się, czy wybrać literaturę, czy biurokrację, w końcu zdecydował się na tę ostatnią, ale nigdy nie zrezygnował ze swoich ambicji literackich. Barreda czasem udawał wymyśloną przez siebie postać – pracującego w pralni chińskiego szpiega, doktora Fu Chan Li, i sepleniąc – jak to Chińczyk – mówił do Gorostizy:

– A Toles?

- Jakie atoles⁵?
- Toles Bodet.

Tak więc Jorge Maura i jego przyjaciele czuli się jak u siebie w domu na tych spotkaniach, które były meksykańską wersją hiszpańskich tertulii. Villaurrutia przypomniał, że słowo *tertulia* pochodzi od Tertuliana, ojca kościoła z II w., który lubił zapraszać przyjaciół i prowadzić z nimi sokratyczne dyskusje, chociaż trudno było sobie wyobrazić dyskusję z takim dogmatykiem jak Tertulian, dla którego Kościół miał monopol na prawdę i nie potrzebował przedstawiać żadnych argumentów. Barreda przypomniał – albo zaimprovizował na poczekaniu – wierszyk na ten temat:

*Wystrojona jak na tertulie
Kierowała się Judith na Betulię.*

Nasze dyskusje chciałyby być sokratyczne, ale czasem są raczej tertuliańskie – ostrzegł Jorge Maura Laurę Díaz przed wejściem do kawiarni. W tym sokratycznym czy też tertuliańskim spotkaniu uczestniczył Basilio Baltazar, młody człowiek w wieku około trzydziestu lat, o gęstych czarnych włosach, ciemnych brwiach, błyszczących oczach i słonecznym uśmiechu, i Domingo Vidal, którego twarz była jak wyciosana toporem, a wiekiem zdawał się sięgać kamiennego kalendarza słońca. Golił sobie głowę, co sprawiało, że jego rysy stawały się o wiele bardziej wyraziste i agresywne, jakby dla zrównoważenia sennej słodyczy oczu, patrzących spod ciężkich powiek.

- Czy twoim towarzyszom nie będzie przeszkadzało, że ja tam będę, mój hidalgo?
- Chcę, żebyś była, Lauro.
- Przynajmniej ich uprzedź.
- Już wiedzą, że przyjdiesz ze mną, bo ty to ja, i koniec, kropka. A jeśli tego nie rozumieją, to czort z nimi.

Tego wieczoru mieli dyskutować na temat roli Partii Komunistycznej w wojnie hiszpańskiej. Jorge uprzedził Laurę, kiedy wchodzili do kawiarni, że Vidal występuje w roli komunisty, a Baltazar w roli anarchisty. To było uzgodnione.

- A ty?
- Posłuchasz i sama ocenisz.

Towarzysze Maury przywitani Laurę bez dwuznacznych aluzji. Zdziwiło ją, że obydwaj mówili o wojnie tak, jakby przeżyli już rok albo dwa lata wcześniej to, co właśnie teraz tam się działo. Republika nie tylko stawała w obliczu klęski. To już była klęska. Natomiast oblicze Octavia Barredy, z daleka, wyrażało zwykłą ciekawość: z kim siedzi ta kobieta, Laura Díaz, która towarzyszyła Riverom do Detroit, kiedy Frida straciła dziecko? Villaurrutia i Gorostiza wrzucyli ramionami.

Zaczął się dialog, który Laurze rzeczywiście od razu wydał się zaprogramowany albo możliwy do przewidzenia, jakby każdy z rozmówców odgrywał swoją kwestię w jakiejś sztuce teatralnej. Pomyślała, że to pewnie jej wina, gdyż z góry uprzedziła się po tym, co powiedział jej Maura. Vidal, jakby na znak dany przez niewidzialnego suflera, zaczął od razu dowodzić, że to oni, komuniści, uratowali Republikę w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym i trzydziestym siódmym roku. Bez nich Madryt upadłby zimą trzydziestego siódmego. Ani policja, ani oddziały ludowe nie poradziłyby sobie z rozruchami na ulicach, brakiem żywności, komunikacji i produkcji, gdyby Partia nie zaprowadziła porządku.

- Zapominasz o całej reszcie – zwrócił mu uwagę Baltazar. – O tych, co zgadzali się, że trzeba ratować Republikę, ale nie zgadzali się z wami.

⁵ Atoles – napój kukurydziany (przyp. tłum.).

Vidal zmarszczył brwi, ale zaraz się roześmiał, nie chodzi o to, żeby się zgadzać, tylko żeby działać jak najskuteczniej w obronie Republiki, my, komuniści, doprowadziliśmy do jedności przeciwko takim jak ty, Baltazar, którzy chcieli wprowadzić anarchistyczny pluralizm.

– Czy lepsze byłyby pomniejsze wojny domowe, z jednej strony anarchiści, z drugiej policja, my, komuniści, przeciw każdemu i każdy przeciwko nam, wojny, z których zwycięsko wyszedłby wróg, bo ten, owszem, zachowuje jedność? – Vidal poskrobał się w nieogoloną brodę.

Basilio Baltazar milczał przez chwilę i Laura pomyślała: ten człowiek stara się przypomnieć sobie swoją kwestię, ale jego zmieszanie jest autentyczne i być może to ja się myślę, gdyż chodzi o jakiś bolesny problem, którego nie znam.

– Ale to nie zmienia faktu, że przegraliśmy – powiedział po chwili ze smutkiem Basilio.

– Przegralibyśmy wcześniej, gdyby nie komunistyczna dyscyplina – powiedział tonem zbyt obojętnym Vidal, jakby chciał uszanować ten nieobecny ból Baltazara i wyprzedzić prawdopodobne pytanie anarchisty: czy nie pomyśleliście, że przegraliśmy, bo Partia Komunistyczna przedkładała interesy swoje i Związku Radzieckiego nad kolektywny interes narodu hiszpańskiego? No więc ja ci powiem, że interesy PK i narodu hiszpańskiego są zbieżne, Sowietci pomagali wszystkim, nie tylko Partii swoimi pieniędzmi i bronią. Wszystkim.

– Partia Komunistyczna pomogła Hiszpanii – podsumował Vidal i spojrzał przeciągle na Maurę, jakby z góry było wiadomo, że następna kwestia należy do niego.

Basilio Baltazar wtrącił się, kierowany nagłym impulsem. Nie było to przewidziane, a pytanie, przez to, że wypowiedziane szeptem, zrobiło większe wrażenie, niż gdyby je wykrzyczano:

– Ale czym była Hiszpania? Ja odpowiem, że Hiszpania to nie tylko komuniści, to również my, anarchiści, liberałowie, parlamentami demokracji, PK izolowała i likwidowała wszystkich, którzy nie byli komunistami, umocniła się i narzuciła swoją wolę pozostałym republikanom i, kpiąc z wszelkich innych aspiracji poza własnymi, głosiła jedność, ale wprowadzała rozłamy.

Dlatego przegraliśmy – dodał Baltazar po chwili milczenia, opuszczając głowę tak nisko, że Laura najpierw domyśliła się, a potem dopiero wyczuła, że te słowa oznaczały coś bardziej osobistego niż zwykły argument polityczny.

– Jesteś dzisiaj mało rozmowny, Jorge – Vidal zwrócił się do Maury, okazując szacunek dla milczenia Baltazara.

– O – uśmiechnął się Maura – widzę, że ja jestem przy kawie, Vidal popija piwo, ale Basilio już się dorwał do tequili.

– Ja nie chcę ukrywać nieporozumień.

– Oczywiście – potwierdził Vidal.

– Żadnych – dodał z pewnym pośpiechem Baltazar.

Maura pomyślał, że Hiszpania to coś więcej niż Hiszpania. Zawsze tak uważał. W Hiszpanii faszyci robili próbę generalną w walce przeciwko całemu światu; jeśli przegra Hiszpania, przegra Europa i świat... (Muszę ci opowiedzieć o Raquel Alemán...).

– Wybaczcie mi rolę adwokata diabła – rzekł ze swoim szczególnym uśmiechem Vidal, pierwszy człowiek, który w mieście tak konserwatywnym jak Meksyk wszedł do kawiarni w swetrze z włochatej wełny, jakby wracał z jakiejś fabryki. – Wyobraź sobie, że w Hiszpanii zwycięża rewolucja. Co by się wtedy stało? Otóż napadłyby na nas Niemcy – powiedział Vidal.

– Ależ Niemcy już na nas napadły – przerwał ze swoją spokojną determinacją Basilio Baltazar. – Hiszpania już jest okupowana przez Hitlera. Czego bronisz albo czego się boisz, towarzyszu?

– Boję się zdeorganizowanego zwycięstwa republikanów, które tylko przesunęłyby w czasie ostateczne zwycięstwo faszystów.

Vidal sięgnął po kufel i zaczął pić piwo jak wielbłąd, który przed chwilą odkrył wodę na pustyni.

– Chcesz powiedzieć, że byłoby lepiej, gdyby wygrał Franco, aby potem zwyciężyć go w wojnie powszechnej przeciwko Włochom, Niemcom i faszystom hiszpańskim. – Basilio był coraz bardziej zdesperowany.

– To mówi mi mój diabeł. Naziści oszukali świat. Stopniowo opanowują Europę i nikt nie stawia im oporu. Francuzi i Anglicy naiwnie wierzą, że z Hitlerem można pertraktować. Tylko tutaj naziści nie potrafią nikogo oszukać...

– Tutaj? W Meksyku? – Laura uśmiechnęła się, żeby rozładować sytuację.

– *Pardon, pardon mille fois.* – Vidal roześmiał się. – Tylko w Hiszpanii.

– Raczej niech pan mi wybaczy. – Laura znowu się uśmiechnęła. – Rozumiem pańskie „tutaj”, panie Vidal, ja, będąc w Hiszpanii, też mówiłabym „tutaj, w Meksyku”, proszę mi wybaczyć.

– Co pani pije? – zapytał ją Basilio.

– Czekoladę. To tutejszy zwyczaj. Zmieloną na proszek miesza się z wodą. Moja Mutti, to znaczy moja mama...

– O właśnie – wrócił do przerwanej wątku Vidal – czekolada ma być gęsta, ale rachunki przejrzyste, mówi się nie bez racji. Jeśli naziści wygrają w Hiszpanii, być może Europa się obudzi. Co to będzie za horror! My to już znamy. Być może, aby wygrać wielką wojnę, musimy przegrać bitwę w Hiszpanii, po to, by przestrzec świat przed złem. Hiszpańska wojenka, *la petite guerre d'Espagne.* – Vidal wykrzywił usta, powstrzymując śmiech.

Jorge źle spał, mówił przez sen, wstawał, najpierw żeby napić się wody, potem do ubikacji, potem usiadł w fotelu ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, Laura obserwowała go, naga, także niespokojna, zadowolona z odbytego stosunku, ale przeczuwająca z narastającą trwogą, że Jorge nie z nią się kochał, że potrzebował zapomnienia...

– Powiedz mi. Chcę wiedzieć. Mam prawo wiedzieć, Jorge. Kocham cię. Co się dzieje? Co się stało?

To piękne i nieprzyjazne miasteczko sprawiało wrażenie, jakby powoli umierało i nie chciało, żeby ktokolwiek widział jego agonię, ale jednocześnie pragnęło mieć świadka swego śmiertelnego piękna. Widać było na nim ślady wieków nakładające się jedno na drugie, począwszy od czasów jego założenia w epoce Iberów, po których pozostał złoty barbarzyński kask i nie mniejszej wartości gliniany garnek. Rzymska brama trwa, nadszarpnięta przez upływ czasu i burze, jak symbol władzy i groźna ręka prawa. Wielki średniowieczny mur opasujący kastylijski gród miał bronić przed islamem, ten jednak wciska się każdą szparą i jest w słowie alkowa i w słowie alkohol, jest w alpaca i w abominacyjnych uciechach, w aloesie z kolcami jak oset, w podkowiastym łuku chrześcijańskich kościołów i w mauretańskiej dekoracji drzwi i okien, przywodzących na myśl opustoszałą, zrujnowaną synagogę, zagrożoną wewnętrznym niedbalstwem i zapomnieniem.

Miasteczko Santa Fe de Palencia, otoczone dwunastowiecznym murem, ma jedyne w swoim rodzaju centrum, rodzaj urbanistycznego pępka, gdzie krzyżują się wszystkie drogi miejscowej historii. Jego główny plac to arena do walki byków, krąg bardzo żółtego piasku, który czeka, by zabarwił go drugi kolor z hiszpańskiej flagi, placu tego nie otaczają trybuny z podziałem na „słońce i cień”, lecz domy o wielkich oknach zasłoniętych żaluzjami, podnoszonymi w każdą niedzielę na czas korridy, która wyznacza puls i rytm życia miasteczka. Na zamknięty plac prowadzi tylko jedno wejście.

Trzej żołnierze strony republikańskiej wchodzą na ten szczególnie centralny plac miasteczka, gdzie czeka na nich alkad, don Alvaro Méndez, komunista. Mężczyzna nie nosi munduru, ma krótką kamizelkę i wielki brzuch, koszulę bez kołnierzyka i buty bez ostróg.

Dostojność ma wypisaną na twarzy o gęstych brwiach, wygiętych w łuki, jak bramy meczetu; jego oczy już dawno ukryły się pod powiekami mijających lat; trzeba odgadywać twarde, nieprzenikniony wzrok w głębi tego niewidocznego spojrzenia. Natomiast spojrzenia trzech żołnierzy są szczerze, otwarte i pytające. Stary czyta w ich oczach i mówi: ja tylko spełniam swój obowiązek, czy widzieliście bramę rzymską? Nie chodzi tu o partię, ale o prawo, to miasto działa na legalnych zasadach, bo jest republikańskie, ono nie przyłączyło się do faszystowskiego powstania, i rządzone jest przez prawowitego komunistycznego alkada z wyboru, którym jestem ja, Alvaro Méndez, i muszę spełnić swój obowiązek, choćby był nie wiem jak straszny i bolesny.

– To niesprawiedliwe – rzucił Basilio przez zaciśnięte zęby.

– Coś ci powiem, Basilio, i nie będę tego powtarzał. – Alkad stał na środku areny o żółtym piasku, otoczonej oknami ze spuszczoneymi żaluzjami, przez które jednak spoglądały ciekawe oczy ubranych na czarno kobiet. – Lojalność to wykonywanie rozkazów sprawiedliwych, ale lojalność wyższego stopnia to wykonywanie rozkazów niesprawiedliwych.

– Nie – Basilio powstrzymał krzyk, który parzył mu gardło. – Lojalność najwyższego stopnia to niesłuchanie rozkazów niesprawiedliwych.

– Pilar nas zdradziła – powiedział alkad. – Wskazała nieprzyjacielowi republikańskie pozycje w górach. Widzicie te światła tam wysoko, ten ogień, który przenosi się ze szczytu na szczyt, podtrzymywany przez nas wszystkich w imieniu nas wszystkich, widzicie te płomienie jak przelotne księżycy, te pochodnie ze słomy na kiju zapalane jedne od drugich, te ogniste włosy to podpalone brody Republiki, to krąg, którym otoczyliśmy samych siebie, żeby bronić się przed faszystami.

Ona im to powiedziała. – W drżącym głosie alkada wściekłość miała więcej ognia niż pobliskie szczyty gór. – Powiedziała im, że jeśli zdołają zgasić te światła, oszukają nas i przełamią nasz opór. Powiedziała im: zgaście te światła w górach, zabijcie po kolei wszystkich strzegących ognia i wtedy będziecie mogli zająć to miasto oszukane, bezbronne, w imieniu Franco, naszego zbawiciela.

Jego gadzie powieki zwracały się pytająco do każdego z żołnierzy. Chciał być sprawiedliwy. Słuchał argumentów. Przerwał im trzask otwieranych drzwi balkonowych i rozdzierający krzyk; na balkonie ukazała się kobieta, cała ubrana na czarno, w chustce na głowie, o twarzy koloru księżycowej poświaty i oczach koloru morwy, cienkiej, prawie przezroczystej skórze zużytej jak papier, z którego starto więcej, niż zostało na nim napisane. Méndez, alkad Santa Fe de Palencia, nie zwrócił na nią uwagi. Powtórzył: mówcie.

– Uratuj ją w imię honoru – powiedział Jorge Maura.

– Ja kocham Pilar! – krzyknął głośniejsz niż kobieta, z balkonu Basilio Baltazar. – Uratuj ją w imię miłości.

– Ona musi umrzeć w imię sprawiedliwości. – Alkad odcisnął ślad buta na gładkim piasku areny i popatrzył na komunistę Vidala, szukając w nim poparcia.

Ten powiedział:

– Uratuj ją wbrew politycznym racjom.

– Same przeciwne wiatry. – Stary próbował się uśmiechnąć, ale w końcu powstrzymał się z dostojną miną. – Przeciwnie.

Kobieta z balkonu krzyknęła: „Miej litość!” i alkad zwrócił się do wszystkich: pamiętajcie, że mój obowiązek przestrzegania sprawiedliwości a złość mojej żony to dwie różne rzeczy, wtedy kobieta z balkonu znowu krzyknęła: czy masz tylko obowiązki alkada i komunisty?! Stary nadal ją ignorował i mówił jedynie do Vidala, Baltazara i Maury: nie słucham uczuć, słucham Hiszpanii i Partii.

– Miej odrobinę współczucia! – krzyknęła kobieta.

– To twoja wina, Klemencjo, ty ją wychowałeś na katoliczkę wbrew mojej woli – wreszcie odpowiedział jej alkad, odwracając się do niej plecami.

– Nie zatruwaj mi reszty życia, Alvaro.
– Ach, niezgoda w rodzinie nie może stawać ponad prawem.
– Niezgoda czasem nie rodzi się z nienawiści, lecz z nadmiaru miłości! – krzyknęła Klemencja, ściągając chustkę z głowy, pełnej złych przeczuć i odsłaniając białe potargane włosy. – Nasza córka czeka na dworze, u bram miasta, co masz zamiar z nią zrobić?
– To już nie jest wasza córka. To moja żona – powiedział Basilio Baltazar.
Tej nocy ktoś wpuścił woły na arenę w Santa Fe. Ognie w górach zaczęły wygasać.
– Niebo pełne jest kłamstwa – powiedziała ze smutkiem Klemencja, zanim zaciągnęła rolety na balkonie.

(– Muszę ci opowiedzieć o Pilar Méndez...)

Na następnym spotkaniu w „Café de Paris” właściwie miał być tylko jeden temat: przemoc; jak się lęgnie w zarodku, jak kiełkuje, jak się rodzi, jaka jest jej relacja do zła i dobra. Maura postawił najtrudniejszą kwestię: nie można całego zła zwać na faszystów, nie zapominajmy o przemocy republikanów, o tym, że anarchiści zamordowali kardynała Soldeville w Saragossie, że socjaliści zabili pięściami falangistów, którzy w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym ćwiczili w Casa del Campo, wydłubali im oczy i nasikali do oczodołów, to zrobili nasi, towarzysze.

– To byli nasi.

– A czy faszyści nie zabili potem tej dziewczyny, która nasikała na zwłoki ich ludzi?

– To właśnie chcę podkreślić, towarzysze – powiedział Maura, ujmując rękę swojej meksykańskiej kochanki. – Kiedy w Hiszpanii nasila się przemoc, zawsze kończy się to wojną wszystkich przeciwko wszystkim.

– Słusznie katalońscy *escamots* w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku odcięli linie kolejowe, żeby na zawsze odłączyć Katalonię od Hiszpanii. – Basilio spojrzał na splecione dłonie Jorge i Laury. – Moje gratulacje! – Ale poczuł ból i zazdrość.

Vidal wybuchnął śmiechem tak szorstkim, jak wełna jego swetra.

– Tak więc wszyscy zabijamy się przy zamkniętych drzwiach, wesoło i regionalnie, a świat niech idzie do jasnej cholery!

Jorge puścił rękę Laury i położył dłoń na ramieniu Vidala.

– Nie zapominam o masowych mordach zarządzonych przez frankistów w Badajoz ani o zabójstwie Federica Garcíi Lorki, ani o Guernice. To był mój wstęp, towarzysze.

– Przyjaciele, zapomnijcie o politycznej przemocy w przeszłości, zapomnijcie o fatum, które ponoć prześlada politykę Hiszpanii, to jest wojna, ale nawet nie nasza, odebrano ją nam, jesteśmy sceną, na której się rozgrywa, nasi wrogowie przyszli z zewnątrz, Franco jest tu kukiełką, i jeśli ich nie rozgromimy, Hitler rozgromi świat. Pamiętajcie, że studiowałem w Niemczech i widziałem, jak się organizowali naziści. Zapomnijcie o naszej żalostnej hiszpańskiej przemocy. Poczekajcie, a zobaczycie prawdziwą przemoc, przemoc Zła. Zła, takiego z dużej litery, zorganizowanego jak fabryka w zagłębiu Ruhry, Wtedy ta nasza przemoc wyda się rodem z tańca *flamenco* albo z korridy... – powiedział Jorge Maura.

(– Muszę ci opowiedzieć o Raquel Alemán...)

– A ty, Lauro Díaz? W ogóle nie otworzyłaś ust.

Spuściła na chwilę głowę, potem popatrzyła z czułością na każdego z nich, w końcu powiedziała:

– Z przyjemnością obserwuję, że najbardziej zajadła dyskusja pomiędzy mężczyznami zawsze odkrywa coś, co ich łączy.

Wszyscy trzej zaczerwienili się jednocześnie. Basilio Baltazar uratował sytuację, której ona do końca nie zrozumiała, i rzekł:

– Widać, że jesteście bardzo zakochani. Jak sobie radzicie z miłością pośród tego wszystkiego, co się dzieje?

– Powiedz raczej – wtrącił się Vidal – czy liczy się tylko szczęście osobiste, a nie tragedia milionów istot?

– Ja zadam panu inne pytanie, panie Vidal – podjęła dyskusję Laura Díaz.

– Może po prostu Vidal, co? Ci Meksykanie to straszni formalisci.

– Dobrze, po prostu Vidal. Czy miłość dwojga ludzi może przesłonić wszystkie nieszczęścia świata?

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie z zażenowaniem i współczuciem.

– Tak, myślę, że są sposoby, żeby odkupić świat, bez względu na to, czy ludzie będą takimi samotnikami jak nasz przyjaciel Basilio, czy takimi aktywistami jak ja – przyznał z pokorą, a zarazem z pewną arogancją Vidal.

(– Muszę ci opowiedzieć o Pilar Méndez...)

– To, co stwierdził na koniec komunista – powiedział Jorge kochance, kiedy szli sami Aleją 5 de Mayo – jest pewne, ale budzi mój niepokój.

Wyznała mu, że on, Jorge, wydaje jej się powściągliwy; elokwentny, owszem, ale niemal zawsze powściągliwy. Ten nowy Jorge Maura, kolejny, podobał jej się, naprawdę, zapewniała go, ale chciała pobyc jeszcze chwilę z tamtym Maura z kawiarni, zrozumieć jego milczenie, podzielać powody tego milczenia.

– Wiesz, nikt nie odważył się odsłonić swoich prawdziwych wątpliwości – wrócił do tematu Maura, kiedy szli w kierunku Poczty Głównej, budowli w stylu weneckim. – Najsilniejsi są komuniści, bo oni mają najmniej wątpliwości. Ale właśnie dlatego, że mają ich najmniej, najłatwiej popełniają historyczne przestępstwa. Nie zrozum mnie źle. Naziści i komuniści to nie to samo. Różnica jest taka, że Hitler wierzy w Zło, Zło jest jego Ewangelią: podbój, ludobójstwo, rasizm. Natomiast Stalin musi mówić, że wierzy w Dobro, w wolność pracy, w zniesienie Państwa i w zasadę: każdemu według potrzeb. Recytuje Ewangelię Cywilnego Boga.

– Dlatego oszukuje tylu ludzi?

– Hitler recytuje Ewangelię Diabła. Popełnia zbrodnie w imieniu Zła: to jest horror. Tego nigdy przedtem nie było. Ci, którzy idą za nim, muszą podzielać jego złą wolę, wszyscy, Göring, Goebbels, Himmler, Ribbentrop, arystokraci tacy jak Papen, prymitywy jak Ernst Röhm, pruscy junkrzy jak Keitel. Stalin popełnia swoje zbrodnie w imieniu Dobra i nie wiem, czy to nie jest jeszcze większy horror, bo ci, którzy za nim idą, działają w dobrej wierze, nie są faszystami, są to z reguły dobrzy ludzie, którzy – kiedy zdadzą sobie sprawę ze stalinowskiego horroru – są eliminowani przez samego Stalina: Trocki, Bucharin, Kamieniew, wszyscy towarzysze z bohaterskich czasów. Ci, którzy nie chcieli iść za Stalinem, bo woleli bronić prawdziwego komunizmu aż do śmierci. Czyż to nie są bohaterzy – Bucharin, Trocki, Kamieniew? Podaj mi nazwisko choć jednego nazisty, który odszedł od Hitlera przez wierność dla narodowego socjalizmu.

– A ty, Jorge, moja hiszpańska miłości?

– Ja, Lauro, moja veracruzanska miłości, ja, hiszpański intelektualista i, jeśli chcesz, dobrze, panicz, arystokrata z tych, co to Robespierre wysyłał na gilotynę...

~ Masz rozdartą duszę, mój hiszpański panicznyku...

– Nie, gdyż zdaję sobie sprawę i z nazistowskiego zła, i ze stalinowskiej zdrady. Ale też jestem świadom wielkości hiszpańskiej republiki, widzę, jak stara się po prostu stworzyć nam kraj normalny, nowoczesny, gdzie moglibyśmy współżyć i szanować się wzajemnie, i rozwiązywać problemy, które, do cholery, gnębią nas od czasów Gotów. I tej wielkości, która jest podstawową wartością Republiki, ja poświęcam swoje wątpliwości, Lauro, miłości moja. Wybierając pomiędzy nazistowskim złem i komunistyczną zdradą, zostaję przy republikańskim bohaterstwie młodego *gringo*, jak to wy mówicie, tamtego Jima, który zginął za nas nad Jaramą.

– Jorge, nie jestem głupia. Ktoś jeszcze cierpiał za was. Jest coś jeszcze, co łączy Baltazara, Vidala i ciebie.

(– Muszę ci opowiedzieć o Pilar Méndez...)

Stojąc pod murami Santa Fe de Palencia, otulona w futro z czarnych dzikich zwierząt, z jasnymi włosami rozwianymi przez kłębiący się wiatr od gór, Pilar Méndez patrzyła, jak gasną po kolei w górach ognie, ale nie uśmiechała się z triumfem, będąc świadkiem tego, co dla jej ojca oznaczało zdradę, a dla niej zwycięstwo, i umacniała się w przekonaniu, że pomoc dla swoich była jakby pomocą dla Boga, chociaż w tym poczuciu miały osłabić ją kroki trzech żołnierzy Republiki, którzy szli od bramy rzymskiej ku temu skrawkowi znaczonyj rykiem wołów lewantyńskiej ziemi, który ona, Pilar Méndez, zajmowała w imieniu swojego Boga, istniejącego daleko poza jakąkolwiek wiarą polityczną, gdyż Nacjonałiści i Falanga byli z Bogiem, a tamci, ci inni, jej ojciec, don Alvaro i ci trzej żołnierze, byli ofiarami Diabła i nawet o tym nie wiedzieli, bo sądzili, że są po dobrej stronie, to oni, oni wszyscy, ci czerwoni, podpalali kościoły, rozstrzeliwali księży i gwałcili zakonnice. Domingo Vidal, Jorge Maura i Basilio Baltazar, jej ukochany, jej żarliwa miłość, męczyzna jej życia, poślubiony jej już bez potrzeby jakichkolwiek sakramentów, szli przez kurz, wśród wołów i wiatru i zamarłych ogni, ku niej, ku kobiecie stojącej pod murami konającego miasta, otulonej w długie futro z dzikich czarnych zwierząt, jasnowłosej Hiszpance, wizygockiej bogini o niebieskich oczach i włosach złotych jak piasek areny.

Co mieli jej powiedzieć ci trzej mężczyźni?

Co mogli jej powiedzieć?

Nie padło ani jedno słowo. Tylko widok Basilia Baltazara był jak podwójna strzała rozkoszy i bólu życia, tak ze sobą nierozzerwalnie związanych. Czuła, że jej ukochany jest ceną, ceną za naruszenie porządku życia, a to jest właśnie miłość – pomyślała Pilar Méndez, widząc zbliżających się mężczyzn.

Basilio upadł na kolana, otoczył rękoma nogi Pilar i powtarzał bez przerwy: kochana, kochana, kochana, nie zabieraj mi, proszę, twoich piersi, twego łona, skarbie mój, Pilar, uwielbiam cię...

– Czy to jest Domingo Vidal, komunista, wróg? – spytała Pilar, umocniona miłosną rozpaczą Basilia Baltazara.

Vidal skinął ogoloną głową, policyjną czapkę trzymał w rękach, jakby Pilar była jakąś świętą dziewicą, Matką Boską Bolesną.

– Czy to jest Jorge Maura, zdradziecki paniczyk, który przeszedł na stronę czerwonych?

Jorge objął ją, a ona krzyknęła jak zwierzę zdolne do uczucia obrzydzenia, ale Maura powiedział: nie puszcę cię, musisz zrozumieć, jesteś skazana na śmierć, czy mnie rozumiesz? O świcie mają cię rozstrzelać, twój własny ojciec wydał taki rozkaz, twój ojciec alkad, twój ojciec Alvaro Méndez zabije cię pomimo naszych próśb, pomimo że twoja matka...

Pilar Méndez wybuchnęła śmiechem tak obłąkańczym, że przerażony Baltazar stanął na równe nogi. Moja matka – śmiała się Pilar jak dzikie zwierzę, jak piękna hiena, Meduza bez własnego spojrzenia – moja matka, czy jest ktoś, kto bardziej pragnie mojej śmierci niż moja matka, złośliwie nazywana brudną Klemencją, ta, która zrobiła ze mnie dewotkę już do śmierci, ta, która zaszczepiła we mnie ideę grzechu i piekła? Ta kobieta nie pragnie, bym żyła, chce, bym umarła męczyńską śmiercią, śmiercią dziewicy, jak wyobraża sobie ta prostytutka, dziewicy, słyszysz, Basilio, bardzo bym chciała, żeby moja matka, Klemencja, widziała nas tamtego wieczoru, kiedy wyszarpałaś mi moje dziewictwo, kiedy mi je wygryzłaś zębami, wyplułaś tę moją krwawiącą błonę, jakby była smarkiem albo zgniłą hostią, Basilio, pamiętasz, i wziąłeś mnie tak, jak się biorą wilki, od tyłu, przez odbyty, nie patrząc mi w twarz, pamiętasz to, w starym, pustym domu, do którego ja sama cię

zaprowadziłam, moja miłości najśłodsza, mój jedyny mężczyzno, sądzisz, że masz prawo ratować mnie, kiedy moja własna matka życzy mi śmierci, chce, bym została męczennicą Ruchu Nationalistycznego, świętą, która uratuje własne sumienie, Klemencja, której imię znaczy łaska, moja matka, nienawidzi mnie, bo nie wyszłam za mąż, tak jak sobie życzyła, bo oddałam się chłopcu biednemu, o podejrzanych poglądach, a ty, mój piękny, uwielbiany Basilio Baltazarze, co tu robisz, czego spodziewasz się ty i twoi przyjaciele, jesteście szaleni, nie wiecie, że wszyscy jesteście moimi wrogami, nie wiecie, że jestem przeciwko wam, że kazałabym was wszystkich rozstrzelać w imieniu Hiszpanii i Franco, że nie chcę, aby wyrastały ciernie na starych ścieżkach hiszpańskiej śmierci, że ona chce je zmyć moją krwią...

Vidal brutalnie zakrył jej usta dłonią, tak jakby zamykał kloakę, Maura wykręcił jej rękę, Baltazar znowu ukląkł u jej stóp. Każdy z nich chciał jej powiedzieć coś od siebie, ale wszyscy mówili jej to samo: chcemy cię uratować, chodź z nami, popatrz, ogniska w górach jeszcze nie pogasły, tam znajdziemy schronienie, twój ojciec uważa, że spełnił swój obowiązek, wydał rozkaz, żeby o świcie cię rozstrzelano, my swojego nie wypełnimy, chodź z nami, pozwól się uratować, choćby za cenę naszego życia.

– Dlaczego, Jorge? – zapytała Laura Díaz.

Wbrew wojnie. Wbrew Republice. Wbrew woli ojca. Moja córka powinna zginąć w imię sprawiedliwości – powiedział alkađ Santa Fe de Palencia. Powinna być uratowana w imię miłości – powiedział Basilio Baltazar. Powinna być uratowana mimo racji politycznych – powiedział Domingo Vidal. Powinna być uratowana w imię honoru – powiedział Jorge Maura.

– Moi dwaj przyjaciele spojrzeli na mnie i zrozumieli. Nie musiałem im nic tłumaczyć. Nie wystarczy powołać się na miłość albo sprawiedliwość. To honor przyznaje nam rację. Honor w zamian za sprawiedliwość? – ten dylemat wyczytałem na twarzy Dominga Vidala. Zdrada czy piękność? – to mówiły mi zakochane oczy Basilia Baltazara. Popatrzyłem na nich troje, nie posiadających nic poza nagą skórą prawdy, u schyłku tego fatalnego dnia, pod średniowiecznym murem, przy rzymskiej bramie, w miasteczku otoczonym górami, które powoli gasły, patrzyłem na nich troje, na Pilar, Basilia i Dominga, zobaczyłem w tej grupie symbol, Lauro, i zrozumiałem coś, czego nikt nie rozumiał, tylko ja wtedy i ty teraz, bo ci o tym mówię. Zrozumiałem, że potrzeba piękna jest silniejsza niż potrzeba sprawiedliwości. Węzła tego trójkąta, złożonego z kobiety, jej kochanka i jej przeciwnika, nie rozwiązałyby ani sprawiedliwość, ani miłość, był to akt potrzeby piękna, zbudowany na honorze.

– Jaka może być trwałość rzeźby, którą tworzą nie posągi, ale ludzkie istoty zagrożone śmiercią?

Doskonała kompozycja tej rzeźby – honor i piękno triumfujące nad zdradą i sprawiedliwością – rozpadła się, kiedy Jorge szepnął do kobiety: uciekaj z nami w góry, ratuj się, bo inaczej umrzemy tu wszyscy czworo, a ona odpowiedziała przez zaciśnięte zęby: jestem człowiekiem, niczego się nie nauczyłam, choćby Basilio mnie błagał, nie można niczego osiągnąć bez współczucia; chodź z nami, uciekaj, jeszcze jest czas, a ona: jestem jak suka węsząca śmierć, wyczuwam ją i nie odstępuję na krok, aż mnie zabiją, nie sprawię wam tej przyjemności, mogę wywęszyć śmierć, bo w tym kraju wszystkie groby stoją otworem i już nie mamy innego domu jak tylko grób.

– A twój ojciec i twoja matka? Ratuj się przynajmniej ze względu na nich.

Pilar spojrzała na wszystkich trzech zdumionymi, pełnymi ognia oczyma i zaczęła się śmiać jak oszalała.

– Ależ wy nic nie rozumiecie! Sądzicie, że umrę tylko dlatego, że dochowałam wierności Ruchowi?

Śmiała się tak jeszcze przez chwilę.

– Umrę, żeby mój ojciec i moja matka nienawidzili się już do śmierci. Żeby nigdy sobie nie wybaczyli.

(Muszę ci opowiedzieć o Pilar Méndez)

– Myślę, że ty należysz do ludzi, którzy tylko wtedy są wierni sobie, gdy są wierni przyjacielom – powiedziała Laura, opierając głowę na ramieniu Maury.

– Nie – westchnął zmęczony – jestem zły na siebie, że nie potrafię opowiedzieć ci prawdy i uniknąć kłamstwa.

– Być może dlatego jesteś silny, moje Hiszpaniátko, bo wątpisz. To chyba jasno zrozumiałam dzisiejszego wieczoru.

Przecieli ulicę Aquiles Serdán, żeby wejść pod marmurowy portyk Pałacu Sztuk Pięknych.

– Powiedziałem to dziś w kawiarni, kochanie moje, wszyscy jesteśmy skazani. Muszę ci wyznać, że nienawidzę wszystkich systemów, i mojego, i innych.

VIDAL: Widzisz? Nie da się wygrać bez zaprowadzenia porządku. Wszystko jedno, czy teraz wygramy, czy przegramy, czy dziś odniesiemy zwycięstwo, a jutro poniesiemy klęskę, będzie nam potrzebny porządek i jedność, hierarchia władzy i dyscyplina. W przeciwnym razie oni zawsze będą górą, bo mają porządek, jedność, władzę i dyscyplinę.

BALTAZAR: W takim razie czym się różni niewzruszalna dyscyplina Hitlera od dyscypliny Stalina?

VIDAL: Celem, Basilio. Hitler chce świata niewolników. Stalin chce świata ludzi wolnych. Choć środki są jednakowo okrutne, cele są zupełnie różne.

– Vidal ma rację – roześmiała się Laura. – Bliżej ci do anarchistów niż do komunistów.

Jorge zatrzymał się gwałtownie przed jednym z plakatów na murze Pałacu Sztuk Pięknych.

– Dzisiejszego wieczoru nikt nie odgrywał żadnej roli, Lauro. Vidal jest rzeczywiście komunistą, a Basilio anarchistą. Nie powiedziałem ci prawdy. Pomyślałem, że my dwoje, ty i ja, możemy w ten sposób zachować jakiś dystans w tej dyskusji.

Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na czarne litery widniejące na żółtym papierze plakatu, przyklejonego krzywo do drewnianej tablicy, niegodnej marmurów i brązów Pałacu. Jorge spojrzął na Laurę.

– Wybacz mi. Jesteś taka śliczna.

Carlos Chávez miał wykonać z Orkiestrą Filharmonii Narodowej własną *Symfonię Indiańską* i *Miłość do trzech pomarańczy* Prokofiewa, a pianista Nikita Magalow miał zagrać pierwszy koncert Chopina, ten, który bez powodzenia ćwiczyła ciotka Hilda w Catemaco.

– Jakżebym chciał, żeby nasi nie popełnili wtedy ani jednego przestępstwa.

– Taka musiała być Armonia Aznar. Pewna kobieta, którą znałam. A raczej: której nie poznałam. Musiałam się tylko domyślać, jaka jest. Jestem ci taka wdzięczna, że wykładasz mi wszystko bez tajemnic, bez zamkniętych drzwi. Dziękuję ci, mój hidalgo. Czuję się przez to lepsza, bardziej niewinna i wszystko jaśniej układa mi się w głowie.

– Wybacz. To prawie operetka. Spotykamy się i powtarzamy te same wyświechtane zdania, jak w tych madryckich komediach Muñoz Sęki. Widziałaś to dzisiaj. Każdy mówił dokładnie to, co powinien powiedzieć. Być może odprawiamy egzorcyzmy, żeby poprawić złe samopoczucie. Nie wiem.

Objęli się pod portykiem Pałacu Sztuk Pięknych, otoczeni meksykańską nocą, która zapadła nagle, bura i występna.

– Męczy mnie ta nie kończąca się kłótnia. Chciałbym, żeby jedyną ojczyzną był rozum, tylko on...

Objęci uściskiem wrócili na Aleję 5 de Mayo. Ich słowa powoli gasły, tak jak gasły witryny cukierni, księgarń, sklepów z walizkami. Zapalały się natomiast uliczne latarnie, otwierając świetlisty szlak prowadzący aż do bocznej ściany wielkiej katedry, dzieła Herrery, gdzie osiemnastego marca poprzedniego roku świętowali nacjonalizację ropy naftowej, ona z Juanem Francisco, Santiago i Dantonem, a Jorge pozdrawiał ją z daleka; jego uniesiony kapelusznik oznaczał prywatne pozdrowienie, a jednocześnie był znakiem uczestnictwa w politycznym święcie, znakiem powitania i zarazem pożegnania nad głowami tłumu, Kocham cię, mówił ów gest, i do widzenia, już wróciłem i wciąż cię Kocham...

W „Café de París” Barreda, obserwujący ich od stolika, zapytał Gorostizę i Villaurrutie, o czym mogą rozmawiać Hiszpanie w kawiarni. O polityce? O sztuce? Nie, o suszonej szynce. Wyrecytował im parę linijek z opisu *Uczty Baltazara* z Biblii napisanej wierszem przez pewnego szalonego Hiszpana:

*Burgund, Reńskie, Valdelamasa
i bez umiaru kielbasa.*

Villaurrutia powiedział, że wcale go nie bawią te meksykańskie dowcipy o Hiszpanach, a Gorostiza zaczął się zastanawiać, skąd u Meksykanów ta niechęć do kraju, któremu zawdzięczają swoją kulturę, język, a nawet przemieszaną rasę...

– Zapytaj Cuauhtemoca⁶, jak potraktowali go Hiszpanie. – Barreda się roześmiał. – Na dzień dobry były pieczone nóżki!

– Nie – odparł z uśmiechem Gorostiza – sęk w tym, że nie lubimy przyznawać racji zwycięzcom. My, Meksykanie, zbyt często przegrywaliśmy. Lubimy kochać pokonanych. To nasi. To my sami.

– Czy w historii są zwycięzcy? – zapytał Villaurrutia, sam pokonany przez sen, przez gnuśność, a może przez śmierć, kto go tam wie – pomyślała piękna, inteligentna i milcząca Carmen Barreda.

⁶ Cuauhtemoc – ostatni władca Azteków – po bohaterskiej obronie Meksyku został pokonany przez Cortesa i poddany torturom. Męźnie zniósł przypalenie ogniem. Powieszony na rozkaz Cortesa (przyp. tłum.).

XIV. Wszędzie, gdzie: 1940

1

Wyjeżdżał do Hawany, Waszyngtonu, Nowego Jorku, Santo Domingo, przysyłał jej telegramy do hotelu L'Escargot, czasem dzwonił do niej do domu i odzywał się tylko wtedy, gdy słyszał jej głos, „Nie, to nie jest Ericsson, to Mexicana”, był to ich szyfr, oznaczał, że nie zagraża niebezpieczeństwo, że nie ma męża ani dzieci, ale kiedy indziej nie zwracał na nic uwagi i mówił do niej, wtedy milkła albo gadała głupstwa, bo mąż albo chłopcy kręcili się w pobliżu: nie, potrzebuję hydraulika jeszcze dzisiaj albo na kiedy będzie gotowa ta sukienka, albo ależ to wszystko drożeje, widać, że wojna wisi na włosku, a Jorge mówił: to najlepsze lata naszego życia, czy tego nie widzisz? Dlaczego nie odpowiadasz? A ona śmiała się nerwowo. Wtedy zaczynał: jak to dobrze, że byliśmy niecierpliwi, ukochana moja, wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy powstrzymali się tamtej pierwszej nocy, w imię czego mielibyśmy cierpliwie czekać, życie nam ucieka, moja najmilejsza, szczęście ty moje, skarbie mój najdroższy, a ona w milczeniu patrzyła na męża czytającego „El Nacional” albo na dzieci odrabiające lekcje, pragnęła rozmowy z kochankiem i odpowiadała mu w myślach: moje życie było puste, zanim ciebie spotkałam, i teraz jestem spokojna. Nie proszę o nic, mój hidalgo, chcę tylko, żebyś wrócił cały i zdrowy, żebyśmy się spotkali w naszym pokoiku, żebyś mnie poprosił, bym postawiła wszystko na jedną kartę, i zrobię to bez wahania, ani dzieci, ani mąż, ani matka mi w tym nie przeszkodzą, liczysz się tylko ty, bo przy tobie czuję, że wciąż jestem młoda, mogę ci coś szczerze powiedzieć? wczoraj skończyłam czterdzieści dwa lata i żałowałam, że nie świętowaliśmy tego razem, Juan Francisco i Danton zupełnie o tym zapomnieli, tylko Santiago pamiętał, ale powiedziałam mu „to nasz sekret, nic im nie mów”, i syn objął mnie na znak, że jesteśmy współnikami, to byłaby dla mnie pełnia szczęścia – ty, ja i mój ukochany syn, dlaczego mamy się wypierać, to głupota twierdzić, że kochamy wszystkie dzieci jednakowo, to nieprawda, nieprawda, są dzieci, które pomagają nam odgadnąć, czego brakuje nam samym, one są czymś więcej niż tylko dziećmi, są jak lustra, w nich odbija się przeszłość i przyszłość, taki jest mój Santiago, który nie zapomniał o moich urodzinach, i to dzięki niemu pomyślałam, że ty dajesz mi odpuszczenie grzechów, jakiego potrzebuje kobieta w moim wieku, i jeśli nie wezmę tego życia, które ofiarowujesz mi ty, mój hidalgo, ja sama w przyszłości nie będę miała nic do zaoferowania moim dzieciom, mojemu biednemu mężowi, mojej matce...

2

Śmierć Letycji, wspaniałej i uwielbianej Mutti, najważniejszej postaci kobiecej w życiu Laury Díaz, kolumny, na której jak powoje szukali oparcia wszyscy mężczyźni: dziadek don Felipe, ojciec don Fernando, równie uwielbiany brat Santiago, budzący bolesne wspomnienia Orlando Ximénez, mąż Juan Francisco, synowie wychowywani przez babkę, w czasie gdy w kraju powracał spokój po długiej i okrutnej (tak już odległej) Rewolucji, gdy Laura i Juan

Francisco na próżno szukali drogi do siebie, gdy Laura i Orlando nakładali maski, żeby się ukryć przed samymi sobą i nie być widzianymi przez innych, oni wszyscy byli powojami wspinającymi się na balkon babki Letycji, wszyscy poza Jorge Maura, pierwszym mężczyzną niezależnym od veracruzanskiego pnia karmionego przez matkę, kobietę, której siłę stanowiła prawość, troskliwość, wnikliwa uwaga poświęcana codziennym obowiązkom, talent do wzbudzania zaufania, do powstrzymywania się od komentarzy, dyskrecja...

Letycja odeszła, a jej śmierć przywiodła na pamięć wszystkie wspomnienia z dzieciństwa. Każda śmierć, która dotyka nas dzisiaj, stawia przed naszymi oczami wczorajsze życie. A jednak Laura nie mogła sobie przypomnieć żadnego słowa wypowiedzianego przez matkę. Jakby całe życie Letycji było jedynie długim westchnieniem ukrytym pod natłokiem starań o domy w Veracruz i w Xalapie. Za nią mówiła jej kuchnia, lśniąca czystość, wykrochmalona bielizna, szafy w idealnym porządku pachnące lawendą, balie do kąpielni na czterech nogach, dzbany z zimną wodą i kociołki z wrzątkiem. Za nią mówiło jej spojrzenie, mądre milczenie, kiedy starała się zrozumieć czy przekonać kogoś bez napastliwości i kłamstw, bez niepotrzebnych kłótni. Emanowała serdecznością, odgadywało się miłość, którą pielęgnowała w duszy, choć nigdy nie czuła potrzeby jej uzewnętrzniania. Przeszła twardą szkołę: separację w pierwszych latach po ślubie, kiedy don Fernando mieszkał w Veracruz, a ona w Catemaco. Ale czyż to oddalenie wymuszone sytuacją nie sprawiło, że Laura, która wtedy była jeszcze dzieckiem, spotkała swojego brata Santiago Starszego właśnie w momencie, kiedy to spotkanie powinno było nastąpić, kiedy obydwójce, tak zeszobą zżyci, mogli być na poły dziećmi, na poły dorosłymi, razem się bawić i razem płakać, nie dopuszczając do niczego, co zmąciłoby czystość tego wspomnienia, najgłębszego i najpiękniejszego w całym życiu Laury Díaz? Nie było nocy, by nie śniła jej się młoda twarz zastrzelonego brata, pochowanego w morzu, ginąca wśród fal Zatoki Meksykańskiej.

W dniu pogrzebu matki Laura przeżywała dwa życia naraz. Wykonywała automatycznie wszystkie czynności, dopełniała rytuałów czuwania i pogrzebu i przez cały czas czuła się bardzo samotna. W Xalapie nie było już żadnej ze znanych jej dawniej rodzin. Utrata majątków, strach przed nowymi gubernatorami skorymi do wywłaszczeń, klerozercami i socjalistami, magnes stolicy, obietnica nowych możliwości poza prowincjonalną ojcowizną, złudzenia i rozczarowania – to wszystko wyгнаło z Xalapy starych przyjaciół i znajomych. Laura odwiedziła hacjendę San Cayetano. Była jedną wielką ruiną i tylko w pamięci Laury ożywiały ją dźwięki walców, śmiechy, bieganina kelnerów, brzęk uderzanych o siebie kieliszków, wyprostowana sylwetka doñi Genowefy Deschamps...

Matkę przykryła ziemia, a dla jej córki, przeżywającej tego dnia podwójne życie, przeszłość stawała się teraźniejszością, jak historia bez reliktyw; miasto z gór znalazło się nagle nad brzegiem morza, stare drzewa odkryły swoje korzenie, ptaki śmigły jak błyskawice, rzeki pełne popiołów wpadały do morza, gwiazdy składały się z pyłu, a selwa huczała huraganowym krzykiem.

Noc i dzień przestały istnieć.

Świat bez Letycji obudził się wyludniony.

Dopiero zapach deszczu, który w Xalapie pada niemal bez przerwy, wytrącił z zamyślenia Laurę Díaz i zapytała Marię de la O:

– Teraz, cioteczko, już chyba pojedziesz ze mną do Meksyku?

Ale Maria de la O nie odpowiedziała. Nigdy już nie usłyszano od niej ani słowa. Tylko kiwała potakująco albo kręciła przecząco głową. Śmierć Letycji odebrała jej mowę, a kiedy Laura, opuszczając dom w Xalapie, wzięła do ręki walizkę ciotki, stara Mulatka zatrzymała się i obróciła wokół własnej osi, powolutku, jakby jeszcze raz ona i tylko ona mogła wywołać wszystkie duchy tego domu, wyznaczyć im miejsce, zatwierdzić ich status członków rodziny... Laura odczuła ogromne wzruszenie, widząc, jak ostatnia z sióstr Kelsen żegna się z

domem, do którego przybyła biedna i napiętnowana i uratował ją dobry człowiek Fernando Díaz, dla którego czynienie dobra było tak naturalne jak oddychanie.

Już wkrótce kilofy rozwały nieprzydatny podcień, schronienie dla równie nieprzydatnych powozów i stareńkiej issotty-fraschini, ciągnącej benzynę jak smok. Znikną okapy chroniące przed uporczywą mżawką niesioną od gór, wewnętrzne patio pełne wielkich porcelanowych donic inkrustowanych szkiełkami, kuchnia na węgiel połyskujący w ogniu jak diamenty, skromne żarna, wachlarze z liści palmowych, jadalnia i obrazy przedstawiające łobuziaka ukąszonego przez psa... Maria de la O zabrała ze sobą tylko srebrne obrączki do serwetek należące do jej sióstr. Kilofy nie będą zwlekać...

Maria de la O, ostatni świadek prowincjonalnej przeszłości rodu, pozwoliła Laurze potulnie zaprowadzić się na stację do pociągu „Interoceánico”, była tak cicha jak zmarła Letycja, której zwłoki złożono obok męża na cmentarzu w Xalapie. Cioteczce nie pozostało nic innego niż tylko pójść w ślady swojej zgasłej siostry i wspomagać rodzinę tak, jak potrafiła najlepiej, chciała trwać przy niej nieporuszenie, milcząc jak grób i wykazując tyleż taktu i dyskrecji co jej nieodżałowana siostra, Mutti, która jako mała dziewczynka w dzień swoich urodzin wychodziła na patio hacjendy w Catemaco ubrana na biało, tańczyła i śpiewała:

*Dwunastego maja
Święta Panna wstała
i swe białe szatki
na się przyodziła*

Bo w pamięci Marii de la O, w obliczu śmierci, pomieszały się wspomnienia siostry Letycji i siostrzenicy Laury.

3

Jorge Maura po roku nieobecności wrócił nagle z Waszyngtonu i Laura ten nagły powrót i smutek kochanka skojarzyła z faktem, który musiał nastąpić: dwudziestego szóstego stycznia frankiści zajęli Barcelonę i ruszyli na Geronę; ludność cywilna rozproszyła się po Pirenejach.

– Barcelona – powiedziała Laura. – To stamtąd pochodziła Armonía Aznar.

– Kobieta, która mieszkała w twoim domu i której nigdy nie widziałas?

– Tak. Mój brat, Santiago, też należał do anarchosyndykalistów.

– Tak mało mi o nim opowiadałaś.

– Bo nie starczy mi słów, żeby mówić jednocześnie o moich dwóch tak wielkich miłościach – uśmiechnęła się. – Był niezwykle inteligentny, piękny i odważny. Taki Rycerz Niezłomny – roześmiała się nerwowo. – Udawał fircyka, żeby ukryć swoją polityczną działalność. To mój święty, oddał życie za swoje idee, miał dwadzieścia lat, kiedy go rozstrzelano.

Jorge Maura milczał niepokojąco długo. Laura pierwszy raz w życiu widziała go ze spuszczoną głową i zdała sobie sprawę, że Jorge tę swoją ibero-rzymską głowę zawsze nosił wysoko i dumnie, nawet odrobinę arogancko. Pomyślała, że teraz ją pochylił, bo właśnie wchodzili do bazyliki Matki Boskiej z Gwadelupy. Maura uparł się, że ją tam zawiezie, żeby uczcić pamięć doñi Letycji, matki Laury, której nigdy nie poznał.

– Jesteś katolikiem?

– Myślę, że w Hiszpanii i w Ameryce Łacińskiej nawet ateści są katolikami. Zresztą nie chcę wyjechać z Meksyku, póki nie zrozumieję, dlaczego ta Matka Boska jest symbolem jedności narodu meksykańskiego. Wiesz, że hiszpańskie oddziały rojalistów w czasie wojny niepodległościowej rozstrzeliwały obrazki z Jej wizerunkiem?

– Wyjeżdżasz z Meksyku? – powiedziała bezbarwnym głosem Laura. – W takim razie Matka Boska z Gwadelupy przestała mnie chronić.

Wzruszył ramionami, co miało oznaczać: „jak zawsze wyjeżdżam i wracam, co cię tak dziwi?”. Klęczeli obok siebie w pierwszym rzędzie ławek, naprzeciwko ołtarza z obrazem Matki Boskiej oprawionym w ramy i zabezpieczonym szybą. Laura tłumaczyła Maurze, że według ludowych podań ten wizerunek odbił się na okryciu biednego Indianina, jakiegoś tragarza czy chłopca na posyłki, Juana Diega, któremu Matka Boska ukazała się pewnego grudniowego dnia tysiąc pięćset trzydziestego pierwszego roku, wkrótce po przybyciu konkwistadorów hiszpańskich, na wzgórzu Tepeyac, gdzie przedtem oddawano cześć azteckiej bogini.

– Jacy cwani byli Hiszpanie w szesnastym wieku – uśmiechnął się Maura. – Odnieśli zwycięstwo militarne i natychmiast zabrali się do podboju dusz. Niszczą (no dobrze, niszczymy) czyjąś kulturę i religię, ale pokonanym oddajemy własną kulturę z indiańskimi symbolami... albo może zwracamy im ich własną kulturę, ale z europejskimi symbolami.

– Tak, my Ją nazywamy Czarna Madonna. To jest ta różnica. Ona nie jest biała. Takiej matki potrzebowali osieroceni Indianie.

– Ona jest wszystkim, czy zdajesz sobie sprawę, jakie to genialne? To Madonna chrześcijańska i indiańska, ale jednocześnie Madonna Izraela, żydowska matka oczekiwanego Mesjasza, a ma arabskie imię: Guadalupe, rzeka wilków. Ileż kultur w jednym tylko wizerunku!

Ich rozmowę przerwała stłumiona kantata, która rodziła się za ich plecami i narastała od drzwi bazyliki jak pradawne echo, które nie powstawało na ustach pielgrzymów, ale towarzyszyło im albo, być może, witało ich tak od wieków. Jorge spojrział na chór, ale przy organach nie było nikogo, ani organisty, ani chórzystów. Procesji towarzyszył tylko śpiew, głuchy i monotony, jak cała indiańska muzyka Meksyku. Nie zdołał jednak zagłuszyć szurania kolan ciężko wleczonych po posadzce kościelnego przedsionka. Wszyscy posuwali się w takiej pozycji, niektórzy z zapaloną gromnicą w dłoniach, inni z ramionami rozłożonymi w formie krzyża, jeszcze inni przyciskali do twarzy zaciśnięte pięści. Kobiety miały na szyjach zawieszane szkaplerze, mężczyźni na odkrytych, pokrwawionych torsach – liście nopalu. Czasem twarze zakrywano związaną na karku gazą, pod którą wydawały się spłaszczone i niewyraźne. Te ciche modlitwy są jak śpiew ptaków, zauważył Maura, ich wysokie i niskie tryle zupełnie nie przystają do wyrównanej tonacji języka hiszpańskiego, którego powściągliwość sprawia, że tym ostrzej brzmi w nim wściekłość, rozkaz, dyskurs: tutaj jest nie do pomyślenia, aby którykolwiek z tych głosów mógł być zirytowany, władczy albo przemawiać do bliźnich inaczej niż w formie rady zaledwie, być może wykładni losu, ale, tu Maura podniósł głos, oni mają wiarę; tak, pospiesznie przytaknęła Laura, mają wiarę, ale dlaczego tak mówisz, Jorge, co ci jest? nie mogła zrozumieć; Lauro, ty nie możesz tego zrozumieć; w takim razie wytłumacz mi, powiedz mi, Maura, powtórzyła Laura, gotowa nie poddać się szamotaninie zwątpienia, z trudem powstrzymywanej złości, ironicznemu humorowi Maury w Bazylice Matki Boskiej z Gwadelupy, na widok procesji pobożnych Indian, wyznawców wiary bez znaków zapytania, wiary czystej, podtrzymywanej wyobraźnią otwartą na wszelkie podszepty łatwowierności: to jest pewne, bo jest niewiarygodne, powtarzał Jorge, oderwany nagle od miejsca, gdzie się znajdował, i od osoby, której towarzyszył, od bazyliki, od Laury Díaz. Laura odczuła to z niebywałą siłą, nie mogła nic zrobić, mogła tylko słuchać, nie potrafiła powstrzymać lawiny emocji, którą wywołała w Maurze procesja bosych meksykańskich Indian, rozbijając w proch rozważę jego

wypowiedzi, racjonalną refleksję, i rzucając go w obłądny wir wspomnień, przestróg, poczucia klęski, a wszystko to krążyło wokół jednego słowa: wiara, wiara, co to jest wiara? dlaczego ci Indianie wierzą? dlaczego filozofia mojego mistrza Edmunda Husserla przepelniona jest wiarą? dlaczego moja kochanka Raquel wierzyła w Chrystusa? dlaczego Basilio, Vidal i ja wierzyliśmy w Hiszpanię? dlaczego Pilar Méndez uwierzyła generałowi Franco? dlaczego jej ojciec, alkad Santa Fe de la Peña, uwierzył w komunizm? dlaczego Niemcy uwierzyli w nazizm? dlaczego wierzą ci ludzie bezradni, wygłodzeni, przecież nigdy nie dostali od uwielbianego Boga żadnej nagrody? dlaczego wierzymy i bronimy naszej wiary, wiedząc, że te poświęcenia, których wiara wymaga od nas tytułem próby, nigdy nie zostaną wynagrodzone? dokąd zmierzają ci boży oberwańcy? kto to był, co to była za figura na krzyżu, w którą wpatrywał się Jorge Maura, wszak uczestnicy procesji nie przybyli tu do Chrystusa, tylko do Jego Matki, święcie przekonani, że poczęła bez grzechu, że stało się to za sprawą Ducha Świętego, a nie lubieżnego stolarza, prawdziwego ojca Jezusa? czyż chociaż jeden z pokutników, którzy na kolanach posuwali się do ołtarza Matki Boskiej z Gwadelupy, wiedział, że to poczęcie nie było bez zmyły? dlaczego ja, Jorge Maura, i ty, Laura Díaz, w to nie wierzymy? w co my oboje wierzymy? czy możemy razem uwierzyć w Boga, dlatego że dobrowolnie wyrzekł się uświęconej bezkarności Jehowy i stał się człowiekiem poprzez Chrystusa? czy Chrystus po to przyjął ludzkie ciało, żebyśmy mogli rozpoznać w Nim siebie, Lauro? ale żeby być godnym Chrystusa, czyż musimy zstąpić jeszcze niżej niż On, aby nie być wyżej od Niego? czy w tym jest nasza tragedia, nasze nieszczęście, że aby wierzyć w Chrystusa i być godnymi odkupienia, musimy być niegodnymi Jego, poniżyć się, być grzesznikami, mordercami, lubieżnikami, pyszałkami, gdyż prawdziwym dowodem wiary jest akceptacja Boga, który żąda od nas tego, na co nie pozwala? czy w tej świątyni chociaż jeden Indianin tak myśli? nie, Jorge, żaden, nie mogę sobie tego wyobrazić, musimy więc być tak dobrzy, prości i odporni na pokusy jak ci pokorni ludzie, aby być godnymi Boga, czy też musimy być tak racjonalni i zarozumiali jak ty, jak ja, jak Raquel Mendes-Alemán i Pilar Méndez i jej ojciec alkad z Santa Fe de Palencia, żeby być godnymi tego, w co nie wierzymy? wiara meksykańskiego Indianina, wiara niemieckiego filozofa, wiara przechrzczonej Żydówki, wiara walczącego faszysty i wiara walczącego komunisty... która z nich jest najlepsza i najprawdziwsza dla samego Boga? odpowiedz mi, Lauro, powiedz mi, Jorge...

– Mów ciszej. Co ci się dzisiaj stało?

– Wiesz – powiedział Maura gwałtownie – patrzę na tego biednego bosego Indianina przykrytego derką i wyobrażam go sobie w pasiaku, i na jego piersi widzę zielony trójkąt, bo jest pospolitym przestępcą, i czerwony trójkąt, bo jest politycznym agitatorom, i różowy trójkąt, bo jest pedałem, i czarny trójkąt, bo jest jednostką społeczną, i gwiazdę Dawida, bo jest Żydem...

Nazywa się Raquel Mendes-Alemán. Studiowali razem we Fryburgu. Mieli szczęście słuchać wykładów Edmunda Husseria, który był nie tylko wielkim mistrzem, ale także filozofem przyjacielem swoich uczniów, przez co mógł kierować ich niezależnym myśleniem. Raquel i Jorge od pierwszego momentu poczuli do siebie sympatię, gdyż ona pochodziła z rodziny Żydów sefardyjskich wygnanych z Hiszpanii w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku przez Królów Katolickich. Mówiła po hiszpańsku tak, jak mówiono w piętnastym wieku, a jej rodzice czytali sefardyjskie gazety pisane językiem Prałata z Hity i Fernanda Rojasa i śpiewali hebrajskie pieśni na cześć hiszpańskiej ziemi. Przechowywali, jak wszyscy sefardycy, klucze od swoich dawnych kastylijskich domostw zawieszane na gwoździu w swoich nowych niemieckich mieszkaniach, w oczekiwaniu na upragniony dzień – choć minęło już cztery wieki z okładem – dzień powrotu na Półwysep Iberyjski.

– Hiszpanio – mówili chórem rodzice i krewni Raquel podczas wieczornych modłów – Hiszpanio, matko niewdzięczna, wyгнаłaś swoich synów Żydów, którzy tak cię kochali, ale

nie żyjemy do ciebie urazy, jesteś naszą uwielbianą matką i pragniemy tylko przed śmiercią któregoś dnia wrócić do ciebie, Hiszpanio kochana...

Raquel nie przyłączała się do modlitw, gdyż w rok po zapisaniu się na kursy we Fryburgu podjęła bardzo poważną decyzję. Przeszła na katolicyzm. Tak tłumaczyła to potem Maurze:

– Bardzo mnie krytykowano. Nawet we własnym domu. Uważano, że zrobiłam się katoliczką, żeby uniknąć piętna Żydówki. Naziści zorganizowali się, żeby przechwycić władzę.

Nie było wątpliwości, kto w Republice Weimarskiej, kraju zubożałym i poniżonym, wygra wybory. Niemcy chcieli silnego człowieka dla słabego państwa. Tłumaczyłam, że nie chcę uniknąć żadnego piętna. Wprost przeciwnie. Chciałam w ten sposób pokazać światu, mojej rodzinie, nazistom: spójrzcie, wszyscy jesteśmy Semitami. Przechodzę na katolicyzm, bo nie zgadzam się w zasadniczych sprawach z moimi rodzicami. Myślę, że Mesjasz już przyszedł. Nazywa się Jezus Chrystus. Oni wciąż na Niego czekają i to czekanie zaślepia ich i skazuje na prześladowania, bo ten, kto czeka na Odkupiciela, zawsze jest rewolucjonistą, czynnikiem rodzącym chaos i gwałt. Na barykadach jak Trocki, przy tablicy jak Einstein, z kamerą w ręku jak Eisenstein, za katedrą jak nasz mistrz Husserl, Żyd wszystko podważa i zmienia, burzy ład i rewolucjonizuje... Nie potrafi inaczej. Natomiast jeśli przyjmiemy, tak jak ja, że Odkupiciel już przybył na świat, można ten świat zmieniać w Jego imieniu, bez tej paraliżującej niemocy wobec pełnego nadziei oczekiwania na tysiąclecie, w którym wszystko się zmieni wraz z Jego przyjściem.

– Mówisz tak, jakby spadkobiercami żydowskiego mesjanizmu byli współcześni postępowcy, wliczając w to marksistów! – wykrzyknął Jorge.

– A bo tak i jest, nie widzisz tego? – powiedziała Raquel pospiesznie. – I to dobrze. To oni czekają na zmianę, którą przyniesie to tysiąclecie, i niecierpliwość prowadzi ich z jednej strony do odkrywania teorii względności, nowego kina albo fenomenologii, ale z drugiej pcha do zbrodni popełnianych w imię obietnicy. Nie zdają sobie sprawy, że są katami tej samej przyszłości, której tak bardzo pragną.

– Ale najgorszymi wrogami Żydów są naziści, którzy paradują po ulicach w mundurach koloru khaki, ze swoimi swastykami...

– Chodzi o to, że nie może być dwóch narodów wybranych. Albo to będą Żydzi, albo Niemcy.

– Ale Żydzi nie zabijają Niemców, Raquel.

– I to jest ta różnica. Żydowski mesjanizm szlachetnieje poprzez twórcze działanie w dziedzinie sztuki, nauki, filozofii. Staje się mesjanizmem kreatywnym, bo inaczej byłby bezbronny. Naziści nie mają żadnych talentów twórczych. Ich jedynym geniuszem jest śmierć, oni są geniuszami śmierci. Ale strzeżcie się dnia, kiedy Izrael postanowi się uzbroić i poświęci swego ducha kreatywności dla sukcesu wojskowego.

– Być może naziści nie dadzą im, jako narodowi, innego wyjścia. Może Żydzi zmęczą się rolą odwiecznych ofiar historii. Rolą baranków.

– Modlę się, żeby z kolei oni nie zamienili się w niczyich katów. Żeby Żydzi nie mieli swoich Żydów.

– Kościół katolicki też nie pozostawał w tyle, jeżeli chodzi o zbrodnie, Raquel. Pamiętaj, że jestem Hiszpanem, i ty w jakimś sensie również.

– Wolę cynizm Kościoła katolickiego od faryzeuszostwa kościoła komunistycznego. My, katolicy, osądzamy...

– Brawo za tę liczbę mnogą. Masz całusa, moja ty kochana nawiedzona...

– Nie pajacuj, Jorge. Chcę powiedzieć, że my osądzamy zbrodnie Kościoła, bo sprzeniewierzają się obietnicy już spełnionej, która nakłada obowiązek naśladowania Chrystusa. Natomiast komuniści nie mogą osądzać zbrodni swojego kościoła, bo czują, że

sprzeniewierzają się obietnicy, która ma się spełnić w przyszłości. Która jeszcze się nie ucieleśniła.

– W takim razie chyba wstąpisz do jakiegoś zakonu? Czy mam zmienić się w don Juana, żeby uwieść cię w klasztorze?

– Proszę, nie żartuj. I trzymaj ręce przy sobie, panie don Juan.

– Nie, nie żartuję. Jeżeli cię dobrze rozumiem, ta chrześcijańska czystość narzuca posłuszeństwo wobec nauk Jezusa, a temu można sprostać, tylko zamykając się w klasztorze. „Idź do klasztoru!”, Rachel.

– Nie. Należy realizować się w codziennym życiu. A zresztą jak mam zostać zakonnica, kiedy poznałam ciebie?

Wspólnie słuchali wykładów Husserla z nabożnym niemal pietyzmem. Studiowali u mistrza, ale nie odczuwali tego, gdyż Husserl swoich studentów kierował na właściwą drogę z wielką dyskrecją, nie uzależniał od siebie; choć motywowani przez niego, byli wolni dzięki skrzydłom, którymi ich obdarzał.

– Słuchaj, George, o co chodzi mistrzowi, kiedy mówi o „psychologii regionalnej”?

– Myślę, że o konkretny sposób bycia, przeżywania emocji, działania, poznawania. On chce, żebyśmy wstrzymali się z opinią, dopóki nie nauczymy się postrzegać oczywistych spraw jako zjawisk jednostkowych, konkretnych, jak to on mówi, „z krwi i kości”... Najpierw trzeba mieć oczy szeroko otwarte, żeby widzieć, co nas otacza w naszym „regionie”, tam gdzie realnie się znajdujemy. Dopiero potem filozofia.

Dużo spacerowali po starym uniwersyteckim mieście u podnóża Schwarzwaldu, odkrywali detale każdej ze stron gotyckiej katedry, zapuszczali się w średniowieczne zaułki, przemierzali mosty na Dreisamie, który płynął wartko, by połączyć się z Renem.

Fryburg przypominał antyczną kamienną królową w sosnowej koronie, ze stopami w wodzie; dwoje młodych studentów – przedtem trzymając się pod ramię, a teraz za ręce, włożyło się po nim, analizując wciąż od nowa wykłady mistrza o nerwowej, szlachetnej twarzy, wysokim zatroskanym czole i srogich brwiach, prostym nosie wyczulonym na odkrywcze idee, bujnej brodzie i wąsach zakrywających szerokie usta, tak szerokie, jakby należały do jakiegoś filozoficznego zwierzęcia, które wyszło z odżywczych wód w pierwszym okresie stworzenia na nieznany ląd, i oboje stwierdzali z podziwem, że sam mistrz też analizuje je od nowa, usiłując przekazać im więcej refleksji, niż mogło ich się zmieścić w jednym wykładzie. Słowa Husserla nie nadążały za szybkością jego myśli.

Wszyscy nazywali go mistrzem. Nie ukrywając niczego przed swoimi uczniami, proponował im filozofię bez dogmatów, bez konkluzji, otwartą w każdym momencie na krytykę zarówno profesora, jak i jego studentów. Wszyscy wiedzieli, że Husserl z Fryburga to już nie ten Husserl z Halle, który stworzył fenomenologię, wychodząc z prostego założenia: najpierw akceptuje się doświadczenie, potem się myśli. Nie był to również ów Husserl z Getyngi, skoncentrowany na sprawach, które jeszcze nie zostały zinterpretowane, ponieważ w tym mogła tkwić ich tajemnica. Był to Husserl z Fryburga, mistrz Maury i Raquel, dla którego moralna wolność człowieka zależała tylko od jednego: musi on dochodzić swoich praw do życia na przekór wszystkiemu, co mu zagraża. Był to Husserl, który widział krach europejskiej kultury podczas pierwszej wojny światowej.

– Nie rozumiem, George. Wymaga od nas, abyśmy sprowadzali przedmiot postrzegania do poziomu czystej świadomości, czegoś w rodzaju piwnicy, poniżej której nie ma już nic. Nie możemy zejść niżej, sięgać głębiej?

– Wiesz, ja myślę, że tą piwnicą, jak ty to nazywasz, jest natura, ciało i umysł. To już dużo. *E dopo?* Dokąd staruszek chce nas zaprowadzić?

Husserl, jakby czytał w myślach swoich uczniów dzięki sokolim oczom, tak brutalnie kontrastującym z jego wyprostowaną gołębią szyją, z gorsem koszuli, kamizelką przeciętą breloczkiem zegarka, czarnym staroświeckim surdudem, spodniami, których nogawki często

zaczepiały się o cholewki trzewików, powiedział, że po Wielkiej Wojnie zawalił się duchowy świat Europy i jeżeli on postulował sprowadzenie myśli do samych podstaw umysłu i natury, to dlatego, żeby odrodzić życie Europy, jej historię, społeczeństwo i język.

– Nie wyobrażam sobie świata bez Europy i Europy bez Niemiec. Bez europejskich Niemiec, które byłyby częścią tego, co Europa ma najlepszego do zaoferowania światu. Ja, proszę państwa, nie uprawiam filozofii abstrakcyjnej. Tkwią korzeniami w tym, co robiliśmy najlepiej. W tym, co może nas przeżyć. W naszej kulturze. To ona może inspirować wasze dzieci i wnuki. Ja już tego nie doczekam. Dlatego was tego uczę.

Tego dnia poszli oboje do studenckiego *keller*, jednego z tych wesołych lokali, przepelnionych i hałaśliwych, które zazwyczaj omijali, ale tym razem zdumiali wszystkich, wznosząc toasty kuflami pełnymi piwa: „za intersubiektywizm!”, „za społeczeństwo, język i historię, które wszystko ze sobą wiążą!”, „nie żyjemy w próżni, tworzymy jedność połączoną językiem, wspólnotą i przeszłością!”

Budzili sympatię, dookoła rozległ się śmiech, gwar, okrzyki: kiedy się pobieracie? czy dwoje filozofów może się dogadać w łóżku? czy to prawda, że wasz pierwszy syn będzie się nazywał Sokrates? „och, mój intersubiektywizmie, pójdź, niech cię zinterpenetruje!”

Weszli do katedry, obejrzawszy wcześniej wszystkie jej boczne fasady, odkrywając zachwyconym, inteligentnym i wrażliwym spojrzeniem, że słynna *Münster*, skończona na początku szesnastego wieku, jest idealną ilustracją tego, co leżało im na sercu, tak jakby wybory mistrza nie tyle uzupełniały tympanon o tematyce grzechu pierworodnego na bocznej fasadzie, ile się na nim rodziły, gdyż ten temat poprzedzał scenę Stworzenia przedstawioną na archiwolcie, co oznaczało, że Stworzenie odkupiło grzech, zostawiło go za sobą. Upadek nie był konsekwencją Stworzenia, Upadek nie istnieje, powiedzieli sobie kochankowie z Fryburga, jest Początek, a potem Stworzenie.

Natomiast na zachodniej fasadzie Szatan przedstawiony w roli „Księcia Świata” idzie na czele procesji, która oddala się nie tylko od grzechu pierworodnego, ale również od boskiego Stworzenia. Właśnie naprzeciwko tego szatańskiego orszaku otwierają się główne drzwi do katedry i to tu, nie na zewnątrz, ale wewnątrz, a dokładniej – na samej linii wejścia, zamieszczona jest scena głosząca Odkupienie.

Przeszli przez te drzwi, ukłękli obok siebie niemal jak w akcie komunii, i zupełnie nie zwracając uwagi na to, co powiedzą ludzie, zaczęli modlić się na głos:

*będziemy wracać do siebie samych
będziemy myśleć, jakbyśmy tworzyli świat
będziemy żywym przedmiotem historii
będziemy przezywać świat życia*

Naziści wypędzili Husserla z Fryburga i z Niemiec. Stary wygnaniec w dalszym ciągu wykładał w Wiedniu i w Pradze, a Wehrmacht stale deptał mu po piętach. Pozwolono mu wrócić do ukochanego Fryburga, by mógł tam umrzeć, ale filozof powiedział wcześniej, że „w sercu każdego Żyda gości absolutyzm i umiłowanie męczeństwa”. Natomiast jego uczennica, Edyta Stein, która po odrzuceniu judaizmu i przejściu na katolicyzm rzeczywiście wstąpiła do zakonu karmelitanek, powie w tym samym roku: „Biada Niemcom, kiedy Bóg pomści bestialstwa popełnione na Żydach”. W tym roku Goebbels urządził Kryształową Noc, kiedy to niszczone synagogi, żydowskie sklepy i samych Żydów. Hitler ogłosił swój zamiar wytrzebienia na zawsze żydowskiej rasy w Europie.

Był to ten sam rok, kiedy Jorge Maura poznał w Meksyku Laurę Díaz i w którym Raquel Mendes-Alemán, z gwiazdą Dawida na piersi, pozdrawiała SS-manów na ulicy okrzykiem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” i powtarzała, leżąc na ziemi, krwawiąca, bita i kopana: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

Trzeciego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku statek „Prinz Eugen” należący do Lloyd Triestino wyruszył z Hamburga z dwustu dwudziestoma czterema Żydami na pokładzie, przekonany, że po horrorze *Kristalnacht* z dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku są już ostatnimi, którym udało się opuścić Niemcy, a zawdzięczali to różnym okolicznościom, niekiedy arytmetycznej demencji nazistów (kto jest Żydem? czy ten, którego oboje rodzice są Żydami, czy wystarczy pochodzenie tylko jednego z rodziców, czy Żydami są potomkowie Abrahama w mniej niż trzecim pokoleniu, et cetera, et cetera?); innym razem bogactwu, kiedy to zamożni Żydzi mogli sobie kupić wolność, płacąc nazistom pieniędzmi, obrazami, rezydencjami, meblami (tak jak rodzina Ludwiga Wittgensteina z Austrii włączonej do Rzeszy); czasem starym więzom przyjaźni, którym dzisiejsi naziści niekiedy pozostawali wierni, albo też poświęceniu własnej czci jakiemuś wysokiemu urzędnikowi dla ratowania ojca i braci wzorem biblijnej Judyty, jednak ten Holofernes x był nieśmiertelny. Czasami, w końcu, zawdzięczali to urzędnikom konsularnym, którzy, za zgodą albo bez zgody swoich rządów, ujmowali się za poszczególnymi osobami.

Raquel tego dnia, kiedy została pobita przez SS, przypięła sobie krzyż Chrystusa obok gwiazdy Dawida † ✨ i na skutek tej podwójnej prowokacji została uwięziona w swoim małym pokoiku w Hamburgu, gdyż pod drzwiami domu esesmani czekali na nią z rozwścieczonymi psami bez kagańców i pałkami w rękach, grożąc: no wyjdź, odważ się, ty żydowska dziwko, zgniłe nasienie Abrahama, słowiańska zarazo, ty lewantyńska gnido, cygańska syfilityczko, wyjdź, odważ się, andaluzyjska hetero, no znajdź sobie jedzenie, ryj sobie, świnio, w kątach w swoim chlewie, żryj kurz i karaluchy, jeżeli Żydzi potrafią jeść złoto, to mogą też jeść i szczury.

– Sąsiedzi byli ostrzeżeni, że jeżeli mnie nakarmią, sami stracą racje żywnościowe, a gdyby się to powtórzyło, trafią do obozu. Ja, Raquel Mendes-Alemán, postanowiłam umrzeć śmiercią głodową za moją żydowską rasę i za moją katolicką religię; postanowiłam, George, że do końca będę świadkiem naszych czasów, i kiedy partia nazistowska ogłosiła, że „naszymi największymi wrogami są Żydzi katolicy”, wiedziałam, że nie ma dla mnie ratunku. To wtedy otworzyłam okno i krzyknęłam na całą ulicę: „Święty Paweł powiedział: Jestem Hebrajczykiem! Jestem Hebrajczykiem! Jestem Hebrajczykiem!”, i zostałam obrzucona kamieniami przez moich własnych sąsiadów, a po dwóch minutach seria z karabinu maszynowego porozbijała mi okna i siedziałam skulona w kącie, aż przybył mi na ratunek konsul meksykański, pan Salvador Elizondo, i powiedział, że ty wstawiłeś się za mną i że mam wsiąść na statek „Prinz Eugen”, żeby wyjechać do Ameryki po wolność. Ja przysięgłam sobie, że zostanę w Niemczech i umrę w Niemczech jako świadek mojej wiary w Chrystusa i Mojżesza. Jednak ustąpiłam, moja ty daleka miłości, i wiedziałam, dlaczego to robię, nie ze strachu przed nimi, przed tym, że mnie wyślą do jednego z tych obozów, których nazwy już wszyscy znaliśmy – Dachau, Oranienburg, Buchenwald – ale ze wstydu, że mój własny Kościół i mój własny ojciec, papież, nie powiedział słowa w naszej obronie, w obronie wszystkich Żydów, ale też Żydów katolików, takich jak ja. Rzym mnie osierocił, papież Pius XII nigdy nie zabrał głosu w obronie gatunku ludzkiego, George, nie mówię tu tylko o Żydach; Ojciec Święty nigdy nie wyciągnął ręki do ludzi. Ty ją do mnie wyciągnąłeś, ty i Meksyk. Nie mogło być lepszej okazji niż wsiąść na „Prinz Eugen” i wyjechać do Ameryki. Prezydent Meksyku Lázaro Cárdenas miał rozmawiać z Franklinem Rooseveltem, żeby nam pozwolił przybić do wybrzeży Florydy.

W trakcie dziewięciodniowej podróży zaprzyjaźniłam się z pozostałymi żydowskimi uciekinierami, niektórzy dziwili się mojej wierze katolickiej, inni mnie rozumieli, ale wszyscy sądzili, że to z mojej strony chybiony fortel, żeby uniknąć obozu koncentracyjnego. Nie ma jednorodnych wspólnot, ale Husserl miał rację, pytając nas: „Czyż nie możemy wspólnie

wrócić do świata, w którym moglibyśmy organizować życie od początku i spotkać tam nas samych jako własnych bliźnich?”

Chciałam przyjąć komunię, ale luterański pastor odmówił mi posługi. Przypomniałam mu, że jego prawna funkcja na statku nakazuje mu traktować jednakowo każdą wiarę, a nie sugerować się nazwą. Ośmielił się powiedzieć do mnie: siostró, to nie są czasy prawa.

Jestem prowokatorką, George, przyznaję. Ale nie oskarżaj mnie o dumę, o grecką *hubris*, o której mówiono nam we Fryburgu. Jestem prowokatorką pokorną. Każdego dnia przy śniadaniu, w ogólnej jadalni, przed zjedzeniem czegokolwiek biorę chleb w jedną rękę, drugą robię znak krzyża świętego i mówię: „To jest ciało moje”. Skandalizuję, irytuję, drażnię. Kapitan powiedział mi: pani naraża na niebezpieczeństwo swoich rasowych pobratymców. Roześmiałam mu się w nos. „Czy pan sobie zdaje sprawę, *Herr Kapitan*, że po raz pierwszy prześladowają nas ze względów rasowych? Zawsze nas prześladowano ze względów religijnych”. To kłamstwo. Izabela i Ferdynand wygnali nas, żeby zachować „czystość krwi”. Ale kapitan miał na to odpowiedź. „Pani Mendes, na pokładzie są agenci rządu niemieckiego. Śledzą nas wszystkich. Są gotowi wstrzymać rejs pod najmniejszym pretekstem. Jeśli się na to zgodzili i poszli na ustępstwa wobec Roosevelta, to tylko po to, żeby Stany Zjednoczone nadal przestrzegały limitów w przyjmowaniu niemieckich Żydów. Obie strony poddawane są próbie. Pani to musi zrozumieć. Führer zawsze tak postępował. Mamy jakąś tam szansę. Proszę się opanować. Niech pani nie zaprzepaści szansy uratowania siebie i swoich rodaków. Proszę się wziąć w garść”.

George, kochany mój, wszystko poszło na marne. Władze amerykańskie nie pozwoliły nam wylądować w Miami. Kazały kapitanowi wycofać się do Hawany i tam czekać na amerykańskie zezwolenie. Ono nie nadejdzie. Roosevelt ma związane ręce, bo opinia publiczna w Stanach jest przeciwna dalszemu przyjmowaniu cudzoziemców. Mówią, że limity są już wyczerpane. Nikt się za nami nie wstawia. Nikt. Podobno poprzedni papież, Pius XI, miał już przygotowaną encyklikę na temat Jedności rodzaju ludzkiego zagrożonego przez rasizm i antysemityzm”. Zmarł, zanim zdążył ją ogłosić. Mój Kościół nas nie broni. Demokracja nas nie broni. George, zależę od ciebie. George, proszę, ratuj mnie. Przyjedź do Hawany, zanim twoja Raquel znajdzie się w takim stanie, że nie będzie już mogła nawet płakać. Czyż Jezus nie powiedział: „Kiedy będziesz prześladowany w jednym mieście, uciekaj do innego”? Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

4

MAURA: Vidal, odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy ideały, które ty wyznajesz, nie stają się niemożliwe do obrony za każdym razem, kiedy likwiduje się jednego tylko człowieka za to, że myśli to samo, co my, ale inaczej niż my? Bo my wszyscy, republikanie, jesteśmy za Republiką i przeciwko faszyzmowi, ale różnimy się między sobą, porównaj ze sobą tych ludzi: Azaña i Prieto, Companys i Durruti, José Díaz i Largo Caballero, Enrique Lister i Juan Negrín, jakże są odmienni, ale ich wszystkich razem ani każdego z osobna nie można przyrównać do Franco, Moli, Serrana Suñera czy asturyjskiego zamordysty Doala.

VIDAL: Nikogo nie odrzucamy. Wszyscy mają miejsce w szerokim froncie lewicy.

MAURA: Kiedy lewica chce dojść do władzy. Ale kiedy do niej dojdzie, PK już się zatroszczy, żeby wyeliminować wszystkich, którzy myślą inaczej niż wy.

VIDAL: Na przykład?

MAURA: Bucharin.

VIDAL: Inne nazwisko, bo o zdrajcach nie mówimy.

MAURA: Victor Serge. I pytanie, czy to godne rewolucjonisty nie interesować się losem towarzysza pozbawionego swojej społecznej pozycji, deportowanego bez sądu, oddzielonego na zawsze od swoich bliskich wyłącznie dlatego, że jest „tylko jednostką”; więc poszczególna, samotna jednostka w ogóle nie liczy się w zespołowej epopei historii? Ja nie widzę w Bucharinie zdrajcy, bo może on uratowałby Rosję od stalinowskiego terroru, gdyby przeprowadził swój projekt socjalizmu pluralistycznego, humanitarnego, wolnego i z tych wszystkich względów silniejszego.

VIDAL: Kończmy już i *revenons á nos moutons*. Co według was, Maura i Baltazar, powinna zrobić Republika, żeby pogodzić zwycięstwo z etyką?

MAURA: Trzeba zmienić życie, powiedział Rimbaud. Trzeba zmienić świat, powiedział Marks. Obydwaj się mylili. Trzeba urozmaicić życie. Trzeba spluralizować świat. Trzeba porzucić romantyczne złudzenie, że ludzkość tylko wtedy będzie szczęśliwa, kiedy odzyska straconą jedność. Trzeba odrzucić złudne marzenie o totalnej jedności. Z samego słowa wynika, że pomiędzy tym marzeniem a totalitarną rzeczywistością już tylko jeden krok.

VIDAL: Masz wszelkie prawa, żeby gardzić jednością, ale bez jedności nie można mieć wygranej wojny.

MAURA: Można mieć natomiast lepsze społeczeństwo. Czyż nie o to nam wszystkim chodzi?

VIDAL: Ale jak, Jorge?

MAURA: Nadać wartość różnicom.

VIDAL: A identyfikacja?

MAURA: Identyfikacja umacnia kulturę różnic. Czy sądzisz, że wyzwolona ludzkość byłaby ludzkością idealnie zjednoczoną, identyczną, jednorodną?

VIDAL: To, co mówisz, jest nielogiczne.

MAURA: Bo logika sprowadza się tylko do jednego, to taka forma stwierdzenia: tylko to ma sens. Ty, jako marksista, powinienesz myśleć o dialektyce, która oferuje przynajmniej prawo wyboru, a więc: „to albo tamto”.

VIDAL: Co doprowadzi cię do jedności syntezy.

MAURA: Która natychmiast przerodzi się w tezę i antytezę.

VIDAL: W takim razie w co ty wierzysz?

MAURA: W obie i w jeszcze więcej możliwości. Czy to ci się wydaje szaleństwem?

VIDAL: Nie. Wydaje mi się absolutnie bezużyteczne z politycznego punktu widzenia.

BALTAZAR: Czyja mogę się wtrącić, moi sokratyczni przyjaciele? Ja nie wierzę w szczęśliwe tysiąclecie. Wierzę w szansę, jakie stwarza wolność. W każdej chwili. Każdego dnia. Pozwolisz im uciec i nie wrócą, jak jaskółki u Becquera. A jeśli mam wybrać mniejsze zło, wolę pozostać z niczym. Sądzę, że polityka jest sprawą podrzędną w stosunku do integralności jednostki, bo bez niej nie warto żyć w społeczeństwie. I bardzo się boję, że jeśli my, to znaczy Republika, którą wszyscy reprezentujemy, nie udowodnimy, że stawiamy moralność ponad wszelkie środki, naród odwróci się od nas i pójdzie z faszyzmem, bo faszyzm – w przeciwieństwie do nas – nie przeżywa niepokojów moralnych.

MAURA: Jaki z tego wniosek, Basilio?

BALTAZAR: Że prawdziwy rewolucjonista nie może mówić o rewolucji, bo w dzisiejszym świecie nic nie zasługuje na to miano. Poznacie prawdziwych rewolucjonistów po tym, że nigdy nie mówią o rewolucji. A twój wniosek, Jorge?

MAURA: Że stoję pomiędzy dwiema prawdami. Jedna mówi, że świat się uratuje, druga – że jest skazany na zagładę. Obie są prawdziwe w podwójnym znaczeniu. Społeczeństwo skorumpowane jest skazane na zagładę. Ale społeczeństwo rewolucyjne również.

VIDAL: A ty, Lauro Díaz? Jeszcze nie otworzyłaś ust. Co myślisz o tym wszystkim, towarzyszeko?

Laura na chwilę spuściła głowę, potem spojrzała z czułością na każdego z nich, w końcu odezwała się:

– Cieszmy się, że nawet najbardziej zawzięta męska dyskusja odsłania coś, co was łączy.

– Wyglądacie na bardzo zakochanych – rzekł Basilio Baltazar. Jak sobie radzicie z miłością pośród tego wszystkiego, co się dzieje?

– Spytaj raczej – wtrącił Vidal – czy liczy się tylko szczęście osobiste, czy też tragedia milionów istot.

– Ja zadam panu inne pytanie, panie Vidal – powiedziała Laura Díaz. – Czy miłość dwojga ludzi może zrównoważyć wszystkie nieszczęścia świata?

– Tak, myślę, że są sposoby, żeby odkupić świat, bez względu na to, czy ludzie będą takimi samotnikami jak nasz przyjaciel Basilio, czy takimi aktywistami jak ja – przyznał z pokorą, a zarazem z pewną arogancją Vidal.

Jego spojrzenie nie uszło uwagi Basilia ani Maury. Również i Laura je zauważyła, chociaż nie potrafiła zrozumieć, co oznacza. Jednak intuicja podpowiedziała jej, że jest to wieczór pożegnalny. Że ich spojrzenia, pełne napięcia, smutku, rezygnacji, zakłopotania i ogarniającej to wszystko miłości, zapowiadają nieuchronne rozstanie i dlatego argumenty, które padały w dyskusji, były ciężkie jak płyty nagrobne. To było pożegnanie: to były stracone na zawsze marzenia, to były kłamstwa niebios, które na ziemi nazywają się polityką. Między dwoma kłamstwami tworzymy bolesną prawdę, „historię”. A jednak, co można było wyczytać w błyszczących, smutnych oczach Basilia Baltazara, jeżeli nie wspomnienie łóżka ze śladami miłości i o czym mówiło posępne spojrzenie Dominga Vidala, jeśli nie o całym pochodzie marzeń straconych na zawsze? A co takiego było w melancholijnym i zmysłowym spojrzeniu jej ukochanego, Jorge Maury...? I sięgając pamięcią wstecz, o czym mówił wzrok alkada z Santa Fe de Palencia, jeśli nie o publicznej tajemnicy wyroku śmierci wydanego na własną córkę w dowód miłości do ojczyzny Hiszpanii i do ideologii, czyli komunizmu? A Klemencja, spoglądając w lustro, widziała tam tylko odrażający widok starej dewotki zadowolonej, że usunęła ze swojej drogi piękno i młodość ewentualnej rywalki, własnej córki?

Basilio objął Maurę i powiedział: wypłakaliśmy tyle łez, że kiedy nadejdzie przyszłość, na pewno ją poznamy.

– A życie toczy się dalej – Vidal zegnał się z przyjaciółmi, obejmując ich obydwóch jednocześnie.

– A fortuna puka do drzwi – powiedział Maura.

– Łapmy szansę za ogon. – Vidal roześmiał się i odłączył od towarzyszy. – Nie kpijmy sobie z fortuny i porzućmy przyjemności, na które ani czas, ani miejsce. Spotkamy się w Meksyku.

Ależ oni właśnie znajdowali się w Meksyku! Żegnali się ze sobą w tym samym miejscu, gdzie mieli się spotkać. Czy wszyscy trzej mówili jako pokonani? Nie – pomyślała Laura Díaz – mówili o tym, co właśnie się zaczynało: o wygnaniu, a wygnanie nie ma ojczyzny, nie nazywa się Meksyk, Argentyna czy Anglia. Wygnanie to inny naród.

5

Zabandażowali jej usta i rozkazali pozamykać wszystkie okna, które otaczały plac w Santa Fe. A jednak – jakby nic nie mogło zatuszować skandalu jej śmierci – w drodze od rzymskiej bramy aż na samą arenę towarzyszył jej krzyk tak przeraźliwy, że tylko skazana na śmierć mogła go słuchać, chyba że wszyscy sąsiedzi kłamali, przysięgając potem, że słyszeli ten krzyk dochodzący z samego dna umierającej nocy.

Zamknięte okna. Ofiara zakneblowana. Tylko oczy Pilar Méndez krzyczały, gdyż usta były zamknięte, tak jakby rozstrzelanie już się odbyło. „Zatkaj jej usta – prosiła swojego męża, praworządnego alkada, jej matka, Klemencja – za żadne skarby świata nie chcę słyszeć jej krzyków, nie chcę wiedzieć, że krzyczała”. „Nie gorączkuj się, kobieto. To będzie czysta egzekucja”.

Czuję zapach śmierci – mówiła w myślach Pilar Méndez, nie miała już na sobie futra, tylko karmelicką komżę, pod którą odznaczały się sterczące sutki piersi, była bosa, wszystkie bodźce odbierała stopami i węchem – czuję zapach śmierci, wszystkie groby w Hiszpanii są otwarte, z całej Hiszpanii pozostanie tylko krew, którą karmić się będą wilki. My, Hiszpanie, jesteśmy brytanami śmierci, wężymy ją i tropimy tak długo, aż nas zabiją.

Być może tak właśnie myślała. A może tak myśleli za murami miasta trzech przyjaciele, wszyscy trzech żołnierze Republiki; cali zamienieni w słuch, wyczekiwali huku wystrzałów z karabinu, ogłaszających śmierć kobiety, za którą oddaliby coś więcej niż własne życie i honor żołnierzy republikańskich – oddaliby też honor mężczyzn na zawsze zbratanych w obronie kobiety kochanej przez jednego z nich.

Podobno kiedy ciągnięto ją przez arenę, wokół jej nóg wznosiły się tumany kurzu, aż w końcu cała pokryta pyłem zniknęła w piaszczystym obłoku. Wiadomo też, że tego ranka dwaj śmiertelni wrogowie – ogień i burza – zawarli pakt i wspólnie spadli na Santa Fe de Palencia, zagłuszając grzmot karabinów, a wtedy Basilio, Domingo i Jorge wrócili do świata i w ostatnim hołdzie kobiecie, której życie zostało złożone w ofierze, spojrzeli na siebie i pobiegli w góry zawiadomić heroldów, żeby nie gasili ognisk, gdyż twierdza Republiki jeszcze nie jest zdobyta.

Jakie macie dowody?

Garść popiołu w dłoniach.

Nie widzieli jesiennej rzeki zasypanej liśćmi, próbującej odrodzić się po letnich posuchach.

Nie mogli sobie wyobrazić, że chłód nadchodzącej zimy skuje lodem skrzydła orłów w locie.

Już byli daleko, kiedy krzyk tłumu zaczął siec jak biczem plac, gdzie rozstrzelano Pilar Méndez i gdzie jej ojciec alkad powiedział ludziom: działałem w imieniu Partii i Republiki, nie mając odwagi spojrzeć w okiennice, zza których patrzyła na niego z pełną satysfakcją nienawiścią jego żona Klemencja i szeptała: powiedz im, powiedz, że to matka jej nienawidziła, chociaż nie ona kazała ją zabić; ja ją zabiłem, chociaż ją kochałem; jej matka chciała ją ocalić, mimo że jej nienawidziła; mimo to, że obie byłyśmy po stronie Franco, z tej samej partii, obie katoliczki, ale różniłyśmy się wiekiem i urodą; Klemencja pobiegła do lustra w sypialni i w swojej zwiędłej twarzy próbowała odnaleźć rysy córki, martwa Pilar nie mogła się już równać z tą starą, zgorzkniałą kobietą, która musiała znosić uderzenia krwi do głowy i plotki, które chowała pogrzebane między nogami. Nałożyła rysy młodej córki na swoją starą twarz.

– Nie gaście ognisk. Miasto się nie poddało.

Laura i Jorge odeszli Aleją 5 de Mayo w stronę Alamedy. Basilio poszedł w przeciwnym kierunku, ku katedrze. Vidal gwizdnął, żeby zatrzymać autobus jadący do dzielnicy Mérida, i wskoczył do niego w ostatnim momencie. Ale każdy z nich obejrzał się jeszcze raz, jakby chciał na koniec powiedzieć: „Nie opuszcza się przyjaciół, którzy towarzyszyli nam w nieszczęściu. Przyjaciele ratują się albo umierają razem”.

XV. Kolonia Roma: 1941

Kiedy Jorge Maura wyjechał, Laura Díaz wróciła do domu i już nigdy nie wychodziła w nocy ani nie znikwała na całe dni. Była rozbita. Nie powiedziała prawdy mężowi i czuła się winna. „Zrobiłam dobrze, wszystko się skończyło. Miałam rację, że zachowałam ostrożność. Czy to było tchórzostwo, czy wielki spryt? Czy powinnam powiedzieć wszystko, licząc, że Juan Francisco to zaakceptuje? Ryzykowałabym zerwanie i potem znowu zostałabym sama, bez żadnego z nich. Przecież Maura powiedział, że to nasze prywatne życie, że to świętość, że nie ma żadnego powodu, żadnego nakazu moralnego, który by nas zmuszał do opowiadania o naszych intymnych sprawach”.

Wracając od Maury do domu na Aleję Sonora, często przeglądała się w lustrze. Jej twarz nie zmieniała się, choćby przeżywała w duszy największe rozterki. Tak było dotychczas. Teraz jednak lustro czasem odbijało dawną Laurę, a czasami kogoś innego, jakąś nieznaną kobietę. Czy mąż i synowie to dostrzegą? Santiago i Danton nie patrzyli na nią, unikali jej wzroku, przechodzili pospiesznie, czasami biegli w podskokach, jak wyrostki, co jeszcze są dziećmi, ale nie było w tym radości, tylko chęć oddalenia się od niej: nie godzili się ani na obecność matki, ani na jej brak.

– Nie chcą dopuścić myśli, że byłam niewierna. Że ich matka była niewierna.

Nie patrzyli na nią, ale ona słyszała, co mówią. Mieszkanie nie było duże i cisza wzmacniała odgłosy. Dom zamienił się w muszlę ślimaka.

– Dlaczego, u diabła, ojciec z matką się pobrali?

Jej jedynym towarzystwem były lustra. Patrzyła na siebie i widziała nie tylko dwie kobiety w różnym wieku. Widziała dwie osobowości: Laurę rozsądną i Laurę impulsywną, Laurę ożywioną i Laurę zalęknioną. Patrzyła, jak jej sumienie i namiętność walczą ze sobą na lustrzanej tafli, gładkiej jak powierzchnia jezior w rosyjskich filmach o wojnie. Odeszłyby z Jorge Maura, gdyby ją o to poprosił, pójdzie za nim, zostawi wszystko...

Pewnego wieczoru w mieszkaniu w Alei Sonora Laura usiadła przed otwartymi drzwiami balkonu. Potem ustawiła tam jeszcze cztery krzesła i sama zajęła miejsce środkowe. Po chwili weszła cioteczka Maria de la O, ciężko powłócząc nogami, zasiadła obok niej i westchnęła. Potem López Greene wrócił z syndykatu, spojrzął na nie i usiadł obok Laury. Wkrótce wrócili ze szkoły chłopcy, popatrzyli na niecodzienną scenę i zajęli wolne boczne krzesła.

To nie wasza matka was tu zgromadziła – powiedziała Laura. Zgromadziło nas tutaj to miejsce i ten czas. Miasto Meksyk, rok tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy, wieczór, kiedy cienie się wydłużają i wulkany całe w bieli wydają się płynąć nad rozpalonym łóżem chmur, i karawaniarz gra *Las golondrinas*, i zaczynają się odklejać plakaty minionej kampanii wyborczej, ÁVILA CAMACHO/ALMAZÁN, i tego pierwszego wieczoru owo milczące rodzinne spotkanie zawiera w sobie wszystkie przyszłe wieczory, wieczory zasnuć kurzem i wieczory zasnuć deszczem, który przygląda niespokojny kurz i wypełnia zapachami dolinę, gdzie rozsiadło się miasto niezdecydowane, czy opowiedzieć się za swoją przeszłością, czy przyszłością; kataryniarz śpiewa o malutkiej, ledwie co zrodzonej miłości, służące na dachach rozwieszają bieliznę i śpiewają o ścieżce w tropikalnym lesie, a na ulicy młodzież przy dźwiękach bębna tańczy i tańczy, ale co to będzie, przechodzą zakochani i samotni, lodziarze i sprzedawcy *jicamy* pokropionej sokiem z cytryny i posypanej sproszkowanym *chile*, rozstawia się stoisko ze słodyczami, z gumą do żucia Adams i z lizakami Mimi, z *jamoncillo* i batatami, zamyka się kiosk z gazetami pełnymi alarmujących wiadomości z wojny o kłęskach

aliantów, z komiksami o Chamaco i Pepinie, z egzotycznymi argentyńskimi żurnalami dla dam „Leoplán” i „El Hogar” i pismem dla dzieci „BiUiken”, dzielnicowe kina reklamują filmy meksykańskie z Sarą García, braćmi Soler, Sofią Alvarez, Glorią Marín i Arturem de Córdoba, chłopcy w sklepie tytoniowym na rogu kupują po kryjomu papierosy Alas, Faros i Delicados, dzieci grają w klasy, celują pestkami brzoskwini do zaimprovizowanych dołków, wymieniają kapsle od butelek po orange crush i napojach winogronowych, ścigają się z zielonymi autobusami kursującymi między dzielnicami Roma i Piedad i z kremowo-brązowymi obsługującymi trasę Roma-Mérida, za meksykańskimi rezydencjami w stylu Bauhaus, Lasek Chapultepec pachnie mchem i eukaliptusami i pnie się aż do Alkazaru, symbolu zwycięstwa zesłanego cudem, gdzie Danton i Santiago wspinają się każdego popołudnia przed powrotem do domu, jakby rzeczywiście zdobywali ten niedostępny, zagadkowy zamek, z tajemniczymi komnatami wyposażonymi w dziewiętnastowieczne meble, do którego prowadzą strome ścieżki, wyasfaltowane drogi i płatanina szlaków, gdzie otwiera się niespodziewanie rozległa panorama miasta, gdzie śmigają gołębie.

Laura, Juan Francisco, stara ciotka i siedzący obok nich chłopcy byli wdzięczni miastu za ten spektakl pełen ruchu, koloru, zapachów, pieśni i za ten zamek, który, górując nad Meksykiem niby korona, przypomina wszystkim, że są w świecie rzeczy, o których się nie śniło filozofom...

Jorge Maura odszedł i to, co Laura umownie nazywała rzeczywistością w dużym cudzysłowie, znowu pojawiło się, gdy opadła romantyczna mgiełka. Pierwszą postacią tej rzeczywistości był jej mąż. To on wyłania się pierwszy i mówi do synów (Santiago ma dwadzieścia jeden lat, Danton o rok mniej):

– Kocham ją.

Akceptuje mnie – pomyślała zimno i bez żadnej wyrozumiałości – akceptuje mnie, chociaż nigdy nie powiedziałam mu prawdy, akceptuje mnie, bo wie, że do tej wolności uprawniło mnie jego własne okrucieństwo i prostactwo, „powinnam była wyjść za piekarza, dla którego nie mają znaczenia bułeczki, jakie wypieka”. Potem uświadomiła sobie, że ta deklaracja miłości w obecności dzieci, która była dowodem porażki jej męża, mogła być także dowodem jego szlachetności. Laura Díaz łatwo przystała na myśl, że to miłość, którą przeżyła z taką mocą, że teraz miała jej w nadmiarze i mogła nią obdarzyć swoich bliskich, była w stanie odrodzić ich wszystkich, rodziców i dzieci.

Budziła się obok Juana Francisco – znowu zaczęli spać razem – i każdego ranka słyszała z ust męża słowa:

– Nie układa się nam.

Te słowa ratowały go i zbliżały do żony. Juan Francisco dzięki odkrytej w sobie szlachetności, która być może zawsze w nim istniała, chcąc zjednać sobie Laurę, rozmawiał z synami o matce, opowiadał, jak się poznali, o tym, że była taka żywotna, taka niezależna, prosił, by starali się ją zrozumieć... Laura, słysząc to, poczuła się dotknięta; takie wstawiennictwo męża powinno ją było ucieszyć, ale w rzeczywistości uraziło, chociaż ta uraza nie trwała długo, bo podczas jednego z tych wieczorów, spędzanych przed otwartymi drzwiami balkonu z widokiem na zachód słońca w Dolinie Meksykańskiej, zamek Chapultepec i wulkany, co już samo w sobie było formą stwierdzenia, że są razem mimo wszystko, powiedziała głośno:

– Zakochałam się w innym mężczyźnie. Dlatego nie wracałam do domu. Byłam z nim. Oddałabym za niego życie. Porzuciłam was wszystkich dla niego. Ale on mnie zostawił. Dlatego znowu jestem z wami. Mogłam zostać sama, ale bałam się. Wróciłam, żeby szukać oparcia. Czułam się bezradna. Nie proszę was o wybaczenie. Proszę, żebyście w waszym wieku zaczęli rozumieć, że życie nie jest łatwe, że wszyscy popełniamy błędy i ranimy tych, których kochamy, bo siebie samych kochamy najbardziej ze wszystkiego na świecie, włączając w to nawet tę drugą osobę, za którą w danej chwili szalejemy. Każdy z was,

Danton, Santiago, kiedy nadarzy się okazja, będzie chciał wybrać własną drogę, a nie taką, jaką chciałby wybrać mu ojciec czy matka. Kiedy nadejdzie ten moment, pomyślcie o mnie. Wybaczcie mi.

Nie było żadnych słów ani emocji. Tylko przed zmaconymi kataraktą oczami Marii de la O przesunęły się dawne wspomnienia małej dziewczynki w burdelu w Veracruz i mężczyzny, który uratował ją przed bezradnością i wprowadził do tej rodziny wbrew wszelkim przesądom rasowym, klasowym i moralnym, a raczej niemoralnym, gdyż w imieniu konwenansów niszczył życie, zamiast je ratować.

Laura i Juan Francisco zaproponowali wzajemne zawieszenie broni, a chłopcy przestali biegać, bić się ze sobą, chodzić okrężną drogą, jednym słowem zaniechali wszystkiego, co dotychczas robili, żeby nie widzieć twarzy matki. Santiago spał i przesiadywał w swoim pokoju, mając zawsze drzwi otwarte, czego matka wcześniej nie zauważyła i uznała, że jest to przejaw jego dążenia do wolności i przejrzystości, choć może także naznaczonego winą buntu: nie mam nic do ukrycia. Danton śmiał się z niego. – Jaka będzie twoja następna prowokacja, stary? Będiesz trzepał koguta na środku ulicy? – Nie, odpowiedział mu starszy brat, chcę przez to powiedzieć, że sobie wystarczamy. – Kto? Ja i ty? – Chciałbym, żeby tak było, Danton. – To się dowiedz, że ja jestem samowystarczalny, ale za zamkniętymi drzwiami, bo nie lubię, jak mi muchy wlatują; jak chcesz, możesz obejrzeć moją kolekcję „Vea”, same stare cipy, ale całkiem seksowne...

Laura, która po powrocie często oglądała się w lustrze i niemal zawsze sądziła, że jej twarz nie zmienia się mimo wszelkich wewnętrznych rozterek, zauważyła, że Santiago również się sobie przygląda, zwłaszcza w szybach okiennych, i wydawało się, że stara się zaskoczyć siebie i sam jest zaskoczony własnym widokiem, jakby bezustannie odkrywał w sobie kogoś innego. Być może tak myślała tylko matka. Santiago już nie był dzieckiem. Był kimś nowym. Laura przed lustrem też stwierdzała, że czasami była sobą sprzed lat, a czasami jakąś nieznaną osobą, kimś innym. Czy syn też patrzył na siebie w ten sposób? Ona wkrótce skończy czterdzieści cztery lata.

Nie miała odwagi wejść. Otwarte drzwi oznaczały zaproszenie, chociaż jednocześnie w paradoksalny sposób zazdrośnie wzbraniały wstępu. Patrz na mnie, ale nie wchodź. On malował. Santiago, spoglądając z ukosa w okrągłe lustro, stwarzał – nie kopiował, nie odwzorowywał – swoją twarz, którą matka rozpoznała i przypomniała sobie dopiero, patrząc na malowany autoportret. Szkic przekształcał się w prawdziwe oblicze Santiago, odkrył je, zmusił Laurę do zdania sobie sprawy, że odeszła, wróciła i nie przyjrzała się tak naprawdę swoim synom; skoro ona na nich nie patrzyła, to rozumiało, że oni też nie patrzyli na nią, odbiegali, wymykali się jej, mieli do niej większy żal o to, że odtrąciła ich spojrzenia, niż o to, że zaniedbała dom, chcieli być przez nią widziani, a ponieważ ich nie dostrzegała, Santiago odkrył sam siebie w lustrze i w jego odbiciu znalazł namiastkę tych spojrzeń, których oczekiwał od rodziców, brata, od społeczeństwa, zawsze wrogiego wobec młodego człowieka, wprowadzającego zamęt swoją zuchwałą wiarą i pełnym ignorancji zadufaniem. Najpierw portret, potem autoportret.

A Danton z pewnością też odkrył siebie w jakiejś szybie wystawowej na oświetlonej ulicy.

Wróciła, jakby oni wcale nie istnieli, jakby nie czuli się porzuceni, skrzywdzeni albo spragnieni przypomnienia jej – w sposób, w jaki właśnie robił to Santiago – swojego wizerunku, który mogłaby analizować, gdyby była daleko, portretu, który syn mógłby przesłać matce, gdyby Laura, tak jak tego pragnęła, odeszła do swojego Hiszpana, swojego hidalgą.

Popatrz, mamó. To jestem ja. Nie wracaj więcej.

Laura pomyślała, że dla niej jej syn nigdy nie będzie miał innej twarzy niż tylko tę, którą ofiarowywał jej w tej chwili: gładkie czoło, szeroko rozstawione oczy w kolorze bursztynu, jaśniejsze niż w rzeczywistości, prosty nos, wąskie wyzywające usta, proste włosy, zawsze w

nieładzie, o pięknym kasztanowym połysku, i podbródek drżący nawet na portrecie, jakby chciał oderwać się od twarzy, odważnej, ale wystawionej na wszelkie ciosy, jakie szykował mu świat. To był Santiago Młodszy.

W pokoju pełno było książek, leżały pootwierane albo stały dookoła. Van Gogh i Egon Schiele.

– Gdzie je zdobyłeś? Kto ci je dał?

– W księgarni niemieckiej, tu, w Kolonii Hipódromo.

Laura chciała powiedzieć: niedaleko pada jabłko od jabłoni, odezwały się niemieckie korzenie, ale on ją uprzedził: nie martw się, mamo, to są niemieccy Żydzi, którzy wemigrowali do Meksyku.

– W ostatniej chwili.

– Tak, mamo. W ostatniej chwili.

Opisała rysy Santiago tak, jak je autoportret przedstawiał i tłumaczył, chociaż nie oddała siły rysunku, posępnego światła, które pozwalało patrzącemu przyjrzeć się tej tragicznej twarzy, naznaczonej przez los, jakby młody artysta odkrył, że wszelka twarz odsłania tragiczne fatum ludzkiego życia, ale także pokazuje możliwość wyzwolenia poprzez podnoszenie się z upadków. Laura popatrzyła na autoportret syna i pomyślała o tragedii Raquel Mendes-Alemán i o dramatycznym związku Maury z tą kobietą. Czy istniała różnica pomiędzy mrocznym fatalizmem losu Raquel, dzielonego z całym narodem żydowskim, a tą rozpaczliwą, lecz w końcu może aż nazbyt honorową reakcją hiszpańskiego hidalga Jorge Maury, który pojechał do Hawany ratować Raquel, tak jak przedtem chciał uratować Pilar w Hiszpanii? Santiago swoim autoportretem dawał Laurze znak, odpowiedź, którą ona chciała przyjąć za swoją. Tamte sprawy odeszły w przeszłość. Należy pozwolić, żeby ból w jakiś sposób przetrworzył się w poznanie. Dlaczego autoportret syna przywodził na myśl takie przecucia?

W takim razie on i ona byli sobie równi. Santiago popatrzył na nią i najzwyczajniej w świecie zaakceptował, żeby przyglądała mu się z progu sypialni.

To nie ona ich poróżniła. Byli inni. Santiago wszystko przyswajał, Danton wszystko odrzucał, eliminował to, co mu zawadzało albo wchodziło w drogę. Mógł zrobić w szkole pośmiewisko z nadętego nauczyciela albo na przerwie sprać na kwaśne jabłko jakiegoś koleżę, który mu założył za skórę. A jednak Santiago był bardziej odporny na zasady panujące w świecie, a Danton, który hałaśliwie oznajmiał, że je z trzaskiem odrzuca, w końcu je akceptował. To Danton odgrywał sceny walki o wolność, o Prawa Człowieka wieku dziecięcego: już jestem duży, to moje życie, nie wasze, będę wracał, kiedy mi się spodoba, ja rządę własnym czasem, i to on wracał pijany, urządzał burdy, łapał rzeźniczkę, bezczelnie prosił o pieniądze; miał więcej wolności, ale był mniej niezależny. Buntował się, aby tym łatwiej ulegać.

Santiago, jeszcze jako uczeń szkoły średniej, załatwił sobie pracę przy restaurowaniu fresków José Clemente Orozca, a potem z polecenia Laury asystował Riverze przy malowaniu murali na ścianach Pałacu Narodowego. Oddawał wszystkie pieniądze, co do grosza, matce, jak mały bohater z książki Dickensa wyzyskiwany w garbarni. Ona śmiała się i obiecywała, że będzie mu je przechowywać.

– To będzie nasz sekret.

– Oby nie jedyny – rzekł Santiago, impulsywnie całując matkę.

– Ty go bardziej kochasz, bo on ci przebaczył – powiedział złośliwie Danton i Laura w niekontrolowanym odruchu uderzyła go w twarz.

– Lepiej już nic nie powiem – skwitował Danton całe zajście.

Laura Díaz ukrywała swoją namiętność do Maury, swoją tęsknotę za Maura i teraz postanowiła nie ukrywać ani miłości do swojego syna, ani tęsknoty za nim, co było jakby podświadomą rekompensatą za milczenie, które otaczało tamto uczucie. Nie miała zamiaru

zaprzeczać, że woli Santiago od Dantona. Wiedziała, że nie jest to zwyczajowo przyjęte. „Albo wszystkie dzieci są dziećmi, albo pasierbami”. Nie było to dla niej ważne. Kiedy znajdowała się blisko niego, kiedy widziała, jak pracuje w domu, wychodzi i wraca o umówionej godzinie, oddaje jej pieniądze, opowiada o swoich planach, między matką a synem nawiązywała się nic porozumienia, wytwarzał inny rodzaj zażyłości, co można było nazwać wysuwaniem się na pierwszy plan, gdyż Santiago zaczął zajmować w życiu Laury właśnie pierwsze miejsce. To było tak, jakby miłość do Jorge Maury, która Laurze odkryła siebie samą jako Laurę Díaz – kobietę jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną, niezastąpioną, choć przemijającą i w końcu śmiertelną, ale kobietę kochaną i kochającą, kobietę, która oddałaby wszystko za swego kochanka – ulotniła się i teraz cała ta namiętność przeszła na Santiago; nie chodziło tu o namiętność matki w stosunku do syna, bo to była tylko miłość i przedkładanie jej nad wszystko inne, ale o namiętną miłość chłopca do życia i do sztuki; właśnie to Laura zaczęła uważać za coś swojego, własnego, co Santiago nieświadomie, bez żadnej próżności, składał w jej ręce.

Jej syn, Santiago Drugi, utożsamiał się z tym, co robił, kochał swoją pracę i oddawał się jej cały, rozwijał się nad wyraz szybko, przyswajał wszystko, co oglądał na reprodukcjach, w książkach i pismach, na malowidłach meksykańskich muralistów. Odkrywał w sobie swoje drugie ja. Jego matka odkrywała je w tym samym czasie. Chłopiec drżał w twórczej gorączce, zaledwie zbliżał się do białej kartki papieru, a później do blejtramu, który Laura kupiła mu na urodziny.

Zaraża swoją gorączką. Płótno, na którym maluje, drży, tak jak drży każdy, kto widzi go przy pracy. Angażuje się bez reszty.

Laura zaczęła za bardzo przeżywać twórczy trans syna. Patrząc, jak pracuje i jak się rozwija, dała się zarazić tym poprzedzającym pracę podnieceniem, gdyż było ono jak febra, która trawiła go od środka. A jednak Santiago był wesołym chłopcem. Lubił dobre jedzenie, rozkoszował się najróżniejszymi meksykańskimi przysmakami, zapraszał Laurę na bankiety Koła Przyjaciół Yucatanu przy ulicy Lucerna, gdzie podawano sosy z jajka i migdałów do *papadzul* albo *empalago* z sera neapolitańskiego, zapraszał ją na patio do „Beltinghausen” przy ulicy Londres, gdzie w okresie, kiedy na agawach wykluwały się robaki, serwowano je w zielonym sosie z awokado, a na deser przyrządzano *flan* z likierem jajecznym; zapraszał ją też do „Danubio” przy ulicy Uruguay na flaczki pokropione cytryną albo małże z sosem z grubych strąków *chile chipotle*, aromatycznym i lepszym niż najlepsza ze wszystkich najlepszych musztard.

– Dziś ja płacę, mamó, ja stawiam.

Śledziło ich zazdrosne spojrzenie Dantona, ścigał odgłos rozczłapanych sandałów Juana Francisco, ona nie zwracała na to uwagi, Santiago był dla niej całym życiem w tym tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, kiedy odzyskała dom i w miłości do Santiago mogła znaleźć – czasem targana wyrzutami sumienia – przedłużenie swojej miłości do Maury. Zdawała sobie sprawę, że ten Santiago Drugi jest też kontynuacją jej uczuć do pierwszego Santiago, tak jakby na ziemi i w niebie nie było takiej siły, która by pozwoliła jej na chwilę spokoju, chwilę samotności – mniejsza już o to, czy zaprawionej poczuciem winy, czy nadzieją odkupienia. Rozziew pomiędzy bratem, kochankiem i synem był ledwo dostrzegalny. Trwał zaledwie parę wieczorów spędzonych na balkonie z widokiem na pełen życia las i na wygasłe wulkany.

– Jadę do Hawany wykupić Raquel Mendes-Alemán. „Prinz Eugen” nie został wpuszczony do Stanów, a Kubańczycy robią to, co im Amerykanie każą. Statek ma wyruszyć w powrotną drogę do Niemiec. Tym razem nikt się nie uratuje. Hitler znowu zastawił pułapkę na kraje demokratyczne. Powiedział, oczywiście: popatrzcie państwo, wysyłam do was statek pełen Żydów, dajcie im azyl. Teraz powie: widzicie, nawet wy ich nie chcecie, ja tym

bardziej, no więc wszyscy do komór gazowych i problem załatwiony. Lauro, jeśli zdążę na czas, uratuję Raquel.

– Czy nigdy nie dojdziemy do zgody, Juan Francisco?

– Czego ty jeszcze ode mnie chcesz? Przyjąłem cię do domu. Tłumaczyłem synom, żeby cię szanowali.

– Czy nie zdajesz sobie sprawy, że poza nami ktoś jeszcze mieszka w naszym domu?

– Nie. Kto ma być tym duchem?

– Są dwa duchy. Ja i ty. My sprzed lat.

– Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić. Daj sobie spokój, Lauro. Jak tam twoja praca?

– W porządku. Frida i Diego nie mają głowy do papierkowej roboty, potrzebują kogoś, kto będzie odpisywał na listy, wkładał dokumenty do archiwum, sprawdzał kontrakty.

– To świetnie. Gratuluję. Nie zabiera ci to zbyt dużo czasu?

– Chodzę tam trzy razy w tygodniu. Chcę spędzać więcej czasu w domu.

Jej mąż, mówiąc: „to świetnie”, chciał powiedzieć: „to był najwyższy czas”, ale Laura nie przejęła się tym. Czasem sobie myślała, że biorąc z nim ślub, nadstawiła drugi policzek losowi. Zmieniła w codzienną rzeczywistość coś, co było i być może na zawsze powinno pozostać zagadką, niedościgłą dałą: prawdziwe życie Juana Francisco Lopeza Greene’a. Nie miała zamiaru pytać go głośno o to, o co tyle razy pytała siebie samą. Co takiego zrobił jej mąż? Jaki błąd popełnił? Czy był bohaterem i bohaterstwo go zmęczyło?

– Kiedyś to zrozumiesz – mówił jej.

– Kiedyś to zrozumiem – powtarzała, aż uwierzyła, że sama wymyśliła to zdanie.

– Lauro, jestem zmęczony, otrzymuję dobre wynagrodzenie w CTM i w Kongresie Związku. Niczego nam w domu nie brakuje. Jeśli chcesz pomóc Riverze i Fridzie, to twoja sprawa. Chcesz jeszcze, żebym znowu był bohaterem tysiąc dziewięćset ósmego roku, tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, Domu Robotników Świata i Czerwonych Batalionów? Mogę ci zrobić listę bohaterów Rewolucji. Wszystkim oddano sprawiedliwość, poza tymi, którzy nie żyją.

– Nie, ja chcę wiedzieć. Ty naprawdę byłeś bohaterem? Juan Francisco zaczął się śmiać głośno, charkotliwie, odchrząkując flegmę.

– Nie było żadnych bohaterów, a jeśli byli, to ich zaraz zabito i postawiono im pomniki. Zresztą szpetne, żeby sobie za dużo nie myśleli. W tym kraju nawet chwała jest pośledniej jakości. Wszystkie pomniki są z miedzi, wystarczy lekko poskrobać pozłotą. Czego po mnie oczekujesz? Dlaczego, do diabła, nie uszanujesz tego, czym byłem, i koniec?

– Bardzo się staram cię zrozumieć, Juan Francisco. Skoro nigdy mi nie mówisz o swoich korzeniach, powiedz przynajmniej, kim jesteś dzisiaj.

– Administratorem. Strażnikiem porządku. Nadzorcą stabilności. Wygraliśmy Rewolucję. Dużo nas kosztowało utrzymanie spokoju i przeprowadzenie procesu sukcesji władzy bez buntu wojskowych, nadaliśmy ziemię, szerzemy oświatę, budujemy drogi... To według ciebie mało? Chcesz, żebym się temu wszystkiemu przeciwstawił? Chcesz, żebym skończył tak jak ci wszyscy niezadowoleni, Serrano i Arnulfo Gómez, Escobar i Saturnino Cedillo czy filozof Vasconcelos? Oni nawet nie zostali bohaterami. Zarobili zaledwie na miano śmiałków. Czego ty ode mnie chcesz, Lauro?

– Szukam jakiejś szczeliny, przez którą mogłabym cię kochać, Juan Francisco. Taka już ze mnie idiotka.

– Szczeliny? Przecież ja cały jestem jak rzeszoto! Chciała wytłumaczyć synowi, który zajęty był malowaniem, jak bardzo podziwia jego artystyczną duszę. Powiedziała mu to, mając świeżo w pamięci rozmowę z mężem.

– Diego używa słowa *élan*. Długo mieszkał we Francji. Santiago bez żadnego wstydu malował parę kochanków, byli nadzy, ale stali w pewnej odległości od siebie, przyglądali się

sobie, odkrywali wzrokiem. Ręce mieli skrzyżowane na piersiach. Laura powiedziała, że miłość zawsze jest trudna, bo zaangażowanie niemal nigdy nie jest równe z obu stron. Moment całkowitej identyfikacji, który nas porywa, występuje niezwykle rzadko, a wtedy równowaga między dwojgiem ludzi jest, niestety, tylko zapowiedzią, że jedno z dwojga wkrótce ją zakłóci.

– Chcę, żebyś zrozumiał, co się dzieje między mną a twoim ojcem.

– Ty go po prostu wyprzedziłaś. Dałaś mu do zrozumienia, że nie masz zamiaru być tą smutną, że tę rolę zostawiasz jemu.

Santiago umył pędzle i spojrzał na matkę.

– A w dniu, kiedy on umrze, kto kogo wyprzedzi?

Jak mogłam opuścić mężczyznę tak słabego – pomyślała Laura, zamiast od razu zareagować jasno i zdecydowanie, nie, trzeba zmienić reguły gry, reguły stworzone przez mężczyzn dla mężczyzn i dla kobiet, bo tylko oni tworzą prawa dla obu płci, bo męskie prawo reguluje zarówno wierne domowe życie kobiety, jak też niewierne, pełne kłamstw ich własne życie; ona zawsze jest winna – albo zbyt uległości, albo bunt; winna wierności i tego, że jej życie mija w zimnym grobie u boku człowieka, który jej nie kocha, albo winna niewierności, kiedy szuka szczęścia z innym mężczyzną, tak samo jak mąż szuka go z inną kobietą, w jej przypadku to grzech, w jego – zaleta, on Don Juan, ona Doña Kurwa, na Boga, Juan Francisco, dlaczego nie zdradziłeś mnie, z klasą, dla jakiejś wielkiej miłości, tylko z tą brzuchatą prostytutką, twoim szefem Moronesem? Dlaczego nie pokochałeś kobiety tak wspaniałej, silnej, odważnej, jak wspaniały, silny i odważny był Jorge Maura, moja wielka miłość?

Juan Francisco traktował młodszego syna podobnie jak Laura starszego: tworzyli więc dwie partie. Ojciec – skończył pięćdziesiąt dziewięć lat, ale wyglądał na siedemdziesiąt – wybaczał młodszemu synowi wszystkie jego kłamstwa, dawał mu pieniądze i sadzał tak, żeby widzieć jego twarz, bo żaden z nich w ogóle nie otwierał ust, przynajmniej w obecności domowych rywali, Laury i Santiago. Mimo tego matka czuła, że Juan Francisco i Danton muszą ze sobą rozmawiać. Potwierdziła to ciotka, niemowa z własnej woli, pewnego wieczoru, kiedy znowu usiedli na balkonie, co stało się ozdrowieńczą ceremonią, rytuałem jednoczącym rodzinę. Maria de la O umyślnie usiadła pomiędzy ojcem a jego młodszym synem, rozdzieliła ich, ale ani na chwilę nie spuściła oczu z Laury. Kiedy Laura w końcu zwróciła na nią uwagę, stara Mulatka, zawsze ubrana na czarno, poruszyła szybko oczami, niby czarny orzeł o podzielnym spojrzeniu, mogący patrzeć jednocześnie w dwóch kierunkach, wskazywała wzrokiem to syna, to ojca i tak na przemian, wiele razy, jakby chciała powiedzieć Laurze „rozumieją się”, o czym Laura wiedziała, albo „są tacy sami”, co było trudne do zaakceptowania: zwinny, swobodny hulaka Danton wydawał się przeciwieństwem powściągliwego, ponurego milczka Juana Francisco. Co mają wspólnego? Intuicja rzadko zawodziła cioteczkę.

Pewnej nocy, kiedy Santiago usnął przy swoim nowym blejtramicie – prezencie od Di ega Rivery, Laura, której pozwalał wchodzić i patrzeć, jak pracuje, przykryła go kocem, ułożyła mu głowę najwygodniej, jak mogła, gładząc go delikatnie po odkrytym czole. Wychodząc, usłyszała śmiechy i szepty w ich małżeńskiej sypialni, weszła bez pukania i zastała Juana Francisco i Dantona, siedzących po turecku na podłodze nad rozłożoną mapą stanu Tabasco.

– Przepraszam – przerwała im Laura. – Jest późno, a ty, Danton, idziesz jutro do szkoły.

Chłopak roześmiał się.

– Tu z ojcem mam najlepszą szkołę.

Pili. Butelka rumu Potrero była do połowy pusta i Juan Francisco w alkoholowej zadumie trzymał nadal rękę na mapie jego rodzinnego stanu.

– Do łóżka, mój panie.

– Ale nuda! A tak się setnie bawiliśmy.

- Za to jutro będziesz czuł się szpetnie, jak się nie wypisz.
- Setnie, szpetnie albo gorzej, święty Boże nie pomoże – zanucił Danton i wyszedł.

Laura spojrzała uważnie na męża i na mapę.

– Gdzie trzymasz palec? – Uśmiechnęła się. – Chcę zobaczyć. Macuspana. Czy to tylko przypadek, czy z czymś ci się to kojarzy?

– To takie miejsce zagubione w lasach.

– Wyobrażam sobie. Ale z czym ci się kojarzy?

– Z Elzevirem Almonte.

Laura zaniemówiła. Jak uderzenie obuchem wstrząsnęło nią wspomnienie wiejskiego księdza, który przyjechał do Catemaco, żeby szerzyć nietolerancję, ośmieszać nakazy moralne, mącić w głowach niewinnym podczas spowiedzi, a w końcu któregoś pięknego dnia uciec z wotami Świętego Dzieciątka z Zongolica.

– Elzewir Almonte – powtórzyła jak w transie, przypominając sobie pytanie księdza podczas spowiedzi: „Chciałabyś zobaczyć, co twój ojciec ma między nogami, moje dziecko?”

– On wtedy uciekł do Tabasco. Chodził oczywiście po cywilnemu i nikt nie wiedział, skąd ma pieniądze. Raz na miesiąc jeździł do Villahermosa i następnego dnia płacił wszystkie swoje długi. Tego dnia, kiedy umierała moja matka, w okolicy Macuspana nie można było znaleźć żadnego księdza. Biegałem po ulicach i krzyczałem: moja matka chce się wypowiadać, chce iść do nieba, może jest jakiś ksiądz, żeby ją błogosławił. Wtedy Almonte ujawnił się i dał matce ostatnie namaszczenie. Nigdy nie zapomnę tego wyrazu spokoju, jaki pojawił się na twarzy staruszki. Umarła, dziękując mi, że wysłałem ją do nieba. Dlaczego ksiądz się ukrywa? – zapytałem go. Wyznał mi wszystko, więc powiedziałem: nadszedł czas, żeby ksiądz odpokutował za grzechy. Zabrałem go ze sobą w czasie strajku w Rio Blanco. Zajmował się rannymi po wsiach. W wojsku było dwustu zabitych, Almonte błogosławił ich wszystkich razem i każdego z osobna. Władze nie mogły mu odmówić, chociaż w pośpiechu ładowano trupy na odkryte wagony i wrzucano do morza w Veracruz. Ale ksiądz Elzewir był niepoprawny. Przyłączył się do Margarity Ramírez, odważnej robotnicy, która podpaliła rejonowy sklep. Wtedy stał się podwójnie poszukiwanym przestępcą. Kościół poszukiwał go za kradzież w Catemaco, rząd za udział w rebelii w Rio Blanco. Ja w końcu zacząłem się zastanawiać: do czego służy kler? Wszystko, co zrobił ksiądz Elzewir, mogło się obyć bez Kościoła. Moja matka umarłaby bez względu na to, czy dostałaby błogosławieństwo, czy nie. Wojska Porfiria Diaza wymordowały robotników w Rio Blanco i wrzucono ich trupy do morza bez przyzwolenia księdza Almonte, a Margarita Ramírez nie potrzebowała księdza, żeby podłożyć ogień w sklepie. Zastanawiałem się, w najlepszej wierze, po jaką cholere nam Kościół. Jakby na potwierdzenie moich wątpliwości Elzewir po jakimś czasie pokazał, na co go stać. Pojechał do Veracruz i oświadczył, że wydarzenia w Rio Blanco były „anarchistyczną konspiracją”, i w gazetach opublikowano jego zdjęcie z konsulem Stanów Zjednoczonych, kiedy gratulował rządowi „zdecydowanej akcji”. Wszystko po to, żeby mu darowano kradzież i ucieczkę z Catemaco. Miał zdradę we krwi. Wykorzystał mnie, kiedy myślał, że zwyciężymy; zdradził nas zaraz po klęsce. Nie wiedział, że na dłuższą metę wygramy. Kościół zaczął budzić we mnie pogardę i głęboką nienawiść. Dlatego poparłem prześladowania, które wprowadził Calles, i wydałem zakonnicę Soriano. Kler to jest plaga, i trzeba się z nim obchodzić bezlitośnie.

– A więc niczego im nie zawdzięczasz?

– Elzewirowi tak. Opowiedział mi o twojej rodzime. Opisał cię jako najładniejszą dziewczynkę w Veracruz. Myślę, że cię pożądał. Mówił mi, jak się u niego spowiadałaś. Sam się napaliłem. Postanowiłem cię poznać, Lauro. Pojechałem do Xalapy, żeby cię zobaczyć.

Juan Francisco złożył uważnie mapę. Miał już na sobie pidżamę i położył się bez słowa.

Ona nie mogła zasnąć i długo myślała o rozmiarach bezkarności, jaką może się cieszyć człowiek wychowany na starych urazach, to tak jakby już wypił całą cykutek życia, jakby tylko

siedział i czekał na śmierć. Czy trzeba doznać cierpienia, żeby być kimś? Czy ono ma nam być dane, czy należy go szukać? Historia księdza Almonte, którego Laura widziała jako uciekiniera w pensjonacie Mutti Letycji w Xalapie, kiedy został z niego tylko cień człowieka, być może przez Juana Francisco była przyjęta bardziej jako ból niż jako grzech, gdyż on sam nie dostrzegł w tym ostrzeżenia. Jak głębokie korzenie musiała zapuścić religia w każdym człowieku i w każdej rodzinie w tym kraju, jeżeli tutaj bunt przeciwko religii był tylko jeszcze jednym przejawem religijności. A sama Rewolucja, jej patriotyczne ceremonie, cywilni święci i walczący męczennicy – czyż to nie jest również Kościół, laicki, ale tak samo przekonany, że tylko on posiada w swoich rękach łaskę i może ją rozdzielać jak Kościół Apostolski i Rzymski, który oświecał, ochraniał i wyzyskiwał Meksykanów – wszystko to naraz – od czasów konkwisty? Ale nic z tego nie tłumaczyło i w konsekwencji nie usprawiedliwiała donosu na kobietę przyjętą w progi ich domu, domu Laury Díaz.

Tego nie można było wybaczyć. Juan Francisco będzie umierał – Laura zamknęła oczy, próbując zasnąć – bez przebaczenia z jej strony. Tej nocy czuła się bardziej siostrą Glorii Soriano niż żoną Juana Francisco Lopeza Greene'a. Bardziej siostrą niż żoną, bardziej sios...

Otóż ona nie przyjmuje do wiadomości – rano snuła nadal swoje rozmyślenia – zmiany w życiu swojego męża, kiedyś energicznego i szlachetnego trybuna robotniczego Rewolucji, teraz drugorzędnego polityka i działacza, kręcącego się wokół problemów czysto egzystencjalnych. Być może śmiech ojca i syna nad mapą krył w sobie klucz do duszy Juana Francisco, może było w nim coś więcej niż żałosna saga księdza Almonte, i Danton, który potrafił być dyskretny, potrafił również być gadatliwy, a nawet chępliwy, jeśli to miałyby podnieść jego własne mniemanie o sobie, prestiż czy dopływ gotówki. Nie, ona nie będzie ukrywała sympatii i różnic w tym domu, tu od tej pory będzie się mówiło wyłącznie prawdę, tak jak to zrobiła ona, dała przykład, wyznała wszystko przed całą rodziną i, zamiast stracić szacunek, jeszcze go zyskała.

Powiedziała to Dantonowi pod koniec tego samego tygodnia.

– Byłam bardzo szczera, synu.

– Spowiadasz się przed mężem impotentem, synem pedałem, drugim synem pijakiem i ciotką, która urodziła się w burdelu. Rzeczywiście, wielka mi odwaga!

Już raz go uderzyła. Przysięgła sobie, że nigdy więcej tego nie robi.

– Co mam ci opowiedzieć o moim ojcu? Gdybyś z nim spała, mogłabyś wyciągnąć od niego wszystkie jego sekrety. Więcej odwagi, mamu. Mówię ci z dobrego serca.

– Jesteś małym nędznikiem.

– Ale mam zamiar zdobyć tytuł wielkiego nędznika, jeszcze się zdziwisz, jak mówi Kiko Mendive w swojej piosence *guachacharacha!*

Zrobił taneczne pas, poprawił krawat w niebieskie i żółte paski i powiedział: nie martw się, mamuśka, co powie świat, każdy orze, jak może, ja i Santiago wystarczamy sobie. To byczy facet. Nie będziemy dla ciebie ciężarem.

Laura zachowała dla siebie nurtujące ją wątpliwości. Danton całe życie będzie potrzebował pomocy ze strony świata, a że świat za darmo nikomu nie pomaga, będzie musiał za to zapłacić. Ogarnęła ją fala głębokiej niechęci do młodszego syna, zadawała sobie bezsensowne pytania: skąd nam się taki wziął? Co takiego jest we krwi Juana Francisco? Bo przecież ja...

Santiago przeżywał gorączkowy okres w swoim życiu. Zaniedbał pracę przy Riverze w Pałacu, swój pokój przy Alei Sonora zamienił w pracownię o intensywnym zapachu farb olejnych i terpentyny; każdy, kto tu wchodził, zagłębiał się jakby w dzikim gąszczu sosen, świerków, modrzewi i pistacji. Zabazgrane ściany robiły wrażenie wklęsłej przestrzeni obrazu, prześcieradło na łóżku wyglądało tak, jakby okrywało jakiegoś innego Santiago, który spał, podczas gdy jego brat bliźniak, artysta, zajmował się malowaniem. Okno przysłaniały stada ptaków lecących na spotkanie z Południem, którego wezwaniom nie mogły się oprzeć w

czasie jesiennego zrównania dnia z nocą, a Santiago malował i recytował na głos, sam w pewnej mierze ulegając południowemu przyciąganiu:

*urodziła się gałąź jak wyspa,
liść przybrał formę wyostrzonej szpady,
grono nabrzmiało swą dojrzałą treścią,
korzeń spłynął w sam środek ciemności...
taki był zmierzch iguany...*

Potem coś mówił bez związku, nie przerywając pracy, „każdy artysta jest oswojonym zwierzęciem, a ja jestem dzikie zwierzę”, i była w tym racja; był mężczyzną, włosy miał długie, rzadki młodzieńczy zarost, czoło wysokie, jasne, gorące i oczy pełne miłości tak żarliwej, że Laura przestraszyła się na widok tej diametralnej zmiany, gdyż jej syn Santiago był teraz tym „młodym wojownikiem, miedzianym i mrocznym”, w którym „wypisane były inicjały ziemi” z tomu *Pieśń powszechna*, niedawno wydanego w Meksyku przez największego poetę Ameryki, Pabla Nerudę, czytali to razem, matka z synem, i ona przypomniała sobie, jak Jorge Maura opowiadał jej o nocnych bombardowaniach Madrytu, kiedy Neruda na płonącym dachu, pod bombami faszystowskiego lotnictwa, na europejskiej ziemi przeżywał znowu to, co w naszej Ameryce, w stanie wiecznej destrukcji i odradzania się na nowo, było elementarną odą, „tysiąc lat powietrza, miesiące, tygodnie powietrza”, „wysokie miejsce człowieczej jutrzeźki: wysokie naczynie napełnione ciszą kamiennego życia po tylu żywotach”. Te słowa były pokarmem dla życia i dzieła jej syna.

Chciała być sprawiedliwa. Jej dwaj synowie wiedli ją na przeciwległe krańce, zarówno Santiago, jak i Dantona ukształtowały „miejsca jutrzeźki” i obydwaj byli „wysokimi naczyniami” dla obiecującej ciszy po dwakroć rodzącego się życia. Do tej pory wierzyła, że ludzi starszych od niej albo równych jej wiekiem potrafi zrozumieć. Jej synowie byli tajemnicą niebezpieczną i fascynującą. Zastanawiała się, czy ona sama, w jakimś momencie swojego życia, była istotą tak nieodgadnioną dla swoich bliskich, jak teraz jej synowie byli dla niej. Na próżno szukała wytłumaczenia w życiu tych, którzy mogliby ją zrozumieć, Marii de la O – która rzeczywiście znalazła się na skraju przepaści, w bezbrzeżnej samotności, bez granicy oddzielającej dzień od nocy – albo jej własnego męża, który był dla niej z początku legendą, potem obalonym mitem, a w końcu zapiekłym żalem połączonym z wyrozumowaną rezygnacją.

Związki pomiędzy rodzicami a dziećmi umocniły się, mimo wszystko, w sposób zupełnie naturalny; Maura tłumaczył jej kiedyś, że w każdej rodzinie można znaleźć przyciąganie tak niepohamowane jak w przypadku gwiazd, które nie spadają właśnie dlatego, że grawitują ku sobie, wspomagają się i zachowują swoją integralność pomimo upartej, niepohamowanej siły kosmosu i jego wiecznej ekspansji, od samego początku (jeśli taki był) aż do samego końca (jeśli taki będzie).

– Siła ciężenia nie oznacza upadku, jak się powszechnie uważa, Lauro. Jest przyciąganiem. Przyciąganiem, które nie tylko nas jednoczy. Ono nas wywyższa.

Laura i Santiago wspomagali się wzajemnie: artystyczny projekt syna znajdował odbicie w moralnej szczerości matki, i powrót Laury do nieudanego małżeństwa był w pełni usprawiedliwiony dzięki twórczemu związkowi z synem; Santiago widział w matce umiłowanie wolności, które odpowiadało jego własnemu umiłowaniu malarstwa. Natomiast zbliżenie Juana Francisco z Dantonem opierało się głównie na pewnego rodzaju męskiej dumie ojca, że ma takiego niezależnego syna, hulakę, fanfarona, kobieciarza, jak w tych sławnych filmach z Jorge Negrete, na które obydwaj chodzili do kin w centrum miasta, na przykład do nowo wybudowanego Pałacu Chińskiego na ulicy Iturbide, mauzoleum z pagodami z papier-mâché, posągami uśmiechniętego Buddy i rozgwieżdżonym niebem –

rekwizytem *sine qua non* dla „filmowej katedry” epoki, do kin „Alameda” i „Colonial” zbudowanych w stylu *churrigueresco*, sięgających pamięcią czasów wicekrólestwa, do kin „Lindavista” i „Lido” z hollywoodzkimi pretensjami, *streamlined*, jak mówiły panie z towarzystwa, określając swoje meble, samochody i kuchnie. Ojciec lubił zapraszać syna na filmy, w których aż roiło się od honorowych pojedynków, bohaterskich jeźdźców, knajpianych bójek i serenad dla nieskalanej narzeczonej – obydwaj miękli jak wosk na widok omdlewającego jak noc spojrzenia Glorii Marín, która modliła się do Najświętszej Pani, żeby jej macho „uległ”. Bo ten *charro* z Jalisco, który myślał, że potrafi zdobyć każdą kobietę, zawsze, dzięki kobiecym sztuczkom, sam im ulegał, wpadając w sidła całego legionu drapieżnych niewinnych dziewczątek z Guadalajary, o nazwiskach Esther Fernández, María Luisa Zea czy Consuelito Frank. Danton wiedział, że ojcu bardzo się podobają te historie o knajpianych bójkach, pojedynkach i serenadach, które bohaterskie wyczyny Śpiewającego Kowboja przenosiły na przedmieścia. W szkole był karany za te eskapady do kina. Natomiast Juan Francisco cieszył się z nich, a chłopak patrzył na ojca ze zdumieniem, zastanawiając się, czy tęskni on do szaleństw własnej młodości, czy też, dzięki synowi, po raz pierwszy przeżywa młodość, której sam nigdy nie miał. O swoim prywatnym życiu w przeszłości nigdy nie wspominał. Jeśli Laura przypuszczała, że mąż zdradził młodszemu synowi tajemnicę swego pochodzenia, myliła się, w życiu Lopeza Greene’a była sfera zastrzeżona i dotyczyła samych początków kształtowania się jego osobowości. Czy był on zawsze interesującym, elokwentnym i odważnym liderem, jakiego poznała w kasynie w Xalapie, czy też przed tym okresem chwały i poza nim było coś jeszcze, jakiś decydujący moment, który wyjaśniałby, dlaczego stał się tym powściągliwym, obojętnym i lęklwym człowiekiem, żyjącym teraz u jej boku?

Juan Francisco uczył ukochanego syna chwalebnej historii walki ruchu robotniczego przeciwko dyktaturze Porfiria Diaza. Od 1867 roku, kiedy to upadło cesarstwo Maksymiliana – pomyśl tylko, toż to zaledwie nieco więcej niż pół wieku temu – Juárez znalazł się w stolicy w otoczeniu dobrze zorganizowanej grupy anarchistów, którzy przedostali się tu nielegalnie z węgierskimi, austriackimi, czeskimi i francuskimi oddziałami, popierającymi habsburskiego arcyksięcia. Kiedy Francuzi odstąpili i Juárez rozkazał rozstrzelać Maksymiliana, zostali w Meksyku. Przyłączyli się do grup oporu tworzonych przez rzemieślników. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym powstało Wielkie Stowarzyszenie Robotników Meksyku, potem, w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym, tajna grupa zwolenników Bakunina La Social zwołała pierwszy powszechny Kongres Robotników Republiki Meksykańskiej.

– Widzisz, synu, że ruch robotniczy w Meksyku nie narodził się wczoraj, chociaż musiał walczyć przeciwko własnym, zastalym kolonialnym przesądom. Była na przykład taka jedna delegatka anarchistka Soledad Soria. Chciano ją wykluczyć, bo – jak twierdzono – obecność kobiety narusza tradycję. Kongres zgromadził osiemdziesiąt tysięcy członków, możesz to sobie wyobrazić? Mamy z czego być dumni. Díaz nie bez powodu zaczął prześladować, a w końcu poddawać straszliwym represjom członków Kongresu w Cananea. Zastosował represje właśnie tam, gdyż Amerykanie, którzy opanowali kopalnie miedzi, wysłali z Arizony prawie stuosobową grupę uzbrojonych mężczyzn, rangersów, dla ochrony życia i mienia obywateli amerykańskich. To stara śpiewka jankesów. Napadają na kraj w obronie życia i mienia. Górnicy też walczyli o życie i mienie. Zostali zmasakrowani. Ale tam rozpoczął się upadek dyktatury. Nie przewidzieli, że jedna rysa może spowodować zawalenie się całej budowli.

Juan Francisco był zachwycony, że ma takiego uważnego słuchacza we własnym synu i że może mu opowiadać bohaterską historię ruchu robotniczego Meksyku, której kulminacyjnym punktem był strajk tkaczy w Rio Blanco w tysiąc dziewięćset siódmym roku, kiedy minister finansów w rządzie Diaza, Yves Limantour, poparł francuskich przedsiębiorców, żeby móc zakazać kolportażu nielegalnych książek i wprowadzić przepustki do fabryki, sprawdzane przy wejściu i wyjściu, w które wpisywano przejawy niesubordynacji danego robotnika.

– Znowu pojawiła się kobieta, nazywała się Margarita Romero, poprowadziła tłum do rejonowego sklepu i podłożyła ogień. Weszło wojsko i zabiło dwustu robotników. Oddziały stanęły w Veracruz i wtedy ja zacząłem organizować ruch oporu...

– A wcześniej, tato?

– Myślę, że moja historia zaczyna się razem z Rewolucją. Nie mam wcześniejszej biografii, synu.

Zaprowadził Dantona do biura CTM, do pokoiku, gdzie przyjął parę telefonów, które kończył zawsze: „tak jest, proszę pana”, „oczywiście, proszę pana”, „jak pan sobie życzy”, a potem wyszedł do Kongresu, żeby przekazać deputowanym z ramienia ruchu robotniczego wskazówki z Kancelarii Prezydenta i Sekretariatu Stanu.

Na tym upływał mu dzień. Ale na trasie z biura związków zawodowych do Izby Deputowanych i z powrotem Danton zobaczył świat, który mu się nie spodobał. Wszystko wydawało się targowiskiem znajomości, kontredansem układów zawiązywanych na górze, w sferach rzeczywistej władzy, a powielanych tu, na dole, w Kongresie i w biurze związków zawodowych w sposób mechaniczny, bez dyskusji i wątpliwości, w zamkniętym kręgu uścisków, poklepywań po plecach, szeptów na ucho, zalakowanych kopert, znaczących uśmiezków, wulgarnych słów, które miały wyraźną intencję podkreślić zszarganą męskość liderów i deputowanych, nieustannych zebrań połączonych z sutymi biesiadami, które czasem kończyły się o północy w Domu z Czerwonymi Latarniami, porozumiewawczych mrugnięć wiesz-o-co-chodzi przy rozmowach o seksie albo o forsie, a w tym wszystkim Juan Francisco kursujący od jednych do drugich.

– Oto instrukcje...

– To najlepsze wyjście...

– Oczywiście, że to są tereny komunalne, ale hotele na plaży przyniosą korzyści dla całej gminy...

– Szpital, szkoła, droga, to wszystko bardziej integruje region, panie pośle, zwłaszcza droga, która będzie przebiegała tuż koło pańskiego domu...

– No cóż, wiem, że to taki kobiecy kaprys, ale możemy go zadowolić, nic na tym nie tracimy, a pan sekretarz będzie nam dziękował do końca życia...

– Nie, względy wyższe przemawiają za tym, żeby powstrzymać ten strajk. To już się skończyło. Rozumie pan? Wszystko można załatwić poprzez rozmowy i stosowanie prawa, bez zatargów. Proszę pamiętać, panie pośle, że rolą rządu jest pilnowanie stabilności państwa i spokoju społecznego. To jest rewolucyjne zadanie na dzień dzisiejszy.

– Ja wiem, że pan prezydent Cárdenas obiecał wam spółdzielnię, towarzysze. I będziemy ją mieli. Tylko że warunki produkcji wymagają silnego kierownictwa, powiązanego na szczeblu centralnym z CTM-em i Rewolucyjną Partią Meksyku. W przeciwnym razie, towarzysze, znowu, jak zawsze, zaczną was wyzyskiwać księża i obszarnicy.

– Musicie mieć zaufanie.

– Nie masz zamiaru poprosić o inny gabinet, no taki trochę fajniejszy?

– Nie – odpowiedział synowi Juan Francisco – ten jest w sam raz, skromny, wygodny do prowadzenia operacyjnej pracy. Nikogo nie kłuje w oczy.

– Aleja uważam, że forsa jest po to, żeby ją było widać.

– W takim razie zostań maklerem giełdowym albo biznesmenem, tym wszystko wolno.

– Dlaczego?

– Bo tworzą miejsca pracy. Tak się już przyjęło.

– A ty, tato?

– Wszyscy musimy odgrywać jakąś rolę. Takie jest prawo na tym świecie. A tobie jaka rola się podoba: polityka, przedsiębiorcy, dziennikarza, wojskowego...?

– Żadna, tato.

– No to co będziesz robił?

– To, na co będę miał największą ochotę.

XVI. Chapultepec-Polanco: 1947

Nowy prezydent Miguel Alemán został zaprzysiężony w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku i w tym dniu w domu przy Alei Sonora stała się rzecz bardzo dziwna: ciotka Maria de la O znowu zaczęła mówić. „To nasz. Z Veracruz” – powiedziała o młodym i przystojnym szefie państwa, pierwszym cywilnym prezydencie po okresie rządów wojskowych.

Wszyscy – Laura, Juan Francisco, Santiago i Danton – nie posiadali się ze zdumienia, ale na tym nie skończyły się niespodzianki ze strony cioteczki, która ni stąd, ni zowąd zaczęła tańczyć bambę i robiła to o każdej porze, pomimo spuchniętych kostek.

– Zdziecinniała na stare lata – powiedział kpiąco Danton.

A na początku nowego roku Maria de la O wystąpiła z sensacyjnym oświadczeniem.

– Skończyły się smutki. Wyjeżdżam do Veracruz. Mój stary konkurent zaproponował mi małżeństwo. To człowiek w moim wieku, chociaż sama nie wiem, w jakim jestem wieku, bo mama mnie nie zarejestrowała po porodzie. Chciała, żebym szybko urosła i za jej przykładem zaczęła wesołe życie. Stara szantrapa, żeby się w piekle smażyła! Najważniejsze, że Maciej Matadamas – tak się nazywa mój absztyfikant – tańczy *danzón* jak anioł i obiecał, że będzie mnie zabierać dwa razy w tygodniu na rynek pomiędzy ludzi.

– Nikt nie nazywa się Maciej Matadamas! – wykrzyknął mściwoda Danton.

– Głupi jesteś – skomentowała cioteczka. – Święty Maciej był ostatnim apostołem, który zastąpił zdrajcę Judasza po ukrzyżowaniu Chrystusa, żeby ich znowu było dwunastu. No to już wiesz.

– Apostoł i narzeczona, co się załapała na ostatni dzwonek! – powiedział Danton, wybuchając śmiechem. – Jakby Chrystus był hurtownikiem, który taniej sprzedaje świętych na tuziny.

– Nigdy nie wiadomo, czy ten ostatni dzwonek jeszcze nie będzie pierwszym, niedowiarku – zganiła go Maria de la O, której tak naprawdę wcale nie chciało się nikogo ganić, bo była w świetnym humorze. – Już widzę, jak tańczymy przytuleni – ciągnęła rozmarzona – jak za najlepszych czasów, policzek przy policzku, na kawałeczku małym jak cegła, bo tak się tańczy *danzón*, ciałem prawie się nie porusza, tylko stopami, stopy chodzą w rytm wolno, błogo, lubieżnie. Ach, moi drodzy! Dopiero zaczną żyć!

Nikt nie mógł wytłumaczyć sobie cudownej odmiany Marii de la O, nikt nie mógł odwieść jej od raz podjętej decyzji ani towarzyszyć jej na stację kolejową, a tym bardziej do Veracruz.

– To mój narzeczony. To moje życie. Moje pięć minut. Zmęczyło mnie stanie na boku. Od tej pory, aż po grób, będę się bawić i spędzać noce na karaibskich fiestach. Zmarło się starej przy tasowaniu! Do cholery z tym! To nie ze mną!

Z tymi słowami, które udowodniły nie po raz pierwszy, że starzy ludzie, kiedy nie mają już nic do stracenia, tracą zahamowania językowe, Maria de la O wsiadła do pociągu „Interoceánico” niemal z ulgą, odmłodzona – cud prawdziwy.

Nawet mimo pustego krzesła cioteczki Laura starała się kontynuować rodzinny ceremoniał i wieczorem z balkonu obserwować życie miasta, zewnątrz niewiele zmienione w okresie sprawowania władzy przez generała Avile Camacho, utraconej na rzecz Miguela Alemana, chociaż w czasie wojny Meksyk stał się latynoamerykańską Lizboną (Casablanką z nopalami, powiedziałyby przekorny Orlando), przystanią, do której przybijały setki mężczyzn i kobiet uciekających od europejskiego konfliktu. Przyjechało tu dwieście tysięcy hiszpańskich

republikanów i Laura pomyślała, że praca Maury nie poszła na marne. Był to kwiat hiszpańskiej inteligencji, i ich wyjazd był dla haniebnej dyktatury frankistowskiej odplywem twórczej krwi, natomiast dla życia uniwersyteckiego, literackiego, artystycznego i naukowego Meksyku – wspaniałą transfuzją. W zamian za gościnne schronienie hiszpańscy republikanie ofiarowali Meksykowi kulturalne odrodzenie, uniwersalizm, który ratuje kulturę przed nacjonalistycznym wirusem.

Tu, w Meksyku, mieszkał skromnie, w małym mieszkanku przy ulicy Lerma, wielki poeta Emilio Prados w okularach ślepego, z posiwiałymi, rozwichrzonymi włosami. Prados już wcześniej przewidział i „ucieczkę”, i „przybycie” w swoich pięknych poematach o „prześladowanym ciebie”, które Laura знаła na pamięć i czytała na głos swojemu synowi Santiago. Poeta chciał uciec, jak mówił, „zmęczony kryciem się w gałęziach... zmęczony tą raną. Są granice”, czytała Laura na głos i słuchała głosu Jorge Maury, który dobiegał do niej z daleka, tak jakby poezja była jedyną formą oddającą prawdziwą rzeczywistość, na jaką Bóg wieczności pozwalał maluczkim śmiertelnikom. Emilio Prados, Jorge Maura, Laura Díaz i, być może, Santiago López-Díaz, który słuchał, jak matka czytała mu wiersze poety, wszyscy oni chcieli przybyć „z moim sztywnym ciałem... które płynie jak rzeka bez wody i stąpa po powierzchni snu z pięcioma ostrzami wbitych w pierś płomieni”.

Tu pojawiał się i znikał Luis Cemuda, wystrojony jak angielski dandys – nosił marynarki w pepitkę i krawaty a la książę Windsoru – z przylizanymi włosami i wąsikami francuskiego amanta filmowego, zostawiając na meksykańskim bruku najpiękniejsze erotyczne wiersze, jakie napisano w języku hiszpańskim. Teraz z kolei Santiago czytał je matce, gorączkowo przeskakując z jednego poematu na drugi, żadnego nie skończywszy, odkrywając idealną tonację, słowa na zawsze zapadające w pamięć.

Smutny odgłos wydają ciała, kiedy się kochają.

Mógłbym unieścić to ciało, zostawiając samą prawdę tej miłości...

Nie znam innej wolności niż wolność w czyjeś klatce...

Całowałem jej ślady...

Tu przybył Luis Buñuel z czterdziestoma dolarami w kieszeni, wyrzucony z Nowego Jorku na skutek intrygi i oszczerstw swojego dawnego przyjaciela Salvadora Dalí, którego bogiem był teraz Dolar. Laura znała Buñuela z kopii pełnego bólu filmu o nieprawdopodobnym zacołaniu regionu Las Hurdes w Hiszpanii. Ten film, oceniony przez samą Republikę, pokazał jej Jorge Maura. Tu, przy ulicy Amazonas, mieszkał don Manuel Pedrozo, dawny rektor uniwersytetu w Sewilli, wśród stosów książek – były tam pierwsze wydania Hobbesa, Machiavellego i Rousseau – w otoczeniu uczniów, którzy słuchali go z uwielbieniem, jednak Danton, zabrany na spotkanie z nim przez jednego z kolegów z wydziału prawa, powiedział, kiedy szli już przez Paseo de la Reforma na kolację w „Bellinghausen” przy ulicy Londres:

– Uroczy staruszek. Ale jego idee to utopia. Mnie z nim nie po drodze.

W Bellinghausen przy sąsiednim stoliku siedział Max Aub w towarzystwie paru innych emigracyjnych pisarzy. Był to mężczyzna o skupionym wyrazie twarzy, niski, z kręconymi włosami i szerokim czołem, ze wzrokiem zatopionym w szklanej przestrzeni, tak zmienny, że uśmiech i złość były w nim nierozdzielnie połączone, jak dwie strony tej samej monety. Aub w czasie wojny był towarzyszem broni André Malraux i przepowiadał, że Franco umrze „prawdziwą śmiercią”, która nie miała związku z żadną konkretną datą w kalendarzu. Ta śmierć nie byłaby zaskoczeniem dla dyktatora, on po prostu nie wiedziałby, że nie żyje.

– Moja mama go zna – powiedział Danton do kolegi. – Ona się obraca wśród intelektualistów, dlatego że pracuje z Diegiem Rivera i Fridą Kahlo.

– I dlatego, że zadała się z komunistycznym szpiegiem z Hiszpanii – powiedział kolega Dantona i nie zdążył już nic więcej dodać, bo syn Laury Díaz jednym ciosem rozbił mu nos, krzesła się powywracały, obrusy się poplamiały i rozjuszony Danton wyrwał się z rąk kelnerów i opuścił restaurację.

Również tu, w Meksyku, przyciągał tłumy toreador Manolete, był frankistą, ale tak naprawdę był pośmiertnym tworem El Greca: smutny, chudy, wystylizowany, Manuel Rodríguez „Manolete” był mistrzem patosu. Walczył dostojnie, wyprostowany jak struna. Konkuruje o palmę pierwszeństwa z Pepe Luisem Vazquezem – opowiadał Juan Francisco Dantonowi, kiedy ojciec z synem wchodzili na nowy Monumentalny Plac Meksyku, wypełniony sześćdziesięcioma tysiącami widzów, którzy przyszli tylko po to, żeby zobaczyć Manolete, ale Pepe Luis był ortodoksyjnym dzieckiem Sewilli, a Manolete heterodoksyjnym synem Kordoby, który naruszał tradycyjne prawa i nie podchodził do byka, nie przeładowywał walki manewrami, wdając się w nieustanne utarczki, tylko stał, potrząsał muletą i kierował zwierzęciem z miejsca, wystawiony na jego szarżę. I kiedy byk atakował nieruchomego toreadora, cały plac wydawał okrzyk strachu, wstrzymywał oddech i wybuchał zwycięskim *ole*, patrząc, jak wspaniały Manolete wychodzi z opresji i wspięty na palcach niespiesznie wbija szpadę w ciało byka, widziałeś? – pytał Juan Francisco syna, kiedy opuszczali arenę, przeciskając się w tłoku długimi korytarzami przez bramy, które wyglądały jak komórki w plastrze miodu – widziałeś? cały czas walczył, nie odwracając twarzy, bez uników, trzymał byka nisko, wszystkim nam serce zamarło z wrażenia! Ale Danton wyciągnął tylko jedną lekcję z tej korridy: byk i toreador spojrzeli sobie w oczy. Były to dwie twarze śmierci. Tylko pozornie umierał byk, a uchodził z życiem toreador. Prawda była taka, że toreador był śmiertelny, a byk nie, byk wciąż żył i wciąż wychodził na arenę oślepiony słońcem, na arenę splamioną krwią tylko jednego nieśmiertelnego byka, który oglądał całe pokolenia śmiertelnych toreadorów. Kiedy zginie Manolete? na jakiej arenie znajdzie śmierć, która spotyka byki zaledwie z pozoru? jak nazywa się byk, który mu tę śmierć przyniesie? gdzie czeka na Manuela Rodrigueza zwanego Manolete?

– Manolete czaruje byka – powiedział melancholijnie Juan Francisco przy kolacji, którą jedli z synem po korridzie w restauracji „El Parador”.

Syn chciał zachować dla siebie lekcję, jaką wyniósł z dzisiejszego wieczoru: zwycięstwo, chwała są tylko chwilowe, trzeba zabijać jednego byka za drugim, żeby odsunąć w czasie naszą własną ostateczną porażkę, kiedy nasz byk zada nam śmierć; trzeba codziennie obcinać ucho i ogon byka, codziennie, dopóki życie trwa...

– Podobno niektórzy sprzedają swoje samochody i ostatnią koszulę, żeby kupić bilety i zobaczyć Manolete na arenie, czy to prawda? – zapytał Danton.

– Po raz pierwszy organizują po trzy korridy w tygodniu – powiedział Juan Francisco. – Coś w tym musi być.

Elegancki toreador odwiedzał najnowsze kluby i restauracje, gdzie skupiało się nocne życie kosmopolitycznego miasta – „Casanova”, „Minuit”, „Sans Souci” – z Fernanda Montel, kobietą o postawie walkirii, która głębokość swoich dekoltów rekompensowała wysokością fryzur, prawdziwych wież z włosów farbowanych na kolor niebieski, zielony, różowy. Po Coyoacanie prowadzał swoje pudle obalony król rumuński Karol – długie wąsy, oczy ostrygi i cofnięty podbródek – ze swoją kochanką Magdą Lupescu, która więcej uwagi poświęcała swoim srebrnym lisom niż wygnanemu królowi, a przy stoliku w restauracji „Ciro’s” w hotelu Reforma, Carmen Cortina przygotowywała plany batalii ze swymi starymi sojusznikami, aktorką Andrea Negrete, Nalgonem del Rosal i angielską malarką Felicity Smith, zamierzając pozyskać całą tę międzynarodową faunę, którą przygnały do Meksyku fale wojny. Niech Bóg ci błogosławi, Adolfie Hitlerze! – wzdychała *hostess* Cortina. Siedzieli nieopodal właściciela „Ciro’s”, karłowatego oszusta znanego jako A.C. Blumenthal, podstawionego tu przez gangstera z Hollywood, Siegela, o pseudonimie „Bugsy”, którego

wzgardzona kochanka Virginia Hill wpadła w nagłą melancholię (co zdarza się niektórym kobietom w Los Angeles), skutkiem czego drżał jej podbródek i zeszała farba z włosów, więc piła martini kieliszek za kieliszkiem, a tym samym alkoholem poił przez smoczek swojego wytresowanego krokodyla John Steinbeck, o oczach pełnych przegranych batalii – spod znaku „Gordon’s Gin” – który przybył do Meksyku na zdjęcia do filmu opartego na jego opowiadaniu *Perła* i przewyższał swoją ekstrawagancją reżysera filmu, Emilia Fernandez, „El Indio”, zdolnego grozić bronią tym, co krytykowali jego filmowe pomysły, a zakochanego w aktorce Olivii de Havilland: na jej cześć ulicę, gdzie zbudował zamek z honorariów za słynne filmy *Polny Kwiat*, *Maria Candelaria*, *Źle kochana* – kazał nazwać „Słodka Olivia”.

Laura musiała pójść do „Ciro’s”, gdyż Diego Rivera malował dla tego lokalu serię aktów kobiecych, inspirowanych ciałem jego własnej szalonej miłości, aktorki Paulette Godard, kobiety inteligentnej i ambitnej, która rozmawiała tylko z Laurą, nie zwracając uwagi na Diega, żeby mu w ten sposób dokuczyć, natomiast Laura spoglądała z ironią, tak słodką jak nazwa ulicy, na której mieszkał „El Indio”, na dużą grupę ludzi, których nie widziała od piętnastu lat, była to drużyna Carmen Cortiny i różni satelici krążący wokół jej stolika: malarz z Guadalajary Tizoc Ambriz, mimo swoich pięćdziesięciu lat zawsze w tych samych wysłużonych dżinsach, Andrea „Łaciata”, bardzo gruba, ten ongiś tłusty i rumiany Hiszpan Onomástico Galán teraz wyglądał jak pomarszczony, zmięty kondom, brytyjski malarz James Saxon w całej swojej krasie, coraz bardziej podobny do członków dynastii Windsor, i dawna przyjaciółka Laury z Xalapy, Elizabeth Dupont eks-Caraza, chuda jak mumia, z jedną ręką trzęsącą się, a drugą opartą na ramieniu młodego bruneta z wąsikami, bez żadnej wątpliwości żigolaka – niezatarty ślad czasu wyryty na każdej twarzy, zastygłej w swoich pretensjach, nadgryzionej zębem codzienności, cały panteon figur woskowych.

Ktoś dotknął ramienia Laury Díaz. Poznała Laurę Riviére, kochankę Artemia Cruza, ta pokonała zwycięsko minione piętnaście lat dzięki wytwornej urodzie podkreślonej perłami, skoncentrowanej w melancholijnych, ciepłych oczach, które się nie zestarzały.

– Odwiedź mnie, kiedy zechcesz. Dlaczego się nie odezwałaś?

I wszedł z melonikiem w rękę Orlando, Orlando Ximénez, a Laura nie mogła odwrócić czasu, ale mogła podarować mu tę samą młodzieńczą twarz, jaką pamiętała z balu w hacjendzie San Cayetano sprzed trzydziestu lat. Wspomnienie tamtego młodzieńca, który rozkochał ją na tarasie pachnącym nocnymi pomarańczami i uśpionymi ziarenkami kawy, przyprawiło ją o zawrót głowy, powiedziała: przepraszam i wyszła.

– Grawitacja nie oznacza upadku, to zbliżanie się, bliskość – powiedziała Laura do swego syna Dantona, który od tego dnia, kiedy zrobił z ojcem parę rundek między CTM-em a Izbą Deputowanych, myślał: to nie dla mnie, ale tata ma rację, co jest dla mnie? On też patrzył z balkonu na Lasek Chapultepec i wiedział, że za nim jest dzielnica Las Lomas de Chapultepec i że tam mieszkają bogaci, dawni czy nowi, nie miało to dla niego znaczenia, ale tam budowano nowe rezydencje z basenami i strzyżoną trawą na *garden party* i „huczne wesela”, garaże na trzy samochody, urządzenie zlecano mistrzom Paco de la Granja i Mario Paniemu, stroje były od Valdesa Peza, kapelusze od Henriego de Chatillona, kwiaty dostarczał Matsumoto, bankiety organizował Mayita.

Jakże miał się tam dostać taki zwyczajny biedak, ani nowy, ani stary, jak on? Bo to właśnie postanowił sobie Danton López Díaz, mający do rozważenia skromną propozycję przedstawioną przez ojca i wybór, czym być: politykiem, biznesmenem, dziennikarzem czy wojskowym? Danton postanowił zostać kowalem swojego losu, a raczej swojej własnej fortuny, a jako że w Meksyku trudno było zdobyć wyższy status bez forsy, młody student ekonomii stwierdził, że nie ma innego wyjścia niż zdobyć forszę ze statusem. Wystarczyło mu przerzucić kroniki towarzyskie, żeby uświadomić sobie różnice społeczne. Istniała nowa grupa bogaczy rewolucyjnych, tych, którzy mieszkali w Las Lomas, niepewnych siebie, ale

odważnych, o cerze ciemnej, ale przypudrowanej, wyzywająco obnoszących się ze swymi świeżo nabytymi dobrami, w dobrym albo złym stylu: ciemni mężczyźni – wojskowi, politycy, biznesmeni – żenili się z białymi kobietami, Kreolkami, takimi, które dotknęła bieda albo nieszczęście; uczestnicy rewolucji w swoim zbrojnym marszu od Północy zrywali po drodze najpiękniejsze dziewicze pączki z regionów Hermosillo i Culiacán, z Torreón i San Luis, z Zacatecas i El Bajío. Te matki ich dzieci, westalki ognisk domowych, z rezygnacją przyjmowały miłostki swoich potężnych sułtanów.

Istniała też stara, zubożała arystokracja, zamieszkująca ulice o nazwach europejskich miast pomiędzy arteriami Insurgentes i Reforma. Ich domy były małe, ale eleganckie, zbudowane w latach tysiąc dziewięćset osiemnaście-dwadzieścia, jednopiętrowe, o kamiennych fasadach, z balkonem i garażem, salony z wychodzącymi na ulicę oknami, przez które można było dostrzec ślady przeszłości, obrazy i portrety, oprawione medale na aksamitnym tle, bibeloty i zaśniedziałe lustra, a za tą częścią reprezentacyjną tajemnica sypialni, wielka niewiadoma na temat codziennego życia dawnych właścicieli hacjend tak wielkich jak cała ulica Bélgica, wywłaszczonych przez Zapatę, Villa i Cardenasę; gdzie się kąpali, jak gotowali, jak przeżywali katastrofę swojego świata...?

Jak się modlili? To było widać. Każdej niedzieli, przed godziną pierwszą, dziewczęta i chłopcy z towarzystwa zbierali się przed Kościołem Wotywnym na zbiegu ulic Genova i Reforma. Po mszy zostawali na zacienionym skwerku, rozmawiali, flirtowali, umawiali się na obiad, dokąd pójdą? Do restauracji „El Parador” José Luisa, tu za rogiem, na ulicy Niza? Do „1-2-3” Luisita Muñoz na ulicy Liverpool? Do Klubu Jeździeckiego przy Wyścigach na ulicy Americas? Do domu któregoś z tych młodych ludzi o malowniczo intymnych przydomkach: Regent, Bajbus, Bola, Nana, Żaba, Tyczka, Czubek, Nudel, Kocur? W Meksyku tylko arystokraci i awanturnicy byli znani pod pseudonimami. Jak się nazywał ten bandyta, który obciął maczetą palce prababce Dantona? Uwodziciel skąd?

Danton zbadał sytuację, przekalkulował wszystko i postanowił zacząć od mszy odprawianej o godzinie pierwszej w Kościele Wotywnym, biało-niebieskim, mauretańskim, jak nawrócony meczet.

Za pierwszym razem nikt nie obejrzał się na niego. Za drugim oglądano go ze zdziwieniem. Za trzecim młody wysoki blondyn o rosłej sylwetce podszedł do niego i zapytał, kim jest.

– Jestem López.

– López?

– Tak, López, to najczęściej spotykane nazwisko w książce telefonicznej.

Ta odpowiedź spowodowała, że wysoki chłopak wybuchnął śmiechem, odrzucając do tyłu głowę w lokach, a na jego długiej szyi zaczęła podskakiwać wystająca grdyka.

– López! López! i co dalej?

– Díaz.

– I, i?

– I Greene. I Kelsen.

– Słuchajcie, chłopaki, ten facet ma więcej nazwisk niż my wszyscy razem. Przyjdź na obiad do Klubu Jeździeckiego. Zabawny gość z ciebie.

– Nie, dziękuję, jestem umówiony. W przyszłą niedzielę, może, kto wie.

– Kto wie, kto wie? To prawie jak bolero. Mam na myśli bolero Agustina Lary, a nie bolero w znaczeniu czyścibuta, cha, cha, cha. „Może”... no proszę! To kraj bolera!

– A ty? Jak ty się nazywasz, blondas?

– Blondas! Mówi do mnie: blondas! No nie, stary, wszyscy do mnie mówią: Książd.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może dlatego, że mój ojciec jest lekarzem. Na drugie nazwisko mam Landa, pochodzę od ostatniego gubernatora tego miasta z czasów *ancien régime*. To nazwisko mojej mami.

– A nazwisko twojego papi?

– Cha, cha, cha, nie śmieję się.

– Nie, to przecież ty się śmiejesz, koleś.

– Koleś! On mi mówi: koleś! Cha, cha, cha, nie, nazywają mnie Książdz, mój ojciec też nazywa się López, tak jak twój. Ale to zabawne, doprawdy przezabawne! Do tego wszystkiego tak samo się nazywamy! Cha, cha, cha, to nie kalambur, stary! Anastasio López Landa. Przyjdź koniecznie w niedzielę. Podobasz mi się. Kup sobie krawat w lepszym guście. Te, które nosisz, wyglądają jak flagi.

Jaki to jest krawat w lepszym guście? Kogo miał o to zapytać? W następną niedzielę stawiał się w kościele w stroju do konnej jazdy: bryczesy i długie buty, kawowa kamizelka i rozpięta koszula. W ręku pejcz.

– Gdzie chodzisz na konie, ty... jak się nazywasz?

– López jak ty. Danton.

– Od gilotyny, cha, cha, cha. Musisz mieć bardzo oryginalnych rodziców!

– Tak, są bardzo śmieszni. Cyrk Atayde angażuje ich, jak spada frekwencja.

– Cha, cha, cha, cha, Danton! *You're a real scream, you know.*

– *Yeah, I'm the cats pajamas* – powtórzył Danton.

– Słuchajcie, chłopaki, ale to numerant. *He's the bee's knees!* To po prostu bomba!

– Tak, a nawet jajko Kolumba!

– Mądrzejsze od kury, cha, cha, cha. Mieszkam tu, za rogiem, na ulicy Amberes. Przyjdź, to ci pożyczę krawat w stylu *old sport*.

Kościół Wotywny i Klub Jeździecki stały się jego stałymi niedzielnymi obowiązkami, bardziej uświęconymi niż przyjmowanie – dla przypodobania się nowym znajomym – komunii bez dobrodziejstwa spowiedzi.

Początkowo budził zdziwienie. Obserwował uważnie sposób ubierania się tamtych chłopców. Nie robiły na nim wrażenia nie znane dotąd reguły świata dziewcząt, chociaż on, wychowany na prowincji wśród żalobnej czerni i kwiecistych jedwabnych sukien, nigdy nie widział tylu młodych panienek w kostiumach albo w szkockich spódnicach, do tego sweter, na sweter *cardigan*, a na to wszystko jeszcze sznurek pereł. Jedna z dziewcząt, Hiszpanka María Luisa Elío, zwracała uwagę swoją urodą i elegancją, była popielatą blondynką, smukłą jak młodzianka toreadora, nosiła czarny beret á la Michéle Morgan we francuskich filmach, na które wszyscy chodzili do kina „Trans Lux Prado”, żakiet w kratkę, plisowaną spódnicę i parasol zamiast laseczki.

Danton wierzył w swoje możliwości, męskość, atrakcyjność egzotycznej urody. Był brunetem o cygańskiej karnacji, jego długie od dziecka rzęsy ocieniały teraz bardziej niż kiedykolwiek zielone oczy, miał oliwkową cerę, krótki nos i pełne, kobiece usta. Przy wzroście sto siedemdziesiąt zapowiadał się na męczyznę krępego, wysportowanego, ale ręce miał – tak mu mówiono – jak u pianisty, jak ciotka Virginia, która grała Chopina w Catemaco. Danton mówił sobie w duchu wulgarnie: „te rasowe klacze tylko czekają, żeby ktoś wypalił im żelazem znak na zadku”, i prosił Juana Francisco o pieniądze, nie mógł przecież co tydzień chodzić do klubu na czyjś koszt, jemu też wypadało postawić: mam nowych przyjaciół, tato, ludzi z klasą, nie chcesz chyba, żebym przed nimi robił wstyd tobie i całej rodzinie? Widzisz, że przez cały tydzień jestem w porządku, nigdy nie zarywam zajęć, zasuwam na ósmą, zdaję końcowe egzaminy na samych czwórkach i piątkach, mam głowę do ekonomii, przyrzekam ci, tato, zwrócę pożyczkę z procentem, przysięgam ci na tę... no, czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

Na Wyścigach pierwsze rzędy zajmowali generałowie wspominający z nostalgią swoje własne, teraz dość żałosne kawalkady, potem siedzieli fabrykanci, nuworysze jeszcze bardziej nowi niż generałowie, wzbogaceni – co za paradoks – na radykalnych reformach Lazara Cardenas, dzięki którym chłopci przywiązani do ziemi opuścili hacjendy i stali się tanią siłą roboczą w nowych fabrykach w Monterrey, Guadalajarze i w stolicy. Nowe fortuny powstawały – to już mniejszy paradoks – na zamówieniach wojennych, na spekulacji, eksporcie materiałów strategicznych, podnoszeniu cen na żywność...

Pomiędzy tymi grupami kursował mały Włoch, uśmiechnięty i elegancko ubrany, Bruno Pagliai, dyrektor Wyścigów i właściciel popularnego sklepu z lampami. Pagliai tonował, trzymał w ryzach i ośmieszał prostackie złośliwości przebiegłych generałów albo milionerów meksykańskich. Tak czy inaczej, dawała się zauważyć oczywista dyskryminacja. Towarzystwo skupione wokół Kościoła Wotywnego, „Księdza” Lopeza Landy i jego przyjaciół okupowało ladę baru, fotele, klubową salę do tańca, zostawiając bogaczy na zdrowym, świeżym powietrzu torów wyścigowych. Dzieci generałów i fabrykantów też pozostawały na marginesie, nie były mile widziane, były, jak to powiedziała mała Chatis Larrazábal, „z innej sfery”. Ale wśród tych „z innej sfery” Danton pewnego dnia odkrył najpiękniejszą dziewczynę, jaką widział w życiu, dziewczynę-marzenie.

„Marzenie” było egzotyczną piękną z Lewantu czy ze Wschodu, z tej części świata, którą historyczne książki nazywają Azją Mniejszą. W rodowodzie Magdaleny Ayub Longoria „Azja Mniejsza” zmieniała jej pozorne defekty – takie jak zrosnięte brwi, wydatny nos, kwadratowa szczeka – w kontrpunkt czy też obramowanie dla oczu arabskiej księżniczki, aksamitnych i rozmarzonych, wymownie patrzących spod nabluszczonych powiek i podniecających jak ukryty seks. Jej uśmiech był tak ciepły, słodki i niewinny, że pasowałby do niego kwef, który w haremie strzegłby jej przed wzrokiem wszystkich, z wyjątkiem własnego męża. Była wysoka, smukła, ale tu i ówdzie zaznaczały się krągłości, które zaledwie można było sobie wyobrazić: w ten sposób, tymi słowami, Danton opisał ją sobie w myślach.

Jego wyobrażenia się nie myliła.

Ujrzał ją pierwszy raz, kiedy piła shirley temple, i z miejsca nazwał ją „Moje Marzenie”. „Marzenie” miało swoje imię i nazwisko, nazywało się Magdalena Ayub i było córką kupca libańsko-syryjskiego – „Turka”, jak mówiono w Meksyku, Simona Ayuba, który przybył tu zaledwie dwadzieścia lat temu i był właścicielem kolosalnej fortuny i neobarokowej rezydencji, najbardziej kiczowatej posesji w całej dzielnicy Po lanco. A na czym się dorobił? Na spekulacji już od czasów Obregona i Callesa, nasilonej w czasie wojny przez podnoszone sztucznie ceny, na eksporcie henekenu, włókna z agawy, nieodzownego dla wojsk alianckich, kupowanego tanio w rolniczych wspólnotach na Yukatanie i sprzedawanego drogo amerykańskiemu towarzystwom; na eksporcie warzyw zimną dla oddziałów jankeskich, na budowie fabryk farmaceutycznych, kiedy amerykańskie lekarstwa przestały tu docierać i ich produkcja w Meksyku stała się o wiele tańsza, na wprowadzaniu na rynek penicyliny i sulfonamidów. On wynalazł czarne włókno, a niewykluczone, że nawet aspirynę! Być może dlatego mówiono o Aspirynie Ayuba, kiedy wspomniano przypadek pewnego generała z czasów rewolucji, który leczył ból głowy swoich żołnierzy celnym strzałem w skroń. Ayub, mimo że swoim wyglądem obrażał Pana Boga, ożenił się ze śliczną panią z przygranicznego miasteczka, jedną z tych, co to są w stanie skusić papieża i doprowadzić do bigamii świętego Józefa. Doña Magdalena Longoria de Ayub... Danton dobrze się jej przyjrzał, bo mówią, że żona z czasem upodabnia się do teściowej: taka żona, jaka teściowa. Duża Magdalena rzeczywiście była duża, ale przeszła próbę. Była – jak to określił Danton w rozmowie z „Księdzem” Lopezem Landa – „apetyczna”. Wylewała się przez dekolt.

– Patrz, Danton, w łoży siedzą matka i córka, ciekawe, do której uderzysz.

– Jak dobrze pójdzie, do obu – odpowiedział Danton. W prawej ręce trzymał kieliszek z manhattanem, a w lewej pali mali.

Uderzył do córki i odniósł sukces. Zaprosił ją do tańca. Wyciągnął dziewczynę z izolowanego kręgu „nowych” i wprowadził do towarzystwa „starych”. Sam się zdziwił, że to on, Danton López Díaz (i Greene, i Kelsen), był tym, który wprowadza za rękę bogatą księżniczkę do zamkniętego kręgu królów panujących na gruzach.

– Oto Magdalena Ayub. Będzie moją żoną. Dziewczyna otworzyła usta ze zdziwienia właściwego dla jej dziesiętnastu wiosen. Ten chłopak żartował. Zaledwie się poznali.

– Słuchaj, moja śliczna. Chcesz wrócić do łóża twoich rodziców i oglądać galopujące klacze czy wolisz sama zostać rasową klaczą, jak to się mówi tutaj o dziewczynach z klasą? Czy ktoś poza mną odważył się podejść do twojej łóża, zagadać do twoich starych i poprosić cię do tańca? I co dalej? Już przedstawiłem cię w towarzystwie, ja, który nie jestem z towarzystwa, żebyś wiedziała, za kogo wyjdiesz, moje marzenie, ja zdobywam to, co chcę, i szkoda twojej cipki – przepraszam cię za wyrażenie, ale taki już jestem, i lepiej, żebyś do tego przywykła – żebyś błąkała się po tym świecie sama, beze mnie. Więc co? Jestem ci potrzebny, czy też nie jestem ci potrzebny, moja piękna? Poszli tańczyć, policzek przy policzku, ona pozwoliła mu na śmiałe pieszczoty, głaskał jej plecy, szyję, gładko wygoloną pachę, kąsał w koniuszek ucha, potem był pierwszy pocałunek, drugi, tysiące pocałunków, błaganie: tylko zewnątrz, marzenie moje; nie, Dan, mam okres; między udami, marzenie moje; czekaj, wezmę chusteczkę; nie bój się, za bardzo mi się podobasz; nie miałam pojęcia o tych sprawach, nie znałam nikogo takiego jak ty, jesteś taki silny, taki pewny siebie, taki ambitny...

– Mam jedną słabość, Magdaleno...

– Jaką, kochanie?

– Zrobię wszystko, żeby mnie podziwiano. Czy rozumiesz, co mówię?

– Sprawię, że to osiągniesz. Przysięgam ci. Niczego ci już nie zabraknie.

...Blue moon I saw you shining along

Rodzina Magdaleny obejrzała go od stóp do głów. On beczelnie przyjrzał im się w taki sam sposób.

– Ten budynek potrzebuje porządnego przemeblowania – oświadczył, patrząc z pogardą na rezydencję w dzielnicy Polanco, neobarokowy przedmiot dumy, pełen stiuków, fałszywych ołtarzy i krat z kutego żelaza. – Dobrze, że chociaż nasz dom będzie w dobrym guście, marzenie moje.

– Ach tak?! – wrzasnął wściekły Ayub. – A któż będzie płacił za te luksusy, kawalerze?

– Pan, mój wspaniałomyślny teściu.

– Nasza córka nie potrzebuje wspaniałomyślności, potrzebuje komfortu – oświadczyła z głupawą wyższością matka z Północy.

– Wasza córka potrzebuje mężczyzny, który by ją szanował, otaczał opieką i wyzwolił z kompleksu niższości i wyizolowania, do czego doprowadziliście ją wy, źli rodzice – wypalił Danton podniesionym głosem i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami tak, że o mały włos nie porozbijał witraży z wizerunkiem papieża Piusa XII błogosławiącego miasto, kulę ziemską i cały ród Ayubów.

Niech wróci. Bo córeczka nie wychodziła z sypialni. Bo nie chciała jeść. Bo płakała cały dzień jak prawdziwa Magdalena.

– Ja nie chcę nic za darmo, don Simón. Niech pan mi nie przerywa i nie patrzy na mnie z takim zniecierpliwieniem, bo ja też stracę cierpliwość. Radzę nad sobą panować. Pan mi nie robi wielkiej łaski, to ja panu robię łaskę i zaraz powiem, dlaczego, niech pan mi wybaczy...

ja oferuję pańskiej córce to, czym nie jest, a czym chciałaby być. Ona jest bogata. Ale potrzebuje akceptacji.

– To już szczyt wszystkiego! Jesteś nikim, jesteś zwyczajnym golcem.

– Ach, więc jesteśmy na „ty”? W porządku, don Aspiryna, jestem tym, czym ty nie możesz być. To proste. Ja jestem tym, co będzie. Co nadchodzi. Przez te dwadzieścia lat nieźle się nachapałeś. Ale weź pod uwagę, ukochany teściu, że przybyłeś do tego kraju, kiedy Caruso śpiewał w „El Toreo”. Twój czas się skończył. Wojna się skończyła. Nadchodzi inny świat. Teraz już się nie będzie wykupywało towarów. W Stanach Zjednoczonych będzie wszystkiego w bród. Już nie będziemy potrzebnym sojusznikiem. Będziemy niepotrzebnym żebrakiem. Mam ci coś powiedzieć, ty Aspiryno?

– Na „pan”, panie Dantonie, na „pan”... proszę.

– No to panu powiem. Teraz będziemy żyć z rynku wewnętrznego albo nie będziemy żyć wcale. Teraz musimy tworzyć bogactwo tu, w kraju, a ludzie będą kupować to, co my wyprodujemy.

– My? Nadużywa pan liczby mnogiej, mój panie.

– My „tak w sobie zakochani”, tak, mój drogi don Simonie. Jeśli pan będzie sprytny i, zamiast wykupywać heneken i wyzyskiwać biednych Majów, otworzy sieć restauracji, hurtowni z artykułami potrzebnymi ludziom, z taną wodą gazowaną w tropikalnym kraju, gdzie każdemu chce się pić, z odkurzaczami, żeby zaoszczędzić pracy paniom domu, z lodówkami, żeby jedzenie się nie psuło, zamiast tych niewygodnych i niesprawnych maszynek do lodu, z aparatami radiowymi, które przynoszą rozrywkę nawet największym biedakom... będziemy krajem klasy średniej. Czy pan nie zdaje sobie z tego sprawy? Niech pan w to wejdzie, szefie, niech pan nie chowa głowy w piasek.

– Jest pan bardzo elokwentny. Słucham, co jeszcze?

– Jeszcze? Meble, konserwy, tania odzież w dobrym guście zamiast poncha i łapci, porządne restauracje w stylu amerykańskim ze źródłkami z wodą sodową itp. zamiast tawern i chińskich kafejek, tanie samochody dla wszystkich, a nie autobusy dla biednych i cadillaki dla bogaczy. Czy pan wie, że mój pradziad był Niemcem? Niech więc pan zapamięta sobie tę nazwę: volkswagen, samochód dla ludu. Niech pan pozwoli, żeby weszły do Meksyku niemieckie fabryki, pan dostanie licencję volkswagena na Meksyk, odda mi pan połowę akcji i żyć nie umierać, panie Aspiryna. Będziemy mogli spać spokojnie. Przysięgam!

Tam wszyscy się znają – mówi Danton rodzicom i bratu. Ale na tym nie koniec. Tylko oni, oni, oni. Ja tym cholernym mumiom z epoki Porfiria Diaza pokażę dzisiejszy świat. Nauczyłem się imitować, no wiecie, ton głosu, sposób ubierania się, różne odżywki, np. *ciao* i „niech Bóg broni”, i „gablota”. Rozpracowałem to społeczeństwo tak, jak się obrabia mięso na pieczeń w restauracji. Na Lopezie Landzie sprawdziłem, że młody człowiek podziwiał w innym młodym człowieku to, czego sam nie posiada. Ja o tym wiedziałem i tym z Klubu Jeździeckiego zaoferowałem coś, czego im brakowało, i stałem się interesujący. Także Magdalenie oferuję to, o czym marzy: chce być bogata, ale fascynująca. Daję jej do zrozumienia: nie jesteś taka, jaką mogłabyś być, marzenie moje, ale ja sprawię, że tak się stanie. Ayubowie myśleli, że robią mi wielką łaskę i że mogą mi rzucać kłody pod nogi. Guzik. Kłody trzeba przerzucać na innych, jakby to był prezent, i na tym rzecz polega.

– Twoja rodzina mnie nie lubi, marzenie moje.

– Moja w tym głowa, żeby cię polubili, Dantonie.

– Nie chcę cię obarczać takim kłopotem.

– To nie kłopot. To mój prezent dla ciebie, kochany, jedyny. Są straszliwie bogaci – opowiadał Danton. – Całe życie zbijali fortunę na coś, co nigdy nie nadejdzie. Zagubili powody, dla których chcieli być tacy bogaci. Ja im je przypomnę. Ale to będą moje własne powody. Mamo, tato, ślub w przyszłym miesiącu, jak tylko dostanę dyplom z ekonomii. Jestem człowiekiem sukcesu, dlaczego mi nie gratulujecie?

– Mój brat mnie przytłacza – powiedział Santiago do Laury – czuję się przy nim gorszy, głupszy. On ma gotowe odpowiedzi na wszystko, a mnie zawsze przychodzą do głowy po czasie, kiedy jest już za późno, dlaczego tak jest?

– Jesteście tak różni – tłumaczyła mu. – Danton stworzony jest dla świata zewnętrznego, ty zaś dla wewnętrznego, gdzie odpowiedzi nie muszą być ani natychmiastowe, ani błyskotliwe, gdyż tam liczą się właśnie pytania.

– A czasami nawet w ogóle nie ma odpowiedzi – zauważył Santiago wyciągnięty na łóżku. – Są tylko pytania. Masz rację.

– Tak, synku. Aleja w ciebie wierzę.

Z wysiłkiem podnosił się i podchodził do sztalug, trudno było odróżnić gorączkę choroby od gorączki twórczej.

Siedział przy sztalugach i emanowały z niego i to rozgorączkowanie, i te wątpliwości. Laura czuła to na własnej skórze. To było normalne, tak reagował, od kiedy poczuł powołanie do malarstwa; codziennie zaskakuje siebie samego, czuje się odmieniony, odkrywa w sobie innego człowieka.

– Ja też to odkrywam, ale mu tego nie mówię. Juan Francisco, proszę, zbliż się trochę do niego.

Juan Francisco kręcił przecząco głową. Nie chciał. Nie potrafił. Santiago żył w świecie, którego on nie rozumiał, nie wiedział, co powiedzieć własnemu synowi, nigdy nie mieli ze sobą bliskiego kontaktu, czy to nie byłoby fałsz zbliżyć się do niego teraz, kiedy jest chory?

– To nie tylko to. Santiago jest nie tylko chory.

Juan Francisco nie rozumiał, że człowiek chory i artysta to synonimy. To tak, jakby wyobrazić sobie dwustronne lustro, które choć jest jedną taflą, każdą ze stron odbiera inną rzeczywistość; choroba i sztuka to dwie rzeczywistości, może nie bliźniacze, ale często bratnie. Co było istotą, co nadawało treść pełnym bólu dniom tego chłopca, choroba czy sztuka?

Laura patrzyła na śpiącego syna. Lubiała być przy jego łóżku, kiedy się budził. Zauważyła coś: budzi się zaskoczony, ale nie wiadomo było, czy dziwi go, że jeszcze żyje, czy też to, że będzie miał jeszcze jeden dzień na malowanie.

Czuła się wyłączone poza nawias. Sama przyznawała, że chciałaby być częścią tego, co synowi wypełniało każdy dzień: Laura, moja matka, Laura Díaz jest częścią mojego dnia. Była przy nim, u jego boku, zostawiła wszystko, żeby się nim opiekować, ale Santiago nigdy nie okazywał, że to docenia – mówiła Laura, po prostu była przy nim, a on to akceptował bez podziękowań.

– Być może nie ma powodów do wdzięczności, i ja muszę to zrozumieć i uszanować.

Pewnego dnia poczuł się lepiej i poprosił matkę, żeby zaprowadziła go na balkon w salonie, gdzie siadywali wieczorami. Stracił tyle na wadze, że mogłaby go wziąć na rękę, czego nie robiła, kiedy był mały, bo wtedy wychowywał się w dalekiej Xalapie u Mutti i ciotek. Teraz matka mogła wyrzucać sobie takie postępowanie, tamte fałszywe argumenty, że Juan Francisco zaczynał swą karierę polityczną i nie było czasu dla dzieci, i te jeszcze mniej przekonujące, że ona, Laura Díaz, chciała być niezależna, przeszkadzały jej dzieci i nawet mąż, że była prowincjonalną dziewczyną, która wyszła za mężczyznę szesnaście lat starszego od siebie, więc przyszedł jej czas, że chciała poznać ryzyko, uczyć się życia. Czy zakonnica Gloria Soriano nie była tylko pretekstem, żeby porzucić dom? Ważni byli Orlando Ximénez i Carmen Cortina, Diego i Frida w Detroit, nieważne było dziecko noszone na rękach i noszące w sobie tyle obietnic, ten Santiago z czołem tak jasnym, że można było na nim wyczytać sławę, talent i piękno. Nigdy, przysięgła sobie, nigdy więcej nie zostawi bez opieki dziecka, które zawsze, zawsze nosiło w sobie wszystkie obietnice, całe piękno, całą czułość i cały talent świata.

Teraz tamten stracony czas nagle wrócił i obnosił twarz pełną winy. Czy dlatego Santiago nie wykazywał wdzięczności za matczyne zachody, że przychodziły za późno? Prawdziwe macierzyństwo wyłączało oczekiwanie jakiegokolwiek wdzięczności czy uznania. Musi jej wystarczyć chwila czułości, bez uzasadnienia i podziękowań.

Laura usiadła i razem z synem patrzyła na pejzaż miasta, które teraz rzeczywiście zmieniało się w oczach, wieżowce wyrastały wszędzie jak grzyby po deszczu. Stare „taxi” zostały wyposażone w taksometry, początkowo niezrozumiałe i podejrzane dla klientów, rozlatujące się ciężarówki zostały zastąpione ogromnymi autobusami buchającymi parą czarną jak oddech nietoperza, a żółte tramwaje z lakierowanymi ławkami i tablicami z przebiegiem trasy – trolejbusami, groźnymi jak przedpotopowe bestie. Pracownicy już nie wychodzili o drugiej na obiad i nie wracali do zakładu o piątej, przyjęto amerykański zwyczaj pracy ciągłej. Znikali kataryniarze, handlarze starzyzną i ostrzyciele noży i nożyczek. Umierały małe sklepiki spożywcze, tytoniowe i te z mydłem i z powidłem, a towarzystwa telekomunikacyjne w końcu się połączyły, Laura przypomniała sobie Maurę (już prawie nigdy o nim nie myślała) i odbiegła myślą od tego, co mówił Santiago, siedzący na balkonie w szlafroku, z bosymi stopami: kocham cię, miasto, moje miasto, kocham cię, bo nie boisz się odkryć w swoim ciele duszy, kocham cię, bo myślisz naskórkiem, bo nie pozwalasz mi się ujrzeć, póki nie wysnę cię wcześniej jako twój zdobywca, i chociaż wyschły twoje wody, miasto na lagunie, masz litość i napełniasz mi dłonie wodą, kiedy muszę powstrzymać płacz, bo sam twój widok pozwala mi cię nazwać i sama twoja nazwa pozwala mi cię widzieć, dziękuję ci, żeś mnie wymyśliło, żebym ja z kolei mógł wymyślić cię, miasto Meksyk, dziękuję ci, że pozwalasz mi mówić do siebie bez gitar, kolorów i wystrzałów i śpiewać ci pieśni pośród kurzu i wiatru, obiecując, że cię nie zapomnę, że cię wskreszę, chociaż sam przestanę istnieć, że cię nazwę, że będę cię widział w ciemności, miasto Meksyk, a ty w zamian obiecaj mi tylko jedno – że zachowasz mój obraz, kiedy mnie już nie będzie tutaj, na balkonie, obok matki...

– Do kogo mówisz, synku?

– Do twoich pięknych rąk, mamo...

– ...Śpiewam dzieciństwu, które jest moją drugą matką, śpiewam młodości, która jest tylko jedna, nocom, których już nie zobaczę, snom, które tu zostawiam, żeby miasto mi ich strzegło, miasto Meksyk, które wiecznie będzie na mnie czekać...

– Kocham cię, moje miasto, kocham.

Laura, prowadząc go z powrotem do łóżka, zrozumiała, że to wszystko, co syn mówił do świata, mówił również do niej. Nie potrzebował mówić wprost, słowa mogłyby go zdradzić. Ta miłość, która żyła bez słów w głębokiej, wilgotnej glebie codziennego obcowania, mogłaby wyschnąć wyciągnięta na powierzchnię. Milczenie między nimi mogło być wymowne.

– Nie chcę siać zamętu, nie lubię sprawiać kłopotu. Milczenie. Spokój. Samotność. To nas łączy, myślała Laura, trzymając rozpaloną rękę syna w swoich dłoniach. Życie obok siebie w milczeniu, obok siebie, ale dla tej drugiej osoby, bez mówienia o tym, jest wyrazem najwyższego szacunku i czułości. Nie ma potrzeby o tym mówić. Dosłowność mogłaby być zdradą tej czułości tak głębokiej, że wyraża się jedynie poprzez ciszę równoważną z pasmem wspólnych sekretów, domysłów, życzliwych gestów.

To wszystko przeżywali Laura i Santiago, kiedy chłopak umierał, obydwoje wiedzieli, że umiera, ale w tajemnej zмовie, przewidujący przyszłość i wdzięczni sobie nawzajem, gdyż jedynym uczuciem, jakie postanowili bez słów odpędzić od siebie, była litość. Błyszczące oczy Santiago, zapadające się coraz głębiej, mówiły światu i matce – bo te dwa pojęcia na zawsze zlały się w jedno w duszy syna – nikt nie ma prawa litować się nade mną. Nie dopuszczajcie się wobec mnie zdrady swoim współczuciem... będę mężczyzną do końca.

Ile ją kosztowało, żeby nie użalać się nad synem, nie tylko żeby tego żalu nie okazywać, ale żeby go wyrwać z duszy i nie pozwolić, by wyczierał z oczu. Nie tylko udawać, że go nie czuje, ale go nie odczuwać, bo pobudzone, naelektryzowane zmysły Santiago wychwytywały fałsz natychmiast. Litość może być zdradą; te słowa Laura powtarzała sobie przed zaśnięciem każdej nocy, spędzanej teraz na składanym łóżku obok rozpalonego, wycieńzonego syna – syna, z którym wiązała tyle nadziei, syna uwielbianego do końca.

– Synku, czego byś chciał, co mogę dla ciebie zrobić?

– Nic, mamó. A co ja mogę zrobić dla ciebie?

– Wiesz, chciałabym wykraść wszystko, co najlepsze i najwspanialsze na świecie, i dać ci w prezencie.

– Dziękuję. Już to zrobiłaś, nie wiedziałaś o tym?

– Co jeszcze? Może coś jeszcze?

Co jeszcze? Może coś jeszcze? Siedząc na skraju łóżka chorego, Laura Díaz przypomniła sobie nagle rozmowę między braćmi, którą niechcący podsłuchiwała, tylko dlatego zresztą, że do Santiago, który zawsze zostawiał drzwi do swojej sypialni otwarte, przyszedł z niespodziewaną wizytą Danton.

Ojciec i matka bardzo się o nas martwią, wyraził swoje przypuszczenie Danton, dla każdego z nas wymyślają zbyt wiele dróg... jak to dobrze, że nasze ambicje nie zahaczają o siebie, powiedział Santiago, unikamy przez to spieć... A jednak ty uważasz, że twoja ambicja jest dobra, a moja zła, prawda? – naciskał Danton... Nie, zaprzeczył Santiago, to nie tak, że twoja jest zła, a moja dobra czy odwrotnie, po prostu jesteśmy skazani na to, żeby ją realizować, a przynajmniej próbować... Skazani, roześmiał się Danton, skazani?

Teraz Danton był już po ślubie z Magdaleną Ayub Longoria i mieszkał – jak zawsze marzył – w Alei de los Virreyes w dzielnicy Las Lomas de Chapultepec. Młoda para uniknęła straszliwego neobaroku w dzielnicy Polanco i zamieszkała w nie rzucającym się w oczy domu o prostych geometrycznych kształtach, wybudowanym przez architekta Maria Paniego. Laura widywała coraz rzadziej swojego młodszego syna. Tłumaczyła się przed sobą, że on też nie szuka jej towarzystwa, ale musiała przyznać, że ona gorączkowo poszukuje towarzystwa Santiago. Właściwie nie musiała go szukać, miała syna, osłabionego nawrotami choroby, w rodzinnym domu. Nie był jej więźniem. Santiago był młodym artystą na początku swej drogi, której nic nie mogło przekreślić, gdyż była to droga sztuki, gdzie tworzy się dzieło żyjące dłużej niż sam artysta.

Dotykając rozpalonego czoła Santiago, Laura zadawała sobie pytanie, czy ten młody artysta, który jest jej synem, nie utożsamia zbyt wiele pojęć inicjacji i ostatecznego podsumowania. Powykręcane ciała na jego erotycznych obrazach nie były zapowiedzią, były konkluzją. Nie były początkiem, były, nieodwołalnie, końcem. Każde było skończoną formą. Świadomość tego przepelniała żalem serce Laury; ona chciałaby być świadkiem pełnego rozwoju talentu artysty, którego szczęście zależy od własnej kreatywności. To niesprawiedliwe, że zdradziło go jego własne ciało, że to ciało, na nieszczęście, nie zależało od woli ani jego samego, ani jego matki.

Nie miała zamiaru się poddawać. Obserwowała syna przy pracy, był nieobecny, zafascynowany, malował tylko dla siebie, tak jak powinno być. Jakkolwiek potoczy się los jego obrazów, mój syn oddał w nich swój talent, ale nie starczy mu czasu na podbój świata, będzie pracował, puszczał wodze wyobraźni, ale zabraknie mu czasu na produkcję: jego malarstwo jest koniecznością, to jego nagroda, mój syn nie może nikogo zastąpić ani sam zostać zastąpiony w tym, co tylko on robi; nieważne, ile ma na to czasu, w jego dziele nie ma frustracji, chociaż jego życie zostanie przecięte, postępy, jakie poczynił, są zdumiewające, człowiek, który poświęca się sztuce, przeżywa jedno zdumienie za drugim, jedno objawienie za drugim...

– Tylko praca jest coś warta – miał zwyczaj powtarzać Santiago, kiedy malował. – Artysta nie istnieje.

– Ty jesteś artystą, a twój brat jest wyrobnikiem – odważyła się powiedzieć Laura. – Taka jest różnica.

Santiago roześmiał się, jakby niemal oskarżał ją o to, że odsłoniła swoją trywialność.

– Nie, mam, lepiej, że jesteśmy różni, niż gdybyśmy mieli być wewnątrznie podzieleni.

Zawstydziła się swojej trywialności. Nie chciała robić żadnych porównań, które by kogokolwiek raniły czy poniżały. Chciała mu tylko powiedzieć: to było cudowne patrzeć, jak rosłeś, zmieniałeś się, tworzyłeś nowe życie, nigdy nie chcę zadawać sobie pytania, czy mój syn mógłby być dorosły, bo ty już jesteś dorosły, patrzę, jak malujesz, i wydaje mi się, że będziesz żył sto lat, mój ukochany synu, ja posłuchałam cię od razu, od chwili, kiedy poprosiłeś bez słowa: mam, tato, bracie mój, pomóżcie mi wydobyć na zewnątrz to, co noszę w środku, pozwólcie mi powiedzieć, kim jestem...

Nie zrozumiała do końca tego błagania, zwłaszcza w kontekście innej zaskakującej rozmowy między braćmi, kiedy Danton powiedział do Santiago: ciało ma to do siebie, że może nam w każdej chwili dać zadowolenie, a Santiago na to, że także może nas w każdej chwili zdradzić; dlatego trzeba chwycić każdą okazję, odpowiedział Danton, i znowu Santiago:

– Inne przyjemności kosztują, trzeba się nad nimi napracować... i obydwaj jednocześnie:

– A i tak nam uciekną... – i wybuch śmiechu, braterskiego, porozumiewawczego...

Danton nie bał się niczego z wyjątkiem choroby i śmierci. To zdarza się wielu mężczyznom. Potrafią stanąć do walki wręcz w okopie, ale nie zniosą widoku bólu porodowego. Szukał różnych pretekstów, żeby coraz rzadziej bywać w domu rodziców przy Alei Sonora. Wolał dzwonić i pytać o Santiago, chociaż Santiago nie znosił telefonów, uważał je za straszliwe urządzenie rozpraszające uwagę, wynalezione dla torturowania artystów, jak to dobrze było w dzieciństwie, kiedy przy dwóch systemach Ericssona i Mexycany tak trudno było się dodzwonić.

Spojrzał na Laurę.

To było wcześniej, jeszcze zanim choroby zaczęły pojawiać się z coraz większą częstotliwością i lekarze nie potrafili wytłumaczyć postępującego osłabienia chłopca, braku odporności na infekcje, niezrozumiałego wyniszczenia systemu immunologicznego, a to, czego nie mówili lekarze, mówiła sobie Laura Díaz: mój syn musi spełnić swoje życie, ja biorę to na siebie, nic nie ma znaczenia, choroba, nieskuteczne leki, porady lekarzy, muszę dać synowi to wszystko, co powinien by mieć, gdyby żył sto lat, dam mu miłość, satysfakcję, przekonanie, że za życia nie brakowało mu niczego, niczego, niczego...

Czuwała nocami nad jego snem i zadawała sobie pytania: co ja sama mogę ocalić z mojego syna artysty, co przetrwałoby dłużej niż echo śmierci? Z ukłuciem w sercu stwierdziła, że chciałaby nie tylko dać synowi to wszystko, na co zasługiwał, ale również ona, Laura Díaz, chciała dostać to, co syn mógł jej dać. On potrzebował, żeby mu dawano, ona również. Ona chciała dawać. Czy on również?

Santiago Młodszy, kiedy jeszcze swobodnie się poruszał, tak jak wszyscy malarze lubił oddalać się od swoich obrazów i przyglądać się im z pewnej odległości.

– Szukam ich, jakby były kochankami, a widzę w nich upiory – próbował żartować.

Zareagowała na te słowa później, kiedy Santiago już nie mógł ruszać się z łóżka i ona musiała kłaść się obok niego, żeby go pocieszać, żeby rzeczywiście być u jego boku, żeby go wspierać...

– Nie chcę cię stracić.

Nie chciała go stracić, to znaczy nie chciała stracić tej części siebie samej, którą stanowił jej syn.

– Opowiedz mi o swoich planach, pomysłach.

– Mówisz tak, jakbym miał żyć sto lat.

– W jednym dniu sukcesu mieści się sto lat życia – szepnęła Laura bez obawy, że zabrzmiało to jak banał.

Santiago roześmiał się.

– Więc warto odnieść sukces?

– Nie. – Odgadła, co ma na myśli. – Czasem lepsza jest nieobecność, cisza...

Laura nie miała zamiaru wyliczać tego, czego ten utalentowany chłopak, umierający w wieku dwudziestu siedmiu lat, nie będzie mógł zrobić, poznać, zakosztować... Młody malarz był jak rama bez obrazu, którą ona chciałaby wypełnić własnymi doświadczeniami i wspólnymi planami, chciałaby zawieźć syna do Detroit, żeby zobaczył mural Rivery w Instytucie Sztuki, chciałaby razem z nim zwiedzać legendarne muzea, Galerię Uffizi, Luwr, Mauritshuis, Prado...

Chciałaby...

Spać z tobą, wejść do twego łóżka, tę bliskość i sen zamienić w formy, wizje i wyzwania, we własną siłę, którą chciałabym dać tobie, kiedy cię dotykam, kiedy szepczę ci do ucha, twoje krańcowe wycieńczenie zagraża bardziej mnie niż tobie i chcę wypróbować twoją siłę, powiedzieć ci, że twoja i moja siła wzajemnie od siebie zależą, że moje pieśczęty, Santiago, są twoimi pieśczętami, których nie zaznałeś ani nie zaznasz, przyjmij moją bliskość, przyjmij ciało swojej matki, nic nie rób, mój synku, ja cię urodziłam, nosiłam cię w sobie, ja jestem tobą, a ty jesteś mną, będę robiła to, co ty byś zrobił, twoje ciepło jest moim ciepłem, moje ciało jest twoim ciałem, nic nie rób, ja będę robiła to za ciebie, nic nie mów, ja będę mówiła za ciebie, zapomnij tę noc, ja za ciebie zapamiętam ją na zawsze...

– Synku, czego byś chciał, co mogę dla ciebie zrobić?

– Nic, mamó. A co ja mogę zrobić dla ciebie?

– Wiesz, chciałabym wykraść wszystko, co najlepsze i najwspanialsze na świecie, i dać ci w prezencie.

– Dziękuję. Już to zrobiłaś, nie wiedziałaś o tym?

Nigdy o tym nie opowiedzą. Santiago kochał jak we śnie. Laura śniła jak w miłosnym akcie. Ich ciała stały się tym, czym były na początku, nasieniem każdego z nich w ciele drugiego. Ona odrodziła się w nim. On zabił ją tej jednej nocy. Nie chciała myśleć o niczym. Pozwalała, by przez głowę przelatywało w oszałamiającym tempie tysiące ulotnych obrazów, zapach deszczu w Xalapie, drzewo dymu w Catemaco, bogini w klejnotach z El Zapotal, myte w rzece zakrwawione race, zielone drzewo na pustyni, araukaria w Veracruz, rzeka wpadająca z hukiem do Zatoki, pięć krzeseł na balkonie z widokiem na Lasek Chapultepec, sześć nakryć z serwetkami w srebrnych obrączkach, lalka Li Po, ciało jej brata Santiago znikające w morzu, obcięte palce babki Cosimy, artretyczne palce ciotki Hildy próbujące grać na pianinie, poplamione atramentem palce ciotki poetki, Virginii, szybkie i pracowite palce Mutti Letycji, przygotowujące *huachinango* w kuchniach Catemaco, Veracruz, Xalapy, opuchnięte stopy cioteczki w tańcu na rynku, otwarte ramiona Orlanda, zapraszające ją do walca na hacjendzie, Jorge Maura i jego miłość, miłość, miłość...

– Dziękuję. Nie wiedziałaś o tym?

– Co jeszcze? Może coś jeszcze?

– Nie zostawiaj otwartych klatek.

– Wróć. To dobre i przywiązane ptaki.

– Ale koty nie.

Objął ją bardzo mocno. Przytulona do syna, nie zamknęła oczu. Wokoło stały białe ramy, skończone obrazy opierały się o siebie jak śpiąca piechota, kolorowa armia, defilada spojrzeń, które mogłyby, a może nigdy nie mogłyby pobudzić do życia na krótką chwilę tych płócien, z których każde miało podwójną egzystencję, w zależności od tego, czy ktoś na nie patrzył, czy nie.

– We śnie myślałam, co się dzieje z obrazami, kiedy zamykają się muzea i zostają same w nocy.

To był temat jego obrazów. Nagie pary, które patrzą na siebie i nie dotykają się, jakby speszzone, że sieje ogląda. Ciała na jego płótnach nie były piękne ani klasyczne, miały w sobie coś zdegenerowanego, a nawet demonicznego. Odzwierciedlały pokusę, ale nie fizycznego zbliżenia, tylko pokazania się cudzym oczom w momencie, kiedy dwoje ludzi staje się parą kochanków. To było ich piękno, pomiędzy przyćmionych szarości albo bladych różów tła wybijały się na pierwszy plan jak intruz nie przewidziany przez Boga, jakby w artystycznym świecie Santiago Bóg nigdy nie zaakceptował tego intruza, swojego rywala, człowieka...

– Nie myśl, że nie pogodziłem się ze śmiercią. Nie pogodziłem się z tym, że już nie będę pracował. Nie wiem, od jakiegoś czasu słońce nie świeci mi w twarz każdego rana, jak dawniej. Nie rozsuwasz zasłon, mammo?

Laura rozsunęła zasłony, żeby wpuścić światło do pokoju, obróciła się i spojrzała na łóżko. Jej syna już tam nie było. W powietrzu unosił się milczący lament.

XVII. Lanzarote: 1949

1

Nie powinnaś była tu przyjeżdżać. Ta wyspa nie istnieje. To fatamorgana na afrykańskiej pustyni. To kamienna tratwa, która oderwała się od Hiszpanii. To wulkan, który zapomniał wybuchnąć w Meksyku. Uwierzysz w to, co zobaczysz, a po powrocie zdasz sobie sprawę, że tam niczego nie ma. Podpłyniesz parowcem do czarnej fortecy, która wyłania się z Atlantyku jak daleki duch Europy. Lanzarote jest kamiennym okrętem zakotwiczonym na chwilę przy afrykańskich piaskach; ale kamienie wyspy są gorętsze niż słońce pustyni.

To wszystko jest fałszywe, to nasz codzienny kataklizm, który wydarzył się nad ranem, nie miał czasu stać się historią i zniknie w najmniej spodziewanym momencie, tak jak się pojawił, w ciągu jednej nocy. Patrzysz na ogniste wierzchołki, które górują nad krajobrazem, i pamiętasz, że nie było ich dwieście lat temu. Najwyższe i najpotężniejsze szczyty wyspy narodziły się niedawno i rodząc się, niszczyły, grzebały pod wrzącą lawą wątle winnice, i zaledwie uspokoiła się pierwsza erupcja, ta sprzed stu lat, wulkan znowu zaczął ziewać i swym gorącym tchnieniem spalił wszystkie rośliny i pokrył pyłem wszystkie dachy.

Nie powinnaś była tu przyjeżdżać. Co cię znowu do mnie przygnało? Nic tu nie jest pewne. Jak zmieszczą się w środku podmorskiego krateru i piaskowe góry, i jezioro bardziej błękitne niż morze i niebo? Co zyskasz na tym, że spotkamy się tam pod falami, gdzie będziemy wyglądać jak dwa duchy oceanu, który zawsze powinien nas dzielić. Czy teraz mamy się spotkać na wstrząsanej spazmami wyspie, gdzie ogień został pogrzebany za życia?

Popatrz, wystarczy zasadzić drzewo na głębokość niecałego metra, aby jego korzenie zapłonęły. Wystarczy przechylić dzban z wodą nad jakąkolwiek dziurą, aby woda zawrzała. I gdybym ja mógł ukryć się w labiryncie wulkanicznych korytarzy Lanzarote, które przypominają podziemny ul, zrobiłbym to i nigdy byś mnie nie znalazła. Dlaczego mnie szukałaś? Jak mnie odnalazłaś? Nikt nie powinien wiedzieć, że tu jestem. Przyjechałaś i nie mam odwagi na ciebie spojrzeć. Nie, to kłamstwo; przyjechałaś i nie chcę, żebyś na mnie patrzyła. Nie chcę, żebyś mnie porównywała do tamtego mężczyzny sprzed dziesięciu lat, którego poznałaś w Meksyku – dziesięć lat, dziesięć wieków pomiędzy tamtym i tym spotkaniem, jeśli w ogóle przyjmujemy, że piekło ma historię i diabeł liczy czas. On także jest częścią wieczności. Dzień dzisiejszy to zupełnie inny dzień niż tamten sprzed dziesięciu lat, kiedy ci powiedziałem: „Zostań jeszcze chwilę...”

Już pewnie zapomniałaś nasze dyskusje z Basilem Baltazarem i Gregoriem Vidalem i będziesz się śmiała, Lauro, wszystkie nasze argumenty straciły rację bytu, nieszczęścia, śmierć, niewytłumaczalne okrucieństwo, narażanie życia. Co z nas zostało, Lauro, tylko ten moment sprzed dziesięciu lat, kiedy nasze oczy się spotkały i moje zatonęły w twoich, a twoje w moich, i zapytałaś, dlaczego tak się różnię od innych mężczyzn, a ja ci odpowiedziałem bez słów: „bo patrzę tylko na ciebie”.

Zostaje prawda, którą właśnie widzisz, widzisz twojego dawnego kochanka, ukrywającego się na wyspie u wybrzeży Afryki? A ostatni raz widziałas go w Meksyku, w twoich ramionach, w hotelu przy parku, wśród sosen i eukaliptusów... Czy to jest ten sam mężczyzna? Czy wiesz, czego szukał tamten człowiek, a czego szuka ten, którego teraz widzisz? Czy to ta sama rzecz, czy dwie różne rzeczy? Bo ten człowiek szuka, Lauro, tylko

tobie odważę się powiedzieć, że ten człowiek, który cię kochał, czegoś w tej chwili szuka. Czy ośmielisz się spojrzeć na mnie i powiedzieć mi prawdę: co widzisz?

Dziesięć lat niewidzenia daje prawo do zafałszowania życiorysów, żeby wytłumaczyć nasze miłosne przygody i usprawiedliwić zmiany na naszych twarzach. Mógłbym ci skłamać, tak jak przez lata okłamywałem samego siebie. Nie dotarłem na czas tamtego dnia, kiedy się rozstaliśmy. Kiedy znalazłem się na Kubie, „Prinz Eugen” już odpłynął z powrotem do Niemiec. Nie mogłem nic zrobić. Rząd amerykański odmówił azylu pasażerom – wszyscy oni byli Żydami uciekającymi z Niemiec. Rząd kubański zastosował się, jeśli nie do instrukcji, to do przykładu Stanów Zjednoczonych. Być może sytuacja Żydów pod rządami Hitlera jeszcze nie przemawiała do publicznej świadomości Amerykanów. Co bardziej prawicowi politycy sugerowali izolacjonizm, stawianie czoła Hitlerowi było niebezpieczną iluzją, lewicową pułapką, Hitler wprowadził do Niemiec porządek i dobrobyt, Hitler był niebezpieczeństwem wymyślonym przez perfidny Albion, żeby wmieszać jankesów w nową fatalną europejską wojnę, Roosevelt był bezwstydnikiem, który szukał konfliktów międzynarodowych, żeby okazać się niezastąpionym i wygrywać jedną kampanię wyborczą za drugą. Niech Europa sama popełnia samobójstwo. Ratowanie Żydów nie było popularne w kraju, gdzie Hebrajczykom odmawiano wstępu do klubów golfowych, do drogich hoteli i publicznych basenów, tak jakby byli nosicielami dzumy. Roosevelt był prezydentem pragmatykiem. Nie liczył na poparcie w sprawie zwiększenia kontyngentu emigrantów zaaprobowanego przez Kongres. Ustąpił. *Fuck you.*

Mógłbym ci skłamać. Przybyłem na Kubę w tym samym tygodniu, kiedy cię zostawiłem i otrzymałem pozwolenie wejścia na statek. Miałem hiszpański paszport dyplomatyczny, a kapitan był uczciwym człowiekiem, temu marynarzowi starej daty bardzo przeszkadzała na statku obecność agentów gestapo. Ci, słysząc nazwę Hiszpania, podnieśli ręce w faszystowskim powitaniu. Uważali, że wojnę mają już wygraną. Ja też im zasalutowałem. Jakie znaczenie mogły mieć symbole? Chciałem uratować Raquel.

Moją uwagę zwróciła wyjątkowa, młodzieńcza uroda jednego z agentów, nazywał się Zygfryd, nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, był jasnowłosy i niewinny, na jego twarzy nie było granicy między starannie wygoloną szczęką a policzkami pokrytymi jasnym meszkiem, natomiast jego towarzysz, niski sześćdziesięcioletni mężczyzna, gdyby go pozbawiono munduru, wysokich butów i nazistowskiej opaski, mógłby wyglądać na księgowego w banku, konduktora w tramwaju albo sprzedawcę konserw. Nosił *pince-nez*, małe wąsik, wyrastający mu jak skrzydełka muchy po obu stronach pionowego wgłębienia nad górną wargą, którą miecz Boga Izraela rozcinał nowo narodzonemu, żeby zapomnieli o swojej nieograniczonej prenatalnej pamięci genów. Oczy tego człowieczka niby dwa zdechłe śledzie topiły się w głębi czerepu jego łysej głowy. Uosabiał wszystko, tylko nie policjanta, nie kata.

Pozdrowili mnie podniesioną do góry ręką, człowieczek zawołał: *Viva Franco!* Oddałem mu pozdrowienie.

Znalazłem ją siedzącą w kucki na dziobie statku, przy maszcie, z którego zwisała czerwona flaga z czarną swastyką. Nie patrzyła na zamek El Morro ani na miasto. Patrzyła na morze, w stronę, skąd przybyła, jakby chciała spojrzeniem wrócić do Fryburga, do naszego uniwersytetu i naszej młodości.

Dotknąłem jej ramienia, nie musiała na mnie patrzeć, z zamkniętymi oczami objęła mnie za kolana i wybuchnęła żalonym płaczem, niemal krzykiem, ten krzyk już nie należał do niej, lecz bił w niebo Hawany jak chóralny hymn, co dotarł tu z Europy i znalazł przekaźnik w głosie kobiety, którą miałem uratować.

- Za cenę mojej miłości do ciebie do...
- Naszej miłości na...

– Dlaczego nikt nam nie pomaga? – zapytała ze szlochem – dlaczego Amerykanie nie pozwalają nam wysiąść, dlaczego Kubańcy nie dają nam azylu, dlaczego papież nie odpowiada na błaganie swojego i mojego ludu, *Eli, Eli, lamma sabachtani!* Dlaczego nas opuściłeś, Boże, czyż nie jestem jedną z czterystu milionów wiernych, których Ojciec Święty może zmobilizować, żeby uratować mnie, tylko mnie, Żydówkę nawróconą na katolicyzm...?

Głaszcząc ją po głowie, powiedziałem, że to ja przybyłem jej na ratunek. Włosy miała potargane przez huraganowy, zimny wiatr tego lutowego ranka na Kubie. Widziałem rozwiane włosy Raquel, widziałem siłę wiatru, ale flaga Rzeszy na dziobie zwisła nieruchomo, nie falowała na wietrze, jakby była obciążona ołowiem.

– Ty?

Raquel podniosła na mnie swe mroczne spojrzenie, brwi miała czarne i zrosnięte, ciemną sefardyjską karnację, podobne do owocu usta, półotwarte w płaczu i modlitwie, długi nos – i mogłem wreszcie zobaczyć jej oczy.

Powiedziałem, że jestem tu, żeby ją zabrać ze statku, że chcę się z nią ożenić, bo to jedyny sposób, żeby została w Ameryce, jako moja żona będzie obywatelką hiszpańską, już nie będą jej mogli tknąć, władze kubańskie wyraziły zgodę, kubański sędzia przybędzie na statek, żeby dać nam ślub...

– A kapitan? Kapitan nie ma prawa udzielić nam ślubu?

– Jesteśmy na wodach kubańskich, nie ma...

– Kłamiesz. Ma prawo. Ale się boi. Wszyscy się boimy. Te bestie zdołały zastraszyć cały świat.

Wziąłem ją za ramiona; statek odpływa z powrotem za parę godzin i nikt nigdy nie zobaczy tych Żydów po ich powrocie do Rzeszy, nikt, Raquel, ty i inni pasażerowie tego statku sami jesteście winni tego, że opuściliście Rzeszę i nie znaleźliście schronienia, już słyszę, jak Führer wybucha śmiechem: skoro nikt was nie chce, to dlaczego ja miałbym was potrzebować?

– Czemu następca świętego Piotra, który był żydowskim rybakim, nie oskarża prześladowców jego potomków Żydów?

Niech o tym nie myśli, zostanie moją żoną i wspólnie będziemy walczyć przeciwko złu, bo w końcu poznaliśmy oblicze zła, wśród całego cierpienia naszych czasów przynajmniej to zyskaliśmy, już wiesz, jaką twarz ma Szatan, Hitler zdradził Szatana, nadając mu twarz, którą Bóg mu odebrał, strącając go w otchłań, huragan, taki jak ten, który zbliża się teraz do Kuby, zatarł rysy twarzy Lucyfera, jego twarz stała się biała jak prześcieradło, a to prześcieradło wpadło do krateru piekła i przykryło ciało diabła i teraz czeka on na dzień swojego powtórnego przyjścia, tak jak przepowiedział święty Jan: ...i ujrzałem Bestię wychodzącą z morza, mającą dziesięć rogów i siedem głów... i Bestii pokłon oddali, mówiąc, któż potrafi rozpocząć z nią walkę? I dano jej usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa i dano jej wszcząć walkę ze świętymi i zwyciężyć ich...⁷ Teraz już wiemy, kim jest Bestia widziana oczami wyobraźni świętego Jana. Będziemy walczyć z Bestią. To plama główna na fladze Boga.

– Kochana moja.

– Będę się modliła jako katoliczka za naród żydowski, który był nosicielem dobrej nowiny do czasu przybycia Chrystusa.

– Chrystus też miał twarz.

– Chcesz powiedzieć, że to właśnie Chrystus miał twarz. Wybrał Weronikę żeby zostawić nam swój jedyny wizerunek.

– A więc znasz już twarz dobra, ale także twarz zła, twarz Jezusa i twarz Hitlera...

⁷ Apokalipsa św. Jana. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. Pallotinum, Warszawa 1990 (przyp. tłum.).

– Nie chcę znać twarzy dobra. Gdybym mogła zobaczyć Boga, w tej samej chwili bym oślepla. Bóg nigdy nie powinien być oglądany. Skończyłaby się wiara. Bóg nie pozwala się zobaczyć, żebyśmy mogli w Niego wierzyć.

2

Musiał rozmawiać z nią poza klasztorem, gdyż braciszkanie nie pozwalali na obecność kobiet, i chociaż w klasztorze miał mieszkanie w pustej celi, dostał również do dyspozycji chatkę w pobliżu miasteczka San Bartolomé. Hulały tu gorące wiatry, które niosły od Afryki pustynny piasek i zmuszały chłopów do osłaniania swoich nędznych poletek zadaszieniami.

– Cała wyspa poprzecinana jest kamiennymi murkami dla ochrony zasiewów i sama ziemia pokryta jest warstwą pyłu wulkanicznego, który zatrzymuje nocną rosę i pozwala na uprawę winorośli.

Rozejrzała się po kamiennej chatce. Wewnątrz było tylko łóżko, stół, jedno krzesło i biedniutka półka, na której stało parę talerzy, aluminiowe sztućce dla jednej osoby i kilka książek.

Dano mu tę chatkę, żeby nie czuł się integralną częścią klasztoru, ale również dlatego, żeby w razie jakiegoś nagabywania można było powiedzieć władzom, że tu nie mieszka, tylko pracuje, jest ogrodnikiem... Kiedy go przyjmowano, zrobiono wyłom w wewnętrznej regule zakonu, ale pod warunkiem, że będzie ponosił ryzyko wychodzenia poza mury klasztorne, żeby nie czuł się tak zupełnie bezpieczny.

Jorge Maura zrozumiał warunki zakonników. W razie czego zawsze mogli powiedzieć, że nie mieszka z nimi, że służy do mszy w kaplicy, pomaga przy pracach domowych i zajmuje się ogrodem, a raczej mikroskopijnym ogródkiem, rzeźbą z kamieni i odłamków skał wulkanicznych, ale nie podlega ochronie zakonu. Świadczy o tym fakt, że mieszka za murami, w miasteczku San Bartolomé, gdzie musi wdychać niesione z wiatrem wędrownie piaski, które zdają się szukać swojej klepsydry, szklanej osłony do pomiaru czasu, bez której rozproszyłyby się on jak zwykły piasek: pustynna diaspora...

Nie powiedzieli mu tego wprost, brutalnie, ale jednak nieustępliwie, ze strachem. Mieli pewne zobowiązania w stosunku do rodziny Maury, gdyż dzięki ich darowiznom mógł zostać zbudowany klasztor na Lanzarote. Dość, że zaoferowali mu schronienie, bo on w czasie wojny pracował w instytucjach charytatywnych, które dostarczały koce, lekarstwa, jedzenie najbardziej potrzebującym, ofiarom bombardowań, jeńcom wojennym, więźniom obozów koncentracyjnych, między innymi wielu katolikom walczącym z nazizmem. Hitler wyśmiewał się z nabożnego katolicyzmu frankistów, dla niego katolicy byli takimi samymi wrogami jak komuniści czy Żydzi, byli zerem, zresztą Pius XII nie odezwał się ani słowem w obronie katolików czy Żydów... Ojciec Święty był godnym pogardy tchórzem.

Jorge Maura zamieszkał w Sztokholmie jako bezpaństwowiec i stamtąd brał udział w akcjach charytatywnych organizowanych przez rząd szwedzki i Czerwony Krzyż. Ale po wojnie przeniósł się do Anglii i przyjął obywatelstwo brytyjskie. Anglia zapłaciła bohaterstwem za nieudzielenie wsparcia Republice Hiszpańskiej, która mogłaby Hitlera powstrzymać. W czasie „Blitzu” Anglicy musieli znosić codzienne bombardowania i nikt nie przychodził im z pomocą. Po wojnie turyści angielscy wrócili do Hiszpanii. Ale Jorge Maura nie szukał słońca i egzotyki. Walczył po stronie Republiki i pragnienie zemsty jeszcze w nim nie wygasło. Czy w Hiszpanii uszanują poddanego JKM Jerzego VI, czy też poszukają sposobu, żeby dobrać się do skóry czerwonemu, który wymknął im się z rąk?

Zakonnicy to wszystko rozumieli. A czy jednak pomimo to chcieli narazić go na ryzyko spotkania Gwardii Cywilnej poza murami klasztoru, możliwość rozpoznania i donosu? A

może sam Jorge Maura szukał tego ryzyka? Dlaczego szukał? Żeby uchronić zakonników przed jakąkolwiek odpowiedzialnością? Czy po to, żeby wystawić się na niebezpieczeństwo, sprawdzić się, a zwłaszcza po to, żeby odmówić sobie samemu niezасłużonego poczucia bezpieczeństwa – powiedział Laurze w dniu spotkania, tamtego dnia, kiedy przyjechała na Lanzarote, żeby go zobaczyć. Tego bezpieczeństwa, do którego ani on, ani nikt inny nie ma prawa.

– Nie będę przed tobą kłamać, kochany mój. Przyjechałam po ciebie. Proszę, żebyś wrócił ze mną do Meksyku. Chcę, żebyś był bezpieczny.

Chciała go zrozumieć. Najzupełniej szczerze, choć nie wiadomo, czy równie inteligentnie, mówiła mu: wciąż cię kocham, potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek, wróć do mnie, daruj, że już na wstępie ofiarowuję ci wszystko, ale ogromnie mi ciebie brakuje. Nigdy nikogo tak nie kochałam.

Obrzucił ją spojrzeniem, w którym dostrzegła smutek, ale powoli zaczynała w nim rozpoznawać obcość.

A jednak miała odruch niechęci, kiedy on powiedział, że chce być w miejscu, gdzie byłby narażony na niebezpieczeństwo, a jednocześnie potrzebuje opieki, żeby nie czuć się silnym... Niebezpieczeństwo nie pozbawiało go siły, wręcz dawało mu siłę przetrwania, choć nigdy nie pozwalało na psychiczny komfort.

Ta niechęć zrodziła się w Laurze wbrew jej woli. Siedziała na jedynym krześle w pokoiku, a on stał oparty o goły mur. Dlaczego się dziwiła, przecież w nim wiecznie było coś surowego, coś mnisiego, i tylko czasami bywał praktyczny. Ale życie praktyczne i życie duchowe w tym człowieku, którego kochała, zawsze było otoczone – jak ziemia przez atmosferę – sferą zmysłowości, seksu. Ona znała go tylko łącznie z tą sferą. Popatrzył na nią i odgadł jej myśli.

– Nie sądz, że jestem święty. Jestem sfrustrowanym narcyzem, a to różnica. Ta wyspa jest dla mnie i więzieniem, i schronieniem.

– Przypominasz króla obrażonego na świat, który go nie rozumiał – powiedziała, bawiąc się pudełkiem zapalek, niezbędnych w tym odludnym miejscu, gdzie nie docierało światło elektryczne.

– Jeżeli już, to króla zranionego.

Czy był tu z przekonania? Czy się nawrócił, ponieważ ona przeszła na katolicyzm, więc on również szukał drogi powrotu do Kościoła, do wiary w Boga? Raquel i Jorge, ta druga para kochanków.

Jorge roześmiał się, wciąż potrafił się śmiać, nie był tym świętym męczennikiem z obrazów Zurbarana, a właśnie tak wyglądał w paśmie światłocienia, to ją zasugerowało i przywiodło na myśl twórczość artysty, u którego centralne postaci wyrażały utratę dumy jako sposób na odkupienie. Ale jednocześnie widać, że dla nich odkupienie jest dumą. Czy Bóg toleruje pychę świętych? Czy święty może być bohaterem? Jeśli Bóg jest niewidzialny, to czy święty może się pokazywać?

Podniosła oczy i napotkała wzrok Maury. Twarz mężczyzny bardzo się zmieniła w ciągu tych dziesięciu lat. Zawsze miał siwe włosy, nawet jako dwudziestolatek. Jednak nigdy nie miał tak głęboko zapadniętych oczu, oczu człowieka urzeczzonego mocą rozumu, tak wychudzonej twarzy, na której siwa broda podkreślała czas miniony, podczas gdy wtedy, w okresie późnej młodości, był to tylko czas obietnicy. Twarz mu się zmieniła, ale rozpoznała go, to był on; nie stał się kimś innym i choć odmieniony, był taki sam.

– Mogę nabrać dystansu do siebie samego, ale nie do mojego ciała. – Popatrzył na nią tak, jakby wiedział, co myśli.

– Pamiętasz, że naszym ciałom było ze sobą dobrze? Chciałabym znowu być z tobą.

Powiedział jej, że ona jest dla niego światowym życiem, a ona zapytała: dlaczego odrzucasz światowe życie?

Milczenie Maury niewiele jej mówiło, ale wciąż próbowała go rozszyfrować, gdyż zostawiał jej tylko same domysły. Szukał samotności, wiary czy jednego i drugiego? Uciekał od świata, dlaczego uciekał?

– Jesteś i nie jesteś w klasztorze?

– Właśnie tak.

– Jesteś czy nie jesteś związany z religią?

Uważała, że on mógłby jej parę rzeczy wyjaśnić. Był jej to winien, po tak długim czasie.

– My oboje zawsze się rozumieliśmy.

Odpowiedział jej bardzo mgliście, z jakimś nieobecnym uśmiechem. Przypomniał jej to, co wiedziała. Był jednym z wyróżniających się studentów na uniwersytecie hiszpańskim i europejskim, w czasie kiedy Hiszpania – uśmiechnął się znowu – opuszczała mury Escorialu i wchodziła do Europy, liżąc rany po przegranej wojnie ze Stanami Zjednoczonymi, która położyła kres hiszpańskiemu imperium w Ameryce, w ostatnich hiszpańskich koloniach: na Kubie i w Porto Rico. Hiszpania zjednoczyła się z Europą dzięki geniuszowi Ortegi, a Maura był jego studentem. To naznaczyło go na zawsze. Potem studia u Husserla we Fryburgu razem z Raquel... Był uprzywilejowany. Musiał prosić, żeby mu pozwolono walczyć z wrogami kultury, Franco i członkami Falangi, którzy profanowali swoimi butami, uwalanymi w gównie, aule uniwersytetów, przy wtórce okrzyków: „Śmierć inteligencji!” Nie pozwolono mu. Pozostał z niesmakiem w ustach i szybkostrzelnym karabinem nad Jaramą, a potem powiedziano mu: jesteś bardziej użyteczny jako dyplomata, człowiek przekonujący, wiarygodny kurier... jesteś republikaninem z arystokratycznej rodziny. Był po dobrej stronie. Świat należał do niego. Nawet gdyby go stracił, zawsze będzie do niego należał. Ten lud, który walczył w Madrycie, nad Ebro czy nad Jaramą, był mu bliższy niż okrutna burżuazja czy prostacki faszystowski *lumpen*. Nienawidził Franco, Millana Astraya i jego sławetnego okrzyku: „Śmierć inteligencji!”, Queipa de Llano i jego programów radiowych nadawanych z Sewilli, w których ten prowokował hiszpańskie kobiety, zachęcając je, by dały się posiąść przez Maurów z Andaluzji, bo tamtejsi mężczyźni to prawdziwi mężczyźni.

– A teraz nie masz nic – powiedziała Laura beznamiętnie, mając już dość politycznej historii Maury.

Chciał jej powiedzieć, że wyrzekł się świata, ale ona nie wierzyła, nie przekonywało jej, że Jorge Maura przybył na Lanzarote przebłagać Boga swoim poświęceniem.

– Bo to jest poświęcenie, widzę to, czyż nie tak?

– Chcesz powiedzieć, że kiedy wojna się skończyła, powinienem być wrócić do pracy naukowej, przypomnieć sobie mistrzów Ortegę i Husserla, pisać?

– A dlaczegoż by nie? Roześmiał się.

– Bo to pieprzona przyjemność tworzyć, wiedząc, że nie jesteś ani Mozartem, ani Keatsem. Do kurwy nędzy, już zmęczyło mnie to grzebanie we własnej przeszłości. Nie ma we mnie nic, co usprawiedliwiłoby chęć tworzenia. To jest główny powód; ważniejsza niż ty, niż Raquel, niż wszystko inne jest moja własna pustka, świadomość własnych ograniczeń, niemalże wyjałowienia. Nie podoba ci się to, co mówię? Teraz ty przychodzisz i chcesz sprzedać mi złudzenie, w które ja nie wierzę, ale za to zaczynam wierzyć, że albo jesteś głupia, albo nie doceniasz mojej inteligencji. Dlaczego nie zostawisz mnie samemu sobie, żebym zapełniał pustkę na własny sposób? Pozwól, żebym mógł patrzeć na świat własnymi oczami, zobaczyć, czy jeszcze coś może wykiełkować w mojej duszy, jakaś idea, wiara, bo przysięgam ci, Lauro, że moja dusza jest bardziej wyschnięta niż ten skalisty krajobraz dookoła... Dlaczego?

Otoczyła go ramionami, uklękła i objęła za nogi, oparła głowę o jego kolana, zawstydzila ją wilgoć jego spodni z szarego drelichu, jakby przez pranie aż do zdarcia nigdy nie miały czasu wyschnąć, a mimo to były przesiąknięte zapachem moczu, tak samo koszula, prana szybko i wywracana na drugą stronę, bo nie było innej, nie traciła swej przykrej woni,

zapachu ciała ziemskiej istoty, ciała zwierzęcia, zmęczonego wydalaniem potu i moczu, kału, spermy. Jorge, miłości moja, ukochany mój, sama nie wiem, jak cię całować...

– Już nie mam siły grzebać w moich korzeniach. To choroba Hiszpanów i Latynosów. Kim jesteśmy?

Prosiła go o przebaczenie, że go sprowokowała.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Wstań. Chcę ci się dobrze przyjrzeć. Jesteś taka czysta, taka czysta,,

– Co chcesz mi powiedzieć?

Laura już nie pamięta postawy swego kochanka w tym momencie, pamięta jego wilgotne, choć świeżo uprane ubranie, stare, przesiąknięte zapachem klęski, którego żadne mydło nie jest w stanie usunąć. Nie pamięta, czy stał, czy siedział na pryczy ze spuszczoną głową, czy patrzył przez okno. Czy w sufit. Czy w oczy Laury.

– Co chcę ci powiedzieć? A co wiesz?

– Wiem, co przeszedłeś. Od arystokracji do Republiki, klęski, wygnania i dumy. Dumy na Lanzarote.

– Grzech Lucyfera. – Jorge się roześmiał. – Zostawiasz dużo białych plam, wiesz o tym?

– Wiem. Duma na Lanzarote? To nie biała plama. To dzieje się tutaj. Dzisiaj.

– Czystczę latryny mnichów i widzę na murach nierzeczywiste rysunki. Tak jakby jakiś malarz z żalu, że nigdy nie dokończył raz zaczętego dzieła, obrał sobie najpokorniejsze i najbardziej upokarzające miejsce, jakim jest klasztor, żeby tu pracować nad swoim misterium. Bo to, co ja widzę i co sobie wyobrażam, jest tajemnicą, a ta tajemnica tkwi w miejscu, gdzie ci poczciwi braciszczkowie, czy chcą, czy nie, sikają i wypróżniają się; są ciałem i to ciało przypomina im, że nigdy nie będą – jak by tego chcieli – samym duchem. Tylko duchem.

– Myślisz, że o tym nie wiedzą? Są tak naiwni?

– Mają wiarę.

– Bóg przyjął ciało człowieka – powiedział Maura z pewnego rodzaju kontrolowaną egzaltacją – Bóg sam zrezygnował z boskiej nietykalności, stając się człowiekiem poprzez Chrystusa. To uczyniło z Boga istotę tak kruchą, że ludzie mogli odnaleźć w Nim siebie.

– Dlatego Go zabiliśmy?

– Chrystus stał się człowiekiem, żebyśmy mogli odnaleźć w Nim siebie.

– Ale żeby być godnymi Chrystusa, musieliśmy poniżyć się jeszcze bardziej, żeby nie być wyżej niż On.

– O tym powinien myśleć mnich, kiedy siedzi w latrynie. To samo robił Jezus, ale ja to robię z większym wstydem. To jest wiara. Bóg jest wśród kuchennych garnków, jak powiedziała święta Teresa.

– Czy On jej szukał? – zapytała Laura. – Szukał wiary?

– Chrystus musiał porzucić niewidzialną świętość, żeby stać się człowiekiem. Dlaczego chcą ode mnie, żebym został świętym i przyjął na siebie część świętości Jezusa?

– Czy wiesz, o czym pomyślałam, kiedy zmarł mój syn Santiago? Czy zaznam jeszcze w życiu większego bólu.

– Czy tak pomyślałaś? Czy tylko zapytałaś? Bardzo mi przykro, Lauro.

– Nie, pomyślałam, że jeśli Bóg nam coś odbiera, to dlatego, że On sam zrezygnował ze wszystkiego.

– Z własnego syna, Jezusa?

– Tak. Nie mogę przestać o tym myśleć, od czasu kiedy Santiago mnie opuścił. To już drugi, wiesz o tym? Mój brat i mój syn. Santiago Starszy i Santiago Młodszy. Obydwaj odeszli. Wyobrażasz to sobie? Spróbuj wejść w moje położenie!

– Spójrz na to szerzej. Bóg zrezygnował ze wszystkiego. Musiał zrezygnować ze swego własnego dzieła, ze świata, żebyśmy byli wolni. Bóg usunął się na bok w imię naszej wolności – powiedział Jorge – a że my używamy naszej wolności nie tylko dla czynienia

dobra, ale także dla czynienia zła, Bóg musiał przyjąć postać Chrystusa, żeby nam unaocznić, że Bóg może być człowiekiem i pomimo tego uniknąć zła.

To jest nasz konflikt – ciągnął Maura. – Jesteśmy wolni i możemy czynić zło albo dobro, i wiemy, że jeśli czynimy zło, obrażamy wolność, którą otrzymaliśmy od Boga, ale jeśli czynimy dobro, to też obrażamy Boga, bo ośmielamy się Go naśladować, chcemy być takimi jak On, grzeszymy pychą jak Lucyfer; sama przed chwilą to powiedziałaś.

To było straszne, co mówił. Laura wzięła w ręce dłoń Maury.

– Co jest takiego strasznego w tym, co mówię, powiedz mi – zapytał.

– Że Bóg żąda, abyśmy robili to, na co nie pozwala. Nie słyszałam nic bardziej okrutnego.

– Ty nie słyszałaś? Ja to widziałem.

3

Wiesz, dlaczego bronię się przed wiarą w Boga? Ze strachu, że Go któregoś dnia zobaczę. Boję się, że gdybym ujrzał Boga, zaraz bym oślepnął. Mogę się do Niego zbliżyć o tyle, o ile On się ode mnie oddala. Bóg musi być niewidzialny, żebym ja mógł usilnie pragnąć prawdopodobnej wiary, ale jednocześnie boję się tego, gdyż wówczas nie byłaby to już wiara, tylko oczywistość. Weź, przeczytaj *Drogę na górę Karmel* świętego Jana od Krzyża, wejdź ze mną, Lauro, w najczarniejszą noc, w noc, kiedy wyszedłem w przebraniu szukać mej kochanki, abyśmy się zamienili, aby kochanka stała się kochankiem... moje zmysły uspihone, moja szyja zraniona czyjąś spokojną dłonią, która mi mówi: patrz i nie zapomnij... Kto mnie rozdzielił z kochanką, Bóg czy demon?

Widziałem moją kochankę przez moment krótszy niż dziesięć sekund, kiedy ciężarówka szwedzkiego Czerwonego Krzyża mijała kolczaste druty Buchenwaldu, i w tej ulotnej chwili zobaczyłem Raquel w tłumie więźniów.

Było bardzo trudno odróżnić kogokolwiek w tej masie istot wynędzniałych, głodnych, ubranych w pasiaki z gwiazdami Dawida na piersiach, okrytych kocami, przemarzniętych na lutowym chłodzie, obejmujących się nawzajem. Z wyjątkiem jej.

Jeżeli pozwalali nam zobaczyć tamto, to co działo się dalej, za tym, co widzialne, co przed nami ukrywali, czyż nie zdawali sobie sprawy, że prezentując się przed nami od lepszej strony, zmuszali nas do wyobrażania sobie tej strony ukrytej, tej prawdziwej? Ale jednocześnie czyż ta straszliwa strona, przedstawiona jako ta lepsza, nie oznaczała, że gorsza nie istnieje – już nie istnieje – że dalej była tylko śmierć?

Zobaczyłem Raquel.

Podtrzymywał ją człowiek w mundurze, nazistowski strażnik pomagał jej, nie wiadomo, czy polecono mu okazywać litość wobec wycieńczonych istot, czy robił to dlatego, żeby Raquel nie osunęła się na ziemię jak stos szmat, czy może dlatego, że między tymi dwojgiem, strażnikiem i Raquel, istniał związek pełnego wdzięczności oddania, minimalnych życzliwości, które jej musiały się wydawać ogromne – jakaś dodatkowa porcja, noc spędzona w łóżku wroga, być może tylko zwykły przejaw ludzkiego współczucia – a może był to teatr, ludzka pantomima, która miała zrobić wrażenie na wizytujących gościach, lub nagła, nieprzewidziana miłość między ofiarą i katem, dwojgiem istot równie okaleczonych, zdolnych znieść swe kalectwo tylko w nieoczekiwanej bliskości tej drugiej osoby? Kat i ofiara identyfikujący się ze sobą przez ból wiążącego ich posłuszeństwa: obydwójce byli istotami posłusznymi, każde z nich słuchało odgórnych rozkazów, tak powiedział Hitler, Raquel mi to powtarzała: naprzeciwko siebie stoją tylko dwa narody, niemiecki i żydowski.

Być może chciała mi powiedzieć: widzisz, dlaczego nie zeszłam z tobą ze statku w Hawanie? Chciałam, żeby stało się ze mną to, co się stało. Nie chciałam unikać przeznaczenia.

W tym momencie Raquel puściła ramię nazistowskiego strażnika i chwyciła dłońmi za kolczasty drut; stało się to na oczach jej kata, czy też kochanka albo opiekuna, albo aktora, i moich, Jorge Maury, jej kochanka z czasów uniwersyteckich, z którym pewnego dnia weszła do katedry we Fryburgu, kiedy oboje uklękliśmy obok siebie i nie bojąc się śmieszności, modliliśmy się na głos:

*będziemy wracać do siebie samych
będziemy myśleć, jakbyśmy tworzyli świat
będziemy żywym przedmiotem historii
będziemy przeżywać świat życia*

Te słowa, które wtedy wypowiedzieliśmy w głębokiej intelektualnej emocji, teraz wracają, Lauro, jako przytłaczająca rzeczywistość, fakt nie do przyjęcia, nie dlatego, że te słowa się ziściły, ale właśnie dlatego, że nie były możliwe, horror tego czasu usunął je poza nawias, ale w jakiś cudowny i tajemniczy sposób sprawił, że stały się możliwe jako ostateczna prawda mojego krótkiego i strasznego spotkania z kobietą, którą kochałem i która mnie kochała...

Raquel wczepiła dłonie w druty, a potem oderwała je od żelaznych kolców ogrodzenia i pokazała mi je, krwawiące jak... nie, nie umiem ani nie chcę porównywać do niczego pięknych dłoni Raquel Mendes-Alemán, stworzonych do dotykania mojego ciała tak, jak dotykała stron książki, jak dotykała klawiszy fortepianu, grając impromptu Schuberta, jak dotykała mojego ramienia, żeby się ogrzać, kiedy chodziliśmy zimą po uniwersyteckich uliczkach; teraz jej dłonie krwawiły jak rany Chrystusa i to właśnie chciała mi pokazać: nie patrz na moją twarz, patrz na moje dłonie, nie lituj się nad moim ciałem, lituj się nad moimi dłońmi, George, miej litość, przyjacielu... Dziękuję za moje przeznaczenie. Dziękuję za Hawanę.

Nazistowski komendant, który nam towarzyszył, pokrywając uśmiechem przestרח i złość, jaką wywołał w nim postępek Raquel, powiedział lekkim tonem:

- Sami widzicie, ile są warte te opowieści, że w Buchenwaldzie druty są pod napięciem.
- Opatrzcie jej ręce. Niech pan spojrzy, jak krwawią, *Herr Kommandant*.
- Ona chwyciła za drut, bo sama chciała.
- Bo jest wolna?
- Właśnie tak jest. Tak jest. Sam pan to powiedział.

4

- Jestem słaba. Mam tylko ciebie. Dlatego przyjechałam na Lanzarote.
- Jestem słaby.

Kiedy wracali do klasztoru, zapadała noc. Tej nocy Jorge chciał przede wszystkim wrócić do klasztornej wspólnoty i wyspowiadać się ze swej cielesnej słabości. Laura, w zetknięciu z ciałem Maury, poczuła smak nowości, tak jakby nigdy przedtem się nie kochali, jakby tym razem ona rozebrała się tylko po to, żeby mu siebie przypomnieć, a on tylko po to, żeby pokazać się przed nią nago.

- O czym myślisz?
- O tym, że Bóg doradza to, na co nie pozwala. Naśladować Chrystusa!
- Nie jest tak, że nie pozwala. Utrudnia.

– Wyobrażam sobie, że Bóg powtarza mi bez przerwy: „Nienawidzę w tobie tego wszystkiego, czego ty nienawidzisz u innych”.

– Co to takiego?

Żył tu chroniony tylko połowicznie, niezdecydowany, sam nie wiedząc, czy chce być uratowany fizycznie i psychicznie i czuć się bezpiecznie, czy też ponosić ryzyko, które by nadało bezpieczeństwu wartość. Dlatego codziennie chodził z klasztoru do chatki i codziennie wieczorem wracał ze strefy zagrożonej do swego schronienia, patrząc śmiało w oczy policjantom, którzy już się do niego przyzwyczaili; pozdrawiali go, pracuje u braciszków, to służący, człowieczek bez znaczenia.

Kursował między jednym domem z kamienia a drugim – przez kamienny pejzaż. Wyobrażał sobie niebo z kamienia i morze z kamienia, tu, na Lanzarote.

– Przez cały dzień wypytywałaś mnie, czy wierzę w Boga, czy nie, czy odzyskałem wiarę mojej kultury katolickiej, wiarę mojego dzieciństwa...

– A ty mi nie odpowiedziałeś.

– A dlaczego stałem się republikaninem i antyklerykałem? Z powodu hipokryzji i zbrodni Kościoła katolickiego, jego poparcia dla bogatych i rządzących, sojuszy z faryzeuszami przeciwko Jezusowi, pogardy dla biednych i bezbronnych, wbrew całej jego doktrynie. Czy widziałaś moje książki, tam, w chatce?

– Święty Jan od Krzyża i ten tom Juany Inés de la Cruz, który kupiliśmy razem na wyprzedży ulicznej na Tacuba w Meksyku... Wydają się rodzeństwem, ale on jest świętym, a ona nie. Ją upokorzono i zmuszono do milczenia, spalono jej książki i wiersze. Zabrano jej nawet papier, atrament i pióro.

– Spójrz na tę książkę, ostatnio wydaną we Francji, którą dostałem od jednego z zakonników. *Siła ciężenia i łaska* Simone Weil, Żydówki nawróconej na katolicyzm. Przeczytaj ją. To nadzwyczajna filozofia, ona potrafi nam powiedzieć, że o ukochanej osobie, z którą jesteśmy rozdzieleni, nigdy nie powinniśmy myśleć bez wyobrażania sobie, że być może już umarła... W niesamowity sposób odczytuje Homera. Mówi, że *Iliada* uczy nas trzech zasad. Nigdy nie podziwiał władzy. Nigdy nie pogardzaj cierpiącymi. Nie czuj nienawiści do twoich wrogów. Nikt nie może uciec przed przeznaczeniem. Weil zmarła w czasie wojny. Z gruźlicy i z głodu, zwłaszcza z głodu, bo odmówiła przyjmowania większych racji niż te, które dawano jej braciom Żydom w obozach koncentracyjnych. Ale robiła to jako chrześcijanka, w imieniu Jezusa.

Jorge Maura zatrzymał się na chwilę przed czarną ziemią, gdzie uprawne polećka wyglądały jak komórki w plastrze miodu i skąd roztaczał się widok na Timanfayę. Góra miała kolor rozpalonej czerwieni, jak ewangelia ognia.

5

Wybaczyłem wszystkie zbrodnie historii, bo były grzechem powszednim w porównaniu z tą zbrodnią, którą popełnili naziści. Oni dokonali zła niemożliwego. Udowodnili, że zło niewyobrażalne jest nie tylko wyobrażalne, ale i możliwe. Wobec ogromu tego zła uciekły mi z pamięci całe wieki zbrodni Jakich dopuszczali się władcy polityczni, Kościół, wojsko, książęta. To, co robili tamci, można sobie było wyobrazić. Tego, co zrobili naziści, nie. Do tej pory wierzyłem, że zło istnieje, ale że nie można go zobaczyć, że ono stara się ukryć. Albo przedstawia się jako konieczny środek do osiągnięcia zbożnego celu. Pamiętasz, że tak tłumaczył Gregorio Vidal zbrodnie Stalina. Były środkiem do pięknego celu. Zresztą u ich podstaw leżała teoria zbiorowego dobra, marksizm. A Basilio Baltazar wszelkimi sposobami poszukiwał wolności jednostki, odrzucając władzę, szefów, hierarchię.

Ci nie. Nazizm głosił zło bez żenady, z dumą – „Ja jestem Złem. Jestem Złem doskonałym. Jestem Złem widocznym. Jestem Złem dumnym ze swego zła. Nie usprawiedliwiam niczego, tylko eksterminację w imieniu Zła. Śmierć Zła w rękach Zła. Śmierć jako gwałt, tylko gwałt i nic poza gwałtem, bez żadnego odkupienia i bez słabości usprawiedliwienia”.

Chcę zobaczyć tę kobietę – powiedziałem do komendanta Buchenwaldu.

Nie, pan się myli, tej kobiety, o której pan mówi, tutaj nie ma, nigdy jej tu nie było.

Raquel Mendes-Alemán. Tak się nazywa. Przed chwilą widziałem ją za drutami.

Nie, ta kobieta nie istnieje.

Już ją zabiliście?

Niech pan uważa na swoje słowa.

Zabiliście ją, bo pozwoliła się rozpoznać? Bo mnie zobaczyła i rozpoznała?

Nie. Ona nie istnieje. Nie ma jej akt. Niech pan nie komplikuje sprawy. W końcu panowie jesteście tutaj dzięki uprzejmości Rzeszy. Żebyście mogli poświadczyć, że dobrze traktujemy więźniów. Nie jest to hotel Adlon, zgoda, ale gdybyście przyjechali w niedzielę, usłyszelibyście orkiestrę więźniów. Grali uwerturę do *Parsifala*. To chrześcijańska opera, jak zapewne panowie wiedzą.

Proszę o rejestr więźniów.

Rejestr?

Niech pan nie udaje głupiego. Wy jesteście bardzo dokładni. Chcę zobaczyć rejestr.

Strona na „M” była w pośpiechu wyrwana, Lauro. Oni, tak systematyczni, tak dobrze zorganizowani, pozwolili, żeby lewy brzeg wyrwanej strony pokazywał swoje ostre, nierówne zęby, podobne do szczytów gór Lanzarote.

Nigdy więcej nie usłyszałem o Raquel Mendes-Alemán.

Kiedy skończyła się wojna, wróciłem do Buchenwaldu, ale trupy pogrzebane we wspólnych fosach były już nierozpoznawalne, a ze spalonych wyprodukowano puder do pudrowania peruk Goethego i Schillera, którzy podali sobie ręce w Weimarze, Atenach Północy, gdzie pracowali Cranach i Bach i Franz Liszt. Żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy wymyślić hasła umieszczonego przez nazistów nad bramą do obozu koncentracyjnego. Nie to znane *Arbeit Macht Frei*, wolni przez pracę, ale coś nieporównanie gorszego *Jedem das Seine*, macie to, na coście zasłużyli. Raquel. Chcę ją zapamiętać stojącą na dziobie statku „Prinz Eugen”, zakotwiczonego w Hawanie, kiedy zaproponowałem jej małżeństwo, żeby uratować ją przed holocaustem. Chcę pamiętać Raquel.

Nie, spojrzała na mnie swymi oczyma, przepastnymi jak noc niosąca złowrogie przecucia, dlaczego ja mam być wyjątkiem, mam być uprzywilejowana?

Wystarczyły mi jej słowa, żebym podsumował całe moje doświadczenie w tej pierwszej połowie naszego wieku, który miał być rajem postępu, a stał się piekłem degradacji. To jest wiek horroru nie tylko przez faszyzm i stalinizm, ale także przez to, że nie uratowali się ci, którzy walczyli ze złem, nikt się nie uratował, Lauro! Nie uratowali się Anglicy, którzy chowali ryż przed Bengalczykami, żeby nie mieli siły się buntować i pomagać Japończykom w czasie wojny, ani kupcy muzułmańscy, którzy z nimi współpracowali; nie uratowali się ci Anglicy, którzy w Indiach łamali nogi buntownikom i nie pozwalali ich leczyć; ani Francuzi, którzy brali udział w nazistowskim ludobójstwie, albo ci, którzy protestowali przeciwko okupacji niemieckiej we Francji, ale uważali za święte prawo Francji do okupowania Algierii, Indochin, Senegalu; nie uratowali się Amerykanie, którzy utrzymywali przy władzy wszystkich dyktatorów z Karaibów i Ameryki Środkowej, z ich przepełnionymi więzieniami i żebrakami na ulicach, żeby tylko popierali Stany Zjednoczone; kto się ratuje, tłum linczujący Murzynów czy Murzyni skazywani, zamykani w więzieniach, nie mający prawa pić ani sikać obok białego w stanie Missisipi, ziemi Faulknera?

W naszych czasach zło przestało być możliwością, a przekształciło się w powinność.

– Nie chcę współczucia, Jorge. Wolę być prześladowana.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszałem od Raquel. Nie wiem, czy cierpię dlatego, że jej nie uratowałem, czy dlatego, że ona cierpiała. Ale sposób, w jaki spojrziała na swojego kata w obozie, bardziej niż sposób, w jaki spojrziała na mnie, uświadomił mi, że aż do ostatniej chwili Raquel afirmowała swoje człowieczeństwo i pozostawiła mi pytanie, z którym będę żył zawsze. Jaka jest prawość twojej prawości, kochanie moje, miłość mojej miłości, sprawiedliwość mojej sprawiedliwości, współczucie mojego współczucia?

– Chcę dzielić z tobą twoje cierpienie, tak jak ty dzieliłaś cierpienia z twoim narodem. To jest prawda mojej miłości.

6

Laura zostawiła Maurę na wyspie. Wsiadła na mały parowiec, wiedząc, że nigdy tu nie wróci. Jorge Maura nigdy nie będzie konkretną postacią, pozostanie na zawsze mgławicą z wciąż żywej przeszłości, której identyfikacja byłaby ostatecznym dowodem na to, że jej kochanek, mimo fizycznej obecności na ziemi, naprawdę nie istnieje.

Dobrze, powiedziała mu, bądź sobie świętym, zostań słupnikiem, przywiąż się sam do swojego słupa na pustyni, bądź sobie wygodnym męczennikiem bez męczeństwa.

Powiedział, że jest dla niego bardzo surowa.

Odpowiedziała mu: bo cię kocham.

– Dlaczego ukrywasz się na wyspie? Byłoby lepiej, gdybyś został w Meksyku. Nie ma lepszej kryjówki niż miasto Meksyk.

– Już nie mam siły. Wybacz mi.

– W porządku, jesteś Hiszpanem. Możesz liczyć na to, że śmierć nie będzie się spieszyła.

Tak bolesne było dla niej to spotkanie po latach?

– Nie, tylko nauczyłam się czuć lęk przed tymi, którzy deformują mnie swoją miłością, nie przed tymi, którzy mnie nienawidzą. Kiedy wyjechałeś na Kubę, po stokroć zadawałam sobie pytanie: czy mogę żyć bez niego, czy mogę żyć bez jego oparcia? Bardzo potrzebowałam twego oparcia, żeby móc sobie stworzyć własny świat bez poświęcania jakiegokolwiek kochanej osoby. I ty mi to dałeś, wiesz o tym? Z twoją pomocą wróciłam do domu i postanowiłam powiedzieć rodzinie prawdę, choćby miało mnie to drogo kosztować. Bez twojej miłości, która była mi oparciem, nigdy bym się na to nie odważyła. Gdyby nie pamięć o tobie, byłabym jeszcze jedną niewierną żoną. Dzięki tobie nikt nie śmiał pierwszy rzucić we mnie kamieniem. Czuję się wolna, bo ty jesteś ze mną.

– Lauro, najgorsze już minęło. Uspokój się. Przyjmij, że zostaję tu sam, bo taka jest moja wola.

– Sam? Słowo daję, że cię nie rozumiem. Jak możesz być zakonikiem bez reszty świata, jak możesz dotrzeć do Boga, nie odrzucając siebie? Sam widzisz, że żyjesz połowicznie, pomiędzy klasztorem i światem. Czy sądzisz, że mnisi zamknięci w klasztorze, do którego zabraniają wstępu kobietom, już znaleźli Boga, myślisz, że mogą Go znaleźć bez świata? Jakież ty jesteś zarozumiałe, zarozumiałe bufon! Będziesz pokutował za grzechy dwudziestego wieku, ukrywając się na tej wyspie z kamienia? Jesteś uosobieniem tej pychy, którą pogardzasz. Jesteś samym Lucyferem. Jak odpokutujesz za swoją własną pychę, bufonie?

– Wyobrażając sobie, że Bóg mi mówi: nienawidzę w tobie tego samego, czego ty nienawidzisz u innych.

– Wyobrażając sobie? Tylko tyle?

– Słuchając, Lauro.

– Wiesz, co ci powiem? Wyjeżdżam stąd pełna podziwu dla twojej obojętności i spokojnej rozwagi. Ja jej nie mam.

– Raquel pochowana jest w bezimiennym grobie, przykryta dziesiątkami innych nagich trupów. Czyżbyśmy byli czymś lepszym od niej? Nie jestem lepszy. Jestem tylko inny. Tak samo jak ty.

– I uważasz się za wyzwolonego? – zapytała.

– Przyjechałaś tu, żeby rozmawiać ze mną z niedowierzaniem. Jesteś prawdziwym niedowiarkiem. Ja byłem nim przedtem. Lepiej się czuję, widząc, że istnieje człowiek mniejszej wiary ode mnie. Jak mało sobą reprezentujemy, Lauro.

Poprosił ją, by pozwoliła mu odpowiedzieć na pytanie, które zadawała mu przez cały czas swego pobytu na Lanzarote („Nie powinnaś była tu przyjeżdżać, ta wyspa nie istnieje, uwierzysz w to, co widzisz, a kiedy stąd wyjedziesz, zdasz sobie sprawę, że tu nic nie ma”): wierzysz czy nie wierzysz?

– To tak jakby zapytać, czy chrześcijaństwo jest prawdą, czy kłamstwem. A ja ci odpowiem, że twoje pytanie nie ma znaczenia. Tu, na Lanzarote, egzystując na pograniczu życia zakonnego i życia w twoim rozumieniu tego słowa (między bezpieczeństwem a niebezpieczeństwem), chcę sprawdzić, czy wiara może nadać sens szaleństwu, którym jest pobyt tutaj, na ziemi.

– I co odkryłeś?

– Że życie na wzór Chrystusa zawsze jest możliwe dla chrześcijanina, ale nikt nie ma odwagi Go naśladować.

– Nie ma odwagi czy nie może?

– Ludzie sądzą, że żyć jak Chrystus to znaczy robić to co On, wskrzeszać umarłych, pomnażać chleb... Robią z Chrystusa czynną ideologię. Lauro, Chrystus szuka nas tylko wtedy, kiedy w Niego nie wierzymy. Chrystus nas znajduje, kiedy Go nie szukamy. To jest prawda Pascala: Znalazłeś mnie, bo mnie nie szukałeś. To jest dziś moja prawda. Odejdź, Lauro. Wiedz, że nie ma we mnie radości. Każdy zachód słońca na tej wyspie jest bardzo smutny.

„Przyjechałam, bo twoje miejsce było puste – pomyślała Laura, oddalając się od pogrążonego w nocy wybrzeża Lanzarote w kierunku Teneryfy, a w miarę jak noc czerniała, wyspa stawała się czerwona. – To było ponad moje siły. Niebezpiecznie jest mieszkać w pustce, tęskniąc za życiem, którego mój syn nie mógł przeżyć, i za miłością, którą mi odebrałeś. Aleja straciłam syna, a ty Raquel. Obydwoje oddaliśmy to, co mieliśmy cennego. Być może Bóg, jeśli istnieje, uzna naszą stratę i zrozumie nasz ból. Teraz już nie chcę myśleć o tobie.

Myślenie o tobie niepotrzebnie mnie pociesza i pobudza wyobraźnię. Chcę całkowicie z ciebie zrezygnować. Nigdy cię nie znałam”.

Kiedy się rozstali przy wejściu do klasztoru, Laura poczekała jeszcze chwilę, zakłopotana. Dlaczego nie pozwalają kobietom tutaj wchodzić? Stwierdziła, że nie ma nikogo, kto broniłby jej wejścia, chciała jeszcze raz odszukać Maurę, ostatni raz poczuć jego gorące usta i powiedzieć mu słowa, które dla niego zamilkną na zawsze.

– Tak bardzo cię kocham.

Zobaczyła go w pustym refektarzu, klęczał na kolanach i językiem lizał kamienną posadzkę, uparcie, systematycznie, płyta za płytą.

XVIII. Aleja Sonora: 1950

Przychodzi taki moment w życiu, że wszystko przestaje mieć znaczenie z wyjątkiem miłości do zmarłych. Dla zmarłych trzeba zrobić wszystko. Możemy, ty i ja, cierpieć z powodu nieobecności zmarłego. Obecność zmarłych nie jest pewna. Jediną pewną rzeczą jest ich nieobecność. Ale zmarłym nie życzymy ani obecności, ani nieobecności. W moim domu nie ma nikogo, Jorge. Jeśli chcesz myśleć, że przygnała mnie do ciebie samotność, nie mam nic przeciwko temu.

Zmarł mój mąż Juan Francisco.

Zmarła cioteczka Maria de la O.

Ale śmierć mojego ukochanego syna Santiago jest dla mnie jedyną realną śmiercią, ogarnia sobą wszystkie pozostałe, nadaje im sens.

Śmierć cioteczki nawet mnie ucieszyła. Zmarła szczęśliwa, w swoim kochanym Veracruz, tańcząc *danzón* z malutkim człowieczkiem o nazwisku Maciej Matadamas, który dwa razy w tygodniu stroił się w szaroniebieskie ubranie i zapraszał cioteczkę na główny plac, gdzie tańczyli *danzón* na kawałeczku przestrzeni wielkości cegły.

Prawdziwa śmierć Juana Francisco nastąpiła już dawno temu. Sztywność ciała tylko ją potwierdziła. Przed samą śmiercią powłóczył nogami, mówił: „już nie mogę o niczym myśleć”, pytał mnie: „Czy my powinniśmy byli się pobierać?” Gdyż w dniu, kiedy umarł, poprosiłam go, żebyśmy przestali siebie nawzajem obwiniać.

– Straciłam zbyt wiele czasu na nienawiść do ciebie.

– A ja na to, żeby cię zapomnieć.

Kto to powiedział, on czyja, Jorge? Już nie wiem. Nie wiem, które z nas powiedziało: „Nie mów mi, że twoja nienawiść była uzasadniona, a ja ci nie powiem, że moje zapomnienie było uzasadnione”.

Chcę wierzyć, że nie kochałam go, kiedy umierał. Zawsze, od czasu, gdy wróciłam do domu po twoim wyjeździe na Kubę, pytałam sama siebie, dlaczego akceptuje mój powrót. Meksykańscy machos nie tolerują tego, porzucają żonę, czyżby Juan Francisco wart był więcej, niż sobie wyobrażałam?

O moich synach mogłam powiedzieć: są silni, są bardziej dorośli, niż myślałam, ale jeśli chodzi o niego, potrafiłam tylko zastanawiać się, czy to słabość, czy perwersja. Ze swojej klęski robi cnotę, żeby móc prosić o jedyną formę miłości, jaka mu pozostała – o cudzą litość? Jakżeby mogła zostawić tak słabego człowieka?

Wspominając mojego syna Santiago, codziennie myślę, że wszystko, co kochałam, umarło.

Pocieszam się jak każdy. Minie pewien czas. Nauczę się znosić nieobecność.

Wtedy reaguję gwałtownie, chcę, żeby mój ból nigdy nie minął, chcę, żeby nieobecność syna była dla mnie zawsze, na zawsze, nie do zniesienia.

A potem moja własna дума mnie poskramia. Zadaję sobie pytania, czy miłość, która nie ma oparcia w niczym poza wspomnieniem, w końcu nie stanie się do zniesienia, czy miłość, która na zawsze chce pozostać bólem, powinna przewyciężyć pieszczotę pamięci i wołać o pustkę, wielką pustkę, w której nie będą miały miejsca ani wspomnienia, ani czułość, pozostanie nieobecność, świadomość tej nieobecności, odrzucenie wszelkiej pociechy...

Miłosierdzie nadeszło z najmniej oczekiwanej strony.

To były łzy Juana Francisco nad ciałem Santiago. Ojciec opłakiwał śmierć syna, jakby nikt na świecie nie kochał go bardziej od niego, w większej tajemnicy, z mniejszą ostentacją. To dlatego trzymał się z dala od niego, a bliżej Dantona? Żeby mniej cierpieć, kiedy Santiago odejdzie? Czy płakał dlatego, że nigdy nie był blisko niego, czy też płakał dlatego, że kochał go bardziej niż ktokolwiek inny i dopiero śmierć pozwoliła mu obnażyć swoje uczucia?

Widok ojca płaczącego nad zwłokami syna zaczął przywoływać na pamięć Laurze jeden słowny policzek za drugim, tak jakby to wszystko, co ona i mąż powiedzieli sobie w ciągu tych lat, żeby się zranić, zostało powtórzone z jeszcze większą zaciekleścią w tym właśnie momencie: moje małżeństwo z tobą to tak jakby nadstawić drugi policzek losowi, nie mów do mnie jak święty do grzesznicy, mów do mnie, patrz mi w twarz, dlaczego mnie nie osądzałeś za moją wolę kochania ciebie, Juan Francisco, a osądzasz mnie za to, że cię oszukałam? nie wiem, dlaczego brałam cię za człowieka fascynującego i odważnego, tak o tobie zawsze mówiono, zawsze byłeś tym, o którym „się mówi”, jakieś plotki, nigdy nic konkretnego, między nami nigdy nie było miłości, było złudzenie, urojenia, ale nie miłość oparta na szacunku i podziwie, a to długo nie trwa, życie z tobą pokonało mnie, zrobiło ze mnie istotę bezradną i chorą, nie czuję do ciebie nienawiści, męczysz mnie, za bardzo mnie kochasz, prawdziwy kochanek nie powinien kochać za bardzo, to może doprowadzić do mdłości, Juan Francisco, nasze małżeństwo umarło, zabiło je wszystko czy nic, kto to wie? ale pochowamy je, kochany, bo cuchnie, cuchnie...

A teraz mogła powiedzieć mu: dziękuję, dzięki twojej adoracji zbyt łatwo mogłam sięgnąć po coś lepszego, po tę nieustającą nadzieję, którą karmi się namiętność, dzięki tobie zdobyłam Jorge Maurę, kontrast pomiędzy nim a tobą pozwolił mi rozumieć i kochać go tak, jak nigdy nie mogłam kochać ciebie...

– Myślałam, że jestem silniejszy, Lauro. Wybacz mi.

– Nie mogę skazać tego, co we mnie najlepsze, na zapomnienie. Ty też mi wybacz.

A teraz patrzyła, jak płacze nad wynędzniałymi członkami syna, i to ona chciałaby prosić o wybaczenie jego, Juana Francisco, za to, że w ciągu trzydziestu lat nie zdołała sięgnąć głębiej, poza pozory, legendy, tajemnicę jego pochodzenia, poza mit przeszłości i zdradę terażniejszości...

To było straszne, że w końcu rozmawiali ze sobą dzięki śmierci syna.

To było straszne, że teraz utożsamiali się i wyznawali, że oboje w sekrecie spoglądali z podobną miłością na Santiago Młodszeo, i myśleli to samo: ma wszystko, urodę, talent, szlachetny charakter, wszystko oprócz zdrowia, wszystko oprócz życia i czasu, żeby je przeżyć. Dopiero teraz ojciec i matka odkryli, że oboje unikali litowania się nad synem, bo w tym domu nikt nie był upoważniony do okazywania litości. Litość może być zdradą w stosunku do kochanej istoty.

– To dlatego ty, Juan Francisco, tak ostentacyjnie zbliżyłeś się do Dantona?

Laura chełpiła się, że cisza między nią a synem była tak wymowna. Samotność i spokój zbliżyły ich do siebie. Czy tak było również w stosunkach Juana Francisco i Santiago? Czy nie można o tym mówić wprost, bo byłoby to coś więcej niż obraza? Byłaby to zdrada? Matka i syn przeżywali pasmo wspólnych sekretów, domysłów, życzliwych gestów, wszystko, oprócz litości, przeklętej, zabronionej litości...? Czy to samo przeżywał i czuł z daleka Juan Francisco, zajęty drugim synem, ojciec ich obu?

Każda matka wie, że są dzieci, które chowają się same. Próby wzięcia ich pod ochronę poczytują za impertynencję. Taki był Danton. Troskliwość ojca uważał za nadużycie zaufania, Juan Francisco nic nie rozumiał i dawał wszystko synowi, który nie potrzebował niczego. Danton od dzieciństwa całymi dniami dokazywał, nie zdając sobie sprawy z tego, co działo się w cieniu i ciszy tej przestrzeni, którą zajmował Santiago, jednak Laura instynktownie wiedziała, że chociaż Danton nie potrzebował opieki, a Santiago tak, nadmiar troskliwości byłby większą obrazą i krzywdą dla syna słabszego niż dla silniejszego. Problem

tkwił w czym innym. Jeden syn, Danton, poruszał się po świecie, obracając sprawy na własną korzyść. Drugi, Santiago, eliminował wszystko, co nie wydawało mu się istotne dla jego malarstwa, jego muzyki, jego poezji, jego van Gogha i Eгона Schiele, jego Baudelaire'a i Rimbauda, jego Schuberta...

Teraz, patrząc, jak obydwaj, Juan Francisco i Danton, płaczą nad pięknym wychudzonym ciałem młodego Santiago, Laura zrozumiała, że bracia się kochali, ale wstydziła się wzajemnej czułości, braterstwo jest męskie, braterstwo czasem czeka aż do chwili śmierci, żeby odsłonić swoją miłość, czułość, tkliwość... Laura Díaz miała teraz wyrzuty sumienia – a więc wykradła wszystko, co najwspanialsze na świecie, żeby obdarować tym tylko jednego syna? Wszystkie przymioty dla słabego, a czy silny na nic nie zasługiwał? Czyżby w rzeczywistości straciła obydwu synów?

– Wiesz – powiedział Juan Francisco po pogrzebie – pewnej nocy zaskoczyłem ich, kiedy rozmawiali jak mężczyźni. Obydwaj mówili: „wystarczamy sobie wzajemnie”. Ogłaszali swoją niezależność ode mnie i od ciebie, Lauro. To niesamowite zaskoczyło własnych synów w momencie ogłaszania deklaracji niepodległości. Tylko że Santiago mówił to poważnie. On wystarczał sam sobie. Danton nie. Danton potrzebuje sukcesu, pieniędzy, towarzystwa. Nie jest samowystarczalny, oszukuje się. Dlatego potrzebuje nas bardziej niż kiedykolwiek.

Czy będzie miała czas naprawić błędy popełnione w ciągu trzydziestu lat wspólnego życia, ona, matka dwóch dorosłych synów, z których jeden nie żyje? Laura pokazała mężowi wiersz, jaki Santiago napisał przed śmiercią, zwłaszcza jedną linijkę:

Jesteśmy przetłumaczonymi losami

Co chciał przez to powiedzieć? Co oznaczały te zdania, które codziennie powtarzał: nie zostawiaj otwartych klatek, ptaki są do nas przywiązane i nie odlecą, koty nie, odejdą i wrócą, żeby zrobić krzywdę... „Nie zawsze słońce ogrzewa mi głowę...” Może znaczy, że Santiago umiał oddzielić się od siebie samego, odmienić się, odkryć tego innego, który był w nim. Ona również to odkryła, ale nic mu nie powiedziała. A ty, Juan Francisco?

– Moi synowie są moją biografią, Lauro. Nie mam innej.

– A ja?

– Ty też, moja staruszko.

Czy to była tajemnica Juana Francisco, że jego życie nie miało tajemnic, że jego życie było samą zewnętrżnością, jego sławą jako mówcy, przywódcy, rewolucjonisty? A przedtem? Co było przedtem? Nic?

– W Villahermosa była jedna dziewczynka z mongolizmem. Przeklinała, wściekle biła i opluwała wszystkich. Matka musiała zakładać jej klapki na oczy jak koniowi, żeby nie widziała świata i wracała do równowagi.

– Czy to była twoja sąsiadka w Tabasco?

Nie, nie miał sąsiadów, zaprzeczył ruchem głowy.

– Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Nigdy mi tego nie powiesz? Znowu zaprzeczył.

– Wiesz, że to nas dzieli, Juan Francisco; kiedy jesteśmy o krok od porozumienia, znowu odmawiasz mi poznania twojej przeszłości.

Tym razem przytaknął.

– Co robiłeś, Juan Francisco? Byłeś bohaterem i to cię zmęczyło? Czy twoje bohaterstwo to kłamstwo? Wiesz, że tak zaczęłam myśleć? Jaki mit przekażesz swoim synom, temu żywemu, a także temu martwemu, czy o tym pomyślałeś? Co nam zapiszesz w testamencie? Całą prawdę? Prawdę połowiczną? Jej dobrą część? Jej złą część? Którą z tych części żywemu Dantonowi? Którą martwemu Santiago?

Wiedziała, że tylko czas, który rozwieje się jak dym, odsłoni zazdrośnie strzeżoną tajemnicę jej męża Juana Francisco Lopeza Greene'a. Ile razy tak naprawdę obydwaje

wzywali się do poddania? Czy nigdy nie będą mogli powiedzieć: oddaję ci wszystko, jeszcze dzisiaj?

– Kiedyś to zrozumiesz... – mówił, coraz bardziej chory.

– Wiesz, do czego mnie zmuszasz? Zmuszasz do zadawania pytań: co mam ci dać, czego ode mnie oczekujesz, Juan Francisco, chcesz, żebym znowu zaczęła ci mówić: „moje kochanie, miłości moja”, kiedy dobrze wiesz, że te słowa zachowuję dla innego mężczyzny i dla moich synów, te słowa nie należą do ciebie, ty jesteś moim mężem, Juan Francisco, nie moją czułością; moim szczęściem, moją miłością (mój hidalgo, moje uwielbiane Hiszpaniątko...)?

Bała się – a może właśnie chciała wierzyć – że w którymś momencie Juan Francisco zbudzi się ze swego letargu, odezwie się do niej inaczej: słowami jednocześnie nowymi i dawnymi, oznaczającymi finał. Uzbroidła się w cierpliwość w oczekiwaniu na ten finał, który miał nadejść, którego bliskość widać było wyraźnie w fizycznym wycieńczeniu tego wielkiego mężczyzny o szerokich barach i ogromnych dłoniach, krótkim tułowi i drugich nogach, jak to się zdarza w jego rodzinie – rodzina, przynajmniej cokolwiek chciała Laura przypisać Juanowi Francisco, choćby rasę, kastę, jakichś przodków, ród, ojca i matkę, kochanki, pierwszą żonę, dzieci ślubne czy pozamałżeńskie, czy to nie wszystko jedno? Pewnego dnia była o krok od decyzji, żeby wsiąść do pociągu „Interoceánico”, pojechać do Veracruz i stamtąd kutrem, a potem szosą do Tabasco, żeby przejrzeć rejestry mieszkańców, ale poczuła się jak obrzydliwy szpicel i dalej wiodła swój normalny tryb życia, pomagała Fridzie Kahlo, coraz bardziej zbolalej, z amputowaną jedną nogą, uwięzionej w łóżku i fotelu na kółkach, brała udział w spotkaniach, które Frida i Diego organizowali na cześć nowych uchodźców, Amerykanów prześladowanych przez Komitet do Badania Działalności Antyamerykańskiej utworzony przy Kongresie USA.

Rozpoczęła się nowa wojna, zimna wojna, Churchill uświęcił ją w swoim słynnym przemówieniu: „Na Europę spadła żelazna kurtyna...” Postępowanie Stalina uzasadniało racje krajów demokratycznych. Paranoja starego dyktatora sięgała szczytów szaleństwa, zamykał w więzieniach i skazywał na śmierć nie tylko swoich wyimaginowanych wrogów, ale także przyjaciół, ze strachu, że któregoś dnia mogą się stać nieprzyjaciółmi; stosował mordy i więzienia prewencyjne, okrutne, straszliwie niepotrzebne... Ale Picasso malował „realistyczny” portret Stalina i towarzyszącego mu gołębia, bo zwolennicy tego dziwnego monstrum, o którym tyle dyskutowali na swoich spotkaniach Domingo Vidal, Basilio Baltazar i Jorge Maura w „Café de Paris” w czasie wojny w Hiszpanii, uznali go teraz za lidera w walce o pokój i przeciwstawiali amerykańskim imperialistom, którzy nie zasypiali gruszek w popiele i wymyślili swoją własną paranoję antykomunistyczną i szukali stalinowskiego agenta pod każdą kanapą, na każdej scenie Nowego Jorku i w każdym filmie z Hollywood. Ci nowi wygnańcy zaczęli spotykać się w domu Rivery. Wielu zrezygnowało z tych spotkań, gdyż męczyły ich marksistowskie tyrady Diega albo oburzało uwielbienie Fridy dla ojczulka Stalina, któremu dedykowała portret i nie szczędziła słów bezbrzeżnego zachwyty, pomimo to (a może właśnie dlatego), że Stalin rozkazał zamordować jej kochankę, Leona Trockiego.

Laura Díaz pamiętała słowa Jorge Maury: nie należy zmieniać życia, nie należy przekształcać świata. Życie należy urozmaicić. Należy pozbyć się złudzeń o jedności, która ma być kluczem do nowego raj. Należy nadać wartość różnicom. Różnice umacniają tożsamość. Jorge Maura powiedział, że on sam znajduje się pomiędzy dwiema prawdami. Jedna głosi, że świat będzie zbawiony. Druga, że świat jest skazany na zagładę. Obie są prawdziwe. Skorumpowane społeczeństwo kapitalistyczne jest skazane na zagładę. Ale idealistyczne społeczeństwo rewolucji – również.

– Uwierz w możliwości, jakie daje wolność – powiedział czyjś ciepły głos do ucha Laury Díaz, górując nad głębokimi debatami i płytkimi rozmowami na spotkaniu w domu Fridy i

Diega. – Pamiętaj, że polityka jest wtórna w stosunku do integracji personalnej, bo bez tej w ogóle nie warto żyć w społeczeństwie...

– Jorge! – wykrzyknęła Laura w najwyższym uniesieniu, zwracając twarz ku mężczyźnie jeszcze młodemu, z bujną czupryną, ale już nie tak czarną jak przed laty, tylko przetykaną, jak i brwi, siwymi pasmami.

– Nie. Przykro mi, że cię rozczarowałem. Basilio. Basilio Baltazar. Pamiętasz mnie?

Uściskali się ze wzruszeniem podobnym do tego, które towarzyszy nowym narodzinom, bo w jakiejś mierze naprawdę obydwójce w tym momencie jakby urodzili się na nowo i byli gotowi z tego wzruszenia odmłodzić o minione piętnaście lat i zakochać się w sobie, tylko że teraz już nie byli sami. Już i na zawsze. Laura miała swojego Jorge Maurę. Basilio Baltazar swoją Pilar Méndez. A Jorge, na swojej wyspie, inną Mendes – Raquel.

Spojrzeli na siebie z ogromną czułością, nie będąc w stanie przez chwilę powiedzieć ani słowa.

– Widzisz? – Na twarzy Basilia pojawił się uśmiech, a oczy mu zwilgotniały. – Nigdy nie możemy pozbyć się problemów. Nigdy nie przestajemy prześladować albo uciekać przed prześladowaniami.

– Widzę – powiedziała Laura łamiącym się głosem.

– Wśród tych „jankesów” są bardzo sympatyczni ludzie. Dużo jest reżyserów teatralnych i filmowych, pisarzy, niektórzy to weterani naszej wojny, członkowie Brygady Lincolna, pamiętasz, co to takiego?

– Jak mogłabym zapomnieć, Basilio?

– Niemal wszyscy mieszkają w Cuernavace. Może w jakiś weekend pojedziemy tam, żeby z nimi pogadać?

Laura Díaz pocałowała w policzek swego starego przyjaciela, hiszpańskiego anarchiście, tak jakby znowu całowała Jorge Maurę, tak jakby po raz pierwszy ujrzała wiecznie ukrytą twarz Armonii Aznar, tak jakby z głębi morza wyłoniła się postać ukochanego brata, pierwszego Santiago... Basilio Baltazar był katalizatorem przeszłości, za którą Laura tęskniła, ale którą uważała za utraconą na zawsze.

– Czemu nie? Wiesz, Basilio, ożywiłeś naszą przeszłość. Dziękuję ci.

Jechać do Cuernavaki, żeby dyskutować o polityce, tym razem nie z Hiszpanami ani z przywódcami robotników meksykańskich zdradzonych przez Rewolucję, przez Callesa i Moronesa, tylko z Amerykanami... Pomysł wydał jej się dziwny i niezbyt pociągający, myślała o nim w domu przy Alei Sonora, tak już opustoszałym – Maria de la O i Santiago umarli, Danton z żoną mieszkał w upiornej barokowej budowli, przypominającej tort, w dzielnicy Po lanco, gdzie Laura, wyłącznie ze względów estetycznych, przysięgła sobie nigdy nie postawić stopy.

– Powiedziałeś, Dantonie, że zmienisz gust swojego teścia.

– Poczekaj troszkę, mamó. To jest pewien układ, tak mi jest wygodnie. Muszę połechtąć próżność teścia, Pana Aspiryny, żeby go sobie później podporządkować. On już jest trochę zdzieciniał. Nie martw się, właśnie zlikwidował fontannę na tarasie...

– A twoja żona?

– Mamuśka, przysięgam ci, że biedna Magda była taka zielona, że nawet nie wiedziała, którędy się czka.

– Jesteś lepszy ordynus. – Laura nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Ba, wmówiłem w nią, że dziecko przyślą nam z Paryża.

– Dziecko? – zapytała Laura, obejmując syna.

W wieku pięćdziesięciu dwóch lat będą babką – myślała Laura, wracając do domu z przyjęcia na Coyoacanie, gdzie spotkała po latach swojego przyjaciela Basilia Baltazara. Miała czterdzieści, kiedy poznała Jorge Maurę. – Teraz mieszkam tylko z Juanem Francisco, ale zostanę babcia.

Drzwi otworzył jej Juan Francisco w szlafroku i w kapciach, i jego widok uprzytomnił jej, że jeszcze jest żoną, czyjej się to podoba, czy nie. Z odrazą odrzuciła myśl nazbyt szlachetną, która przemknęła jej przez głowę. Tylko w domu można przeżyć. Tylko ci, którzy trzymają się domu, trwają. W świecie ludzie jak ćmy rwą się do światła, parzą się i giną. Z pewnością tak właśnie myślał jej niemiecki dziadek, don Felipe Kelsen, który przepłynął ocean, żeby zamknąć się na plantacji kawy w Catemaco i nigdy się już z niej nie ruszyć. Czy był szczęśliwszy niż jego potomstwo? Nie należy sądzić dzieci po rodzicach, a tym bardziej wnuków. Opinia, że różnice międzypokoleniowe nigdy nie były tak wielkie jak obecnie, jest fałszywa. Świat jest stworzony z pokoleń oddzielonych od siebie przepaścią i z par małżeńskich rozdzielonych niekiedy krzyżującym w niebo milczeniem, jak to było w przypadku samego dziadka Felipe i jego pięknej okaleczonej żony doñi Cosimy, która w swoich zapatrzonych w dal oczach miała wciąż – o tym Laura słyszała od dzieciństwa – zuchwałą i chwałką postać Uwodziciela z Papantli. Widok męża, który otworzył jej drzwi w kapciach ze specjalnie wyciętym otworem na opuchnięty duży palec prawej nogi i we włochatym szlafroku w jaskrawe pasy, podobnym do poncha zamienionego na ręcznik – poddał jej myśl, że Juan Francisco mógłby być nieznanym synem tamtego rozbójnika z epoki Juareza, Uwodziciela z Papantli, i dostała ataku śmiechu.

– Co cię tak bawi?

– To, że będziemy dziadkami, staruszku – powiedziała, zanosząc się histerycznym śmiechem.

Wiadomość o tym, że ich młoda synowa jest w ciąży, niechcący przyspieszyła koniec Juana Francisco. Było to tak, jakby zapowiedź przyszłych narodzin wymagała przyspieszenia czyjejś śmierci, żeby nowo narodzony mógł zająć miejsce okupowane bezproduktywnie przez starego człowieka, który podchodził już pod siedemdziesiątkę. Tak na oko – pomyślała żartobliwie Laura, bo nikt nigdy nie widział jego świadectwa urodzenia. Zmarł tej samej nocy, kiedy otworzył jej drzwi opustoszałego domu. Można by powiedzieć, że odebrała choremu tę resztę czasu, która mu została.

Już nie będzie czasu na skąpe smutne pieszczoły.

Widziała, jak zamykał drzwi na łańcuch i podwójny zamek, jakby w tym smutnym i biednym domu znalazło się cokolwiek, co warto by było ukraść.

Już nie będzie czasu, żeby powiedzieć, że w końcu miał szczęśliwe życie.

Szurając kapciami, poszedł do kuchni, żeby przygotować sobie kawę, która usypiała go, a jednocześnie dawała poczucie, że robi coś pożytecznego, coś własnego, bez pomocy Laury.

Już nie będzie czasu, żeby odmienić ten chłodny uśmiech.

Pił powoli kawę, w której umoczył resztki bułki.

Już nie będzie czasu, aby odmłodzić duszę, która tak się zestarzała, iż nawet przy wierze w reinkarnację było pewne, że jego dusza nie przeżyje.

Podlubał wykałaczką w zębach.

Już nie będzie czasu wycofać się, odzyskać ideały młodości, stworzyć niezależny ruch związkowy.

Wstał i zostawił na stole brudne naczynia, żeby służąca je umyła.

Już nie będzie czasu na nową miłość od pierwszego wejrzenia, tę nigdy nie szukaną, nie przewidywaną, a zawsze zaskakującą.

Wyszedł z kuchni i przejrzał stare gazety przeznaczone na podpałkę do bojlera na gorącą wodę.

Już nie będzie czasu na litość, na którą zasługują starzy ludzie, choćby utracili cudzą miłość i szacunek.

Przeszedł przez salon z meblami pokrytymi aksamitem, gdzie wiele lat temu Laura czekała, aż jej mąż, w jadalni, zakończy przeciągającą się dyskusję na temat robotniczej polityki.

Już nie będzie czasu na oburzanie się, kiedy go poproszą o efekty zamiast słów.

Zawrócił i wszedł jeszcze do jadalni, jakby tam coś zostawił, jakieś wspomnienie, jakąś obietnicę.

Już nie będzie czasu na tłumaczenia, że wstąpił do oficjalnej partii, żeby przekonać rządzących o ich błędach.

Drżącymi rękoma chwycił się barierki schodów.

Już nie będzie czasu, żeby zmieniać rząd i partię od wewnątrz.

Każdy stopień to cały wiek.

Już nie będzie czasu, żeby czuć się osądzanym przez nią.

Każdy stopień – nogi z kamienia.

Już nie będzie czasu, żeby czuć się potępionym albo nagrodzonym wyłącznie jej osądem.

Zdołał wejść na piętro.

Już nie będzie czasu na wyrzuty sumienia.

Stracił orientację. Gdzie są drzwi do sypialni? Jak się wchodzi do łazienki?

Już nie będzie czasu, żeby odzyskać szacunek gromadzony w ciągu lat i utracony w ciągu sekundy, tak jakby nie liczyło się nic, tylko ta sekunda, w której świat odwraca się do Ciebie plecami.

Ach tak, tu jest łazienka.

Już nie będzie czasu na pytania, co dzisiaj robiłeś, i odpowiedzi: to, co zawsze, wiesz dobrze.

Zapukał ostrożnie.

Już nie będzie czasu, żeby ją śledzić o każdej porze, nasyłać detektywów, trochę ją upokorzyć z tej zbyt wielkiej miłości.

Wszedł do łazienki.

Już nie będzie czasu, żeby ona mogła przejść od wstrętu i pogardy do miłości i pieśczoł. Już nie.

Spojrzał w lustro.

Już nie będzie czasu, żeby robotnicy go pokochali, żeby on poczuł się kochany przez robotników.

Wziął pędzel, mydło i brzytwę.

Już nie będzie czasu przeżywać na nowo swoich historycznych dni podczas strajku w Rio Blanco.

Namoczył pędzel i wolno rozprowadził pianę z mydła.

Już nie będzie czasu, żeby od nowa tworzyć Czerwone Bataliony Rewolucji.

Nałożył mydlaną pianę na policzki, nad górną wargę i na szyję.

Już nie będzie czasu na reanimację Domu Robotników Świata.

Ogolił się powolutku.

Już nie będzie czasu, żeby uznano jego zasługi rewolucyjne, o których wszyscy zapomnieli.

Miał zwyczaj golić się wieczorem przed snem, w ten sposób rano, przed wyjściem do pracy, miał więcej czasu.

Już nie będzie czasu, żeby przyznano mu odpowiednie miejsce, kurwa, przecież był kimś, miał sukcesy, zasługiwał na odpowiednie miejsce.

Skończył się golić.

Już nie będzie czasu, żeby uznać, że poniósł klęskę.

Wytrzeł sobie twarz ręcznikiem.

Już nie będzie czasu na pytanie: gdzie był błąd?

Dłuższą chwilę przyglądał się sobie w lustrze ze śmiechem.

Już nie będzie czasu, żeby otworzyć drzwi miłości.

Popatrzył na nieznanego starego człowieka, innego mężczyznę, którym był on sam, idącego z głębi lustra na jego spotkanie.

Już nie będzie czasu, żeby powiedzieć: kocham cię.

Popatrzył na zmarszczki na policzkach, zwiędły podbródek, dziwnie spiczaste uszy, worki pod oczami, siwe włosy, sterczące wszędzie, na głowie, w uszach, wokół ust, jak zmrożone siano; wyglądał jak stara sekwoja.

Poczuł ogromną, bolesną i przyjemną jednocześnie chęć, żeby się wypróżnić.

Już nie będzie czasu, żeby spełniła się nadzieja na piękny, chwalebny, godny dziedzictwa los.

Ściągnął spodnie od pidżamy w paski, którą Danton podarował mu na urodziny, i usiadł na sedesie.

Już nie będzie czasu...

Natężył się i padł twarzą do przodu, żołądek się wypróżnił, a serce stanęło.

Cholerna stara sekwoja.

Podczas czuwania przy trumnie Juana Francisco Laura postanowiła zapomnieć o swoim mężu, to znaczy zatrzeć w pamięci wszystkie wspomnienia, które ciążyły jej jak płyta na przedwczesnym grobie, grobie jej małżeństwa, i zamiast rozpaczać po zmarłym zamknęła oczy i, stojąc obok trumny, myślała o bólu porodu, o tym, jak urodzili się jej synowie, starszy ze strasznymi bólami trwającymi wieki między jednym skurczem a drugim, młodszy łagodnie, łatwo, jak po maśle, delikatnie jak na fali roztopionego lodu... Z ręką na trumnie męża, Laura postanowiła przeżywać ból narodzin, a nie śmierci, zdając sobie sprawę, że cudzy ból, cudza śmierć pozostają nam obce, ani Danton, ani Santiago nie odczuwali bólów matki przy swoich narodzinach, ich przyjściu na świat towarzyszył krzyk, który nie oznaczał ani szczęścia, ani smutku, tylko okrzyk zwycięstwa nowo narodzonego, jego: „oto jestem!”, to matka cierpi i – jak ona, wtedy kiedy Santiago rodził się w tak straszliwych męczarniach – krzyczy, nie zważając na to, czy słyszą ją lekarz i pielęgniarki: „Niech to szlag trafi, po co mi to dziecko? Po co te tortury? Dlaczego nikt mnie nie uprzedził? Nie wytrzymam, nie wytrzymam, lepiej mnie zabijcie, chcę umrzeć, przeklęty bachor, on też może sobie umrzeć...!”

A teraz Juan Francisco był martwy i o tym nie wiedział. Nie czuł żadnego bólu.

Ona też. Dlatego wolała wspominać ból porodu, żeby ci, co przybyli na pogrzeb – dawni towarzysze, syndykaliści, niżsi funkcjonariusze rządu, paru deputowanych i, na zasadzie szokującego kontrastu, bogata rodzina i zamożni przyjaciele Dantona – widzieli ślady dzielonego z nimi bólu, który był fałszywy, bo prawdziwy ból czuje tylko ten, kto go naprawdę czuje; kobieta, która rodzi, a nie lekarz, który dziecko odbiera przy porodzie; rozstrzeliwany, kiedy przeszywają go kule, a nie pluton egzekucyjny ani oficer, który daje rozkaz; chory, a nie pielęgniarki...

Nie wiadomo dlaczego Laura przypomniała sobie Hiszpankę Pilar Méndez, która przed bramą do miasta Santa Fe de Palencia krzyczała w środku nocy, żeby ojciec się nad nią nie litował, tylko wymierzył sprawiedliwość, tak jak mu nakazywał jego fanatyzm polityczny, przez rozstrzelanie nad ranem za zdradę Republiki i służbę Sprawie. Laura chciałaby krzyczeć tak jak tamta, ale nie z żalu nad swoim mężem ani synami, tylko nad samą sobą, wspominając własne bóle porodowe, straszliwe, nie do opisanego, nie dające się porównać z niczym innym. Mówią, że ból odbiera mowę. Zostaje tylko krzyk, jęk, nieartykułowane dźwięki. O bólu mówią ci, którzy go nie czują. Język bólu zna ci, którzy opisują cudzy ból. Prawdziwy ból nie ma słów, ale Laura Díaz, tej nocy, kiedy czuwała przy zwłokach męża, nie chciała krzyczeć.

Z zamkniętymi oczami przypominała sobie dwóch innych zmarłych. Jej przyrodni brat Santiago Díaz Obregón, rozstrzelany w Veracruz w wieku dwudziestu jeden lat i jej syn Santiago López Díaz, zmarły śmiercią naturalną w wieku dwudziestu siedmiu lat, w mieście

Meksyk. Dwóch pięknych zmarłych. To im ofiarowała swój żal. To oni dwaj, Santiago Starszy i Santiago Młodszy, tej nocy połączyli to wszystko, co rozsypało się po świecie bez ładu i składu w ciągu lat, i nadali temu własną formę, formę dwóch młodych i pięknych ciał. Bo co innego jest być ciałem, a zupełnie co innego być pięknym.

Towarzysze robotnicy chcieli umieścić na trumnie Juana Francisco czerwoną flagę z sierpem i młotem. Laura nie zgodziła się. Nie chciała symboli. Nikt nie ma prawa identyfikować jej męża z czerwoną szmatą, która lepiej by wyglądała na arenie do walki byków.

Towarzysze wycofali się, obrażeni, ale milczący.

Ksiądz przy katafalku zaproponował, że odprawi nabożeństwo różańcowe.

– Mój mąż był niewierzący.

– Pan Bóg nas wszystkich obejmuje swoim miłosierdziem. Laura Díaz wyrwała krucyfiks, który ozdabiał wieko trumny, i wręczyła go księdzu.

– Mój mąż był antyklerykałem.

– Niech pani nas nie obraża! Krzyż jest rzeczą świętą.

– Proszę to zabrać. Krzyż jest narzędziem tortur. Dlaczego nie położycie tu małej szubienicy albo gilotyny? We Francji na pewno by Chrystusa zgilotynowali, wiecie o tym?

Szmer przerażenia i dezaprobaty wśród rodziny i przyjaciół Dantona sprawił jej satysfakcję. Czuli, że zrobiła coś koniecznego, urządziła prowokację. Wyszło tak samo przez się. Nie mogła temu zapobiec. Była z siebie zadowolona. Nagle wydało jej się, że jest to coś w rodzaju aktu emancypacji, początek czegoś nowego. Poza wszystkim, kim ona teraz była – kobietą samotną, wdową w pustym domu, bez rodziny poza obcym jej synem, uwikłanym w świat, który uważała za godny pogardy?

Ludzie zaczęli wychodzić, czuli się upokorzeni albo obrażeni: Laura wymieniła spojrzenie z jedyną osobą, która patrzyła na nią z sympatią. To był Basilio Baltazar. Ale zanim zamienili słowo, jakiś człowieczek, zniedołężniały i skurczony jak źle uprany sweter, odziany w za dużą pelerynę, o rysach twarzy wyostrzonych, a jednocześnie jakby rozmytych przez czas, z krzaczkami białych włosów, podobnych do oszronionej trawy, nad uszami, wręczył jej list i powiedział głosem z głębi czasu: przeczytaj to, Lauro, to o twoim mężu...

List nie miał daty, ale pisany był archaicznym pismem, bardziej pasującym do kościelnych ksiąg do rejestrowania chrztów i zgonów, znaków początku i końca życia niż do komunikowania się z bliźnim. Przeczytała go tamtego wieczoru.

Kochana Lauro, czy mogę Panią tak nazywać? W końcu znam Panią od dziecka i choć dzielą nas setki lat, pamięć Pani pozostaje we mnie zawsze żywa. Wiem, że Juan Francisco zmarł, zabierając do grobu tajemnicę swego pochodzenia, jakby to było coś wstydliviego czy godnego pogardy. Ale czy zdała sobie Pani sprawę, że umarł w ten sam sposób, anonimowo, bez hałasu? Czy Pani, gdybym dzisiaj o to poprosił, umiałaby streścić mi jego ostatnie dwadzieścia lat życia? Byłaby Pani, moja kochana Lauro, w takiej samej sytuacji jak on. Nie byłoby nic do opowiadania. Czy Pani sądzi, że ogromna większość ludzi na tym świecie ma coś nadzwyczajnego do opowiadania o swoim życiu? Czy oni przez to są mniej ważni, mniej godni szacunku, a czasami miłości? Piszę do Pani, Droga przyjaciółko, którą znam od dziecka, z prośbą, aby przestała się Pani zadrezczać myślą, kim był Juan Francisco López Greene, zanim się z Panią spotkał i ożenił. Kim był, zanim dał się poznać jako obrońca sprawiedliwości w strajkach w Veracruz i przy organizacji Czerwonych Batalionów Rewolucji. To właśnie było życie Pani męża. Te dwadzieścia lat sławy, elokwencji, odwagi. Ani przed, ani po tej chwili chwały, jeśli mogę to tak nazwać, nie istniał. Zmęczony bohater szukał u Pani odpoczynku. Czy Pani dała mu ten spokój, o który w milczeniu prosił? Czy też żądała Pani od niego rzeczy niemożliwych? Zmęczony bohater, który przeżył coś, czego nie przeżywa się dwa razy w życiu – swoją chwilę chwały. Przybył z daleka i z dołów, Lauro.

Kiedy poznałem go jako młodziutkiego chłopca w Macuspana, wałęsał się jak bezpański pies, bez żadnej rodziny, kradnąc jedzenie to tu, to tam, kiedy już zabrakło mu bananów, które stan Tabasco darowuje w prezencie najgłodniejszemu z głodnych. Przygarnąłem go. Ubrałem. Nauczyłem pierwszych liter. Pani wie, że to typowa sytuacja w Meksyku. Młody ksiądz uczy biedne dziecko czytać i pisać, co potem to dziecko, gdy dorasta, wykorzystuje przeciwko naszemu Świętemu i Powszechnemu Kościołowi. Tak było z Juarezem i tak było z Juanem Francisco Lopezem Greene'em. Już samo nazwisko. Skąd je wziął, jeśli nie miał ani ojca, ani matki, ani psa w czarne łatki? Jak mówi nasze sympatyczne przysłowie: „Ze słuchu, ojczyste...” López to bardzo pospolite nazwisko w hiszpańskiej genealogii, tak jak Greene wśród rodzin ze stanu Tabasco, które pochodziły od angielskich piratów w czasach kolonialnych, kiedy to sam sir Henry Morgan napadał na wybrzeże zatoki Campeche i grabił porty, z których wypływały z Meksyku do Hiszpanii statki ze złotem i srebrem. A Juan? Znowu najpospolitsze imię w języku hiszpańskim. Ale Francisco dlatego, że ja opowiedziałem mu o cnotach najwspanialszego świętego w całym chrześcijaństwie, Franciszka z Asyżu... Ach, moje dziecko, kochana Lauro, święty Franciszek zostawił pełne luksusów i przyjemności życie, żeby stać się trubadurem Boga. Mnie, jak Pani wie, zdarzyło się odwrotnie. Wiara czasem słabnie. Nie byłoby wiary, gdyby nie było wątpliwości. Byłem młody, kiedy przyjechałem do Catemaco, żeby zastąpić proboszcza, bardzo kochanego, Pani go pamięta, Jesusa Moralesa. Wyznam Pani parę rzeczy. Irytowała mnie ta aura świętości, która otaczała Moralesa. Byłem bardzo młody, obdarzony dużą wyobraźnią, nawet perwersyjny. Jeśli święty Franciszek przeszedł drogę od grzechu do świętości, ja zrobię to samo, chociaż inaczej: będę perwersyjnym, grzesznym proboszczem. Jakie straszne rzeczy mówiłem do ucha Pani, Lauro, sprzeniewierzając się najważniejszemu przykazaniu Naszego Pana Jezusa Chrystusa: „nie deprawować maluczkich”. Popeliłem najgorszy grzech, uciekając z kosztownościami ofiarowanymi przez najbiedniejszych dla Najświętszego Dzieciątka w Zongolica. Niech mi Pani wierzy, Lauro, grzeszyłem, żeby być świętym. Taki był mój zamysł, mój perwersyjny franciszkanizm, jeśli Pani woli. Zostałem pozbawiony święceń i tak mnie Pani znalazła w Xalapie, gdzie żyłem z moich skradzionych pieniędzy w pensjonacie Pani Mamusi, którą niech Bóg ma w swojej opiece. Musiała Pani wspomnieć o tym mężowi. Przypomniał mi siebie. Przyjechał do mnie. Podziękował za to, co dla niego zrobiłem. Znał mój grzech. Wyznał mi swój. Zadenuncjował zakonnicę o przydomku „Carmela”, siostrę Glorię Soriano zamieszkaną w zabójstwo prezydenta elekta Alvar a Obregona. Powiedział mi, że zrobił to z powodu swoich rewolucyjnych przekonań. Zgodnie z ówczesną polityką należało skończyć z klerykalizmem, który w Meksyku wyzyskiwał biednych i popierał wyzyskiwaczy. Zrobił to bez zastanowienia, to był jego obowiązek. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Pani, Lauro, która nawet nie jest osobą wierzącą, aż tak to weźmie do serca. To było dziwne i wszystko tak źle się potoczyło. Nie przewidujemy moralnych konsekwencji naszych poczynań. Uważamy, że spełniamy obowiązek wobec ideologii – rewolucyjnej, klerykalnej, liberalnej, konserwatywnej ideologii Chrystusa Króla – i przecieka nam przez ręce ten cudowny eliksir, coś, co nazywamy, z braku lepszego słowa, duszą. Kiedy Pani brutalnie potępiła wydanie siostry Soriano, Juan Francisco pogrążył się najpierw w psychicznym zamięcie, a potem w odrętwieniu. Był to gwóźdź do trumny jego kariery. Był skończony. Robił głupstwa, wynajął detektywa, który Panią śledził. Żałował tej swojej głupoty, zapewniam Panią. Jednak jestem księdzem, zawsze będę księdzem i choćby krojono mi palce na kawałki, nie mogę przestać spowiadać i rozgrzeszać. Lauro, Juan Francisco prosił mnie o przebaczenie, że wydał siostrę Glorię Soriano. W ten sposób chciał mi okazać wdzięczność za to, że kiedyś przygarnąłem małego bosego analfabetę i kazałem go uczyć, a było to ponad sześćdziesiąt lat temu, proszę to sobie wyobrazić. Ale to nie wszystko. Odtworzył skarb z kościoła Najświętszego Dzieciątka z Zongolica. Pewnego dnia wierni, wchodząc na nieszpory, zobaczyli klejnoty, wota, wszystko, co było w ich posiadaniu od pokoleń i co zgromadzili w ofierze, na swoim

dawnym miejscu. Pani o tym nie wiedziała, bo wieści z Catemaco nie wychodziły poza obręb Catemaco. Pełni zachwytu wierni byli przekonani, że to samo Najświętsze Dzieciątko uczyniło cud i na nowo stworzyło własny skarb, żeby przywrócić go na dawne miejsce. To tak jakby im powiedziało: „Kazałem wam czekać tak długo, żebyście odczuli brak tego skarbu i żeby jego powrót jeszcze bardziej was ucieszył”. Skąd miałeś na to pieniądze? – zapytałem Juana Francisco. Wyznał mi, że ze składek robotników. Czy oni o tym wiedzieli? Nie; powiedziałem, że to na ofiary epidemii na terenach, gdzie wylała rzeka Usumacinta. Nikt się nie doliczy. Lauro, chciałbym, żebyś któregoś dnia wróciła do twego rodzinnego miasteczka i zobaczyła, jaki przepiękny jest ten ołtarz dzięki Juanowi Francisco. Wybacz, Lauro, ludziom, którzy nie mogą dać z siebie niczego więcej, poza tym, co w sobie noszą. Jak to u nas mówią, tak krawiec kraje, jak materii staje. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali. Nie chcę, żebyśmy się spotkali. Sporo mnie kosztowało dzisiejsze spotkanie z Tobą na pogrzebie. Jak to dobrze, że mnie nie poznałaś. Niech to szlag trafi, ja sam już siebie nie poznaję! Wspomnij mnie czasem z odrobiną sympatii,

ELZEVIR ALMONTE

Pod koniec tygodnia Basilio Baltazar pożyczył samochód i pojechali do Cuernavaki oboje: Laura i jej stary przyjaciel, hiszpański anarchista.

XIX. Cuernavaca: 1952

Laura wskoczyła do wody wśród krzaków bugenwilli i wynurzyła głowę tuż obok krawędzi basenu. W pobliżu stała duża grupa zajętych rozmową cudzoziemców, w większości Amerykanów, tylko nieliczni mieli na sobie stroje kąpielowe, kobiety ubrane były w szerokie spódnice i meksykańskie bluzki bez rękawów z haftowanymi dekolami, mężczyźni w koszule z krótkimi rękawami i letnie spodnie, niemal wszyscy przyzwyczajali stopy do skórzanych sandałów, wszyscy bez wyjątku trzymali w rękach kieliszki. Byli to goście wybitnego angielskiego komunisty Fredrica Bella, którego dom w Cuernavace stał się azylem dla ofiar prześladowań maccartyzmu w Stanach Zjednoczonych.

Żona Bella, Ruth, była Amerykanką, i cienką, wysublimowaną ironię męża Brytyjczyka równoważyła ziemskim brakiem ogłady, aż tak przyziemnym, jakby, chodząc, wlokła za sobą korzenie swojej dzielnicy w Chicago, gdzie się urodziła. Była to kobieta stworzona do życia wśród wielkich jezior i niezmiernych łąk, urodzona przez przypadek pośród asfaltu „miasta o szerokich barach”, jak nazwał Chicago poeta Carl Sandburg. Bary Ruth dźwigały z łatwością i męża Fredrica, i jego przyjaciół, była jak Sancho Pansa przy Fredriku, wysokim, smukłym mężczyźnie o niebieskich oczach, wyniosłym czole i białych, rzadkich włosach okalających czaszkę pokrytą piegami.

– Błędny rycerz straconej sprawy – powiedział Basilio Baltazar do Laury.

Ruth, począwszy od koniuszków palców bosych stóp na trawniku po czubek głowy z krótkimi, lekko posiwiałymi naturalnymi loczkami, miała siłę żelaznej kolumny.

– Niemal każdy z nich to reżyser albo scenarzysta filmowy – ciągnął Basilio, prowadząc samochód niedawno oddaną do użytku superautostradą, którą można było dojechać z Meksyku do Cuernavaki w ciągu czterdziestu pięciu minut – czasem się trafi jakiś profesor, ale głównie to ludzie kina i sceny...

– Masz szczęście, jesteś mniejszością. – Laura uśmiechnęła się; na głowie miała zawiązaną chusteczkę, która przytrzymywała jej włosy rozwiewane wiatrem w odkrytym samochodzie, pożyczonym od przyjaciela Basilia, republikańskiego poety przebywającego na emigracji w Meksyku, Garcii Ascota.

– Czy możesz mnie sobie wyobrazić, jak wykładam hiszpańską literaturę amerykańskim panienkom z dobrych domów w Vassar College? – zapytał z kpiącym uśmiechem Basilio, który zręcznie pokonywał zakręty na szosie.

– Czy to tam poznałeś ten cały tłum czerwonych?

– Nie. Pracuję jako tzw. *moonlighter*, to znaczy w weekendy uczę za darmo w New School for Social Research w Nowym Jorku. Przychodzą tam robotnicy, dorośli, którzy nie mogli się uczyć. Tam poznałem wielu z tych ludzi, których ty teraz poznasz.

Chciała prosić Basilia, żeby nie traktował jej ze współczuciem, żeby ich wspólną przeszłość, której szczęśliwe i przykre chwile odcisnęły piętno na ich twarzach, wspominał ze spokojem i dystansem.

– Ty w dalszym ciągu jesteś piękną kobietą.

– Już mam pięćdziesiątkę. I jeszcze troszeczkę.

– Tu są kobiety o dwadzieścia lat młodsze od ciebie, które by się nie pokazały w kostiumie kąpielowym.

– Lubię pływać. Urodziłam się nad jeziorem, a wychowałam nad morzem.

Taktownie nie przyglądali się jej, kiedy wskakiwała do wody, ale kiedy wynurzyła się wśród bugenwilli, dostrzegła ciekawe, aprobujące spojrzenia uśmiechniętych „jankesów” zebranych na sobotnim obiedzie w Cuernavace, w domu komunisty Fredrica Bella i tak jak na muralu Diega Rivery albo w filmie Kinga Vidora zobaczyła *the crowd*, grupę ludzi tworzących kolektyw, a jednocześnie zbiór poszczególnych jednostek. Laura doceniła to, wiedziała, że tych ludzi łączy jedna rzecz, prześladowanie, ale każdy z nich potrafił uratować swoją indywidualność, nie byli „masą”, choćby im to uparcie przypisywano; w ich spojrzeniach była duma; sposób stania, trzymania kieliszka czy unoszenia podbródka były charakterystyczne tylko dla tej jednej, konkretnej osoby, to Laurze zaimponowało, ta widoczna świadomość urażonej godności i czasu koniecznego do podźwignięcia się z kryzysu. Był to azyl dla politycznych rekonwalescentów.

Wiedziała już coś niecoś na temat ich życiorysów, Basilio opowiadał jej o nich podczas podróży, musieli wierzyć w swoją osobowość, bo prześladowania miały konkretny cel: zrobić z nich stado czerwonych baranów komunizmu, odebrać im indywidualność i nastawić jednych przeciw drugim.

– Czy pan brał udział w uroczystości ku czci Dymitra Szostakowicza w Waldorf Astoria?

– Tak.

– Czy pan wiedział, że to prominentna postać propagandy sowieckiej?

– Wiedziałem tylko, że to wielki muzyk.

– Tu nie mówimy o muzyce, tylko o dywersji.

– Czy chce pan powiedzieć, senatorze, że muzyka Szostakowicza zamienia w komunistę każdego, kto jej słucha?

– Otóż to. Jako amerykański patriota jestem o tym przekonany. Komitet wyraźnie widzi, że pan nie podziela tego przekonania.

– Jestem takim samym Amerykaninem jak pan.

– Ale sercem jest pan w Moskwie.

(Bardzo nam przykro. Nie może pan z nami pracować. Nasza firma nie może być zamieszana w kontrowersyjne sytuacje.)

– Czy to prawda, że pan umieścił w swoim programie telewizyjnym festiwal filmów Charlie Chaplina?

– Tak. Chaplin to wielki komik.

– Raczej słaby tragiczny, chciał pan powiedzieć. To komunista.

– Możliwe. Ale to nie ma nic wspólnego z jego filmami.

– Niech pan nie udaje głupiego. Czerwone orędzie sączy się, choć widz nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Ależ, senatorze, to są filmy nieme, robione przez Chaplina jeszcze przed tysiąc dziewięćset siedemnastym rokiem.

– A co takiego było w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku?

– Rewolucja radziecka.

– Ach, więc Chaplin jest nie tylko komunistą, on także przygotowywał rosyjską rewolucję, i to pan chce pokazać? Podręcznik rozruchów pod płaszczykiem komedii...

(Bardzo nam przykro. Nasze Towarzystwo nie może puścić pańskiego programu na antenie. Nadawcy reklam zagrozili, że się wycofają, jeśli będzie pan nadal umieszczał w programie dywersyjne filmy.)

– Czy pan należy albo należał do Partii Komunistycznej?

– Tak. Tak samo jak do niej należy, albo należało, czterem weteranom wojennych, którzy stawili się razem ze mną przed tym Komitetem; wszyscy byli ranni na wojnie.

– Czerwona brygada, cha, cha, cha.

– Walczyliśmy na Pacyfiku za Stany Zjednoczone.

– Walczyliście za Rosjan.

- To byli nasi sprzymierzeńcy, senatorze. My tylko zabijaliśmy Japończyków.
- Wojna się skończyła. Możecie sobie jechać do Moskwy i żyć szczęśliwie.
- Jesteśmy lojalnymi Amerykanami, senatorze.
- Niech pan to udowodni. Proszę podać Komitetowi nazwiska innych komunistów...

(...w siłach zbrojnych, w Departamencie Stanu, ale przede wszystkim w filmie, radiu, w nowo rodzącej się telewizji: inkwizytorzy Kongresu najbardziej ze wszystkiego lubili poddawać badaniom ludzi sceny, spoufalać się z nimi, robić sobie zdjęcia z Robertem Taylorem, Garym Cooperem, Adolphem Menjou, Ronaldem Reaganem, którzy byli donosicielami, albo z Lauren Bacall, Humphreym Bogartem, Fredrikiem Marchem, Lilian Hellman, Arthurem Millerem, którzy mieli odwagę oskarżyć inkwizytorów...)

– Zamiar był taki: zniszczyć naszą indywidualność, żeby nas ze sobą skłócić, albo zrobić z nas kolaborantów, donosicieli, zdrajców. Na tym polega zbrodnia maccartyzmu.

Laura wynurzyła głowę z wody, zobaczyła całe to towarzystwo i zastanowiło ją, dlaczego zwróciła uwagę właśnie na niewysokiego mężczyznę o wąskich ramionach i melancholijnym spojrzeniu, rzadkich włosach i twarzy tak starannie wygolonej, że wydawała się starta, jakby brzytwa każdego ranka pozbawiała go rysów, które potem, przez cały dzień, usiłowały odrodzić się i ukształtować. Luźna koszula bez rękawów w kolorze khaki i równie luźne spodnie w tym samym kolorze, ściągnięte paskiem z wężowej skóry, takim, jakie sprzedawane są na jarmarkach w tropikalnych krajach, gdzie można dostać wszystko. Był bez butów. Jego bosa stopy muskały trawnik.

Wynurzyła się, nie spuszczać z niego oka, chociaż on na nią nie patrzył, nie patrzył na nikogo... Laura wyszła z wody. Wszyscy udali, że nie widzą nagości kobiety pięćdziesięcioletniej, dojrzałej, lecz atrakcyjnej. Wysoka, cała jakby zbudowana z kątów prostych, od dziecka miała ten wyzywający profil o wydatnym nosie, żaden tam dziecienny nosek podobny do pączka róży; od dzieciństwa miała oczy prawie złote, podkrążone żalobnym sińcem, jak gdyby sam wiek był już żalobą, z którą niekiedy się człowiek rodzi, ale która z reguły przychodzi z czasem; usta miała wąskie jak madonny na obrazach Memlinga, jakby nigdy nie odwiedził jej anioł ze szpadą, który robi nią nacięcie nad górną wargą, żeby zatrzeć pamięć sprzed narodzin...

– To stara żydowska legenda – powiedziała Ruth, przygotowując kolejny dzban martini. Kiedy się rodzimy, pojawia się anioł ze szpadą, przeciąga ostrzem od nosa po górną wargę i robi nam to wgłębienie, którego inaczej nie sposób wytłumaczyć – Ruth podrapała niepolakierowanym paznokciem wyimaginowany wąsik, taki jaki nosił protokomunista Chaplin – a które, według legendy, skazuje na zapomnienie to wszystko, co wiedzieliśmy przed urodzeniem, całą migawkową pamięć życia płodowego, nawet tajemnice naszych rodziców i chwalebne czyny dziadów.

Salud, powiedziała po hiszpańsku wielka matka plemienia z Cuernavaki, tak od razu nazwała ją ze śmiechem Laura i Basilio przyznał jej rację. Ani ona nie może ich nie przyjąć, ani oni nie chcą przyznać, że jej potrzebują. Kto nie potrzebuje mamusi – uśmiechnął się Basilio – zwłaszcza kiedy w każdy weekend przygotowuje wielki gar spaghetti?

– Polujący na czarownice publikowali brukowiec zatytułowany „Red Channels”. Dla usprawiedliwienia powoływali się na swój czujny patriotyzm i antykomunizm. Ale bez donosów ani oni, ani ich pismo nie mogliby prosperować. Zaczęli gorączkowe poszukiwania wśród osób nieugiętych, często pod pretekstem tak osobliwym jak słuchanie Szostakowicza czy oglądanie Chaplina. Denuncjacje w „Red Channels” stanowiły początek łańcuchowych prześladowań, za którymi szły listy do pracodawcy podejrzanego, pogróżki do oskarżonych firm, telefony zastraszające ofiarę, aż do wezwania przed Komitet do Badania Działalności Antyamerykańskiej włącznie.

- Miałeś mi opowiedzieć o jakiejś matce, Basilio...
- Zapytaj któregoś z nich o Mady Christians.

– Mady Christians była austriacką aktorką, która grała w takiej głośnej sztuce teatralnej, / *Remember Mamma* – powiedział wysoki mężczyzna w okularach w ciężkiej sztykretowej oprawce. – Wykładała sztukę dramatyczną na uniwersytecie w Nowym Jorku, ale jej obsesją była opieka nad uchodźcami politycznymi i emigrantami wojennymi.

– Ofiarowała pomoc wygnańcom hiszpańskim – przypomniał Basilio. – Stąd ją znałem. Była to bardzo piękna kobieta, w wieku mniej więcej czterdziestu lat, jasna blondynka o profilu nordyckiej bogini i spojrzeniu, które mówiło: „Ja się nie poddam”.

– Opiekowała się też nami, niemieckimi pisarzami wypędzonymi z Rzeszy przez nazistów – dodał mężczyzna o kwadratowej szczęce i przygasłym spojrzeniu. – Stworzyła Komitet Opieki nad Urodzonymi na Obczyźnie. To były te przestępstwa, które wystarczyły „Red Channels”, żeby przedstawić ją jako sowiecką agentkę.

– Mady Christians. – Basilio Baltazar uśmiechnął się z czułością. – Widziałem ją przed śmiercią. Nękali ją detektywi, którzy nie chcieli ujawnić swoich nazwisk. Dostawała anonimowe telefony. Przesztano ją angażować do teatru. Ktoś się odważył powierzyć jej rolę w telewizji, ale inkwizytorzy zrobili swoje i twórcy programu wycofali ofertę, chociaż wypłacili gażę. Jak można żyć w takim strachu, takiej niepewności? Obrońcy uchodźców sama stała się wewnętrznym uchodźcą. „To jest niewiarygodne” – zdążyła powiedzieć, zanim umarła na wylew krwi do mózgu, w wieku pięćdziesięciu lat. Dramaturg Elmer Rice powiedział na pogrzebie Mady, że reprezentowała wspaniałomyślność Ameryki, a w zamian spotkały ją oszczerstwa, prześladowania, utrata pracy i choroba. „Apelowanie do sumienia maccartystów na nic się nie zda, gdyż oni go nie mają”.

Wiele różnych historii zgromadziło się w domu Fredrica Bella, i Laura, w miarę jak tam przyjeżdżała, najpierw z Basiliem, a potem sama, kiedy profesor anarchista wrócił do żeńskiej szkoły w Vassar College, zaczęła segregować zasłyszane opowieści, próbując oddzielić prawdziwe doświadczenia od usprawiedliwień ambicjonalnych, niepotrzebnych lub wymyślonych na użytek chwili. Wszystko mieszało się tam jak w tyglu.

Wielość historii oznaczała wielość rodowodów, i wśród gości zapraszanych na weekendowe spotkania, z których część mieszkała w Cuernavaca, wyróżniała się najstarsza wiekiem grupa Żydów z Europy Środkowej z żonami – stawali oni w wielkim kręgu i wspominali przeszłość, która wydawała się zamierzchną, choć nie liczyła więcej niż pięćdziesiąt lat (jak krótka jest historia Ameryki Północnej – powiedział Basilio), i śmiali się, bo czasami okazywało się, że pochodzili z sąsiednich wiosek w Polsce lub z miejscowości leżących niedaleko granicy między Węgrami a Besarabią.

Staruszek z drżącymi rękoma i wesołymi oczyma tłumaczył Laurze: byliśmy krawcami, kramarzami, sklepikarzami, dyskryminowani jako Żydzi wyemigrowaliśmy do Ameryki, ale w Nowym Jorku też byliśmy cudzoziemcami, dyskryminowanymi, odrzucanymi, dlatego wszyscy wyjechaliśmy do Kalifornii, gdzie nie było nic poza morzem, słońcem i pustynią, Kalifornia – sam kraniec kontynentu, miss Laura, wszyscy pojechaliśmy do Los Angeles, tego miasta o anielskiej nazwie, gdzie było dużo aniołów, skrzydlaty związek zawodowy, który jakby tylko czekał na nas, Żydów z Europy Środkowej, żeby stworzyć nasze fortuny, Los Angeles, gdzie – tak jak opowiada nasza gospodyni Ruth – anioł zstępuje z nieba i odbiera nam pamięć tego, czym byliśmy i czym już nie chcieliśmy być; to fakt, że my, Żydzi, nie tylko wymyśliliśmy Hollywood, wymyśliliśmy Stany Zjednoczone, takie, o jakich marzyliśmy, nikt nie wyśnił tak pięknie Amerykańskiego Snu jak my, miss Laura, zaludniliśmy go postaciami o czarnych i białych charakterach, łatwych do odróżnienia na pierwszy rzut oka, sprawiliśmy, że dobro zawsze zwycięża, utożsamiliśmy dobro z niewinnością, daliśmy bohaterowi niewinną narzeczoną, stworzyliśmy Amerykę nieistniejącą, prowincjonalną, ludową, wolną, gdzie zawsze triumfuje sprawiedliwość, i okazało się, że właśnie to Amerykanie chcieli widzieć, to znaczy tak chcieli widzieć siebie, przeglądać się w lustrze niewinności i dobra, gdzie zawsze zwycięża miłość i sprawiedliwość, i to daliśmy

narodowi amerykańskiemu my, prześladowani Żydzi z *Mitteleuropa*, dlaczego Amerykanie nas teraz prześladują? Jacy z nas komuniści albo idealisci?

– Nie ma związku ze sprawą! – krzyknął McCarthy.

– To pan, panie senatorze, jest czerwony – powiedział niski, łysawy mężczyzna.

– Świadek popełnił przestępstwo obrazy Kongresu.

– Pan, panie senatorze, jest na żołdzie Moskwy.

– Wyprowadzić świadka!

– Pan jest najlepszą propagandą wymyśloną na Kremlu, panie senatorze McCarthy.

– Zabrać go! Siłą!

– Czy pan sądzi, że postępując tak jak Stalin, broni pan amerykańskiej demokracji? Myśli pan, że demokracji broni się, naśladując wroga?! – krzyknął Harry Jaffe; tak przedstawił go Basilio Baltazar. Walczyli razem nad Jaramą – Vidal, Maura, Harry, Basilio i Jim. Byli towarzyszami broni.

– Spokój, spokój, świadek winien jest ponownej obrazy Kongresu! – krzyknął McCarthy swoim płaczącym głosem kidnapera, usta skrzywione w niezmiennie pogardliwym uśmiechu, świeżo ogolona broda, oczy zwierzęcia uciekającego przed sobą samym: Joe McCarthy był jak zwierzę świadome tego, że jest człowiekiem tęskniącym do wewnętrznej wolności, wolności bestii w dżungli.

– Wszystkiemu winni byli bracia Warnerowie – powiedział starszy mężczyzna – to oni wprowadzili do kina politykę, tematy społeczne, przestępczość, bezrobocie, opuszczone dzieci w świecie zbrodni, okrucieństwo w więzieniach, stworzyli kino, które powiedziało Ameryce: już nie jesteś niewinna, nie jesteś prowincjonalna, żyjesz w miastach pełnych nędzy, wyzysku, zorganizowanej przestępczości i przestępców, którzy z gangsterów stają się bankierami.

– Jak powiedział Brecht: co jest gorsze, napaść na bank czy założyć bank?

– Ja ci powiem – ciągnął pierwszy staruszek, który zwierzał się Laurze – film jest dziełem zespołowym. Pisarz, choćby nie wiem jak przebiegły, nie potrafi wziąć pod włos Louisa B. Mayera albo Jacka Warnera i sprzedać mu czerwonego kota w białym worku. Jeszcze się taki nie urodził, kto by oszukał Mayera gadką: wiesz, ten film o szlachetnym rosyjskim wieśniaku jest w rzeczywistości zakamuflowaną pochwałą komunizmu. Mayer nie strawi żadnego kłamstwa, bo on sam je wszystkie wynalazł, dlatego on pierwszy zaczął denuncjować własnych współpracowników. Wilk oszukany przez owce. Wilk uzyskuje przebaczenie, bo oddał baranki do rzeźni, żeby samemu uniknąć tasaka. Jakże Mayer musiał być wściekły, że to McCarthy wypija krew wszystkich zakontraktowanych przez niego aktorów i pisarzy, a nie on sam...!

– Zemsta jest słodka, Theodore...

– Wprost przeciwnie. To gorzka dieta, kiedy nie ty wypijasz krew ukrzyżowanego przez twój donos. To żółć donosicieli – muszą milczeć, nie mogą wynosić się pod niebiosa, żyją w poczuciu wstydu...

Harry Jaffe podniósł się, zapalił cygaro i odszedł w głąb ogrodu. Laura Díaz śledziła wzrokiem rozżarzony koniuszek zapalonego camela, świecący jak robaczek świętojański w ciemnym ogrodzie.

– Wszyscy są odpowiedzialni za film – ciągnął stary producent o imieniu Theodore. – Paul Muni nie jest odpowiedzialny za czyny Ala Capone, chociaż grał go w *Człowieku z blizną*, ani Edward Arnold za plutarchiczny faszyzm, chociaż symbolizował go w filmie *Spotkać Johna Doe*. Wszyscy, od producenta do dystrybutora, byliśmy odpowiedzialni za nasze filmy.

– *Fuenteovejuna*⁸, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – powiedział z uśmiechem po hiszpańsku Basilio Baltazar, nie zważając na to, że nie zrozumie go ani jeden Amerykanin.

– Tak – powiedziała naiwnie Elsa, żona starego producenta. – Kto wie, czy nie mieli racji ci, którzy mówili, że poruszanie spraw społecznych w okresie Nowego Układu to jedna sprawa, a wychwalanie Rosji w czasie wojny to druga...

– To byli nasi sprzymierzeńcy! – wykrzyknął Beli. – Musieliśmy obłaskawić Rosjan!

– Proszono nas, abyśmy podnieśli nastroje proradzieckie – wtrąciła się Ruth. – Prosilili nas o to Roosevelt i Churchill.

– A tu pewnego pięknego dnia ktoś puka do twoich drzwi i zaprasza do Komitetu do Badania Działalności Antyamerykańskiej, ponieważ przedstawiłeś Stalina jako dobrego Wujaszka Joego, ze swoją fajką i chłopską mądrością, broniącego nas przed Hitlerem – powiedział wysoki mężczyzna w ciężkich okularach w szylkretowej oprawce, w których przypominał sowę.

– A tak nie było? – zapytał z uśmiechem mały człowieczek z czupryną kręconych, potarganych włosów, sterczących na czubku głowy. – Czy Rosjanie nie uratowali nas przed nazistami? A pamiętasz Stalingrad? Już zapomnieliśmy o Stalingradzie?

– Albert – odpowiedział mu ten wysoki krótkowzroczny mężczyzna. – Ja nigdy nie będę się z tobą kłócił. Zawsze będę żył w zgodzie z człowiekiem, który siedł obok mnie, tak jak ja w kajdankach, kiedy obydwaj odmówiliśmy donosu na naszych towarzyszy przed Komitetem McCarhy'ego. Ty i ja.

„To było coś więcej – powiedział Harry do Laury pewnej nocy, kiedy w ogrodach willi Bella hałasowały cykady. To była pewna epoka. Epoka, która miała swoje upadki, ale też i wzloty”.

– Zanim wyjechałem do Hiszpanii, współpracowałem z WPA Roosevelta przy projekcie Czarnego Teatru, który wywołał zamieszki w Harlemie w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym. Potem Orson Welles swoim czarnym Makbetem narobił dużo zamieszania i został straszliwie zjechany przez krytyka teatralnego z „New York Times'a”. Krytyk zmarł na zapalenie płuc w tydzień potem, jak to napisał. To było wudu, Lauro. – Harry roześmiał się i zapytał, czy może mówić do niej po imieniu.

– Oczywiście. Jestem Laura.

– Harry. Harry Jaffe.

– Wiem, Basilio mówił mi o panu... o tobie.

– O Jimie. O Jorge.

– Jorge Maura wszystko mi opowiedział.

– Wiesz, wszystkiego to nikt nie wie – powiedział Harry. W jego głosie czuje się jednocześnie zaczepkę, smutek i zakłopotanie – pomyślała Laura.

– A ty znasz całą tę historię, Harry?

– Oczywiście, że nie. – Mężczyzna starał się przybrać normalny wyraz twarzy. – Pisarz nie powinien nigdy znać swej opowieści do końca. Wyobraża sobie jej część i zostawia zakończenie czytelnikowi. Książka nigdy nie powinna się kończyć. Czytelnik powinien ją kontynuować.

– Kontynuować, nie uzupełniać?

Harry potwierdził skinieniem łysiejącej głowy i gestem powolnych, ale pełnych wyrazu rąk. Basilio opisał go na froncie nad Jaramą w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Brak siły fizycznej nadrabiał energią szkolonego do walki koguta. „Muszę zapracować na życiorys, który zrekompensuje moje towarzyskie kompleksy” – powiedział wtedy Harry. Wiara w komunizm kompensowała wszystkie jego słabości. Dużo dyskutował, wspominał Jorge Maura, przeczytał całą literaturę marksistowską, cytował ją jak Biblię i swoje wywody

⁸ Fuenteovejuna – tytuł dramatu Lope de Vega. Nazwa miejscowości, której mieszkańcy zabijają tyrana i na każde pytanie sędziego: „Kto zabił?” odpowiadają: „Fuenteovejuna, wszyscy jak jeden mąż” (przyp. tłum.).

kończył zawsze słowami: zobaczymy jutro, *we'll see tomorrow*. Błędy Stalina były wypadkiem przy pracy. Przyszłość zapowiadała się wspaniale. Maura opisywał Harry'ego Jaffe z czasów hiszpańskich jako mężczyznę niskiego wzrostu, niespokojnego, silnego intelektualnie, słabego fizycznie i niezdecydowanego moralnie, gdyż nie wiedział, jak wątpliwe są opinie polityczne bez krytyki.

– Chcę zbawić swoją duszę – mówił Harry na froncie w Hiszpanii.

– Chcę poznać strach – mówił jego nieodłączny przyjaciel z Nowego Jorku, wysoki i niezgrabny Jim, który stanowił z Harrym – uśmiechał się Jorge Maura – klasyczną parę Don Kichota i Sancho Pansy; albo Mutta i Jeffa, mówi! teraz Basilio, a jego uśmiech przypominał uśmiech nieobecnego przyjaciela.

„Żegnajcie, krawaty” – oświadczyli jednym głosem Jim i Harry, kiedy Vincent Sheean i Ernest Hemingway wyjeżdżali robić reportaż z wojny i kłócili się o to, który będzie pisał pośmiertny artykuł o którym...

Mały Żyd w marynarce i krawacie.

Jeśli opis Harry'ego Jaffe sprzed piętnastu lat odpowiadał prawdzie, to trzy minione pięciolecia były jak trzy wieki dla tego człowieka, który nie mógł ukryć smutku; być może chciał go ukryć, ale smutek wciąż mu się wymykał i wyrażał w dalekim, nieobecnym spojrzeniu, drżących smutno ustach i podbródku i nienaturalnie bezwładnych dłoniach, nad którymi z wysiłkiem starał się panować, by nie wyrażały entuzjazmu czy prawdziwego zainteresowania. Siadał na swoich dłoniach. Zaciskał je w pięści. Rozpaczliwie łączył je pod brodą. Dłonie Harry'ego były świadkiem urażonym i upokorzonym przez zaciekłość maccartyzmu. Joe McCarthy sparaliżował ręce Harry'ego Jaffe.

– Nigdy nie wygraliśmy. To nieprawda, że w jakimś momencie triumfowaliśmy – powiedział swoim bezbarwnym jak kurz głosem Harry. – Było sporo ekscytacji, *excitement*, to owszem. Dużo ekscytacji. My, Amerykanie, jesteśmy zadowoleni, kiedy wierzymy w to, co robimy, i ekscytujemy się przy tym. To było oczywiste, że takie wydarzenie jak premiera *The Cradle Will Rock* Clifforda Odetsa musiało połączyć ze sobą satysfakcję, wiarę i ekscytację, tak odważnie i bezpośrednio mówiło się tam o codziennych sprawach, strajku w przemyśle samochodowym, zamieszkach, brutalności policji, robotnikach zabitych strzałami w plecy. Czyż to może kogoś dziwić, że nasza ekscytacja zmieniła się w oburzenie, kiedy nasz scenariusz doprowadził do wstrzymania oficjalnych dotacji dla teatru robotniczego? Skonfiskowano nam dekoracje. Personel techniczny został zawieszony w pracy. I co? Zostaliśmy bez teatru. Wtedy zaświtał nam genialny pomysł przeniesienia sztuki w miejsce, gdzie toczyła się akcja, do huty. Chcieliśmy robić teatr robotniczy w zakładzie robotniczym.

Jak trudno mi znieść to jego spojrzenie pełne poczucia klęski, kiedy otwiera oczy, i poczucia żalu, kiedy je zamyka – Laura zatrzymała swoje jak zawsze uważne spojrzenie na tym niskim, bezradnym mężczyźnie, który siedział w skórzanym fotelu w ogrodzie, skąd rozciągał się widok na miasto wygnania, na Cuernavakę, gdzie Hernán Cortés rozkazał zbudować pałac z kamienia otoczony basztami i strzeżony przez artylerię, do którego uciekł z azteckiego miasta na wyżynie – zdobytego, zrównanego z ziemią i zbudowanego na nowo w stylu renesansu, pod linijkę, miasta w kratkę.

– Co czułby Cortés, gdyby wrócił teraz do swego pałacu i odnalazł siebie na muralach Rivery jako bezlitosnego konkwistadora ze wzrokiem bazyliuszka? powiedział Harry do Laury.

– Diego dla przeciwwagi maluje bohaterskie białe konie, lśniące jak zbroje. Nie może opanować pewnego rodzaju podziwu dla epepei. My, Meksykanie, wszyscy mamy to we krwi. – Laura dotknęła palcami dłoni Harry'ego.

– Po wojnie dostałem niewielkie stypendium. Pojechałem do Włoch. Tak Ucello malował średniowieczne bitwy. Co nowego pokażesz mi jutro w Cuernavace w ramach programu poznawania miasta?

Pojechali do ogrodów Borda, gdzie Maksymilian Habsburg krył się ze swymi miłośkami wśród gęstej, lubieżnej, wilgotnej zieleni, z daleka od cesarskiego dworu w Chapultepec i nieokiełznanej ambicji swojej żony Carloty.

– Której nie dotykał, bo nie chciał jej zarazić syfilisem – powiedzieli jednocześnie i śmieli się, wycierając z ust pianę z piwa; siedzieli w cieniu drzew na placu Cuauhnáhuac w Cuernavace, Laura słuchała i próbowała rozgryźć tajemnicę ukrytą na dnie opowiadania, które Harry Jaffe ożywiał od czasu do czasu szczyptą ironii.

– Kultura mojej młodości to była kultura radia, ślepy spektakl, dlatego Orson Welles mógł doprowadzić do powszechnej paniki, wmawiając w słuchaczy radiowych, że zwykła adaptacja książki innego Wellsa, H.G., zdarzyła się naprawdę w New Jersey.

Laura śmiała się głośno i prosiła Harry’ego, żeby posłuchał słynnej w Meksyku piosenki granej w barach na pianoli:

*Marsjanie przylecieli cha, cha, cha,
I tańczyć już zaczęli chachacha.*

– *You know?*

Wystawili zdjętą sztukę w miejscu, gdzie rzecz się dzieła, w hucie stali. Dlatego dyrekcja huty tego dnia urządziła piknik. Robotnicy woleli wolny dzień za miastem niż dzień pracy z teatrem politycznym.

– Wiesz, kiedy skończyło się przedstawienie, reżyser rozesał aktorów między publiczność. Reflektory szukały nas. Nagle zatrzymały się na naszych twarzach. Odnalazły mnie, świeciły mi w oczy, oślepiały, ale pobudzały do mówienia. „Sprawiedliwość. Chcemy sprawiedliwości”. Ta sala to był mój jedyny parlament. Potem światła pogasły i wróciliśmy do domu, żeby posłuchać niewidzialnej prawdy. Radiem posługiwali się Hitler, Roosevelt, Churchill. Jak mogłem odmówić wystąpienia w radiu, kiedy sam rząd Stanów Zjednoczonych i armia amerykańska prosiły mnie, żebym mówił: tu Głos Ameryki, musimy obalić faszyzm, Rosja jest naszym sprzymierzeńcem, trzeba podnosić na duchu Związki Radzieckie. Co ja miałem zrobić? Głosić antysowiecką propagandę? Wyobraź sobie, Lauro, że głoszę antykomunistyczną propagandę w samym środku wojny. Rozstrzelaliby mnie jako zdrajcę. Ale dzisiaj, za to, co zrobiłem, też oskarżają mnie o anty amerykańską dywersję. *Damned if you do and damned if you don't*. I tak źle, i tak niedobrze.

Nie śmiał się, kiedy to mówił. Później, w czasie kolacji, kilkunastu zaproszonych gości słuchało z uwagą starego producenta Theodore, który powtórzył historię o emigracji Żydów do Hollywood, o żydowskiej twórczości w Hollywood, ale młodszy wiekiem scenarzysta, który zawsze pokazywał się w krawatce, powiedział mu ostro, żeby zamilkł, każde pokolenie ma swoje problemy i przeżywa je na swój sposób, on nie ma zamiaru wspominać z nostalgią beznadziei, bezrobocia, zaszczutych ludzi ustawiających się w kolejkach po miskę wodnistej gorącej zupy, nie było bezpieczeństwa, nie było nadziei, był tylko komunizm, tylko partia komunistyczna. Jak mógł nie zapisać się do partii? Jak mógłby wyrzec się kiedykolwiek swego komunizmu, jeżeli tylko partia dała mu bezpieczeństwo, jedyną nadzieję dla jego młodości?

– Wyrzec się własnego komunizmu to tak jak wyrzec się własnej młodości.

– Najgorsze, że wyrzekamy się samych siebie – powiedział inny z zaproszonych gości, mężczyzna o dostojnych rysach twarzy (mógłby reklamować koszule Arrow, skomentował złośliwie Harry).

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Theodore.

– Że nie jesteśmy stworzeni do sukcesów.

– My tak – mruknęli jednocześnie stary producent i jego żona. – Elsa i ja tak. My tak.

– A my nie – powtórzył dystyngowany mężczyzna o szpakowatych włosach, które obnosił z dumą. – My, komuniści, nie.

Sukces był grzechem, w każdym razie jakimś rodzajem grzechu. A grzech wymaga odkupienia.

– Ty radziłeś sobie bardzo dobrze. – Stary się roześmiał.

– I ciążyła mi taka sytuacja. Odpokutowałem za to. Z początku była praca tylko dla zarobku, źle płatna. Scenariusze dla dziwek i rasowych piesków. Potem w rewanżu nadeszła bonanza. Dziwki w łóżku, whisky nie tak rasowana jak rin tin tin. Wreszcie dopadła nas panika. Że nie jesteśmy stworzeni do komunizmu. Że stworzono nas do przyjemności i rozrzutności. Na koniec przyszła kara. Zostaliśmy bez pracy, oskarżeni o komunizm. Theodore, McCarthy jest naszym aniołem zagłady, tak musiało być. Zasłużyliśmy na to, *fuck the dirty weasel*.

– A ci, którzy nie byli komunistami, których oskarżono bezpodstawnie i obrzucono oszczerstwami?

Wszyscy obrócili się, żeby zobaczyć, kto to powiedział. Ale to pytanie wydawało się nie mieć autora, jakby wypowiedział je duch. Był to głos nieobecnych. Tylko Laura, która siedziała na przeciwko Harry'ego, zdała sobie sprawę, że ten był uczestnik wojny w Hiszpanii tak pomyślał i być może tak powiedział, tylko że nikt tego nie zauważył, tym bardziej że pani domu, Ruth, już zmieniała ton rozmowy, wnosząc na głębokim półmisku spaghetti i podśpiewując:

*You're gonna get me into trouble
If you keep looking at me like that.*

Harry powiedział, że radio jest niewidzialnym spektaklem, wyzwaniem dla wyobraźni... a teatr? czym jest?

– Czymś, co znika, gdy milkną oklaski.

– A kino?

– Jest to duch, który nas wszystkich przeżyje, portret wraz z głosem i mchem, który zostawiamy po sobie, żeby żyć dalej...

– Dlatego pojechałeś do Hollywood, żeby pracować w filmie? Odpowiedział twierdząco, ale nie patrzył na nią, z trudem podnosił oczy na kogokolwiek i wszyscy też unikali jego spojrzenia. Laura powoli zaczęła sobie to uzmysławiać, była to tajemnica piękąca, niewidzialna jak program radiowy.

Czuła, że ona mogłaby być obiektem spojrzenia Harry'ego, gdyż była nowa, inna, nieświadoma, nie wiedziała tego, co wiedzieli pozostali. Ale wszyscy odnosili się do Harry'ego z nienaganną uprzejmością. Harry w każdy weekend przyjeżdżał do domu państwa Bellow, w każdą niedzielę zasiadał ze wszystkimi do kolacji. Tylko że nikt na niego nie patrzył. A kiedy Harry mówił, zapadała cisza. Laura przestraszyła się, kiedy uświadomiła sobie, że nikt go nie słucha, dlatego sprawiał wrażenie, że się nie odzywa, bo nikt go nie słyszy, tylko ona, tylko ja, Laura Díaz, zwracam na niego uwagę, i dlatego tylko ona słyszała, co mówi ten samotny człowiek, choćby nawet nie otwierał ust.

A przedtem? Do kogo mówił? Przyroda w Cuernavaca była tak szczodra i tak różnorodna jak ta, którą Laura pamiętała z dzieciństwa z okolic Veracruz.

Była to przyroda niepokojąca, pełna zapachów bugenwilli i werbeny, szafranu, świeżo ściętej sosny i ociekającego sokiem arbuza, ale także zapachu odchodów i śmieci piętrzących się w głębokich wąwozach, które otaczały każdy ogród, każdą dzielnicę, każdy dom... Czy to do tej przyrody mówił ów niewysoki Żyd z Nowego Jorku, Harry Jaffe, pielgrzymujący z Manhattanu do Hiszpanii, z Hiszpanii do Hollywood, a z Hollywood do Meksyku?

Laura tym razem była cudzoziemką na swojej rodzimej ziemi, tą inną, z którą ten mężczyzna, nienaturalnie spokojny i samotny, mógłby chyba rozmawiać, nie głośno, ale szeptem, ona nauczyła się czytać ten szept z jego ust, kiedy zostali przyjaciółmi i z czerwonego państwka Bellów uciekali do kawiarni na świeżym powietrzu w hotelu Mank, skąd wychodzili na lekkim, niewinnym rauszu, do ciszy ogrodów Borda, do rozgwaru głównego placu, do refleksyjnej samotności katedry.

Tam Harry zwrócił jej uwagę, że nabożne freski księży sulpicjanów z ubiegłego wieku kryją pod sobą inne malowidła, uznane przez zły gust i hipokryzję kleru za prymitywne, okrutne i zbyt mało bogobojne.

– A ty wiesz, co tam jest, wiesz? – zapytała Laura, nie kryjąc ciekawości i zaskoczenia.

– Tak, pewien rozgniewany, ale to bardzo rozgniewany ksiądz mi to powiedział. Co tutaj widzisz?

– Najświętsze Serce, Matka Boska, Trzej Królowie – powiedziała Laura, ale pomyślała o ojcu Elzewirze Almonte i klejnotach Najświętszego Dzieciątka z Zongolica.

– Wiesz, co jest pod tym?

– Nie.

– Misja ewangelizacyjna jedyne meksykańskiego świętego Filipa od Jezusa. Filip w wieku siedemnastym ewangelizował Japonię. Tu są namalowane, choć ich nie widać, sceny pełne niebezpieczeństw i okrucieństwa. Wzburzone morze. Tonące statki. Bohaterskie wypełnianie posłannictwa przez samotnego świętego. Na koniec jego ukrzyżowanie przez niewiernych. Jego powolna agonía. Wielki film.

– To o nim jego niania mówiła, że w dniu, kiedy zakwitnie drzewo figowe, Filipek zostanie świętym. Tę historię opowiadał mi nasz służący, którego bardzo lubiłam, Zampayita.

– Wszystko to zostało pokryte warstwą farby. Przez nabożność. Przez zakłamanie.

– Przez skruchę?

– Nie, w tych freskach nie ma skruchy, jest tylko pełne pychy wywyższanie się ponad prawdę, to triumf symulacji. Tak jak powiedziałem: film.

Pierwszy raz zaprosił ją do swego małego domku wśród namorzynów, który wynajmował niedaleko od placu. W Cuernavace wystarczy zejść parę metrów z głównych ulic, żeby zobaczyć domy przypominające kryjówki, schowane za wysokimi murami w kolorze indygo, prawdziwe oazy ciszy, gdzie zielone trawniki przeplatają się z czerwonymi dachówkami, fasadami w kolorze ochry i gęstwiną drzew schodzącą w dół czarnych wąwozów... W powietrzu unosił się zapach wilgoci i zgnilizny tropikalnego lasu. Dom Harry'ego, pokryty czerwoną dachówką, otoczony ogrodem, składał się z tarasu wykładanego ceglami, które w dzień były gorące, a w nocy lodowate, kuchni, gdzie siedziała nieruchomo milcząca staruszka z palmowym wachlarzem w dłoniach, i salonu-sypialni, poprzedzianego zasłonami, które nadawały miejscu, gdzie stało łóżko – zasłane tak starannie, jakby Harry miał dostać karę za pozostawienie rozrzuconej pościeli – atmosferę tajemnicy.

Trzy otwarte walizki, pełne ubrań, papierów i książek, kontrastowały z pedantycznym wyglądem łóżka.

– Dlaczego nie rozpakowałeś swoich rzeczy? Zwlekał z odpowiedzią.

– Dlaczego?

– W każdej chwili mogę wyjechać.

– A gdzie chcesz wyjechać?

– *Home*.

– Do domu? Przecież już nie masz domu, Harry, to jest twój dom, jeszcze to do ciebie nie dotarło? To jest twój dom, resztę już straciłeś! – wykrzyknęła Laura z podejrzaną irytacją.

– Nie, Lauro, nie wiesz, w jakim momencie...

– Dlaczego nie zaczniesz pracować?

– Nie wiem, co mam robić, Lauro. Czekam.

– Pracuj – powiedziała, chcąc powiedzieć „zostań”.

– Czekam. W każdej chwili. *Any moment now.*

Oddała się Harry’emu z wielu powodów – bo uciekały jej lata, bo nie spała z mężczyzną od tamtej nocy, kiedy Basilio przyszedł się pożegnać przed powrotem do Vassar. Ani ona, ani on nie musieli o to prosić, był to akt pokory i pamięci, złożony w hołdzie Maurze i Pilar Méndez; tych dwoje obecnych, Laura i Basilio, mogło z szacunkiem i czułością reprezentować nieobecnych kochanków, ale ten akt miłosny między nimi, spełniony z miłości do tamtych, rozbudził w Laurze Díaz rosnący apetyt, potrzebę seksu, którą uważała, jeżeli nie za wygasłą, to z pewnością stłumioną przez wiek, wewnętrzną uczciwość, pamięć o zmarłych, przesąd, że gdzieś zza światów obserwują ją jeden i drugi Santiago, Jorge Maura i Juan Francisco – którzy zmarli albo odeszli tam, gdzie ich jedynym zajęciem było pilnowanie tej jednej, która została na świecie: Laury Díaz.

– Nie chcę zrobić nic, co odebrałoby mi szacunek dla siebie samej.

– *Self respect, Lauro?*

– *Self respect, Harry.*

Teraz bliskość Harry’ego w Cuernavaca obudziła w niej nowe pokłady tkliwości, której z początku nie potrafiła zidentyfikować. Być może narodziła się ona z gry spojrzeń na weekendowych spotkaniach, nikt nie patrzył na niego, on nie patrzył na nikogo, do czasu, kiedy przybyła Laura i obydwoje spojrzeli na siebie. Czyż miłość z Maura nie zaczęła się tak samo, od wymiany spojrzeń na przyjęciu w domu Diega Rivery i Fridy Kahlo? Ale jakże różniła się siła spojrzenia tamtego hiszpańskiego kochanka od słabości nie tylko spojrzenia, ale całego ciała tego Amerykanina, tak smutnego, zagubionego, zranionego, upokorzonego i spragnionego ciepła.

Kiedy siedzieli na łóżku w małym domku nad wąwozem, Laura objęła go pierwsza, objęła jak małe dziecko, otoczyła ramieniem, wzięła za rękę, niemal zaczęła śpiewać kołysankę, poprosiła, by podniósł głowę, by na nią spojrział, chciała zobaczyć prawdziwe spojrzenie Harry’ego Jaffe, nie maskę wygnania, porażki i litości nad samym sobą.

– Pozwól mi poukładać twoje rzeczy na półkach.

– *Don’t mother me, fuck you.*

Miał rację. Traktowała go jak słabe i bojaźliwe dziecko. Powinna dać mu odczuć – jesteś mężczyzną, chcę wyzwolić ogień, który jeszcze w tobie drzemie, Harry, kiedy już nie pasjonuje cię sukces, praca, polityka albo inni ludzie, być może pozostał gdzieś ukryty, szyderczy jak chochlik, twój popęd, niezdolny do tego, by zawsze powtarzać: nie, kto wie, czy to nie jedyna sfera twojego życia, która w dalszym ciągu mówi: tak, być może jest w tym zwyczajny zwierzęcy instynkt, a może twoja dusza i moja dusza już nie mają innej ostoji niż seks, ale o tym nie wiedzą.

– Czasem wyobrażam sobie nasze seksualne popędy jako dwa karły, które wychylają nosy pomiędzy naszych nóg, wyśmiewają się z nas, podpuszczają, żebyśmy je wyrwali z tych tragicomicznych dziupli i wyrzucili do śmieci, bo wiedzą, że choćby nas nie wiadomo jak torturowały, będziemy z nimi, z tymi karłami, żyć do śmierci.

Nie chciała porównywać go do nikogo. Powstrzymała się od wszelkich porównań. Był tutaj. Było tak, jak sobie wyobrażała. Było to, czego on nie pamiętał. Namiętność odwlekana, głośna, niespodziewanie pełna słów i krzyku ich obojga, tak jakby oboje wyszli z więzienia po długim czasie i tam, przy więziennej bramie, po drugiej stronie kraty Laura czekała na Harry’ego, a Harry na Laurę.

– *My baby, my baby.*

– *We’ll see tomorrow.*

– Jestem starym żydowskim producentem, jestem bogaty i nie muszę tu przebywać, ale chcę dzielić los tych młodych Żydów z amerykańskich miast prześladowanych przez maccartyzm.

- Czy ty wiesz, co znaczy zaczynać każdy dzień od myśli: „To ostatni dzień przeżyty w spokoju”?
- Kiedy słyszysz pukanie do drzwi, nie wiesz, czy to złodzieje, żebracy, policja, wilki, czy po prostu korniki...
- Jak się dowiesz, czy gość, który przychodzi do ciebie z wizytą, i twierdzi, że jest twoim starym przyjacielem, już na ciebie nie doniósł? Skąd będziesz to wiedział?
- Jestem na wygnaniu w Cuernavaca, bo nie mogłem znieść myśli o ponownym przesłuchaniu.
- Patrzeć na cudzą zdradę jest trudniej niż znosić przesłuchania, którym sami jesteśmy poddawani.
- Lauro, jak pogodzimy nasz ból i wstyd?
- *My baby, my baby.*

XX. Tepoztlán: 1954

1

– Muszę zachować milczenie na zawsze.

Ona chciała zawieźć go do Meksyku, do szpitala. On chciał zostać w Cuernavaca. Stanęło na tym, że jakiś czas spędzą w Tepoztlán. Laura pomyślała sobie, że piękno i odosobnienie tego miejsca, rozległej podzwrotnikowej doliny, otoczonej potężnymi górami w kształcie piramid ze ściętymi wierzchołkami, uroda pionowych masywów bez stoków i ostrych szczytów, prostych i wyzywających jak wielkie kamienne mury wzniesione dla ochrony pól porośniętych trzciną cukrową i wrzosem, ryżem i drzewkami pomarańczy, będzie dobrym schronieniem dla ich obojga; być może Harry zdecyduje się wrócić do pisania, ona będzie się nim opiekowała, to była jej rola, przyjęła ją na siebie bez wahania, więź, która powstała między nimi dwa lata temu, trwała nienaruszona, potrzebowali siebie nawzajem...

Jej czuły, kochany Harry wróci do zdrowia w Tepoztlán, z daleka od Cuernavaca i ciągłego grzebania się w tragicznej przeszłości. Wynajęty przez nich domek ochraniały, a jednocześnie ocieniały, dwie wielkie bryły: góra i potężny ufortyfikowany kościół wraz z klasztorem, zbudowany przez dominikanów, by konkurować z naturą, jak to często zdarza się w Meksyku. Harry zwrócił jej na to uwagę, na meksykańską tendencję w architekturze do konkurowania z przyrodą i tworzenia imitacji gór, przepaści, pustyń... Domek w Tepoztlán nie konkurował z niczym, dlatego Laura Díaz wybrała właśnie ten, z uwagi na jego prostotę. Zewnętrzna ściana z nie wypalanej cegły osłaniała ich od strony piaszczystej drogi, na której częściej można było spotkać bezpańskiego psa niż ludzką istotę, a wewnątrz uderzał ten meksykański kontrast między biednym i zaniedbanym miasteczkiem a oazą zieleni, z kwiatami w kolorze dojrzałego melona, czystymi fontannami, spokojnymi patiami i cienistymi alejkami, które wydawały się nie mieć początku ani końca.

Mieli tylko jedną sypialnię ze starym rozsypującym się łóżkiem, małą łazienką z popękаныmi kafelkami i kuchnię, taką jak te zapamiętane przez Laurę z dzieciństwa, bez urządzeń elektrycznych, tylko z piecykiem na węgiel, w którym ogień podsycalo się przy użyciu wachlarza, i pojemnikiem na lód, który wymagał codziennych wizyt dostawcy lodu, żeby można było utrzymać w chłodzie butelki z dos equis, ulubionym napojem Harry'ego. Życie domu toczyło się wokół patio, tu stały wyplatane fotele i stół z uginającym się skórzanym blatem, na którym trudno było pisać, pełnym okrągłych plam od szklanek z piwem. Zeszyty i pióra długo leżały w szufladzie w sypialni. Kiedy Harry znowu zaczął pisać, Laura potajemnie czytała kolejne strony wypełniane przez niego piórem i atramentem marki Esterbrook w byle jakich szkolnych zeszytach. On wiedział, że ona czyta, ona wiedziała, że on wie, na ten temat się nie mówiło.

„Nazywał się Jacob Julius Garfinkle. Dorastaliśmy razem w Nowym Jorku. Jeżeli jesteś żydowskim chłopcem z Lower East Side na Manhattanie, rodząc się, masz oczy, nos, usta, uszy, nogi i ręce, całe ciało i jeszcze coś, co mamy tylko my – kanciasty kamyczek na ramieniu, *a chip on the shoulder*, który jest wyzwaniem dla obcych (a któż nie jest obcy, jeżeli rodzisz się w takiej dzielnicy jak nasza), żeby ci go strącić brutalnym ciosem albo delikatnym i lekceważącym ruchem palca, kiedy wiadomo, że ten kamyczek na ramieniu nie został tam

położony, że się z nim urodziliśmy, jest to narośl na naszym biednym, poniżonym ciele emigranta, włoskiego, irlandzkiego czy żydowskiego (polskiego, rosyjskiego, węgierskiego, ale zawsze żydowskiego), widoczna szczególnie, kiedy się rozbieramy, żeby wziąć prysznic, albo kiedy się kochamy, albo śpimy nago, ale nawet kiedy jesteśmy ubrani, ten ostry wyrostek na ramieniu rozrywa nam materiał koszuli lub kurtki, wystaje, pokazuje się, mówi całemu światu: odważ się mnie zaczepić, odważ się mnie obrazić, pobić, poniżyć, po prostu się odważ i nic więcej. Jacob Julius Garfinkle, którego znałem od dziecka, miał kamyk na ramieniu znacznie większy niż inni. Julie był malutki, miał czarne włosy, ciemny Żyd z rzymskim nosem, o ustach uśmiechniętych, lecz okrutnych, szyderczych i groźnych, tak jak jego oczy, jak jego postawa walczącego koguta, jego sposób mówienia, szybki jak terkot karabinu maszynowego, jego nieustająca czujność, bo wyzwanie czyhało za każdym rogiem, w zawiasie każdej bramy, nieszczęście mogło spaść na niego z każdego dachu, mogło czekać przy wyjściu z bani, przy nadgniłym ostrym kołku pomostu nad rzeką... Julie Garfinkle przeniósł na scenę te przekłete ulice i ciemne kanały Nowego Jorku, obnażył się i odsłonił, ale starczyło mu odwagi, żeby przeciwstawić się niesprawiedliwości i stanąć w obronie tych, którzy urodzili się tak jak on w ogromnych gettach, odwiecznych żydowskich dzielnicach «zachodniej cywilizacji». Poznałem go w teatrze. Był «złotym chłopcem» ze sztuki Clifforda Odetsa *Golden boy*, młodym skrzypkiem, który zamienia swój talent na sukcesy na ringu i zostaje bez rąk, bez palców, nawet bez pięści, żeby móc pokonać Joego Lewisa (który również był Żydem) czy Feliksa Mendelssohna (który również był Murzynem). On podpisywał wszystko. Jak mu się powiedziało: spójrz, Julie, jaka krzywda dzieje się tym Żydom albo tym Murzynom, Meksykanom, komunistom, Rosji, ojczyźnie proletariatu, biednym dzieciom, chorym na *oncocercosis* na Nowej Gwinei, Julie podpisywał, podpisywał wszystko, i litery jego podpisu były mocne, okrągłe, pochylone, jak tkliwość, jak cios, jak łza potu, taki był mój przyjaciel Julie Garfinkle. Kiedy go wzięto do Hollywood po sukcesie w Group Theatre, nie przestał być tym samym ulicznym donkiszotem co zawsze, grał samego siebie i fascynował publiczność. Nie był ani przystojny, ani elegancki, ani układny, ani ironiczny, nie był Carym Grantem, ani Garym Cooperem, był Johnem Garfieldem, awanturnikiem z koszmarnych ulic Nowego Jorku, który narodził się na nowo w Beverly Hills, żeby wchodzić w zabłoconych butach do rezydencji otoczonych różami i wskakiwać z brudnymi nogami do basenów z kryształową wodą. Dlatego swoją najlepszą rolę zagrał w *Humoresce*, razem z Joan Crawford. On znowu był, jak na początku kariery, biednym chłopcem z talentem do skrzypiec. Ale ona, która była taka jak on, wydawała się bogatą arystokratką, mecenasem młodego geniusza zrodzonego z niewidzialnych dzielnic miasta, choć w rzeczywistości przeszła przez takie same upokorzenia jak on, tak samo wyrwała się z dołów społecznych, udawała kobietę bogatą, wykształconą i elegancką, żeby nie dać po sobie poznać, że jest podobna do niego, ona, dziewczyna z ulicy, która wszystko robi dla kariery, ulicznica o twardych paznokciach i aksamitnych udach. Dlatego że byli tacy sami, a tak różni, jako para stanowili mieszanekę wybuchową. Joan Crawford i John Garfield, ona udawała, on nie. Kiedy ze ścieków Ameryki wylała się macearłowska powódź, Julie Garfinkle wydawał się wprost idealnym celem nagonki dla śledczych z Kongresu. Był typem anty amerykańskim, podejrzanym, ciemnym, obcym, semickim. I był niewinny. Dla McCarthy'ego to było najważniejsze: zaszczyć niewinnego. Był niewinny. Ale oskarżono go o wszystko, o podpisywanie listów z poparciem dla Stalina w czasie czystek moskiewskich, o domaganie się Drugiego Frontu w czasie wojny, o to, że był kryptokomunistą, że finansował partię z patriotycznych i amerykańskich pieniędzy, którymi płacono mu w Hollywood, że występował w obronie biednych i wywłaszczonych (to ostatnie wystarczało, żeby być podejrzanym, lepiej, gdyby występował w obronie bogatych i potężnych...). Kiedy go widziałem ostatni raz, jego apartament na Manhattanie wyglądał jak pobojuwisko: pootwierane paczki, porozrzucane papiery, jego żona w rozpacz patrzyła na niego jak na szaleńca, a Julie

Garfinkle wertował książeczki czekowe, akta, segregatory, stare książki i zniszczone teczki w poszukiwaniu dowodów na wpłaty, które mu imputowano, i krzyczał: «dlaczego mnie nie zostawia w spokoju?!» Był odważny, ale popełnił błąd, gdyż przyjął zaproszenie Komitetu do Badania Działalności Anty amerykańskiej dla osób, które uważały się za fałszywie oskarżone. Samo stawienie się przed Komitetem już uznawano za dowód winy. Natychmiast wszyscy ultrareakcyjniści z Hollywood – Ronald Reagan, Adolphe Menjou, mama Ginger Rogers – potwierdzali podejrzenia i wówczas członkowie Kongresu przekazywali informacje plotkarskim gazetom z Hollywood. Hedda Hopper, Walter Winchell, George Sokolsky – wszyscy oni karmili się krwią ofiar, jak Drakule spod znaku papieru i atramentu. Legion Amerykański natychmiast mobilizował swoje zastępy weteranów, którzy pikietowali, bronili publiczności wstępu na filmy, gdzie występował podejrzany, na ten przykład John Garfield. Wtedy studio producenta filmu mogło powiedzieć to, co powiedziano Garfieldowi: stanowisz dla nas ryzyko. Narazasz na niebezpieczeństwo całe studio. I mogło go zwolnić. «Proś o przebaczenie, Julie, przyznaj się i żyj w pokoju». «Podaj nazwiska, Julie, albo zaprzepaścisz karierę». Wtedy mały ulicznik z biednych dzielnic Nowego Jorku rodził się na nowo, nagi, z perkatym nosem, zaciśniętymi pięściami i zachrypłym głosem. «Tylko imbecyl broni się przed takim imbecylem jak McCarthy. Myślisz, że będę niewolnikiem tego, co powie taki mały człowiek jak Ronald Reagan? Pozwól mi wierzyć w mój humanizm, Harry, pozwól mi wierzyć, że mam duszę...» Nie możemy pana chronić – to było pierwsze, co usłyszał w Hollywood, a zaraz potem: nie możemy pana więcej zatrudniać; i w końcu: przedstawimy dowody przeciwko tobie. Pierwsza była wytwórnia, studio. «Rozumiesz to, Julie, ty jesteś tylko jeden. My zatrudniamy tysiące osób. Chcesz, żeby oni poumierali z głodu?» Julie Garfinkle zmarł na atak serca w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Być może to prawda. Serce miał napięte do granic wytrzymałości. Ale faktem jest, że znaleziono go martwego w łóżku jednej z jego niezliczonych kochanek. Przypuszczam, że John Garfield zmarł, kopulując, i uważam, że to śmierć godna zazdrości. Kiedy go chowano, rabin powiedział, że Julie przyszedł na świat jak meteor i tak jak meteor odszedł. Abraham Polonsky, reżyser ostatniego i chyba największego filmu, w którym grał Julie, *Siła zła*, powiedział: «bronił swojego honoru ulicznika i dlatego go zabili». Zabili go. Umarł. Dziesięć tysięcy osób przeszło obok trumny, żeby go pożegnać. Komuniści? Agenci wysłani przez Stalina? Tam płakał Clifford Odets, autor *Złotego chłopca*, chluba literackiej lewicy, przekształcony w donosiciela przez Komitet Kongresu, początkowo donosił na zmarłych, gdyż wierzył, że już nie może im zrobić krzywdy, potem na żywych, żeby bronić siebie samego, potem na siebie samego, kiedy mówił jak tyłu innych: «nie wymieniłem nikogo, kto już nie byłby wymieniony wcześniej». Kiedy Odets wyszedł z płaczem z pogrzebu Johna Garfielda, doszło do bójki na pięści. Jacob Julius Garfinkle do końca wszczywał bójki na ulicach Nowego Jorku”.

Kiedy letnie deszcze zalały ogród, a woda spływająca po ścianach zostawiła ciemne medaliony na glinianej skórze domu, Harry Jaffe poczuł, że się dusi, i poprosił Laurę Díaz, żeby przeczytała to, co napisał o Johnie Garfieldzie.

– Ale byli też oskarżeni, którzy nie zaczęli donosić ani nie dali się zastraszyć czy poniżyć, prawda, Harry?

– Ty ich poznałaś w Cuernavace. Niektórzy należeli do Dziesięciu z Hollywood. To prawda, mieli odwagę nie sypać i nie dali się zastraszyć, ale najważniejsze, że mieli odwagę nie załamać się, nie popełnić samobójstwa, nie umrzeć. Czy z tego powodu są bardziej godni naśladowania? Jeden z moich kolegów z Group Theatre, aktor J. Edward Bromberg, prosił Komitet, by usprawiedliwił jego niestawiennictwo z powodu niedawnych ataków serca. Członek Kongresu Francis E. Walker, jeden z najbardziej zawziętych inkwizytorów, powiedział mu, że komuniści są specjalistami w przedstawianiu zwolnień podpisanych przez swoich lekarzy – którzy bez wątpienia też są co najmniej sympatykami komunizmu. Eddie

Bromberg zmarł niedawno, w tym roku, w Londynie, Lauro. Czasem do mnie dzwonił, po umieszczeniu go na czarnej liście Hollywood, żeby mi powiedzieć: Harry, przed moim domem zawsze stoją jakieś typy, dniami i nocami, zmieniają się, ale zawsze dwóch stoi pod latarnią, na widoku, ja ich szpieguję, kiedy oni mnie szpiegują, i czekam na telefon, już nie mogę oderwać się od telefonu, Harry, mogą znowu wezwać mnie przed Komitet, mogą zadzwonić, że tę rolę, którą mi obiecano, gra już ktoś inny, albo przeciwnie, mogą zadzwonić, żeby skusić mnie jakąś rolą w filmie, pod warunkiem, że będę współpracował, to znaczy donosił, Harry, to się dzieje pięć albo sześć razy w ciągu dnia, całymi dniami siedzę przy telefonie, poddają mnie próbie, jestem w rozterce, mam mówić czy nie, mam myśleć o karierze czy nie, mam dbać o żonę i dzieci czy nie, i zawsze sobie mówię: nie, nie będę mówił, Harry, nie, nie chciałem nikogo skrzywdzić, ale przede wszystkim, Harry, nie chciałem skrzywdzić siebie, lojalność wobec kolegów oznaczała lojalność wobec mnie samego. I nie uratowałem ani ich, ani siebie...

– A ty, Harry, o sobie też napiszesz?

– Bardzo źle się czuję, Lauro, bądź tak dobra i podaj mi piwo...

W któryś słoneczny poranek, kiedy papugi skrzeczały i puszyły swoje czuby i ogony, jakby ogłaszały złą czy dobrą nowinę, Harry w czasie śniadania odpowiedział Laurze na jej pytanie.

– Opowiedziałeś mi tylko o tych, którzy zostali zgnojeni, bo nie chcieli sypać. Ale mówiłeś mi o innych, którzy się uratowali, zachowali milczenie i wyszli z tego silniejsi – wróciła do tematu Laura.

– „Jak można mówić o niewinności, skoro nie ma winy?” – zacytował Harry. – To powiedział Dalton Trumbo na początku tego polowania na czarownice. Cały czas kpił sobie z inkwizytorów, pisał scenariusze pod obcymi nazwiskami, zdobył Oscara pod pseudonimem i Akademia omal nie pękła ze złości, kiedy Trumbo przyznał się do autorstwa, i podejrzewam, że kiedy to wszystko się skończy, to właśnie Trumbo powie, że nie było bohaterów ani łajdaków, świętych ani demonów, że były tylko ofiary, Lauro. Przyjdzie taki dzień, że wszyscy oskarżeni zostaną zrehabilitowani i uznani za bohaterów kultury, a z kolei oskarżyciele zostaną oskarżeni i zdegradowani, tak jak na to zasługują. Ale Trumbo miał rację. Wszyscy byliśmy ofiarami.

– Nawet inkwizytorzy, Harry?

– Tak. Nawet ich dzieci zmieniają sobie nazwiska, nie chcą się przyznać do małodusznych rodziców, którzy doprowadzili do nędzy, chorób i samobójstw setki niewinnych ludzi.

– Nawet donosiciele, Harry?

– Ci są największymi ofiarami. Noszą znak Kaina odcisnięty na czole.

Harry wziął do ręki nożyk do owoców i przeciął sobie czoło. A Laura spojrzała na niego z przerażeniem, ale nic nie powiedziała.

– Muszą obciąć sobie rękę i język.

I Harry włożył sobie nóż do ust. Laura krzyknęła i zatrzymała jego rękę, odebrała nóż i objęła go ze szlochem.

– I są skazani na wygnanie i śmierć – powiedział Harry prawie bezgłośnie do ucha Laury.

Laura bardzo szybko nauczyła się czytać w myślach Harry'ego a on w myślach Laury. Pomagała im w tym zachowana w czasie kolejność tropikalnych dźwięków. Ona знаła to zjawisko od czasów, gdy jako dziecko mieszkała w Veracruz, ale zapomniała o nim w stolicy, gdzie dobiegające zewsząd dźwięki są przypadkowe, nieprzewidziane, nachalne, zgrzytliwe, jak wściekłe drapanie paznokci po szkolnej tablicy. Natomiast w tropiku śpiew ptaków zwiastuje świt, a ich symetryczny lot – zachód słońca, natura współgra z porannym i wieczornym biciem dzwonów, wanilia na polach niepostrzeżenie przesyca swą wonią powietrze, a zebrana w pęki nadaje szafom, gdzie się ją przechowuje, zapach jednocześnie staroświecki i wyrafinowany. Kiedy Harry posypywał pieprzem jajka na sposób ranczerski na

śniadanie, Laura patrzyła na kwiaty pieprzu w ogrodzie, żółte klejnoty inkrustowane w kruchej, zwiewnej koronie w kolorze zmierzchu. W tropiku nie ma zgrzytów. Chodził od ogrodu do stołu i zabijał skorpiony, najpierw w domu, potem szukał ich przezornie pod kamieniami w ogrodzie. Skorpiony były białe i Harry roześmiał się, kiedy je rozdeptywał.

– Żona mówiła mi, żebym się opalał od czasu do czasu. Masz brzuch biały jak filet z ryby przed usmażeniem. Te skorpiony są właśnie takie.

– Brzuch ryby *huachinango* – powiedziała Laura, śmiejąc się.

– Rzuć to wszystko, mówiła mi, to nie twoja sprawa, nie wierzysz w to, twoi przyjaciele nie są tego warci. A potem zaczynała swoją starą śpiewkę: nieważne, czy jesteś komunistą, czy nie, po prostu straciłeś talent, Harry.

Ale kiedy wszystko już było zrobione i powiedziane, siadał jednak do pisania, było mu to potrzebne, i w Tepoztlán zaczął pisać bardziej regularnie, począwszy od krótkich biografii swoich przyjaciół, takich jak Garfield i Bromberg, którzy stali się ofiarami maccartyzmu. Dlaczego nie pisał nic na temat wrogów, inkwizytorów? I dlaczego pisał tylko o ofiarach, okaleczonych i zdruzgotanych, a nie o tych silnych ludziach, którzy przewyciężyli dramatyczną sytuację, nie płakali, lecz walczyli i opierali się, a przede wszystkim kpili z piramidalnej głupoty całego tego procesu? O Daltonie Trumbo, Albercie Maltzu, Herbercie Bibermanie... O tych, którzy przybyli do Meksyku, przewinęli się przez Cuernavake albo tam zamieszkali. Dlaczego Harry Jaffe prawie o nich nie mówił? Dlaczego ich biografii nie włączał do historii opisywanych w Tepoztlán? A przede wszystkim, dlaczego nigdy nie wspominał o tych najgorszych, takich jak Edward Dmytryk, Elia Kazan, Lee J. Cobb, Clifford Odets, Larry Parks, którzy donosili i podawali nazwiska?

Harry błyskawicznie rozdeptał skorpioną.

– Jadowite insekty przystosowują się do miejsc skrajnie nieprzyjaznych i żyją tam, gdzie z pozoru nie ma życia. To powiedział Tom Paine, kiedy analizował uprzedzenia.

Laura usilnie próbowała sobie wyobrazić, co myślał Harry, czego jej nie mówił, a co odbijało się w jego gorączkowym spojrzeniu. Nie wiedziała, że Harry robi to samo, sądził, że czyta w jej myślach, patrzył na nią z łóżka, kiedy każdego ranka siadała przed lustrem, już nie ta sama młoda jeszcze kobieta, którą poznał dwa lata temu, kiedy wynurzyła się z wody wśród kwiatów bugenwilli; teraz miała pięćdziesiąt sześć lat i była coraz bardziej siwa, proste uczesanie – długie włosy zebrane w kok na karku – odsłaniało jeszcze bardziej wysokie czoło i podkreślało regularne rysy, duży cienki nos z garbkiem, wąskie usta gotyckiego posągu. A wszystko opromienione inteligencją i blaskiem złotawych, głęboko osadzonych oczu.

Patrzył na nią także, kiedy krzątała się po domu, po kuchni, słała łóżko, myła naczynia, gotowała, stała długo pod prysznicem, siedziała na sedesie, przestała używać podpasek, odczuwała uderzenia krwi do głowy, układała się do snu skulona w kłębek w pozycji płodu, podczas gdy on, Harry, spał wyciągnięty jak struna, aż któregoś dnia, nie wiadomo dlaczego, role się odwróciły i on zwinął się w kłębek, a ona wyprostowała – jak dziecko i jego guwernantka...

Mówił sobie, że myśli to samo, co myślała ona, przeglądając się w lustrze albo uwalniając się z nocnego, czułego, miłosnego uścisku: co innego mieć piękne ciało, a co innego być piękną... W tych uściskach i miłosnym zespoleniu było tyle żaru i tkliwości, ale przede wszystkim to było takie zdrowe... Żeby uratować miłość, trzeba zapomnieć o własnym ciele, stopić się z drugim ciałem i pozwolić, by nas wchłonęło, nie myśleć o piękności, nie rozpatrywać siebie w oderwaniu od drugiej osoby, jak ślepi połączyć się w jedno, być czystym dotykiem, czystą rozkoszą, bez zastanawiania się nad pięknem czy brzydotą, które nie liczą się w ciemności, w intymnym zbliżeniu, kiedy ciała przywierają do siebie i przestają istnieć oddzielnie, przestają oceniać się indywidualnie i, zespolone, tracą wszelkie poczucie brzydoty i piękna, młodości i starości... Tak pomyślał Harry, sądząc, że Laura chce mu to właśnie powiedzieć: widzę w tobie tylko twoje wewnętrzne piękno...

To było łatwe w jego przypadku, był coraz bardziej wychudzony, biały jak rybie podbrzusze, jak powiedział Laurze, nie był nawet dystygowanie łysy, tylko wyłysiał. Obwisłe pęczki włosów, opierających się godnej, całkowitej łysinie, wyglądały jak kępki suchej trawy i porastały mu z rzadka czubek czaszki, skórę za uszami i nad wychudzonym karkiem. Trudniej było w jej przypadku; piękność Laury Díaz była wyrazista, próbował powiedzieć jej Harry, przypominała klasyczną urodę, która była tylko ideą piękna obowiązującą od czasów greckich, ale równie dobrze mogła stanowić inny wzorzec piękności, na przykład bogini azteckiej, taka Coatlicue zamiast Venus z Milo.

– Sokrates był brzydki, Lauro. Modlił się każdej nocy, żeby w ten sposób ujrzeć swoją wewnętrzną piękność. To był dar bogów. Myślenie, wyobraźnia. To była piękność Sokratesa.

– Nie chciał, żeby inni również ją dostrzegli?

– Myślę, że jego mowa świadczy o tym, iż był bardzo próżny. Tak próżny, że wolał wypić cykutę niż przyznać, że się mylił. A nie mylił się. I zachował twarz.

Zawsze w końcu rozmawiali o tym samym, ale nigdy nie sięgnęli dna „tego samego”. Sokrates zmarł, ale się nie poddał. Tak samo jak ofiary maccartyzmu. Przeciwnie niż donosiciele maccartyzmu. A teraz Harry patrzył na nią, jak przegląda się w lustrze, i zastanawiał się, czy ona widzi to samo, co on – zewnętrzną, która stopniowo traci swą piękność, czy wnętrze, które ją stopniowo zyskuje. Tylko w miłości, tylko w intymnym zespoleniu to pytanie traciło sens, ciało przestawało istnieć i zostawała sama rozkosz, a rozkosz była ponad wszelkim możliwym pięknem.

Nie wydawało się natomiast, by ona go osądzała. Brała go takim, jakim był, i to go kusiło, żeby być niemiłym, mówić jej: dlaczego nie farbujesz sobie włosów, dlaczego nie wymyślisz bardziej stylowego uczesania, dlaczego nie masz za grosz kokieterii; on patrzy na mnie, jakbym była jego pielęgniarką albo niańką, chciałby, żebym stała się syreną, ale mój biedny Odyseusz traci rozum, tkwi bez mchu, spala się w morzu popiołu, dusi w obłokach dymu, znika powoli w oparach swoich wypalanych dziennie czterech paczek cameli, kiedy dostaje karton w prezencie od Fredrica Bella, albo pięciu paczek releighów bez ustnika, które – jak mówi – przypominają w smaku mydło, kiedy zdaje się na to, co ma najlepszego kiosk na rogu ulicy.

– To najlepsze jest niekiedy jedyne, a tu jedyne jest z reguły najgorsze.

Poszli na sobotni targ i on postanowił kupić drzewko życia. Ona nie miała powodu, żeby się sprzeciwić temu zakupowi, a jednak się sprzeciwiła. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, myślała potem, kiedy nie rozmawiali ze sobą cały tydzień, w rzeczywistości te gliniane świeczniki malowane na sto różnych kolorów nie są brzydkie, nikogo nie obrażają, choć też nie są takim cudem odwagi i wrażliwości folklorystycznej, jak on mówi, nie wiem, dlaczego powiedziałam mu, że to jest tandeta, kicz, że kupują to tylko turyści, dlaczego nie kupisz paru lalek w różowych pończochach albo kolorowej maty, albo od razu kup dla siebie poncho, a dla mnie *sarape*, usiądziemy sobie wieczorem i będziemy chronić się przed tym nagłym chłodem, który nadchodzi od gór, otuleni w meksykański folklor. Do tego chcesz mnie sprowadzić? Czy już mu nie wystarczy, że kiedy siedzę przed lustrem, wpatruje się we mnie, każąc mi odgadywać swoje myśli? Robi się stara, zaniedbana, niedługo skończy pięćdziesiąt siedem lat, już nie potrzebuje podpasek? Nie, on na dodatek chce zagrabić mi dom turystyczną tandetą, drzewkami życia, matami, jarmarcznymi kukłami. Dlaczego od razu nie kupisz sobie maczety, Harry, takiej z dowcipnymi napisami na rękojeści, na przykład jestem jak chile, pikantny, ale smakowity, żebyś na drugi raz, jak będziesz chciał uciąć sobie palec i język, zrobił to, rozczulił się nad samym sobą, nad tym, czym byłeś i czym nie zostałeś, nad tym, czym jesteś i czym mógłbyś być.

Harry nie miał siły jej uderzyć. To ona poczuła litość dla niego, kiedy podniósł na nią rękę, i ona cisnęła drzewkiem życia o ceglana podłogę i rozbiła je w drobny mak, a następnego dnia zamiotła podłogę i kawałki świecznika wyrzuciła do śmieci, jednak za

tydzień sama poszła na targ i wróciła z nowym drzewkiem życia, które umieściła na półce w pobliżu stołu i foteli, gdzie zwykle jadali.

Chciała wtedy wyciszyć w sobie tę niewytłumaczalną nienawiść do kolorowego przedmiotu ozdobionego aniołkami, owocami, listkami i gałązkami, wdychając głęboko zapach roślin w ogrodzie, patrząc na błyszczące krople deszczu na liściach bananowca; w jej pamięci ożyły drzewa ocieniające plantacje kawy, pełne symetrii gaje cytrynowe i pomarańczowe, figowce, czerwone lilie, okrągła korona mangowca, ligustr o malutkich żółtych kwiatkach, który jednakowo znosi huragany i susze; cała przyroda Catemaco... A na krańcu tropikalnego lasu ceiba z kolcami ostrymi jak gwoździe, które drzewo wytwarza dla własnej obrony. Pień najeżony szpadami, strzegącymi, by nikt się nie zbliżał... Ceiba na samym końcu drogi. Ceiba naszpikowana palcami, uciętymi jednym ciosem maczety przez zbójcę na skrzyżowaniu dróg w prowincji Veracruz.

Kiedy zapadał zmierzch, zawsze siadywali obok siebie w ogrodzie. Mówili o codziennych sprawach, jakie ceny na targu, co będzie jutro na obiad, że znowu się spóźniają amerykańskie pisma, które przychodzą (jeśli w ogóle przychodzą) do Tepoztlán, jak to miło ze strony znajomych z Cuernavaki, że przysyłają im wycinki, zawsze wycinki, nigdy gazety czy całe artykuły, że krótkie fale radiowe to prawdziwe błogosławieństwo, jechać czy nie jechać do Cuernavaki, żeby zobaczyć ten czy inny film, jakiś western albo melodramat meksykański, z tych, co to śmieszyły Laurę i wzruszały do łez Harry'ego, ale nigdy nie mówili o wizycie u Bellów, w Akademii Arystotelesa, jak nazywał to Harry, nudziły go wieczne dyskusje, zawsze to samo, tragicomedia w trzech aktach.

– Pierwszy akt to przekonanie o własnej słuszności. Przekonanie, które nas doprowadziło do komunizmu i do lewicowych sympatii, sprawa robotnicza, wiara w argumenty Marksa i w Związek Radziecki jako pierwsze państwo robotnicze i rewolucyjne. Ta wiara była naszą odpowiedzią na kryzys, bezrobocie, upadek amerykańskiego kapitalizmu.

W ogrodzie było dużo robaczków świętojańskich, ale te migocące ogniki to były przeważnie papierosy, które Harry co chwila przypalał jeden od drugiego.

– Drugi akt to bohaterstwo. Najpierw walka z kryzysem gospodarczym w Ameryce, potem wojna z faszyzmem.

Przerywał mu atak potwornego kaszlu, na tyle silny, że wydawał się nie mieć nic wspólnego z tym ciałem, coraz bardziej wycieńczonym i bladym, które nie mogłoby przecież pomieścić w swojej piersi tak gwałtownego huraganu.

– Trzeci akt to prześladowanie kobiet i mężczyzn dobrej woli, komunistów czy po prostu humanistów. McCarthy był to człowiek tego typu co Beria w policji Stalina albo Himmler w policji Hitlera. Kierowała nim ambicja polityczna, łatwość uzyskiwania korzyści przez przyłączenie się do chóru antykomunistów, kiedy skończyła się gorąca wojna, a zaczęła zimna. Zimna kalkulacja zdobywania władzy na zgłiszczach autorytetów. Donosy, załamanie, śmierć... A epilog – Harry rozkładał ręce, pokazywał dłonie z zażółconymi palcami, wzruszał ramionami, pokasływał cicho.

To ona mówiła, mówiła do niego, mówiła do siebie, nie wiedząc, w jaki sposób i w jakim porządku najlepiej to Harry'emu wytłumaczyć, epilogiem powinna być refleksja, intelektualny wysiłek, żeby zrozumieć, co się zdarzyło i dlaczego się zdarzyło.

– Dlaczego my w Ameryce postępujemy tak samo jak tamci w Rosji? Dlaczego staliśmy się tacy sami jak nasi przeciwnicy? Dlaczego dochodzą do głosu tacy ludzie jak Beria czy McCarthy, czy inni wszyscy współcześni inkwizytorzy?

Laura słuchała Harry'ego, ale chciała mu powiedzieć, że te trzy akty i epilog politycznych dramatów nigdy nie występują właśnie tak, w idealnym porządku arystotelicznym, jak mówił Harry, kpiąc nieco z „Akademii” w Cuernavace, ale są powikłane, oboje o tym wiedzieli: słuszne motywy mieszają się z niesłusznymi, nadzieja z rezygnacją, usprawiedliwienie z krytyką, współczucie z pogardą.

– Gdybym tak mógł wrócić na chwilę do Hiszpanii i tam zostać – mówił czasem Harry. I zwracając się do Laury, wyrzucał z siebie gorączkowo i brutalnie, coraz bardziej zgaszonym i chrapliwym głosem: „Dlaczego mnie nie zostawisz, dlaczego ze mną jesteś?”

To były momenty pokusy. Momenty, kiedy zaczynała wątpić. Mogła spakować walizki i odejść. Było to możliwe. Mogła zostać i znieść wszystko. To też było możliwe. Ale nie mogła pójść, ot, tak sobie, ani zostać i trwać biernie. Słuchała Harry’ego i podejmowała raz po raz tę samą decyzję: zostanę, ale coś zrobię, będę nie tylko go pielęgnować, nie tylko podnosić na duchu, ale spróbuję go zrozumieć, dowiedzieć się, co się z nim stało, dlaczego on, który zna tyle ludzkich dramatów z tego okresu hańby, nie zna sam siebie, dlaczego mnie, kochającej go kobiecie, nic nie mówi o sobie, dlaczego...

On jakby to odgadywał. To zdarza się dwojgu ludziom, których wiąże bardziej namiętność niż przyzwyczajenie, zgadujemy nasze myśli, Harry, wystarczy jedno spojrzenie, gest, udawane roztargnienie, wniknięcie w sen, takie samo jak wniknięcie w ciało podczas stosunku, żeby wiedzieć, co myśli ta druga osoba, myślisz o Hiszpanii, o Jimie, myślisz, że umierając tak młodo, uratował się, nie miał czasu zostać ofiarą historii, był ofiarą wojny, to szlachetne, to bohaterskie; ale być ofiarą historii i nie przewidzieć, nie uchronić się zawczasu przed ciosem historii albo ugiąć się pod nim, jeśli już nas dosięgnie, to smutne, Harry, to straszne.

– To wszystko było farsą, błędem...

– Kocham cię, Harry, to nie jest ani farsa, ani błąd...

– Dlaczego mam ci wierzyć?

– Nie okłamuję cię.

– Wszyscy mnie okłamali.

– Co to znaczy?

– Wszyscy.

– Dlaczego mi tego nie opowiesz?

– Dlaczego nie chcesz się tego dowiedzieć sama?

– Nie, nie zrobiłabym nic za twoimi plecami.

– Nie bądź niemądra. Upoważniam cię. Wyjedź, wróć do Cuernavaki, zapytaj o mnie, powiedz, że dałem ci na to pozwolenie, niech ci powiedzą prawdę.

– Prawdę, Harry?

(Prawda jest taka, że cię kocham, Harry, kocham cię inaczej, niż kochałam w swoim czasie męża, Orlanda Ximeneza czy Jorge Maure, kocham cię tak, jak kochałam ich wszystkich, jak kobieta, która żyje i śpi z mężczyzną, ale z tobą jest inaczej, Harry, bo poza tym kocham cię, jak kochałam mojego brata Santiago i mojego syna Santiago, tak jakbym już widziała twoją śmierć, tak jak śmierć mego brata, niktącego wśród fal w Veracruz, i mojego syna, pięknego, pogodzonego z losem, zgasłego, zanim spełnił się jego obiecujący los, tak właśnie cię kocham, Harry, jak syna, brata i kochanka, ale z jedną różnicą: że ich kochałam jak kobieta, matka, kochanka, a ciebie kocham jak suka, wiem, że ani ty, ani nikt inny mnie nie zrozumie, kocham cię jak suka, chciałabym cię sama urodzić, a potem wykrwawić się na śmierć, i taki twój obraz różni cię od mojego męża, kochanka i synów, kocham cię jak zwierzę, chciałabym znaleźć się na twoim miejscu i umrzeć zamiast ciebie, ale tylko gdybym się zamieniła w twoją sukę; nigdy nie czułam czegoś podobnego i sama chciałabym to sobie wyjaśnić, ale nie umiem, jednakże tak jest, Harry, a jest tak dlatego, że dopiero teraz, przy tobie, zadaję sobie pytania, których nigdy przedtem nie zadawałam, zastanawiam się, czy zasługujemy na miłość, czy to, co istnieje między nami, to miłość, a nie ty i ja, i dlatego chciałabym być twoją wykrwawioną, konającą suką, żeby móc powiedzieć, że miłość na pewno istnieje, tak jak istnieją pies i suka, chcę twoją i moją miłość obdrzeć z wszelkiego romantycznego idealizmu, Harry, chcę dać ostatnią szansę naszym ciałom, sprowadzając je na ziemię, która jest konkretna i pewna, na której pies i suka obwąchują się, gryzą, kopulują,

rozdzielają się, zapominają o sobie, bo ja też będę musiała żyć z pamięcią o tobie po twojej śmierci, Harry, a moja pamięć o tobie nigdy nie będzie pełna, bo nie wiem, co robiłeś w czasie terroru, nie mówisz mi o tym, może byłeś bohaterem, a twoja skromność, jak skromność Johna Garfielda, przybiera formę wojowniczego honoru i nie pozwala ci chwalić się przede mną swoimi wyczynami i popadać w sentymentalizm, chociaż płaczesz na filmach z Libertad Lamarque, kiedy śpiewa te swoje piosenki i potrząsa włosami, ale może byłeś zdrajcą, Harry, donosicielem, i to napawa cię wstydem, więc chciałbyś wrócić do Hiszpanii, być młodym, zginąć razem z twoim młodym przyjacielem Jimem na wojnie i mieć w swoim życiorysie wojnę i śmierć zamiast historii i niesławy. Co jest prawdą? Ja myślę, że to pierwsze, bo inaczej nie przyjęto by cię w gronie prześladowanych w Cuernavaca, ale może też i to drugie, bo oni nigdy na ciebie nie patrzą ani się do ciebie nie odzywają, zapraszają cię i siedzą obok ciebie, nie rozmawiają z tobą, ale też nie atakują, do czasu kiedy twoje krzesło zamienia się w ławę oskarżonych i poznajesz mnie, i już nie jesteś sam, i musimy wyjechać z Cuernavaca, zostawić twoich towarzyszy, nie słuchać więcej ich argumentów powtarzanych do znudzenia...)

– Powinniśmy potępić zbrodnie Stalina sprzed wojny.

– Nie oszukuj się. Wyrzuciliby cię z partii. Zresztą jeśli masz do czynienia z wrogiem, trzeba mu zapomnieć pewne rzeczy.

– To nie przeszkadza, że przynajmniej między sobą powinniśmy mówić o błędach Związku Radzieckiego, byłibyśmy bardziej ludzcy, lepiej moglibyśmy się bronić przed atakami maccartystów.

Czy mogliśmy przypuszczać, że tak się stanie? – powiedział Harry do Laury któregoś wieczoru, kiedy siedzieli po zmroku w ogródku, plecami do masywu górskiego, i wdychali zapach rodzących się kwiatów i umierającego drzewa. My, amerykańscy komuniści, walczyliśmy najpierw w Hiszpanii, potem na wojnie przeciwko państwom Osi, komuniści francuscy zorganizowali prawdziwy ruch oporu, komuniści rosyjscy uratowali nas wszystkich pod Stalingradem, kto mógł pomyśleć, że po wojnie komunizm stanie się grzechem i komuniści pójdą na stos? Kto?

Następny papieros. Następna butelka dos equis.

– Wierność temu, co niemożliwe. To był nasz grzech. Laura zapytała go o żonę, Harry powiedział, że wolałby na ten temat nie mówić.

– Wszystko skończone – chciał uciąć temat.

– Wiesz, że nie. Musisz mi wszystko opowiedzieć. Musimy to razem przeżyć. Bo my będziemy w dalszym ciągu żyć razem, Harry.

– Śpięcia, kłótnie, kazania, strach przy każdym potajemnym zebraniu, podejrzenie, że być może oskarżyciele mają rację? „Ożeniłem się z komunistką”. Wygląda to jak tytuł jednego z tych podłych filmów, które mają przedstawić maccartyzm jako patriotyzm. Tak to magnaci z wytwórni zmywają swoje czerwone winy. *Fuck them. We'll see tomorrow.*

– Byłeś uczciwy w stosunku do żony?

– Byłem słaby. Otworzyłem się przed nią bez reszty. Wyjawiłem swoje wątpliwości. Czy to, co napisałem dla kina, ma jakąś wartość, czy tylko tak we mnie wmawiano, bo to służyło sprawie, tej jedynej słusznej sprawie? Czy nie płacimy najwyższej ceny za coś, co nie było tego warte? A ona powiedziała mi: Harry, to, co piszesz, to gówno. Ale nie dlatego, że jesteś komunistą, kochanie. Po prostu straciłeś iskrę bożą. Spójrz na to obiektywnie. Miałeś talent. Hollywood ci go ukradł. Był to talent niewielki, ale w końcu talent. Straciłeś tę odrobinę, którą miałeś. Tak mi powiedziała, Lauro.

– Ze mną będzie inaczej.

– Nie mogę, nie mogę. Już nie mogę.

– Chcę żyć z tobą (w imieniu mojego brata Santiago i mojego syna Santiago, i opiekować się tobą, tak jak nie umiałam albo nie mogłam opiekować się nimi, ty to rozumiesz, gniewasz

się, prosisz, bym nie traktowała ciebie jak dziecka, a ja ci udowodnię, że nie jestem twoją matką, Harry, jestem twoją suką, matki nie używasz jak zwierzęcia, kochanki także nie, tego nie dopuszcza prostacki romantyzm Hollywoodu, Harry, ale w moim przypadku ja cię o to proszę, pozwól mi być twoją suką, chociaż czasem będzie na ciebie szczekała, nie jestem ani twoją matką, ani żoną, ani siostrą...).

– *Be my bitch.*

Palił i pił, niszcząc sobie coraz bardziej płuca i krew, ona próbowała pić razem z nim, piła jabłecznik, udając, że to whisky, czuła się jak jedna z tych dziwek z kabaretu, które piją zabarwioną wodę, żeby klient myślał, że to francuski koniak, wstyd jej było, że kłamie, ale nie chciała tak jak on niszczyć sobie zdrowia, bo wtedy kto by go pielęgnował? Któregoś dnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku, w Cuernavace, obudziła się obok śpiącego mężczyzny, chorego i słabego, i tam zadecydowała, że od tej pory jej życie będzie miało sens tylko wtedy, gdy poświęci je opiece nad tym mężczyzną, jeśli się nim zajmie, gdyż życie Laury Díaz, od kiedy skończyła pięćdziesiąt lat, sprowadziło się do jednego przekonania: moje życie ma sens tylko wtedy, kiedy poświęcę je komuś, kto mnie potrzebuje; będę się o niego troszczyć, dam mu moją miłość, całą, bez reszty, bez warunków czy *arriéré-pensées*, jak powiedziałby Orlando, to jest teraz cel mojego życia, choćby miały być kłótnie, nieporozumienia, irytacja z jego czy mojej strony, rozbite talerze, ciche dni, tak i lepiej, bez tej opryskliwości zupełnie byśmy się zasłodzili, dam upust mojej złości na niego, nie będę się kontrolować, dam ostatnią szansę miłości, będę kochała Harry'ego w imieniu tego, co nie może już czekać dłużej, co muszę wcielić w życie, i oto ten moment nadszedł; wiem, że on myśli tak samo: Lauro, *this is the last chance*, to, co istnieje między nami, jest właśnie tym, co nie może dłużej czekać i co było zapowiedziane, to już się kiedyś zdarzyło, a jednak dzieje się teraz, przeżywamy antycypację śmierci, gdyż przed naszymi oczami, Lauro, rozgrywa się przeszłość w taki sposób, jakby już się wcześniej spełniła.

– A to widzą tylko umarli.

– Chcę was o coś zapytać – Fredric Bell zwrócił się do stałych gości zapraszanych na weekendy do Cuernavaki. – Wszyscy wiedzieliśmy, że zakłady przemysłowe zrobiły wielki majątek dzięki wojnie. Pytam was: czy powinniśmy byli wziąć udział w strajku przeciwko wyzyskiwaczom robotników? Nie zrobiliśmy tego. Byliśmy „patriotami”, byliśmy „nacjonalistami”, nie byliśmy „rewolucjonistami”.

– A gdyby naziści wygrali wojnę, ponieważ robotnicy amerykańscy zastrajkowali przeciwko amerykańskim kapitalistom? – zapytał epikurejczyk, który nie zdejmował krawatki pomimo upału.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że mamy wybór pomiędzy samobójstwem dzisiejszej nocy a rozstrzelaniem jutro z samego rana? Jak Rómmel? – wtrącił mężczyzna o kwadratowej szczęce i przygaszonych oczach.

– Chcę ci powiedzieć, że jest wojna, wojna się nie skończyła i nigdy się nie skończy, sojusze będą się zmieniały, jednego dnia wygrają oni, drugiego my, najważniejsze to nie stracić z oczu celu, i co ciekawe, cel jest początkiem, rozumiecie? Cel to pierwotna wolność człowieka – podsumował mężczyzna, który mógłby być żywą reklamą koszul Arrow.

– Nie – powiedział Harry do Laury – początkiem nie była wolność, na początku był terror, walka z bestią, podejrzliwość pomiędzy braćmi, walka o kobietę, matka, patriarchy, utrzymanie ogniska, żeby nie zgasło, ofiara z dziecka, żeby odstraszyć śmierć, plaga, huragan, taki był początek. Nigdy nie było złotego wieku. Nigdy go nie będzie. Tylko że nigdy nie będziesz dobrym rewolucjonistą, jeśli w to nie wierzysz.

– A McCarthy? A Beria?

– To byli cynicy. Oni nigdy w nic nie wierzyli.

– Szanuję twój dramat, Harry. Słowo, że bardzo cię szanuję.

– Nie trać czasu, Lauro. Chodź, pocałuj mnie.

Kiedy Harry umarł, Laura Díaz wróciła do Cuernavaki, żeby przekazać wiadomość grupie wygnańców. Jak zwykle w sobotę wieczorem zgromadzili się przy stole i Ruth podała im wielki półmisek spaghetti. Laura zauważyła, że obsada się zmieniła, ale role pozostały takie same, a nieobecni zostali zastąpieni nowymi przybyszami. McCarthy niestrudzenie wyszukiwał nowe ofiary, sieć prześladowań rozprzestrzeniała się jak ropa rozlana na morzu, jak plamy na chorym penisie. Theodore, stary producent, zmarł i jego żona Elsa nie wytrzymała długo bez niego na tym świecie, wysoki krótkowzrostny mężczyzna, który nosił okulary w szylkretowej oprawie, uzyskał możliwość zrobienia filmu we Francji, a mały człowieczek z kręconymi włosami, uczesany wysoko do góry, znowu mógł pisać scenariusze dla Hollywood, ale pod pseudonimem albo używając nazwiska podstawionej osoby.

Inni w dalszym ciągu mieszkali w Meksyku, skupieni wokół Fredrica Bella, pod opieką meksykańskich lewicowców ze stolicy, takich jak Diego i Frida czy fotograf Gabriel Figueroa, ale zawsze wierni poglądom, które pozwalały im żyć, pamiętać, dyskutować, łagodzić ból z powodu rosnącej listy prześladowanych, wyrzuconych, uwięzionych, skazanych na banicję, zaginionych, zmarłych śmiercią samobójczą, starając się nie zauważać oznak starości, udając, że nie widzą w lustrze stałych drobnych zmian. Teraz Laura Díaz była lustrem dla emigrantów w Cuernavaca. Powiedziała im, że Harry umarł, i wszyscy od razu się postarali. Ale jednocześnie Laura zauważyła, że w oczach wszystkich zabłysły iskiereki jakby tego samego ognia. Na jedną chwilę, kiedy usłyszeli wiadomość o śmierci Harry'ego, strach, który ich wszystkich prześladował, nawet tych najodważniejszych, ten najlepszy pies gończy wytresowany przez McCarthy'ego i przyuczony do szarpania „czerwonych” za nogawki, zamienił się w pewien rodzaj ostatecznego westchnienia ulgi. Nikt się nie odezwał, ale dali do zrozumienia Laurze, że Harry wreszcie będzie miał spokój. I że ich też wreszcie zostawi w spokoju.

Wystarczyły jej te spojrzenia amerykańskich uciekinierów w Cuernavaca, ofiar maccartowskich prześladowań, żeby w jej duszy od razu ożyło przejmujące wspomnienie tego wszystkiego, czym był Harry Jaffe, jego czułość i ataki wściekłości, odwaga i strach, jego cierpienie polityczne przełożone na cierpienie fizyczne, jego ból. Wspomnienie Harry'ego, jej kochanka, wyłącznie jako istoty pełnej bólu.

Anglik Bell powiedział, że ten, kogo wezwano przed Komitet do Badania Działalności Antyamerykańskiej w Kongresie, miał cztery możliwości.

Mógł powołać się na Pierwszą Poprawkę do Konstytucji, która gwarantuje wolność wypowiedzi i zgromadzeń. Ryzyko polegało na tym, że można było zostać oskarżonym o obrazę Kongresu i znaleźć się w więzieniu. Tak też się stało z Dziesięcioma z Hollywood.

Mógł powołać się na Piątą Poprawkę do Konstytucji, która każdemu obywatelowi przyznaje prawo do powstrzymania się od zeznań na własną niekorzyść. Ci, którzy wybrali „Piątą”, narażali się na utratę pracy i znalezienie się na czarnej liście. To właśnie spotkało większość emigrantów z Cuernavaki.

Mógł też zacząć podawać nazwiska, donosić i liczyć na to, że wytwórnice znowu będą go zatrudniać.

Wtedy stało się coś nieoczekiwane. Wszyscy, siedemnastu zaproszonych gości, Bell z żoną i Laura, pojechali na malutki cmentarzyk w Tepoztlán, gdzie został pochowany Harry Jaffe. Świecił księżyc i u stóp imponującej bryły Tepozteco, z trzystopniową piramidą na szczycie, widać było skromne, lecz przystrojone kwiatami groby z krzyżami w kolorach niebieskim, różowym, białym i zielonym, które nie wyglądały jak miejsce pochówku, lecz jak jeszcze jeden tropikalny meksykański ogród. Przedwcześnie jak zwykle chłód spadł na Tepoztlán i wszyscy Amerykanie mieli na sobie bluzy, szale, a nawet kurtki.

Mieli rację. Pomimo jasnej poświaty księżycy góry rzucały ogromny cień na dolinę, a oni, prześladowani, wypędzeni, poruszali się jak własne cienie, jak ciemne skrzydła dalekiego orła, ptaka, który pewnego dnia spojrział w lustro i nie poznał samego siebie, gdyż lustrzane odbicie przeczyło jego wyobrażeniom o sobie.

Właśnie wtedy nocą w Tepoztlán, w świetle księżycy, tak jak podczas ostatniej sztuki w Group Theatre (kiedy przed zdjęciem ze sceny kurtyna opadała przy pustej sali), każdy z obecnych powiedział parą zdań nad grobem Harry'ego Jaffe, człowieka, którego przyjęto do grupy, ale na którego nie patrzył nikt prócz Laury. To ona pewnego dnia przyjechała do Cuernavaki, wskoczyła do basenu wśród kwiatów bugenwilli i wynurzając się, stanęła twarzą w twarz ze swoją biedną, nieszczęśliwą, chorą miłością.

- Podałeś nazwiska tylko tych, których już wcześniej ktoś wymienił.
 - Wszyscy, których podałeś, już byli na czarnej liście.
 - Mając do wyboru donos na przyjaciół i zdradę ojczyzny, wybrałeś ojczyznę.
 - Powiedziałaś, że jeśli zostaniesz w partii, skończy ci się wena twórcza.
 - Partia ci powiedziała, jak masz pisać, jak masz myśleć, a ty się zbuntowałeś.
 - Zbuntowałeś się najpierw przeciwko partii.
 - Przestraszyłeś się, że stalinizm mógłby panować w USA, tak jak panował w ZSRR.
 - Wystąpiłeś przed Komitetem i drżałeś z przerażenia. Miałeś już w Ameryce to, czego się bałeś. Przesłuchiwał cię stalinizm, który tu nazywał się maccartyzmem.
 - Nie powiedziałeś ani jednego nazwiska.
 - Przeciwstawiłeś się McCarthy'emu.
 - Dlaczego to zrobiłeś, jeśli wiedziałeś, że oni już to wiedzieli? Żeby donieść na donosicieli, Harry, żeby zniesławić zniesławiającego.
 - Żeby wrócić do pracy, Harry. Aż zdałeś sobie sprawę, że to wszystko jedno, czy się donosi, czy nie. Wytwórnice nie dawały pracy czerwonym. Ale nie zatrudniały również tych, którzy przyznawali, że są czerwonymi, i donosili na kolegów.
 - Nie było wyjścia, Harry.
 - Wiedziałeś, że antykomunizm stał się ucieczką dla amerykańskich kanalii. Nie wymieniłeś żywych. Ale także nie wymieniłeś umarłych.
 - Nie podałeś tych, których nikt wcześniej nie podał. Ale także nie podałeś tych, którzy już byli na liście.
 - Nie podałeś nawet tych, którzy ciebie podali, Harry.
 - Partia wezwała cię do posłuszeństwa. Powiedziałaś, że chociażbyś gardził partią, nie ulegniesz Komitetowi. Partia w swoim najlepszym momencie była zawsze lepsza niż Komitet w jakimkolwiek momencie.
 - Najgorsze dla mnie było to, że nie mogłem powiedzieć ci, co się działo z moją żoną. Podejrzanie zrujnowało nasze małżeństwo.
 - Najgorsze dla mnie było ukrywanie się w domu przy zgaszonych światłach, żeby nie wezwali mnie agenci Komitetu.
 - Najgorsze dla mnie było to, że moje małe dzieci w szkole były poddane ostracyzmowi.
 - Najgorsze dla mnie było ukrywanie przed dziećmi tego, co się działo, chociaż wiedziałem, że one już wiedzą wszystko.
 - Najgorszy dla mnie był wybór między ideałami socjalizmu i sowiecką rzeczywistością.
 - Najgorszy dla mnie był wybór między jakością literacką mojej pracy a dogmatycznymi wymogami partii.
- Najgorszy dla mnie był wybór między dobrym pisarstwem a komercją, której wymagała Wytwórnica.
- Najgorszy dla mnie był moment, kiedy spojrzałem w twarz McCarthy'ego i zrozumiałem, że amerykańska demokracja jest stracona.

– Najgorszy dla mnie był moment, kiedy kongresman John Rankin powiedział mi: pan nie nazywa się Melvin Ross, pan naprawdę nazywa się Emanuel Rosenberg, to dowodzi, że pan jest oszustem, kłamcą, zdrajcą, wstrętnym Żydem...

– Najgorszy dla mnie był moment, kiedy spotkałem człowieka, który na mnie doniósł, a on zakrył twarz ze wstydu.

– Najgorszy dla mnie był moment, kiedy mój donosiciel przyszedł do mnie i z płaczem prosił o przebaczenie.

– Najgorsze dla mnie było to, że wymieniły mnie te odrażające pismaki z kronik towarzyskich, Sokolsky, Winchell, Hedda Hopper. Oni splamili mnie bardziej niż McCarthy. Ich farba drukarska śmierdziała gównem.

– Najgorsze dla mnie były momenty, kiedy musiałem zmieniać głos przez telefon, żeby porozumieć się z rodziną i przyjaciółmi, nie narażając ich.

– Mojej córce powiedzieli: twój ojciec jest zdrajcą. Zerwij z nim stosunki.

– Przyjaciele mojego syna powiedzieli: wiesz, kim jest twój ojciec?

– Powiedzieli moim sąsiadom: nie rozmawiajcie z rodzinami czerwonych.

– Co ty im powiedziałaś, Harry Jaffe?

– Harry Jaffe, odpoczywaj w pokoju.

Wszyscy wrócili do Cuernavaki, a Laura Díaz, oszołomiona, wzruszona, zdezorientowana, wróciła do chatki w Tepoztlán, żeby pozbierać rzeczy. Chciała też uratować swój własny ból i ból Harry'ego. Spakowała walizki i zamyśliła się. Sama z duchem Harry'ego, myślała o tym, czy ból można od kogoś przejąć, intuicja mówiła jej, że nie, jest tylko ból własny, nieprzekazywalny. Chociaż widziałam twój ból, Harry, nie mogłam odczuwać go tak, jak ty go odczuwałeś. Twój ból miał sens tylko wtedy, kiedy przechodził przeze mnie. To mój ból, Laury Díaz, jedyny, jaki czuję. Ale mogę mówić w imieniu twojego bólu. Mogę mówić, jak wyobrażam sobie ból człowieka o nazwisku Harry Jaffe, który zmarł na rozedmę płuc, uduszony wewnętrznie, z braku powietrza, z opadłymi skrzydłami...

– Poza tymi trzema możliwościami w przypadku wezwania przed Komitet – powiedział Fredric Bell do Laury przed jej wyjazdem do stolicy Meksyku – była jeszcze czwarta. Nazywało się to Świadectwo Dorażne, *Executive Testimony*. Świadkowie, którzy donosili publicznie, wcześniej przechodzili przez prywatne przesłuchanie. Wystąpienie publiczne miało wtedy już tylko charakter formalny. Komitet chciał przede wszystkim nazwisk. Jego żądza nazwisk była nienasycona, *non satiata*. Świadek z reguły był wzywany do jakiegoś hotelowego pokoju i tam składał tajne zeznania. Nazwiska już były, ale to nie wystarczało. Świadek musiał powtórzyć to samo publicznie, dla chwały Komitetu i dla pohańbienia donosiciela. Wciąż ich oszukiwano. Mówiono donosicielowi, że tajne zeznania wystarczą. Strach przed prześladowaniami był tak wielki, że donosiciel chwycił się tego jak ostatniej deski ratunku i oszukiwał samego siebie, wierzył: „ja będę wyjątkiem, moje zeznania zachowają w sekrecie”. I czasem tak było, Lauro. Nie wiadomo dlaczego jednych, którzy zeznawali prywatnie, natychmiast wzywano do oświadczeń publicznych, a innych nie.

– Ale Harry był odważny. Stając przed Komitetem, powiedział do McCarthy'ego: „To pan jest komunistą, panie senatorze”.

– Tak, przed Komitetem był odważny.

– Ale przed *Executive Testimony* nie? Czy najpierw doniósł, a potem to publicznie odwołał, najpierw oskarżył przyjaciół i zaraz potem zaatakował Komitet?

– Lauro, my, ofiary donosicielstwa, nie donosimy. Chcę ci tylko powiedzieć, że byli ludzie, którzy w dobrej wierze pomyśleli: „Jeżeli powiem o kimś poza wszelkim podejrzeniem, o kimś, komu nigdy niczego nie udowodnią, wypadnę dobrze wobec Komitetu i uratuję własną skórę, a nie skrzywdzę przyjaciół”.

Bell wstał i wyciągnął rękę do Laury Díaz.

– Moja przyjaciółko, jeśli możesz zanieść kwiaty na grób Mady Christians i Johna Garfielda, proszę cię, zrób to.

„Wolę dotykać twojej martwej dłoni niż dłoni jakiegokolwiek żywego mężczyzny” – to były ostatnie słowa, jakie Laura Díaz powiedziała do Harry’ego Jaffe.

Nie wiedziała, czy Harry ją słyszy. Nie wiedziała, czy Harry żyje, czy umarł.

2

Zawsze chciała mu powiedzieć: nie wiem, kto był twoją ofiarą, pozwól, żebym to ja nią była. Zawsze wiedziała, co on by jej odpowiedział: nie chcę deski ratunku... Ale ja jestem twoją suką.

Harry powiedział, że jeżeli ktokolwiek zawinił, on bierze w całości winę na siebie.

– Czy ja chcę się uratować? – mówił z nieobecny wyrazem twarzy. – Czy chcę się uratować razem z tobą? Musimy to rozstrzygnąć wspólnie.

Ona przyznawała, że wiele ją kosztuje żyć w atmosferze domysłów, kiedy on nie mówi jej jasno, co się wydarzyło. Ale natychmiast zaczynała żałować swojej szczerości. Od lat rozumiała, że prawda Harry’ego Jaffe zawsze będzie czekiem bez daty i liczb, choć w pełni potwierdzonym. Człowiek, którego kochała, nie był prostoliniowy, pętały go więzy podwójnej percepcji – inaczej postrzegala go grupa uchodźców z Cuernavaki, a inaczej on postrzegał tę grupę.

Laura Díaz zastanawiała się, skąd brał się ich dystans w stosunku do Harry’ego. A z drugiej strony: dlaczego akceptowali go jako jednego z nich? Laura pragnęła usłyszeć prawdę właśnie od niego, nie chciała zdawać się na opinię osób trzecich, ale on powiedział jej bez uśmiechu, że o ile prawdą jest, jak mówią, że klęska jest sierotą, a zwycięstwo ma setki rodziców, to kłamstwo ma mnóstwo dzieci, a prawda nie ma potomstwa. Prawda jest samotna i żyje w celibacie, dlatego ludzie wolą kłamstwo; łączy nas, rozwesela, czyni z nas współuczestników i współników. Natomiast prawda nas izoluje i zamienia w wyspy otoczone morzem podejrzeń i zawiści. Dlatego wybieramy te kłamliwe gierki. Żeby nie znosić samotności prawdy.

– W takim razie, Harry, co wiemy ty i ja, co wiemy o sobie?

– Ja szanuję cię, a ty mnie. Wystarczamy sobie nawzajem.

– Ale nie wystarczamy światu.

– To prawda.

Prawda, że Harry był w Meksyku na wygnaniu, tak samo jak Dziesięciu z Hollywood i inni prześladowani najpierw przez Komitet Kongresu, a potem przez senatora McCarthy’ego. Komuniści czy nie, to nie było najważniejsze. Były przypadki szczególne, na przykład stary żydowski producent Theodore i jego żona Elsa nie byli o nic oskarżeni, a wyemigrowali z własnej woli, przez solidarność, bo filmy – mówili – produkowane były we współpracy, z pełną świadomością, i jeśli jedna osoba uznana została za winną czegoś albo czyjaś ofiarę, wszyscy bez wyjątku powinni znaleźć się w takiej samej sytuacji.

– *Fuenteovejuna*, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – powiedziała z uśmiechem Laura Díaz, wspominając Basilia Baltazara.

Nie brakowało zagorzałych zwolenników Stalina i ZSRR, ale było też wielu rozczarowanych do stalinizmu, którzy jednak nie chcieli zachowywać się jak staliniści na swojej własnej, amerykańskiej ziemi.

– Gdybyśmy my, komuniści, doszli do władzy w USA, też obrzucalibyśmy oszczerstwami, wypędzali i zabijali pisarzy dysydentów – mówił mężczyzna z wysoką fryzurą.

– W takim razie nie byłibyśmy prawdziwymi komunistami, tylko sowieckimi stalinowcami, produktem kultury religijnej i autorytarnej, która nie ma nic wspólnego z humanistyczną teorią Marksa czy demokratyczną Jeffersona – odpowiadał mu jego towarzysz, wysoki i krótkowzrostny.

– Nie oszukuj się, Stalin zniszczył na zawsze ideę komunizmu.

– Ja zachowam nadzieję na socjalizm demokratyczny.

Laura nie przypisywała tym głosom żadnych twarzy i nazwisk, przez co czuła się winna, ale usprawiedliwiała ją to, że słyszało się w kółko podobne argumenty, wypowiedane przez różne głosy mężczyzn i kobiet, którzy przychodzili i odchodzili, przebywali tu, a potem znikali na zawsze i zostawiali wśród bugenwilli w ogrodach Bellów w Cuernavace tylko swoje głosy. Byli wśród nich eks-komuniści, którzy bali się, że skończą jak Ethel i Julius Rosenbergowie, straceni na krześle elektrycznym za przestępstwa wymyślone. Albo za przestępstwa cudze. Albo za przestępstwa, których źródłem była zwykła eskalacja podejrzeń. Byli Amerykanie z lewicy, prawdziwi socjaliści albo po prostu „liberałowie”, których zatrwazała fala prześladowań i donosów rozpętana przez legion godnych pogardy oportunistów. Byli przyjaciele i krewni ofiar maccartyzmu, którzy wyjechali ze Stanów przez solidarność z nimi.

Natomiast w Cuernavace nie było ani jednego donosiciela.

Laura zadawała sobie pytanie, do jakiej kategorii zaliczał się ten mężczyzna niski, chudy, łysy, źle ubrany, chory na rozedmę płuc, szarpany sprzecznościami, którego pokochała inną miłością niż Orlanda, Juana Francisco, a zwłaszcza Jorge Maurę.

Sprzeczność: Harry umierał na rozedmę płuc, ale nie przestawał palić czterech paczek papierosów dziennie, był to nałóg nie do przezwyciężenia, mówił, że bez nich nie może pisać, tyle że nic nie pisał, a wciąż palił. Przyglądał się z pewnego rodzaju rezygnacją, a zarazem z pasją wspaniałym zachodom słońca w dolinie Morelos, kiedy zapach liści laurowych utrudniał mu gasnący już oddech.

Oddychał ciężko, powietrze doliny przepęniało mu płuca i niszczyło je: krew już nie przyswajała tlenu, któregoś dnia jego własny oddech, oddech człowieka zwanego Harry Jaffe, ucieknie mu z płuc, tak jak woda przecieka przez pękniętą rurę i zaatakuje mu gardło, dławiąc go tym samym, czego potrzebuje do życia – powietrzem.

– Jeśli posłuchasz uważnie – na twarzy chorego rysował się grymas – możesz usłyszeć hałas w moich płucach, coś jak chrzęst kruchych zbożowych płatków... jak w reklamie *Rice Krispies* – śmiał się z trudnością – pyszne śniadanie mistrzów.

Sprzeczność: czy on wierzy, że oni nie wiedzą, a oni wiedzą, ale nic nie mówią? Czy on wie, że oni wiedzą, a oni wierzą, że on o tym nie wie?

– Co napisałbyś o sobie samym, Harry?

– Musiałbym opowiadać tę historię słowami, których nie cierpię.

– Historię w ogóle czy twoją historię?

– Trzeba zapomnieć o sprawach osobistych, żeby pojawiła się historia prawdziwa.

– A czy ta „prawdziwa historia” nie jest tylko sumą spraw osobistych?

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Zapytaj mnie o to innego dnia.

Ona myślała o sumie swoich miłości cielesnych – Orlanda, Juan Francisco, Jorge i Harry; o swoich miłościach rodzinnych – ojciec Fernando, Mutti Letycja, ciotki Maria de la O, Virginia i Hilda; o swoich duchowych namiętnościach – obydwaj Santiago. Zmieszana, lecz jednocześnie nieporuszona, zdała sobie sprawę, że jej drugi syn, Danton, nie pojawił się na żadnym z tych osobistych ołtarzy.

Czasami mówiła mu: nie wiem, kto był twoją ofiarą, Harry, jeżeli w ogóle jakaś była, być może nie miałeś ofiar, ale jeśli je miałeś, to pozwól, żebym ja była teraz... jedną więcej.

On patrzył na nią z niedowierzaniem i zmuszał do tego, by patrzyła na siebie w taki sam sposób. Laura Díaz nigdy nie poświęcała się dla nikogo. Laura Díaz nie była niczyją ofiarą. Dlatego mogła to zaoferować Harry'emu z intencją czystą, bezinteresowną.

– Dlaczego nie piszesz?

– Lepiej zapytaj mnie, co to znaczy pisać...

– No dobrze, co to znaczy?

– To znaczy, że człowiek musi zstąpić w głąb siebie, tak jakby był kopalnią, żeby potem znowu mógł wyjść na powierzchnię, Lauro. Wyjść na świeże powietrze, mając ręce pełne samego siebie...

– Co wynosisz z tej kopalni: złoto, srebro, ołów?

– Pamięć? Błoto pamięci?

– Naszą pamięć powszednią.

– Daj nam dzisiaj. To zwykle śmiecie. Chciałby umrzeć w Hiszpanii.

– Dlaczego?

– Przez upodobanie do symetrii. Moje życie i historia zetknęłyby się w jednym punkcie.

– Znałam wielu ludzi, którzy myślą tak jak ty. Historia powinna zatrzymać się w Hiszpanii, kiedy wszyscy byli młodzi i wszyscy byli bohaterami.

– Hiszpania była ratunkiem. Teraz już nie chcę żadnej deski ratunku, mówiłem ci.

– W takim razie musisz wziąć na siebie to, co nastąpiło po wojnie w Hiszpanii. Czy tu była czyjaś wina?

– Było wielu niewinnych, i tam, i tutaj. Nie mogę uratować męczenników. Mój przyjaciel Jim zginął w bitwie nad Jaramą. Oddałbym za niego życie. Był niewinny. Nikt już potem nie był niewinny.

– Dlaczego, Harry?

– Dlatego, że ja nie zachowałem niewinności i sprawiłem, że inni ją stracili.

– Czy ty nie chcesz siebie uratować?

– Chcę.

– Ze mną?

– Tak.

Ale Harry był wypalony, nie uratował się, nie było mu dane umrzeć na froncie nad Jaramą, miał umrzeć na rozedmę płuc, nie od żadnej kuli frankistowskiej, nazistowskiej czy innej politycznej proweniencji; umrze od kuli, którą nosi w sobie, fizycznej czy duchowej, a może i fizycznej, i duchowej. Laura chciała nadać nazwę tej destrukcji, bo ona w końcu łączyła ją nierozdzielnie z tym mężczyzną, nie mającym nikogo, kto by mu towarzyszył – choćby w procesie samozagłady, do której przyczyniały się papierosy czy wyrzuty sumienia – poza nią, Laurą Díaz.

Wyjechali z Cuernavaki, bo stan zawieszenia przedłużał się, a Harry powiedział, że nie znosi stagnacji. W Cuernavace go akceptowano, ale nikt się do niego nie odzywał, nie zauważano go. Laura, przyjmując punkt widzenia Harry'ego, zadawała sobie pytanie, myślała: skąd ten chłód w stosunku innych emigrantów do niego, tak jakby on, w jakiś sposób, nie był jednym z nich? A także: dlaczego mnie akceptują, a jednocześnie odrzucają? Czy dlatego, że nie chcą stosować dyskryminacji, jaką sami musieli znieść? Ponieważ doniosłem w tajnym przesłuchaniu – powiedziała Laura „głosem” Harry'ego – oni nie będą mnie oskarżać publicznie; skoro działałem potajemnie, oni nie mogą traktować mnie jak wroga, ale ja nie mogę wyjawiać im prawdy...

– I żyć spokojnie?

– Nie wiem, kto był twoją ofiarą, Harry. Pozwól, żebym to ja nią była.

Jeśli schronił się w Meksyku, to dlatego, że prześladowano go w Stanach. Jeśli tak było, to dlaczego ci polujący na czarownice w dalszym ciągu go prześladowali? Dlatego, że nie doniósł? Czy właśnie dlatego, że doniósł? Ale jakiego typu był ten donos, co pozwalał mu żyć

wśród ludzi, których skrzywdził? Czy musiał donieść na siebie, że jest donosicielem wobec innych prześladowanych? Czy zyskałby coś na tym? I co by zyskał? Pokutę i wiarygodność? Gdyby odpokutował, to czy zaczęliby mu ufać, rozmawiać z nim, patrzeć na niego? Czy wszyscy się pomylili – i oni, i on?

Czy na wygnaniu w Cuernavace wszyscy uzgodnili, że dają mu wiarę, że nie doniósł, że jest jednym z nich?

– W takim razie dłaczego nas w dalszym ciągu prześladują, a jego nie?

(Lauro, donosiciel jest nie do pokonania. Atakowanie wiarygodności donosiciela jest podkopywaniem fundamentów samego systemu donosicielstwa.

Doniosłeś?

Przypuśćmy, że tak. Ale niech nikt się o tym nie dowie. I niech mnie uważają za bohatera. Czy to nie jest lepsze dla sprawy?)

– Zapewniam was. On mógłby wrócić i nikt by się go nie czepiał.

– Nie. Inkwizytorzy zawsze znajdują nowe powody do prześladowań.

– Żydzi, przechrty, muzułmanie, homoseksualiści, nieczyści rasowo, niedowiarki, heretycy – przypomniał podczas jednej ze swoich rzadkich wizyt Basilio. – Inkwizytorowi nigdy nie brakuje powodów do prześladowania. Jeżeli jakiś powód zawodzi albo traci na aktualności, Torquemada wyciąga z rękawa inny, całkiem nowy i nieoczekiwany. I tak w kółko.

W nocy, objęci uściskiem, kochali się przy zgaszonym świetle, Harry powstrzymywał kaszel, Laura w nocnej koszuli, żeby ukryć ciało, które już nie wydawało jej się atrakcyjne; mogli szeptać sobie różne rzeczy, mogli porozumiewać się mową pieszczot, on mógł mówić do niej: to jest ostatnia szansa dla miłości, a ona do niego: to, co się dzieje między nami, było zapowiedziane, a on: to już było, to, co się dzieje, ty i ja, to jest właśnie to, co już było między nami, Laura Díaz, Harry Jaffe, ona powinna była przypuszczać, powinna była sobie wyobrazić. W porze śniadania, w porze wieczornego koktajlu, kiedy tylko przezroczyste martini broniło się przed ciemnością albo nocą, w godzinie miłości, ona mogła sobie wyobrazić odpowiedzi na swoje pytania: dlaczego nie sypał? albo dlaczego sypał – jeśli sypał – w tajnym przesłuchaniu?

– Ale ty nic nie powiedziałaś, prawda?

– Nie, ale traktują mnie tak, jakbym powiedział.

– To prawda. Obrażają cię. Traktują cię jak powietrze. Wyjędźmy stąd, sami, we dwoje.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo jeśli masz jakiś sekret i szanują to, to dlatego, że nie wydajesz im się ważny.

– Dziwka, *bitch*, myślisz, że swoimi sztuczkami zmusisz mnie do mówienia...

– Dziwkom mężczyźni zwierają się ze swoich trosk. Pozwól mi być twoją dziwką, Harry, powiedz...

– *Old bitch*. – Harry roześmiał się sarkastycznie.

Ona już nie potrafiła czuć się upokorzoną. Ona sama go o to prosiła: pozwól mi być twoją suką.

– W porządku, suko, wyobraź sobie, że sypałem w tajnym przesłuchaniu. Ale wymieniłem tylko nazwiska niewinnych, Mady i Julie. Śledzisz moje rozumowanie? Pomyślałem sobie, że niewinnych nie ruszą. Ruszyli ich. Zabili. Myślałem, że szukają tylko komunistów, i dlatego żadnego z nich nie wymieniłem. Przysięgali mi, że chodzi im o komunistów. Dlatego wpadłem na to, żeby podać niewinnych. Tych nie dotkną. Nie dotrzymali słowa. Nie myśleli tak jak ja. Dlatego po tajnej rozmowie wystąpiłem publicznie i zaatakowałem McCarthy'ego.

(Jest pan lub był członkiem Partii Komunistycznej?)

To pan jest komunistą, panie senatorze, pan jest czerwonym agentem, to panu płaci Moskwa, senatorze McCarthy, pan jest najlepszym propagatorem komunizmu.

Naruszenie porządku, obraza, świadek winien jest obrazy Kongresu Stanów Zjednoczonych.)

– Czy dlatego spędziłem rok w więzieniu? Dlatego nie mają innego wyjścia niż szanować mnie i przyjmować we własnym gronie? Dlatego jestem bohaterem? Ale czy jednocześnie jestem donosicielem? Wierzą, że doniosłem, bo byłem przekonany, że nikt nie udowodni czegoś, czego nie można było udowodnić, że Mady Christians albo John Garfield byli komunistami? Wierzą, że wymieniłem niewinnych, żeby ratować winnych? Wierzą, że nie rozumiałem logiki prześladowań, która polegała na tym, żeby niewinnych zmienić w ofiary? Wierzą, że mogłem wymienić innych moich przyjaciół, J. Edwarda Bromberga, Maltza, Trumbo czy Dmytrika, bo ci rzeczywiście byli komunistami? Wierzą, że dlatego nie wymieniłem ich na tajnym przesłuchaniu? Wierzą, że wymieniłem tylko niewinnych, bo ja sam popełniłem grzech naiwności? Wierzą, że pomyślałem, iż niewinnym nie można niczego udowodnić, bo są niewinni? Dlatego Komitet postarał się udowodnić im wszystko, co nigdy się nie wydarzyło, za pomocą terroru? Czy łatwiej było zastraszyć niewinnego niż winnego? Winny mógł powiedzieć: byłem – albo jestem – komunistą i z honorem ponosić konsekwencje? A niewinny mógł tylko zaprzeczać i ponosić jeszcze gorsze konsekwencje niż winny? Czy taka jest logika terroru? Tak, terror to niewidzialne kleszcze, które dławią tak, jak mnie dławi rozedma. Nie możesz niczego zrobić i kończysz jako człowiek wycieńczony, chory, umierasz albo popełniasz samobójstwo. Terror polega na tym, żeby zabić niewinnego strachem. To najsilniejsza broń inkwizytora. Powiedz mi, że byłem głupi, bo nie potrafiłem tego przewidzieć. Wiedz, że kiedy zaatakowałem Kongres, mój donos już osiągnął skutek. Co się stało, to się nie odstanie, Lauro.

– A dlaczego inkwizytorzy ciebie nie zdradzili, nie wyjawili, że na tajnym przesłuchaniu powiedziałeś coś zupełnie przeciwnego niż w wystąpieniu publicznym?

– Bo dla nich wygodniejsze jest milczenie bohatera niż słowa donosiciela. Gdyby wyjawili moją podwójną grę, odkryliby również i swoją, a przez to straciliby asa ze swojej talii. Ukryli mój donos, przecież i tak już wykończyli ludzi, których wymieniłem, to przestało być problemem, oni mieli listę ofiar przygotowaną z góry, donosiciel tylko publicznie potwierdzał to, co mu kazali potwierdzić. Było wielu takich, którzy publicznie oskarżyli Mady Christians i Johna Garfielda. Dlatego przemilczeli moje zeznanie, skazali za niesubordynację, posłali do więzienia, a kiedy wyszedłem, musiałem emigrować... W każdym razie zniszczyli mnie, sprawili, że nie mogę znieść siebie samego..

– Czy o tym wszystkim wiedzą twoi towarzysze z Cuernavaki?

– Nie wiem, Lauro. Ale wyobrażam sobie, że są podzieleni. Wygodniej im mieć w swoim gronie takiego męczennika jak ja. Wygodniej niż odtrącić go jako donosiciela. Ale nie rozmawiają ze mną ani nie patrzą mi w twarz.

Poprosiła go, żeby wyjechali z Cuernavaki, sami, tylko we dwoje, w innym miejscu zdołaliby dać sobie to, czym mogą obdarować się dwie samotne istoty, dwoje przegranych – wspólnie możemy być tym, czym jesteśmy, będąc tym, czym nie jesteśmy. Wyjedźmy, zanim pogrążymy się w bezdennej pustce, kochany mój, umrzemy w sekrecie, razem ze wszystkimi naszymi sekretami, chodź, kochany mój.

– Przysięgam ci, że na zawsze zachowam milczenie.

XXI. Kolonia Roma: 1957

1

Kiedy trzęsienie ziemi w lipcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku nawiedziło stolicę Meksyku, Laura Díaz stała na tarasie swojego starego domu w Alei Sonora i patrzyła w noc. Paliła papierosa. Robiła to wyjątkowo, na cześć Harry'ego. Zmarły trzy lata temu jej nieszczęśliwy kochanek zostawił ją pełną pytań bez odpowiedzi, bez widoków na przyszłość i ze ściśniętym sercem. Ona po śmierci ukochanego mężczyzny żyła dalej samotnie i właśnie skończyła pięćdziesiąt dziewięć lat.

Wspomnienia wypełniały jej dni, a czasami, tak jak teraz, również i noce. Od czasu śmierci Harry'ego i powrotu do Meksyku spała mniej niż dawniej. Los amerykańskiego kochanka był jej obsesją. Starła się nie klasyfikować Harry'ego jako człowieka przegranego, gdyż nie chciała szukać przyczyn przegranej ani w prześladowaniach maccartowskich, ani w jego własnej wewnętrznej pustce. Nie dopuszczała myśli, że Harry przestał pisać nie ze względu na prześladowania, tylko dlatego, że nie miał już nic do powiedzenia i polowanie na czarownice było jego ucieczką. Ten wygnaniec nieustannie snuł rozważania na temat systematycznej destrukcji niewinnych i co gorsza, tych, którzy myśleli inaczej.

Nie opuszczały jej wątpliwości. Czy prześladowania zbiegły się z twórczą niemocą Harry'ego, czy ta nastąpiła wcześniej, a prześladowania były tylko pretekstem, aby impotencję zamienić w bohaterstwo? To nie była jego wina; chciał umrzeć w Hiszpanii, nad Jaramą, ze swoim przyjacielem Jimem, kiedy nic ich nie dzieliło, kiedy nie było, Lauro, tego przekłętogo wyobcowania...

Laura, myśląc o biednym Harrym, mogła ze swojego tarasu obserwować po lewej stronie ciemną lagunę śpiącego Lasku Chapultepec, z kopułami drzew falującymi jak oddech starego monarchy, który drzemie na swym leśnym tronie i ma za koronę kamienny zamek.

W oddali, po prawej stronie, na własny, malowany blask złoczonego Anioła Niepodległości nakładały się światła reflektorów, uwydatniając zwiewną sylwetkę tej złocistej panienci z czasów Porfiria Diaza w stroju greckiej bogini, ale reprezentującą niebiańskiego transwestytę, anioła mężczyznę jako symbol etosu rodzaju żeńskiego – Niepodległości...

Postać tego Anioła, czy tej Anielicy, prawą ręką wznosiła gałązkę laurową i rozwijała skrzydła, żeby wzbić się w niebo, ale nagle jej lot się zmienił, niósł ją ku katastrofie i runęła z wysokości kolumny, w powietrze, w dół, żeby rozbić się w kawałki o samą podstawę postumentu, jak upadły Lucyfer, eteryczna istota zwyciężona przez roztrzęsioną ziemię.

Laura Díaz widziała upadek Anioła i nie wiadomo dlaczego pomyślała, że to nie Anioł spada, tylko panna Antonieta Rivas Mercado, która pozując rzeźbiarzowi Enrique Alciatiemu, nigdy nie przypuszczała, że któregoś dnia posąg oddający piękno jej ciała runie i roztrzaska się o podstawę smukłej historycznej kolumny. Patrzyła na kołysanie się lasu i na upadek Anioła, ale przede wszystkim czuła, że jej własny dom trzeszczy, że łamie się jak anielskie skrzydła, że pęka jak krucha tortilla w zębach tego monstrualnego miasta, które pewnej nocy przemierzała z Orlandem Ximenezem, żeby poznać prawdziwą nędzę Meksyku, nędzę niewidoczną, która nie ma odwagi pokazać się światu, bo nie ma o co prosić i nikt, tak czy inaczej, niczego jej nie da.

Czekała, aż rozedrgana ziemia się zmęczy.

Jedynie, co można było zrobić, to się nie ruszać. Nie było innego sposobu na walkę z tą ukrytą w głębi ziemi siłą, trzeba było poddać się, aby w końcu zwyciężyć ją bronią stanowiącą jej przeciwieństwo – bezruchem.

Widziała tylko raz trzęsienie ziemi, w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, kiedy Meksyk obiegnęła wieść o niesłychanym wydarzeniu: pewien chłop w stanie Michoacán, orząc pole, zobaczył, że z dziury w ziemi wydobywa się dym i w niedługim czasie ziemia urodziła tam wulkan dziecko, plujący odłamkami skał, lawą, iskrami. Jego blask oglądać można było każdej nocy z bardzo daleka. Zjawisko narodzin wulkanu, o skróconej nazwie Paricutin (rzeczywista nazwa miejsca w języku Indian Tarasków jest niewymawialna: Paranguaricutiro), było zabawne, zdumiewające, tak ekstrawaganckie, że można je było zaakceptować. W kraju, gdzie wulkan wyrasta z niczego z dnia na dzień, wszystko może się zdarzyć...

Trzęsienie ziemi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku było o wiele bardziej dotkliwe, błyskawiczne jak suche, gwałtowne cięcie maczeta, które spada na śpiące ciało miasta. Kiedy wszystko ucichło, Laura zeszła ostrożnie po żelaznych kręconych schodkach na piętro, gdzie znajdowała się jej sypialnia, i zobaczyła jedno wielkie pobojuwisko: poprzewracane szafy, szuflady, szczoteczki do zębów, kubki i mydła, pumeks i gąbki, a na dole poprzekrzywiane obrazy w salonie, zgaszone lampy, potłuczone talerze, porozrzucaną pietruszkę, rozbite butelki z wodą mineralną.

Na zewnątrz było jeszcze gorzej. Kiedy wyszła na ulicę, zdała sobie sprawę ze straszliwych zniszczeń. Popękana fasada wyglądała na potrzaskaną czyjąś ciężką pięścią – cała odarta z tynku jak obrana pomarańcza... Dom nie nadawał się do mieszkania.

Trzęsienie ziemi obudziło duchy. Telefony działały i kiedy Laura jadła kanapkę z fasolą i sardynkami, popijając sokiem z winogron, zadzwonił Danton, a potem Orlando.

Swojego młodszego syna nie widziała od czasu pogrzebu Juana Francisco, kiedy zachowanie Laury oburzyło rodzinę żony Dantona, a zwłaszcza ją samą, jej synową Magdalenę Ayub Longorię.

– Guzik mnie obchodzi ta cała czereda burżujów – powiedziała Laura do syna.

– W porządku – odrzekł Danton. – Wiesz, że woda i ogień... Nie martw się. Niczego ci nie zabraknie.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

– Ja też mam nadzieję.

Oburzenie w rodzinie synowej wzrosło, kiedy Laura zamieszkała w Cuernavaca z amerykańskim komunistą, ale pieniądze, spore pieniądze od Dantona przychodziły niezawodnie i punktualnie. Była to zwykła umowa, nie było o czym mówić. Aż do dnia trzęsienia ziemi.

– Wszystko w porządku, mamo?

– Ja tak. Dom jest zrujnowany.

– Przyślę paru architektów, żeby go obejrżeli. Przenieś się do hotelu i daj mi znać, to wszystko ureguluję.

– Dziękuję. Pójdę do Diega Rivery.

Zapadło kłopotliwe milczenie, a potem Danton powiedział wesołym tonem:

– Jak to się w życiu dzieje. Na Carmen Cortinę spadł sufit, kiedy spała. Znałaś ją? Wyobraź sobie, pogrzebana we własnym domu, spłaszczona jak *hot-cake*. Meksyku piękny i kochany, jak mówi piosenka. Podobno była duszą towarzystwa w latach trzydziestych.

Niedługo potem telefon znowu zadzwonił i Laura aż podskoczyła. Przypomniała sobie czasy, kiedy to dwie różne firmy, Ericsson i Mexicana, podzieliły pomiędzy siebie linie i numery telefoniczne, komplikując wszystkim życie. Ona miała Mexicana, Jorge Maura Ericssona. Teraz było tylko jedno konsorcjum telefoniczne i kochankowie nie mieli już tego dreszczyku emocji ani telefonu jako wymówki – pomyślała Laura z nostalgią.

Jakby chcąc odwlec odebranie dzwoniącego natrętnie telefonu, zastanowiła się, co wynaleziono na świecie, od czasu kiedy jej dziadek Felipe Kelsen wyjechał z Niemiec w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym roku – kino, radio, samochód, samolot, telefon, telegraf, telewizję, penicylinę, kopiarkę, plastik, coca-colę, płyty długo grające, nylonowe pończochy...

Może ta atmosfera katastrofy przypomniła jej Jorge Maurę, dzwonek telefonu skojarzył jej się z biciem serca i wahała się przez chwilę. Poczowała strach przed podjęciem słuchawki. Próbowała rozpoznać głos – był to baryton specjalnie podwyższony, żeby brzmienie było bardziej angielskie – który zapytał:

– Laura? Mówi Orlando Ximénez. Wiesz już o tragedii Carmen Cortiny? Umarła zmiażdżona we śnie. Sufit się na nią zawalił. Urządzamy czuwanie w Gayosso przy ulicy Sullivan. Pomyślałem sobie, że przez pamięć na dawne czasy...

Mężczyzna, który wysiadł z taksówki o siódmej wieczorem, pozdrowił ją z chodnika i szedł ku niej niezbyt pewnym krokiem, z uśmiechem błakającym się na ustach, jakby były one gałką radia szukającą właściwej fali.

– Laura, to ja, Orlando. Nie poznajesz mnie? Spójrz – roześmiał się, pokazując jej zwiniętą dłoń i złoty sygnet z inicjałami OX. Nie został mu już żaden inny znak szczególny. Był kompletnie łysy i nie starał się tego ukryć. Najdziwniejsze, najgorsze z tego wszystkiego – pomyślała Laura – że absolutna gładkość czaszki, gołej jak dziecięca pupa, kontrastowała szokująco z twarzą pokrytą gęstą siatką niezliczonych drobnych kresek, rozchodzących się w różnych kierunkach. Jego twarz była oszalałą różą wiatrów, gdzie cztery strony świata znajdowały się we wszystkich możliwych kierunkach – pajęczą siecią bez żadnej symetrii.

Biała cera, typowa dla blondyna, jakim był Orlando Ximénez, źle zniosła upływ czasu; zmarszczki na jego twarzy były tak liczne jak bruzdy na polu oranym od wieków, żeby zebrać coraz mizerniejsze plony. A jednak mimo wszystko zachował dystygowaną, szczupłą sylwetkę, był dobrze ubrany, w dwurzędową marynarkę á la księżę Walii, ale z czarnym krawatem odpowiednim do okoliczności, i, na dowód nieśmiertelnej kokieterii, z chusteczką zwisającą mu z kieszonki na piersi. „Tylko snoby i mieszkańcy Toluca noszą takie same krawaty i chusteczki” – powiedział jej kiedyś, przed laty, w hotelu Regis w San Cayetano... Orlando.

– Lauro, kochanie – powiedział pierwszy, widząc, że z początku nie został rozpoznany, cmoknął ją pospiesznie w oba policzki i odsunął się, żeby jej się przyjrzeć, wciąż trzymając ją za rękę. – Niech no cię zobaczę.

To był cały Orlando, nie rewanżował jej się, uprzedzał ją, mówił bez słów: „ależ ty się zmieniłaś, Lauro”, zanim ona zdążyła powiedzieć: „ależ ty się zmieniłeś, Orlando”.

Kiedy jechali ulicą Sullivana (kto to był Sullivan? Anglik, autor operetek, który zawsze wymawiany jest jednym tchem ze swoim partnerem Gilbertem, jakby to byli bracia syjamscy, coś jak Ortega z Gassetem – zażartował niepoprawny Orlando), dawny kochanek Laury mówił o strasznej śmierci Carmen Cortiny i o tajemnicy, która na zawsze miała ją otaczać. Słynna właścicielka domu otwartego w latach trzydziestych swoją energią wydobyła meksykańskie życie towarzyskie z konwulsyjnego letargu, jeżeli tak można powiedzieć, bo to się wzajemnie wyklucza – uśmiechnął się Orlando – od lat nie opuszczała łóżka, cierpiała na zapalenie żył i nie mogła się poruszać... Można się zastanawiać, czy Carmen Cortina mogła podnieść się i uratować z kataklizmu, czy wskutek fizycznej niemocy została skazana na widok walącego się na nią sufitu, ze świadomością, że zostanie zmiażdżona jak ten przysłowiowy karaluch, ale po co wdawać się w takie rozważania...

– *But I am a chatterbox*, za dużo mówię, przepraszam – powiedział, śmiejąc się, Orlando i ręką w rękawicze pogłaskał nagą dłoń Laury Díaz.

Kiedy wysiedli z taksówki Orlando wziął ją pod ramię i powiedział do ucha: nie przeraż się, Lauro, spotkasz tu wszystkich naszych przyjaciół sprzed dwudziestu ośmiu lat, ale ich nie

rozpoznasz; jeśli będziesz miała wątpliwości, przyciśnij mi ramię, nie oddalaj się ode mnie, je *t'en prie*, a ja ci powiem, kto jest kim.

– Czytałaś *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta? Nie? Więc to właśnie taka sama sytuacja. Narrator wraca do paryskiego salonu po trzydziestu latach i nie poznaje najbliższych przyjaciół młodości. Wobec „starych kukieł”, mówi narrator Prousta, trzeba było używać nie tylko oczu, ale i pamięci. Dodaje, że starość jest jak śmierć. Niektórzy przyjmują ją obojętnie, nie dlatego, że mają więcej odwagi niż inni, ale dlatego, że mają mniej wyobraźni.

Orlando ostentacyjnie poszukał nazwiska CARMEN CORTINA na tablicy zgonów, żeby odnaleźć właściwy katafalk.

– Oczywiście różnica między naszą sytuacją a tą, jaką opisuje Proust, jest taka, że on odnajduje starość i upływ czasu w eleganckim salonie francuskiego towarzystwa, natomiast ty i ja, dumnie meksykańscy, odnajdujemy to w agencji usług pogrzebowych.

Nie było natarczywej woni kwiatów, która powoduje zawroty głowy w miejscach wystawienia zwłok. Dlatego zapach perfum bijący od obecnych tam kobiet wydawał się jeszcze mocniejszy. Unosił się jak ostatni obłok na niebie, które za chwilę miało zagasnąć na zawsze. Każda z osób, po kolei, przechodziła obok otwartej trumny, w której leżała Carmen Cortina, starannie zrekonstruowana przez specjalistę od balsamowania zwłok, nie przypominająca ani siebie samej, ani żadnej – uprzednio żywej – istoty. Wyglądała jak manekin z wystawy sklepowej, jakby burzliwa przeszłość lwicy salonowej przygotowała ją do tego finalnego momentu, do ostatniego aktu przedstawienia, którym było całe jej życie. Leżała w plastikowej gablocie, wśród jedwabnych białych poduszek, włosy miała dokładnie ufarbowane na kolor mahoni, policzki gładkie i uróżowane, usta obscenicznie spuchnięte i wpółotwarte w uśmiechu, który wydawał się lizać śmierć, jakby to był cukierek, dziurki od nosa zapchane watą, gdyż przez nie mogły wyciec resztki soków trawiennych, i zamknięte oczy, ale bez okularów, którymi *hostess* posługiwała się z umiejętnością właściwą ślepym eleganckim damom, używając ich czasami jako kłującej szpili, czasem jako zapasowego palca, czasem jak smutnie kołyszącego się wisiora albo groźnego sztyletu. Zawsze jednak były one batutą, za pomocą której Carmen Cortina dyrygowała swoją znakomitą towarzyską operetką.

Bez okularów Laura nie poznała jej. O mało co nie zasugerowała swojemu pierwszemu narzeczonemu, zarażona jego niewzruszenie żartobliwym tonem, żeby jakaś litościwa dusza włożyła okulary na nos nieboszczki. Mogłaby otworzyć oczy. Ożyć. Również nie poznała kobiety o nadmiernej tuszy, która jednak wciąż miała cerę jak z masy perłowej. Pchał ją na wózek malarz Tízoc Ambriz, ten był rozpoznawalny, gdyż często pokazywał się na stronach gazet poświęconych kulturze i plotkom towarzyskim; ze wzrostu oraz barwy włosów przypominał sardynkę pokrytą czarnymi i srebrnymi łuskami. Był niski i chudy, jak zawsze w niebieskim dżinsowym ubranku – spodnie, koszula i kurtka, tak jakby chciał się wyróżnić, a jednocześnie, na przekór, dyktował pewną modę.

Popychał z oddaniem wózek, na którym siedziała kobieta o sennych oczach, niewidocznych brwiach, ale – ach, wykrzyknął Orlando – już bez tego wyrazu wiecznej dojrzałości w regularnych rysach twarzy, która udawała wieczną młodość i z taką samą skłonnością do tycia jak trzydzieści lat temu, kiedy to przyjaciel Laury porównywał ją do dojrzałego owocu. Świeżo zerwanego z gałęzi.

– To Andrea Negrete. Pamiętasz tamten wernisaż w mieszkaniu Carmen, kiedy Tízoc namalował jej portret? Była naga, na obrazie naturalnie, miała dwa białe pasma na skroniach i włosy łonowe też pomalowane na biało, daruj, ale żeby się chwalić posiwiiałą myszką... Teraz nie musi sobie już niczego malować.

– Zjedz mnie – szepnęła Andrea do ucha Orlanda, kiedy wchodzili razem na salę, gdzie ksiądz odprawiał modły wobec kilkunastu przyjaciół Carmen Cortiny.

– Zjedz mnie.

– Obierz mnie.

– Świntuch! – Aktorka roześmiała się i szmer modlitwy „a światłość wiekuista niechaj jej świeci” nakładał się powoli na komentarze i plotki nieuniknione w takiej jak ta sytuacji.

Malarz Tizoc Ambriz stracił natomiast całą wyrazistość twarzy. Był jak indiański totem, malutki bóg Tezcatlipoca, aztecki Puck skazany jako duch na tułaczkę po występny nocnym mieście México Tenochtitlán.

Tizoc spojrział w stronę drzwi, gdyż właśnie wchodził wysoki młody człowiek z ciemnymi, kręconymi włosami, trzymając pod ramię kobietę, której każdy wałek na ciele był nadmuchany jak opona, a każdy centymetr skóry operowany plastycznie. Szła dumnie, a nawet wyzywająco, pod rękę z efebem, podkreślając lekkość kroku mimo obfitej tuszy. Płynęła jak Niezwyciężona Armada po burzliwych wodach życia. Malutkie stopki utrzymywały ciężki balon ciała zakończoną główką o jasnych lokach, które otaczały jej twarz, rzeźbioną, odnowioną, poprawioną – wszystko w niej było zmienione, wymienione i podmienione do tego stopnia, że skóra, naciągnięta do granic wytrzymałości i pozbawiona wyrazu, tworzyła maskę przyszpiloną w niewidoczny sposób za uszami; szwy pod brodą wyznaczały ślad po usuniętym zwisającym podbródku, ale ten już wykazywał wyraźną tendencję do powrotu.

– Laura, moja kochana Laura! – wykrzyknęła koszmarna zjawa owinięta w czarne tiule pobłyskujące klejnotami. Laura pomyślała: o Boże, któż to może być? nie pamiętam jej, nie pamiętam! Aż nagle zdała sobie sprawę, że pokryty bliznami balon nie wita się z nią, tylko kroczy leciutko w stronę kogoś, kto stał z tyłu, obróciła się więc, odprowadzając wzrokiem żywą reklamę liftingu, i zobaczyła, że tamta całuje się z jakąś kobietą, która była wyraźnym jej przeciwieństwem: szczupła drobna pani w czarnym kostiumie, ze sznurkiem pereł, w toczku na głowie, z woalką tak przylegającą do twarzy, że wydawała się jej częścią.

– Laura Riviere, nie wierzę własnym oczom! – wykrzyknęła pokrojona grubaska.

– Jak to miło, Elizabeth – odpowiedziała Laura Riviere, odsuwając się dyskretnie od bujnych kształtów Elizabeth Garcii-Dupont eks-Caraza, koleżanki z czasów szkolnych w Xalapie, której mama, doña Lucía Dupont, mówiła im: dziewczynki, nie pokazujcie piersi, kiedy wciskała Elizabeth w niemodną balową suknię w różowym kolorze, pełną niezliczonych falbanek i koronek...

(Laura nie ma problemu, bo jest płaska, mamó, aleja...

Elizabeth, córeczko, co też ty mówisz...

Trudno, tak mnie stworzył Pan Bóg z twoją pomocą...)

Nie poznała Laury, tak jak Laura nie poznała jej, gdyż Laura – rzuciła okiem na lustro w sali pogrzebowej – być może zmieniła się tak samo jak Elizabeth, a może Elizabeth poznała Laurę, ale nie chciała do niej podejść, pamiętając o dawnych urazach albo żeby właśnie unikać porównań, kłamstw: nic się nie zmieniłaś, jak ty to robisz, masz pakt z diabłem? Ostatnim razem, kiedy widziała ją w hotelu Reforma, Elizabeth wyglądała jak mumia chora na anoreksję.

Laura Díaz poczekała, aż Elizabeth García odejdzie, po czym zbliżyła się do Laury Rivière, podała jej rękę, poczuła suchą, delikatną dłoń i szukała znaku, że została rozpoznana pod czarną woalką i płaskim kapelusikiem, spod którego widać było białe misternie ułożone włosy, tak różne od prostych blond włosów z czasów jej młodości. Jestem Laura Díaz.

– Zawsze na ciebie czekałam. Obiecałaś, że do mnie zadzwonisz.

– Przepraszam. Powiedziałaś, żebym się ratowała.

– Myślisz, że nie mogłam ci pomóc?

– Sama mi powiedziałaś, pamiętasz? „Ja już nie mogę. Jestem stracona. Moje ciało jest spętane rutyną...”

– „Ale gdybym mogła uwolnić się od własnego ciała...” Laura Rivière uśmiechnęła się.

– „Nienawidzę go”. Tak ci powiedziałam, pewnie pamiętasz...

– Żałuję, że cię nie szukałam.

– Ja też.

– Wiesz, mogłybyśmy być przyjaciółkami.

– Szkoda. – Laura Riviere westchnęła, uśmiechnęła się smutno i odwróciła się do niej plecami.

– Ona naprawdę kochała Artemia Cruza – zauważył Orlando Ximénez, kiedy odprowadzał Laurę z powrotem na Aleję Sonora, przez miasto usłane ruinami. – Była kobietą przewrażliwioną na punkcie światła, światła we wnętrzach, tak, precyzyjnego rozmieszczenia lamp, odpowiedniego woltażu, kąta oświetlenia twarzy... To zawsze było jej obsesją. Była – jest – malarką własnego wizerunku. Jest swoim własnym autoportretem.

(Ja już dłużej nie mogę, kochany. Musisz wybrać.

Bądź cierpliwa, Lauro. Weź pod uwagę... Nie zmuszaj mnie...

Do czego? Boisz się mnie?

Czy tak jest nam źle? Czy ci czegoś brakuje?

Kto wie, Artemio. Być może nic nie będzie mi potrzebne.

Nie oszukałem cię. Nie zmuszałem.

Nie zmieniałam cię. A to jest różnica. Nie jesteś gotowy. A mnie to zaczyna męczyć.

Kocham cię. Tak jak pierwszego dnia.

Ale to już nie jest pierwszy dzień. Już nie. Podkręć trochę głośniej muzykę.)

Kiedy wysiedli z taksówki, Orlando chciał pocałować Laurę. Odsunęła go ze zdziwieniem i wstrętem. Poczowała dotknięcie zwiędłych ust, bliskość pooranej zmarszczkami twarzy, podobnej do kawałka różowego mięsa z odcisniętymi śladami rusztu, i ogarnęło ją obrzydzenie.

– Kocham cię, Lauro, tak jak pierwszego dnia.

– Ale to już nie jest pierwszy dzień. Teraz już się znamy. Aż nadto. Żegnaj, Orlando.

A tajemnica? Umrą obydwójce, a Orlando Ximénez, bliski przyjaciel pierwszego Santiago w Veracruz, który to fakt wykorzystywał dla uwodzenia Laury, tajemniczy posłaniec łączący nigdy nie widzianą anarchistkę Armonię Aznar ze światem, Orlando, jej kochanek i jej Wergiliusz, przewodnik po dzielnicach piekła meksykańskiej stolicy, nie zdradzi swojego sekretu? Trudno było przypisać jakkolwiek tajemnicą temu staromodnemu, zmumifikowanemu i banalnemu „dinozaurowi”, który towarzyszył jej na pogrzebie Carmen Cortiny, pogrzebie całej epoki w historii miasta.

Wolała pozostać z tą tajemnicą.

Jednak hołd złożony „dawnym czasom” zostawił w ustach Laury gorzki niesmak. W domu znowu popłynął prąd. Zaczęła zbierać poprzewracane przedmioty, kuchenne garnki, ustawiać meble w jadalni, a przede wszystkim w saloniku i na balkonie, tam gdzie po rodzinnym zawieszeniu broni, które nastąpiło w jakiś czas po romansie Laury z Jorge Maura, siadywali wszyscy – ona, jej mąż Juan Francisco, synowie Santiago i Danton i stara cioteczka z Veracruz, Maria de la O, żeby obserwować zachody słońca w Lasku Chapultepec.

Zaczęła układać książki, które pospadały z półek podczas trzęsienia, i spomiędzy stron biografii Diega Rivery pióra Bertrama D. Wolfe wypadło zdjęcie Fridy Kahlo; Laura Díaz zrobiła je w dniu jej śmierci, trzynastego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego, kiedy zostawiła Harry’ego Jaffe w Tepoztlán i pojechała do domu państwa Rivera na Coyoacán.

– Weź – powiedział Harry, wręczając jej lejkę. – Używałem jej w Hollywood do robienia fotosów. Nie zapomnij przywieźć mi pośmiertnego zdjęcia Fridy Kahlo.

Powściągnęła odruch okrucieństwa, które czasami wywoływał w niej Harry. Frida zmarła chora, z amputowaną nogą, ale przykuta do łóżka malowała aż do ostatniego momentu. Harry umierał w tropikalnej kotlinie i nie miał odwagi wziąć do ręki papieru i pióra. Laura zrobiła

pośmiertne zdjęcie Fridy głównie po to, żeby pokazać je Harry'emu i powiedzieć: „nie przestała tworzyć aż do śmierci”.

Ale teraz Harry też już nie żył. Tak samo jak Carmen Cortina; i Laura, patrząc na zdjęcie zmarłej Fridy, zamiast okrucieństwa, które prowokował w niej Harry, i niesmaku, wywołanego widokiem zabalsamowanego ciała Carmen, odczuwała coś więcej niż miłość i podziw.

Czarne warkocze ułożonej w trumnie Fridy Kahlo poprzeplatane były kolorowymi wstążkami. Ręce ozdobione pierścieniami i bransoletkami spoczywały na piersi, uśpionej, lecz przystrojonej na ostatnią podróż okazałymi naszyjnikami z delikatnego złota i srebra z Morelii. Długie turkusowe kolczyki już nie zwieszały się z jej uszu, lecz leżały na poduszce, zachowując w niewytłumaczalny sposób resztki ciepła uchodzące z ciała zmarłej.

Twarz Fridy nie była zmieniona. Zamknięte oczy zachowały wyraz badawczej uwagi dzięki wciąż żywym, tak charakterystycznym dla niej brwiom, które – gęste i zrosnięte – łyso wały się nad oczami jak niebezpieczny i fascynujący bicz. Te gęste brwi nie mogły jednak odwrócić uwagi patrzących od słynnego wąsika Fridy, wyraźnego meszku nad górną wargą, który nasuwał myśl, że między jej nogami usiłuje wyrosnąć penis, identyczny jak u Diega, żeby potwierdzić nie tyle złudzenie, ile możliwość, że jest ona hermafrodytą, co więcej, osobnikiem dzieworodnym, może więc zapłodnić samą siebie i wytworzyć z własnego nasienia nową istotę, którą ona sama, jej żeńska część, urodzi dzięki wigorowi swojej części męskiej.

Taką też Fridę sfotografowała Laura Díaz dla Laury Díaz, sądząc, że fotografuje bezwładne ciało, lecz nie zdawała sobie sprawy, że Frida Kahlo już wyruszyła w podróż do Mictlan, indiańskiego piekła, gdzie można dotrzeć tylko wtedy, gdy ma się za przewodników trzysta *ixcuintles*, bezwłosych psów, które Frida kolekcjonowała i które teraz – sieroty pozbawione matki – wyły żałośnie na patiach, tarasach i kuchennych posadzkach tego żalobnego domu.

Leżąca pozycja Fridy Kahlo wprowadzała w błąd. Ona już szła prosto ku indiańskiemu piekłu, które wyglądało jak z obrazów Fridy Kahlo, ale nie było w nim ani krwi, ani cierni, ani męczeństwa, ani sal operacyjnych, ani skalpeli, ani żelaznych gorsetów, ani amputacji, ani martwych płodów, były tam tylko kwiaty, ciepłe deszcze i bezwłose psy, rosło mnóstwo sosen, truskawek i drzew owocowych rodzących pomarańcze, cytryny, mango, papaje, mameje, guanabany, zapotes, a ona dotarła tam pieszo, była jednocześnie pokorna i dumna, ciało miała zdrowe i całe, dziewicze, nie znające jeszcze szpitali i żadnych wypadków, a w progu piekiel stał Señor Xólotl, Ambasador Uniwersalnej Republiki Mictlanu, Kanclerz i Minister Pełnomocny Śmierci, czyli TEGO MIEJSCA. *How do you do, Mr. Xólotl?* – powiedziałaaby Frida, wchodząc do Piekła.

Weszła do Piekła. Z domu na Coyoacán przeniesiono jej zwłoki do Pałacu Sztuk Pięknych i przykryto komunistyczną flagą, za co dyrektor Instytutu został zdjęty ze stanowiska. Potem ciało przewieziono do krematorium, włożono do pieca ze wszystkim, z ubraniem, ozdobami, kosztownościami, żeby się lepiej paliło. A kiedy podłożono ogień, tułów się wyprostował i trup usiadł, tak jakby Frida Kahlo chciała jeszcze porozmawiać ze starymi przyjaciółmi, z bandą Kaszkieciarzy, których dowcipy wywoływały skandale w szkole w latach dwudziestych; tak jakby chciała znowu porozmawiać z Diegiem; tak właśnie podniósł się i usiadł trup Fridy, ożywiony płomieniami krematoryjnego pieca. Włosy zapaliły się jej jak aureola. Ostatni raz uśmiechnęła się do swoich przyjaciół i spłonęła.

Laurze zostało tylko pośmiertne, własnoręcznie zrobione zdjęcie Fridy Kahlo. Patrząc na to zdjęcie, można było stwierdzić, że według Fridy śmierć była tylko sposobem na odsunięcie się od wszelkiej brzydoty świata, nie po to, żeby jej uniknąć, tylko po to, żeby ją lepiej widzieć, żeby odkryć analogię Fridy kobiety i Fridy artystki: nie poprzez piękno, lecz poprzez prawdę.

Była martwa, ale przed jej zamkniętymi oczami przesuwiał się cały ból z jej obrazów lub, jak twierdzą niektórzy z oglądających zdjęcie, bardziej horror niż ból. Nie, na zdjęciu Laury Díaz Frida Kahlo jest ogniwem łączącym cały ból i brzydotę świata szpitali, poronień, gangren, amputacji, narkotyków, nieruchomych koszarów, towarzystwa diabła, zranionego krajobrazu – z prawdą, która staje się piękna, gdyż identyfikuje nasze ja z tym, czym naprawdę jesteśmy, a nie z tym, co udajemy.

Frida nadaje formę ciału: Laura to sfotografowała.

Frida scala to, co się rozpieczęściło: Laura sfotografowała to scalenie.

Frida, jak niezwykle rzadki feniks, podniosła się pod dotknięciem ognia.

Odrodziła się, żeby przenieść się wraz ze swymi bezwłosymi psami do innej dzielnicy, do królestwa kostuchy, zębatej suchotnicy, trupiej elegantki.

Odeszła wystrojona na zabawę w Raju.

2

Laura, z pośmiertnym zdjęciem Fridy w jednej ręce i z aparatem fotograficznym podarowanym jej przez Harry'ego w drugiej, przyjrzała się sobie w lustrze w nowym mieszkaniu przy Placu Rio de Janeiro, gdzie przeniosła się, kiedy trzęsienie ziemi nieodwracalnie zniszczyło jej stary dom przy Alei Sonora i Danton, który był właścicielem nieruchomości, postanowił zburzyć go i na jego miejscu postawić dwunastopiętrowy wieżowiec.

– Myślałam, że to my z ojcem byliśmy właścicielami naszego domu – powiedziała Laura ze zdziwieniem, ale bez pretensji, w dniu, kiedy Danton przyszedł, żeby poinformować ją o nowym stanie rzeczy.

– Już od dawna jestem jego właścicielem – powiedział młodszy syn Laury.

Zdziwienie matki było udawane, prawdziwą niespodzianką była dla niej zmiana w wyglądzie tego trzydziestosześcioletniego mężczyzny, którego nie widziała od dnia pogrzebu Juana Francisco, kiedy to Laura została skazana na ostracyzm przez rodzinę synowej.

Nie lekko siwiejące skronie ani zaokrąglony brzuch tak zmieniły Dantona, ale buta i chęć popisania się władzą, której nie mógł ukryć nawet przed własną matką, a może właśnie przed nią przesadnie ją podkreślał. Wszystko, począwszy od ostrzyżenia na Marlona Brando z filmu *Juliusz Cezar*, poprzez garnitur w kolorze marengo, wąski krawat w angielskim stylu, aż po czarne mokasyny firmy Gucci, potwierdzało jego władzę, pewność siebie, przyzwyczajenie do posłuchu.

Z nerwową arogancją Danton wyciągał przed siebie ramiona, żeby pokazać rubinowe spinki.

– Widziałem dla ciebie, mamo, piękne mieszkanie w dzielnicy Polanco.

– Nie – obstawała przy swoim. – Chcę zostać w Kolonii Roma.

– Ta dzielnica będzie coraz bardziej zanieczyszczona. Tu niedługo będzie straszny ruch. Zresztą już wyszła z mody. Poza tym tutaj zwykle najbardziej trzęsie.

Właśnie dlatego, powtórzyła, właśnie dlatego.

– Wiesz, co to jest wieżowiec? Ten, który budują, będzie pierwszy w Meksyku. Staną się modne. Własność horyzontalna to przyszłość tego miasta, zapewniam cię. Musisz iść z duchem czasu. Zresztą te mieszkania, które ci się podobają, nie są na sprzedaż, tylko do wynajęcia.

Ona właśnie chciała od tej pory sama płacić za mieszkanie, bez jego pomocy.

– Z czego będziesz żyła?

– Dla ciebie już jestem taka stara?

- Nie bądź uparta, mammo.
- Sądziłam, że mój dom należy do mnie. Czy ty wszystko musisz kupić, żeby być szczęśliwym? Pozwól mi szukać szczęścia na własny sposób.
- Przymierając głodem?
- Chcę być niezależna.
- Dobrze, zadzwoń do mnie, jak czegoś ci będzie potrzebna.
- Ty także.

Laura, z aparatem fotograficznym w rękach, zareagowała na dwie tak krańcowo różne śmierci – Fridy Kahlo i Carmen Cortiny – jedną decyzją. Spotkanie z Orlandem przypomniało jej niewidzialne, zatracone miasto, dławiące się nędzą i degradacją, które pokazał jej tamtej nocy na początku lat trzydziestych po jakimś przyjęciu na Paseo de la Reforma. Teraz Laura szła z aparatem przez centrum Meksyku i wydało jej się ono jednocześnie zatłoczone i wyludnione. Nie tylko nie natrafiła na tamto upadłe miasto, prawdziwy dwór cudów, gdzie zaprowadził ją Orlando, żeby ją przekonać, że nie ma wyjścia, ale to, co oglądała na własne oczy w latach trzydziestych, było teraz prawdziwie niewidzialne, w każdym razie zapomniane, pozostawione na marginesie przez nieustającą ekspansję miejskiej zabudowy. Teren wokół Zócalo, wielkiego placu, gdzie miały miejsce najważniejsze wydarzenia w życiu miasta od czasów Azteków, nie opustoszał wprawdzie, gdyż w całym mieście nie było pustych miejsc, ale stracił swoją centralną pozycję, stał się dzielnicą jak każda inna, choć najstarszą i najbardziej zasłużoną ze względu na swoją historię i architekturę. Teraz tworzyło się nowe centrum wokół upadłego Anioła Niepodległości i po obu stronach Paseo de la Reforma – z jednej strony Kolonia Roma, gdzie ulice nosiły nazwy zagranicznych miast, z drugiej Kolonia Cuauhtemoc, z ulicami o nazwie rzek.

Do miasta Meksyk przybywało codziennie dwa tysiące osób, sześćdziesiąt tysięcy osób miesięcznie; uciekali oni od głodu, wyschniętej ziemi, niesprawiedliwości, bezkarnej zbrodni, brutalnych kacyków, obojętności, ale także przyciągało ich miasto, które jawiło się pełne obietnic dobrobytu, a nawet piękna. Czyż plakaty reklamujące piwo nie obiecywały szalonych blondynek, a wszyscy bohaterowie coraz bardziej popularnych seriali telewizyjnych nie byli bogatymi, dobrze ubranymi Kreolami o jasnych włosach?

Żaden z tych argumentów nie tłumaczył Laurze tego nieprzerwanego napływu imigrantów; skąd przybywali? gdzie się zatrzymywali? jak żyli? kim byli?

To był pierwszy wielki fotograficzny reportaż Laury Díaz, w którym zawarła całe swe życiowe doświadczenie, prowincjonalne pochodzenie, pierwsze lata małżeństwa, macierzyństwo, swoje miłości i to, co wniosły one do jej życia – hiszpański świat Jorge Maury, straszliwe męczeństwo Raquel w Buchenwaldzie, bezlitosne rozstrzelanie Pilar pod murami Santa Fe de Patencia, maccartystowskie prześladowania Harry’ego, podwójna śmierć Fridy Kahlo, kiedy najpierw leżała martwa nieruchomo, a potem ożyła w ogniu pieca – wszystko to zebrała Laura w jedno tylko zdjęcie, jednego z tych miast bez nazwy, powstających jak strzępy i łaty na haftowanym suknie miasta Meksyk.

Miasta zatracone, anonimowe, wzniesione na ugorach wyschniętej doliny, wśród drzew mahoniowych i zwałów kamieni, z domami jaskiniami skleconymi byle jak, z tektury i blachy, z polepą zamiast podłogi, z zatrutą wodą, oświetlane gromnicami, do czasu kiedy ludowa pomysłowość odkryła sposób na podkradanie elektryczności ze słupów i linii wysokiego napięcia.

Dlatego pierwsze zdjęcie, nie licząc pośmiertnej fotografii Fridy Kahlo, jakie zrobiła Laura Díaz, pokazywało upadłego Anioła, potrząskany posąg u stóp smukłej kolumny, pannę Antonietę Rivas Mercado, która po latach miała popełnić samobójstwo na ołtarzu katedry Notre Dame w Paryżu z miłości do filozofa i pierwszego ministra edukacji José Vasconcelosa. Pamiętniki Vasconcelosa *Kreolski Ulisses*, opublikowane w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku, wywołały sensację swoją szczerością i Orlando, w jednym ze

swoich najbardziej udanych komentarzy, powiedział: To książka, którą trzeba czytać na stojąco...

Kiedy Laura Díaz sfotografowała rozbitą postać Anioła – kochanki filozofa – zastanowiła się nad upływem czasu tego miasta „wiecznej wiosny”, które wydawało się w ogóle nie mieć wiosny. Zdała sobie sprawę, że nie zauważyła, jak mijały lata. To miasto nie ma pór roku. Styczeń jest zimny. W lutym kurzawy. W marcu upał. Latem deszcze. W listopadzie sztorm z San Francisco przypomina, że pozory mylą. Grudzień jest przezroczysty. Styczeń zimny.

Pomyślała o latach spędzonych w tym mieście i na ten czas nałożyły się twarze Vasconcelosa, od młodego romantycznego studenta, odważnego bojownika Rewolucji, intelektualisty, szlachetnego popularyzatora oświaty o wysokim czole, który oddał Riverze ściany pod freski, filozofa spod znaku teorii „pędu życiowego” Bergsona, amerykańisty kosmicznej rasy, kandydata na urząd prezydenta, w opozycji do prezydenta Callesa i jego nadwornego błazna Luisa Napoleona Moronesa, który skorumpował Juana Francisco, aż do zgorzkniałego emigranta, starego i rozkapryszonego, który wychwalał Franco i faszyzm i kazał dokonać skreśleń w swoich własnych książkach.

Vasconcelos był postacią zmienną i dramatyczną rewolucyjnego Meksyku, natomiast Anioł Niepodległości – jego upadła kochanka – był postacią statyczną, niezmienną, symbolem Ojczyzny, dla której walczyli bohaterowie, którzy ją czcili, a jednocześnie zbezczeszili. Oboje – i filozof, i jego anioł – byli dzisiaj kompletnie rozbici i nie poznawali już tego miasta, które Laura zaczęła fotografować.

Zdała sobie sprawę, że po śmierci Harry’ego Jaffe w Cuernavaca i Carmen Cortiny w stolicy Meksyku zaczęła się zastanawiać: co będę robiła w przyszłym roku? Kiedy była młoda, wszystko było nieprzewidziane, naturalne, konieczne i w gruncie rzeczy przyjemne. Zwłaszcza śmierć Fridy sprawiła, że teraz zaczęła wspominać własną przeszłość jak zatartą fotografię. Trzęsienie ziemi, spotkanie z Orlandem, śmierć Carmen zmusiły ją do myślenia: czy mogą odzyskać dla przeszłości jej zagasłe światło, jej utraconą czystość?

Spała inaczej. Przedtem we śnie nie zastanawiała się nad niczym, ale martwiła się różnymi sprawami. Teraz ani się nie zastanawiała, ani nie martwiła. Spała, jakby już wszystko było poza nią. Spała jak staruszka.

Zreflektowała się. Chciała spać znowu, jakby nic się jeszcze nie wydarzyło, jakby po obudzeniu dopiero miało się zacząć jej życie, jakby miłość miała być nie znanym jeszcze bólem. Chciała obudzić się i widzieć każdy ranek, i zapisywać to, co widziała, w najbardziej precyzyjnym punkcie uczuć: w miejscu, gdzie łączą się serce i głowa. Do tej pory patrzyła, nie widząc. Nie wiedziała, co robić z obrazkami zwykłego życia, które dzień wkładał do jej pustych rąk.

Miasto i śmierć obudziły ją. Meksyk otacza ją jak wielki śpiący wąż. Laura obudziła się i usłyszała ciężki oddech gada, który owijał się wokół niej, ale jej nie dławził. Obudziła się i sfotografowała węża.

Najpierw sfotografowała zmarłą Fridę. Teraz robiła zdjęcia ich rodzinnego domu przy Alei Sonora, zanim zacznie się wyburzanie zarządzane przez jej syna. Fotografowała popękane fasady, ale także wnętrza skazane na zniszczenie, garaż, gdzie Juan Francisco trzymał samochód подарowany mu przez CROM, jadalnię, gdzie jej mąż spotykał się z przywódcami robotniczymi, salon, gdzie ona czekała cierpliwie, jak kreolska Penelopa, na chwilę względów i samotności spędzoną z mężem, kiedy wracał na łono rodziny, próg, na którym stała, prosząc o schronienie, prześladowana zakonnica Gloria Soriano, i kuchnię, gdzie cioteczka Maria de la O gotowała tradycyjne dania z Veracruz – ściany jeszcze do tej pory były przesiąknięte zapachem chile *chipotle*, portulaki i kminku – bojler do ciepłej wody, pod którym paliło się pożółkłe gazety. Ogień trawił znanych polityków, przestępców i gwiazdy z pierwszych stron gazet, i tak płomienie pożarły Callesa i Moronesa, Lombarda i Avile Camacha, Trockiego i Ramona Mercadera, zamordowaną Chintę Aznar i gwałciciela,

szaleńca i mordercę Sobera de la Flor, grubego Roberta Soto, komika Cantinflasa, tancerkę Meche Barba i śpiewającego kowboja Jorge Negrete, i transakcje w porcie w Liverpoolu, i reklamy Lepiej Lepi Lepik i Dwadzieścia Milionów Meksykanów Nie Może Się Mylić, walki na arenie Manolete i Arruzy i urbanistyczne osiągnięcia prezydenta miasta Ernesta Uruchurtu, i olimpijski medal Joaquina Capilli, wszystko to zniweczył ogień, tak samo jak śmierć zniweczyła sypialnię, z której jej syn Santiago uczynił sacrum, miejsce, gdzie rodziły się wizje, jaskinię, gdzie cienie były rzeczywistością, gdzie piętrzyły się obrazy i rysunki, i tajemniczy pokój Dantona, gdzie nikomu nie wolno było wejść, pokój istniejący tylko w wyobraźni, gdzie równie dobrze można by było *znaleźć* zdjęcia nagich kobiet powyrywane z pisma „Veá”, jak i nagie ściany, niby w pokutnej celi, zanim, co się w końcu stało, znalazł własny szczęśliwy los, i jej sypialnia małżeńska, gdzie ożyły wspomnienia mężczyzn, których kochała, dlaczego ich kochała, jak ich kochała...

Wyszła fotografować upadłe miasta wielkiej miejskiej nędzy i odnalazła siebie w samej czynności fotografowania życia tak krańcowo innego niż jej własne, gdyż nie wyparła się strachu, który budziły w niej te samotne eskapady z lejka w świat istniejący na samym dnie, ale ujawniający się poprzez zbrodnię: najpierw człowiek zaszyty w wirującym ulicznym kurzu; strach przed ambulansami, przed ich ogłuszającym wyciem na samej granicy miejsca zbrodni; kobiety zabite kopniakami przez pijanych mężów; noworodki wyrzucone do śmietników; opuszczeni starcy umierający na matach, zamienionych potem w ich całuny, krzyczący przez dziurę w ziemi jeszcze w tydzień po śmierci, tak wyschnięci, że nawet nie wydzielali żadnego odoru; to właśnie fotografowała Laura Díaz i dziękowała mężowi, że ją uratował, mimo wszystko, od takiego życia, życia w otoczeniu gwałtu i nędzy.

Bar w upadłym mieście, a w nim same trupy mężczyzn, którzy zginęli od kul, wzajemnie wymordowani w niewiadomy sposób, jak w karambolu zbrodni, ludzie bez nazwisk, ale teraz uratowani od zapomnienia przez zdjęcie Laury, wdzięcznej Maurze za to, że uratował ją od gwałtu, którego mogłyby dokonać na niej różne ideologie, od kobiecego strachu przed światem myśli, do którego ją wprowadził. Ona przechowywała w pamięci zdjęcie niemożliwe – zdjęcie Maury, liżącego językiem klasztorną posadzkę na Lanzarote, by oczyścić z ideologii swoją własną duszę i duszę krwawego dwudziestego wieku.

Jorge Maura był odtrutką na poniżenie, w jakim żyły dzieci fotografowane przez nią w tunelach i kanałach; zaskakiwało niczym nie pokonane piękno tych opuszczonych istot, jakby aparat Laury wymyślił je do połysku, tak jak Jorge Maura klasztorne posadzki – dzieci bez smarków, zaropiałych oczu, z lepki włosami, rachitycznymi członkami, czaszki wygolone z powodu świerzb, ręce pokryte chorobowymi plamami, bosa noga mająca za jedyne obuwie warstwę błota po kostki. Kiedy Laura robiła te zdjęcia, wdzięczna była również Harry'emu za słabość charakteru wobec lojalności i tęsknotę za jedynym, niepowtarzalnym momentem bohaterstwa. Pomyślała o wybitnym zdjęciu, przedstawiającym zabitego policjanta, zrobionym przez Roberta Capę w czasie wojny hiszpańskiej.

Wchodziła na posterunki policji i do szpitali. Na starą siwą kobietę w obszernej spódnicy i podartych sandałach (to była ona) nie zwracano uwagi i pozwalano jej fotografować inną kobietę, z pustą butelką po coca-coli wpychaną nieprzytomnie między uda, narkomana zwijającego się w swojej celi, wciskającego sobie do nosa wapno wydrapane ze ścian, kobiety i mężczyzn bitych w domach czy w szpitalnych salach, co na jedno wychodzi, zakrwawionych, ślepych bardziej z dezorientacji niż z powodu opuchniętych od uderzenia pięścią czy kijem powiek, zajeżdżanie policyjnych „suk”, wprowadzanie do komisariatów prostytutek i pedałów, transwestytów i przemytników, nocne żniwa alfonsów...

Życie wyrzucone za drzwi knajpy, przez okno domu, pod koła ciężarówki. Życie wybebeszone, na które nikt nigdy nie spojrzy, tylko ona swoim aparatem, ona, Laura Díaz, Laura obciążona bagażem wszystkich swoich wspomnień, miłości i spraw, którym była wierna, ale już nigdy Laura samotna, choć sama. Jest niezależna od nikogo, odsyła synowskie

czeki Dantonowi, płaci punktualnie czynsz za mieszkanie przy placu Rio de Janeiro, sprzedaje swoje pojedyncze zdjęcia i reportaże z początku gazetom i pismom, później, po swojej pierwszej wystawie zorganizowanej w Galerii Juana Martina przy ulicy Genova, indywidualnym nabywcom, w końcu podpisuje umowę, jako jeszcze jedna gwiazda, z Agencją Magnum, z którą współpracowali Cartier-Bresson, Inge Morath i Robert Capa.

Jest artystką uwieczniającą ból miasta, ale także jego radości. Laura i nowo narodzone dziecko widziane oczami matki jako samo Dzieciątko Jezus, zrodzone po raz drugi, Laura i mężczyzna z twarzą pochlastaną scyzorykiem z powstrzymaną agresją całuje nabożnie wizerunek Najświętszej Pani z Gwadelupy, Laura i pierwszy bal, wejście w towarzystwo, małe radości, parę tragicznych sygnałów, wesele, chrzest, aparat Laury, uwieczniając chwilę, potrafi uwiecznić przyszłość tej chwili, to jest siła jej sztuki, ulotność zakorzeniona, plastyczne oko, które temu, co było pretensjonalnością, przywróciło szacunek i czułość, a najdziksze okrucieństwo prawo do sentymentalnej wrażliwości, stwierdzili to nie tylko krytycy, tak odczuli miłośnicy jej sztuki, to wielka artystka meksykańskiej fotografii, największa po Alvarez Bravo, kapłanka spraw niewidzialnych (tak ją nazwano), poetka pisząca światłem, kobieta, która potrafiła sfotografować to, co Posada potrafił oddać w swojej grafice.

Kiedy Laura Díaz zdobyła niezależność i sławę, zatrzymała dla siebie pośmiertne zdjęcie Fridy, nigdy nie pozwoliłaby go opublikować, to zdjęcie było częścią bogatej pamięci Laury, emocjonalnym archiwum życia, co nagle, w tak późnym wieku, rozkwitło jak krzew, którego kwiaty rozwijają się późno, ale długo nie więdną. Zdjęcie Fridy było świadectwem zdjęć, których nigdy nie zrobiła, kiedy żyła wśród bliskich, było jej talizmanem. Przy Riverze i Fridzie niepostrzeżenie nagromadziła się w niej, jak w czasie snu, artystyczna wrażliwość, która dojrzewała w niej przez pół życia.

Nie skarżyła się na tamten czas, nie uważała go za godny potępienia okres podporządkowania się światu mężczyzn; jak mogłaby tak uważać, jeśli tamten świat zamieszkiwali jeden i drugi Santiago, jej kochankowie Jorge Maura, Orlando Ximénez i Harry Jaffe, rodzice, ciotki, wesoły czarny służący Zampayita i biedny, ale wart współczucia i litości (według niej) mąż Juan Francisco. Nie mogła o nich zapomnieć, ale też nie mogła rozczulać się, że nie uwieczniła ich na zdjęciach. Wyobraziła sobie swoje własne oko jako aparat zdolny uchwycić wszystko, co widziała i przeżyła przez sześćdziesiąt lat swojego życia, i poczuła dreszcz grozy. Sztuka jest selekcją. Sztuka musi poświęcić prawie wszystko, żeby uratować tak niewiele.

Nie można mieć jednocześnie i sztuki, i życia, i Laura Díaz w końcu wdzięczna była życiu, że poprzedziło sztukę, gdyż ta, przedwczesna, albo zbyt hojna, mogłaby zniszczyć życie.

To wtedy odkryła coś, co powinno było wydać jej się oczywiste od razu, jak tylko wygrzebała wśród ruin rodzinnego domu w Alei Sonora obrazy i rysunki swojego syna Santiago Młodsze, żeby przewieźć je do nowego mieszkania przy placu Rio de Janeiro. To wtedy wśród stosów rysunków ołówkiem, pasteli, szkiców i kilkudziesięciu obrazów olejnych znalazła obraz przedstawiający kobietę i mężczyznę, którzy – nadzy – patrzą na siebie, nie dotykając się, pożądają się tylko, i w tym pożądaniu jest spełnienie.

W pośpiechu, by jak najprędzej opuścić walący się dom, urządzić się we własnym mieszkaniu na placu Rio de Janeiro i zacząć nowe, niezależne życie polegające na fotografowaniu miasta i ludzkich losów, z inspiracji – jak mówiono – Diega Rivery i Fridy Kahlo, Laura nie miała czasu zatrzymać się i przyjrzeć z bliska obrazom własnego syna. Być może jej miłość do syna była tak wielka, że wolała oddalić od siebie fizyczne dowody jego egzystencji, żeby zachować go żywym tylko w matczynej duszy. Może ona sama musiała odnaleźć własne powołanie, żeby na nowo odkryć talent syna. Zaczawszy od porządkowania zdjęć Laury Díaz, przeszła następnie do porządkowania obrazów i rysunków z podpisem:

Santiago López-Díaz, i wśród obrazów olejnych zwrócił jej uwagę ten, któremu teraz się przyglądała: przedstawiający dwoje nagich, patrzących na siebie ludzi.

Na początku była nastawiona krytycznie wobec dzieła. Narysowane zdecydowaną kreską, kanciaste, okrutnie powyginane postacie ludzi były wynikiem podziwu dla Egona Schielego i długiego studiowania wiedeńskich albumów, które cudem dotarły do Niemieckiej Księgarni w Kolonii Hipódromo. Różnica, zauważyła od razu Laura, porównując obraz i albumy, polegała na tym, że na obrazach Schielego postaci były niemal zawsze pojedyncze, samotne, z rzadka tylko malarz pokazywał je splątane diabolicznie i niewinnie w fizycznym stosunku, lodowatym, fizjologicznym i te postaci – pojedyncze, czy nie – nigdy nie miały odniesienia do pejzażu, wnętrza, czy jakiegokolwiek przestrzeni, nie miały powietrza, tak jakby na ironię losu najnowocześniejszy malarz wracał do najstarszej sztuki, ekspresjonista Schiele wracał do malarstwa bizantyjskiego, w której figura Boga Stworzyciela pokazywana jest przed stworzeniem czegokolwiek, w absolutnej pustce samotnego majestatu.

Obraz młodego Santiago niewątpliwie wziął od Egona powykręcane ciała, ale zwracał im – jakby w nowym renesansie – to samo, co Giotto i Masaccio wnieśli do ikonografii Bizancjum: powietrze, pejzaż, miejsce. Nagi mężczyzna na obrazie Santiago, wychudzony, przekłuty niewidzialnymi kolcami, był młody, bez zarostu, ale z twarzą naznaczoną nieodwracalnym piętnem, chorobą, która zżerała mu ciało, nie zadając ran, od środka, bo widać został stworzony bez uprzednich konsultacji. Mężczyzna wpatrywał się rozgorączkowanym wzrokiem w brzuch nagiej jasnowłosej kobiety w ciąży, która – Laura natychmiast poszukała porównań w książkach z kolekcji Santiago – była taka sama jak Ewy u Holbeina i Cranacha, pogodzone z tym, że będą biernie naginać do swojej woli mężczyznę, któremu brak jednego żebra, ale w przeciwieństwie do nich zdeformowana przez żądzę. Tamte Ewy były beznamienne, uosabiały fatum, a ta, nowa Ewa Santiago Młodsze, dzieliła udękę z Adamem, młodym skazańcem drżącym w konwulsjach, który patrzył intensywnie na brzuch kobiety, a ona, Ewa, patrzyła intensywnie w oczy mężczyzny, i oboje – Laura dopiero teraz zwróciła uwagę na ten szczegół bądź co bądź widoczny – nie dotykali stopami ziemi.

Oni nie lewitowali. Wznosili się. Laura poczuła głębokie wzruszenie, kiedy zrozumiała wymowę obrazu syna. Ten Adam i ta Ewa nie upadli. Oni się wznosili. U ich stóp splatały się w jedną formę skórka z jabłka i skóra węża. Adam i Ewa oddalali się od rajskiego ogrodu, ale nie spadali w otchłań piekła bólu i pracy. Ich grzech był inny. Wznosili się. Zbuntowali się przeciwko boskiemu zakazowi – z drzewa tego nie wolno ci jeść owocu – i zamiast upaść unieśli się w górę. Poprzez seks, bunt i miłość Adam i Ewa byli bohaterami Wywyższenia się Ludzkości, nie jej Upadku. Zło na świecie wzięło się z wiary, że pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta upadli i skazali nas na występne dziedzictwo. Natomiast dla Santiago Młodsze winą Adama i Ewy nie była dziedziczna, nie była nawet winą, dramat Ziemskiego Raju był triumfem wolności ludzkiej nad tyranią Boga. Nie był to dramat. To była historia.

W głębi pejzażu Laura dostrzegła malutką, jak na obrazie Brueghela przedstawiającym Ikara, łódkę z czarnymi żaglami, która oddalała się od wybrzeży Edenu, unosząc samotnego pasażera, którego mikroskopijna figurka była podzielona w szczególny sposób, jedna połowa twarzy była anielska, a druga diabelska, jedna jasna, druga czerwona, ale cała postać, owinięta peleryną obszerną jak żagiel, była wspólna dla anioła i diabła, i Laura odgadła, że razem uosabiają Boga z krzyżem w jednej ręce i widłami w drugiej: dwoma narzędziami tortur i śmierci. Kochankowie wznosili się ku niebu. To Bóg upadł, to upadek Boga malował Santiago: na twarzy Stwórcy opuszczającego Eden rysowała się samotność, niedowierzanie, zdumienie, był zdezorientowany, Jego stworzenia zbuntowały się, postanowiły wzniesić się, zamiast upaść, zakpiły sobie z perwersyjnego boskiego zamysłu stworzenia świata tylko po to, żeby skazać swoje własne dzieło na grzech przekazywany z pokolenia na pokolenie, tak aby na wieki wieków mężczyzna i kobieta czuli się niżsi od Boga, zależni od Boga, skazani przez Niego, a przed ponownym upadkiem uratowani tylko dzięki Jego kapryśnej łasce.

Na odwrocie obrazu Santiago napisał na płótnie: „Sztuka nie jest nowoczesna. Sztuka jest wieczna”. Egon Schiele.

Linia zdominowała kolor. Dlatego kolory były tak silne. Łódka była czarna. Połowa twarzy Stworzyciela czerwona. Łupina jabłka, która była jednocześnie zrzuconą skórą węża, czerwono-zielona. Ale skóra Ewy była świetlista jak u Madonny Memlinga, natomiast Adama wyniszczona, żółtozielona i chora, jak u młodzieńców malowanych przez Schielego.

Mężczyzna patrzył na kobietę. Kobieta patrzyła na mężczyznę. Ale żadne z nich nie upadło. Bo pożąдали się wzajemnie. Pomimo różnic istniała między nimi równowaga, którą Laura znalazła również w sferze emocjonalnej pomiędzy sobą a synem, młodo zmarłym artystą.

Powiesiła obraz Santiago Młodszeo w saloniku swojego mieszkania i zrozumiała raz na zawsze, że syn okazał się rodzicem matki, że Laura Díaz, fotograficzka, nie wiedząc o tym, zawdzięczała więcej synowi niż jakiemukolwiek innemu artyście. Na początku nie zdawała sobie z tego sprawy i dlatego ta identyfikacja, nieświadoma i skrywana, była tak silna.

Teraz liczyła się tylko równowaga emocji.

3

Wystawy następowały jedna po drugiej, złożone najpierw ze zdjęć sprzedawanych dla pism i gazet, a potem wydawanych w formie albumów.

Święcenie zwierząt i ptaków.

Grupa wąsatych starców śpiewająca *corridos*, ballady z czasów Rewolucji.

Kwiaciarki.

Przeludnione baseny w dzień świętego Jana.

Życie hutnika.

Życie pielęgniarki.

Słynne zdjęcie zmarłej Cyganki z otwartą dłonią, na której nie ma linii papilarnych – Cyganki pozbawionej swego losu.

A teraz coś, co zawdzięczała Maurze: reportaż na temat republikańskich uchodźców z Hiszpanii w Meksyku.

Laura zdała sobie sprawę, że wojna w Hiszpanii w ciągu wielu lat była epicentrum jej historycznego życia, ważniejszym niż rewolucja meksykańska, która przeszła przez stan Veracruz łagodnie, ledwo go dotykając, tak jakby śmierć w Zatoce była poruszającym i świętym przywilejem, zarezerwowanym wyłącznie dla starszego brata Laury, Santiago Diaza, dla niej samotnego bohatera powstania w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku.

Natomiast w Hiszpanii walczyli Jorge Maura, Basilio Baltazar i Domingo Vidal; w Hiszpanii zginął młody Amerykanin Jim, a uratował się smutny Amerykanin Harry; w Hiszpanii rozstrzelano piękną i młodą Pilar Méndez pod rzymską bramą w Santa Fe de Palencia.

Dźwigając na barkach cały ten ciężar emocjonalny, Laura zaczęła fotografować twarze uchodźców hiszpańskich w Meksyku. Prezydent Cárdenas udzielił azylu ćwierćmilionowej rzeszy republikańców. Za każdym razem, kiedy fotografowała twarz któregoś z nich, myślała ze ściśniętym sercem o podróży Maury do Hawany, żeby wyciągnąć Raquel ze statku „Prinz Eugen” zacumowanego w pobliżu zamku Morro.

Każdego z fotografowanych mógł spotkać podobny los: więzienie, tortury, wykonanie wyroku. Wiedziała o tym.

Utrwalała na zdjęciach cud przeżycia. Wiedziała o tym.

Filozof José Gaos, uczeń Husserla, podobnie jak Jorge Maura i Raquel Mendes-Alemán, stał oparty o żelazną poręcz okalającą patio budynku Pod Maszkaronami: filozof z głową rzymskiego patrycjusza, o łysej czaszce tak mocno sklepionej jak jego szczęki, o tak zdecydowanym wyrazie jak jego grafitowe usta, człowiek tak sceptyczny jak jego spojrzenie krótkowidza zza okularków malutkich i okrągłych, w sam raz dla tego Schuberta filozofii. Gaos stał oparty o poręcz nad pięknym kolonialnym patio, a dziewczęta i chłopcy z wydziału filozofii podnosili głowy, żeby spojrzeć na mistrza z uśmiechem podziwu i wdzięczności.

Luis Buñuel umówił się z nią przy barku w „Paradorze”, reżyser zamawiał wspaniałe martini u swojego ulubionego barmana Cordoby i snuł wspomnienia, które składały się na film z kulturalnej serii: o domu studenckim w Madrycie, o zdjęciach do *Psa andaluzyjskiego*, kiedy to Buñuel i Dali użyli oka martwej ryby, otoczonego rzęsami, dla przedstawienia oka ludzkiego pociętego brzytwą, o filmie *Złoty Wiek*, który pokazywał hierarchów kościelnych zamienionych w martwą skałę na wybrzeżu Majorki, o paryskim życiu wśród surrealistów, o donosie Dalego („Buñuel jest komunistą, ateistą, bluźniercą i anarchistą, jak można go zatrudnić w Muzeum Sztuki Współczesnej?”), o przyjeździe do Meksyku z czterdziestoma dolarami w kieszeni.

Cały czas humor, wściekłość i marzenia odbijały się jednocześnie w zielonym spojrzeniu Buñuela, jego wzrok zatrzymał się w jakimś punkcie w przeszłości, a Laura fotografowała chłopca z Calandy w Aragonii, bijącego w bębny w Wielki Piątek, że aż krwawiły mu dłonie, żeby wyzwolić się ze zmysłowego zauroczenia świętym obrazkiem Virgen del Pilar, która czuwała nad onanistycznym łóżkiem jego dzieciństwa.

Dzięki wstawiennictwu baskijskiego pisarza Cariosa Blanca Aguinagi, Laura fotografowała cudownego poetę z Malagi (poznała go już kiedyś przez Maurę), Emilia Pradosa, w jego skromnym mieszkaniu przy ulicy Lerma: ukrywał się w paru pokoikach wśród stosów książek i papierów, naznaczony w każdej zmarszczce twarzy chorobą i emigracją, ale umiał przekształcić cierpienie w dwie rzeczy, które Laura zdołała oddać w fotografii. Jedną z nich była bezbrzeżna słodycz twarzy andaluzyjskiego świętego o nie odkupionych winach, przesłoniętej grzywą białych kosmyków i okularami o szklach grubych jak ścianki akwarium, jakby poeta, zawstydzony własną naiwnością, starał się ją ukryć.

Druga – to była liryczna siła, przesłaniająca cierpienie, biedę, rozczarowanie, starość i wygnanie.

*Gdybym ja umiał dać ci
całe światło poranka...
Przeniknąłbym cicho,
jak słońce, twe piersi
i wyszedłbym nocą
bez krwi i bez bólu...*

Manuel Pedroso, stary, mądry Andaluzyjczyk, dawny rektor uniwersytetu w Sewilli, był uwielbiany przez niewielką grupę swoich młodych studentów, którzy codziennie odprowadzali go z wydziału prawa przy Zócalo do małego mieszkania przy ulicy Amazonas. Laura uwieczniła to codzienne odprowadzanie, jak też spotkania w bibliotece mistrza, pękającej od starodruków o zapachu tropikalnych cygar. Frankiści spalili jego bibliotekę w Sewilli, ale Pedroso odzyskiwał skarb za skarbem w antykwariatach na La Lagunilla, gdzie handlowali złodzieje z całego miasta Meksyk.

Skradzione jemu, a potem skradzione temu, co ukradł – książki wracały zawsze, niby stęsknione i wierne kochanki, do rąk Pedrosa, szczupłych i drugich jak u mężczyzn malowanych przez El Greca – skłonnych w każdej chwili załamywać się, ostrzegać, zapraszać do ceremonii myślenia. Laura uchwyciła mistrza w chwili, kiedy wyciągał przed siebie ręce o

długich i pięknych palcach, żeby poprosić ludzkość o odrobinę światła, o zagaszenie ognisk nietolerancji, o utwierdzenie wiary w jego meksykańskich uczniach.

Laura fotografowała hałaśliwą, wesołą, rozdyskutowaną i sympatyczną grupę młodych azylantów, którzy zaaklimatyzowali się w Meksyku, ale nigdy nie porzucili Hiszpanii, zachowywali nieco sepleniącą wymowę i ulotnymi spojrzeniami zdradzali tęsknotę za wszystkim, co głośno odrzucali: gorącą czekoladą u księdza, powieściami Pereza Galdosa, spotkaniami w kawiarniach, starymi kobietami w czerni, ploteczkami pysznymi jak świeżutkie *churros*, flamenco i bykami, zawsze punktualnym, pogrzebowym biciem dzwonów i obsesją rodzin, które wiecznie zaglądały im do łóżek, żeby zapobiec pokusom Demona, Świata i Ciała. Laura fotografowała ich podczas bezustannych dyskusji, prowadzonych wciąż i wciąż od nowa, jakby byli Irlandczykami i nie znali się, bo pochodzili z Madrytu i Navarry, Galicji i Barcelony, bo nazywali się Oteyza, Serra Puig, Muñoz de Baena, García Ascot, Xirau, Duran, Segovia i Blanco Aguinaga.

Ale wśród hiszpańskich wygnańców Laura Díaz najbardziej lubiła pewną młodą kobietę, o której Danton mówił, że w latach czterdziestych była najciekawszą bywał czynią Klubu Jeździeckiego. Mieszkała z mężem poetą i filmowcem García Ascotem w dziwnym ostrokątnym domu w górnej części ulicy Villalongín i odznaczała się tak doskonałą urodą, że Laura była niepokieszona, bo nie mogła znaleźć w niej żadnej gorszej strony i nie potrafiła ani w jednym, ani w tysiącu zdjęć oddać uroku tej kruchej, smukłej i eleganckiej istoty, która chodziła po domu boso jak kot, a prawdziwy kot chodził za nią krok w krok, niby cień swojej pani, wzbudzającej uwielbienie i zazdrość całej kociej rasy swoim agresywnym profilem i delikatnym podbródkiem, pełnymi melancholii oczami i niepowstrzymanym, przenikliwym śmiechem.

María Luisa Elió miała swoją tajemnicę. Jej ojciec, skazany na śmierć przez Falangę, od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku ukrywał się w szałasie, w wiosce w okolicach Navarry. Ona nie mogła o tym mówić, ale ojciec był obecny w jej spojrzeniu, niezwykle jasnym przez ten ból, tajemnicę, oczekiwanie na ducha, który w każdej chwili mógł wydostać się z Hiszpanii i zjawić w Meksyku przed oczami córki w swojej prawdziwej postaci: postaci upiora w ludzkim ciele, przywołanego z zapomnienia.

Innym upiorem, cielesnym, nawet zbyt cielesnym, ale poruszającym się zręcznie w zmysłowym spektrum słów, był poeta Luis Cernuda, elegancki, wytworny homoseksualista, który pojawiał się od czasu do czasu w stolicy i był zawsze przyjmowany przez Octavia Paza; obaj wiecznie się kłócili, bo arogancja Cernudy była jawna, a Paza zakamuflowana, ale godziła ich wspólna poetycka pasja. Stopniowo tworzył się consensus: Luis Cernuda jest największym hiszpańskim poetą swojej generacji.

Laura Díaz chciała lepiej mu się przyjrzeć, popatrzeć na niego z dystansu, nie zważając na powierzchowność czy maskę hiszpańskiego dandysa, którego udawał, i poprosiła go, żeby przeczytał:

*Chcę żyć, kiedy umrze miłość...
I tak twoja śmierć budzi we mnie tęsknotę za śmiercią,
Jak twoje życie budziło we mnie tęsknotę za życiem.*

Brakowało jej Basilia Baltazara, bo plany im się pokrzyżowały, data wystawy Laury nie pokrywała się z okresem uniwersyteckich wakacji Baltazara, ale Laura i tak w centrum galerii powiesiła pustą ramę i umieściła obok nazwisko starego przyjaciela.

To puste miejsce było jednocześnie hołdem złożonym pamięci Jorge Maury, którego oddalenie i anonimowość Laura postanowiła uszanować, gdyż takie było życzenie jej największej miłości. Czy Basilio mógłby zostać umieszczony w galerii portretów hiszpańskiego uchodźstwa bez swojego towarzysza Maury?

A Vidal? Nie on jeden zniknął z horyzontu.

Malú Block, dyrektorka galerii, powiedziała Laurze, że zauważyła coś dziwnego: codziennie, około szóstej po południu, jakaś kobieta w czerni wchodzi na salę i stoi przed pustą ramą nieobecnego portretu Basilia Baltazara całą godzinę – ni mniej, ni więcej, chociaż nigdy nie patrzy na zegarek.

Stała prawie nieruchomo, czasem tylko przestępowała z nogi na nogę albo odsuwała się o centymetr, albo przekrzywiała głowę, jakby chciała lepiej ocenić wizerunek Basilia, którego tam nie było.

Laura wahała się, czy dać upust normalnej ciekawości, czy też zachować dyskrecję. Pewnego wieczoru weszła do galerii i zobaczyła kobietę w czerni stojącą przed pustą ramą nieobecnego mężczyzny. Nie odważyła się podejść, ale tajemnicza nieznajoma sama odwróciła się, jakby spojrzenie Laury przyciągnęło ją jak magnes, i pokazała twarz; miała około czterdziestu lat, niebieskie oczy i włosy żółte jak piasek.

Spojrzała na Laurę, ale nie uśmiechnęła się i Laura była jej wdzięczna za tę niezmaconą powagę, gdyż obawiała się tego, co mogłaby zobaczyć, gdyby tajemnicza nieznajoma otworzyła usta. Kobieta, przybierając chłodny wyraz twarzy, bez powodzenia starała się ukryć, co czuje, ale w jej oczach widać było wzburzenie. Wiedziała o tym i nie chcąc zdradzić tajemnicy, zacisnęła usta, usiłując z widocznym trudem nie pokazać... zębów? Laura pomyślała: czy ta kobieta chce ukryć przede mną zęby? Tylko po oczach można ją było poznać, Laura Díaz, przyzwyczajona do odgadywania mowy spojrzeń i tłumaczenia ich na metafory, ujrzała w tych oczach migotliwe światło księżyca, pochodnie ze słomy na kijach, ogniska w górach i zatrzymała się, przygryzając dolną wargę, jakby chciała zatrzymać własne wspomnienie, żeby nie pamiętać, że to były słowa Maury, Jorge Maury, wypowiedziane w „Café de Paris”, dwadzieścia lat temu, kiedy wszyscy trzej, on, Gregorio Vidal i Basilio Baltazar, w bezpiecznej atmosferze artystycznej kawiarni na Alei 5 de Mayo, zaledwie otwierali usta, natychmiast tracili dach nad głową i drżeli w straszliwym chłodzie jak hieny i woły, jak wiatr i światła wysoko w górach.

– Nazywam się Laura Díaz. Jestem autorką wystawy. Czym mogę pani służyć?

Kobieta w czerni odwróciła się, by spojrzeć na pusty portret Basilia Baltazara, i powiedziała do Laury: jeśli znasz tego człowieka, uprzedź go, że wróciłam.

W końcu się uśmiechnęła i pokazała czarne, zniszczone zęby.

XXII. Plac Río de Janeiro: 1965

Santiago López-Ayub, wnuk Laury Díaz, wraz ze swoją przyjaciółką Lourdes Alfaro sprowadzili się do domu babki na Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. Mieszkanie było stare, ale przestrzenne. Budynek, relikwia ubiegłego wieku, przeżył nieubłaganą przemianę miasta, które w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, kiedy Laura przyjechała tu świeżo po ślubie, było zabudowane piętrowymi domami w pastelowych kolorach. Teraz stołeczne miasto Meksyk, jak ślepy olbrzym, rozrastało się, depcząc wszystko, co stało na drodze, obracając w proch architekturę francuską z dziewiętnastego wieku, architekturę neoklasyczną z osiemnastego wieku i architekturę barokową z siedemnastego. W wielkim rozrachunku z przeszłością ta przeszłość była tak niszczonej dogłębnie, że ukazały się, pulsujące niby wielka rana straszliwego bólu, zapomnienia i nędzy, fundamenty miasta Azteków.

Laura nie przejęła się impertynencjami swojego hojnego, acz nie bezinteresownego syna Dantona, kiedy odrzuciła jego pomoc i zamieszkała w starym budynku na placu Río de Janeiro, przystosowując mieszkanie do potrzeb swojej pracy. Poza pokojami mieszkalnymi miała teraz ciemnię, archiwum, półki na dokumentację graficzną i po raz pierwszy w życiu – własny pokój, należący tylko do niej, sławny *room of one's own*, którego Virginia Woolf domagała się dla kobiet, aby mogły poczuć się paniami własnej świętej strefy, minimalnego skrawka wolności: niepodległej wyspy.

Sześćdziesięciosiedmioletnia Laura, mimo że od momentu, kiedy w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat opuściła dom rodzinny na Alei Sonora, przyzwyczajona była mieszkać sama i, niezależna od nikogo, miała zawód i środki do życia, była sławna i podziwiana – nie poczuła się zagrożona wobec doświadczanej na nowo młodości, którą wnosili do jej domu Santiago i Lourdes, gdyż od chwili, kiedy trzeci Santiago stanął w drzwiach i powiedział: „babciu, nie mogę dłużej mieszkać z ojcem, a nie mam pieniędzy, żeby żyć i utrzymać narzeczoną”, prace domowe z całą naturalnością zostały podzielone między trzy osoby, rozmowy przy stole wzbogaciły się, co było zrozumiałe, ale niespodziewane, doświadczenia, marzenia i problemy, które niosło wspólne życie, wspaniale się dopełniały.

– Cześć, pozwól, że się przedstawię. Jestem twoim wnukiem Santiago, to jest moja narieczona Lourdes i przyszliśmy cię prosić, żebyś nas przygarnęła – powiedział Santiago, ukazując w uśmiechu zęby, białe i mocne jak u Dantona, ale słodycz i smutek spojrzenia przypominały jego stryja, drugiego Santiago, a elegancja w ruchach, może nawet przesadna, nasuwała skojarzenia z udawanym dandysem, Santiago Starszym, Scarletem Pimperalem rewolucji w Veracruz.

Natomiast Lourdes Alfaro była piękna i skromna, nosiła zwyczajem ówczesnych dziewcząt spodnie i podkoszulki, to z wizerunkiem Che Guevary, to znów Micka Jaggera, miała długie czarne włosy i twarz bez żadnego makijażu. Była drobna i kształtna, i miała – jak mawiał Jorge Maura, cytując *Księżę Dobrej Miłości* Prałata z Hity – „wszelkie przymioty niedużej białogłowy”, kiedy żartował sobie czule z teutońskiej postawy Laury.

Wystarczyła obecność dwojga młodych w domu, aby serce Laury Díaz rozweseliło się i otworzyła ramiona kochankom, którzy mieli prawo do szczęścia teraz, już, nie po dwudziestu latach przemocy i niepowodzeń, jak Laura i Jorge albo jak Basilio i Pilar Méndez, którzy w końcu się połączyli, o czym Jorge i Laura nawet nie mogli marzyć, gdyż trudno się spodziewać, aby los dwa razy odmieniał tragedię w szczęśliwy finał.

Trzeci Santiago i jego narzeczona Lourdes mieli więc w oczach Laury wszelkie prawa świata. Chłopiec, którego ona nie знаła z powodu uporu Dantona i jego aroganckiej żony, znał jednak babkę i podziwiał ją, gdyż sam, jak powiedział, zaczynał studiować prawo i nie odziedziczył talentu ani po babce, ani po swoim stryju Santiago, który zmarł tak młodo...

– Ten obraz z dwojgiem ludzi, którzy na siebie patrzą, to jego?

– Tak.

– Jaki to wielki talent, babciu!

– Tak.

Nie opowiadał o sobie, miał zaledwie dwadzieścia lat, ale któregoś wieczoru Lourdes powiedziała do Laury, kiedy przygotowywały na kolację ryż z szafranem i kurze łapki: Santiago jest bardzo męski, bardzo poważny jak na swój wiek, pani Lauro, nie dał się zastraszyć tym szantażem ze śmiercią. Myślałam w pewnym momencie, że to może być jakimś obciążeniem dla niego, dla jego kariery, a głównie dla jego stosunków z rodzicami, ale gdyby pani widziała, doña Laura, jak zdecydowanie przeciwstawił się rodzicom, a mnie przekonał, że jestem mu potrzebna, że nie jestem mu ciężarem, ale podporą, że mnie szanuje...

Poznali się na jednej ze studenckich zabaw, na które Santiago lubił chodzić bardziej niż na przyjęcia organizowane przez rodziców i ich przyjaciół, gdzie były zapraszane wyłącznie dzieci ze „znanych rodzin”. Tam natomiast padały bariery społeczne i spotykali się koledzy z tych samych wydziałów, niezależnie od majątku czy koligacji rodzinnych, przyprowadzając narzeczone, siostry i od czasu do czasu jakąś ciotkę, starą pannę, gdyż zwyczaj „przyzwoitki” opierał się całkowitej kasacji.

Danton aprobował te spotkania. Prawdziwe przyjaźnie zawiązuje się w szkole i chociaż twoja matka wołałaby, żebyś chodził tylko na spotkania z ludźmi z naszej sfery, jak się tak zastanowić, synu, to ci, którzy nami rządzą, nie pochodzą nigdy z wyższych sfer, są z niższych klas, ewentualnie ze średniej, warto, żebyś ich znał, kiedy ty możesz dać im więcej, bo pewnego dnia, zapewniam cię, to oni dadzą więcej tobie. Według Dantona biedni przyjaciele mogli być dobrą inwestycją.

– Meksyk jest krajem otwartym na talent, Santiago. Nie zapominaj o tym.

Na pierwszym roku prawa Santiago poznał Lourdes. Ona studiowała w szkole pielęgniarskiej i pochodziła z Puerto Escondido, z wybrzeża w stanie Oaxaca, gdzie jej rodzice prowadzili skromny hotel, w którym – jak mu powiedziała – mieli najlepszy *temazcal* w całej okolicy.

– A co to takiego?

– Sauna w aromatycznych ziołach, które oczyszczają z wszelkich toksyn.

– Myślę, że to by mi się przydało. Zaprosisz mnie?

– Kiedy tylko zechcesz.

– Fajnie.

Pojechali razem do Puerto Escondido i zakochali się w sobie nad Pacyfikiem, na zdradliwej plaży, gdzie dno morza wydaje się piaszczyste i łagodne, ale w rzeczywistości noga natychmiast wpada w stromą przepaść i nie ma żadnego oparcia, żeby walczyć z silnym prądem, który porwał Santiago i włókł go, było w tym więcej strachu niż prawdziwego niebezpieczeństwa, ale Lourdes rzuciła się do wody, jednym ramieniem otoczyła szyję chłopca, drugim pomogła mu dopłynąć do brzegu i tam, wycieńczeni, lecz podnieceni, po raz pierwszy się pocałowali.

– Kiedy mi to opowiadasz, drży ci głos – powiedziała Laura do Lourdes.

– Bo się boję, doña Lauro.

– Nie mów do mnie doña, postarzasz mnie.

– Okay, Lauro.

– Czego się boisz?

– Ojciec Santiago jest bardzo twardym człowiekiem, nie toleruje sprzeciwu, jak się nie słucha jego rozkazów, zamienia się w panterę i to jest okropne.

– Ten mały lew nie jest tak straszny, jak go malują. Ryczy i straszy, dopóki ty na niego nie rykniesz i nie przywołasz do porządku.

– Ja tego nie potrafię.

– A ja tak, moja mała. Ja tak. Nie przejmuj się.

Ten nędznik pojechał aż do Puerto Escondido, zazwyczaj wysyła swoich goryli, jeśli chce kogoś nastraszyć, ale tym razem poleciał sam swoim prywatnym samolotem do rodziców Lourdes i powiedział, żeby nie robili sobie nadziei, że to tylko wybryk źle wychowanego, zbuntowanego synalka, żeby wytłumaczyli to swojej córce, żeby jej Santiago nie oszukał, żeby uważała, bo może zrobić jej dziecko i porzucić, zresztą, z dzieckiem czy bez dziecka, i tak ją porzuci.

– Pański syn nam tego nie mówił.

– Ja wam to mówię, bo ja tu rządzę.

– Chcę to usłyszeć od pańskiego syna.

– On nie ma własnego zdania. To rozkojarzone dziecko.

– A jednak.

– Niech pan nie będzie uparty, panie Alfaro. Niech pan nie będzie uparty. Ja nie żartuję. Ile pan chce?

Danton nie potraktował swojego syna jak „rozkojarzone dziecko”. Po prostu przedstawił mu „rzeczywistość”. Santiago był jedynakiem, jego matka nie zaszła ponownie w ciążę, bo mogłaby to przypłacić życiem, syn był więc dla niej jedyną miłością i nadzieją, ale on, Danton, jako ojciec, musiał być surowy i bardziej obiektywny, nie mógł sobie pozwolić na luksus sentymentalizmu.

– Ty odziedziczysz po mnie majątek. To bardzo dobrze, że studiujesz prawo, chociaż doradzałbym ci studia podyplomowe z administracji i zarządzania w Stanach Zjednoczonych. To normalne, że ojciec chce powierzyć synowi zapewnienie ciągłości w interesach, i jestem pewien, że ty mnie nie zawiedziesz. Mnie i twojej matki, która cię uwielbia.

Piękność tej kobiety była ulotna, „niby rosa”, jak zwykła mówić o sobie samej Magdalena Ayub de López-Díaz. Aż po wiek dojrzały zachowała tę interesującą twarz, która tak pociągała Dantona podczas niedzielnych wizyt w Klubie Jeździeckim. Pozorne defekty – zrosnięte brwi, wydatny nos, kwadratowa szczeka – były ciekawym kontrastem dla jej oczu arabskiej księżniczki, aksamitnych i rozmarzonych, wymownie spoglądających spod natłuszczonych powiek, podniecających jak ukryty seks. Natomiast większość pańnek do wzięcia w tamtych czasach, pańnek ładnych, ale zbyt „cnotliwych”, kiedy wychodziła ze szkoły prowadzonej przez zakonnice, zachowywała się tak, jakby im w pewnej sekretnej części ciała wypisano *nihil obstat* i nadano temu publiczną kategorię „twarzy”. Twarze tych miłych, ale mdłych dziewcząt kończących Gimnazjum Francuskie Najświętszego Serca Jezusowego, nazywanych rasowymi klaczami – *yeguas finas* – co było przewrotną pochodną od *jeunes filies*, wyrażały mniej więcej tyle co kolano, łokieć czy kostka u nogi. Młody Danton żartował, że ich rysy mogłyby się do czegoś przydać, gdyby się nie rozmyły.

Magdalena Ayub, „moje marzenie”, jak nazywał ją Danton, kiedy ją uwodził, była inna. Poza tym była matką trzeciego Santiago, którego narodziny zatarły nagle i ostatecznie resztki młodzieńczego wdzięku żony Dantona, przybitej orzeczeniem lekarzy: następnego dziecka pani nie przeżyje. Zachowała, owszem, gęste brwi i zyskała ponadto szerokie biodra.

Santiago wychowywał się z tym stygmatem: mogłem zabić moją matkę przy narodzinach i odebrałem możliwość życia memu ewentualnemu rodzeństwu, ale Danton to poczucie winy zamieniał na obowiązek. Santiago, jako jedynak, przez to, że otrzymując życie, o mało co nie odebrał życia matce, teraz, po skończeniu dwudziestu lat, miał pewne obowiązki, oczywiste i

normalne. Danton nie wymagał nic nadzwyczajnego – syn miał studiować, zdobyć dyplom, ożenić się z dziewczyną ze swojej sfery, pomnażać fortunę, dbać o przedłużenie gatunku.

– I zapewnić mi spokojną, pogodną starość, synu. Myślę, że na to zasługuję po tylu latach pracy.

Mówiąc to, trzymał jedną rękę w kieszeni dwurzędowego granatowego garnituru w prążki, a drugą gładził się po klapie. Jego twarz była jak jego garnitur: zapięta na guziki, dwurzędowa, z niebieskawym odcieniem jeszcze czarnych wąsów, brwi i włosów. Cały ten mężczyzna był w kolorze granatowej nocy. Nigdy nie spoglądał na buty. Nie było potrzeby. Musiały błyszczeć.

Trzeci Santiago nie kwestionował drogi wytyczonej mu przez ojca, do czasu gdy zakochał się w Lourdes i Danton zareagował na to tak brutalnie i bez klasy. Od tego momentu syn zaczął, bez chęci osądzania, szukać w ojcu, którego kochał i któremu był wdzięczny za to, co od niego dostawał – miesięczną pensję, czterodrzwiowego renaulta, świeżo wprowadzoną kartę American Express (choć z limitem wydatków), możliwość szycia garniturów u Macazagui (choć Santiago wolał skórzane kurtki i dżinsy) – powodów, postaw, usprawiedliwień, wyrażających się naznaczonymi fatalizmem konkluzjami w rodzaju: „taki jest ten świat”; wszystko to razem sprawiło, że ten człowiek, niezbitcie pewien swoich racji moralnych i pozycji finansowej, mógł w zadufaniu powiedzieć synowi: „będziesz szedł moją drogą”, a narzeczonej swego syna: „jesteś tylko kamykiem na drodze, usuń się albo ja cię usunę kopniakiem”.

Santiago był oburzony zachowaniem ojca. Najpierw wpadł w gniew, ale później zaczął rozmyślać nad sprawami, które nigdy wcześniej nie przyszyłyby mu do głowy. Chłopak zdał sobie sprawę ze swoich własnych racji moralnych i jednocześnie zdał sobie sprawę, że Lourdes też zdaje sobie z tego sprawę; nie pójdą razem do łóżka, dopóki się sytuacja nie wyjaśni, nie będą nikogo szantażować: ani dzieckiem z przypadku, ani uprawianiem seksu z czystej prowokacji. Santiago zaczął się zastanawiać: kim jest mój ojciec, jak on to robi, że ma taką pewność siebie i tę absolutną władzę nad innymi?

Powiedział do Lourdes: przechytzymy go, kochanie, nie będziemy widywać się codziennie, tylko w piątki, i to w tajemnicy, żeby stary nie wywąchał.

Santiago powiedział Dantonowi, że dobrze, będzie studiował prawo, ale chciałby mieć praktykę w biurach swojego ojca. Satysfakcja zaślepiła Dantona. Nie wyobrażał sobie żadnego niebezpieczeństwa w przyjęciu własnego syna do Połączonego Biura Stowarzyszenia Agentów (PBSA), błyszczącego budynku ze szkła i nierdzewnej stali na Paseo de la Reforma, niedaleko statuy Kolumba i pomnika ku czci Rewolucji. To tu znajdował się dom w paryskim stylu z mansardami i spadzistym dachem, jakby przygotowanym na opady śniegu, należący do starego arystokraty z epoki Porfiria Diaza, Nalgona del Rósala, którego ulubiony dowcip polegał na zjadaniu własnego monokla (z żelatyny) na wieczorach u Carmen Cortiny. Ale Paseo de la Reforma, ulica wytyczona przez cesarżową Carióte i mająca łączyć jej rezydencję w zamku Chapultepec z centrum miasta, a pomyślana przez małżonkę Maksymiliana jako kopia Avenue Louise z jej rodzinnej Brukseli, teraz, pełna wieżowców, parkingów i kiosków z *fast-food*, coraz bardziej upodabniała się do ulic z Houston albo Dallas.

Tam Santiago będzie nabierał rutyny, niech przejdzie wszystkie piętra, niech pozna wszystkie sprawy, jest synem właściciela...

Zaprzyjaźnił się z archiwistą, miłośnikiem korridy, zdobywając dla niego bilety na sezon walk byków, gdzie w tym roku królowali Joselito Huerta i Manuel Capetillo. Zaprzyjaźnił się z telefonistkami, udostępniając im wejściówki do Studium Filmowego Churubusco, gdzie kręcono film z Libertad Lamarque, tą samą argentyńską aktorką, specjalistką od tang, która w kinach Cuernavaki wyciskała sentymentalne łzy z oczu Harry'ego Jaffe.

Kim była niejaka panna Artemisa, która codziennie wydzwaniała do don Dantona, dlaczego traktowano ją niezwykle uprzejmie, kiedy Santiago nie było w pobliżu, i dlaczego

mówiono szeptem, kiedy syn szefa nadchodził? Do kogoż to jego ojciec mówił przez telefon z takim szacunkiem, niemal poniżającym: tak, proszę pana, do usług, proszę pana, jak pan sobie *życzy*, podczas gdy zupełnie innym tonem sam wydawał rozkazy szybkie, nie znoszące dyskusji, bez owijania w bawełną: potrzebuję tego natychmiast, Gutierritos, a pan nic nie robi, tylko drapie się w jaja, Fonseca, co tam się dzieje, przylepił się pan do prześcieradła czy co, czekam tylko piętnaście sekund, a potem niech pan się rozgląda za nową pracą, a jeszcze innym tonem groził twardo: jeśli panu zależy na żonie i dzieciach, radzę zrobić to, co mówię, ja nie wydaję panu rozkazów, wydaję polecenie, gońcom wydaje się polecenia, i niech pan pamięta, Reynoso, że papiery są w moich rękach i wystarczy, że je wyślę do „Excelsiora”, żeby to opublikowali, i wpadnie pan w lepsze gównno.

– Jak pan sobie *życzy*, proszę pana.

– Niech pan mi przyniesie te dokumenty, ale już. I nie wpięprzaj się, gdzie nie trzeba, bo któregoś dnia obudzisz się z obciętym językiem i jajami wepchniętymi do gardła.

Santiago w tym czasie, kiedy penetrował dominium ojca, ten labirynt ze szkła i metalu, szukał czule i zachłannie – dwa słowa odnoszące się do pożądania, ale także i do miłości – bliskości Lourdes. Trzymali się za ręce w kinie, patrzyli sobie głęboko w oczy w kawiarni, całowali się w samochodzie Santiago, dotykali się w ciemności, ale z pożyciem czekali na moment, kiedy będą mieszkać razem. Oboje byli co do tego zgodni, chociaż czasami wydawało się to dziwne, a nawet śmieszne jemu albo jej, albo obojgu naraz. To ich łączyło. Podniecało ich czekanie na akt miłosny. Igranie z wyobraźnią.

Kim była panna Artemisa?

Miała głos niski, ale przesłodzony, i jeszcze to podkreślała, mówiąc przez telefon do Dantona: „Temisia kocha swojego misia, kocha swojego tutelka”. Santiago pękał ze śmiechu, kiedy bezprawnie podsłuchiwał tę lukrowaną rozmowę z drugiego aparatu ojca, ale zaśmiewał się jeszcze bardziej, kiedy poważny don Danton mówił do swojego cukierka: „co mi powie mój głuptasek, co mi powie mój świntuszek, co takiego zjadła moja Temisia, że jej pyszczek pachnie jak trąba misia?” „To dlatego, że jem słodką marchewkę w każdy czwartek”, odpowiedział ochryply, zawodowo czuły głos. Lourdes, powiedział Santiago do narzeczonej, robi się wesoło, musimy się dowiedzieć, kim jest ta Artemisa czy Temisia i czym to naprawdę pachnie, słowo daję, ten mój szef robi numery! Nie pomyślał, żeby donieść o tym odstawionej na boczny tor doñi Magdalenie, nie był purytaninem, ale: jestem ciekawy, Lourdes, i ja też, roześmiała się bezwstydnie świadoma rzeczy dziewczyna, kiedy w któryś czwartek wieczorem czekali oboje na wyjście ojca z biura, obserwując, jak Danton sam, bez kierowcy, wsiada do nie wyróżniającego się zbytnio chevroleta i jedzie na ulicę Darwina w dzielnicy Nueva Anzures; pojechali za nim wynajętym dla niepoznaki fordem.

Danton zatrzymał wóz i wszedł do budynku ozdobionego u drzwi gipsowymi statuetkami Wenus i Apolla. Drzwi się zamknęły i zapanowała atmosfera tajemnicy. Po chwili rozległy się śmiechy i dźwięki muzyki. Światła kapryśnie to zapalały się, to gasły.

Wybrali się tam znowu któregoś dnia rano, kiedy ogrodnik przycinał krzaki przy bramie, a służąca odkurzała erotyczne statuetki. Drzwi wejściowe były uchylone. Lourdes i Santiago dostrzegli zwyczajny drobnomieszczański salon z fotelami obitymi brokatem i wazonami pełnymi kalii, marmurowe posadzki i schody jak z meksykańskiego filmu.

Na szczycie schodów natychmiast pojawił się młody człowiek o aroganckim wyrazie twarzy, z krótko obciętymi włosami, w jedwabnym szlafroku, z fontaziem na szyi, i ekstrawaganckim gestem zaczął zakładać białe rękawiczki.

– Czego szukacie? – zapytał; wygięta i wyskubana brew kontrastowała z ochryplym głosem. – Kim jesteście?

– Przepraszamy, pomyliliśmy adres – powiedziała Lourdes.

– Chamstwo mruknął mężczyzna w rękawiczkach.

Przypuszczam, że możesz wejść, powiedział do Santiago archiwista z PBSA. To syn właściciela, proszę go wpuścić.

Każdego wieczoru, kiedy ojciec przedłużał swoje obiady w restauracjach Focolare, Rivoli czy Ambassadeurs, Santiago przeglądał skrupulatnie dokumenty firmy, filtrując je jak przez sito, w którym odraza i miłość łączyły się boleśnie, mimo wszystko, bo młody student prawa powtarzał bez przerwy: to mój ojciec, za te pieniądze żyłem do tej pory, one dały mi wykształcenie, z tych interesów mamy sufit i podłogę w naszym domu, dzięki interesom ojca mam ostatni model renaulta...

– Będziemy się zachowywać jak kochankowie, którzy chcą zachować swój związek w tajemnicy – powiedział Santiago do Lourdes. – Przypuśćmy, że nie chcemy być widziani.

– Nigdy więcej?

– Tylko teraz, kochanie. Nie, mówię poważnie. Gdzie byśmy poszli, gdybyśmy nie chcieli być widziani?

– Santiago, nie wygłupiaj się. Lepiej jedź za wozem ojca – roześmiała się.

„Chez Soi”, lokal w Alei Insurgentes, był przestronny, ale ciemny. Stoły rozmieszczono daleko od siebie, nie było górnego światła, każdy stolik miał malutką niską lampkę, panował mrok. Serwety, na styl francuski, były w biało-czerwonej kratkę.

Lourdes i Santiago śledzili Dantona przez trzy tygodnie i widzieli, jak przyjeżdżał tu w każdy wtorek punktualnie o dziewiątej wieczorem. Ale wchodził i wychodził sam.

Pewnego wieczoru Santiago i Lourdes przyjechali o ósmej trzydzieści, usiedli i poprosili o coca-colę z rumem. Francuski kelner spojrział na nich lekceważąco. Wszystkie stoliki zajęte były przez pary, tylko przy jednym siedziała kobieta z zuchwałym dekoltem, demonstrując z dumą połowę piersi. Podniosła ramię, żeby poprawić sobie bujną rudawą grzywę włosów, pokazała, też z dumą, idealnie wygolone pachy, wyciągnęła puderniczkę i poprawiła makijaż na grubo pokrytej pudrem twarzy, wokół wyskubanych rzęs; spojrzenie miała aroganckie, a usta nadmiernie wydatne, jak u podupadłej Joan Crawford. Zwracało uwagę, że wszystko to robiła, nie zdejmując białych rękawiczek.

Danton wszedł, pocałował ją w usta i usiadł przy niej. Lourdes i Santiago już zapłacili rachunek i stali w ciemnym kącie. Tego wieczoru młodzi pojechali renaultem w kierunku wybrzeża w stanie Oaxaca. Santiago prowadził całą noc bez słowa, przytomnie pokonując niezliczone zakręty na wijącej się szosie z Meksyku do Oaxaki i Puerto Escondido. Lourdes spała oparta o ramię narzeczonego. Przed oczami Santiago przesuwały się ciemne formy pejzażu, wielkie grzbiety gór, na przemian dzikie i tryskające zielenią fragmenty tego kraju pełnego kontrastów, sosnowe lasy i gliniaste pustynie, bazaltowe mury i ośnieżone szczyty, olbrzymie kaktusy w kształcie organów, niespodziewana burza kwiatów *jacarandy*. Wyludnione tereny, bez osad, bez domów. Kraj w fazie tworzenia, który uparł się, żeby na początek zburzyć wszystko doszczętnie.

O ósmej rano dojechali nad morze, na plaży nie było nikogo. Lourdes obudziła się i krzyknęła z radości, to najpiękniejsza plaża na wybrzeżu, powiedziała, rozebrała się, żeby wejść do wody, Santiago również zrzucił ubranie, nadzy weszli razem do morza, Pacyfik był ich pościelą, pocałunek był głębszy niż zielone, spokojne wody oceanu, poczuli, jak ich ciała unoszą się nad piaszczystym dnem, podniecone słonym naciskiem fal, Lourdes poczuła, że jego członek dotyka jej sromu, uniosła więc nogi i owinęła mu je wokół pasa, Santiago, obejmując ją ramionami, wszedł w nią w wodzie, uderzał mocno o podbrzusze Lourdes, żeby miała zewnętrzne doznania, co lubią kobiety, a sam odczuwał rozkosz bycia tam, wewnątrz, co lubią mężczyźni, i szczytowali, i obmyli się, i wystraszyli stado mew.

Musisz poznać jak najprędzej reguły gry – powiedział Danton do Santiago, kiedy ten zaczął pracować w ZBSA u jego boku. – Ci, co chcą się wywindować, zapisując się do PRI, zadowolą się byle czym. Mają rację. Są jak przyprawa do każdego sosu. Biorą, co im się daje. Dziś są wyższymi oficerami, jutro sekretarzami stanu, pojutrze zarządcami dróg i mostów.

Nieważne. Muszą przełknąć wszystko. Dyscyplina popłaca. Albo nie popłaca. Ale oni nie mają alternatywy. Tu jednak zaczyna się już wspólny kodeks postępowania dla tych, którzy się pną, i takich jak my, którzy są na górze. Nigdy nie rób sobie wroga z kogoś, kto ma władzę albo może ją mieć. Jeśli ma dojść do starć, to na poważnie, nie po to tylko, żeby utrzyć komuś nosa. Nie bełtaj wody. Ten kraj posuwa się do przodu tylko w sargasowym morzu. Im na oceanie większa cisza, tym większe mamy złudzenie postępu. To nasza tajemnica i paradoks, oczywiście. Nie mów nigdy publicznie niczego, co byłoby kontrowersyjne. Tu nie ma problemów. Meksyk rozwija się w atmosferze pokoju. Istnieje jedność narodowa, i każdy wichryciel, który zburzy spokój, drogo za to zapłaci. Przeżywamy cud meksykański, chcemy czegoś więcej niż po jednym kurczaku do garnka, jak to mówią Amerykanie. Chcemy pełnej lodówki w każdym domu i najlepiej, żeby zapełniały ją produkty z supermarketów twojego dziadka, don Aspiryny, niech Bóg ma go w swojej opiece, którego przekonałem, że opłaca się handel na wielką skalę. Ach, ten don Aspiryna, on miał naprawdę duszę sklepikarza.

Nalał sobie na dwa palce chivas regal do ciężkiej kryształowej szklanki, pociągnął łyk i mówił dalej:

– Ja cię dobrze ustawię, Santiago, nie obawiaj się. Trzeba wcześniej zacząć, ale najtrudniej jest przetrwać. Politycy, jak wiesz, wcześniej zaczynają, ale, z małymi wyjątkami, wcześniej się kończą. My, biznesmeni, wcześniej zaczynamy, ale trwamy całe życie. Nikt nas nie wybiera i dopóki nie występujemy publicznie, nikt nas nie widzi ani nie krytykuje. Ty nie musisz zwracać na siebie uwagi. Reklama i robienie szumu wokół własnej osoby są w naszym systemie formą buntu. Zapomnij o tym. Nigdy nie wyrwij się z niczym, czego byś potem żałował. Zachowaj swoje myśli wyłącznie dla siebie. Żeby nie było świadków.

Santiago wziął kieliszek, który podał mu ojciec, i wypił jednym haustem.

– To mi się podoba – rzekł, śmiejąc się, Danton. – Masz wszystko. Bądź dyskretny. Nie wychylaj się. Próbuje wszystkiego, ale wybieraj to, co dobre, szykuj się na wielką rozgrywkę przy wyborze nowego prezesa. Lojalność nie jest ważna, za to uczynność tak. Wykorzystaj pierwsze trzy lata sześciolletniej kadencji na zrobienie pieniędzy. Potem przychodzą załamania, szaleństwo, marzenia o ponownej elekcji albo o Nagrodzie Nobla. I prezesom zaczyna odbijać szajba. Trzeba się ułożyć z następcą. Bo chociaż wybiera go urzędujący prezes, kiedy już się dorwie do stołka, nie zostawi suchej nitki na poprzedniku, który go wybrał, ani na jego rodzinie i kolegach. Żegluj w ciszy, Santiago. My stanowimy milczącą ciągłość. Tamci robią dużo hałasu, ale mogą też narobić dużo szkody, czemu nie.

Żeby zaprosił na bal pannę X, a na kolację pannę Y. Ojciec panny Z jest wspólnikiem don Dantona i ma skromną fortunę pięćdziesięciu milionów dolarów, ale ojciec Loli Parada ma dwieście milionów i wprawdzie jest trudniejszy do manipulowania niż wspólnik, ale uwielbia swoją córkę i oddałby jej wszystko, co tylko...

– Wszystko? – powiedział Santiago do ojca – co ty rozumiesz przez wszystko? Do diabła, zapominasz o własnych radach, żałosny ojczulku, zostawiasz zbyt wiele dokumentów, chociaż ich tak dobrze strzeżesz, twoje archiwa są pełne dowodów, które zbierałeś, żeby móc szantażować nawet tych, którzy ci wyświadczali przysługi, i odświeżyć pamięć tych, którym ty jesteś winien przysługę, w obu przypadkach jest to korupcja, stary ośle, nie patrz tak na mnie, nie będę się mitygował, do kurwy nędzy, mam fotokopie wszystkich twoich brudnych interesów, znam na pamięć każdą łapówkę, którą dostałeś z Sekretariatu Stanu za prowadzenie spraw publicznych, jakby to były sprawy prywatne, każdą prowizję, jaką dostałeś za pośrednictwo i rolę podstawionego człowieka przy nielegalnej sprzedaży terenów w Acapulco, każdy czek, który otrzymałeś od inwestorów amerykańskich za to, że służyłeś im za przykrywkę przy transakcjach niedozwolonych dla cudzoziemców, każdego peso, którego ci dali, żebyś wziął na siebie odpowiedzialność za przejęcie wyludnionych terenów komunalnych, nawet za cenę mordowania chłopów, żeby jeden z prezesów i jego wspólnicy

mogli tam rozwijać turystykę, znam przypadki śmierci liderów niezależnych związków zawodowych i potulnych przywódców chłopskich, za to wszystko ci zapłacili i ty wszystkim płaciłeś, mój ojciec, skurwysynu, w całym twoim zasranym życiu nie zrobiłeś niczego legalnie, żyjesz z systemu i system żyje z ciebie, oskarżają cię dowody, bo ich potrzebujesz, żeby oskarżyć tych, którym ty służyłeś i którzy tobie służyli, ale tajemnica się skończyła, stary capie, mam kopie wszystkiego, nie martw się, nie dam tego do prasy, co przez to zyskam? słowa nie powiem, chyba że tobie jeszcze bardziej odbije i zechcesz mnie sprzątnąć, to uważaj, w takim przypadku już wydałem dyspozycje, żeby to ujrzało światło dzienne, ale nie tutaj, gdzie oplądasz dziennikarzy, gówniany łapówkarzu, tylko w Stanach Zjednoczonych, to cię zabolą, to cię zrujnuje, nędzniku, bo pierzesz brudne pieniądze amerykańskim i meksykańskim kryminalistom, bo gwałcisz święte prawa świętej demokracji amerykańskiej, przekupujesz ich urzędników bankowych, wysyłasz prezenciki ich kongresmanom, idź do diabła, stary, słowo daję, że cię podziwiam, nawet stworzyłeś swoje małe osobiste lobby w Waszyngtonie, jesteś lepszy niż Willy Mays, pociągasz wszystkie sznurki, słowo daję, że bardziej niż tobą gardzę całym tym pieprzonym systemem, w którego tworzeniu miałeś swój udział, wszyscy jesteście zepsuci od stóp do głów, od prezydenta do ostatniego żandarma cuchniecie bardziej niż kupa wyschniętego gówna, które już od czterdziestu lat dzielicie między siebie i które nas wszystkich żywi, do diabła z tobą, Dantonie López-Díaz, do wszystkich diabłów! Nie chcę jeść gówna, nie chcę od ciebie ani grosza, nigdy w życiu nie chcę oglądać twojego świńskiego ryja ani żadnego twojego współnika, ani żadnego lidera CT, ani odkupicieli z CNC, ani bankierów uratowanych przez rząd od ruiny, ani jednego... szlag mnie trafia, od tej pory będę walczył z wami wszystkimi i jeśli stanie mi się coś złego, to tobie, drogi ojczulku, stanie się coś znacznie gorszego.

Santiago rzucił kopie dokumentów w twarz ojcu, który stał niemy, rozdygotany, odruchowo dotykając ze sztywniały mi palcami dzwonek alarmowego, ale w końcu niezdolny do jakiegokolwiek reakcji, brutalnie zamieniony w impotentą, co właśnie było zamiarem jego syna.

– Pamiętaj. Każdy z tych dokumentów ma kopię. W Meksyku. W Stanach Zjednoczonych. W bezpiecznym miejscu. Broń mnie, tato, bo ty nie masz do obrony nikogo poza twoim wyrodnym synem. Niech to wszyscy diabli!

I Santiago objął ojca, przytulił się do niego i powiedział mu do ucha: Kocham cię, stary, ty wiesz, że mimo wszystko Kocham cię, stary capie.

Laura Díaz siedziała na honorowym miejscu przy stole w Wigilię tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. Ona w środku, a po dwie osoby z każdej jej strony. Czuli się pewni siebie, jakby dowartościowana symetrią miłości pomiędzy wnukami i przyjaciółmi. Już nie była sama. Siedzący po prawej stronie Santiago i jego narzeczona Lourdes oznajmili jej, że biorą ślub w ostatni dzień roku, ona w lipcu spodziewała się dziecka, on poszuka pracy, ale do tej pory...

– Nie – przerwała Laura. – To jest twój dom, Santiago. Ty i twoja żona zostaniecie tutaj i osłodzić moje stare lata...

Obecność trzeciego Santiago w domu odczuwała tak, jakby miała przy sobie jednocześnie tamtych dwóch, Starszego i Młodszy, brata i syna. Niech im się urodzi dziecko, niech Santiago skończy studia. Dla niej dom pełen miłości i gwaru był jedną wielką fiestą...

– Twój stryj Santiago nigdy nie zamykał drzwi do swojej sypialni.

Wypełnić dom szczęśliwą miłością. Laura chciała chronić tę piękną młodą parę od samego początku być może dlatego, że po jej lewej stronie przy wigilijnym stole siedziało tamtych dwoje, którzy czekali trzydzieści lat, żeby być razem i odnaleźć szczęście.

Basilio Baltazar posiadał, ale zachował swój piękny, cygański profil z czasów młodości. Natomiast twarz Pilar Méndez była zniszczona przez życie pełne nieszczęść i niedostatku. Nie

chodzi o niedostatki fizyczne, nie cierpiała głodu, ona była spustoszona wewnętrznie, na jej twarzy odbijały się tylko wątpliwości, rozdarta lojalność, nieustająca konieczność wyboru, łagodzenia miłością ran zadanych przez okrucieństwo rodziców, towarzyszy spisku, i – to też – przez własną wyobraźnię. Kobieta o jasnych popielatych włosach i zniszczonych zębach, jeszcze piękna, o wspaniałym iberyjskim profilu, o twarzy, która niby mapa Hiszpanii stanowiła mieszaninę wszystkich wpływów, arabskich i gockich, żydowskich i rzymskich – wlokła za sobą także twarde słowa, wypowiedziane uroczyście jak w starożytnej tragedii na tle klasycznej scenografii rzymskiej bramy w Santa Fe.

– Prawdziwa wierność polega na odmowie wykonania niesłusznym rozkazów.

– Uratuj ją w imię honoru.

– Miej litość.

– Niebo pełne jest kłamstw.

– Umieram, żeby moi rodzice wiecznie się nienawidzili.

– Ona musi umrzeć w imię sprawiedliwości.

– Jaka część bólu nie pochodzi od Boga?

Laura powiedziała do Pilar, że Santiago i Lourdes mają prawo usłyszeć od niej, co zdarzyło się w Santa Fe w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku.

– To taka stara historia – powiedziała Pilar.

– Każda historia powtarza się w naszych czasach. – Laura pogłaskała Hiszpankę po rękę. Ja ci to mówię.

Pilar powiedziała, że wtedy, w obliczu śmierci, nie poskarżyła się ani słowem i nie zrobi tego teraz. Skarga tylko wzmacnia ból, który staje się nie do zniesienia.

– Myśleliśmy, że ona została rozstrzelana wtedy o świcie pod murami miasta – powiedział Basilio. – Wierzyliśmy w to przez trzydzieści lat.

– Dlaczego w to wierzyliście?

– Bo tak nam powiedział twój ojciec. Był jednym z nas, był komunistycznym alkaadem w Santa Fe, oczywiście, że mu wierzyliśmy.

– Najlepsze, co się może zdarzyć człowiekowi, to anonimowa śmierć – powiedziała Pilar, patrząc na młodego Santiago.

– Dlaczego, proszę pani?

– Bo jeśli cię znają, Santiago, musisz usprawiedliwiać jednych, a oskarżać drugich, i w końcu zdradzasz i jednych, i drugich.

Basilio chciał powiedzieć młodym to, co już opowiedział Laurze, kiedy poprosił o urlop i jak na skrzydłach przyleciał do Meksyku, żeby zobaczyć się ze swoją żoną, swoją Pilar. Don Alvaro Méndez, ojciec Pilar, sfingował egzekucję córki tamtego dnia o świcie i ukrył ją w zrujnowanym domu w górach Gredos, gdzie do końca wojny niczego jej nie brakowało; właściciele sąsiedniego gospodarstwa byli bezstronni i zaprzyjaźnieni zarówno z don Alvarem, jak i z doña Klemencją. Nie zdradziliby nikogo. A jednak ojciec Pilar nie powiedział nic swojej żonie. Matka dziewczyny trwała w przekonaniu, że jej córka była męczennicą Sprawy. Ogłosiła to, kiedy Franco zwyciężył. Don Alvaro został rozstrzelany w tym samym miejscu, gdzie miała zginąć Pilar. Matka stworzyła kult swojej córki męczennicy, poświęciła ziemię, na którą miała upaść, ciało nigdy nie zostało znalezione, bo czerwoni na pewno wrzucili je do wspólnej fosy...

Pilar Méndez, bohaterka, męczennica zamordowana przez czerwonych, weszła do kanonu świętych Falangi, a prawdziwa Pilar, ukryta w górach, nie mogła się ujawnić, żyła w odosobnieniu, rozdarta pomiędzy chęcią ujawnienia się i powiedzenia prawdy a dalszym ukrywaniem się dla podtrzymania mitu, a także przekonana – zwłaszcza kiedy dowiedziała się o śmierci ojca – że cała historia Hiszpanii jest smutna i wszystko zawsze źle się kończy. Było lepiej pozostawać w ukryciu, strzegąc wiernej pamięci ojca i świętej hipokryzji matki. Przywykła do życia z dala od ludzi, pod litościwą opieką zaprzyjaźnionych z rodzicami

sąsiadów, a potem, kiedy ci poczuli się zagrożeni frankistowskimi aktami zemsty, znalazła schronienie w klasztorze dobroczynnych karmelitanek bosych, zakonie ufundowanym przez świętą Teresę z Avili. Tam Pilar Méndez, otoczona chrześcijańskim miłosierdziem sióstr, starając się wraz z nimi przestrzegać zakonnych reguł, doznała zbawiennego wpływu zwyczajowej dyscypliny, której przejawami było życie w ubóstwie, wełniany habit, proste sandały, niejedzenie mięsa, sprzątanie, szycie, modlitwy i czytanie, gdyż święta Teresa powiedziała, że dla niej nie ma nic bardziej okropnego niż „głupia zakonnica”.

Mniszki szybko odkryły przydatność Pilar, która umiała czytać i pisać, i oddano w jej ręce książki świętej Teresy. W miarę upływu czasu Pilar była do tego stopnia kojarzona z zakonem (nawet przez pewną szorstkość w obcowaniu, która przypominała świętą Fundatorkę, tę „błądną niewiastę”, jak nazywał świętą Teresę król Filip II), że władze nie sprzeciwiły się, kiedy matka przełożona poprosiła o list żelazny dla pokornej i pracowitej służki zakonnej, Urszuli Sánchez, która chciałaby odwiedzić krewnych we Francji, lecz nie posiada dokumentów, gdyż komuniści spalili archiwa w jej rodzinnej wiosce.

– Wyjechałam prawie ślepa, ale z tak żywą pamięcią przeszłości, że w Paryżu z łatwością przypominałam sobie i postanowiłam odzyskać to, co mogło być moim przeznaczeniem, gdybym nie spędziła tak wielu lat w wioskach z niedobrą wodą, gdzie rzeki spływające z gór są białe od wapna. Zakonnice poleciły mnie terezjankom w Paryżu, zaczęłam spacerować po bulwarach, wróciły mi kobiece upodobania, pragnęłam eleganckich ubrań, miałam trzydzieści cztery lata, chciałam być piękna i szykowna, znalazłam przyjaciół wśród dyplomatów, dostałam pracę w Ośrodku Meksykańskim w Miasteczku Uniwersyteckim, poznałam bogatego Meksykanina, którego syn tam studiował, uwikłaliśmy się w romans, przywiózł mnie do Meksyku, był zazdrosny, ostatnio mieszkałam zamknięta w tropikalnej klatce w Acapulco pełnej papug, obsypał mnie klejnotami, zrozumiałam, że całe życie mieszkałam w klatkach, w klatce wsi, klasztoru, a wreszcie złota, ale zawsze byłam uwięziona, przede wszystkim przez samą siebie, najpierw żeby nie wydać ojca, potem żeby nie odebrać od razu matce satysfakcjonującego żalu, jak też świętości, którą mi przypisała, sądząc, że nie żyję, bo sama chciała poczuć się świętą. Zbyt przywykłam do życia w ukryciu, w cudzym przebraniu, i dlatego nie umiałam przerwać milczenia, które narzucili mi rodzice, wojna, Hiszpania, chłopci, jacy się mną opiekowali, zakonnice, które dały mi schronienie, Meksykanin, który przywiózł mnie na kontynent amerykański.

Przerwała na chwilę, otoczona uważnym milczeniem wszystkich obecnych. Świat uważał, że została złożona w ofierze. Ona musiała poświęcić się dla świata. Jaką część naszego bólu zadają nam inni, a jaką my sami sobie?

Popatrzyła na Basilia. Wzięła go za rękę.

– Zawsze ciebie kochałam. Sądziłam, że moja śmierć utrwali naszą miłość. Sądziłam w zadufaniu, że najlepsze, co może się zdarzyć człowiekowi, to anonimowa śmierć. Jak mogłam podeptać to, co miałam najpiękniejszego w życiu, twoją miłość i braterstwo Jorge Maury i Gregoria Vidala, którzy gotowi byli umrzeć razem ze mną?

– Pamiętasz? – przerwał jej Basilio. – My, Hiszpanie, jesteśmy brytanami śmierci. Wywęszymy ją i nie odstępimy na krok, póki sami nie zginiemy.

– Oddałabym wszystko, żeby odwrócić czas – powiedziała Pilar ze smutkiem. – Wolałam moją głupią ideologię polityczną niż oddanie trzech cudownych mężczyzn. Oby mi przebaczyli.

– Gwałt zwykle rodzi gwałt – zauważyła z uśmiechem Laura – na szczęście z miłością jest tak samo. Zwykle wychodzimy na zero.

Wzięła rękę Lourdes, siedzącej po prawej stronie, i Pilar, siedzącej po lewej.

– Toteż kiedy przeczytałam o wystawie fotografii hiszpańskiego uchodźstwa, przyleciałam samolotem z Acapulco i znalazłam pustą ramę portretu Basilia.

Spojrzała na Laurę.

– Gdybym ciebie tam nie spotkała, nie byłoby nas tutaj.
– Kiedy pani zawiadomiła swojego meksykańskiego przyjaciela, że już do niego nie wróci? – zapytał Santiago.

– Jak tylko zobaczyłam pustą ramę.

– To było odważne z pani strony. Basilio mógł przecież nie żyć.

– Nie – odparła Pilar. – Przy każdym portrecie umieszczono datę urodzenia i śmierci, jeśli dana osoba nie żyła. Tutaj tego nie było. Więc wiedziałam. Przepraszam.

Młodzi prawie się nie odzywali. Słuchali z wielką uwagą historii Pilar i Basilia. Jednak Santiago wymienił serdeczne spojrzenie z babką i w oczach Laury Díaz w to Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego znalazł coś cudownego, coś, o czym chciał porozmawiać później z Lourdes. Laura obejmowała tym spojrzeniem wszystkich obecnych, ale też otwierała się na nich, oddawała im głos, zapraszała, żeby przyjrzeni się sobie, rozszyfrowali nawzajem i poprzez miłość dotarli do siebie.

Była punktem ciężkości na świecie.

Laura Díaz nauczyła się kochać bez potrzeby wyjaśnień, bo nauczyła się widzieć ludzi okiem kamery i swoim własnym tak, jak być może oni sami nigdy się nie widzieli.

Po kolacji przeczytała im krótkie życzenia od Jorge Maury, przysłane z Lanzarote. Laura nie mogła się oprzeć pokusie i wysłała mu wiadomość o cudownym i nieoczekiwanym spotkaniu Pilar Méndez i Basilia Baltazara.

Kartka od Maury zawierała tylko pytanie: „Jaka część szczęścia nie pochodzi od Boga?”

W noc sylwestrową Lourdes Alfaro i Santiago López-Díaz zawarli małżeństwo. Świadkami byli Laura Díaz, Pilar Méndez i Basilio Baltazar.

Laura myślała o czwartym świadku, Jorge Maurze. Nigdy więcej się już nie mieli zobaczyć.

XXIII. Tlatelolco: 1968

– Nikt nie ma prawa identyfikować ciała. Nikt nie ma prawa grzebania zmarłych. W tym mieście nie będzie jutro pięciuset konduktów żałobnych. Wrzucicie ich do wspólnej fosy. Niech nikt ich nie rozpozna. Niech ślad po nich zaginie.

Laura Díaz zrobiła zdjęcie swojemu wnukowi Santiago w nocy drugiego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Szła od ulicy Calzada de la Estrella, żeby zobaczyć wejście pochodu na plac Trzech Kultur. Sfotografowała do tej pory wszystkie fazy studenckiego ruchu, pierwsze manifestacje, koncentrację sił policyjnych, ostrzelanie z moździerzy szkoły licencjackiej, zajęcie Miasteczka Uniwersyteckiego przez wojsko, samowolne zniszczenie laboratoriów i bibliotek przez płatnych zbirów, protestacyjny marsz studentów z rektorem Javierem Barrosem Sierra na czele, zgromadzenie na Zócalo całej braci studenckiej, krzyczącej do prezydenta Gustava Diaza Ordaza: „wyjdź na balkon, tchórzu”, i marsz milczenia stu tysięcy obywateli z zakneblowanymi ustami.

Laura nagrała nocne dyskusje Santiago i Lourdes z kilkunastoma innymi młodymi chłopcami i dziewczętami przeżywającymi wydarzenia bardzo emocjonalnie. Dwuletni Santiago IV spał w pokoju, który babka przygotowała mu w mieszkaniu na placu Rio de Janeiro, usuwając stare archiwa i wyzbywając się nieprzydatnych do niczego szpargałów – w rzeczywistości były to cenne pamiątki, ale Laura powiedziała do Lourdes, że jeżeli w wieku siedemdziesięciu lat nie zarejestrowała w pamięci tego, co rzeczywiście warto było zapamiętać, utonie pod ciężarem niewyselekcjonowanej przeszłości. Przeszłość ma wiele form. Dla Laury była oceanem papieru.

Czym w końcu była jedna fotografia, jeśli nie chwilą zamienioną w wieczność? Czas płynie nieprzerwanie i zatrzymanie go w całości byłoby czystym szaleństwem, czas słońca i gwiazd będzie płynął z nami czy bez nas, w świecie wyludnionym, księżycowym. Czas ludzki poświęcił całość na rzecz chwili, której nadał wagę wieczności. O tym wszystkim mówił obraz jej syna, Santiago Młodszeo, wiszący w salonie: nie upadamy, wzlatujemy do nieba.

Laura przejrzała z nostalgią fiszki, wyrzuciła do śmieci to, co wydawało jej się niepotrzebne, i opróżniła pokój dla prawnika. Pomalujemy go na niebiesko czy na różowo? – Roześmiały się obie; tak czy inaczej dziecko będzie spało w łóżeczku otoczonym zapachami klisz fotograficznych, wśród ścian przesiąkniętych niepowtarzalną wonią mokrych fotografii, utrwalacza i odbitek porozwieszanych jak świeżo uprana bielizna, uchwyconych drewnianymi spinaczami, bardziej odpowiednimi na strychu niż tutaj.

Widziała rosnący entuzjazm wnuka i pragnęła go ostrzec: nie pozwól się ponieść emocjom, w Meksyku tych, którzy mają wiarę i wynoszą ją na ulicę, bardzo szybko spotyka rozczarowanie. Tego uczono nas w szkole, mówił Santiago do kolegów, młodych ludzi w wieku od siedemnastu do dwudziestu pięciu lat, o ciemnych i jasnych włosach, jaki jest Meksyk; to kraj tęczy, powiedziała ładna dziewczyna o włosach długich aż do pasa, bardzo ciemnej cerze i bardzo zielonych oczach; to kraj, który trzeba podnieść z kolan, powiedział wysoki chłopiec z czarnymi włosami o bardzo małych oczach; to kraj demokratyczny, powiedział biały chłopiec, niski, muskularny i spokojny, w okularach, które wiecznie spadały mu z nosa; kraj, który przyłączył się do wielkiej rewolty ogarniającej Berkeley, Tokio, Paryż; kraj, gdzie nie będzie się zabraniało zabraniać i gdzie wyobraźnia dojdzie do władzy, powiedział jasny blondyn z gęstą brodą, o bardzo hiszpańskim wyglądzie i intensywnym spojrzeniu; kraj, w którym nie zapominamy o innych, powiedział poważny młody człowiek o

indiańskich rysach, w grubych okularach; kraj, w którym będziemy mogli się wszyscy kochać, powiedziała Lourdes; kraj bez wyzyskiwaczy, powiedział Santiago, nie robimy nic, tylko przenosimy na ulicę to, czego nas uczono w szkole, uczono nas idei demokracji, sprawiedliwości, wolności, rewolucji; kazano nam w to wszystko wierzyć, doña Laura, czy ty sobie wyobrażasz, babciu, żeby jakiś uczeń albo nauczyciel bronił dyktatury, przemocy, niesprawiedliwości, reakcji, ale oni stanęli przed nami, żebyśmy zobaczyli ich twarze – powiedział wysoki śniady chłopiec; i żebyśmy ich zapytali, powiedział Indianin w grubych okularach, hej, wy, gdzie jest to wszystko, czego uczono nas w szkołach?; hej, wy, dodała swój głos do chóru ciemnowłosa dziewczyna z zielonymi oczami, myślicie, że możecie nas oszukać?; hej, wy, powiedział brodaty chłopak o intensywnym spojrzeniu, miejcie odwagę nam się przyjrzeć, są nas miliony, trzydzieści milionów Meksykanów poniżej dwudziestu pięciu lat; myślicie, że dalej będziecie nas okłamywać? – wyskoczył wysoki chłopiec z małymi oczkami, gdzie jest ta demokracja, czy w tej farsie wyborczej zorganizowanej przez PRI z przygotowanymi zawczasu urnami? Gdzie jest sprawiedliwość w tym kraju – ciągnął Santiago – kiedy sześćdziesiąt osób ma więcej pieniędzy niż sześćdziesiąt milionów obywateli? Gdzie jest wolność, zapytała dziewczyna z długimi włosami, czy w związkach zawodowych zmanipulowanych przez skorumpowanych liderów; w gazetach sprzedanych na usługi rządu, dodała Lourdes, w telewizji, która ukrywa prawdę? Gdzie jest rewolucja? – zapytał na koniec biały chłopak, spokojny i muskularny; na nazwiskach Villi i Zapaty wypisanych złotymi zgłoskami na budynku Izby Deputowanych, na pomnikach – zakończył Santiago – zapaskudzonych przez ptaki nocne i budzące się o świcie szczygły, trajkoczące jak na partyjnym zebraniu?

Przestrogi na nic by się nie zdały. Zerwał z rodzicami, identyfikował się z babką, to oni, Laura i Santiago, któreś nocy uklękli na środku Zócalo, przyłożyli ucho do ziemi i obydwójce usłyszeli to samo: zgiełk zaślepionego tłumu w mieście i w kraju, na granicy wybuchu.

– To meksykańskie piekło – powiedział wtedy Santiago. – Czy zbrodnia, gwałt, korupcja, nędza to nasze fatum?

– Nie mów nic, synku. Posłuchaj. Ja zawsze słucham, zanim zacznę fotografować...

Ona chciała zostawić w spadku swoim potomkom świetlistą wolność. Obydwójce podnieśli twarze znad zimnego kamienia i spojrzeli na siebie pytająco, z miłością w oczach. Laura zrozumiała, że Santiago nie zmieni swojego postępowania, ona nie powie mu: masz żonę, dziecko, nie angażuj się. Ona nie była Dantonem, nie była Juanem Francisco, była Jorge Maura, była Jimem na froncie nad Jaram % była Santiago Starszym rozstrzelanym w Veracruz. Była z tych, którzy mogli wątpić we wszystko, ale za nic nie przestaliby działać.

Jej wnuk Santiago zmieniał się z każdą manifestacją, z każdym przemówieniem, z każdym wiecem uniwersyteckim, a babka obserwowała go, fotografowała, na co on w ogóle nie zwracał uwagi, i Laura patrzyła na niego z czułością towarzyszkii walki; zarejestrowała swoim aparatem każdy moment tych zmian, czasem ogarniały go wątpliwości, czasem wielka pewność siebie, ale w końcu każda pewność – w czynach, w słowach – była mniej pewna niż wątpliwości. Najmniej pewna była sama pewność.

Laura czuła w tych dniach rebelii studenckiej, czy to w świetle dnia, czy w blasku pochodni, że zmiana jest pewna, ponieważ była niepewna. Przez pamięć przebiegły jej dogmaty, których nasłuchiwała się w ciągu swojego życia: te niemal prehistoryczne, reprezentujące antagonistyczne pozycje Aliantów francusko-angielskich i Państw Centralnych w wojnie tysiąc dziewięćset cztertnastego roku, komunistyczna wiara Vidala i anarchistyczna Basilia, republikańska Maury i frankistowska Pilar, żydowsko-chrześcijańska Rachel i ta zagubiona Harry'ego, oportunizm Juana Francisco, nieposkromiony cynizm Dantona i duchowa pełnia drugiego Santiago, jej starszego syna.

Ten nowy Santiago był poprzez swoją babkę Laurę Díaz spadkobiercą ich wszystkich, bez względu na to, czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie. Lata spędzone z Laurą Díaz

uksztalowały dni Santiago Nowego, tak go właśnie nazwała, jakby był nowym apostołem w długim ciągu imienników syna Zebedeusza, świadka przemienienia Chrystusa w Ogrójcu. Święci, którzy nosili imię Jakub – Santiago, „synowie gromu” – zginęli męczeńską śmiercią, Jakub Starszy został ścięty na rozkaz Heroda, Jakub Młodszy ukamienowany na rozkaz sanhedrynu. Historia miała dwóch świętych o imieniu Santiago, ona, Laura, miała ich już czterech, a imię, pomyślała babka, jest przejawem naszej najgłębszej natury. Laura, Lourdes, Santiago. Teraz wiara przyjaciół i kochanków Laury Díaz w ciągu tych lat stawała się wiarą wnuka Laury Díaz, który wspólnie z setkami młodych meksykańskich chłopców i dziewcząt wchodził na plac Trzech Kultur, dawny plac ceremonialny Azteków Tlatelolco, oświetlony jedynie światłem zamierającego zmierzchu w starej dolinie Anáhuac, wszystko tu jest stare, pomyślała Laura Díaz, indiańska piramida, kościół św. Jakuba, klasztor i szkoła franciszkanów, ale także współczesne budynki, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, bloki mieszkalne; być może nawet budynki najnowsze wyglądały jak najstarsze, gdyż były najmniej trwałe, popękane, z potłuczonymi szybami, z porozwieszaną bielizną, farbą wyblakłą od pokutnych deszczy spływających po murach jak łyzy. Zaczęły się zapalać lampy na placu, reflektory oświetliły historyczne budowle, światła w domach pozwoliły zobaczyć wnętrza kuchni, tarasów, salonów i sypialni; setki młodych ludzi wchodziło na plac z jednej strony, z innych stron zaczęły ich okrążyć dziesiątki żołnierzy, na dachach pojawiły się chwiejne cienie, podniosły się dłonie w białych rękawiczkach i Laura sfotografowała postać swojego wnuka Santiago, jego białą koszulę, jego idiotyczną białą koszulę, jakby on sam się prosił, żeby zostać celem dla kul, i zapisała w pamięci jego głos mówiący: babciu, nie mieścimy się w przyszłości, chcemy takiej przyszłości, która by mogła pomieścić nas, młodych, ja się nie mieszczę w przyszłości wymyślonej przez mego ojca, a Laura zgodziła się z nim, przy boku swego wnuka ona również zrozumiała, że przez całe życie Meksykanie marzyli o innym kraju, lepszym, marzył o nim jej dziadek Felipe, kiedy wyemigrował z Niemiec do Catemaco, i dziadek Díaz, który wyruszył z Teneryfy do Veracruz, marzyli o kraju pracy i uczciwości, tak jak pierwszy Santiago marzył o kraju sprawiedliwości, drugi Santiago o kraju spokoju twórczego, a trzeci Santiago, ten, który w tłumie studentów wkraczał na plac Trzech Kultur w nocy drugiego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, śnił dalej sen swoich poprzedników, swoich imienników, i Laura, widząc, jak wchodzi na plac, fotografowała go i myślała: dziś mężczyznę, którego kocham najbardziej, jest mój wnuk.

Jej aparat terkotał jak karabin, to była jej broń, posłuszna, skierowana wyłącznie w stronę wnuka, wiedziała, że jest niesprawiedliwa, na plac wchodziły setki młodych ludzi żądających nowego, lepszego kraju, kraju wiernego samemu sobie, ale ona, Laura Díaz, widziała tylko jego, krew z krwi i kość z kości, swojego własnego potomka, dwudziestotrzyletniego muskularnego chłopca z potarganą czupryną, w białej koszuli, o śniadej cerze, miodowozielonych oczach i olśniewających zębach.

Jestem twoją towarzyszką, powiedziała z daleka Laura do Santiago, już nie jestem tą kobietą co dawniej, teraz jestem twoja, tej nocy rozumiem cię, rozumiem moją miłość, Jorge Maure, i Boga, którego on uwielbia i dla którego liże językiem posadzkę klasztoru na Lanzarote, proszę Cię, Boże, odbierz mi to, co mam, ześlij mi chorobę, ześlij mi śmierć, gorączkę, kiłę, raka, gruźlicę, uczyn mnie ślepą i głuchą, wyrwij mi język i obetnij uszy, Boże mój, jeśli tak trzeba, tylko uratuj mojego wnuka i uratuj mój kraj, zabij mnie wszystkimi chorobami, ale daj zdrowie dla mojego kraju i moich dzieci, dziękuję ci, Santiago, bo nauczyłeś nas wszystkich, że są jeszcze sprawy, o które warto walczyć w Meksyku, uspionym, zadowolonym z siebie, zakłamanym i kłamliwym, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, roku olimpiady, dziękuję, synu mój, za uświadomienie mi różnicy pomiędzy tym, co żywe, a tym, co martwe, wtedy już wzburzenie na placu osiągnęło siłę trzęsienia ziemi, które zniszczyło Anioła Niepodległości na Paseo de la Reforma, aparat

Laury Díaz wystrzelił ku gwiazdom, gdzie nie było nic, opadał z drżeniem i napotkał patrzące w nią oko żołnierza, podobne do blizny, aparat wystrzelił, wystrzeliły karabiny i ucichły śpiewy, hasła, krzyki młodych ludzi i zapadła straszliwa cisza, i słychać było tylko jęki rannych i konających, Laura szukała sylwetki Santiago, ale znalazła jedynie białe rękawiczki zasłaniające firmament i zaciskające się w zuchwałe pięści „roboty wykonana”, i bezradność gwiazd, że nie opowiedzą nic z tego, co się tu wydarzyło.

Laurę kolbami wyrzucono z placu, wyprowadzono ją nie dlatego, że była Laurą, znaną fotograficzką, babką Santiago, wyrzucono świadków, nie chciano świadków. Laura ukryła filmy pod swoją szeroką spódnicą, w majtkach, blisko krocza, ale nie mogła już fotografować zapachu śmierci, który unosił się nad placem zalany młoda krwią, ona już nie może uchwycić oślepionego nieba tej nocy nad Tlatelolco, nie może już oddać strachu rozprzestrzeniającego się po wielkim miejskim cmentarzysku, jęków, krzyków, odgłosów śmierci...

Miasto pociemniało.

Czy nawet Danton López-Díaz, wszechwładny don Danton, nie ma prawa do zabrania ciała swojego syna?

Nie, nawet on.

A jakie prawa mają młoda wdowa i babka Santiago, młodego przywódcy buntu?

Jeśli chcą, mogą pójść do kostnicy i zidentyfikować ciało. Jest to ustępstwo dla pana magistra don Dantona, bliskiego przyjaciela prezydenta Gustava Diaza Ordaza. Będą mogły go zobaczyć, ale nie mogą zabrać i pochować. Nie będzie wyjątków. Nie będzie pięciuset konduktów pogrzebowych trzeciego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku w mieście Meksyk. Ruch uliczny byłby zakłócony. Naruszono by obowiązujące przepisy.

Laura i Lourdes weszły do lodowatego pomieszczenia, gdzie dziwne, perłowe światło padało na nagie trupy, ułożone na drewnianych deskach opartych na kozłach.

Laura bała się, że śmierć pozbawi osobowości nagie ofiary buntu, ofiary próżności, poczucia wszechwładzy, strachu i okrucieństwa oszałałego prezydenta. To byłoby jego ostateczne zwycięstwo.

– Ja nikogo nie zabiłem. Gdzie są ofiary? Proszę, niech coś powiedzą. Niech mówią. Umarlaki, do mnie!

Dla prezydenta to nie były ofiary. To byli buntownicy, sabotażyści, komuniści, ideologowie destrukcji, wrogowie ojczyzny, która utożsamiała się z prezydencką zgrają. Tylko że tamtej nocy w Tlatelolco orzeł uciekł od prezydenckiej zgrai i odleciał daleko, wąż ze wstydu zrzucił skórę, nopał zgnił i zżarło go robactwo, a woda w jeziorze znowu się zapaliła. Jezioro Tlatelolco, tron ofiarny, skąd z wysokości piramidy zrzucony został w tysiąc czterysta siedemdziesiątym trzecim roku król Tlatilków dla wzmocnienia władzy Azteków, i z tej samej piramidy zrzucano indiańskie idole, żeby wzmocnić władzę Hiszpanów. Śmierć osaczała Tlatelolco z czterech stron w *tzompantli*, murze z połączonych ze sobą ludzkich czaszek ułożonych pionowo i poziomo. Ogromny żałobny łańcuch tysięcy czaszek dla obrony i przypomnienia, że w Meksyku władza nieraz budowana była na śmierci.

Ale umarli zachowali swoją odrębność, każda twarz była inna, każde ciało inaczej zbudowane, inaczej uformowane. Każda kula namalowała inny kwiat na piersi, głowie, udzie zabitego, każde genitalia inaczej były ułożone, każdy dziewczęcy srom stanowił niepodobną do innych ranę, to zróżnicowanie było triumfem młodych ofiar, zwycięstwem nad bezkarnym gwałtem, który – jak o tym dobrze wiadomo – miał być rozgrzeszony. Dowodem na to był fakt, że w dwa tygodnie później prezydent Gustavo Díaz Ordaz zainaugurował Mistrzostwa Olimpijskie, puszczając w niebo gołąbki pokoju, z uśmiechem satysfakcji tak szerokim jak jego zakrwawiony pysk. W prezydenckiej łoży, uśmiechnięci, z wyrazem narodowej dumy na

twarzach, siedzieli rodzice Santiago, don Danton i doña Magdalena. W kraju zapanował porządek dzięki energii i bezkompromisowości Pana Prezydenta.

Kiedy rozpoznały zwłoki Santiago w zaimprovizowanej kostnicy, Lourdes rzuciła się ze szlochem na nagie ciało swego męża, a Laura pogłaskała stopy wnuka i na prawej nodze zawiesiła karteczkę:

SANTIAGO TRZECI
1944-1968
ŚWIAT U PROGĘ STWORZENIA

Obie, stara i młoda kobieta, objawszy się, popatrzyły ostatni raz na Santiago i wyszły ogarnięte mrocznym, niezidentyfikowanym strachem. Santiago umarł z grymasem bólu. Laura, idąc tli, pragnęła, aby uśmiech na twarzy zmarłego przywrócił spokój nieboszczykowi i jej samej.

– Zapomnienie jest grzechem, wielkim grzechem – powtarzała sobie bez przerwy, a do Lourdes mówiła: nie bój się, ale młoda wdowa bała się i za każdym razem, kiedy stukano do drzwi, myślała: czy to on, czy to duch, czy morderca, szczur, karaluch?

– Lauro, gdyby ci się udało wsadzić do klatki kogoś podobnego do skorpiona, powiesić go i zostawić tak, bez chleba i wody...

Nie myśl tak, córeczko. Nie zasługuje na to.

– O czym myślisz, Lauro, kiedy nie myślisz o nim?

– Myślę, że są ludzie, którzy cierpią i są niezastąpieni w swoim cierpieniu.

– Ale kto weźmie na siebie ból innych, a kto jest zwolniony z tego obowiązku?

– Nikt, córeczko, nikt.

Oddano miasto we władanie śmierci. Miasto zmieniło się w obóz barbarzyńców. Zastukano do drzwi.

XXIV. Zona Rosa: 1970

1

Laura, która oglądała wszystko obiektywnym swojego aparatu, zatrzymała się tego sierpniowego dnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku przed lustrem w swojej łazience i pomyślała: jak ja jestem widziana?

Zachowała, być może, pamięć tamtej pamięci, która jest naszą dawną twarzą, nie tylko zwyczajnym nagromadzeniem się lat na skórze, ani nawet nakładaniem się kolejnych warstw, ale też pewnym rodzajem przejrzystości: taka jestem, jaką się widzę w tym momencie, taką byłam zawsze. Moment może się zmieniać, ale zawsze ten moment jest tylko jeden, chociaż przechowuję w głowie wszystko, co do mojej głowy należy; zawsze to przeczuwałam, a teraz wiem, że to, co należy do umysłu, nigdy go nie opuszcza, nigdy nie mówi: „żegnaj”, wszystko przemija, poza tym, co żyje w moim umyśle na zawsze.

Jestem dziewczynką z Catemaco, idę na pierwszy bal w San Cayetano, jestem narzeczoną w Xalapie, młodą żoną w stolicy, kochającą matką i niewierną żoną, upartą towarzyszką Harry’ego Jaffe, ucieczką mojego wnuka Santiago, ale nade wszystko jestem kochanką Jorge Maury; ze wszystkich twarzy mojej egzystencji właśnie tę zatrzymałam w wyobraźni jako najważniejszą: twarz, która zawiera w sobie wszystkie inne, jest odbiciem szczęśliwej miłości, to na niej noszę maski swego życia, to szkielet moich twarzy, który pozostanie, kiedy ciało pochłonie śmierć...

Ale lustro nie oddało Laurze Díaz twarzy z lat trzydziestych, tej, o której wiedziała, że jest tymczasowa, ale wyobrażała sobie, że jest wieczna. Czytała dużo prac z dziedziny antropologii i historii Meksyku, żeby móc lepiej zrozumieć teraźniejszość, którą fotografowała. Dawni Meksykanie mogli wybrać sobie maskę na śmierć, idealną twarz na podróż do Mictlan, gdzie Indianie mają swoje życie pozagrobowe, zarazem i piekło, i niebo. Gdyby była Indianką, Laura wybrałaby sobie maskę z czasów miłości do Maury i nałożyłaby ją na wszystkie inne, na te z okresu dzieciństwa, młodości, wieku dojrzałego i starości. Z nią mogłaby współzawodniczyć tylko agonalna maska jej syna Santiago, ale ta nie miała w sobie pragnienia szczęścia. Była to jej mentalna fotografia, jej autoportret. To właśnie chciała zobaczyć w lustrze tego sierpniowego ranka tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Jednak tego dnia lustro było wierniejsze kobiecie niż kobieta samej sobie.

Zwracała dużą uwagę na swoją powierzchowność. Bardzo wczesnie, obserwując dziwaczne fryzury Elizabeth Garcíi-Dupont, odkryła, że powinna wybrać sobie raz na zawsze jedno uczesanie i nigdy go nie zmieniać; potwierdzało się to w kręgu znajomych Orlanda, najpierw zmieniasz uczesanie i zaraz czujesz się zadowolona i odmieniona, ale w końcu ludzie zauważają, że to, co naprawdę się zmieniło, to twoja twarz, rejestrują kurze łapki, pomarszczone czoło, ojoj, ale się posunęła, starzeje się. Dlatego Laura Díaz postanowiła – poznawszy Jorge Maurę – zrezygnować z grzywki, takiej, jaką nosiła w dzieciństwie, żeby zakryć zbyt wysokie i szerokie czoło i skrócić podłużną twarz, z fryzury *á la garçonne*, jakie nosiły meksykańskie naśladowczynie Clary Bow, malowania włosów na platynowy kolor, wprowadzony przez jedwabistą Jean Harlow, i trwałej ondulacji *á la Irene Dunne* w wydaniu lokalnym; od tej pory nosiła włosy zaczesane do tyłu, odsłaniając gładkie czoło i „włoski” nos, jak mawiał Orlando, wydatny i arystokratyczny, wąski i nerwowy, jakby wiecznie za

czymś węższą. Przestała malować malutkie jak znak po ukąszeniu pszczoły usteczka *á la* Mae Murray, wesola wdówka po von Stroheimie, a potem niezwykle szerokie wargi jak u Joan Crawford, jaskrawe, przypominające zejście do piekła seksu, i została przy swoich wąskich ustach, bez szminki, podkreślających gotycki kształt głowy Laury Díaz – której przodkowie pochodzili z Renu i z Wysp Kanaryjskich, z Murcii i z gór – stawiając głównie na piękno oczu, kasztanowych, niemal złotawych, zielonkawych o zmięczeniu, srebrnych w czasie orgazmu, który przeżywała z otwartymi oczami, jak chciał Maura: Lauro, ukochana moja, rozpływam się w twoich oczach, patrz na mnie otwartymi oczami, kiedy się w tobie zanurzam, twoje oczy mnie podniecają, i to prawda, narządy płciowe nie są piękne, są nawet groteskowe, mówi Laura Díaz do swojego lustra tego sierpniowego poranka tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, to, co nas ekscytuje, to spojrzenie i skóra, to odbicie żądz w rozpalonym wzroku i aksamitnej skórze, to one pchają nas nieodparcie w macki seksu, do kryjówki wielkiego pająka pożądania i śmierci...

Już nie patrzyła na swoje ciało podczas kąpieli. Już przestała się nim przejmować. I pamiętała oczywiście, co mówiła Frida Kahlo. Zdaniem Fridy Laura powinna była się cieszyć, że ma ciało kompletne, chociaż stare. Zanim poznała Maurę, Frida Kahlo stanowiła dla Laury najlepszy przykład niezmiennego stylu, obranego raz na zawsze, niepowtarzalnego, władczy, jedynego w swoim rodzaju. Ten styl różnił się od stylu jej przyjaciółki, a w pewnych okresach sekretarki, Laury Díaz, która przestrzegała kanonów mody, a teraz przesuwając jedną ręką wiszące w szafie dawne stroje, krótkie sukienki dla podlotków z lat dwudziestych, długie satynowe biele z lat trzydziestych, kostiumy z lat czterdziestych, „New Look” Christiana Diora, kiedy to, po braku materiałów w czasie wojny, wróciły długie spódnice; ale po swojej podróży na Lanzarote Laura też zaczęła nosić wygodne rzeczy, niemal tuniki, bez guzików, zamków i pasków, bez zbytecznych dodatków, długie mnisie bluzki, łatwe do wkładania i zdejmowania, które były idealnym ubiorem najpierw do życia w dolinie Morelos, a potem do biegania lekkim krokiem – jakby prosta tkanina z przyjaznej bawełny dodawała jej skrzydeł – po stopniach schodów tego Rzymu Ameryki, Meksyku, miasta o nałożonych na siebie czterech, pięciu, siedmiu warstwach, wysokich jak uśpione wulkany, głębokich jak odbicie dymiącego lustra.

Ale tego dnia w sierpniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, kiedy na dworze padał deszcz i grube krople uderzały o matowe szyby w oknach łazienki, lustro odbijało mi tylko jedną twarz, już nie tę ulubioną, tę z czasu, kiedy miałam trzydzieści lat, tylko twarz dzisiejszą, kiedy mam siedemdziesiąt dwa lata, pokazywało bez litości, prawdziwie, okrutnie, bez pobłażania, wysokie poprzecinane zmarszczkami czoło, oczy w kolorze ciemnego miodu teraz już zapadnięte, podkrążone i opuchnięte, powieki opadłe jak zużyte zasłony, nos wystający bardziej niż kiedykolwiek, blade popękane wargi, skórę w kącikach ust i na policzkach pomarszczoną jak chiński papier, zbyt często używany do owijania niepraktycznych prezentów, i ujawniało to, czego nigdy nie da się ukryć: zdradzającą wiek szyję.

– A niech to gęś kopnie! – Laura roześmiała się do lustra, przeczesała siwe włosy i postanowiła nadal kochać siebie i swoje ciało.

Położyła dłonie na piersiach i poczuła, że są lodowate. Zobaczyła odbicie rąk podziobanych przez czas i przypomniała sobie swoje ciało z czasów młodości, tak godne pożądania, tak pięknie odsłaniane albo zakrywane, w zależności od tego, jak spodobało się wielkim suflerkom: próżności, przyjemności, wstydlivości i zalotności.

W dalszym ciągu nie przestawała siebie kochać.

– Rembrandt malował siebie we wszystkich okresach: od młodości po starość – powiedział Orlando Ximénez, kiedy po wielokrotnych zaproszeniach ona, przez wzgląd na dawne czasy, jak podkreślał sam Orlando, zdecydowała się spotkać z nim w Barze Szkoockim hotelu Presidente w dzielnicy Zona Rosa, na chwilę, o szóstej po południu, kiedy bar był

opustoszały. – Nie ma bardziej wzruszającego obrazu niż autoportret tego wielkiego artysty, umiającego spojrzeć na siebie bez złudzeń w różnych okresach swego życia i na koniec namalować portret starca, w którego wzroku znajdziemy człowieka z wszystkich poprzednich portretów, wszystkich bez wyjątku, jakby wyłącznie starość potrafiła odzwierciedlić nie tylko jedno życie jako całość, ale każde odrębne życie, których tak wiele składa się na naszą egzystencję.

– Jesteś, jak zawsze, prawdziwym estetą. – Laura roześmiała się.

– Nie, posłuchaj, Rembrandt ma oczy niemal zamknięte pod starczymi powiekami. Te oczy są pełne łez, nie z emocji, ale dlatego, że z wiekiem nasze spojrzenie staje się łzawe. Spójrz na mnie, Lauro, co chwilę muszę wycierać oczy. Wyglądam, jakbym był wiecznie zakatarzony! – Orlando również się roześmiał i wziął drżącą ręką szklanę szkockiej z sodą.

– Ty wyglądasz bardzo dobrze, świetnie się trzymasz – odparła skwapliwie Laura, która rzeczywiście podziwiała zasuszoną smukłość swego dawnego kochanka, sztywnego, ubranego z niemodną elegancją, tak jakby jeszcze wyprzedawano na loteriach ubrania w stylu księcia Windsoru: dwurzędowa marynarka w szarą kratkę, krawat wiązany w gruby węzeł, spodnie z szerokim mankietem, buty na grubej podeszwie.

Orlando zamienił się w starannie ubraną miotłę zwieńczoną czaszką o rzadkich, słabych włosach, szesanych na skroniach do zaniku, misternie ułożonych na karku. Nieco pochylona sylwetka miała symbolizować uprzejmość, ale wskazywała na podeszły wiek.

– Nie, pozwól mi dokończyć, cudowne w tym ostatnim autoportrecie starego Rembrandta jest to, że artysta, pokazujący bez mrugnięcia okiem spustoszenia, jakie przynosi czas, pozwala nam przypomnieć sobie nie tylko jego we wszystkich wcześniejszych okresach, ale nas samych z przeszłości, żebyśmy mogli zostawić sobie najcenniejszy obraz z tych, które możemy znaleźć w małych oczach tego pogodzonego z życiem, ale chytręgo starca.

– Obraz czego?

– Obraz wiecznej młodości, Lauro, bo to jest wizja artystycznej potęgi, która stworzyła całe dzieło, z czasów młodości, dojrzałości i starości. To jest ta prawda, którą ofiarowuje nam ostatni autoportret Rembrandta: jestem wiecznie młody, bo jestem wiecznie twórczy.

– Jak łatwo ci wszystko przychodzi. – Laura znowu się roześmiała, tym razem rozbrojona.
– Jesteś frywolny, okrutny, zachwycający, niewinny, perwersyjny. A czasem nawet inteligentny.

– Jestem robaczkiem świętojańskim, Lauro, zapalam się i gasnę bez mojej woli – też roześmiał się Orlando. – To moja natura. Akceptujesz ją?

– Znam ją – odpowiedziała.

– Pamiętasz, jak za pierwszym razem zapytałem cię: czy twoje ciało mnie akceptuje, czy zdałem na piątkę?

– Zdumiewa mnie to pytanie.

– Dlaczego?

– Mówisz o przeszłości tak, jakby mogła się powtórzyć. Mówisz o przeszłości, a chcesz mi przedstawić propozycję już, teraz. – Laura pogładziła rękę Orlanda; zauważyła, że stary złoty sygnet z inicjałami OX stał się za duży na jego wysuszony palec.

– Dla mnie – powiedział wieczny zalotnik – ty i ja zawsze będziemy na tarasie hacjendy w San Cayetano w tysiąc dziewięćset piętnastym roku...

Laura wypła szybciej, niżby wypadało, swoje ulubione wytrawne martini.

– Nie, jesteśmy w barze w Zona Rosa w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, i to śmieszne, że teraz przywołujesz, bo ja wiem, jakiś romantyczny liryzm naszego pierwszego spotkania, mój biedny Orlando.

– Czy ty nie rozumiesz? Stary mężczyzna zmarszczył brwi. – Nie chciałem, żeby nasz związek zabiła rutyna.

– Mój biedny Orlando, wszystko zabił czas. Orlando spojrzął na dno szklanki z whisky.

– Nie chciałem, żeby poezja zmieniła się w prozę.

Laura milczała przez parę sekund. Chciała powiedzieć prawdę, nie raniąc starego przyjaciela. Nie chciała wykorzystywać własnego wieku – swoich siedemdziesięciu dwóch lat – żeby sądzić innych z nienależnej jej pozycji. Wydawanie bezkarnych sądów jest jedną z pokus starości. Ale Orlando szybko ją uprzedził.

– Lauro, chcesz zostać moją żoną?

Zamiast odpowiedzi Laura przypomniała sobie, jedna za drugą, trzy prawdy i powtórzyła je kilka razy: oddalenie upraszcza sprawy, przedłużanie niszczy, wgłębianie się – zabija. W tym przypadku poczuła pokusę uproszczenia i oddalenia się. A jednak natychmiastowe zostawienie tego człowieka w sytuacji, która zakrawała na parodię, byłoby rodzajem zdrady, chciała tego uniknąć za wszelką cenę: nie zdradzam samej siebie ani mojej przeszłości, jeżeli w tej chwili nie uciekam, nie upraszczam ani się nie śmieję, jeżeli w tej chwili przedłużam, choćbym zmierzała ku zniszczeniu, i wgłębiam się, choćbym zmierzała ku śmierci...

– Orlando – Laura przysunęła się bliżej. – Poznaliśmy się w San Cayetano. W Meksyku staliśmy się kochankami. Porzuciłeś mnie i napisałeś kartkę, że nie jesteś tym, za kogo się podawałeś, ani tym, na kogo wyglądałeś. Powiedziałeś: „Za bardzo zbliżasz się do mojej tajemnicy”... To był zarzut...

– Nie, ostrzegłem cię...

– Rzuciłeś mi to w twarz, Orlando. „Wolę zachować swój sekret”, napisałeś mi wtedy. I zupełnie otwarcie dodałeś: „nasza miłość nie jest ważna”...

– Powiedziałem ci też: „zawsze będę cię kochał...”

– Orlando, Orlando, mój biedny Orlando. Teraz mi mówisz, że nadszedł czas, żebyśmy się połączyli? Już skończyła się tajemnica?

Z prawdziwą czułością pogłaskała jego zimną, nerwową rękę.

– Orlando, bądź wierny sobie aż do końca. W dalszym ciągu uciekaj od każdej nieuchronnej decyzji. Od każdej ostatecznej konkluzji. Bądź Orlandem Ximenezem, zostawiaj wszystko w zawieszeniu, wszystko otwarte, wszystko niedokończone. To twoja natura, nie zorientowałeś się jeszcze? Nawet może właśnie to podziwiam w tobie najbardziej, mój biedny Orlando.

Szklanka w rękach Orlanda na moment zamieniła się w kryształową kulę. Stary człowiek chciał przewidzieć przyszłość.

– Powinienem być poprosić cię o rękę, Lauro.

– Kiedy? – Poczula, że jest znużona.

– Chcesz mi powiedzieć, że jestem ofiarą własnej perwersji? Że straciłem cię na zawsze?

A więc on nie wiedział, że to „na zawsze” już stało się pół wieku temu, na balu w tropikalnej hacjendzie, nie dotarło do niego, że tam, przy poznaniu, powiedział do Laury Díaz „nigdy”, kiedy chciał powiedzieć „na zawsze”, myśląc przesunięcie w czasie z tym, co właśnie powiedział: nie chciałem, żeby nasz stosunek kiedykolwiek zabiła rutyna, nie chcę, żebyś zbliżała się zbyt do mojej tajemnicy.

Laura zadrzała z zimna. Orlando proponował jej małżeństwo w obawie przed samotną śmiercią. Było to potwierdzeniem, że teraz już nie ma więcej gier do rozgrywania, ironicznych uwag do wygłaszania, paradoksów do rozszyfrowania. Czy Orlando zdawał sobie sprawę, że mówiąc w ten sposób, neguje własne życie, tajemnicze i niedopełnione powołanie całej swojej egzystencji?

– Wiesz? – Laura Díaz uśmiechnęła się. – Całą naszą znajomość odbieram jak fabułę filmu. Chcesz dopisać do niego szczęśliwe zakończenie?

– Nie – wymamrotał Orlando. – Nie chcę, żeby się skończył. Chcę zacząć na nowo.

Podniósł szklankę do ust, tak żeby zakryła mu oczy.

– Nie chcę umierać samotnie.

– Chwileczkę. Nie chcesz umrzeć, zanim nie dowiesz się, jak mogłoby być.

– *That's right. What could have been.*

Laurze było bardzo trudno kontrolować głos. Czy postawiła kropkę nad i, wydała wyrok, podsumowała, czy wzięła sprawę w swoje ręce? Cokolwiek zrobiła, zrobiła to z największą serdecznością, na jaką ją było stać.

– To, co mogło się zdarzyć, już się zdarzyło, Orlando. Wszystko było właśnie tak, jak miało być.

– Czy mamy zrezygnować?

– Nie, może nie. Zabierzmy jakąś tajemnicę do grobu.

– Oczywiście. Ale gdzie pochowasz swoje demony? – Orlando nieświadomie ugryzł się w wysuszony palec, na którym obracał się luźno gruby sygnet ze złota. – Wszyscy mamy w sobie jakiegoś diabła, który nie opuszcza nas nawet w godzinie śmierci. Nigdy nie będziemy zadowoleni.

Po wyjściu z baru Laura przeszła się spory kawałek po Zona Rosa, modnej dzielnicy, uczęszczanej masowo przez nową młodzież, tę, co przeżyła masakrę na Tlatelolco i miała trafić albo do więzienia, albo do kawiarni – i to, i to oznacza izolację – młodzież, która pomiędzy ulicami Chapultepec, Paseo de la Reforma i Insurgentes wymyśliła sobie oazę pełną kawiarenek, restauracji, pasaży, luster, przy których można się zatrzymać, popatrzeć na siebie z podziwem, zademonstrować modne mini i szerokie paski, czarne lakierowane botki, rozszerzane spodnie i uczesanie na bitelsa. Połowa z dziesięciu milionów mieszkańców miasta nie miała skończonych dwudziestu lat i w Zona Rosa młodzi ludzie mogli się spotkać, napić, pokazać, poderwać kogoś, znowu uwierzyć, że w tym świecie da się żyć i można coś osiągnąć bez przelewu krwi, bez przeszłości spędzającej sen z oczu.

Tu, na tych samych ulicach Genova, Londres, Hamburgo i Amberes w okresie Porfiriatu mieszkała zubożała arystokracja, tu w czasie drugiej wojny światowej otwarto pierwsze eleganckie kluby nocne „Casanova”, „Minuit”, „Sans-Souci”, które nadały stolicy charakter miasta kosmopolitycznego, tutaj też, w Kościele Wotywnym, Danton zaczął śmiało wspinać się po szczeblach kariery. Tędy, przez Paseo de la Reforma, młodzi ludzie z Tlatelolco szli po śmierć. Tu powstały kawiarnie, które stały się niemalże bractwami młodzieży literackiej – „Kineret”, „Tirol” czy „Perro Andaluz”, tu znajdowały się restauracje dla bogatych: „Focolare”, „Rivoli” i „Estoxil” i restauracja ulubiona przez wszystkich – „Bdlinghausen”, gdzie podawano robaki z agawy, makarony, *escamóle*, filety z polędwicy, budyń z likierem jajecznym i kufle piwa chłodniejszego niż gdziekolwiek indziej. Tutaj też, po otwarciu metra, zaczęły się pojawiać – wypluwane przez podziemne wagoniki – rzesze włóczęgów, poszukiwaczy przygód, małolátów z peryferyjnych dzielnic miasta, którzy ciągnęli z miejskich pustyń do Zona Rosa jak do chłodnej, zielonej oazy.

Laura, która to wszystko wcześniej fotografowała, teraz nie miała już sił rejestrować tego nowego zjawiska: miasto ginęło jej z oczu. Epicentrum stolicy zbyt wiele razy za życia Laury przemieszczało się z miejsca na miejsce, z Zócalo, ulicy Madery i Alei Juareza do Las Lomas i Polanco, na Paseo de la Reforma, która przeszła metamorfozę z ulicy willowej w stylu paryskim na handlową rodem z Dallas, a teraz do Zona Rosa, też nie na długo. Laura Díaz wyczuła przez skórę w powietrzu, wypatrzyła w spojrzeniach ludzi zbliżające się czasy zbrodni, niepewności i głodu, dławiących oparów, spadających gwiazd, zamglonego słońca, niewidzialnych gór, śmiertelnego smogu zmieniającego miasto w kopalnię bez dna, ale bez bogactw, w wąwóz, gdzie nie dociera światło, ale dociera śmierć...

Jak można oddzielić pasję od porywczosci?

Na to pytanie, które stało przed krajem, przed stolicą, Laura koniec końców znalazła odpowiedź, skoro, wracając z ostatniego spotkania z Orlandem Ximenezem, powiedziała:

– Tak, myślę, że udało mi się oddzielić pasję od porywczosci.

Natomiast nie udało mi się, pomyślała, idąc wolno ulicą Niza, a potem Orizaba do placu Rio de Janeiro, obok miejsc tak jej bliskich, niemal totemicznych, jak kościół Sagrada

Familia, lodziarnia Chiandoniego, sklepik z różnościami, sklep papierniczy, apteka, kiosk z gazetami na rogu ulicy Puebla, nie udało mi się rozszyfrować zbyt wielu tajemnic, z wyjątkiem tajemnicy Orlanda, która wreszcie tego wieczoru stała się dla mnie jasna: on wciąż czekał na coś, co nigdy nie nadeszło, czekanie na niemożliwe było jego przeznaczeniem, chciał to zmienić na dzisiejszym spotkaniu, proponując mi małżeństwo, ale przeznaczenie – doświadczenie przekształcone w fatum – znowu postawiło na swoim. To było fatalne – szepnęła Laura, otoczona nagłą wspaniałością zapadającego z wolna zmierzchu, umierającego już, ale zakochanego w swej własnej doskonałości narcystycznego zmierzchu nad Doliną Meksykańską, i powtarzała strofy wierszy jednego z ulubionych poetów Jorge Maury.

*Szczęśliwe drzewo, do którego coś tam zaledwie dociera,
a jeszcze bardziej twardy kamień, który nic nie czuje,
to ból istnienia człowiekowi najbardziej doskwiera
i świadomego życia koszmar najwięcej kosztuje...*

Ta „pieśń życia i nadziei”, wspaniałego poety nikaraguańskiego Rubena Darío, otulała słowami Laurę w ów sierpniowy kończący się dzień, obmyty i oczyszczony wieczornym deszczem, kiedy to stolica odzyskała na chwilę utraconą obietnicę przejrzystej piękności...

Ulewny deszcz spełnił swoje okresowe zadanie, miasto, jak to się mówi, „przejaśniało”, i Laura w powrotnej drodze do domu skracала sobie czas wyliczaniem, jedna po drugiej, tajemnic, których nie zdołała wyjaśnić. Czy Armonia Aznar rzeczywiście istniała, czy ta niewidzialna kobieta naprawdę zajmowała poddasze domu w Xalapie, czy też jej nazwisko było tylko przykrywką dla konspiracyjnej działalności anarchosyndykalistów katalońskich i veracruzanskich? A może Armonia Aznar była wymysłem młodej, przekornej, nieujarzmionej wyobraźni Orlanda Ximeneza? Jak się tak zastanowić, to przecież nie widziałam jej ciała, zdziwiła się Laura Díaz. „Nie cuchnęła”, powiedziano mi. Czy babka Cosima Reiter rzeczywiście była zakochana w pięknym i brutalnym bandycie, w Uwodzicielu z Papantli, który obciął jej palce i zostawił zatopioną w myślach na resztę życia? Czy dziadek Felipe Kelsen żałował czasem swej rebelianckiej młodzieńczej przeszłości w Niemczech, czy całkowicie wystarczała mu pozycja zamożnego plantatora kawy w Catemaco? Czy ciotki Hilda i Virginia mogły osiągnąć w życiu coś więcej, niż osiągnęły? Czy wykształcone w Niemczech, bez pretekstów, żeby zaszyć się w ciemnym zakątku meksykańskiej selwy, zostałyby w Düsseldorfie jedna znaną pianistką, a druga sławną pisarką? Nie było tajemnicą, jaki byłby los cioteczki Marii de la O, gdyby babka Cosima nie oddaliła jej zdecydowanie od matki, czarnej prostytutki, i nie wprowadziła do domu Kelsenów. Nie była tajemnicą dobroć i prawość ojca don Fernanda Diaza ani ból, jaki zostawiła po sobie śmierć młodego obiecującego człowieka, pierwszego Santiago, rozstrzelanego przez żołnierzy Porfiria Diaza w zatoce. Ale sam Santiago był tajemnicą: jego polityka z konieczności i prywatne życie z wyboru. Być może to ostatnie było największym mitem wymyślonym przez Orlanda Ximeneza, żeby ją uwieść, zaniepokoić, podniecić jej wyobraźnię. Co takiego zaszło we wczesnej młodości jej męża Juana Francisco, który błyszczał w chwale na trybunach przez dwadzieścia lat, a potem stopniowo gasł, aż umarł, robiąc pod siebie? Czy nie było nic ani przedtem, ani potem, z wyjątkiem tej przerwy, tych paru chwil świetności? Nic? Czy urodził się w gównie i umarł w gównie? Czy ta przerwa była tylko zwykłym antraktem, czy mogła być dziełem samym w sobie? I tajemnicę nieskończenie bolesne: co by było, gdyby jej syn Santiago żył, gdyby spełniły się wyraźne zapowiedzi wielkiego talentu; gdyby Danton nie miał takich ambicji, które przyniosły mu bogactwo i doprowadziły do korupcji? A gdyby trzeci Santiago, który zginął na Tlatelolco, podporządkował się decyzjom podjętym przez ojca, czy żyłby do dzisiaj? I co myślała jego matka, Magdalena Ayub Longoria, o tym wszystkim, o losach ludzi, którzy należeli do niej, a po części do Laury Díaz?

Czy Harry doniósł na swoich towarzyszy z lewicy w Komitecie do Badania Działalności Anty amerykańskiej?

A przede wszystkim – co się działo z Jorge Maura, żył, umierał czy już umarł? Znalazł Boga? Czy Bóg znalazł jego? Tak bardzo szukał duchowego spokoju tylko dlatego, że Go już znalazł?

Wobec tego ostatniego misterium, jakim był los Jorge Maury, Laura Díaz zaprzestała rozmyślań, przyznając swojemu kochankowi prawo, które zresztą natychmiast rozszerzyła na inne osoby, towarzyszące jej życiu – prawo zabrania sekretu do grobu.

2

Kiedy trzeci Santiago padł zamordowany na placu Trzech Kultur, dla Laury było oczywiste, że młoda wdowa, Lourdes Alfaro, zostanie u niej razem z synem Santiago. Był to już czwarty imiennik apostoła Jakuba Starszego, świadka agonii i przemiany ofiar o imieniu Santiago, „synów gromu”, potomków pierwszego ucznia Chrystusa, skazanego na rozkaz Heroda, uratowanych przez miłość, dom i pamięć Laury Díaz.

Lourdes Alfaro zajmowała się synkiem, ale jednocześnie organizowała manifestacje na rzecz uwolnienia więźniów politycznych z sześćdziesiątego ósmego roku, pomagała młodym wdowom ofiar z Tlatelolco, które, tak jak ona, miały malutkie dzieci, a te – powiedziała Lourdes do Laury – potrzebowały żłobków, lekarstw, opieki i wychowywania w atmosferze żywej pamięci męczeństwa ich ojców. Chociaż czasem sytuacja była odwrotna: ofiarami tragedii na Tlatelolco były kobiety, młode studentki, których mężowie zostali wdowcami.

Utworzono stowarzyszenie uratowanych z masakry drugiego października, i tam – jak można się było spodziewać – Lourdes znalazła kogoś, w kim się zakochała i z kim znalazła wspólny język. Był to wysoki, ciemny, dwudziestosześcioletni mężczyzna z kręconymi włosami, o jasnym uśmiechu i spojrzeniu. Jesús Aníbal Pliego był początkującym filmowcem i zdołał sfilmować pourywane sceny, pola światłocienia, krwawe filtry, echo karabinów maszynowych nocy na Tlatelolco. Tej nocy zginęła podczas manifestacji młoda żona Jesusa Anibala i wdowiec został z kilkumiesięczną córeczką Enediną, która chodziła do tego samego przedszkola, do którego Lourdes odprowadzała swojego syna, czwartego Santiago z rodu Laury Díaz.

– Muszę ci coś powiedzieć, Lauro – Lourdes po tygodniach krążenia wokół tematu zdecydowała się w końcu na rozmowę z teściową, która już wszystkiego się domyśliła.

– Nie musisz mi niczego mówić, kochanie. Traktuję cię jak córkę i wszystko rozumiem. Nie wyobrażam sobie lepszej pary niż ty i Jesús Anibal. Wszystko was łączy. Gdybym była wierząca i praktykująca, dałabym wam moje błogosławieństwo.

Oprócz miłości łączyła ich praca. Lourdes, która wiele się nauczyła u boku Laury, mogła z powodzeniem pomagać Jesusowi jako asystentka operatora, ale była jedna rzecz, o której musiała powiedzieć Laurze: Otóż razem z mężem i dziećmi – Enediną i Santiago czwartym – wyjeżdżali do Los Angeles; Jesús dostał tam świetną propozycję pracy w filmie amerykańskim, a tu, w Meksyku, z rozkazu rządu Diaza Ordaza skonfiskowano mu filmy z Tlatelolco...

– Niczego mi nie tłumacz. Tak jakbym ja nie znała się na tych sprawach.

Została sama w mieszkaniu przy placu Rio de Janeiro.

Czwarty Santiago zostawił nikły ślad w pamięci swojej prababki, ten wyraz napawa mnie dumą, satysfakcją, pociesza i martwi, przejmuję strachem i smutkiem, z radością dostrzegam, że w końcu potrafiłam przewyciężyć próżność. Jestem prababką! ale także cieszy mnie to, że potrafiłam przewyciężyć śmierć, moją śmierć, tę, która towarzyszyła zawsze śmierci

każdego z moich trzech Santiago – i tego rozstrzelanego w Veracruz, i zmarłego w Meksyku, i zamordowanego na Tlatelolco; a teraz ten najmłodszy wyemigrował mi do Los Angeles, mój ty mały robotniku – chyba zacznę się śmiać, nigdy nie będę mogła wytrzeć ci mokrych plecków ręcznikami, które mama Letycja podarowała mi w posagu. Jak długo trzymają się niektóre rzeczy!...

Dla Laury Díaz mieszkanie w pojedynkę nie stanowiło problemu. Była sprawna, gospodarna, znajdowała przyjemność w drobiazgach, w słaniu łóżka, praniu i rozwieszaniu bielizny, w utrzymywaniu „formy”, jak powiedziała do Orlanda, robieniu zakupów w nowym supersamie Aurrerá, już nie na starym targu Parian na Alei Álvaro Obregona, gdzie chodziła w pierwszych latach po ślubie. Z opóźnieniem ujawnił się odziedziczony po matce, Letycji, zmysł kulinarny, odgrzebała jej stare przepisy z Veracruz, gotowała ryż z fasolą, mięso o nazwie *ropa vieja*, *tamales* na sposób veracruzanski, nadziewane kraby, ośmiornicę we własnym sosie, rybę pływającą w morzu cebuli, oliwek i pomidorów, mocną gorącą kawę, taką, jaką podawano w kawiarni „La Parroquia”, kawa gorąca jest najlepsza na upał – radziła doña Letycja Kelsen de Díaz. I jeśli właśnie wracała z innej słynnej kawiarni w parku Almendares de la Habana, jadła mdląco słodkie *tocinillo del cielo*, a w sklepie Celaya przy Alei 5 de Mayo kupowała najróżniejsze meksykańskie słodycze – mleczne *jamoncillos* w dwóch kolorach, marcepany i bataty, brzoskwinie, gruszki, figi, czereśnie i *chabacanos* w cukrze, a na śniadania przyrządzała sobie *chilaquiles* w zielonym sosie, jajecznicę po ranczersku, grzanki z kurczakiem, sałatę i świeże sery, jajka w czerwono-zielonym sosie i znowu różne meksykańskie bułeczki, chałki, drożdżówki, sezamki, kruche ciasteczka.

Laura klasyfikowała negatywy, sprzedawała swoje popularne zdjęcia, na które było zapotrzebowanie, przygotowywała książki – i ośmielała się prosić o napisanie do nich wstępu – niedawno wylansowanych pisarzy: Salvadora Elizonda, Sergia Pitóla, Elenę Poniatowską, Margo Glantz i młodych z grupy La Onda: José Agustina i Gustava Sainza. Diego Rivera zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku, Maria Izquierdo, Rodríguez Lozano, Alfonso Michel – artyści, których znała i którzy inspirowali ją artystycznie (fałszywa naiwność tej pierwszej, czernie, biele i czyste, brutalne szarości drugiego, inteligentne zadziwienie każdym kolorem trzeciego), też nie żyli; zostali tylko wielcy z przeciwnego obozu: Siqueiros – Wielki Pułkownik, z zaciśniętą pięścią wzniesioną w proteście przeciw uświęconej prędkości, z jaką pędzi świat, i Tamayo, piękny, skryty i milczący, z głową przypominającą wulkan Popocatepetl. Gdyby nie pamięć i wola, nie za bardzo byłoby się czego trzymać. Odchodzili jeden za drugim strażnicy zbiorowej pamięci...

W któryś pogodny wieczór, kiedy przestało padać i zapanowała piękna meksykańska jesień, ktoś zadzwonił do drzwi Laury. Otworzyła i z trudem rozpoznała kobietę ubraną na czarno – przede wszystkim zauważyła elegancki ciemny kostium z drogiego materiału, jakby to on miał zwracać uwagę na osobę, która przestała zwracać uwagę, gdyż jej twarz była niemal całkiem rozmyta, bez rysów, które można by zapamiętać, chyba nawet bez pamięci o utraconej piękności. Piękno mieszka w każdej młodej kobiecie. Nawet w brzydkiej. Przebijała natomiast z jej rysów wyraźna duma, skoncentrowana, bolesna, zapożyczona, to widać było wyraźnie w oczach speszonych, niepewnych i niespokojnych pod gęstymi brwiami, gdy nagle z ust nieznanym wydobyło się głośne oj! – równie mało oryginalne jak cała reszta – i kobieta spojrzała przerażona na podłogę.

– Upadło mi szkło kontaktowe – powiedziała.

– No to szukajmy – zaproponowała Laura Díaz.

Obie na czworakach przeszukiwały podłogę od samego progu, aż Laura wyczuła opuszką wskazującego palca kawałek wilgotnego plastiku. Drugą ręką dotknęła dłoni tej osoby, dalekiej, a jednak należącej do rodziny, i oddała zgubę Magdalenie Ayub Longorii.

Jestem żoną Dantona, synową Laury Díaz, wyjaśniła kobieta, wstając, nie odważyła się jednak włożyć odnalezionego szkła do oka. Laura poprosiła ją do środka.

– Och, w takim smogu szkła kontaktowe natychmiast zmieniają kolor na brązowy – powiedziała Magdalena i włożyła kawałeczek plastiku do torby firmy Chanel.

– Czy coś się stało Dantonowi? – uprzedziła jej słowa Laura. Na ustach Magdaleny zarysował się ślad uśmiechu, a potem zachichotała dziwnie, jakby wbrew własnej woli.

– Pani synowi... chciałam powiedzieć: mojemu mężowi... nie może się nic stać, to znaczy nic poważnego. Ale pani to wie. To urodzony szczęściarz.

Laura nic nie powiedziała, ale wzrokiem pytała ją: czego chcesz? no wyduś wreszcie.

– Boję się, proszę pani.

– Mów do mnie Laura, nie bądź śmieszna.

Wszystko w tej kobiecie – od fryzury po buty – było przybliżeniem, wątpliwością, gestem niepotrzebnym, ale starannie przemyślanym, żeby zachować pozory. Trzeba było wyprzedzić ją, powiedzieć jej, czego się boi, czy swojego męża, samej Laury, wspomnień, wspomnienia zbuntowanego syna, zmarłego syna, wnuka, który już jest na emigracji, z dala od kraju, w którym porywczosć bierze górę nad rozsądkiem i, co gorsza, nad samą pasją...

– Czego się boisz? – spytała Laura.

Usiadły obie na kanapie pokrytej niebieskim aksamitem, którą Laura przywlokła z Alei Sonora, ale Magdalena rozglądała się po zabałaganionym mieszkaniu, pełnym gazet, książek, papierów, wycinków i zdjęć poprzypinanych pinezkami do korkowych paneli. Laura zrozumiała, że ta kobieta widzi po raz pierwszy miejsce, z którego jej syn wyszedł po śmierć. Jej synowa długo patrzyła na obraz Adama i Ewy namalowany przez Santiago Młodsze.

– Musi pani o czymś wiedzieć, doña Lauro.

– Na Boga, mów mi ty! – Laura udała rozdrażnioną.

– Dobrze. Musisz wiedzieć, że nie jestem taka, na jaką wyglądam. Nie taka, jak myślisz. Podziwiam cię.

– Lepiej by było, gdybyś trochę bardziej kochała i podziwiała własnego syna – powiedziała z wielkim spokojem Laura.

– Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać, powinnaś to wiedzieć.

– Wiedzieć? – zapytała z powątpiewaniem Laura.

– Masz rację, że mi nie ufasz. Nieważne. Jeśli ty nie wysłuchasz mojej prawdy, to już nie mam do kogo pójść.

Laura nic nie powiedziała, ale spojrzała na synową z uwagą i respektem.

– Czy wyobrażasz sobie, co czułam, kiedy zabito Santiago? Przez twarz Laury przemknęła błyskawica:

– Widziałam ciebie i Dantona w łoży prezydenckiej na Olimpiadzie, kiedy jeszcze nie obeschła krew twojego syna.

Magdalena rzuciła jej błagalne spojrzenie.

– Proszę, wyobraź sobie mój ból, Lauro, mój wstyd, moją wściekłość, pomyśl, ile mnie kosztowało, żeby ją powstrzymać, nawyk posłuszeństwa wobec Dantona wziął górę nad cierpieniem, nad gniewem, i skończyło się tak jak zwykle, podporządkowałam się swojemu mężowi...

Spojrzała Laurze w oczy.

– Musisz to wiedzieć.

– Zawsze próbowałam sobie wyobrazić, co zaszło między tobą a Dantonem, kiedy zginął Santiago.

– Najgorsze, że nic nie zaszło. On żył dalej, tak jak do tej pory.

– Twój syn umarł. Ty żyjesz.

– Ja byłam martwa, jeszcze zanim umarł mój syn. Dla Dantona nic się nie zmieniło. Kiedy Santiago się zbuntował, przynajmniej był rozczarowany. Kiedy umarł, brakowało tylko, żeby Danton powiedział: „sam się o to prosił”.

Magdalena poruszała palcami, jakby skubała welon.

– Przyjechałam, żeby ci wszystko opowiedzieć. Nie mam nikogo innego. Już dłużej nie wytrzymam. Muszę ci się zwierzyć. Tylko ty mi zostałeś. Tylko ty możesz zrozumieć całą moją krzywdę, rozgoryczenie i ból, które gniją we mnie od tylu lat.

– Długo to w sobie trzymałaś.

– Nie myśl, że nie mam swojej godności; choć mogę ci się wydawać tak bardzo zależna od męża, nie wyzbyłam się osobistej dumy z tego, że jestem kobietą, żoną, matką, mimo że Danton od lat nie przychodzi do mnie do łóżka, Lauro, choćby z tego powodu zrozum, że mogę czuć wściekłość i dumę, będąc podległą i upokarzaną.

Zamilkła na chwilę.

– Nie jestem taka, na jaką wyglądam – powtórzyła. – Pomyślałam, że tylko ty możesz mnie zrozumieć.

– Dlaczego ja? – Laura pogładziła dłoń synowej.

– Bo ty przeżyłaś swoje życie jak wolny człowiek. Dlatego możesz mnie zrozumieć. To bardzo proste.

Laura chciała jej powiedzieć: co mogę dla ciebie zrobić teraz, kiedy za chwilę opadnie kurtyna, tak samo jak dla Orlanda, dlaczego wszyscy oczekują ode mnie, żebym napisała dla nich ostatni akt dramatu?

A jednak ujęła Magdaleny pod brodę i zapytała:

– Czy ty wierzysz, że był chociaż jeden moment w twoim życiu, kiedy wzięłaś sama, osobiście i do końca, odpowiedzialność za własne życie?

– Ja nie – pospiesznie odpowiedziała Magdalena. – Ale ty, Lauro, tak. Wszyscy to wiemy. Laura Díaz uśmiechnęła się.

– Nie mówię za ciebie. Mówię za siebie. Proszę cię, żebyś zadała mi pytanie. Zapytaj mnie, Magdaleno: czy ty sama zawsze stawałaś na wysokości swoich własnych oczekiwań?

– Nie, ja nie – wyjąkała Magdalena. – Oczywiście, że nie.

– Nie, nie rozumiałaś – powtórzyła Laura. – Zapytaj o to mnie. Proszę.

Magdalena wydusiła z siebie kilka niewyraźnych słów:

– Ty sama, Laura Díaz, zawsze stawałaś na wysokości swoich własnych wymagań...

– I wymagań innych ludzi... – dodała Laura.

– I wymagań innych ludzi – spojrzenie Magdaleny błysnęło, jakby uniosła się jakaś woalka.

– Nie czułaś nigdy pokusy? Zawsze chciałaś być widziana tylko jako zacna dama? Nie przyszło ci do głowy, że dwie rzeczy mogą iść w parze? Że można być zacną damą i przez to samo damą zdeprawowaną? – ciągnęła Laura.

Zamilkła na chwilę.

– Twój mąż, a mój syn, reprezentuje triumf deprawacji. Laura chciała być nieprzejednana. Na twarzy synowej zobaczyła odrazę.

– On zawsze uważał, że od niego zależy życie wszystkich dookoła. Przysięgam ci, że go nienawidzę i że nim gardzę. Przepraszam.

Laura przycisnęła głowę Magdaleny do piersi.

– A nie pomyślałaś, że ofiara twojego syna odkupiła wszystkie winy Dantona?

Teraz Magdalena odsunęła się od Laury i spojrzała na nią zdezorientowana.

– Musisz to zrozumieć, kochanie. Jeśli tego nie zrozumiesz, to znaczy, że twój syn umarł na próżno.

Santiago, syn, odkupił winy Dantona, ojca. W oczach Magdaleny była mieszanina zniechęcenia, przerażenia i sprzeciwu. Siedemdziesięciodwuletnia kobieta, nie wdowa, nie

matka, nie babka, po prostu kobieta, która nazywa się Laura Díaz, patrzyła przez szybę, jak jej synowa Magdalena Ayub idzie ulicą, zatrzymuje taksówkę i rzuca pożegnalne spojrzenie w stronę okna. Laura pożegnała ją serdecznie, błagając: zrozum, co ci powiedziałam, nie proszę cię o rezygnację, tylko o odwagę, o zdecydowanie, o nieoczekiwany triumf nad człowiekiem, który spodziewa się po swojej uległej żonie wszystkiego, ale nie szlachetności przebaczenia.

Laura podchwyciła uśmiechnięte spojrzenie synowej, zanim ta wsiadła do taksówki. Być może następnym razem przyjedzie własnym samochodem, z własnym kierowcą, nie ukrywając się przed mężem.

XXV. Catemaco: 1972

Wsiadła do pociągu „Interoceánico”, którym wielokrotnie jeździła do Veracruz. Jak tyle innych rzeczy z przeszłości ten luksusowy niegdyś pociąg, kursujący między stolicą, Xalapa i portem, stał się mniejszy i oczywiście starszy. Zniszczone obicia, zapadnięte fotele, wystające sprężyny, mętne szyby, poplamione oparcia, zapchane ubikacje. Laura postanowiła wziąć osobny przedział w pulmanowskim wagonie, oddzielony od reszty sypialnego, który w dzień wracał do swojej roli zwyczajnego środka transportu, a w nocy w cudowny sposób spuszczano z góry już zaścielone łóżka, z białymi poduszkami i świeżymi prześcieradłami przykrytymi zielonym kocem. Także i siedzenia zamieniały się w łóżka i na czas snu zasłaniano je ciężkimi brezentowymi kotarami zapinanymi na miedziane guzy.

Sypialny przedział, który zajmowała Laura, zachował natomiast elegancję *fané*, jak by powiedział Orlando Ximénez, z patynowanymi lustrami, umywalkami z połączanymi kurkami, coś w rodzaju *trompe l'oeil* (Orlando), i – w dowód nieprzewycięzonego anachronizmu – srebrną spluwaczką, taką, jakie były u niej w domu przed laty, kiedy Juan Francisco spotykał się z przywódcami robotników. Mydła Palmolive. Ręczniki udające dawno minioną nowość. A jednak emanowała z tego przedziału jakaś nostalgia za utraconą świetnością. Ten pociąg łączył stolicę kraju z jego głównym portem, a tej nocy wiozł Laurę w pełną emocji podróż, która miała udowodnić, że powrót do domu jednak jest możliwy. Szkopuł w tym, że bilet Meksykańskich Kolei Państwowych upoważniał do przejazdu tylko w jedną stronę.

Spała całą noc. Xalapa minęła niezauważenie, droga na hacjendę San Cayetano zarosła trawą, natomiast port o rannej godzinie przywitał ją tą mieszaniną wczesnego chłodu, który zawiera w sobie – i to jest w nim cudowne – zapowiedź upalnego dnia pełnego słońca. Nie chciała jednak zbyt długo zatrzymać się w tym owianym nostalgią miejscu, które przywoływało silne wspomnienia dzieciństwa: spaceru na molo za rękę z pierwszym Santiago i śmierć brata pochowanego w morskiej głębinie.

Rozkoszowała się raczej, odpoczywając w swoim pokoju na poddaszu w hotelu Imperial, pozornym spokojem zatoki, której horyzont w najpiękniejszy dzień kryje w sobie niespodziankę: sztorm, północne wichry, deszcz... A wieczorem zeszła na plac, usiadła sama przy stoliku w podcieniu i poczuła się tak wspaniale jak nigdy dotąd – takie właśnie wrażenia ma się zawsze wieczorem, na rynku w Veracruz – pośród gwaru, tłumu ludzi, kelnerów biegających tam i z powrotem z pełnymi tacami, serwujących coca-colę z rumem, *mojitos* i specjalność Veracruz, *mint-julep*, czyli rum z gałązką mięty.

Zespoły muzyczne z całego kraju – bębny z północy, *mariaquis* z zachodu, tercety grające bolera ze stolicy, gitarzyści z Yucatanu, marimby z Chiapas, gitary z Veracruz grające *son* – tworzyły podniecającą kakofonię, która uciszała się z całym szacunkiem tylko wtedy, kiedy przed Ratuszem rozpoczynał się wieczór taneczny i najsłynniejsze pary stawały przed orkiestrą, by tańczyć *danzón*, w którym poruszają się tylko nogi, a tułów jest nieruchomy, ale naładowany takim erotyzmem, jakby minimalny ruch stopy wyzwalał zmysłowy dreszcz w całym ciele.

Tu przychodziła na tańce w swoich ostatnich latach cioteczka Maria de la O ze wspomnianym już Maciejem Matadamasem, który zapewne był człowieczkiem tak samo chudym i mało kontaktowym i miał wszystko w niebieskawym odcieniu – włosy i skórę, marynarkę i krawat, buty i skarpetki – podobnie jak ów mężczyzna, który widząc Laurę samą,

poprosił ją do tańca, gdy grano znaną melodię *Nereidas*, ukłonił się bez słowa, potem również się nie odzywał, ale ona w czasie tańca myślała: co straciłam, a co zyskałam? czy już nie mam nic do stracenia? Jak odmierzam moją życiową drogę? Czy tylko głosami, które wynurzają się z przeszłości i rozmawiają ze mną tak, jakby stały tuż obok? Czy mam dziękować za to, że nikt nie będzie mnie oplakiwał? Czy wystarczy sama myśl, że jestem stara, aby tak było naprawdę? Co straciłam, a co zyskałam?

Niebieskoszary staruszek odprowadził ją z szacunkiem do stolika. Łzawiło mu jedno oko i nigdy się nie uśmiechał, ale w tańcu potrafił adorować ciało kobiety wzrokiem, rytmicznym prowadzeniem, silnym ujęciem ręki i talii partnerki. Mężczyzna i kobieta. *Danzón* zawsze był tańcem najbardziej zmysłowym, gdyż umiał zmienić odległość z dalekiej na bliską, przy zachowaniu dystansu.

Czy Laura usłyszy jeszcze kiedyś *Nereidas* i zatańczy, tak jak tańczyła w wieczór poprzedzający jej podróż do Catemaco? Wyjechała hotelową taksówką z Imperialu, a kiedy przybyli nad lagunę, wysiadła i powiedziała kierowcy, żeby wracał do Veracruz.

– Nie chce pani, żebym poczekał?

– Dziękuję, nie trzeba.

– A pani walizki? Co mam powiedzieć w hotelu?

– Niech mi je przechowają. Do widzenia.

Dom w Catemaco z daleka wydawał się inny, jakby podczas jej nieobecności wszystko stało się mniejsze, ale również dłuższe i węższe. I znowu powrót do przeszłości był jak wejście w pusty i nieskończenie długi korytarz, gdzie już nie znajdziemy ani przypisanych do niej rzeczy, ani osób, które chcielibyśmy raz jeszcze spotkać. Tak jakby rzeczy i osoby istniejące w przeszłości igrały w ten sposób z naszą pamięcią i wyobraźnią, jakby nas prowokowały, żeby je umieścić w teraźniejszości, nie odbierając im przeszłości, a także i przyszłości, choćby ta była w końcu tylko wspomnieniem przybierającym ich postać, i to znowu w czasie teraźniejszym.

Ale jeśli się stoi w obliczu śmierci – jaki czas w życiu jest naprawdę ważny? Ach, westchnęła Laura Díaz, zapewne trzeba by było każdy rok życia przebiec pamięcią, przypomnieć sobie, wyobrazić, być może uzupełnić to, co nigdy nie nastąpiło, nawet to, co trudno sobie wyobrazić, poprzez samą obecność istoty, która reprezentuje to wszystko, czym nie była, czym była, czym mogła być, a co było dla niej nieosiągalne.

Dziś tą istotą była ona, Laura Díaz.

Od czasu, kiedy doktor Teodoro Césarman potwierdził, że rak zostawił jej – przy najlepszej opiece – nie więcej niż rok życia, Laura Díaz postanowiła pojechać jak najprędzej do miejsca, gdzie się urodziła, i dlatego w ten piękny poranek majowy tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku weszła na niewielkie wzgórze, gdzie droga prowadziła do starego domu rodzinnego Kelsenów, opuszczonego czterdzieści lat temu, kiedy zmarł dziadek Felipe. Z pieniędzy za wynajem budynków i ziemi żyły trzy niezamężne siostry, rodzina chorego Fernanda Diaza utrzymywała się przy zapobiegliwości matki Laury, doñi Letycji Kelsen, kiedy jednak ziemie hacjendy „La Peregrina” zostały wywłaszczone, Mutti zdecydowała się przewyciężyć obiekcje całej rodziny i wynajmować pokoje gościom, pod warunkiem, że „będą to znajomi”.

Laura uśmiechnęła się, wspominając to poczucie godności rodziców, i przygotowała się, by z tym uśmiechem spojrzeć na ruinę starego domu na plantacji kawy, jednopiętrowego, z czterema bielonymi ścianami wokół wewnętrznego patio, gdzie bawiła się jako dziecko i skąd drzwi prowadziły do wszystkich pomieszczeń mieszkalnych, do sypialni, salonu, jadalni, gdyż z zewnątrz – teraz widziała to z daleka – wszystkie ściany były ślepe. Niewytłumaczalna nieśmiałość zatrzymała Laurę na drodze do miejsca swych korzeni, tak jakby przed wejściem do rudery jej dusza zapragnęła na nowo nasycić się widokiem bujnej przyrody, i patrzyła na drzewa figowe, tulipanowce, czerwone lilie, palisandry i okrągłe kopuły drzew mangowych.

Otworzyła ostrożnie bramę i przymknęła powieki, szła po omacku wzdłuż widzianego oczyma wyobraźni korytarza, oczekując skowytu wiatru w przedsionkach, jęków zmurszałych drzwi, skrzypienia chorych zawiasów, pokładów zapomnianego kurzu... Po co oglądać ruinę rodzinnego domu, to tak jakby zobaczyć obrócone wniwecz własne dzieciństwo, nic to nie da, że Laura Díaz teraz, w wieku siedemdziesięciu czterech lat, słyszała wyraźnie szuranie miotły starego Zampayity zamiatającego podwórze i słowa jego piosenki: „kiedy tańczy Murzynek Zampaya, wszystkim czkawka od razu ustaje, bo ten taniec, ten taniec, ten taniec taką siłę ma...”, i widziała siebie w dniu swoich urodzin, kiedy wcześniej rano, jeszcze w nocnej koszulce, skakała wokół patio i śpiewała: „dwunastego maja Święta Panna wstała i swe białe szatki na się przyodziła”; a z salonu, gdzie ciotka Hilda marzyła o karierze wielkiej pianistki w Niemczech, dobiegały do niej melancholijne tony nokturnu Chopina razem ze strofami wierszy Rubena Daria, deklamowanymi przez ciotką Virginia spragnioną sławy wielkiej poetki wydawanej w stolicy, z kuchni zaś, którą bez słowa skargi zarządzała jej matka, Letycja, dochodziły zapachy smakowitych potraw czekających na powrót z pola dziadka Felipe, pracowitego, zdyscyplinowanego plantatora, co na zawsze zarzucił młodzieńcze marzenia egzaltowanego niemieckiego socjalisty...

Tak więc, po omacku, Laura Díaz poruszała się po rodzinnym domu, przekonana, że zmysł orientacji jej nie zawiedzie i że trafi do swojej dziecięcej sypialni, otworzy drzwi wychodzące na patio, podejdzie do łóżka, dotknie go, usiądzie na nim, wyciągnie rękę i natrafi wśród poduszek na lalkę, szczęśliwą na swoim łożu orientalnej księżniczki Li Po, jej ukochaną laleczkę z główką, rączkami i nóżkami z porcelany i szmacianym tułowiem, w czerwonym jedwabnym stroju mandaryna, i z wymalowanymi brwiami pod jedwabną grzywką. I Laura, otworzywszy oczy, rzeczywiście znalazła ją wśród poduszek, jakby Li Po czekała, że ona obejmie ją i utuli, że tak jak kiedyś, jak zawsze, poruszy jej porcelanową główką, żeby oczka zamknęły się i otworzyły pod cieniutkimi brwiami namalowanymi nad powiekami tchnącymi spokojem, ale i oczekiwaniem. Li Po nie starzała się.

Laura Díaz z okrzykiem radości przytuliła do siebie Li Po, rozejrzała się po swojej dziecięcej sypialni – była starannie wysprządana, dzban i miednica stały na swoim miejscu, szafa z ubraniami z dzieciństwa, na drzwiach zasłonki z białej gazy zawieszane na miedzianych prętach. Ale przecież Li Po została w domu Fridy Kahlo. Kto ją przywiózł z powrotem do Catemaco?

Wyszła z sypialni i zobaczyła idealnie czyste patio tonące w kwiatkach geranium, pobiegła do salonu i natknęła się na wiklinowe meble dziadków, mahoniowe stoliki z marmurowymi blatami, lampy przywiezione z Nowego Orleanu, gablotki z porcelanowymi pasterkami i dwa obrazki z małym łobuziakiem i psem, na pierwszym z nich łobuziak drażni kijem śpiącego psa, a na drugim obudzony pies gryzie łobuziaka w „miejsce do siedzenia”, a ten płacze z bólu...

Szybko przeszła do jadalni i zastała to, czego już się spodziewała – stół nakryty białym wykrochmalonym obrusem, ustawione równiutko krzesła, po trzy z każdej strony fotela, stojącego na głównym miejscu, zarezerwowanego dla dziadka Felipe. Przed każdym krzesłem odpowiednio rozmieszczona dreźnieńska porcelana, ułożone równiutko noże, widelce, łyżki, a po prawej stronie każdego talerza sztywna serwetka zwinięta w rulonik, objęta srebrną obrączką z wypisanym imieniem: Felipe, Cosima, Hilda, Virginia, Letycja, Maria de la O, Laura...

A na talerzu prababki Cosimy kilka drogocennych przedmiotów: złota obrączka, pierścionek z szafirem i pierścien z palca serdecznego z perłami...

To sen – pomyślała Laura Díaz. – Wszystko to śnię. A może już umarłam i o tym nie wiem.

Drzwi od jadalni otwały się gwałtownie i stanęła w nich śniada postać wąsatego bruneta w długich butach, drelichowych spodniach i mokrej od potu koszuli. Trzymał w rękach dubeltówkę, na czole miał czerwoną chustkę, by pot nie zalewał mu oczu.

– Przepraszam panią – powiedział miękkiem głosem, z veracruzanskim akcentem, zjadając końcówki. – To jest własność prywatna, trzeba prosić o pozwolenie...

– To ja przepraszam – odpowiedziała Laura Díaz. – Ale ja się tu wychowałam. Chciałam zobaczyć ten dom, zanim...

– Pan nie pozwala nikomu wchodzić tu bez pozwolenia, za przeproszeniem pani.

– Pan?

– A pewnie. Niech pani zobaczy, ile się napracowałam, żeby ten dom wyremontować, tu wszystko się waliło, a kiedyś podobno to była największa hacjenda w Catemaco. Potem nastał pan i teraz dom jest jak nowy. Chyba z pięć lat zbierał te rzeczy, powiedział, że dom musi być taki jak sto lat temu czy jakoś tak.

– Pan? – powtórzyła z naciskiem Laura.

– No jasne, psze pani. Don Danton jest panem tego domu i całej ziemi, aż do laguny...

Zawahała się na chwilę, czy zabrać Li Po ze sobą, czy zostawić ją w sypialni, ułożoną wygodnie wśród poduszek. Wyglądała na szczęśliwą, widać, że było jej dobrze na dawnym miejscu... Jeszcze raz przebiegła myślą wspomnienia, salon, jadalnię, srebrne obrączki...

– Odpoczywaj, Li Po, śpij, bądź szczęśliwa. Zawsze będę nad tobą czuwać.

Na patio młody dozorca popatrzył na nią przeciągle, tak jakby ją znał od dawna. Wyszła na pola i pomyślała, że choć są one tak rozległe, zawsze będzie to tylko skromna pięćdziesiątka ziemi, która każdemu z nas przysługuje na wieki za to, że spędziliśmy jakiś czas na tym świecie. Tego majowego popołudnia z większym niż kiedykolwiek zachwytem podziwiała idealną symetrię araukarii, która przy każdym pączku, wyrastającym z gałęzi, tworzy natychmiast drugi identyczny: czyja sama będę się tak reprodukowałam, czy sama będę drugą Laurą Díaz, inną, nie powieloną we mnie samej, tylko w moich przodkach albo potomkach, w ludziach, od których pochodzę albo których zostawiłam na świecie, tych, do których idę, i tych, od których odeszłam; cały świat będzie wielką araukarią, która na każdy kwiat będzie reagowała jego wierną kopią; oby nie zwała jej burza, niech od pioruna strzeże ją piorun – cudowne drzewo o żółtych kwiatach, odporne zarówno na huragan, jak i na suszę...?

Weszła do lasu. W miarę jak selwa otwierała się przed nią, myśli biegły coraz szybciej. Niosła ciężar życia swojego i tych, którzy towarzyszyli jej na dobre i na złe; dlatego życie jej, Laury Díaz, nie kończy się, bo moje życie to nie tylko ja sama, to wiele linii, wiele pokoleń, to prawdziwa historia, ta, która została przeżyta, ale przede wszystkim ta, która została wymyślona; czy jestem tylko płaczką, ucieleśnionym bólem, żałobą? Nie, nie zgadzam się na taki mój obraz, zawsze chodziłam wyprostowana, nigdy nikogo nie błagałam, idę i próbuję mierzyć drogę mojego życia, mierzę ją głosami, które dochodzą do mnie z przeszłości i wymawiają wyraźnie, jakby z bardzo bliska, imiona, wygrawerowane na siedmiu srebrnych stołowych obrączkach, imiona czterech Santiago i czterech mężczyzn mojego życia – Orlando, Juan Francisco, Jorge i Harry; nie będę zboląła, nie będę rozpaczać, będę szła wyprostowana, choćbym musiała zgodzić się z pokorą, że nigdy nie stanę się władczynią natury, natura nas przeżyje i prosi nas, żebyśmy nie chcieli być jej władcami, tylko jej częścią, wrócić do niej, zostawić za sobą historię, czas i ból przemijania, porzucić na zawsze złudzenia, że mieliśmy na własność coś czy kogoś, nawet nasze dzieci, nawet nasze miłości, Laura Díaz miała na własność tylko swoją sztukę, tylko coś, co mogła oddać innym poza własnym ciałem... ciało Laury Díaz, chwilowa, ograniczona forma...

Przypomniała sobie, jak jej brat, pierwszy Santiago, chciał zatracić się w tropikalnym lesie i jak w końcu zatracił się w morzu.

Ona spełni pragnienie Santiago Starszego. Stanie się selwą, tak jak on stał się morzem.

Wejdz do puszczy tak, jak się wchodzi do pustki, z której nie powróci żadna wiadomość.

Towarzyszyło jej niedokończone życie brata, syna i wnuka.

Towarzyszyło jej spojrzenie i pytanie dziadka Felipe Kelsena: czy istniało chociaż jedno życie doprowadzone do końca, jedno jedyne, które by nie było przerwana obietnicą, nieujawnioną możliwością...?

Laura przypomniwała sobie dzień śmierci dziadka, kiedy ujęła jego dłoń o nabrzmiąłych żyłach, usianą starczymi plamami, pogładziła zużyta, niemal przezroczystą skórę i zrozumiała, że każdy z nas żyje dla innych, że nasza egzystencja ma sens tylko wtedy, gdy jest uzupełnieniem niedokończonych losów...

– Przecież ci mówiłem, dziecko. Wszystkie moje ataki wybrały sobie ten sam dzień, no i tak się to kończy... Ale zanim odejdę, chcę powiedzieć, że miałaś rację. W środku puszczy rzeczywiście stoi kamienna kobieta obwieszona klejnotami. Skłamałem ci świadomie. Nie chciałem, żebyś oglądała się na przesady i czary, Lauro. Zaprowadziłem cię do ceiby, żebyś nauczyła się posługiwać w życiu rozumem, a nie fantazją i entuzjazmem, co mnie tak drogo kosztowało w młodości. Bądź przezorna. Ceiba pokryta jest kolcami, ostrymi jak sztylety, pamiętasz?

– Oczywiście, dziadku...

Selwa jest wysoka jak jej własny oddech, jest głęboka jak bicie jej własnego serca.

Leśne drogi rozchodzą się w dwie strony.

Jedna prowadzi do kamiennego posągu, indiańskiego wizerunku kobiety opasanej sznurami ślimaków i węży, z koroną malowaną na kolor zielony przez mimetyczną przyrodę; posąg zdobią naszyjniki, pierścienie, bransolety na ramionach, kolczyki w nosie, w uszach...

Druga droga prowadzi do ceiby, królowej dziewiczej selwy, z koroną z grubych kolców, które jak ostre sztylety pokrywają wzdłuż i wszerz całą jej brązową postać, bez wieku, nieruchomą, ale pełną tęsknoty, otwierającą ramiona gałęzi w oczekiwaniu na śmiertelną pieszczotę, którą jej wielkie ciało, pokryte zabójczymi igłami, może i chce ofiarować.

Laura Díaz mocno, ze wszystkich sił, jakie jeszcze jej zostały, objęła ceibę, matkę, opiekunkę, królową pustki, z której już nigdy nie powróci żadna wiadomość.

XXVI. Los Angeles: 2000

W rok po napadzie na mnie w Detroit zostałem zaangażowany do zrobienia reportażu o Los Angeles. Tym razem moja pasja i profesja w cudowny sposób się połączyły: miałem obsługiwać odsłonięcie odrestaurowanego muralu, który w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku namalował David Alfaro Siqueiros na ulicy Olvera.

Ta „typowa” uliczka została wymyślona przez Amerykanów pochodzenia angielskiego, aby złożyć hołd hiszpańskiej przeszłości miasta La Puebla de Nuestra Señora de Los Angeles de Porciúncula, założonego w tysiąc siedemset sześćdziesiątym dziewiątym roku przez hiszpańską ekspedycję poszukującą odpowiednich miejsc dla utworzenia misji chrześcijańskich, a także by przypisać samym sobie – powiedziała Enedina Pliego do Santiago Lopeza Alfara, kiedy wlekli się dwanaście kilometrów na godzinę po autostradzie z Pomona – romantyczną przeszłość i poprawić samopoczucie dzisiejszym Meksykanom, którzy nie mieszkali na malowniczej uliczce Olvera, ale z dokumentami czy bez i w liczbie przekraczającej milion, w slumsach East Los Angeles i kursowali autobusami lub pracowniczymi furgonetkami do West Los Angeles, żeby tam pielęgnować trawniki i róże.

– Mój dziadek cwałował z Zapatą w Morelos – powiedział stary ogrodnik, który poprosił ich o podwiezienie w Pomonie. – Teraz ja cwałuję autobusem z Whittier do Wilshire.

Stary śmiał się głośno, powiedział, że teraz Los Angeles w Kalifornii to jego miejsce pracy, a Ocotepc w stanie Morelos to miejsce wypoczynku, tam wysyła swoje dolary, spędza wakacje i odwiedza bliskich.

Spojrzelśmy na siebie z Enediną i też się roześmieliśmy.

Wszyscy troje mieszkaliśmy w Los Angeles, ale rozmawialiśmy tak, jakbyśmy byli w tym mieście cudzoziemcami, imigrantami przybyłymi tu tak niedawno jak ci, którzy dopiero co uciekli straży granicznej przez mur wzniesiony pomiędzy San Diego i Tijuana, pomiędzy dwiema Kaliforniami. Wystarczyło, że wyjechałem na rok z miasta, aby wszyscy, łącznie z moją narzeczoną Enediną, myśleli, że opuściłem je na zawsze, bo takie panowały tu reguły, świeżo przyjechałeś, a już zbierasz się do odjazdu albo właśnie wyjechałeś, w tym mieście zawsze jesteś przejazdem; ale to nieprawda, mówiliśmy, Enedina i ja, my – Indianie, Hiszpanie i Meksykanie – byliśmy tu najwcześniej ze wszystkich i nie wyginęliśmy, przeciwnie, jest nas tu coraz więcej, następujące jedna za drugą fale meksykańskiej emigracji przybywały do Los Angeles, tak jakby wracały do siebie... W ciągu tego wieku, który właśnie się skończył, najpierw przybyli tu ci, którzy uciekali przed dyktaturą Porfiria Diaza, potem ci, którzy uciekali przed rewolucją, potem *cristeros*⁹, wrogowie Naczelnego Wodza Callesa, potem sam Calles wygnany przez Cardenasę, potem najemnicy, żeby wspomóc działania wojenne, potem gigolaki z okrzykiem: „masz mnie, bierz mnie” i zawsze biedni, biedni, którzy stworzyli bogactwo i sztukę tego miasta, biedni Meksykanie, którzy tu pracowali, założyli małe firmy i potem stali się bogaci, analfabeci, którzy tu poszli do szkoły i nauczyli się tłumaczyć to, co nosili w sobie, taniec, poezję, muzykę, powieść: wszyscy oni znaleźli się na gigantycznym muralu, pełnym jednoznacznych, natrętnych symboli, Matka Boska z Gwadelupy, Emiliano Zapata, Calavera Catrina, Comandante Marcos – dzisiejszy

⁹ Cristeros – uczestnicy powstania pod hasłem: „Niech żyje Chrystus Król” z 1927 roku przeciwko antykościelnym posunięciom prezydenta Callesa (przyp. tłum.).

człowiek w masce, i Zorro – niegdysiejszy człowiek w masce, Joaquín Murrieta – bandyta, i Fray Junípero Serra – misjonarz...

– Nie udało im się zniszczyć Siqueirosa! – Roześmiałem się, prowadząc wolniutko, zgodnie z zasadą, że jazda samochodem po Los Angeles jest równoważna z „czytaniem miasta w oryginale”.

– Wyobrażasz sobie, jak się wścieknie sponsorka, kiedy zobaczy to, co zobaczymy my oboje? – powiedziała Enedina, która przybyła do Los Angeles w wieku trzech lat, razem ze swoim ojcem, operatorem filmowym Jesusem Anibalem Pliego. Jesús ożenił się z Lourdes Alfaro de López, oboje stracili współmałżonków na Tlatelolco i każde z nich zostało z dzieckiem; ich dzieci, Enedina i ja, pólsieroty, byliśmy towarzyszami zabaw, przyjaciółmi, a teraz kochankami.

Los Angeles niby gigantyczny meksykański mural, podniesione jak kolorowy dok, żeby cała Kalifornia, oglądana teraz przez parę młodych kochanków i starego ogrodnika ze wzgórz Puente, nie wylała się z gór do morza w finalnym trzęsieniu ziemi... Odchodzić. Wracać. Albo przybywać tu po raz pierwszy. Ze wzgórz widać było Ocean Spokojny, zasnuty welonem dymów, a u stóp gór, pod smogiem, rozciągało się miasto bez centrum, wielorasowe, wielojęzyczne, emigracyjna wieża Babel, Konstantynopol Pacyfiku, strefa wielkiego poślizgu z kontynentu donikąd...

Tam dalej nie było niczego. Tu kończył się kontynent, który zaczynał się w pierwszym wielkim mieście, Nowym Jorku, i kończył w drugim, być może ostatnim – Los Angeles. Już zabrakło przestrzeni, żeby zdobywać przestrzeń. Teraz trzeba było wynosić się na Księżyc albo do Nikaragui, na Marsa albo do Wietnamu. Zabrakło ziemi dla pionierów, zużyła się epika ekspansji, zachłanności, jasnych celów, filantropii, chęci natychmiastowego zbawienia świata, odmawiania innym ich własnego losu i narzucania im, dla ich własnego dobra, przyszłości amerykańskiej...

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, kiedy jechałem w żółwym tempie po szosach pomyślanych dla zajęcy nowoczesnego świata. Widziałem asfalt i beton, ale również rozwój, budownictwo, parcele wystawione na sprzedaż, stacje benzynowe, bary szybkiej obsługi, multikina, najrozmaitsze puby rockandrollowe w wielkim mieście Los Angeles, a jednak, w moim umyśle młodego fotografika, prawnuka Laury Díaz, na migawki miasta nakładały się inne obrazy, zupełnie z nim nie związane: tropikalna rzeka wpadająca do morza z rykiem huraganu, ptaki śmigające jak błyskawice w meksykańskich selwach, gwiazdy rozsypujące się w pył na przestrzeni wieków, które okazują się chwilą, zaniedbany, biedny świat i śmierć umywająca zakrwawione ręce w zdrowotnych kąpieliskach Puerto Escondido, tam gdzie ja sam zostałem poczęty przez ojca, trzeciego Santiago, i matkę Lourdes Alfaro, która żyje do tej pory... Ceiba w tropikalnym lesie.

Potrząsnąłem głową, aby odpędzić od siebie te wizje i skoncentrować się na własnym projekcie, z powodu którego wróciłem do Los Angeles, nadając pojęciową ciągłość wartkiemu strumieniowi impresji z tego kalifornijskiego Bizancjum. Przygotowywałem album poświęcony wszystkim muralistom meksykańskim w Stanach Zjednoczonych, zrobiłem już zdjęcia prac Orozca w Dartmouth i w Pomonie, w dokach Nowego Jorku odkryłem zakazane murale Diega Rivery z Rockefeller Center i New School, a teraz wracałem do Los Angeles, do miasta, gdzie dorastałem, kiedy moja matka i jej drugi mąż Jesús Anibal z córką Enediną porzucili Meksyk w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, nie mogąc przeboleć nowej rany, jaką zadano miastu na placu Tlatelolco; wracałem, żeby sfotografować, w siedemdziesiąt lat po jego namalowaniu, mural Siqueirosa na ulicy Olvera.

– Olvera Street – oznajmiła z fałszywą powagą Enedina. – Disneylandia ukazująca tropikalny folklor Indian Totonaków.

Zwróciło moją uwagę, że meksykańskie murale w Stanach Zjednoczonych stale były przedmiotem cenzury, kontrowersji i obliteracji. Czyżby artyści byli zwyczajnymi

prowokatorami, a ich mecenasami po prostu tchórzami? Jak mogli być tak naiwni, żeby myśleć, że Rivera, Orozco czy Siqueiros będą malowali dzieła konwencjonalne, dekoracyjne, wedle gustu tych, którzy im płacili? Ci amerykańscy Medyceusze, ślepi, hojni i zarazem skąpi, być może sądzili – to była sugestia Enediny – że zamówienie i opłacenie dzieła sztuki samo w sobie wystarcza, aby móc pozbawić je zamysłu krytycznego, uczynić bezwolnym i tak wykastrowane włączyć do swoistego dziedzictwa purytańskiej filantropii wolnej od podatków.

Stary ogrodnik podziękował za podwiezienie i wysiadł w Wilshire, żeby poszukać następnej okazji do Brentwood. Santiago i Enedina życzyli mu szczęścia.

– Pamiętajcie – powiedział z uśmiechem staruszek rodem z Ocotepc – jak usłyszycie, że jakiś ogród potrzebuje opieki, zawiadomcie mnie, to zajmę się nim z przyjemnością. Wy nie macie własnego ogrodu?

Pojechaliśmy z Enediną na Olvera Street.

Przez jakiś czas przyglądaliśmy się dziełu Siqueirosa, namalowanemu na wysokiej zewnętrznej ścianie dwupiętrowego budynku. Mural został odrestaurowany po siedemdziesięciu latach. Na tyle lat oślepieno go i zmuszono do milczenia. Został zamówiony w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym przez bogatą damę z Kalifornii, która usłyszała o „Meksykańskim Renesansie*”, a jako że Rivera był zajęty w Detroit, a Orozco w Dartmouth, zaangażowała Siqueirosa i zapytała go, jaki będzie temat pracy.

– Ameryka Tropikalna – palnął bez wahania malarz o płomiennych zielonych oczach, kręconych, potarganych włosach, wielkich nozdrzach, który, rzecz dziwna, miał kłopoty z wysławianiem się, mówił niepewnie i pomagał sobie wyrażonkami w rodzaju „eee”, „tego”, „no nie?”

Bogata dama, słysząc tę odpowiedź Siqueirosa, wyobraziła sobie cudowne palmy i zachody słońca, gibkie dziewczyny tańczące rumbę i chwackich młodzieńców, kolorowe dachówki i dekoracyjne nopale. Podpisała czek i dała artyście wolną rękę.

W dniu inauguracji, na starym placu, wobec licznie zgromadzonych przedstawicieli władz i osób z towarzystwa, odsłonięto mural i ukazała się Ameryka Łacińska jako umęczony, ukrzyżowany Chrystus o ciemnej skórze. Ameryka Łacińska naga, konająca, rozpięta na krzyżu, nad którym unosił się straszny, drapieżny orzeł z godła Stanów Zjednoczonych...

Sponsorka zemdląła, władze podniosły wrzask, Siqueiros wysłał Los Angeles do wszystkich diabłów, a następnego dnia rano po muralu został ślepy mur: był całkowicie pokryty wapnem, niewidzialny dla świata, tak jakby nigdy nie istniał. *Nothing*. Nic.

Tego wieczoru Enedina bardziej niż ja była wzruszona widokiem odrestaurowanego malowidła. Moja dziewczyna o zielonych oczach i oliwkowej cerze podniosła ramiona i zebrała długie włosy na karku, splatając je w sztywny warkocz, który jak piorunochron rozładowywał jej emocje. Rekonstrukcja tego muralu była rekonstrukcją jej samej, jak mi później powiedziała, była legitymacją jej całkowitej przynależności do *chicanos*, społeczności, która była w takim samym stopniu meksykańska jak i amerykańska. Nie trzeba było niczego ukrywać, niczego udawać, to była ziemia dla wszystkich, dla wszystkich ras, wszystkich języków, wszystkich historii. To był jej los, bo takie były jej korzenie.

Ja natomiast byłem zbyt zajęty samym fotografowaniem, zadowolony, że wreszcie zlecona mi praca zbiegała się z moim własnym projektem – książką na temat meksykańskich malowideł na amerykańskich budynkach. Ten projekt o mało co nie został przerwany w Detroit, kiedy napadnięto mnie i pobito po wyjściu z Instytutu Sztuki, gdzie w trakcie fotografowania muralu Rivery o industrializacji odkryłem twarz kobiety, która była moją twarzą, bo pochodziła z mojej krwi i mojej pamięci, odkryłem Laurę Díaz, babkę mojego ojca Santiago, zamordowanego na Tlatelolco, matkę innego Santiago, który nie mógł spełnić pokładanych w nim nadziei, ale być może przekazał wnukowi swego brata ciągłość

artystycznej pasji, siostrę pierwszego Santiago rozstrzelanego w Veracruz i wrzuconego w fale Zatoki Meksykańskiej.

Tu i teraz, w Los Angeles, w tej amerykańskiej wieży Babel, w tym Bizancjum Pacyfiku, utopii nadchodzącego wieku, zamykałem rozdział moich artystycznych i rodzinnych powiązań, kronikę, którą wspólnie z Enediną zdecydowaliśmy się nazwać *Lata z Laurą Díaz*.

Czy coś jeszcze zostało do powiedzenia? – spytała mnie Enedina tej nocy, kiedy leżeliśmy nadzy, przytuleni do siebie w naszym mieszkaniu na Santa Monica, wsłuchani w szum morza.

Tak, zapewne było coś więcej, ale dotyczyło to naszej własnej historii: od dziecka byliśmy niemal rodzeństwem i kochaliśmy się bez pamięci, oddani sobie bez reszty, bez wyjaśnień, od chwili kiedy przyjechaliśmy do Kalifornii, razem się wychowywaliśmy, razem chodziliśmy do szkoły, razem studiowaliśmy na UCLA, pasjonowały nas wykłady z filozofii i historii, Rewolucja Meksykańska, historia socjalizmu i anarchosyndykalizmu, ruch robotniczy w Ameryce Łacińskiej, wojna domowa w Hiszpanii, holokaust, maccartyzm w USA, czytaliśmy pisma Ortegi y Gasset, Edmunda Husserla, Karola Marksa i Ferdynanda Lassalle'a, oglądaliśmy filmy Eisensteina o Meksyku, Leni Riefenstahl o hitlerowskiej chwale i *Noc i mgłę* Alaina Resnais o Auschwitz, przeglądaliśmy zdjęcia, które robili Robert Capa, Cartier-Bresson, Wegee, André Kertész, Rodczenko, Alvarez Bravo, i suma tych wszystkich wspólnych wrażeń, doświadczeń i zainteresowań umocniła naszą miłość, a kiedy zostałem napadnięty w Detroit, Enedina natychmiast przyjechała do mnie do szpitala i spędziła tam wiele godzin.

Rozmawialiśmy.

Miałem wstrząs mózgu, dręczyły mnie dziwne koszmary senne, musiałem leżeć, miałem złamaną nogę i choć powoli się goiła, nie opuszczała mnie pamięć tamtych snów.

Rozmawialiśmy.

Rozmawialiśmy z Enediną, przypominaliśmy sobie wszystko, co było możliwe, wymyślaliśmy to, co niemożliwe, bez oporów mieszałyśmy ze sobą pamięć i wyobraźnię, to, co wiedzieliśmy i co nam opowiedziano, to, co było i co być mogło, rzeczywistość i marzenia pokoleń z czasów Laury Díaz, losy Felipe Kelsena i Cosimy Reiter, sióstr Hildy, Virginii i Marii de la O, Mutti Letycji i jej męża Fernanda Diaza, pierwszego Santiago, syna Fernanda, pierwszy bal Laury na hacjendzie San Cayetano, małżeństwo z Juanem Francisco, narodziny Dantona i drugiego Santiago, miłość do Orlanda Ximeneza i Jorge Maury, oddanie dla Harry'ego Jaffe, śmierć trzeciego Santiago, wyzwolenie, ból, chwile chwały Laury Díaz, córki, żony, kochanki, matki, artystki, starej, młodej: wszystko to sobie przypomnieliśmy, a czego nie pamiętaliśmy, to sobie wyobraziliśmy, a czego nie mogliśmy sobie wyobrazić, to odrzuciliśmy jako niegodne życia przeżytego w przekonaniu, że być i nie być to dwie strony tej samej monety, że spełniając jedną część naszej egzystencji, poświęcamy drugą, że nigdy niczego nie posiadamy całkowicie, ani prawdy, ani błędu, ani wiedzy, ani wspomnienia, gdyż u naszych początków leżała miłość niepełna, choć intensywna, pamięć intensywna, choć niekompletna, i nie możemy odziedziczyć nic więcej, niż nasi przodkowie zostawili nam w spadku, wspólnotę przeszłości i wolę przyszłości, że w teraźniejszości jesteśmy połączeni pamięcią, pragnieniami i wiedzą, że każda dzisiejsza miłość zrodziła się z wczorajszej miłości. Dzisiejsza pamięć uświęca wczorajszą pamięć, choćby ją przy tym deformowała. Dzisiejsza wyobraźnia jest prawdą przeszłości i przyszłości.

– To znaczy, że na kartce przywiązanej do nogi twojego zmarłego ojca widnieje twoje własne imię?

– Tak. Myślę, że umarłem z nimi, żeby oni mogli żyć dalej we mnie.

Leżąc na łóżku, Enedina i Santiago długo patrzyli na obraz Adama i Ewy wstępujących do nieba, zamiast z niego spadać, na obraz pierwszych kochanków, nagich, świadomych swojej zmysłowości, namalowany przed śmiercią przez drugiego Santiago, Santiago Młodsze. Laura Díaz zapisała ten obraz w spadku ostatniej parze swego rodu, Santiago i Enedinie.

- Kocham cię, Santiago.
- Ja ciebie też, Enedino.
- Bardzo kocham Laurę Díaz.
- Jak to dobrze, że wspólnie mogliśmy odtworzyć jej życie.
- Jej lata. Lata Laury Díaz.

Podziękowania

Najlepiej na świecie opowiadają historie babunie, i to moim babkom przede wszystkim zawdzięczam pamięć tego, co legło u podstaw tej powieści. Moja babka ze strony ojca, Emilia Rivas Gil de Macías, wdowa po Manuelu Maciasie Gutierrezie, urodziła się w Alamos, w stanie Sonora, a jej przodkami byli imigranci z Santander w Hiszpanii, a także, jak głosiły plotki, które do mnie dotarły, Indianie Yaquis z Sonory. Mój dziadek Macías urodził się w Guadalajarze w stanie Jalisco i zmarł tragicznie w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku, zostawiając moją babkę z czterema młodymi córkami: Marią Emilią, Seliką, Carmen i moją matką Bertą Macías de Fuentes.

Moja babka ze strony matki, Emilia Boettiger de Fuentes, urodziła się w Catemaco, w stanie Veracruz. Jej ojcem był Philip Boettiger Keller, imigrant niemiecki pochodzący z Darmstadt w Nadrenii i ożeniony z młodą dziewczyną pochodzenia hiszpańskiego, Aną Marią Murcia de Boettiger, z którą mieli trzy córki: Luisę (Boettiger de Salgado), Marię (Boettiger de Álvarez) i Emilię (Boettiger de Fuentes). Emilia wyszła za Rafaela Fuentesę Veleza, dyrektora Banco Nacional de México w Veracruz, syna Cariosa Fuentesę Beniteza i Clotildy Vélez, która była napadnięta i okaleczona w dylizansie na drodze z Meksyku do Veracruz. Czwarta siostra Boettiger, Anita, była Mulatką, owocem miłości mojego pradziadka, do której nigdy się nie przyznał. Czuła i lojalna, zawsze była częścią rodziny Boettigerów.

Moi dziadkowie ze strony ojca mieli troje dzieci: Cariosa Fuentesę Boettigera, mojego wujka, początkującego poetę, którego mistrzem był Salvador Díaz Mirón, wydawcę pisma literackiego w Xalapie „Musa Bohemia”, zmarłego w wieku dwudziestu jeden lat na tyfus w stolicy Meksyku, gdzie pojechał na studia. Moja ciotka Emilia Fuentes Boettiger przez długi czas nie wychodziła za mąż, opiekując się moim dziadkiem, don Rafaelem, chorym na postępujący paraliż. Moi rodzice, Rafael Fuentes Boettiger i Berta Macías Rivas, zawarli związek małżeński w styczniu tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. Ja urodziłem się w listopadzie tegoż roku i odziedziczyłem konstelację opowieści przekazywanych przez moją párantele.

Ale wiele historii opowiedziały mi dwie wspaniałe kobiety pamiętające czasy Laury Díaz, doña Julieta Oliver de Fernández Landero i doña Ana Guido de Icaza, której pierwszym mężem był przemysłowiec z Orizaby, Manuel Fernández Landero, a drugim adwokat i pisarz Xavier Icaza López-Negrete, ukazujący się na kartach tej powieści. Im poświęcam wspomnienie pełne wdzięczności i wzruszenia.

Na szczególne podziękowanie zasługuje mój przyjaciel Federico Reyes Heróles i jego żona Beatriz Scharrer, wybitna znawczyni problemów rolnictwa i emigracji niemieckiej w stanie Veracruz. To właśnie podczas podróży z Federikiem do miejsc związanych z jego i moją historią – Xalapa, Coatepec, Catemaco, Tlacotalpan, Tuxtlas, Santiago i San Andrés – podróży trudnej, kształcącej, a zwłaszcza bogatej w emocje, zacząłem pisać *Lata z Laurą Díaz*.

Londyn, sierpień 1998